

STEPHEN
KING

MARTWA
STREFA

Prószyński i S-ka

PROLOG

I

Jeszcze przed maturą John Smith zdążył zapomnieć o ciężkim upadku, którego doznał na lodzie owego styczniowego dnia 1953 roku. Tak naprawdę, to już w ostatniej klasie podstawówki miałby wielkie kłopoty, żeby go odgrzebać w pamięci. Ojciec i matka o niczym się nie dowiedzieli.

Jeździli na łyżwach na oczyszczonym ze śniegu skrawku Runaround Pond w Durham. Starsi chłopcy grali w hokeja starymi, posklejanymi taśmą kijami, zamiast bramek używając dwóch koszy na ziemniaki. Maluchy tylko popierdzały sobie w kółko, jak to maluchy od niepamiętnych czasów; nogi komicznie wyginały im się w kostkach, a z ust wypływały na kilkustopniowy mróz obłoczki pary. W rogu, na oczyszczonym lodzie płonęły dwie opony, buchające czarnym dymem; wokół ognia siedziało kilkoro rodziców, przyglądających się swym pociechom. Czasy pojazdów śnieżnych jeszcze nie nadeszły i sporty zimowe ciągle polegały na ćwiczeniach ciała, a nie silnika spalinowego.

Johnny wyszedł z domu stojącego tuż przy granicy Pownal. Przez ramię miał przewieszony łyżwy. Jak na sześciolatka jeździł całkiem niezłe. Nie aż tak dobrze, by przyłączyć się do starszych i grać z nimi w hokeja, ale wystarczająco, by kręcić ósemki wokół innych pierwszoklasistów, którzy albo rozpaczliwie wywijali rękami, próbując ustać, albo padali na tyłki.

Właśnie sunął powolutku wzdłuż granicy oczyszczonego lodu, marząc o tym, by umieć jechać do tyłu jak Timmy Benedix, słuchając lodu jęczącego i trzaskającego tajemniczo pod warstwą śniegu, a także krzyków graczy, ryku silnika ciężarówki jadącej przez most do cementowni w Lisbon Falls, pomruku rozmów dorosłych. W ten chłodny, jasny zimowy dzień Johnny był szczęśliwy, że żyje. Nie miał żadnych problemów, o niczym nie myślał i nie pragnął niczego... chyba tylko tego, by jeździć do tyłu jak Timmy Benedix.

Przejechał koło ogniska i dostrzegł, jak kilku dorosłych przekazuje sobie butelkę whisky.

- Zostaw trochę dla mnie! - krzyknął do Chucka Spiera. Chuck miał na sobie wielką kurtkę drwala i zielone flanelowe spodnie.

Uśmiechnął się.

- Spadaj, mały. Chyba matka cię woła.

Sześciolatek John Smith odpowiedział mu uśmiechem i odjechał. A przy lodowisku, od strony drogi zauważył schodzącego w dół samego Timmy'ego Benedixa, a za nim jego ojca.

- Timmy! - krzyknął. - Patrz!

Obrócił się i pojechał niezgrabnie do tyłu. Nie zdając sobie z tego sprawy, zbliżał się do hokeistów.

- Hej, mały! - krzyknął ktoś. - Z drogi!

Johnny nie usłyszał. Udało mu się! Jechał do tyłu. Złapał rytm - od jednego razu! Trzeba było tak jakoś wyginać nogi...

Zafascynowany, spojrzał w dół. Co też wyczyniają te jego nogi?

Krażek hokejowy, stary, poryty i wyłobiony po brzegach, przemknął obok nie zauważony. Jeden ze starszych chłopaków, niezbyt dobry łyżwiarz, rzucił się w pościg głową w przód, ślepy na świat.

Chuck Spier dostrzegł niebezpieczeństwo. Zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

- Johnny! U w a g a...!

Chłopiec podniósł głowę, a w następnej chwili kiepski łyżwiarz rąbnął w niego z pełną szybkością, całą masą swych osiemdziesięciu kilogramów.

Johnny pofrunął z rozrzuconymi ramionami. Chwilę później jego głowa zetknęła się z lodem i zrobiło mu się czarno przed oczami.

Czarno... czarny lód... czarno... czarny lód... czarny. Czarny.

Powiedzieli mu, że zemdlął. Natomiast on był pewny tylko tej dziwnej, powtarzającej się myśli i tego, że w którymś momencie dostrzegł nad sobą krąg twarzy - przerażeni hokeiści, zaniepokojeni dorośli, małe, ciekawskie dzieciaki, głupio uśmiechnięty Timmy Benedix. Chuck Spier trzymał go w ramionach.

Czarny lód. Czerń.

- Co? - zapytał Chuck. - Johnny... dobrze się czujesz? Strasznie się walnąłeś.

- Czarny - mówił ochryple chłopak. - Czarny lód. Nie ładuj go więcej, Chuck.

Mężczyzna rozejrzał się wokół, lekko przestraszony, a potem znów spojrzął na Johnny'ego. Dotknął wielkiego guza wyrastającego na czole chłopca;

- Przepraszam - tłumaczył się niezdarzy hokeista - nawet go nie widziałem. Małe dzieci powinny trzymać się z dala od boiska. Takie są zasady. - Rozejrzał się niepewnie dookoła, czekając, żeby ktoś go poparł.

- Johnny? - Chuckowi nie podobały się oczy chłopca. Były ciemne, dalekie; odległe i chłodne. - Dobrze się czujesz?

- Nie ładuj go więcej - powtórzył Johnny, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, myśląc tylko o lodzie, o czarnym lodzie. - Wybuch. Kwas.

- To co, może jednak zabrać go do lekarza? - zapytał Chuck Billa Gendrona. - Bredzi.

- Poczekajmy trochę - doradził Bili.

Po chwili Johnny'emu rozjaśniło się w głowie.

- W porządku - szepnął. - Posadźcie mnie. - Timmy Bene-dix ciągle głupawo się uśmiechał, niech go wszyscy diabli! Johnny zdecydował, że pokaże mu to i owo. Pod koniec tygodnia będzie kosił wokół niego ósemki... do tyłu i do przodu.

- Chodź tu i usiądź na chwilę przy ognisku - powiedział Chuck. - Strasznie się walnąłeś.

Johnny nie opierał się, kiedy wzięli go pod ręce i odprowadzili do ogniska. Zapach topiącej się gumy, silny i ostry, wywołał lekkie mdłości. Bolała go głowa. Ciekawie pomacał guza rosnącego mu nad lewym okiem. Miał wrażenie, że sterczy na kilometr.

- Pamiętasz, kim jesteś, i w ogóle? - spytał go Bili.

- Jasne. Pewnie, że pamiętam. Wszystko w porządku.

- Jak nazywają się rodzice?

- Herb i Vera. Herb i Vera Smith.

Bili i Chuck spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami.

- Chyba w porządku - stwierdził Chuck, a później powtórzył po raz trzeci: - Ale cholernie się walnął, nie? Rany!

- Dzieciaki. - Bili popatrzył rozkochanym wzrokiem na swe ośmioletnie bliźniaczki, jeżdżące ręką w rękę, po czym przeniósł spojrzenie na Johnny'ego. - Mogło zabić dorosłego.

- Ale nie Polaka - odpowiedział mu Chuck i obaj wybuchnęli śmiechem. Butelka Bushmillsa ruszyła w drogę.

Dziesięć minut później Johnny był znów na lodzie. Ból głowy prawie znikł. Guz sterczał mu z czoła jak jakaś dziwna huba. Kiedy wrócił do domu na obiad, wcale nie pamiętał już o upadku, o tym, że stracił przytomność i miał czarno przed oczami; zapomniał z radości, że odkrył, jak jeździć do tyłu.

- Na litość boską! - krzyknęła Vera Smith na jego widok. - Co ci się stało?

- Upadłem - odparł Johnny, siorbiąc zupę pomidorową Campbella.

- Dobrze się czujesz, synku? - matka delikatnie dotknęła guza.

- Jasne, mamo!

I rzeczywiście czuł się dobrze... z wyjątkiem koszmarów, które pojawiały się potem przez jakiś miesiąc... koszmarów i tego, że w ciągu dnia bywał czasami bardzo senny, co mu się nigdy przedtem nie zdarzało. I minęło mniej więcej wtedy, kiedy ustąpiły kosmary.

Czuł się wspaniale.

Pewnego ranka w połowie lutego Chuck Spier stwierdził, że w jego starym De Soto z czterdziestego ósmego roku kompletnie siadł akumulator. Próbował doładować go z akumulatora furgonetki. Właśnie podłączał drugi przewód, kiedy akumulator wybuchł mu w twarz, szpikując ją odłamkami i opryskując kwasem. Chuck stracił oko. Vera stwierdziła, że tylko łasce boskiej zawdzięcza, iż nie stracił obu. Dla Johnny'ego była to straszna tragedia; w tydzień po wypadku odwiedził z tatą Szpital Ogólny w Lewiston. Widok Wielkiego Chucka, leżącego w szpitalnym łóżku, wynędzniałego i jakby skurczonego, potężnie nim wstrząsnął; tej nocy Johnny śnił, że to o n leży w szpitalu.

W następnych latach od czasu do czasu miewał przecucia... wiedział, jaką piosenkę nadadzą w radiu, jeszcze nim ją zapowiedziano, tego rodzaju sprawy... ale nigdy nie wiązał ich z wypadkiem na lodzie. Już o nim nie pamiętał.

A przecucia te nigdy nie były ważne ani nawet częste. Aż do nocy na jarmarku i maski nie zdarzyło się nic zdumiewającego. Aż do drugiego wypadku.

Później często o tym myślał.

Sprawa z kołem fortuny zdarzyła się przed drugim wypadkiem.
Jak ostrzeżenie z dzieciństwa.

2

Było lato 1955 roku roku i domokrażca niezmordowanie przemierzał Nebraskę i Iowę pod palącym słońcem. Siedział za kierownicą mercury'ego kombi z 1953 roku. Auto przejechało dobrze ponad sto dwadzieścia tysięcy kilometrów i silnik nie chodził już tak cicho jak niegdyś. Domokrażca był potężnie zbudowany; ciągle jeszcze wyglądał na wykarmionego kukurydzą wiejskiego chłopaka ze Środkowego Zachodu. W lecie 1955 roku, zaledwie cztery miesiące po tym, jak zbankrutował jego biznes z malowaniem domów, Greg Stillson nie miał jeszcze dwudziestu trzech lat.

Bagażnik i tylne siedzenie mercury'ego zawalone były kartonami pełnymi książek. Większość z nich stanowiły Biblie. We wszystkich kształtach i kolorach. Oto wersja podstawowa, Amerykańska Jedyna Prawdziwa Biblia z szesnastoma kolorowymi ilustracjami, sklejona klejem samolotowym, za dolara sześćdziesiąt pięć, z gwarancją, że nie rozleci się przez co najmniej dziesięć miesięcy; potem, w tanim wydaniu kieszonkowym, Amerykański Jedyny Prawdziwy Nowy Testament za sześćdziesiąt pięć centów, bez ilustracji, lecz ze słowami Pana Naszego Jezusa Chrystusa, wydrukowanymi na czerwono; wreszcie dla bogaczy Amerykańskie Jedyne Prawdziwe Słowo Boże De-luxe za dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, oprawione w imitację białej skóry (nazwisko właściciela można wypisać na złotym liściu na okładce), zawierające dwadzieścia cztery kolorowe ilustracje i w środku wolne kartki na wpisywanie urodzin, ślubów i pogrzebów. Słowo Boże De-luxe mogło przetrwać w jednym kawałku nawet całe dwa lata. Leżał tam też karton broszurek zatytułowanych: *Jedyna prawdziwa Ameryka: komunistyczno-żydowski spisek przeciw naszym Stanom Zjednoczonym*.

Greg zarabiał na tej książeczce, wydrukowanej na tanim, kiepskim papierze, więcej niż na wszystkich Bibliach razem wziętych. Książeczka wyjaśniała, jak to Rotszyldowie, Rooseveltowie i Greenblattowie opanowują gospodarkę Ameryki i rząd Ameryki. Udowadniała na wykresach, że Żydzi są najbliższymi spokrewnieni z komunistami-marksistami-leninistami-trocki-stami, a przez nich z samym Antychrystem.

Maccartyzm upadł w Waszyngtonie dopiero niedawno; na Środkowym Zachodzie gwiazda Joye McCarthy'ego świeciła całkiem jasno, a Margaret Chase Smith za jej słynną *Deklarację sumienia* ochrzczono tu „suką”. Poza opowieściami o komunizmie, wiejskich wyborców Grega Stillsona najwyraźniej niezdrowo fascynowała idea, że to Żydzi rządzą światem.

Greg skręcał właśnie na gruntowy podjazd na farmę, jakieś trzydzieści kilometrów na zachód od Ames w stanie Iowa. Farma wyglądała na opuszczoną - zasłony w oknach i zamknięta stodoła - ale przecież nie wiesz, póki nie spróbujesz. To motto oddało Gregowi Stillsonowi spore usługi w ciągu tych dwóch lat, od kiedy przeniósł się z matką z Oklahomy do Omaha. Interes z malowaniem domów nie był niczym wielkim, ale Greg musiał pozbyć się z ust smaku Jezusa (proszę mi wybaczyć to drobne bluźnierstwo). Lecz teraz wrócił do domu - choć nie na kazalnicy - głosić konieczność odrodzenia i czuł ulgę, że skończył się już ten interes z cudami.

Otworzył drzwi i kiedy wysiadał z samochodu, zza stodoły wyłonił się wielki, groźny pies. Położył uszy po sobie, zaszczekał głośno.

- Cześć, dobry piesek - powiedział Greg. Głos miał niski, przyjemny i donośny; w wieku dwudziestu trzech lat wyćwiczył sobie głos czarodzieja.

Dobry piesek nie zareagował na ten przyjazny ton. Podchodził bliżej, wielki i zły, i miał zamiar urządzić sobie wczesny obiad z domokrażcy. Greg wszedł więc do auta, zamknął drzwi i dwukrotnie przycisnął klakson. Z twarzy spływał mu pot; na białym lnianym garniturze, pod pachami, pojawiły się okrągłe, szare plamy. Zatrąbił jeszcze raz. Żadnej odpowiedzi. Chłopstwo załadowało się do swego international harvestera czy innego studebakera i pojechało do miasta.

Greg uśmiechnął się.

Zamiast wrzucić wsteczny bieg i opuścić podjazd, sięgnął za siebie i wyciągnął pompkę... pełną amoniaku.

Odciągnął tłok i wysiadł z samochodu, uśmiechnięty. Siedzący na podjeździe pies poderwał się i natychmiast ruszył na niego warcząc.

Greg nadal się uśmiechał.

- W porządku, piesku - powiedział tym swoim przyjemnym, mocnym głosem. - No, chodź. Podejdź do mnie. - Nie znosił tych wstrętnych kundli, biegających po małych podwóreczkach jak aroganccy mali Cezarowie; sporo mówi to o ich właścicielach, nie?

- Cholerne chłopstwo - mruknął pod nosem, nie przestając się uśmiechać. - No, chodź, piesku.

Pies zbliżył się. Przysiadł na łapach, gotowy do skoku. W oborze zaryczała krowa, wiatr szeleścił cicho w kłosach zbóż. Pies skoczył, a uśmiech Grega zmienił się w twardy, gorzki grymas. Przycisnął łokciami pompki i strzelił wprost w oczy i nos zwierzęcia gryzącą mgiełką amoniaku.

Złowrogi warkot zmienił się w krótkie, rozpaczliwe skomlenie, a później, gdy zaczął się prawdziwy ból, w przeciągłe wycie. Pies podwinął ogon; nie był już stróżem podwórka, lecz przegranym kundlem.

Twarz Grega Stillsona pociemniała; oczy zwięzły się w szparki. Zrobił szybki krok do przodu i nogą obutą w trzewik z metalowym czubkiem wściekle kopnął psa w podbrzusze. Pies zawył piskliwie i, obolały i przerażony, przypieczętował swój los obracając się i zamiast uciekać do stodoły, wypowiedział wojnę prześladowcy.

Warknął, odwrócił się, zaatakował na ślepo, złapał prawą nogawkę spodni Grega i rozdarł ją.

- Ty sukinsynu! - krzyknął zaskoczony, wściekły mężczyzna i ponownie kopnął psa, tym razem tak silnie, że zwierzę potoczyło się po ziemi. Podeszedł do niego i ciągle wrzeszcząc, wymierzył mu kolejnego kopniaka. Pies, któremu łzawiły oczy, którego nos płonął z bólu, zorientował się wreszcie, jak niebezpieczny jest ten szaleniec, ale było już za późno.

Greg Stillson ścigał go po podwórku, dysząc i wrzeszcząc; po policzkach spływał mu pot. Kopnął psa, aż zwierzę mogło tylko ze skowytom czołgać się po ziemi. Kundel krwawił z kilkunastu ran; zdychał.

- Nie trzeba było mnie gryźć - szepnął Greg. - Słyszysz? Czy ty mnie słyszysz? Nie trzeba było mnie gryźć, ty durny kundlu. Nikt nie śmie wejść mi w drogę. Słyszysz? Nikt. - Zakrwawionym butem wymierzył kolejnego kopniaka, lecz pies już nic nie czuł. Żadnej w tym satysfakcji. Greg poczuł ból głowy. Wszystko przez to słońce. Wszystko przez to, że ścigał tego psa w słońcu. Szczęście, jeśli nie zasłabnie.

Zamknął na chwilę oczy, oddychając gwałtownie. Pot spływał mu po twarzy jak łyż, lśnił jak klejnoty w ostrzyżonych na jeża włosach. U jego stóp leżał zdychający pies. Kolorowe plamy światła tańczyły w rytm bicia serca na tle czerni zamkniętych powiek.

Bolała go głowa.

Czasami Greg zastanawiał się, czy przypadkiem nie wariuje. Jak teraz. Chciał tylko prysnąć na psa amoniakiem i odpędzić go do stodoły, a potem zostawić w drzwiach wizytówkę, żeby któregoś dnia wrócić i pohandlować. A teraz? Co za burdel! Nie może teraz zostawić wizytówki, no nie?

Otworzył oczy. Pies leżał u jego stóp, ciężko dysząc; z pyska ciekła mu krew.

- Nie trzeba było drzeć mi spodni - powiedział Greg psu. - Te spodnie kosztowały mnie pięć dolców, ty cholerny kundlu.

Musi się stąd wynieść. Wcale mu nie zależy, żeby wysiadający ze swego studebakera Clem Dupek, jego żona i sześcioro

dzieciaków zobaczyli, jak ich Burek zdycha u stóp Wielkiego Brzydkiego Domokrażcy. Straciłby pracę. Towarzystwo Jedynej Prawdziwej Ameryki nie zatrudniało domokrażców zabijających psy chrześcijan.

Chichocząc nerwowo, Greg wrócił do swego mercury'ego, wsiadł i szybko zjechał z podjazdu. Skręcił na wschód w gruntową drogę, biegnącą prosto jak strzelił wśród pól kukurydzy, i wkrótce jechał już równo sto dziesięć, zostawiając za sobą trzykilometrową chmurę kurzu.

Z całą pewnością nie chciał teraz stracić pracy. Jeszcze nie. Zarabiał nieźle - na dodatek do towaru, o którym Towarzystwo Prawdziwej Ameryki wiedziało, Greg dokładał trochę rzeczy, o których nie miało pojęcia. Jakoś wiązał koniec z końcem. A poza tym, w podróży spotykał wielu ludzi... wiele dziewczyn. Fajne życie, ale...

Ale nie był zadowolony.

Jechał przed siebie. Głowa go bolała. Nie, nie czuł satysfakcji. Uważał, że jest stworzony do celów większych niż podróżowanie w kółko po Środkowym Zachodzie, sprzedawanie Biblii i fałszowanie formularzy, dające dodatkowe dwa dolce dziennie. Czuł, że jest stworzony... jest stworzony...

Do wielkości.

Tak, to było to. To było z pewnością to.

Parę tygodni temu zabrał dziewczynę na siano (jej rodzina wyjechała do Davenport sprzedawać kurczęta); dziewczyna sama zaczęła, pytając, czy chce szklankę lemoniady, i jedno doprowadziło do drugiego, i po tym, jak ją już miał, powiedziała, że to prawie jak pójść z kaznodzieją, i uderzył ją, właściwie nie wiedząc czemu. Uderzył ją i odjechał.

No, nie.

Tak naprawdę to uderzył ją trzy albo cztery razy. Aż się popłakała i krzyczała, żeby ktoś przyszedł i ją uratował, wtedy przestał i jakoś - potrzebował na to całego wdzięku, którym obdarzył go Bóg - jakoś się z nią dogadał. Wtedy głowa też go bolała, jasne plamki światła tańczyły mu przed oczami; próbował wytłumaczyć sobie, że to tylko upał oraz straszny zaduch stodoły, ale to nie z gorąca rozboleła go wtedy głowa. Czuł wtedy to samo, to samo, co przed chwilą, kiedy pies rozdarł mu spodnie; coś mrocznego i szalonego.

- Nie jestem wariatem - powiedział głośno w pustkę samochodu. Szybko otworzył okno, wpuszczając do środka upał lata, zapach kurzu, zboża, nawozu. Włączył radio i złapał piosenkę Patti Page. Ból głowy ustąpił nieco.

Wszystko polegało na tym, by nie stracić panowania nad sobą i nie dać się przyłapać. Jeśli ci się uda, nikt cię nie ruszy. A w obu sprawach stawał się coraz lepszy. Coraz rzadziej już śnił mu się ojciec, stojący nad nim z odsuniętym z czoła kaskiem, ryczący: „Do niczego się nie nadajesz, kurduplu! Do niczego się, kurwa, nie nadajesz!”

Nie śniło mu się to tak często, bo po prostu nie było prawdą. Nie był już kurduplem. Zgoda, jako dziecko często chorował, był mały, ale urósł duży i troszczy się o matkę...

A ojciec tego nie dożył. Nie może go zobaczyć. Nie zdoła zmusić ojca, żeby to odszczekał, bo ojciec zginął podczas wybuchu na platformie. Tak bardzo chciałby go wykopać raz, jedyny raz i wrzasnąć mu w zbutwiałą twarz: „Myliliś się, tato, myliliś się co do mnie!”, a później dać mu dobrego kopniaka...

Jak temu psu.

Ból głowy wrócił, słabszy.

- Nie jestem wariatem - powtórzył Greg Stillson, ciszej niż grała muzyka. Jego matka często mu powtarzała, że będzie kimś ważnym, kimś wielkim, takie jest jego przeznaczenie, i Greg jej wierzył. Wszystko polegało jedynie na tym, by nie stracić panowania nad sobą - nie bić dziewczyny, nie kopać psa - i nie dać się przyłapać.

A kiedy nadejdzie jego pora, wówczas pokaże wszystkim, na co go stać. Tego był zupełnie pewien.

Znów pomyślał o psie. Tym razem na myśl o nim uśmiechnął się z satysfakcją.

Jego wielka chwila zbliżała się. Odległa, być może, o lata; był młody, jasne, ale w młodości nie ma nic złego, jeśli tylko potrafisz zrozumieć, że nie możesz dostać wszystkiego naraz. Jak długo wierzysz, że los wreszcie się do ciebie uśmiechnie. A on w to wierzył.

Niech Bóg i jego synek Jezus pomogą tym, którzy wejdą mu w drogę.

Greg Stillson wystawił opalony łokieć za okno i zaczął pogwizdywać, wtórując radiu. Przydusił gaz, rozpędził mercury'ego do stu trzydziestu i pojechał prostą drogą w stanie Iowa ku czekającej nań przyszłości.

CZEŚĆ PIERWSZA

Koło fortuny

ROZDZIAŁ I

I

Później Sara pamiętała z tamtego wieczoru tylko dwie rzeczy: jego szczęśliwą passę przy kole fortuny i maskę. Lecz w miarę jak upływał czas, jak mijały lata, coraz częściej myślała o masce - gdy tylko potrafiła się zmusić, by w ogóle myśleć o tym strasznym dniu.

Miał mieszkanie w Cleaves Mills. Sara dotarła tam za piętnaście ósma, zaparkowała auto za rogiem i wcisnęła guzik domofonu przy wejściu. Dzisiaj jechali jej samochodem, ponieważ wóz Johnny'ego został w warsztacie Tibbeta w Hampden z powodu zatartego wału czy czegoś takiego. Czegoś drogiego, powiedział jej przez telefon, a później roześmiał się typowym śmiechem Johnny'ego Smitha. Sara rozplakałaby się głośno, gdyby to był jej samochód, ba, gdyby to była jej portmonetka.

Przeszła przez hol do schodów, mijając po drodze wiszącą na ścianie tablicę ogłoszeniową. Jak zwykle było na niej mnóstwo karteluszków zachwalających motocykle, elementy wieży stereo, maszynopisanie, a także ogłoszenia ludzi, którzy chcieli dojechać do Kansas czy Kalifornii, albo kierowców jadących na Florydę i poszukujących pasażerów, którzy pomogliby im prowadzić i zapłacić za benzynę. Tego wieczora najbardziej rzucał się w oczy plakat z zaciśniętą pięścią, wymalowaną na jaskrawoczerwonym tle sugerującym ogień. Jedyne na plakacie słowo głosiło STRAJK! Kończył się październik 1970 roku.

Johnny wynajmował mieszkanie od frontu na drugim piętrze - nazywał je apartamentem - i w tym mieszkaniu mogłeś stać ubrany w smoking, jak jakiś Ramon Navarro, trzymać w ręku baloniasty kieliszek z dużą ilością koniaku i przyglądać się niezmiernemu, bijącemu sercu Cleaves Mills; tłumom wylewającym się z teatrów, sznurom taksówek zajeżdżających sobie drogę, pulsującym neonom. Nagie miasto opowie ci siedem tysięcy takich historii. Oto jedna z nich.

Tak naprawdę, to Cleaves Mills składało się z jednej głównej ulicy i jednego skrzyżowania ze światłami (po szóstej wieczorem włączało się migające żółte), jakichś dwudziestu sklepów i małej fabryki obuwia letniego. Jak w większości miast otaczających Orono, gdzie mieścił się Uniwersytet Stanowy Maine, tutejsi obywatele zajmowali się głównie dostarczaniem wszystkiego, co potrzebne studentom: piwa, wina, benzyny, rock and rola, hamburgerów, trawki, jedzenia, kwater, filmów. Kino nazywało się „Abazur”. W trakcie roku akademickiego pokazywano w nim „dzieła sztuki filmowej” i nostalgiczne obrazy z lat czterdziestych. W lecie, przeciwnie, najlepiej szły spaghetti westerny z Clintem Eastwoodem.

Johnny i Sara skończyli studia przed rokiem. Obydwoje uczyli w Cleaves Mills, w jednym z niewielu na tym terenie liceów, którego rejon nie obejmował trzech lub czterech miasteczek. Wykładowcy i administracja uniwersytetu, podobnie jak studenci, traktowali Cleaves jako sypialnię; miasto miało z tego godne pozazdroszczenia podatki. Miało także znakomite liceum z nowiuteńkim skrzydłem poświęconym studiom nad środkami masowego przekazu. Mieszkańcy mogli sobie kłać na „inteligencików”, ich cwana gadkę, komunistyczne marsze przeciwko wojnie i mieszanie się w sprawy lokalne, ale nie protestowali przeciw podatkom, corocznie wpływającym z profesorskich willi i bloków mieszkalnych, ulokowanych na terenie zwanym przez jednych studentów Polami Oszustów, a przez innych Złodziejską Aleją.

Sara zapukała i głos Johnny'ego, dziwnie stłumiony, odpowiedział:

- Otwarte!

Marszcząc czoło, popchnęła drzwi. Mieszkanie pograżone było w całkowitej ciemności, której nie rozpraszało słabe, żółte światelko, mrugające pół przecznicy dalej. Meble rzucały złowrogie cienie.

- Johnny...?

Zastanawiając się, czy przypadkiem nie wysiadły bezpieczniki, Sara zrobiła nieśmiały krok naprzód... i wtedy nagle pojawiła się przed nią twarz, straszna twarz rodem z koszmaru. Świeciła upiorną, zgniłą zielenią. Jedno oko miała otwarte i wydawało się, że spogląda na nią z urazą i strachem; drugie oko, zamknięte, ścigało ją w przedziwnym grymasie. Lewa strona, ta z otwartym okiem, wydawała się normalna, lecz prawa była pyskiem potwora; grube, odwinięte wargi obnażały wystające, świecące zęby.

Sara krzyknęła piskliwie, zrobiła jeden chwiejny krok wstecz, a wtedy zapaliły się światła i znów

była w mieszkaniu Johnny'ego, a nie w jakiejś czarnej próżni; na wiszącym na ścianie plakacie Nixon próbował sprzedawać używane samochody, na podłodze leżał pleciony dywan, który zrobiła matka Johnny'ego, pełno było butelek po winie, w które wsadzono świece. Twarz przestała świecić i dziewczyna dostrzegła, że była to po prostu tania maska Halloween, nic więcej. Błękitne oko Johnny'ego patrzyło na nią z otwartego oczodołu.

Zdjął maskę, uśmiechając się do niej przyjaźnie. Miał na sobie sprane dzinsy i brązową bluzę.

- Szczęśliwego Halloween - powiedział.

Serce ciągle biło jej mocno; przeraził ją ogromnie.

- Bardzo śmieszne - powiedziała i odwróciła się do wyjścia. Nie znosiła, jak się ją straszy. Złapał ją w drzwiach.

- Hej... Przykro mi.

- Powinno ci być przykro. - Przyjrzała mu się chłodno; a w każdym razie miało to być chłodne spojrzenie. Gniew ustępował. Po prostu nie sposób długo złościć się na Johnny'ego, na tym polegał problem. Czy go kochała, czy nie - a ciągle starała się rozwiązać ten dylemat - nie potrafiła przez dłuższy czas czuć się w jego towarzystwie nieszczęśliwie albo się na niego obrazić. Pomyślała, czy komuś kiedyś udało się zaciąć w złości na Johnny'ego, i była to myśl tak głupia, że nie sposób było się nie uśmiechnąć.

- No, już lepiej. Bracie, myślałem, że sobie pójdziesz.

- Nie jestem bratem.

Johnny przyjrzał się jej uważnie.

- Zauważyłem.

Sara miała na sobie obszerne futro - sztuczne szopy czy coś równie wulgarnego - i jego niewinna aluzja sprawiła, że znowu się uśmiechnęła.

- Pod tym nic nie widać.

- O, nie. Ja widzę.

Objął ją i pocałował. Nie miała zamiaru oddać mu pocałunku, ale w końcu, oczywiście, oddała.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem - powiedział i nim wypuścił ją z objęć, potarł po przyjacielsku jej nos swoim. Podniósł maskę. - Przypuszczałem, że podskoczysz na jej widok. Założył ją w piątek w świetlicy.

- Och, Johnny, to nie wpłynie dobrze na dyscyplinę!

- Jakoś z tego wybrnę - odparł z uśmiechem. I, do diabła, oczywiście jakoś z tego wybrnie!

Ona sama przychodziła co dzień do szkoły w wielkich „profesorskich” okularach, z włosami ściągniętymi w tył głowy i zawiązanymi w kok tak ściśle, że niemal słychać było, jak krzyczą. Nosila sukienki kończące się powyżej kolan i to w czasach, kiedy u większości jej uczennic kończyły się tuż poniżej majtek (*A mam nogi lepsze od każdej z nich* - pomyślała gniewnie). Kazała siadać w ławkach w porządku alfabetycznym, co w myśl zasad statystyki powinno trzymać rozrabiaków z dala od siebie, i zawsze wysyłała tych, którzy sprawiali jej kłopoty, do zastępcy dyrektora, wychodząc z założenia, że w odróżnieniu od niej on ma za to dodatkowo pięćset dolców na rok. A mimo to każdy dzień był nie kończącą się bitwą z demonem młodych nauczycieli: dyscypliną. Bardziej niepokoiło ją jednak to, że zaczęła wyczuwać, iż istnieje gdzieś kolektywne, powołane samo przez siebie jury - może jakaś zbiorowa, szkolna świadomość - oceniające każdego nowego nauczyciela, a werdykt, który szykuje w jej sprawie, nie będzie szczególnie korzystny.

Johnny, przynajmniej na pozór, sprawiał wrażenie antytezy dobrego nauczyciela. Wędrował z lekcji na lekcję pograżony w przyjaznej światu zadumie i często się spóźniał, bo podczas przerwy musiał uciąć sobie pogawędkę na korytarzu. Pozwalał uczniom siadać, gdzie im się żywnie podobało, i tym sposobem nikt nigdy nie siedział na tym samym miejscu przez dwa kolejne dni (a klasowe łobuzy grawitowały oczywiście ku tylnym ławkom). Przy tym systemie Sara nie poznałaby nazwisk uczniów do marca - zaś Johnny miał je już porządnie poukładane w głowie.

Był wysoki i garbił się; uczniowie nazywali go Frankensteinem, czym wydawał się raczej rozbawiony niż oburzony. Lecz mimo wszystko jego klasy zachowywały się cicho i spokojnie, a wagary prawie się nie zdarzały (dla Sary wagarowicze byli ciągłym problemem). To samo jury wyraźnie go akceptowało. Należał do tych nauczycieli, którym uczniowie po dziesięciu latach dedykują szkolną księgę pamiątkową. A ona nie. Zastanawiała się czasami dlaczego i doprowadzają to do szaleństwa.

- Napijesz się piwa, nim wyjdziemy? Kieliszek wina? Cokolwiek?

- Nie, ale mam nadzieję, że jesteś nadziany - odpowiedziała, biorąc go pod rękę. Postanowiła się już na niego nie wściekać. - Zawsze jem co najmniej trzy hot-dogi. Zwłaszcza na ostatnim jarmarku w roku. - Wybierali się do Esty, trzydzieści kilometrów na północ od Cleaves Mills. Jedynym, a w dodatku wątpliwym tytułem do sławy tego miasteczka był fakt, że odbywał się tam ABSOLUTNIE OSTATNI JARMARK W ROKU W NOWEJ ANGLII. Jarmark miał się zakończyć w piątkową noc, w Halloween.

- Biorąc pod uwagę, że płacą nam w piątki, jest niezłe. Mam osiem dolców.

- O mój Boże - szepnęła Sara, przewracając oczami. - Wiedziałam, że jeśli wytrwam w czystości, pewnego dnia spotkam bogatego królewicza.

Johnny uśmiechnął się i kiwnął głową.

- My, alfonsi, zarabiamy wielkie pieniądze, mała. Wezmę kurtkę i już nas nie ma.

Spojrzała za nim niecierpliwie, choć z sympatią, a głos, który coraz częściej rozbrzmiewał w jej głowie - pod prysznicem lub kiedy czytała książkę, kiedy sprawdzała prace albo robiła kolację tylko dla siebie - odezwał się znowu, podobny do trzydziestosekundowych urzędowych komunikatów w telewizji: *To miły chłopak i tak dalej, łatwo by się z nim żyło, jest zabawny, nie będziesz przez niego płakać. Ale czy to miłość? To znaczy, czy to wszystko, czego możesz oczekiwać? Nawet kiedy się uczysz jeździć na rowerku, musisz spaść kilka razy i zdrapać skórę z obu kolan. Nazwij to inicjacją. A to przecież tak n i e w i e l e.*

- Muszę iść do łazienki - zawołał do niej Johnny.

- Aha. - Uśmiechnęła się. Należał do ludzi, którzy zawsze informowali o swych potrzebach naturalnych, Bóg jeden wie czemu.

Podeszła do okna i spojrzała na główną ulicę. Dzieciaki wjeżdżały na parking koło O'Mike'a, najpopularniejszego baru z pizzą i piwem. Nagle zamarzyła, by być z nimi, by być jedną z nich, by nie pamiętać wszystkich tych problemów albo jeszcze ich nie dożyć. Na uniwersytecie nic nikomu nie grozi. To kraj, który nie istnieje, w którym wszyscy, nawet nauczyciele, mogą należeć do drużyny Piotrusia Pana i nigdy nie dorosnąć. A zawsze znajdzie się Nixon czy inny Agnew, by zagrać rolę Kapitana Haka.

Spotkała Johnny'ego, kiedy oboje zaczęli uczyć, we wrześniu, ale wcześniej widywała go na wykładach z pedagogiki. Chodziła wtedy z członkiem Delta Tau Delta i nic, co można powiedzieć o Johnnym, nie pasowało do Dana. Ten był bez skazy przystojny, wybitnie inteligentny; sprawiał, że często czuła się z nim trochę niepewnie; dużo pił i kochał się bardzo namiętnie. Czasami, po kieliszku, bywał groźny - pamiętała dobrze noc w Brass Rail w Bagnor. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku wdał się wówczas w żartobliwą kłótnię na temat miejscowej drużyny futbolowej i Dan zapytał go, czy chce wracać do domu, niosąc głowę pod pachą. Mężczyzna go przeprosił, ale Dan nie pragnął przeprosin, lecz bójki. Zaczął podkpiwać sobie z jego towarzyski. Sara położyła mu dłoń na ramieniu i poprosiła, żeby przestał. Strząsnął wtedy jej rękę i spojrzał na nią z dziwnym zimnym błyskiem w szarych oczach; ten błysk sprawił, że słowa uwięzły jej w zaschniętym gardle. W końcu obaj wyszli na dwór i Dan pobił tego gościa. Pobił go tak, że gość, który miał już blisko czterdzistkę i brzuszek, wrzeszczał. Sara nigdy przedtem nie słyszała wrzeszczącego mężczyzny - i nigdy już nie chciałyby usłyszeć. Musieli szybko wynieść się z restauracji, bo barman zauważył, co się dzieje, i wezwał policję. Wróciłyby wtedy sama (*Ach, doprawdy?* - zapytał ją jakiś złośliwy wewnętrzny głos), ale do akademika miała ze dwadzieścia kilometrów, autobusy przestały kursować o szóstej, a bała się łapać okazję.

Wracając Dan nie zamienił z nią ani słowa. Na policzku miał zadrapanie. Tylko jedno zadrapanie. Dojechali do Hart Hali, jej akademika, i wtedy powiedziała mu, że już nigdy nie życzy sobie go oglądać.

- Jak chcesz, mała - odparł tak obojętnie, że aż zrobiło się jej zimno, i kiedy zadzwonił po raz drugi od tego zdarzenia w Brass Rail, zgodziła się na randkę. Potem znienawidziła się za to.

I tak wyglądał cały jesienny semestr ostatniego roku. Dan przerażał ją i jednocześnie fascynował. Był jej pierwszym prawdziwym kochankiem i nawet teraz, dwa dni przed Halloween 1970 roku, nadal jedynym kochankiem. Z Johnnym nie poszli jeszcze do łóżka.

Danny był bardzo dobry w tych sprawach. Wykorzystywał ją, ale był bardzo dobry. Nie chciał stosować żadnych środków ostrożności, więc to ona musiała pójść do przychodni uniwersyteckiej, gdzie zacinając się wyjaśniła, że ma bolesne miesiączki, i dostała pigułkę. Jeśli chodzi o seks, Dan zdominował ją całkowicie. Miała z nim niewiele orgazmów, choć sama jego brutalność spowodowała

kilka, i na parę tygodni przed zerwaniem zaczęła jak dojrzała kobieta łaknąć dobrego seksu, a pragnienie to w zdumiewający sposób zmieszane było z innymi uczuciami: niechęcią wobec Dana i jej samej, uczuciem, że seks aż tak związany z poniżeniem i dominacją nie może być nazywany „dobrym”, i pogardą dla samej siebie, że nie umie zerwać znajomości opartej najwyraźniej na uczuciach wyłącznie destrukcyjnych.

Skończyło się szybko, na początku tego roku. Wylali go.

- Co masz zamiar robić? - zapytała nieśmiało, siedząc na łóżku jego współlokatora, podczas gdy Dan wrzucał swoje rzeczy do dwóch walizek. Chciała mu zadać inne, bardziej osobiste pytania. „Czy zostaniesz gdzieś blisko? Pójdiesz do pracy? Zaczyniesz studiować wieczorowo? Czy w twych planach jest miejsce dla mnie?” Tego ostatniego pytania, bardziej niż wszystkich innych, nie potrafiła zadać. Bo nie była przygotowana na żadną odpowiedź. Odpowiedź, której udzielił jej na jedyne neutralne pytanie, była dostatecznie wstrząsająca.

- Chyba Wietnam.

- Co?

Sięgnął na półkę, chwilę przerzucał leżące na niej papiery i rzucił jej list. Zawiadomienie z komisji poborowej w Bangor; polecali mu stawić się na badaniach lekarskich.

- Nie możesz tego jakoś załatwić?

- Nie. Może. Nie wiem. - Zapalił papierosa. - Nie wiem nawet, czy chciałbym spróbować. Patrzyła na niego, wstrząśnięta.

- Zmęczyła mnie ta gra. Studia, praca, mała żoneczka. Chyba już widziałas się w roli żoneczki, nie? Nie sądz, że wszystkiego nie przemyślałem. To by się nie udało. Ty o tym wiesz i ja także. Nie pasujemy do siebie, Saro.

Uciekła wtedy, bo dostała odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Parę razy spotkała współlokatora Dana. Między styczniem a czerwcem dostał od niego trzy listy. Dan został powołany i pojechał na szkolenie gdzieś na Południe. Jego kumpel nie wiedział nic więcej. Sara Bracknell też się niczego więcej nie dowiedziała.

Najpierw myślała, że wszystko będzie dobrze. Wszystkie te smutne, rzewne piosenki o nieodwzajemnionej miłości, których słucha się w samochodzie po północy; jej przecież nie mogą dotyczyć. Albo te banały o końcu przygody, albo ataki płaczu. Nie poderwała faceta tylko na złość i nie siadywała w barach. Tej wiosny większość wieczorów spędziła w akademiku, ucząc się w spokoju. Co za ulga. Załatwiła wszystko w sposób bardzo cywilizowany.

Dopiero kiedy spotkała Johnny'ego - na balu inauguracyjnym klas pierwszych, przed miesiącem (obydwoje robili za przyzwoitki, po prostu na nich padło) - zrozumiała, jaki potworny był ten jej ostatni semestr. Czegoś takiego nie zauważysz, kiedy właśnie się zdarza, jest zbytnio z tobą zrośnięte. Dwa osły spotykają się przed barem w pewnym miasteczku na Zachodzie. Jeden z nich jest miejscowy i ma na grzbiecie tylko siodło, drugi to osioł górnik; obładowany pakunkami, namiotami, śpiworami, garnkami i czterema dwudziestopięciokilowymi workami rudy. Od ciężaru grzbiet ma zgięty w harmonię. Miejski osioł mówi: „Niezły dźwigasz ciężar”. A osioł górnik na to: „Jaki ciężar?”

Kiedy oglądała się za siebie, przerażała ją głównie pustka w jej życiu; wynajęła małe mieszkanie na Flagg Street w Veazie i tylko składała podania w szkołach oraz czytała ogłoszenia. Wstawiała, jadła śniadanie, szła na zajęcia czy na spotkanie z pracodawcą, jeśli takie miała, wracała do domu, jadła, układała się do drzemki (a drzemki te trwały czasami cztery godziny), znowu jadła, czytała do wpół do dwunastej, patrzyła w telewizor, aż poczuła senność, szła do łóżka. Nie pamiętała, by przez ten cały czas zdarzyło się jej p o m y ś l e ć. Rutyna. Czasami odczuwała jakiś nieokreślony ból między nogami, b ó l niespełnienia, tak to chyba nazywały autorki romansów, i pokonywała go zimnym prysznicem albo kąpielą. Gdy po pewnym czasie czuła pod prysznicem ból, sprawiało jej to gorzką, nie uświadomioną satysfakcję.

Przez cały ten czas gratulowała sobie parę razy tego, jaka to jest dorosła i jak dobrze sobie ze wszystkim radzi. Prawie nie myślała o Danie. Jakim Danie, cha, cha, cha? Później zdała sobie sprawę, że przez osiem miesięcy nie myślała o niczym i nikim, w ogóle. Przez te osiem miesięcy kraj zachwiał się w posadach, a ona prawie tego nie zauważyła. Marsze protestacyjne, gliniarze w hełmach, z maskami gazowymi na twarzach, Ag-new atakujący raz po raz prasę, strzały w Kent State, lato przemocy, kiedy to czarni i radykałowie wylegli na ulice - to wszystko mogło się zdarzyć na filmie w kinie nocnym. Sara myślała tylko o tym, jak cudownie poradziła sobie ze sprawą Dana, jak wspaniale dostosowywała się do rzeczywistości, z jaką ulgą przyjęła fakt, że wszystko jest w porządku. Jaki

ciężar?

A później zaczęła uczyć w liceum Cleaves Mill, i to była jej osobista rewolucja: po szesnastu latach kariery uczennicy znaleźć się po drugiej stronie katedry. Spotkanie Johnny'ego Smitha na tym balu (czy ktoś z tak absurdalnym imieniem i nazwiskiem, Johnny Smith, może w ogóle być rzeczywisty?) zmieniło wszystko. Wsunęła się ze skorupy na chwilę, która wystarczyła, by dostrzec, jak on patrzy na nią - nie świńsko,

lecz zwyczajnie i normalnie oceniając, jak dobrze wygląda w jasnoszarym wełnianym kostiumie, który wtedy nosiła.

Zaprosił ją do kina - w „Abażurze” grali *Obywatela Kane'a* - a ona przyjęła jego zaproszenie. Bawiła się dobrze i myślała: „Nic wielkiego”. Kiedy pocałował ją na dobranoc, sprawiło jej to przyjemność. „Żaden z niego Errol Flynn.” Uśmiechała się, kiedy gadał w swoim stylu, i myślała: „Kiedy dorosnie, chciałby być Henrym Youngmanem”.

Tego samego wieczora, siedząc w pokoju i oglądając kino nocne - Betty Davis grała wstrętną sukę i obchodziła ją wyłącznie własna kariera - Sara przypomniała sobie, o czym wtedy myślała, i zamarła z zębami wbitymi w jabłko, takie to było niesprawiedliwe.

Głos, który nie odzywał się już prawie przez rok - nie tyle głos sumienia, co rozsądku - przemówił nagle: „Zastanawiasz się, że on to nie Dan, co? Co?”

Nie, upewniała się, teraz już całkiem wstrząśnięta. Przecież w ogóle nie myślę już o Danie. To... to się zdarzyło dawno temu.

„Pieluszki - odpowiedział głos - to pieluszki były dawno temu. Dan odszedł wczoraj.”

Nagle Sara zdała sobie sprawę, że jest późna noc, że siedzi w mieszkaniu zupełnie sama i ogląda film, który jej w ogóle nie obchodzi, i że robi to, bo łatwiej jest robić to niż myśleć; myślenie jest takie nudne, kiedy myślisz tylko o sobie i swej utraconej miłości.

Teraz była już b a r d z o wstrząśnięta.

Wybuchnęła płaczem.

Johnny zaprosił ją po raz drugi i trzeci i przyjęła jego zaproszenie, i wtedy zrozumiała, kim była, kim się stała. Właściwie nie mogła uznać, że ma następnego faceta, bo to nie było tak. Sara była inteligentna i ładna i kiedy skończyła z Danem, mężczyźni często próbowali się z nią umawiać, ale przyjmowała tylko zaproszenia na hamburgera od współlokatora Dana. Teraz dopiero zdała sobie sprawę (z obrzydzeniem złagodzonego nieco poczuciem humoru), że chodziła na te nic, ale to nic nie znaczące spotkania tylko po to, by wyciągnąć z biedaka wszystko, co wiedział o Danie.

Większość jej koleżanek ze szkoły po maturze znikła z hory-

zontu. Bettye Hackman wyjechała z Korpusem Pokoju do Afryki, rozczarowując tym strasznie członków swej bogatej, zasiedziałej w Bangor rodziny; czasami Sara zastanawiała się, co Ugandyjczycy myślą o Bettye i jej białej, nigdy nie opalającej się skórze, o jej popielatoblond włosach i zimnej, posągowej urodzie. Deenie Stubbs podjęła dalsze studia w Houston. Rachel Jurgens wyszła za swojego chłopaka i właśnie oczekiwała dziecka gdzieś w dziczy zachodniego Massachusetts.

Nieco oszołomiona, Sara musiała zgodzić się z wnioskiem, że Johnny Smith był pierwszym przyjacielem, którego zdobyła od wielu, wielu miesięcy - a przecież w ostatniej klasie wybrano ją najpopularniejszą dziewczyną szkoły. Umówiła się na randki z kilkoma innymi nauczycielami z Cleaves tylko po to, by nabrać dystansu do sprawy. Jednym z nich był Gene Sedecki - nowy nauczyciel matematyki, doświadczony nudziarz. Drugi, George Rounds, próbował natychmiast zaciągnąć ją do łóżka, więc dała mu w twarz - a nazajutrz okazał się wystarczająco bezczelny, by mrugnąć do niej na korytarzu.

Johnny natomiast był zabawny i w jego towarzystwie czuła się swobodnie. Pociągał ją seksualnie - jak mocno, tego nie mogła uczciwie ocenić, przynajmniej na razie. Tydzień temu, po piątkowym zjeździe nauczycieli w Waterville, zaprosił ją wieczorem do siebie, na spaghetti. Sos syczał na patelni, a on wyskoczył do sklepu i wrócił z dwiema butelkami jabłecznika. Zupełnie w jego stylu, jak ogłaszanie świata, że idzie zrobić siusiu.

Po kolacji oglądali telewizję, a potem doszło do pieszczot i Bóg jeden wie, jak by się to skończyło, gdyby nie pojawili się jego przyjaciele, wykładowcy z uniwersytetu, którzy przynieśli studium o swobodach akademickich. Chcieli, żeby Johnny się temu przyjrzał i wypowiedział swoje zdanie. Johnny przyjrzał się i wypowiedział swoje zdanie, chociaż mniej entuzjastycznie, niż było to w jego stylu. Sara dostrzegła to i poczuła ciepłą, tajemną radość, a ból między nogami, ból niespełnienia, też ją ucieszył, lecz tej nocy nie mordowała go prysznicem.

Odwróciła się od okna i podeszła do sofy, na której Johnny zostawił maskę.

- Szczęśliwego Halloween - parsknęła i roześmiała się.
- Co? - zawołał Johnny
- Powiedziałam, że jeśli zaraz nie wyjdiesz, jadę bez ciebie.
- Już wychodzę!
- Wspaniale!

Przesunęła palcem po masce, fizjonomii jednocześnie doktora Jekylla i pana Hyde'a; lewa połowa była sympatycznym obliczem doktora Jekylla, prawa - okrutną, nieludzką twarzą Hyde'a. Do czego dojdziemy na Święto Dziękczynienia, pomyślała. A na Boże Narodzenie?

Myśl o tym spowodowała, że przebiegł ją nieznaczny dreszcz podniecenia. Lubiła Johnny'ego. Był zwykłym, sympatycznym facetem.

Jeszcze raz spojrzała na maskę; straszliwy Hyde wyrastał z twarzy Jekylla jak rak. Pomalowano go farbą fluorescencyjną, żeby świecił w ciemności.

Co to znaczy: zwykły? Nikt. Nic. Niekoniecznie. Gdyby był zwyczajny, jak mógłby planować, że wejdzie w tę maskę do świetlicy i uda mu się zachować dyscyplinę? Jakim cudem dzieciaki nazywające go Frankensteinem lubiły go i ceniły? Co to znaczy: zwykły?

Pojawił się Johnny, odsuwając na bok plecioną zasłonę, oddzielającą pokój gościnny od sypialni i łazienki.

Jeśli dziś w nocy proponuje mi łóżko, to chyba się zgodzę.

Ta myśl była miła jak powrót do domu.

- Dlaczego się uśmiechasz?
- Tak sobie - odpowiedziała, rzucając maskę z powrotem na sofę.
- Nieprawda. Myślałaś o czymś miłym?
- Johnny - Sara oparła dłoń na jego piersi, wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w policzek - o pewnych rzeczach się nie mówi. Idziemy?

2

Zatrzymali się na chwilę na dole. Johnny zapinał swą dzinsową kurtkę; wzrok Sary znów przyciągnął plakat z napisem STRAJK, zaciśniętą pięścią i płomiennym tłem.

- Będziemy mieli kolejny w tym roku strajk studencki - powiedział Johnny, kiedy zorientował się, na co patrzy dziewczyna.

- Wojna?

- Tym razem to tylko część problemu. Wietnam, walka o swobody obywatelskie i to brutalne stłumienie buntu na uniwersytecie Kent State zdołały pobudzić do działania więcej studentów niż cokolwiek innego. Chyba jeszcze nigdy nie było tak mało dupków, zajmujących miejsca na uniwersytecie.

- Co to znaczy, dupków?

- Tych, którzy studiuja, żeby zdobyć tytuł i nie interesują się działaniem systemu; wiedzą tylko tyle, że kiedy skończą, ten system da im pracę za dziesięć tysięcy dolarów rocznie. Dupek to student, który ma w dupie wszystko i dba wyłącznie o własną skórę. To się skończyło. Nadchodzą wielkie zmiany.

- Takie to dla ciebie ważne, chociaż sam już nie jesteś studentem?

Johnny wyprostował się.

- Szanowna pani, jestem absolwentem. Smith, rocznik 70. Wypijmy po kufelku za dobre, stare Maine. Sara uśmiechnęła się.

- Chodź, idziemy. Chcę się przejechać na karuzeli, nim zamkną ją na noc.

- Doskonale. - Johnny wziął ją pod rękę. - Tak się złożyło, że mam twój samochód zaparkowany zaraz za rogiem.

- I osiem dolców. Wieczór zapowiada się bombowo.

Na niebie wisiały chmury, ale nic nie zwiastowało deszczu i jak na koniec października było dość ciepło. Johnny objął ją ramieniem i Sara przytuliła się do niego.

- Wiesz, strasznie dużo o tobie myślę. - Powiedział to prawie obojętnym tonem. Prawie. Serce Sary zwolniło nagle, a później przyspieszyło na kilkanaście uderzeń.

- Doprawdy?

- Mam wrażenie, że ten facet, ten Dan... on cię zranił, prawda?
- Nie wiem, co mi zrobił - odpowiedziała mu zgodnie z prawdą. Mrugające żółte światło, od którego oddalili się już o przecznicę, wciąż rzucało na beton chodnika ich cienie, pojawiające się i znikające.

- Ja nie zamierzam cię skrzywdzić.
- Wiem, że nie. Ale, Johnny... daj mi trochę czasu.
- Jasne. Czas. Czasu nam chyba nie zabraknie.

Te jego słowa miały wracać do niej na jawie i - znacznie silniej - we śnie, brzmiąc niewypowiedzianą goryczą, poczuciem ogromnej straty.

Skręcili za rogiem. Johnny otworzył jej drzwi od strony pasażera, obszedł samochód i usiadł za kierownicą.

- Zimno ci? - zapytał.
- Nie. To wspaniała noc.
- Wspaniała - zgodził się.

Odjechali od krawężnika. Myśli dziewczyny wróciły do tej dziwacznej maski. Pół-Jekyll z błękitnym okiem Johnny'ego widocznym w wielkim oczodole zaskoczonoego doktora („Widzisz, ten koktajl wymyśliłem wczoraj w nocy, ale nie sądzę, by kiedykolwiek podawali go w barach”) i ta strona była w porządku, w środku widziała przecież kawałek Johnny'ego. To strona Hyde'a przeraziła ją śmiertelnie, bo jego oko miało rozmiar szparki. W środku mógł czaić się każdy. Ktokolwiek; nawet, powiedzmy, Dan.

Lecz kiedy dojechali do Esty, gdzie nagie żarówki podjazdu mrugały w ciemności, a długie linie neonów na szprychach diabelskiego młyna obracały się w koło, zapomniała o masce. Przyjechała tu ze swoim chłopakiem i będą się dobrze bawić.

3

Przeszli podjazdem, trzymając się za ręce. Prawie nie rozmawiali; Sarze wydawało się, że raz jeszcze przeżywa wiejskie jarmarki z dzieciństwa. Dorastała w South Paris, wioseczce w zachodnim Maine, a wielkie jarmarki odbywały się we Fryeburgu. Dla Johnny'ego, chłopaka z Pownal, Fryeburkiem było prawdopodobnie Topsham. Wszystkie były w zasadzie podobne i niewiele zmieniły się przez lata. Samochód parkowało się na łące, płaciło dwa dolce przy bramie i zaraz po wejściu na teren czuło się zapach hot-dogów, smażonej papryki i cebuli, boczku, waty na patyku, trocin i końskiego nawozu. Słychać było łomot małej łańcuchowej kolejki górskiej, pukanie wiatrówek na strzelnicach i metaliczny głos reklamujący bingo, niosący się z głośników zawieszonych wokół wielkiego namiotu, wypełnionego długimi stołami i składanymi krzeselkami wypożyczonymi z kaplicy cmentarnej. Rock and roll walczył o prymat z muzyczką wygrywaną na fisharmonii. Naganiacze krzyczeli nieprzerwanie: „Dwa strzały za ćwierć dolca, wygraj tego ślicznego pieska dla swej pani, tutaj-tutaj-tutaj-tutaj, strzelaj, aż trafisz”. To się nie zmieniło. Tu znów czuleś się dzieckiem, rwącym się, by je oskubać.

- Tu - powiedziała Sara i szarpnęła go za rękaw. - Karuzela! Karuzela!
- Oczywiście. - Johnny podał siedzącej w budce kobiecie dolara i odebrał dwa czerwone bilety i dwie dziesiątki. Kobieta nawet nie podniosła głowy znad *Photoplay*.

- Co to znaczy „oczywiście”? Czemu mówisz „oczywiście” takim tonem?

Johnny wzruszył ramionami. Minę miał nazbyt niewinną.

- Nie w tym rzecz, co powiedziałaś, Johnnie Smith. Chodzi o to, jak to powiedziałaś.

Karuzela zatrzymała się. Ludzie wysiadali i przeciskali się obok nich; głównie nastolatki w niebieskich wełnianych kurteczkach lub rozpiętych kozuszkach. Johnny poprowadził Sarę drewnianym pomostem i oddał bilety operatorowi karuzeli, który wyglądał jak najbardziej znudzona istota we wszechświecie.

- Nic takiego - odpowiedział wreszcie, kiedy operator sadzał ich w okrągłym „wózku” i zamykał zabezpieczenie. - Czy wiesz, że te małe wózki poruszają się w kółko po szynach?

- Tak.
- A te szyny są osadzone na wielkim, okrągłym wirującym dysku, racja?
- Racja.
- No, więc kiedy karuzela obraca się z pełną prędkością, mały wózek, w którym siedzimy,

porusza się w koło po okrągłej szynie i przeciążenie wynosi czasem nawet siedem g, tylko o pięć mniej, niż dostają astronauty podczas startu z Przylądka

Kennedy'ego. Znałem takiego dzieciaka... - Johnny pochylił się ku niej z figlarną miną.

- To kolejne z tych twoich wielkich kłamstw - przerwała mu Sara.

- Kiedy ten dzieciak miał pięć lat, upadł na schodach przed domem i doznał maleńkiego pęknięcia kręgu szyjnego. Później, d z i e s i ę ć l a t p ó ź n i e j, usiadł na karuzeli podczas jarmarku w Topsham... i... - Johnny wzruszył ramionami i poklepał ją współczująco po rękę - ...ale pewnie nic ci się nie stanie.

- Och... wysiadam...

Karuzela ruszyła, zmieniając jarmark w wirującą mgłę twarzy i świateł. Sara roześmiała się i zaczęła go okładać pięściami.

- Maleńkie pęknięcie! - krzyknęła. - Tobie pęknie kręgosłup, kiedy wysiadziemy, ty łgarzu.

- Czy czujesz, jak puszcza ci szyja? - zapytał Johnny z szelmowskim uśmiechem.

- Ach, ty kłamczuchu!

Wirowali szybciej i szybciej, a kiedy przemknęli koło operatora po raz któryś - dziesiąty? piętnasty? - Johnny pocałował ją; wózek kręcił się, przyciskając do siebie ich usta, i czynił pocałunek gorętszym, bardziej podniecającym, bardziej gwałtownym. A później karuzela zaczęła zwalniać, stuk łańcucha ucichł i chwiejny wózek powoli, niechętnie, stanął.

Wysiedli. Sara złapała go za kark.

- Maleńkie pęknięcie, ośle - szepnęła.

Właśnie mijają ich gruba kobieta w luźnych niebieskich spodniach i butach na płaskim obcasie. Wskazując kciukiem Sarę, Johnny powiedział:

- Proszę pani, ta dziewczyna mnie napastuje. Gdyby spotkała pani policjanta, proszę go powiadomić, dobrze?

- Wy młodzi myślicie, że jesteście tacy mądrzy. - Gruba kobieta wzgardliwie wzruszyła ramionami. Potoczyła się w stronę namiotu do gry w bingo, mocniej niż do tej pory ściskając pod pachą torebkę. Sara nie mogła opanować śmiechu.

- Jesteś niemożliwy.

- I źle skończę - zgodził się Johnny. - Mama zawsze mi to powtarzała.

Szli ramię przy ramieniu wśród stoisk, czekając, kiedy świat przed ich oczami i u ich stóp przestanie się niespokojnie poruszać.

- Twoja mama jest bardzo religijna, prawda? - zapytała Sara.

- Stuprocentowa baptystka - rzekł Johnny. - Ale jest w porządku. Panuje nad sobą. Kiedy przyjeżdżam do domu, nie może się powstrzymać, by nie podsunąć mi paru rozpraw, taką ma już naturę. Tata i ja pogodziliśmy się z tym. Kiedyś dowcipkowałem sobie z niej - pytałem, z kim Kain miał mieszkać w Nod, jeśli jego tata i mama byli pierwszymi ludźmi na ziemi, i tak dalej - ale doszedłem do wniosku, że to zbyt złośliwe, i dałem sobie spokój. Dwa lata temu myślałem, że Eugene McCarthy może zbawić świat, a u baptystów przynajmniej Chrystus nie kandyduje na prezydenta.

- Twój ojciec nie jest religijny? Johnny roześmiał się.

- Nic o tym nie wiem, ale na pewno nie jest baptystą. - I po chwili namysłu dodał: - Jest cieślą - jakby to wszystko wyjaśniało. Sara uśmiechnęła się.

- A co by powiedziała twoja mama, gdyby wiedziała, że spotykasz się z upadłą katoliczką?

- Poprosiłaby, żebym zaprosił cię do domu - odpowiedział natychmiast Johnny. - Żeby mogła ci podrzucić kilka rozpraw. Stanęli, ciągle trzymając się za ręce.

- A chciałbyś zabrać mnie do domu? - zapytała, przyglądając mu się uważnie.

Długa, sympatyczna twarz Johnny'ego pozostała poważna.

- Tak. Chciałbym, żebyś ich poznała.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz dlaczego - rzekł cicho.

Serce Sary przepełniła radość. Mocno ścisnęła jego rękę.

- Och, Johnny, tak cię lubię.

- A ja więcej niż lubię - odpowiedział poważnie.

- Zabierz mnie na diabelski młyn - rozkazała nagle, szczęśliwa i uśmiechnięta. Nie będzie więcej o tym rozmawiać, póki nie znajdzie szansy, by spokojnie pomyśleć, odkryć, do czego to może prowadzić. - Chcę się wznieść wysoko, żeby zobaczyć całą okolicę.

- Mogę cię na górze pocałować?
- Nawet dwa razy. Jeśli będziesz wystarczająco szybki. Dał się doprowadzić do biletera i oddał mu drugą dolarówkę.
- Kiedy byłem w liceum, znałem jednego dzieciaka pracującego w lunaparku i ten dzieciak opowiadał mi, jak to operatorzy diabelskich młynów są przeważnie pijani w trupa i zostawiają mnóstwo różności...
- Idź do diabła - przerwała mu Sara pogodnie. - Nikt nie żyje wiecznie.
- Ale każdy próbuje, zauważyłaś to - stwierdził Johnny, wsiadając za nią do kołyszącej się gondoli.
Na górze całował ją kilka razy; październikowy wiatr rozwiewał im włosy, a pod nimi rozciągało się wesołe miasteczko, świecąc w ciemności jak tarcza zegara.

4

Po diabelskim młynie poszli na zwykłą karuzelę, chociaż Johnny powiedział jej zgodnie z prawdą, że czuje się jak końska dupa. Ze swoimi długimi nogami mógł dosłownie stać okrakiem nad każdym z gipsowych koni. Sara odparła na to złośliwie, że w jej liceum była pewna dziewczyna, która miała słabe serce, tylko nikt nie w i e d z i a ł, że ma słabe serce, i ta dziewczyna poszła ze swoim chłopakiem na karuzelę, i...

- Któregoś dnia pożałujesz - ostrzegł ją Johnny najzupełniej szczerze. - Przyjaźń oparta na kłamstwie nie prowadzi do niczego.

Pocałowała go bardzo mocno.

Po karuzeli odwiedzili gabinet luster - i był to bardzo dobry gabinet luster. Sarze przypominał *Something Wicked This Way Comes*; u Bradbury'ego mała staruszka, nauczycielka, omal nie zgubiła się w takim gabinecie. Widziała Johnny'ego, spacerującego po którejś z sal, jak do niej macha. Kilkunastu Johnnych, kilkanaście Sar. Mijali się wzajemnie, pojawiali się, znikali. Skręciła kilka razy w lewo, potem kilka razy w prawo, uderzyła nosem w przezroczystą szybę i wybuchnęła nerwowym śmiechem. Reakcja klaustrofobiczna. Jedno z luster zmieniło ją w przysadzistego tolkienowskiego krasnoluda, inne w apoteozę smukłej nastolatki o półkilometrowych nogach.

W końcu wyszli na dwór. Johnny kupił dwa hot-dogi i ociekające tłuszczem frytki.

Minęli sex-bar. Przed wejściem stały trzy dziewczyny ubrane w spódniczki i biustonosze naszywane cekinami. Poruszały się w rytm starej melodii Jerry Lee Lewisa, podczas gdy naganiacz zachwalał je przez głośnik: „Chodź no tu, mały”; Jerry Lee hałasował, dźwięk jego pianina niósł się i odbijał od wysypanych trocinami desek. „Chodź no tu, mały, złap byka za rogi, my nic nie ukrywamy i nikt niczego przed tobą nie zasłoni...”

- Klub Playboy - zdumiał się Johnny i zaraz roześmiał. - Coś takiego mieliśmy w Harrison Beach. Naganiacz przysięgał, że dziewczyny mogą sprzątnąć ci okulary z nosa z rękami zawiązanymi na plecach.

- Interesujący sposób na nabawienie się wstydlivej choroby

- stwierdziła Sara i Johnny ryknął śmiechem.

Za ich plecami wzmocniony głos naganiacza cichł w dali wraz z rytmicznymi tonami pianina Jerry Lewisa. „Panowie, chodźcie no do nas, chodźcie do nas, nie macie się czego wstydzić, skoro dziewczyny niczego się nie wstydzą, niczego, ale to niczego! Tu w środku jest wszystko. Dowiedziecie się wszystkiego dopiero wtedy, kiedy odwiedzicie Klub Playboy...”

- Nie masz zamiaru wrócić i dowiedzieć się wszystkiego? Johnny uśmiechnął się.

- Magisterium z tego przedmiotu otrzymałem już jakiś czas temu. Myślę, że chyba mogę jeszcze trochę poczekać na doktorat. Sara zerknęła na zegarek.

- Jej, Johnny, robi się późno. A jutro idziemy do pracy.

- Racja, ale przynajmniej to piątek.

Westchnęła, myśląc o klubie dyskusyjnym na piątej lekcji i o zajęciach z poezji na lekcji siódmej. Sami awanturnicy.

Powoli wracali - tłum zmniejszył się wyraźnie. Beczka śmiechu była już zamknięta. Dwaj robotnicy, z przyklejonymi do warg papierosami bez filtra, przykrywali brezentem kolejkę górską. Mężczyzna obsługujący strzelnicę właśnie gasił światła.

- Co robisz w sobotę? - zapytał Johnny, nagle onieśmielony.

- Wiem, że to już pojutrze, ale...
- Mam pewne plany - odpowiedziała.
- Och!

Nie mogła znieść tego, jaki jest przygnębiony; nie powinna tak z niego żartować.

- Mam zamiar spotkać się z tobą.
- Naprawdę? Rany, jak fajnie. - Johnny uśmiechnął się. Odpowiedziała mu uśmiechem. Głos z głębi jej głowy, czasami tak rzeczywisty, jakby mówił człowiek stojący tuż obok niej, odezwał się nagle.

Znów czujesz się dobrze, Saro. Czujesz się szczęśliwa. Czy to nie wspaniale?

- Tak, bardzo fajnie - powtórzyła, wspięła się na palce i szybko pocałowała Johnny'ego. Zmusiła się, by mówić prędko, nim się wystraszy. - Czasami czuję cię bardzo samotna w Veazie, wiesz? Myślałam, że moglibyśmy... moglibyśmy spędzić razem noc.

Johnny popatrzył na nią przyjaznym wzrokiem; w jego spojrzeniu było wahanie, które spowodowało, że gdzieś głęboko w środku poczuła drżenie.

- Czy tego właśnie chcesz, Saro? Skinęła głową.
- Bardzo.
- W porządku - odpowiedział i otoczył ją ramieniem.
- Jesteś pewien? - zapytała, trochę zawstydzona.
- Tylko boję się, że zmienisz zdanie.
- Nie zmienię.

Johnny przytulił ją mocniej.

- A więc to mój szczęśliwy wieczór.

Kiedy to mówił, mijali właśnie koło fortuny; później Sara pamiętała, że była to ostatnia otwarta budka na przestrzeni trzydziestu metrów, licząc w obie strony. Stojący za kontuarem mężczyzna zamiatał właśnie podłogę, szukając drobnych, które mogły spaść tam w ciągu wieczora. Pewnie zawsze to robi przed zamknięciem, pomyślała wtedy. Za nim wisiało wielkie koło ze szprychami, oświetlone małymi elektrycznymi żarówkami. Mężczyzna musiał usłyszeć słowa Johnny'ego, ponieważ odezwał się natychmiast; oczy miał opuszczone, bowiem ciągle wypatrywał błysku monet w brudzie podłogi.

- Hej, hej, hej, jeśli czujesz zapach szczęścia, kolego, obróć kołem fortuny, przemień centy w dolce. Szczęście zaklęte jest w koło, spróbuj szczęścia, małą dziesiątką wprawisz w ruch koło fortuny. Johnny obrócił się w kierunku głosu.

- Co?- spytała.

- Czuję zapach szczęścia, właśnie tak, jak powiedział ten gość. - Johnny uśmiechnął się. - Chyba że...

- Nie, zagraj. Tylko szybko.

Jeszcze raz spojrział na nią tym szczerym wzrokiem i Sara znów poczuła się słabo; zastanawiała się, jaka będzie ta ich wspólna noc. Jej żołądek wykonał powolne salto, poczuła słabe mdłości - efekt wielkiej seksualnej tęsknoty.

- Nie, to nie potrwa długo. - Johnny spojrział na człowieka przy kole. Wokół nich było niemal całkiem pusto; chmury rozeszły się i zrobiło się chłodniej. Wszyscy troje wydmuchiwali z ust obłoczki białej pary.

- Szanowny pan życzy sobie spróbować szczęścia?
- Tak.

W momencie wejścia na teren lunaparku Johnny przelożył wszystkie pieniądze do bocznej kieszeni spodni i teraz wyciągnął z niej to, co pozostało z ośmiu dolarów. Miał przy sobie dolara i osiemdziesiąt pięć centów.

Przy kole fortuny zakłady robiono na kawałku żółtego plastyku podzielonego na kwadraty, na których wypisano numery i różnice między stawkami. Wyglądało to trochę jak przy stole do ruletki, lecz Johnny natychmiast zauważył, że szansę zwycięstwa na kole przyprawiłyby gracza w ruletkę o zadyszkę. Za serię płacono tylko dwa do jednego. Były dwa numery przegrywające, zero i podwójne zero. Powiedział o tym właścicielowi, który wzruszył ramionami.

- Jak pan chce Vegas, niech pan jedzie do Vegas. Co mam panu powiedzieć?

Lecz tego wieczora nic nie było w stanie zepsuć Johnny'emu humoru. Zaczęło się nieszczęśliwie, od maski, lecz później miał już z górki. W rzeczywistości nie pamiętał miłszego wieczora, może

nawet nic takiego nie przytrafiło mu się w życiu? Spojrzał na Sarę. Policzki miała zaczerwienione, oczy jej błyszczały.

- I co ty na to?

- Dla mnie to czarna magia. Co tu się robi?

- Gra na numer. Albo na czerwone lub czarne. Albo na parzyste - nieparzyste. Albo na dziesięcionumerową serię. Wyplaty są różne. - Spojrzał na mężczyznę, który odpowiedział mu nieodgadnionym spojrzeniem. - A w każdym razie powinny być.

- Zagraj na czarne - powiedziała Sara. - To takie podniecające, prawda?

- Czarne - powtórzył Johnny i rzucił dziesiątkę na czarny kwadrat.

Właściciel zerknął na żółty plastik, na którym leżała samotna dziesiątka, westchnął: „ale zakład” i obrócił się w stronę koła.

Dłoń Johnny'ego powędrowała machinalnie do czoła i dotknęła go.

- Zaraz - powiedział gwałtownie i postawił ćwierćdolarówkę na kwadracie oznaczonym „jedenaście-dwadzieścia”.

- Już?

- Tak.

Właściciel zakręcił i koło zawirowało w obręczy świateł, czerń i czerwień zmieszały się nie do rozpoznania. Johnny bezmyślnie pocierał czoło. Koło zwalniało już i teraz usłyszeli suche tykanie - drewniana zapadka ślizgała się po kółkach oddzielających numery. Minęła ósemkę i dziewiątkę, niemal zatrzymała się na dziesiątkę, z ostatnim łknięciem wskazała jedenastkę i znieruchomiła.

- Pani przegrywa, pan wygrywa - oznajmił właściciel.

- Wygrałeś, Johnny?

- Na to wygląda - odparł, gdy przy jego ćwierćdolarówce pojawiły się dwie dalsze. Sara pisnęła cicho; nawet nie zauważyła, jak znika jej dziesiątka.

- Mówiłem ci, to mój szczęśliwy wieczór.

- Raz to tylko żart, dwa razy to fart - zauważył mężczyzna. - Hej, hej, hej!

- Spróbuj jeszcze raz, Johnny.

- W porządku. Jeśli tylko wygram.

- Mam zakręcić?

- Jasne.

Właściciel ponownie zakręcił kołem i kiedy się obracało, Sara szepnęła:

- Czy to nie o tych kołach mówią, że są lewe?

- Kiedyś tak. Teraz sprawdzają je inspektorzy stanow, więc nie powinno być żadnych kantów.

Koło zwolniło, cykało powoli. Zapadka minęła dziesiątkę i Johnny zaczął wygrywać.

- No jeszcze, jeszcze - krzyknęła Sara. Kilku nastolatków wędrujących w stronę wyjścia zatrzymało się, by popatrzeć.

Zapadka postukiwała już bardzo leniwie. Minęła szesnastkę, siedemnastkę - i zatrzymała się na osiemnastce.

- Pan wygrał znowu - oznajmił mężczyzna, dokładając sześć nowych ćwierćdolarówek do należącej do Johnny'ego kupki monet.

- Jesteś bogaty! - Sara rozpromieniła się i pocałowała go w policzek.

- Masz szczęście, bracie! - zachwycił się właściciel. - Nikt nie rzuca szczęścia! Hej, hej, hej.

- Zagrać jeszcze?

- A czemu by nie - odpowiedziała mu Sara.

- Jasne, bracie, graj - zawtórował jej jeden z nastolatków. Ze znaczka na jego kurtce spoglądał Jimi Hendrix. - Ten facet orznął mnie dziś na cztery dolce. Chciałbym zobaczyć, jak dostaje w tyłek.

- Ty też zagraj, Saro - powiedział Johnny i dał dziewczynie jedną z monet. Wahała się przez chwilę, nim położyła ją na numerze dwadzieścia jeden. Na żółtym plastyku widniała informacja, że pojedyncze numery wygrywają dziesięć do jednego.

- Pan zostaje przy środkowych numerach, co?

Johnny spojrział na osiem ćwierćdolarówek leżących na plastyku i nagle zaczął znów pocierać czoło, jakby czuł nadchodzący ból głowy. Gwałtownym ruchem zsunął pieniądze z kontuaru i stał, potrząsając nimi w złożonych dłoniach.

- Nie. Zagra tylko pani. Chcę na to popatrzeć. Sara przyjrzała mu się, zaskoczona.

- Johnny? Wzruszył ramionami.

- Mam takie przecucie...

- Właściciel przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „Boże, daj mi cierpliwość, bym zniósł tych wszystkich durniów”,
i po raz kolejny zakręcił kołem. Zawirowało, zwolniło, stanęło. Na podwójnym zerze.

- Przegrywający, przegrywający - zaśpiewał mężczyzna i ćwierćdolarówka zginęła w kieszeni jego fartucha.

- Czy to w porządku, Johnny? - zapytała urażona Sara.

- Zero i podwójne zero zawsze przegrywają - wytłumaczył jej Johnny.

- Więc zrobiłeś bardzo mądrze, że zabrałeś pieniądze?

- Chyba tak.

- Mam zakręcić kołem czy zaparzyć kawę?

- Zakręć pan - powiedział Johnny i położył monety, w dwóch kupkach po cztery, na kwadracie oznaczającym dwadzieścia jeden do trzydziestki.

Koło zakręciło się, błyskając światłem, a Sara, nie odrywając od niego oczu, zapytała Johnny'ego:

- Ile można na czymś takim zarobić przez jeden wieczór?

Do nastolatków dołączyła czwórka starszych ludzi, dwie kobiety i dwaj mężczyźni. Mężczyzna, wyglądający jak robotnik budowlany, powiedział:

- Gdzieś między pięćset a siedemset dolarów. Właściciel znów przewrócił oczami.

- Panie, chciałbym, żebyś pan miał rację.

- Hej, nie gadaj bzdur - upomniał go mężczyzna. - Jakieś dwadzieścia lat temu sam robiłem ten kant. Pięćset do siedemset za wieczór i to bez majstrowania przy kole.

Johnny wpatrywał się w koło, wirujące już wystarczająco wolno, by można było odczytać poszczególne numery. Przemknęło zero i podwójne zero, przemknęły jedyńki, pojawiły się dwójki. Koło nadal zwalniało.

- Za szybko, człowieku - odezwał się jeden z nastolatków.

- Zaczekaj - odpowiedział mu Johnny szczególnym tonem. Sara spojrzała na niego - jego długa, miła twarz była dziwnie napięta; oczy miał ciemniejsze niż zazwyczaj, nieobecne, odległe.

Zapadka dotarła do trzydziestki i znieruchomiła.

- Wygrana, wygrana - zakomunikował z rezygnacją właściciel, a tłum wznosił radosny okrzyk. Mężczyzna, który wyglądał jak robotnik budowlany, klepnął Johnny'ego po plecach wy-
starczająco mocno, by Johnny się zatoczył. Właściciel sięgnął pod ladę i wyjął z pudełka cztery dolary, i położył je przy ośmiu ćwiartkach.

- Wystarczy? - zapytała Sara.

- Jeszcze raz. Jeśli wygram, ten facet zapłaci za wieczór i twoją benzynę. Jeśli przegram, będziemy do tyłu o jakieś pół dolara.

- Hej, hej, hej - zaśpiewał właściciel. Rozjaśnił się nagle i złapał właściwy rytm. - Połóżcie je, gdzie chcecie. Wszyscy krok do przodu! To nie zawody w oglądaniu. W koło zakręci się koło, a gdzie się zatrzyma, nie powie nikomu!

Mężczyzna, który wyglądał jak robotnik budowlany, i dwójka nastolatków stanęli koło Johnny'ego i Sary. Po krótkiej kłótni chłopcy uzbierali wspólnie pięćdziesiąt centów i obstawili dwudziestki. Mężczyzna wyglądający na robotnika budowlanego, który przedstawił się jako Steve Bernhardt, położył dolara na PARZYSTE.

- A ty, kolego? - zapytał właściciel Johnny'ego. - Mam je zostawić, gdzie leżą?

- Tak.

- Człowieku - stwierdził jeden z nastolatków - kuszysz los.

- Chyba tak - przytaknął Johnny i Sara uśmiechnęła się do niego.

Bernhardt przyjrzał się z namysłem i nagle przesunął swoje pieniądze na środkowe. „Co, do diabła!” - westchnął nastolatek, który przedtem powiedział, że Johnny kusi los, i przesunął należące do niego i kolegi pięćdziesiąt centów w to samo miejsce.

- Wszystkie jajka w jednym koszyku? - zdziwił się właściciel. - Tego chcecie?

Gracze stali w milczeniu - cisza była potwierdzeniem. Dołączyło do nich kilku miejscowych robotników, jeden z nich z dziewczyną; w mroku, przed budką, zebrał się całkiem spory tłumek. Właściciel mocno zakręcił kołem; dwanaście par oczu śledziło obroty. Sara zorientowała się, że znów patrzy na Johnny'ego i myśli o tym, jak dziwnie wygląda jego twarz w tym ostrym, lecz jakby nierzeczywistym świetle. Po raz kolejny pomyślała o masce: Jekyll i Hyde, parzyste - nieparzyste.

Żołądek znów dał znać o sobie, poczuła mdłości. Koło zwolniło, usłyszeli stuk zapadki. Chłopcy zaczęli krzyżeć, jakby nie chcieli pozwolić mu się zatrzymać.

- Jeszcze trochę, dziecinko - wołał pieszczotliwie Steve Bernhardt. - Jeszcze trochę, słoneczko.

Koło wskazało dwudziestki i zatrzymało się na dwudziestce czwórce. Tłumek wiwatował.

- Johnny, udało ci się, udało! - krzyknęła Sara.

Właściciel z dezaprobatą syknął przez zęby i wypłacił stawki. Dolara dla nastolatków, dwa dolary dla Bernhardta, dziesiątkę i dwie jednodolarówki dla Johnny'ego. Johnny miał teraz przed sobą osiemnaście dolarów.

- Wygrana, wygrana, hej, hej, hej! Jeszcze raz, przyjacielu. Koło ci dzisiaj sprzyja! Spojrzał na Sarę.
- Ty decydujesz - powiedziała, ale nagle znów poczuła się niewyraźnie.
- Graj, człowieku - zachęcił go nastolatek za znacznikiem przypiętym do kurtki. - M a r z ę, żeby zobaczyć, jak ten gość dostaje w tyłek.
- W porządku - zgodził się Johnny. - Ostatni raz.
- Postaw, na co chcesz.

Wszyscy patrzyli na Johnny'ego, który stał przez chwilę zamyślony, pocierając czoło. Jego pogodna zazwyczaj twarz była nieruchoma, poważna, skupiona. Spoglądał na oświetlone koło, a jego palce nieprzerwanie pocierały gładką skórę nad prawym okiem.

- Niech zostaną - odezwał się w końcu.

Tłum odpowiedział mu pełnym powątpiewania szmerem.

- Och, człowieku, teraz już rzeczywiście kusisz los.
- Facet wygrywa - odezwał się Bernhardt głosem pełnym przekonania. Spojrzał przez ramię na żonę. Wzruszyła ramionami, dając mu do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co chodzi. - Trzymam z tobą i niech to diabli!

Nastolatek zerknął na przyjaciela, który też wzruszył ramionami i skinął głową.

- W porządku - powiedział do właściciela. - Trzymamy z nim.

Koło zakręciło się. Sara usłyszała, jak za jej plecami jeden z miejscowych robotników postawił pięć dolców przeciw serii, która miała powtórzyć się po raz trzeci. Jej żołądek wykonał kolejne salto, ale tym razem nie zatrzymał się, tylko kręcił dalej, i Sara zdała sobie sprawę, że jest chora. Na twarz wystąpił jej zimny pot.

Koło zaczęło zwalniać przy serii pierwszej i jeden z nastolatków splunął z obrzydzenia, lecz nie odchodził. Właściciel wyglądał na uszczęśliwionego. Stuk, stuk, stuk, czternastka, piętnastka, szesnastka.

- Przechodzi - powiedział Bernhardt. W jego głosie był strach. Właściciel patrzył na koło, jakby żałował, że nie może wyciągnąć ręki i po prostu je zatrzymać. Koło tymczasem przeskoczyło dwudziestkę i zatrzymało się na dwudziestce dwójce.

Tłumek, który tymczasem rozrósł się do dwudziestu osób, wydał z siebie kolejny okrzyk triumfu. Wyglądało na to, że przybyli tu wszyscy ludzie, którzy pozostali na jarmarku. Sara usłyszała, jak miejscowy robotnik, który przegrał, płaci, mrużąc: „pieprzone szczęście”. W głowie jej pulsowało. Nogi nagle ugięły się pod nią; drżące mięśnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Kilka razy gwałtownie zamrugwała oczami i w nagrodę za te wysiłki zakręciło się jej w głowie. Miała wrażenie, że świat wiruje wokół, jakby ciągle siedzieli na karuzeli.

Zjadłam nieświeżego hot-doga, pomyślała przygnębiona. Taka jest cena kuszenia losu na wiejskim jarmarku.

- Hej, hej, hej! - Właściciel bez wielkiego entuzjazmu wypłacił wygrane. Dwa dolary nastolatkom, cztery Steve'owi Bernhardtowi i plik banknotów Johnny'emu: trzy dziesiątki, piątkę i jedynekę. Płacił bez entuzjazmu, ale był optymistą. Jeśli ten wysoki, chudy mężczyzna z ładną blondynką jeszcze raz obstawi trzecią serię, wypłacone pieniądze na pewno do niego wrócą. Pieniądze nie należą do chudzielca, dopóki je stawia. A jeśli odejdzie? Cóż, ten dzień przyniósł mu tysiąc dolców, więc stać go na te parę wieczornych wypłat. A poza tym w świat pójdzie wieść, że Sol Drummore wypłacił kupę forsy, i jutro zakłady będą większe niż kiedykolwiek. Zwycięzca to dobra reklama.
- Połóż je, gdzie chcesz je mieć - zaśpiewał. Kilka osób zbliżyło się i wyłożyło na ladę dziesiątki i ćwiartki, lecz właściciel patrzył tylko na gracza z pieniędzmi.
- I co powiesz, przyjacielu? Zaryzykujesz? Johnny obejrzał się na Sarę.

- I co ty na to... dobrze się czujesz? Jesteś biała jak papier.

- To żołądek - powiedziała i zmusiła się do uśmiechu. - Chyba przez hot-doga. Czy możemy już jechać do domu?

- Jasne, oczywiście. - Zbierał z lady kupkę pogniecionych banknotów, kiedy jego wzrok znów padł na koło. Troska o dziewczynę znikła z jego oczu; ściemniały, zrobiły się chłodne, kalkulujące. „Patrzy na koło tak jak mały chłopak na odkryte przez siebie mrowisko” - pomyślała.

- Jeszcze minutkę - poprosił.

- Jasne - odparła. Ale teraz na dodatek w dole brzucha usłyszała burczenie, które wcale się jej nie podobało. Tylko nie rozwolnienie, Boże. Proszę.

Nie będzie szczęśliwy, póki wszystkiego nie straci. Ale on nie straci.

- Zdecydowałaś się, kolego? - zapytał właściciel. - Grasz czy nie?

- W dupę czy po dupie - powiedział jeden z miejscowych robotników. Odpowiedział mu nerwowy śmiech. Sarze coraz bardziej kręciło się w głowie.

Johnny przesunął nagle banknoty i drobne w róg żółtej płyty.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknął właściciel, wielce zdumiony.

- Stawiam wszystko na dziesięć. Sara miała ochotę jęknąć i przygryzła język. Z tłumku rozległ się pomruk.

- Nie nadużywaj szczęścia - szepnął Steve Bernhardt w ucho Johnny'ego. Lecz Johnny nie odpowiedział. Patrzył na koło, jakby już go nie interesowało. Oczy miał prawie fioletowe.

Nagle rozległo się dzwonienie i Sara myślała najpierw, że to dzwoni w jej uszach. Później zauważyła, że ludzie szybko zabierają pieniądze, tak że na planszy zostały tylko Johnny'ego.

Nie! Miała ochotę krzyczeć. Nie tak. Nie zostawiajcie go samego, to n i e w p o r z ą d k u...

Przygryzła wargi. Miała wrażenie, że jeśli otworzy usta, zwymiotuje. Brzuch bardzo ją bolał.

Pieniądze, które wygrał Johnny, leżały samotne pod światłem nagich żarówek. Pięćdziesiąt cztery dolary, a pojedyncze numery wygrywały dziesięć do jednego.

Właściciel oblizwał wargi.

- Proszę pana, prawo zabrania przyjmowania zakładów ponad dwa dolary na pojedynczy numer.

- Daj pan spokój - warknął Bernhardt. - Prawo zabrania przyjmowania więcej niż dziesięć dolarów na serię, a pan właśnie pozwolił mu postawić osiemnaście. Co jest? Jaja się poca?

- Nie, tylko...

- No, już - powiedział nagle Johnny. - Tak albo tak. Moja dziewczyna źle się czuje.

Właściciel spojrzął na tłum. Ludzie przyglądali mu się z wrogością. Niedobrze. Nie rozumieli, że facet właśnie wyrzuca pieniądze w błoto, a on tylko usiłuje go przed tym powstrzymać. Pieprzyć ich. I tak, i tak to się im nie spodoba. Niech facet albo stanie na głowie, albo straci forszę, to będzie można zamknąć interes na noc.

- Cóż, chyba żaden z was nie jest inspektorem... - Odwrócił się w stronę gry. - Koło zakręci się w koło, a gdzie się zatrzyma, nie powie nikomu.

Zakręcił i numery zlały się w jedną linię. Przez długą chwilę panowała cisza, zakłócana tylko szumem obracającego się koła, trzaskiem szarpanego wiatrem kawałka płótna i pulsowaniem w głowie Sary. Dziewczyna w milczeniu błagała Johnny'ego, by ją objął, lecz on stał nieruchomo, opierając się rękami o ladę, i nie odwracał oczu od koła, które najwyraźniej miało zamiar obracać się w nieskończoność.

W końcu jednak zwolniło i była już w stanie przeczytać kolejne numery. Zobaczyła dziesięć - jedynek i dziewiątek namalowane jaskrawoczerwoną farbą na czarnym tle. W dół i w górę, w dół i w górę. Cichy szum zmienił się w stuk, słyszalny wyraźnie wśród ogólnego milczenia.

Teraz już numery przemykały pod zapadką powoli, z namysłem.

Jeden z miejscowych robotników krzyknął zdumiony:

- Jezu, w każdym razie będzie blisko!

Johnny stał bez ruchu i spokojnie przyglądał się kołu. Teraz wydawało się jej (choć mogła to być wina choroby - przelewający się w jej brzuchu powolnymi falami ból nie ustawał), że oczy ma prawie czarne. Jekyll i Hyde, pomyślała i nagle, bez przyczyny, przeraziła się go.

Stuk, stuk, stuk.

Zapadka wkroczyła w drugą serię, minęła piętnastkę i szesnastkę, prześlizgnęła się nad siedemnastką i, po chwileczce zawahania, także nad osiemnastką. W końcu ze stukiem opadła na

dziewiętnastkę. Ludzie wstrzymali oddechy. Koło obracało się powolutku, zapadka zawisła na końcu szprychy oddzielającej dziewiętnastkę od dwudziestki. Przez ćwierć sekundy wydawało się, że mały występ jej nie zatrzyma, że słabnący ruch przeniesie ją na pole oznaczone numerem dwadzieścia. A później koło stanęło, cofnęło się lekko i znieruchomiło.

Tłum milczał.

- Proszę pana, właśnie wygrał pan pięćset czterdzieści dolarów - Głos któregoś z chłopców.

- Nigdy nie widziałem niczego takiego. Nigdy. - Steve Bernhardt.

Tłum wrzasnął jak jeden człowiek. Poklepywano Johnny'ego po plecach, poszturchiwano. Ludzie przepychali się obok Sary, żeby się do niego dostać, żeby go dotknąć; rozdzielili ich na chwilę i dziewczyna wpadła w panikę. Była słaba, jej żołądek wyprawiał dziwne harce, popychali ją tu i tam. Pod powiekami miała ciągle obraz czarnego, wirującego koła.

W chwilę później Johnny pojawił się obok niej; dostrzegła -i ucieszyła się z tego słabiutko - że to prawdziwy Johnny, a nie nieruchomy manekin, wpatrujący się w ostatnie obroty koła. Był zmieszany i bardzo zatroskany.

- Mała, strasznie cię przepraszam - powiedział. Pokochała go za to.

- Wszystko w porządku - odparła, nie wiedząc, czy mówi prawdę.

Właściciel odchrząknął.

- Zamknięte - oznajmił. - Zamknięte.

Odpowiedział mu przyzwalający, niecierpliwy pomruk tłumu.

Spojrzał na Johnny'ego.

- Będę musiał dać ci czek, młodzieńcze. Nie trzymam przy sobie takiej gotówki.

- Dobrze, doskonale. Tylko szybko. Pani bardzo źle się czuje.

- Pewnie, czek - wtrącił Steve Bernhardt. W jego głosie brzmiała straszliwa pogarda. - Wypisze ci miliony i pojedzie na wakacje na Florydę.

- Szanowny panie, upewniam pana...

- Ty, idź upewnij matkę, może ci uwierzy. - Bernhardt sięgnął nagle ponad kontuarem i zaczął pod nim macać.

- Hej! - krzyknął właściciel. - To napad. Tłum nie wydawał się przejęty jego wrzaskiem.

- Proszę - szepnęła Sara. Było jej niedobrze.

- Pieniądze mnie nie obchodzą - oznajmił Johnny. - Puśćcie nas, proszę. Ta pani jest chora.

- Człowieku- zdumiał się nastolatek ze znaczkiem z twarzą Jimiego Hendrixa, ale i on, i jego przyjaciel odsunęli się niechętnie.

- Nie, Johnny - powiedziała Sara, choć teraz powstrzymywała mdłości już tylko siłą woli. - Weź pieniądze. - Na pięćset dolarów musiał pracować trzy tygodnie.

- Płać, ty marny oszuście! - wrzasnął Steve Bernhardt. Zza lady wyciągnął pudełko od cygar, odsunął je na bok, nawet nie patrząc, pogrzebał głębiej i tym razem wyłowił stalową kasetkę, pomalowaną na zielono. Walnął nią w kontuar. - Jeśli nie ma tu pięciuset czterdziestu dolców, zjem własną kurtkę na oczach tych ludzi. - Twarda, wielka ręka spadła na ramię Johnny'ego. - Tylko zaczekaj, synku. Dostaniesz swoją wypłatę, albo nie nazywam się Steve Bernhardt.

- Proszę pana, naprawdę, nie mam tyle...

- Płacisz - powiedział Steve Bernhardt, pochylając się ku właścicielowi - albo odbiorą ci licencję. Mówię poważnie, nie żartuję.

Właściciel westchnął i wsadził rękę za koszulę. Kiedy ją wyjął, w dłoni trzymał klucz zawieszony na cienkim łańcuszku. Tłum zafalował. Sara nie wytrzymała. Zbierało się jej na wymioty. Zataczając się odskoczyła od Johnny'ego i zaczęła się przeciskać wśród ludzi.

- Stonko, dobrze się czujesz? - zapytała ją jakaś kobieta. Dziewczyna obrzuciła ją niewidzącym spojrzeniem.

- Sara! - krzyknął Johnny.

Nie ukryjesz się... przed Jekyll'em i Hyde'em - pomyślała bezwiednie. Wydawało się jej, że w czerni lunaparku świecąca maska wisi jej przed oczami. Przebiegła obok karuzeli. Trąciła ramieniem w jej maszt, zachwiała się, złapała go i zwymiotowała. Miała wrażenie, że w jej żołądek uderzyła wstrętna, oślizgła pieść, a całe ciało aż do pięt wywraca się jej na zewnątrz. Wymiotowała, póki miała czym.

Pachnę jak wata cukrowa, pomyślała i z jękiem zwymiotowała po raz drugi i trzeci. Przed oczami zatańczyły jej czarne plamki. Ostatni skurcz wydobył z niej tylko śluz i powietrze.

- Jej - powiedziała cicho i przytrzymała się cienkiego masztu, żeby nie upaść. Gdzieś z tyłu Johnny wykrzykiwał jej imię, ale jeszcze nie mogła, nie chciała mu odpowiedzieć. Powoli przychodziła do siebie i przez chwilę miała ochotę tak stać i gratulować sobie, że żyje, że przeżyła tę noc na jarmarku.

- Sara! Sara!

Splunęła dwukrotnie, żeby choć trochę oczyścić sobie usta.

- Tu jestem, Johnny.

Ominął karuzelę z gipsowymi końmi zamarzniętymi w pół skoku. Dostrzegła, że - nie zwracając na to żadnej uwagi - ściska w rękę zwitek zielonych banknotów.

- Dobrze się czujesz?

- Nie, ale już mi lepiej. Miałam torsje.

- O mój Boże! Chodźmy do domu. - Wziął ją delikatnie pod ramię.

- Odebrałeś wygraną.

Johnny zerknął na pieniądze i machinalnie wsadził je do kieszeni spodni.

- Tak. Może część, a może wszystko, nie wiem. Ten wielki gość je policzył.

Sara wyjęła z torby chusteczkę i wytarła nią usta. Łyk wody, pomyślała, sprzedalabym duszę diabłu za łyk wody.

- Lepiej uważaj - powiedziała - to kupa forsy.

- Znalezione pieniądze przynoszą pecha - odparł ponuro. - Jedno z przysłów matki. Ma ich miliony. I mordowałyby graczy.

- Stuprocentowa baptystka - stwierdziła Sara i nagle zadrżała.

- Co się stało?

- Dreszcze. Kiedy wsiądziemy do samochodu, masz włączyć ogrzewanie na maksimum i... O Boże, znowu!

Odwróciła się i z jękiem zwymiotowała śliną. Zatoczyła się. Przytrzymał ją łagodnie i stanowczo.

- Zdołasz dojść do samochodu?

- Tak. Już wszystko w porządku. - Ale bolała ją głowa, w ustach czuła wstrętny smak, a mięśnie pleców i żołądka były obolałe i napięte.

Szli wolno do wyjścia, deptając trociny, mijając zamknięte na noc i zawiązane namioty. Przed nimi przemknął jakiś cień i Johnny rozejrzał się gwałtownie dookoła, być może świadom tego, jak wiele ma przy sobie pieniędzy.

Z mroku wyłonił się jeden z chłopców; miał mniej więcej piętnaście lat. Uśmiechnął się do nich wstydliwie.

- Mam nadzieję - powiedział do Sary - że czuje się pani lepiej. To te hot-dogi. Łatwo trafić na nieświeżego.

- Uchch, proszę o tym nie wspominać.

- Pomóc panu zaprowadzić ją do samochodu? - zapytał chłopak.

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

- Jasne. I tak muszę się zmywać. - Lecz zatrzymał się jeszcze na chwilę i jego wstydlawy uśmiezek zmienił się szeroki, radosny grymas. - U w i e l b i a m patrzeć, jak tacy faceci dostają w tyłek.

Odbiegł i znikł w ciemności.

Mały, biały samochód Sary był ostatnim pojazdem na parkingu; drzemał pod jasnym światłem neonówek jak samotny, zapomniany szczeniak. Johnny otworzył drzwi od strony pasażera i dziewczyna wsiadła powoli, ostrożnie. Sam zajął miejsce za kierownicą. Włączył silnik.

- Zaczekamy parę minut, aż się nagrzej - zaproponował.

- Nie ma sensu. Teraz mi gorąco.

Przyjrzał się uważnie i zobaczył pot na jej twarzy.

- Może powinienem podwieźć cię na izbę przyjęć do Wschodniego? Jeśli to salmonella, mogą być kłopoty.

- Nie, już mi lepiej. Chcę jedynie dojechać do domu i iść spać. Rano obudzę się, żeby zadzwonić do szkoły, i wrócić do łóżka.

- Nie musisz wstawać do telefonu. Ja im powiem. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Naprawdę?

- Jasne.

Jechali w stronę autostrady.
- Przykro mi - powiedziała - ale nie mogę pojechać z tobą. Po prostu nie mogę, przysięgam.
- Nie twoja wina.
- Jasne. Zjadłam nieświeżego hot-doga. Pechowa Sara.
- Kocham cię, Saro - powiedział Johnny. A więc padło w końcu to słowo, nie sposób było je odwołać, wisiało między nimi w jadącym samochodzie i czekało, żeby ktoś coś z nim zrobił.
Sara zrobiła, co mogła.
- Dziękuję ci, Johnny.
Jechali dalej w przyjaznym milczeniu.

ROZDZIAŁ 2

1

Dochodziła północ, kiedy Johnny zakręcił na podjazd przed domem, w którym mieszkała Sara. Dziewczyna drzemała.

- Hej - powiedział, wyłączając silnik, i potrząsnął nią lekko. - Jesteśmy w domu.
- Aha... doskonale. - Wyprostowała się i ciałniej otuliła płaszczem.
- Jak się czujesz?
- Lepiej. Boli mnie żołądek i plecy, ale i tak czuję się o niebo lepiej. Johnny, jedź moim samochodem do Cleaves, dobrze?
- Nie. Raczej nie. Ktoś mógłby zobaczyć, jak przez całą noc stoi pod moim domem. Nie potrzebujemy takich plotek.
- Przecież miałam pojechać z tobą... Johnny uśmiechnął się.
- I to warte byłoby ryzyka, nawet gdybyśmy musieli przejść piechotą ostatnie trzy przecznice. A poza tym chciałbym, żebyś miała samochód; możesz przecież zmienić zdanie na temat szpitala.
- Nie zmienię.
- Ale mogłabyś. Pozwolisz, że wejdę i zadzwonię po taksówkę?
- Oczywiście.

Weszli do środka. Sara zdążyła włączyć światło, nim chwycił ją nowy atak dreszczy.
- Telefon jest w dużym pokoju. Ja włączę pod kołdrę. Pokój sprawiałby wrażenie koszar, gdyby nie wzorzyste zasłony - kwiaty w krzykliwych kolorach - i wiszące na ścianach plakaty: Dylan w Forest Hills, Baez w Carnegie Hall, Jefferson Airplane w Berkeley, Byrds w Cleveland.

Sara położyła się na kanapie i przykryła kołdrą aż po uszy. Johnny przyjrzał się jej z prawdziwą troską. Twarz miała białą jak papier, z wyjątkiem ciemnych kręgów pod oczami. Wyglądała, jakby nie mogła się utrzymać na nogach.

- Może powinienem zostać tu na noc? Na wypadek, gdyby coś się miało stać, na przykład...
- Na przykład pęknięcie kręgów szyjnych? - Próba żartu wypadła żałośnie.
- No, wiesz. Cokolwiek.

Zdecydowało złowrogie burczenie w żołądku. Miała zamiar zakończyć tę noc, śpiąc z Johnnym Smithem. To już nie nastąpi, lecz przecież nie musiała kończyć wspólnego wieczoru trzymana przez niego za głowę, wymiotując w toalecie; nie musiała biegać przy nim do łazienki i brać krople na żołądek.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - To tylko nieświeży hot-dog, Johnny. Równie dobrze ty mogłeś go zjeść. Zadzwoni do mnie jutro, na dużej przerwie.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?
- Jak najbardziej.

- Dobrze, mała. - Przestał się spierać, podniósł słuchawkę i zadzwonił po taksówkę. Sara zamknęła oczy, ukołysana i uspokojona brzmieniem jego głosu. Jedną z cech, które u niego lubiła, było to, że zawsze starał się postąpić właściwie, jak najlepiej, nie troszcząc się o żadne kretyńskie

konwenanse. Odpowiadało jej to. Była zbyt zmęczona i zbyt kiepsko się czuła, by bawić się w dobre maniery.

- Sprawa załatwiona. - Johnny odwiesił słuchawkę. - Przyjadą po mnie za pięć minut.
- Przynajmniej masz czym zapłacić. - Sara odpowiedziała mu uśmiechem.
- I starczy na bardzo dobry napiwek. - Johnny z powodzeniem naśladował gangstera z telewizyjnego serialu. Podszedł do kanapy, usiadł przy Sarze i wziął ją za rękę.
- Jak tyś to zrobił?
- Cooo...?
- Koło. Jak tyś to zrobił?
- Miałem szczęśliwą passę. Po prostu. - Sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Od czasu do czasu każdemu może dopisać szczęście - na wyścigach konnych, przy black jacku, nawet przy rzucaniu monetą.
- Nie.
- Co?
- Nie przypuszczam, by wszystkim zdarzała się od czasu do czasu taka seria. To było niesamowite. Ja... ja się nawet trochę bałam.
- Bałaś się?
- Tak.
- Johnny westchnął.
- Miewam przeczucia. Nic więcej. Od kiedy pamiętam, nawet jak byłem mały. I zawsze nieźle mi szło odszukiwanie rzeczy, które ktoś zgubił. Jak w szkole, z tą małą Lisa Schumann. Znasz ją, prawda?
- Mała, smutna szara myszka Lisa? - Sara uśmiechnęła się. - Wprowadza nieustanne zamieszanie na lekcjach podstaw biznesu.
- Zgubiła szkolny pierścionek i przysłała do mnie cała we łzach. Zapytałem, czy sprawdziła na najwyższej półce w szafce, z tyłu. Zgadywałem. Ale zgadłem.
- Zawsze ci się udaje?
- Johnny roześmiał się i potrząsnął głową.
- Prawie nigdy. - Uśmiech zaczął znikać. - Ale dziś to wszystko było dziwne, Saro. Miałem koło... - Zacisnął wolno pięści i spojrzał na nią. Zmarszczył czoło. - Miałem je w garści. I cholernie dziwnie mi się to kojarzy.
- Z czym?
- Guma - powiedział powoli. - Pałca się guma. Mróz. I lód. Czarny lód. To mi siedzi gdzieś w głowie. Jeden Bóg wie, czemu. I to złe przeczucie. Jakbym miał się czegoś strzec.
- Sara milczała. Przyglądała mu się tylko uważnie i po chwili Johnny rozchmurzył się.
- Ale teraz wszystko znikło. I pewnie nie miało żadnego znaczenia.
- W każdym razie zyskałeś pięćset dolarów.
- Johnny uśmiechnął się i skinął głową. Nie mówił nic więcej i Sara zaczęła, zasypiać. Była szczęśliwa, że ma go przy sobie. Oprzytomniała, kiedy pokój zalało światło reflektorów z podjazdu. Przyjechała taksówka.
- Zadzwoń - powiedział Johnny i delikatnie pocałował ją w usta. - Jesteś pewna, że nie chcesz mnie tu dzisiaj?
- Nagle nabrała ochoty na jego towarzystwo, ale potrząsnęła głową.
- Zadzwoń - poprosiła.
- Po trzeciej lekcji - obiecał. Podszedł do drzwi.
- Johnny? Odwrócił się.
- Kocham cię - powiedziała i jego twarz rozjaśniła się, jakby ktoś zapalił lampę. Posłał jej całusa.
- Pogadamy, jak się lepiej poczujesz. Skinęła głową. Ale miało minąć cztery i pół roku, nim znów mogła porozmawiać z Johnnym.

2

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym usiadł z przodu? -zapytał Johnny taksówkarza.
- Nie, jeśli nie uderzy pan kolanem w licznik. To delikatna rzecz.
- Johnny z pewnym wysiłkiem wsunął długie nogi pod licznik i zatrzasnął drzwiczki. Taksówkarz,

mężczyzna w średnim wieku, łysy i brzuchaty, złamał chorągiewkę. Samochód ruszył Flag Street.

- Dokąd?

- Cleaves Mills. Na głównej ulicy. Pokażę panu gdzie.

- To będzie licznik i pół - stwierdził taksówkarz. - Przykro mi o tym wspominać, ale nikogo tam nie złapię.

Johnny bezwiednie wymacał zwitek banknotów w kieszeni spodni. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miał przy sobie tyle gotówki. Tak, raz. Kupił kiedyś dwuletniego chevroleta za tysiąc dwieście dolarów. W banku, dla kaprysu, poprosił o gotówkę; chciał po prostu zobaczyć, jak wygląda tyle forsy. W końcu okazało się, że to nic wielkiego, ale zdumienie na twarzy sprzedawcy, kiedy wsadził mu do ręki dwanaście studolarowych banknotów, usprawiedliwiło wszystko. Lecz teraz pieniądze wcale nie poprawiły mu samopoczucia; czuł się niepewnie, a pamięć przywołała słowa matki: „Znalezione pieniądze przynoszą pecha”.

- Licznik i pół. W porządku.

- Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli - tłumaczył się kierowca. - Przyjechałem tak szybko, bo wezwali mnie na Ri-verside, a kiedy tam dojechałem, nikt się nie zgłosił.

- Doprawdy? - zapytał Johnny bez śladu zainteresowania. Za oknem taksówki przesuwały się ciemne domy.

Wygrał pięćset dolarów; nic podobnego nigdy mu się nie przytrafiło. Ślad zapachu palącej się gumy... wrażenie, że powtórnie przeżywa to, co zdarzyło się kiedyś, gdy był bardzo mały... i przecucie nadchodzącego nieszczęścia silniejsze niż wszystko dobre, co właśnie przeżył... te uczucia ciągle jeszcze w nim tkwiły.

- No, bo dzwonią pijaczki, a później zmieniają zdanie -stwierdził taksówkarz. - Cholerne pijaczki, nienawidzę ich. Dzwonią, a później myślą, że zdążą wypić jeszcze parę piw. Albo przepijają wszystkie pieniądze i kiedy wchodzę i wołam: „kto wzywał taksówkę”, nie chcą się zgłosić.

- Jasne - powiedział Johnny. Po lewej stronie płynęła rzeka Penobscot, ciemna i zanieczyszczona.

A do tego wszystkiego Sara zachorowała i powiedziała mu, że go kocha. Pewnie po prostu złapał ją w chwili słabości, lecz Boże! Jeżeli mówiła szczerze! Wpadł po uszy na pierwszej randce. To, a nie wygrana, było prawdziwym szczęściem. Lecz na myśl wracało mu ciągle koło i tym się niepokoił. Teraz, w ciemności wciąż widział, jak się obraca, słyszał coraz wolniejsze „stuk, stuk, stuk” zapadki o bolce przy numerach - jak coś, co słyszy się w złym śnie. Znalezione pieniądze przynoszą pecha.

Taksówkarz skręcił w drogę numer sześć. Nikt nie byłby w stanie przerwać mu monologu.

- Więc mówię mu: „Wsadź go sobie wiesz gdzie”. To znaczy, taki głupi cwaniak z tego dzieciaka, nie? Nie muszę wysłuchiwać tego gówna od nikogo, nawet od swojego syna. Jeżdżę

taksówką od dwudziestu sześciu lat. Sześć razy zatrzymywała mnie policja. Stłuczek nawet nie zliczę, chociaż nigdy nie miałem poważnego wypadku, za co wdzięczny jestem Marii matce Jezusa, świętemu Krzysztofowi i Bogu Ojcu Wszechmogącemu, wie pan, o co mi chodzi? I każdego tygodnia, niezależnie od tego, jak słaby był ten tydzień, odkładałem pięć dolców dla niego, na studia. Nawet kiedy był tylko gówniarzem ssącym smoczek. I po co to wszystko? Żeby wrócił do domu i pewnego pięknego dnia powiedział mi, że prezydent Stanów Zjednoczonych to świnia. Niech go cholera! Łobuz pewnie myśli, że ja też jestem świnia, chociaż wie, że gdyby mi to kiedykolwiek powiedział, to bym mu poprzesztawiał zęby. Więc mówię mu: „Wsadź to sobie wiesz gdzie!”

- Jasne - powtórzył Johnny. Przejeżdżali przez las, potem mijali Carson's Bóg. Od Cleaves dzieliło ich z dziesięć kilometrów. Na liczniku przeskoczyło kolejne dziesięć centów.

Małe dziesięć centów to jedna dziesiąta dolara. Hej, hej, hej!

- A pan czym się zajmuje, jeśli wolno spytać? - zapytał taksówkarz.

- Uczę w liceum w Cleaves.

- Naprawdę? Więc pan wie, o czym mówię? A właściwie, do cholery, co dzieje się z tymi dziećkami?

Cóż, zjadły zepsutego hot-doga, który nazywał się Wietnam, i dostały sraczki. Sprzedał im go niejaki Lyndon Johnson. Więc poszli do tego drugiego gościa i powiedzieli: „Jezu, proszę pana, strasznie się pochorowaliśmy!” A ten drugi gość, nazywał się Nixon, powiedział: „Wiem, jak wam pomóc. Zjedzcie jeszcze parę hot-dogów”. To właśnie dzieje się z amerykańskimi dziećmi.

- Nie wiem - powiedział Johnny.

- Człowiek przez całe życie planuje, robi co może - mówił taksówkarz i teraz w jego głosie było prawdziwe zdumienie, zdumienie, które nie miało trwać długo, bo miał przed sobą jeszcze niespełna

minutę życia. A Johnny, który o tym nie wiedział, poczuł dla niego prawdziwe współczucie, czuł prawdziwą sympatię dla człowieka, który nie jest w stanie pojąć świata.

Chodź z nami, mata, wokół wszystko wariuje.

- Wymarzyłeś sobie dla niego najlepszą przyszłość, a dzieciak przychodzi do domu z włosami po tyłek i mówi ci, że prezydent Stanów Zjednoczonych to świnia. Świnia! Cholera, nie pojmuje...

- Patrz pan!- krzyknął Johnny.

Taksówkarz prowadził zwrócony w stronę pasażera. Jego nalaną twarz widać było w światłach padających z deski rozdzielczej i w rozbłysłych nagle długich światłach jadącego z naprzeciwka samochodu. Spojrzał przed siebie, ale już było za późno.

- Jeeezu...!

Dwa samochody pędziły wprost na nich. Pędziły po obu stronach białej, środkowej linii. Ścięły się pod górę, jadąc obok siebie, mustang i dodge charger. Johnny słyszał silniki wyjące na wysokich obrotach. Charger pruł wprost na taksówkę, nawet nie próbował zjechać w prawo. Taksówkarz zamarł za kierownicą.

- Jeee...

Johnny zaledwie zauważył przemykającego po lewej mustanga. W sekundę później taksówka i charger zderzyły się czołowo; poczuł, jak unosi się w powietrze i leci. Nie było bólu, choć jakąś cząstką świadomości zarejestrował, że udami uderzył w licznik wystarczająco mocno, by wyrwać go z obsady.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Płomień sięgnął w niebo, rozjaśniając noc. Johnny z impetem rąbnął głową w przednią szybę i wybił ją. Tracił kontakt z rzeczywistością. Odczuwał słaby ból; ramiona, ręce i reszta ciała przeleciała za głową przez ostre szkło przedniej szyby. Leciał. Leciał w październikową noc.

Przez głowę przemknęła niewyraźna myśl: „Czy umieram? Czy to mnie zabije?”

A wewnętrzny głos odpowiedział mu: „Tak. Prawdopodobnie tak”.

Frunął. Październikowe niebo usiane było gwiazdami. Usłyszał przeraźliwy huk wybuchającej benzyny. Pomarańczowy blask. I ciemność.

Lot w próżnię zakończył się głuchym stukiem i pluskiem. Chłodna wilgoć - wylądował w Carson's Bóg, niemal dziesięć metrów od miejsca, w którym płonęły jak ofiarny stos, splecione ze sobą, taksówka i charger.

Zupełny mrok.

Nieprzenikniona ciemność.

Aż wreszcie pozostało tylko wielkie czerwono-czarne koło, obracające się w takiej pustce, jaka może istnieć tylko między gwiazdami: spróbuj szczęścia, raz wygrywasz, raz tracisz, hej, hej, hej! Koło obracało się, góra i dół, czerwone i czarne, zapadka stuknęła, przechodząc przez oddzielające numery bolce, Johnny wyteżał wzrok - chciał zobaczyć, czy wyjdzie podwójne zero: wszyscy przegrali, wszyscy stracili, wszyscy. Wyteżał wzrok, ale koło znikło. Pozostała jedynie ciemność i ta wszechogarniająca pustka, przeciwieństwo bytu, nic. Chłodna nicość.

Johnny Smith pozostał w tej nicości bardzo, bardzo długo.

ROZDZIAŁ 3

1

Trzydziestego października 1970 roku, parę minut po drugiej w nocy na parterze małego domku, stojącego mniej więcej dwieście pięćdziesiąt kilometrów od Cleaves Mills, zadzwonił telefon.

Herb Smith siadł w łóżku, zdezorientowany; dzwonek telefonu wybił go ze snu i zostawił na wpół oszołomionego.

Zza jego pleców, zagłuszony przez poduszkę, rozległ się głos Very:

- Telefon.

- Tak - odpowiedział i wstał. Był wielkim, szerokim w ramionach mężczyzną, dobiegającym

pięćdziesiątki, łysiejącym. Miał na sobie spodnie od piżamy. Wyszedł na korytarz na piętrze, włączył światło. Na dole telefon nadal dzwonił przeraźliwie.

Herb zszedł po schodach do miejsca, które Vera z upodobaniem nazywała „norką telefoniczną”. Norka składała się z telefonu i przedziwnego małego biureczka z przymocowanym do niego krzeselkiem, które Vera dostała za uzbierane kupony premiowe. Herb z miejsca odmówił lokowania na krzeselku swych stu trzydziestu kilogramów i zawsze rozmawiał przez telefon stojąc. Szuflada biureczka pełna była magazynów: *Upper Room, Reader's Digest, Fate*.

Sięgnął po słuchawkę, ale zawahał się.

Telefon w środku nocy oznacza zwykle jedną z trzech rzeczy: albo stary przyjaciel popadł w depresję i uznał, że będziesz szczęśliwy, mogąc z nim pogadać nawet o drugiej w nocy, albo ktoś wykrcił zły numer, albo zdarzyło się nieszczęście.

Z nadzieją, że to druga z możliwości, Herb podniósł słuchawkę.

- Halo?

Rzeński męski głos zapytał:

- Czy to mieszkanie pana Herberta Smitha?

- Tak.

- Czy mogę spytać, z kim mówię?

- Tu Herbert Smith. Co...?

- Czy może pan chwilę zaczekać?

- Tak. Kto...?

Za późno. Usłyszał ciche stuknięcie, jakby jego rozmówca zrzucił but z nogi. Miał c z e k a ć. Ze wszystkiego, czego w telefonach nie lubił - zła jakość połączeń, gówniarze dzwoniący z pytaniem o kabel i każący ci powiesić się na nim, pracownicy central z głosami jak komputery i grzeczni akwizytorzy próbujący sprzedać subskrypcje magazynów - najbardziej nie znosił, kiedy kazano mu c z e k a ć. Była to jedna z tych podstępnych rzeczy, które w ciągu ostatnich dziesięciu lat wdarły się w życie prawie nie zauważone. Dawno, dawno temu gość po drugiej stronie powiedziałby po prostu: „Zaraz ktoś podejdzie, dobra?” i odłożyłby słuchawkę na bok. W dawnych dobrych czasach mogłeś przynajmniej słuchać dalekich rozmów, słyszałeś szczekanie psa, grające radio, płaczące dziecko. Kiedy ci kazano c z e k a ć, oznaczało to coś zupełnie innego. Linia była absolutnie, całkowicie cicha. Znajdowałeś się nigdzie. Dlaczego nie mówią po prostu: „Proszę zaczekać, aż pana żywcem pogrzebią na jakiś czas”.

Zorientował się, że jest trochę przestraszony.

- Herbert?

Obrócił się, trzymając słuchawkę przy uchu. Na szczycie schodów stała Vera w swym spłowiałym, brązowym płaszczu kąpielowym. Włosy miała nakręcone na lokówki, a czoło i policzki wysmarowane jakimś stwardniałym na beton kremem.

- Kto dzwoni?

- Nie wiem. Kazali czekać.

- Czekać? Piętnaście po drugiej?

- Tak.

- To nie Johnny, prawda? Nic się nie stało Johnny'emu?

- Nie wiem - powiedział, zmuszając się, by nie podnieść głosu. Ktoś dzwoni o drugiej w nocy i każe ci czekać, a ty robisz przegląd krewnych i inwentaryzujesz ich stan. Przygotowujesz listę starych ciotek, dodajesz do siebie dolegliwości dziadków, jeśli ich jeszcze masz. Zastanawiasz się, czy tykacz któregoś z przyjaciół nie przestał właśnie tykać. I próbujesz nie myśleć, że masz syna, którego bardzo kochasz, i że takie telefony prawie zawsze zdarzają się o drugiej nad ranem, albo jak nagle ze zdenerwowania zeszytniały ci mięśnie łydek...

Vera zamknęła oczy i złożyła ręce na płaskim biuście. Herb próbował opanować się, żeby nie powiedzieć: „Vera, Biblia bardzo wyraźnie sugeruje, że powinnaś pójść i zrobić to w tej swojej kapliczce”. Zarobiłby tylko na Słodki Uśmiech Very Smith Przeznaczony Wyłącznie dla Niewierzących i Potępionych Mężów. O drugiej w nocy, przykuty do telefonu, przez który kazano mu c z e k a ć, Herb Smith nie sądził, by zdołał znieść ten szczególny uśmiech.

W telefonie coś stuknęło i inny męski głos, tym razem starszy, powiedział:

- Dzień dobry, panie Smith.

- Halo? Kto mówi?

- Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać. Mówi sierżant Meggs z policji stanowej, oddział w Oronto.

- Czy chodzi o mojego syna? Coś się stało mojemu synowi? Nawet nie zorientował się, że usiadł na krzeselku przy biurku stojącym w norcie telefonicznej. Poczł się bardzo źle.

- Czy ma pan syna imieniem John Smith, brak inicjału drugiego imienia?

- Co z nim? Czy czuje się dobrze?

Kroki na schodach. Obok niego pojawiła się Vera. Przez moment sprawiała wrażenie bardzo spokojnej, a później, nagle, rzuciła się na telefon jak tygrysica.

- Co się stało? Co się stało mojemu synkowi? Herb szarpnął słuchawką, oblamując jej paznokcie. Patrząc stanowczo, powiedział:

- Vera, ja się tym zajmę.

Spojrzała na niego, a jej wyblakłe, niebieskie oczy ponad przyciśniętymi do ust dłońmi były ogromne.

- Panie Smith, jest pan tam?

Z ust Herba wydarły się słowa jakby pokryte nowokainą.

- Tak, mam syna imieniem John Smith, brak inicjału drugiego imienia. Mieszka w Cleaves Mills. Jest nauczycielem w tamtejszym liceum.

- Pana syn uległ wypadkowi samochodowemu. Jego stan jest bardzo ciężki. Przykro mi, że musiałem przekazać panu złą wieść. - Głos Meggsa był łagodny, grzeczny.

- O mój Boże! - Herb czuł, jak myśli mu się płaczą. Pewnego razu, kiedy był w wojsku, wielki, budzący grozę chłopak ze wschodu, nazwiskiem Childress, pobił go ciężko przed jednym z barów w Atlancie. Teraz czuł się tak jak wtedy, zgnojony, pokonany, niezdolny do logicznego myślenia. - O mój Boże! - powtórzył.

- Nie żyje? - dopytywała się Vera. - Czy on nie żyje? Czy Johnny n i e ż y j e?

Herb przykrył słuchawkę.

- Nie - powiedział. - Żyje.

- Żyje! Żyje! - krzyknęła Vera i z wyraźnym słyszalnym odgłosem padła na kolana. - O, Boże! Z całego serca dziękujemy Ci i błagamy, byś okazał Swą litość i otoczył Swą opieką naszego syna, okrył go Twą kochającą ręką w imię Twego Syna jedyne Jezusa i...

- V e r a, z a m k n i j s i ę!

Przez chwilę milczeli wszyscy troje, jakby zastanawiali się nad niesprawiedliwością tego świata: Herb ze swym wielkim cielskiem wcisniętym w norkę telefoniczną, z kolanami ledwie mieszczącymi się pod blatem biurka i twarzą w bukietach plastikowych kwiatków, Vera na kolanach przyssanych do kratki ogrzewania w korytarzu i niewidoczny sierżant Meggs, stanowiący dziwaczne audytorium tej tragifarsy.

- Panie Smith...

- Tak. Chciałem... chciałem przeprosić za ten hałas.

- To całkiem zrozumiałe - przyznał policjant.

- Mój syn... Johnny... czy prowadził swojego volkswagena?

- Pułapki, pułapki... te garbusy to śmiertelne pułapki... - bełkotała Vera. Po jej twarzy płynęły łzy, ślizgając się po stwardniałej maseczce jak deszcz po szybie.

- Jechał taksówką - wyjaśnił Meggs. - Opiszę panu sytuację

tak, jak ją teraz rozumiemy. W wypadku brały udział trzy samochody, dwa z nich prowadzone przez dzieciaki z Cleaves Mills. Ściagały się. Zjeżdżały ze wzgórza, znanego tutaj jako Wzgórze Carsona, drogą numer sześć, kierując się na wschód. Pana syn siedział w taksówce jadącej na zachód, w stronę Cleaves Mills. Taksówka i samochód jadący lewą stroną drogi zderzyły się czołowo. Taksówkarz zginął na miejscu, wraz z chłopcem, który prowadził ten drugi samochód. Pana syn i pasażer drugiego samochodu znajdują się w szpitalu stanowym Wschodniego Maine. Ich stan podano jako krytyczny.

- Krytyczny - powtórzył Herb.

- Krytyczny! Krytyczny! - jęknęła Vera.

O Chryste, wygląda, jakbyśmy grali w jednej z tych dziwnych, nowoczesnych sztuk, które jakoś nigdy nie pojawiają się na Broadwayu, pomyślał Herb. Wstydził się za Verę przed sierżantem Meggsem, który z pewnością słyszał ją wtórującą im w tle niczym zwariowany grecki chór. Pomyślał, ile podobnych rozmów musiał w trakcie swej pracy odbyć sierżant Meggs. Zapewne sporo. Być może

już dzwonił do żony taksówkarza i do matki tego chłopca. Jak to przyjęli? Zresztą, co to ma za znaczenie? Czy Vera nie ma prawa do płaczu nad swym synem? I czemu człowiek musi snuć takie zwariowane myśli w takiej chwili?

- Wschodnie Maine - powiedział Herb i zapisał to w notatniku. Rysunek u góry każdej kartki przedstawiał uśmiechniętą słuchawkę telefoniczną. Sznur układał się w słowa: TELEFONICZNY PRZYJACIEL. - Jak poważnie jest ranny?

- Przepraszam, nie zrozumiałem, panie Smith?

- Gdzie jest ranny? W głowę? W żołądek? Czy się poparzył? Vera wrzasnęła.

- B ł a g a m, V e r a, z a m k n i j s i ę!

- W tej sprawie musi pan zadzwonić do szpitala. Minie jeszcze parę godzin, nim otrzymam pełny raport.

- Dobrze, dobrze.

- Panie Smith, bardzo mi przykro, że dzwonię do pana w środku nocy z taką złą wiadomością...

- Ma pan rację, to zła wiadomość. Muszę zadzwonić do szpitala, sierżancie Meggs. Do widzenia.

- Dobrej nocy, panie Smith.

Herb odłożył słuchawkę i wpatrywał się bezmyślnie w telefon. To zdarza się właśnie tak, pomyślał. I co z tego? Johnny.

Vera wrzasnęła po raz kolejny i z pewnym niepokojem Herb dostrzegł, że złapała się za włosy, z lokówkami i wszystkim innym, i ciągnie je do góry.

- To dzień sądu! Sądu nad tym, jak żyjemy, nad naszymi grzechami, nad wszystkim! Herb, padnij wraz ze mną na kolana.

- Vera, muszę zadzwonić do szpitala. Nie mam ochoty dzwonić na klęczkach.

- Będziemy się za niego modlić... obiecamy poprawę... gdybyś tylko zechciał częściej chodzić ze mną do kościoła, wiem... może to przez te twoje cygara i piwo, które pijesz po pracy z tymi ludźmi... przeklinasz... używasz imienia Pana Boga swego nadaremno... dzień sądu... to dzień sądu...

Położył dłonie na jej twarzy, by stłumić to dzikie, straszne samobiczowanie. Dotyk maseczki był nieprzyjemny, ale nie cofnął rąk. Litował się nad nią. Przez ostatnie dziesięć lat jego żona wędrowała po cienkiej ścieżce dzielącej głęboką wiarę baptystki od czegoś, co można byłoby nazwać łagodną manią religijną. Pięć lat po urodzeniu Johnny'ego lekarze znaleźli w jej macicy i pochwie łagodny nowotwór. Konieczność jego usunięcia spowodowała, że nie mogła już mieć dziecka. W pięć lat później kolejny nowotwór doprowadził do wycięcia macicy. Wtedy to się zaczęło; właśnie wtedy stała się zaślepioną fanatyczką religii, zdumiewająco mieszając ją z innymi wierzeniami. Pożerała wręcz ulotki o Atlantydzie, o latających spodkach z nieba, o rasach „czystych chrześcijan” mieszkających gdzieś w głębi ziemi. Magazyn *Fate* czytała niemal równie często jak Biblię i najczęściej interpretowała jedno przy pomocy drugiego.

- Vera - powiedział Herb.

- Obiecujemy poprawę - szepnęła, błagając go wzrokiem. - Obiecujemy poprawę i on będzie żył. Zobaczysz, zobaczysz...

- Vera.

Umilkła i tylko na niego patrzyła.

- Musimy zadzwonić do szpitala i dowiedzieć się, jak to naprawdę wygląda - powiedział łagodnie.

- D... d... dobrze, tak.

- Czy możesz usiąść tam na schodach i w ogóle się nie odzywać?

- Chcę się modlić - Vera protestowała jak dziecko. - Nie możesz mnie powstrzymać!

- I wcale nie chcę. Jeśli tylko będziesz się modlić w ciszy.

- Tak. W ciszy. W porządku, Herb.

Podeszła do schodów, usiadła, skromnie otuliła się płaszczem. Złożyła ręce i jej usta zaczęły się poruszać. Herb zadzwonił do szpitala. Dwie godziny później jechali na północ niemal pustą autostradą stanową. Herb prowadził ich forda combi z 1966 roku. Obok niego siedziała sztywno wyprostowana Vera. Na kolanach trzymała Biblię.

2

Telefon obudził Sarę za piętnaście dziewiąta. Poszła podnieść słuchawkę, na wpół drzemiąc,

jakby jeszcze leżała w ciepłym łóżku. Plecy bolały ją od bitych przed toaletą pokłonów, a mięśnie brzucha miała mocno napięte, ale poza tym czuła się znacznie lepiej.

Podniosła słuchawkę pewna, że dzwoni Johnny.

- Halo?

- Cześć, Sara. - To nie był Johnny, lecz Anne Strafford ze szkoły. Anne, o rok starsza od Sary, od dwóch lat uczyła w Cleaves hiszpańskiego. Miała wielki temperament, kipiała życiem i Sara bardzo ją lubiła. Ale tego ranka wydawała się przygnębiona.

- Jak się masz, Anne. To nic poważnego. Pewnie Johnny już ci mówił. Przypuszczam, że to te hot-dogi na zabawie...

- O Boże, więc ty nic nie wiesz. Nie wiesz... - Słowa znikły w dziwnych dźwiękach, jakby jej przyjaciółka się dławiła. Sara słuchała ich, marszcząc czoło. Początkowa niepewność zmieniła się w straszne przeczucie, kiedy zorientowała się, że Anne płacze.

- Co się stało? To nie Johnny, prawda? Tylko nie...

- Miał wypadek. - Anne płakała głośno. - Jechał taksówką. Czołowe zderzenie. Ten drugi samochód prowadził Brad Freneau, chodził do mnie na hiszpański dla zaawansowanych. Nie żyje, a jego dziewczyna, Mary Thibault, zmarła dziś rano. Słyszałam, że była w jednej z klas Johnny'ego, to straszne, to po prostu straszne...

- Johnny!- krzyknęła Sara do słuchawki. Znów zbierało się jej na wymioty. Jej ręce i stopy zrobiły się nagle zimne jak cztery nagrobki. -Co z Johnny m?

- Jest w stanie krytycznym. Dave Pelsen zadzwonił dziś rano do szpitala. Nie spodziewają się... no, jest bardzo źle.

Świat w jednej chwili poszarzał. Anne mówiła coś, ale jej głos był cichutki i słabutki, jak powiedział E.E. Cummings o balonowym człowieczku. Obrazy tłoczyły się jeden na drugim, ale żaden nie miał sensu. Przymilne koło. Labirynt luster. Oczy Johnny'ego, dziwne, fioletowe, niemal czarne. Jego słodka, poczciwa twarz w ostrym świetle lunaparku, nagie żarówki wiszące na kablach.

- Tylko nie Johnny - powiedziała Sara, cichutko i słabutko, cichutko i słabutko. - To jakaś pomyłka. Kiedy się rozstawaliśmy, był zdrowy.

Głos Ann wrócił do niej jak as serwisowy, brzmiąc szokiem i niedowierzaniem, że coś takiego mogło się przydarzyć komuś w jej wieku, komuś młodemu, pełnemu życia.

- Powiedzieli Dave'owi, że nigdy się nie obudzi, nawet jeśli przeżyje operację. Musieli go operować, bo głowę ma... głowę ma...

Czy zamierza powiedzieć zmiażdżoną? Że Johnny ma zmiażdżoną głowę?

I wtedy Sara zemdląca, być może dlatego, że nie chciała usłyszeć tego okropnego słowa, tej najstraszniejszej prawdy. Słuchawka wypadła jej z ręki, usiadła ciężko na dnie szarego świata, a później przewróciła się na bok; słuchawka huśtała się coraz mniejszym hakiem tam i z powrotem, a głos Anne dobiegał z niej, powtarzając: „Saro... Saro... Saro...”

3

Kiedy dotarła do szpitala, było piętnaście po dwunastej. Siostra w rejestracji spojrzała na jej bladą, napiętą twarz, oceniła, czy dziewczyna jest w stanie znieść kilka słów prawdy, i oznajmiła, że Johnny Smith jest wciąż na sali operacyjnej. Dodała też, że jego ojciec i matka siedzą w poczekalni.

- Dziękuję - odparła Sara. Obróciła się w prawo zamiast w lewo, trafiła do szafki z narzędziami i musiała się wycofać.

Poczekalnia pomalowana była w jaskrawe, błyszczące kolory, które raziły jej oczy. Siedziało w niej kilka osób, czytając porwane magazyny albo wpatrując się w pustkę. Siwa kobieta wyszła z jednej z wind, oddała przepustkę przyjaciółce i usiadła. Przyjaciółka odeszła, stukając wysokimi obcasami. Reszta siedziała, czekając na szansę odwiedzenia ojca, któremu właśnie usunięto kamienie żółciowe, matki, która zaledwie trzy dni temu odkryła małe zgrubienie pod piersią, przyjaciela ugodzonego w pierś podczas joggingu. Czekający ułożyli twarze w maski bez wyrazu. Zmietli z nich niepokój jak śmiecie, pod dywan.

Sara znów poczuła dotyk nierzeczywistości. Gdzieś dzwonił cichy dzwonek. Skrzypnęły buty na płóciennej podeszwie. *Kiedy ode mnie wyjechał, czuł się doskonale.* Nie umiała myśleć o tym, że leży teraz w jednej z tych dużych sal, pracowicie umierając.

Od razu poznała rodziców Johnny'ego. Próbowwała sobie przypomnieć ich imiona i nie potrafiła.

Siedzieli obok siebie pod przeciwległą ścianą. W odróżnieniu od innych odwiedzających nie mieli jeszcze czasu przyzwyczaić się do tego, co ich spotkało.

Pani Smith przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła; w rękach trzymała Biblię. Jej usta poruszały się, jakby czytała, i Sara przypomniała sobie, jak Johnny po wiedział jej, że jest bardzo religijna, nawet za bardzo; znajdowała się gdzieś na ogromnej przestrzeni, dzielącej szczerą modlitwę od ofiar z ludzi - powiedział jej kiedyś Johnny. Pan Smith - Herb, przypomniała sobie, na imię ma Herb - wziął jeden z magazynów, ale nawet na niego nie patrzył. Patrzył przez okno, za którym nowoangielska jesień płonęła kolorami, zmierzając ku listopadowi i nadchodzącej zimie.

Podeszła do nich.

- Państwo Smith?

Podnieśli głowy i spojrzeli na nią; twarze mieli skurczone w oczekiwaniu na miażdżący cios. Matka zacisnęła dłonie na swej Biblii, otwartej na Księdze Hioba, aż jej zbieleły palce. Stojąca przed nimi młoda kobieta nie miała na sobie białego fartucha, nie była ani lekarzem, ani pielęgniarką, ale teraz nie robiło im to już żadnej różnicy. Czekali na ostateczny cios.

- Tak, to my - powiedział cicho Herb.

- Nazywam się Sara Bracknell. Jestem przyjaciółką John-ny'ego. Chyba można powiedzieć, że chodzimy ze sobą. Czy mogę usiąść?

- Przyjaciółka Johnny'ego? - zapytała pani Smith ostrym, niemal oskarżycielskim tonem. Siedzący w poczekalni ludzie podnieśli głowy, lecz zaraz powrócili do lektury porwanych magazynów.

- Tak. Jestem jego dziewczyną.

- Nigdy mi nie pisał, że ma dziewczynę. - Głos Vera Smith wcale nie złagodniał. - Nie, nigdy mi o tym nie pisał.

- Cicho, matka - wtrącił Herb. - Niech pani siada, panno... Bracknell, prawda?

- Sara - przypomniała mu z wdzięcznością i usiadła na krześle. - Ja...

- Nie, nic mi nie pisał - stwierdziła pani Smith. - Mój chłopiec kochał Boga, ale może ostatnio trochę o Nim zapomniał? Bóg nie zwleka z karaniem grzeszników, wie pani? Dlatego tak niebezpiecznie jest o Nim zapominać. Nie znasz dnia ani godziny...

- C i c h o! - przerwał jej Herb. Ludzie znów zaczęli się im przyglądać. Spojrzał karcąco na żonę; odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem, ale Herb ani mrugnął i w końcu spuściła wzrok. Zamknęła Biblię, ale dłońmi niespokojnie przesuwiała po kartkach, jakby pragnęła wrócić do strasznego biegu z niepokonanymi przeszkodami, jakim było życie Hioba; Hiob miał takiego pecha, że pech jej i jej syna wydawał się przy tym niemal znośny.

- Byłam z nim zeszłej nocy - dodała Sara. Na to stwierdzenie matka Johnny'ego znów spojrzała na nią oskarżycielsko. Dopiero wtedy Sara przypomniała sobie biblijną konotację stwierdzenia „być z kimś” i poczuła, że się rumieni. Czowała się tak, jakby ta kobieta potrafiła czytać w jej myślach.

- Pojechaliśmy na jarmark...

- To grzeszne, grzeszne miejsce...

- Po raz ostatni mówię ci, że masz być cicho, Vera - Herb powiedział to bardzo poważnie i położył dłoń na dłoni żony. - Nie żartuję. Obok nas siedzi sympatyczna dziewczyna i nie pozwolę, żebyś się jej czepiała. Zrozumiałaś?

- To grzeszne miejsce - powtórzyła uparcie Vera.

- Będziesz cicho?

- Puść mnie! Chcę czytać Biblię!

Uwolnił jej dłoń. Sara czuła się zażenowana i zawstydzona. Vera wróciła do Biblii; czytała ją, poruszając wargami.

- Jest bardzo zdenerwowana - stwierdził Herb. - Oboje jesteśmy zdenerwowani. Pani też wygląda na zdenerwowaną.

- Tak.

- Dobrze się bawiliście? Na jarmarku?

- Tak - powtórzyła; czuła, jak w tym jednym słowie mieszają się prawda i kłamstwo. - Dobrze, póki... póki nie zjadłam nieświeżego hot-doga. Pojechaliśmy moim samochodem i Johnny odwiózł mnie do Veazie. Chorowałam... na żołądek. Zadzwoił po taksówkę. Powiedział, że rano zgłosi w szkole, że jestem chora. Wtedy widziałam go po raz ostatni. - Łzy popłynęły po jej policzkach, ale nie chciała płakać przed nimi, zwłaszcza przed Verą Smith, tylko nie mogła przestać. Poszukała w torebce

papierowej chusteczki, znalazła ją i przyłożyła do twarzy.

- Cicho - powiedział Herb i objął ją. - No, cicho. - Sara płakała dalej i w jakiś niejasny sposób odgadła, że jest mu dobrze z kimś, kogo może pocieszać; jego żona znalazła własną mroczną pociechę w opowieści o Hiobie, a tam nie było dla niego miejsca.

Kilka osób gapiło się na nich; patrząc przez łzy, Sara miała wrażenie, że jest ich tłum. Z goryczą uświadomiła sobie, że wie, co myślą: „Niech to będzie ona, nie ja, niech to będą oni wszyscy, tylko nie ja, facet musi umierać, ta dziewczyna płacze, bo on pewnie ma zmiądzoną głowę. To tylko kwestia czasu, zaraz przyjdzie jakiś lekarz, zabierze ich do gabinetu i tam im powie, że...”

Jakoś udało się jej stłumić łzy i wziąć się w garść. Pani Smith siedziała sztywno, jakby właśnie przebudziła się z koszmaru, nie dostrzegając ani łez Sary, ani tego, że jej mąż próbuje ją pocieszyć. Siedziała pogrążona w Biblii.

- Proszę - powiedziała Sara. - Czy z nim jest bardzo źle? Czy jest jakaś nadzieja?

Nim Herb zdążył jej odpowiedzieć, przemówiła Vera. Jej suchy głos zabrzmiał pewnie jak wyrok przeznaczenia:

- W Bogu nasza nadzieja, panienko.

Sara dostrzegła błysk strachu w oczach Herba i pomyślała: „On sądzi, że to ją doprowadza do szaleństwa. I może mieć rację”.

4

Długie popołudnie zmieniło się w wieczór.

Gdzieś po drugiej, po ostatniej lekcji, zaczęli przychodzić niektórzy uczniowie Johnny'ego, ubrani w wojskowe kurtki, dziwaczne kapelusze i sprane dżinsy. Wśród przybyłych Sara nie dostrzegła wielu z tych, których nazywała „zapiętymi na ostatni guzik” - pilnych uczniów, kandydatów na studia, o jasnych oczach i czystych czołach. Ci, którzy pofatygowali się do szpitala, wyglądali dziwnie i mieli długie włosy.

Niektórzy podchodzili, pytając Sarę cichymi głosami, czy wie, jaki jest stan pana Smitha. Mogła tylko potrząsać głową i powtarzać, że nic nie słyszała. Lecz pewna dziewczyna, Dawn Edwards, która podkochiwała się w Johnnym, wyczytała w jej twarzy strach i wybuchnęła płaczem. Przyszła pielęgniarka i kazała jej wyjść.

- Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze - uspokajała ją Sara i objęła Dawn obronnym gestem. - Za parę chwil się dowiemy.

- Nie - powiedziała Dawn - nie chcę tu zostać - i wyszła w pośpiechu, potrącając jedno z plastikowych krzesełek. Krzeselko przewróciło się z trzaskiem. W chwilę później Sara zauważyła dziewczynę siedzącą z głową na kolanach na schodach w blasku chłodnego, popołudniowego październikowego słońca.

Vera Smith nadal czytała Biblię.

O piątej większość uczniów zniknęła. Nie było także Dawn;

Sara nie widziała, jak odchodzi. O siódmej wieczorem młody mężczyzna z plaketką DR STRAWNS krzywo przypiętą do kłapy białego fartucha pojawił się w poczekalni, rozejrzał się i podszedł do nich.

- Państwo Smith? - zapytał. Herb wstrzymał oddech.

- Tak, to my.

Vera zamknęła Biblię z trzaskiem.

- Proszę za mną.

Więc to już, pomyślała Sara. Pójdą za nim do małego gabinetu i dowiedzą się wszystkiego. Będzie czekać i kiedy wróca, Herb Smith powie jej to, co powinna wiedzieć. To miły człowiek.

- Czy wie pan coś o moim synu? - zapytała Vera czystym, mocnym, niemal histerycznym głosem.

- Tak - doktor Strawns spojrzał na Sarę. - Czy pani jest członkiem rodziny?

- Nie - odparła Sara. - Przyjaciółką.

- Bliską przyjaciółką - powiedział Herb. Ciepła, mocna dłoń ujęła jej rękę nad łokciem, druga — w tym samym miejscu - zacisnęła się na rękę Very. Pomagał im obu wstać. - Pójdziemy razem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Ależ nie!

Minęli windy, przeszli korytarzem do pokoju, na którego drzwiach napisane było SALA

KONFERENCYJNA. Weszli do środka i doktor zapalił światło. W pokoju znajdował się długi stół i kilkanaście prostych krzeseł.

Doktor Strawns zamknął drzwi, zapalił papierosa i wrzucił zapałkę do jednej z kilkunastu stojących rzędem na stole popielniczek.

- To trudne - powiedział jakby do siebie.
- Więc niech pan po prostu powie - stwierdziła Vera.
- Tak, tak chyba będzie najlepiej.

Nie ona powinna o to zapytać, ale Sara nie potrafiła nic na to poradzić.

- On nie żyje? Tylko niech pan nie mówi, że on nie żyje...
- Jest w śpiączce. - Doktor Strawns usiadł i zaciągnął się głęboko papierosem. - Pan Smith doznał poważnych urazów głowy i nieokreślonych uszkodzeń mózgu. Być może w którymś z tych szpitalnych seriali słyszeli państwo określenie „krwawienie domózgowe”. Pan Smith doznał bardzo poważnych „krwawień domózgowych”, co oznacza miejscowy krwotok śródczaszkowy. Przeprowadzono długą operację celem zmniejszenia nacisku, a także usunięcia z mózgu odłamków kości.

Herb usiadł ciężko, twarz miał obwisłą, tępą. Sara dostrzegła jego wielkie, szorstkie ręce i przypomniała sobie, jak Johnny mówił jej, że jego ojciec jest cieślą.

- Ale Bóg go ocalił! - krzyknęła Vera. - Wiedziałam! Modlę się o znak. Chwalcie Pana Najwyższego! O wy, ziemscy ludzie, chwalcie Pana Najwyższego!

- Vera. - W głosie Herba brakło siły.

- Śpiączka - powtórzyła Sara. Próbowała jakoś przyzwyczaić się do tej wiadomości i odkryła, że nie potrafi. Johnny nie umarł, przeżył długą, poważną operację mózgu - to wszystko powinno jakoś ożywić jej nadzieję. Ale tak się nie stało. I nie podobało się jej to słowo - śpiączka. Brzmiało groźnie, złowrogo. Czy to nie tłumaczenie łacińskiego „coma” - „sen śmierci”?

- Co z nim będzie? - zapytał Herb.

- Na to pytanie nikt nie potrafi teraz odpowiedzieć. - Doktor Strawns bawił się papierosem, stukając nim nerwowo w jedną z popielniczek. Sara miała wrażenie, że odpowiada na pytanie dosłownie, całkowicie pomijając to, o co Herb naprawdę spytał. - Używamy systemu podtrzymywania życia.

- Ale musi pan coś wiedzieć o jego szansach - nalegała Sara. - Musi pan wiedzieć, czy...? - Machnęła bezradnie rękami i pozwoliła im opaść bezwładnie.

- Może wyjść z tego w czterdzieści osiem godzin. Albo w tydzień. W miesiąc. A może nie wyjść wcale. I... jest duże ryzyko, że może umrzeć. Jestem zmuszony powiedzieć państwu szczerze, to ostatnie jest najbardziej prawdopodobne. Jego rany... są poważne.

- Bóg chce, żeby przeżył - powiedziała Vera. - Ja wiem. Herb ujął twarz w dłonie i zaczął ją wolno pocierać. Doktor Strawns przyjrzał się Verze, zmieszany.

- Chcę tylko przygotować państwa... na każdą ewentualność.

- Czy mógłby pan określić, jakie ma szansę? - zapytał Herb. Doktor Strawns zawahał się, paląc nerwowo papierosa.

- Nie, tego nie mogę zrobić - powiedział w końcu.

5

We trójkę czekali jeszcze godzinę, a później wyszli. Zimny wiatr w gwałtownych podmuchach hulał po wielkim parkingu. Bawił się też długimi włosami Sary. Później w domu Sara znalazła wplątany w nie żółty, kruchy liść dębu. Po niebie płynął księżyc, srebrny żeglarz nocy.

Sara wcisnęła Herbowi do ręki kawałek papieru, na którym wypisała swój adres i numer telefonu.

- Proszę zadzwonić, kiedy pan się czegoś dowie, dobrze? Czegokolwiek.

- Tak, oczywiście. - Herb pochylił się nagle i pocałował ją w policzek. Przez moment w ciemności, na wietrze, Sara położyła mu ręce na ramionach.

- Bardzo mi przykro, że byłam dla ciebie nieprzyjemna, kochanie - powiedziała Vera. Jej głos był zdumiewająco miękki. - Denerwowałam się.

- Naturalnie - przytaknęła dziewczyna.

- Myślałam, że mój chłopiec umrze. Ale modliłam się. Powiedziałam o tym Bogu. A pieśń mówi: „Czy jesteśmy słabi i przygnieceni do ziemi? Przygnieceni ciężkim brzemieniem? Nie wahajmy się,

nie jesteśmy sami. Złożmy je Bogu w ofierze".

- Vera, powinniśmy już jechać. Prześpimy się i zobaczymy, co się stanie...

- Ale teraz Bóg do mnie przemówił - Vera marząco patrzyła na księżyc. - Johnny nie umrze. Bóg nie zaplanował jeszcze śmierci dla mojego synka; słuchałam i usłyszałam jego cichy głos mówiący w moim sercu, i doznałam pocieszenia.

Herb otworzył drzwiczki samochodu.

- Wsiądź, Vero.

Vera zerknęła na Sarę i uśmiechnęła się. Sara rozpoznała wesołe, beztrudne skrzywienie ust Johnny'ego, mówiące: „O, do diabła z tym!"; dla niej był to jednocześnie najpotworniejszy uśmiech, jaki widziała w życiu.

- Bóg nazaczył mego Johnny'ego i raduję się w swym sercu.

- Dobranoc, pani Smith - wykrztusiła dziewczyna przez zdrętwiałe wargi,

- Do widzenia, Saro — powiedział Herb. Wsiadł do samochodu, zapalił silnik. Wyjechali z parkingu, skręcili w State Street; Sara zorientowała się nagle, że nie wie, gdzie się zatrzymają. Pomyślała, że oni sami pewnie jeszcze nie wiedzą.

Odwrociła się, chcąc pójść do samochodu, i nagle zamarła, patrząc na płynącą za szpitalem rzekę Penobscot. Rzeka płynęła jak czarny jedwab; woda odbijała świecący w górze księżyc. Sama na pustym parkingu, podniosła głowę i spojrzała w niebo. Patrzyła na księżyc.

Bóg nazaczył mego Johnny 'ego i radują się w swym sercu.

Księżyc błyszczał na niebie jak tandetna karnawałowa zabawka, jak niebieskie koło fortuny z zamazanymi cyframi, żeby trudniej było wygrać; zostały tylko zero i podwójne zero, przegrywające numery. Przegrana, przegrana, zabieram pieniądze, hej-hej-hej.

Zeschłe liście szeleściły na wietrze wokół jej nóg. Nagle Sara nabrała pewności, że go straci. Obudziły się w niej strach i samotność. Dostała dreszczy. W końcu wsiadła do samochodu i pojechała do domu.

6

W następnym tygodniu od uczniów szkoły w Cleaves Mills popłynął strumień wyrazów współczucia i życzeń. Herb Smith powiedział jej później, że Johnny otrzymał ponad trzysta kart. Niemal na Wszystkich znajdowały się nieśmiało odręczne dopiski z wyrazami nadziei, że Johnny wkrótce wyzdrowieje. Vera podziękowała za każdą cytatem z Biblii.

Problemy, jakie Sara miała z utrzymaniem dyscypliny w klasach, znikły. Uczucie, że jakiś sąd składający się ze zbiorowej szkolnej świadomości wydaje wyrok „winna", zmieniło się diametralnie. Stopniowo zdała sobie sprawę, że stała się dla młodzieży bohaterką tragiczną, gdyż utraciła swego ukochanego -pana Smitha. Pomysł ten przyszedł jej do głowy w pokoju nauczycielskim, podczas „okienka" w środę po wypadku; dostała ataku histerycznego śmiechu, który szybko zmienił się w płacz. Nim zdołała nad nim zapanować, bardzo się przestraszyła. Noce miała niespokojne; bezustannie śnił się jej Johnny: Johnny w masce doktora Jekylla i pana Hyde'a; Johnny stojący przed budką z kołem fortuny, podczas gdy jakiś bezcielesny głos śpiewa raz za razem: „Człowieku, chciałbym zobaczyć, jak ten gość dostaje w tyłek"; Johnny mówiący: „Wszystko w porządku, Saro, wszystko jest wspaniale", a później wchodzący do pokoju bez części głowy, tej nad brwiami.

Herb i Vera Smith spędzili tydzień w Bagnor House. Sara spotykała ich codziennie po południu w szpitalu, gdzie cierpliwie czekali, kiedy coś się zdarzy. Nic się nie zdarzyło. Johnny leżał na sali intensywnej terapii na szóstym piętrze, podłączony do aparatury podtrzymującej życie, oddychając przy pomocy maszyny. Doktor Strawns powoli tracił nadzieję. Wieczorem, w piątek po wypadku, Herb zadzwonił do Sary z wiadomością, że wyjeżdżają.

- Nie chciała wracać - powiedział - ale chyba przemówiłem jej do rozsądku.

- Czy z nią wszystko w porządku?

Zapadła długa cisza i dziewczyna pomyślała, że być może właśnie przekroczyła niewidzialną granicę taktu. Po chwili Herb jednak się odezwał:

- Nie wiem. A może wiem i nie chcę powiedzieć głośno, że nie. Zawsze miała zdecydowane poglądy na religię, ale po operacji, po histerektoimii, ślepo się jej oddała. Dużo mówi o końcu świata. Powiązała wypadek Johnny'ego z Wniebowzięciem. Tuż przed Armageddonem Bóg ma podobno wziąć do nieba wszystkich wiernych w ich własnych ciałach.

Sara pomyślała o nalepce na zderzaku, którą gdzieś widziała: „JEŚLI WNIEBOWZIĘCIE NASTĄPI DZIŚ, NIECH KTOŚ ZŁAPIE ZA KIEROWNICĘ!”

- Tak, wiem.

- Cóż - w głosie Herba brzmiało zażenowanie - niektóre z grup, z którymi... koresponduje... wierzą, że Bóg przybędzie po wiernych w latających talerzach. To znaczy zabierze wiernych do nieba w latających talerzach. Te... sekty... udowodniły, przynajmniej na własny użytek, że niebo jest gdzieś w konstelacji Oriona. Nie, nie pytaj mnie, jak udowodniły. Vera mogłaby ci opowiedzieć. To... wiesz, Saro, dla mnie to ciężkie chwile.

- Rozumiem.

Głos Herba nabrał siły.

- Ale, na szczęście, ciągle potrafi odróżnić rzeczywistość od fantazji. Potrzebuje czasu, żeby się przystosować. Więc powiedziałem jej, że równie dobrze może czekać na to, co nadejdzie, w domu, jak tutaj. Ja... - Herb przerwał, zawstydzony. Odchrząknął i mówił dalej: - Muszę wracać do pracy. Mam robotę. Podpisałem umowy...

- Oczywiście, rozumiem. - Sara zawahała się. - A co z ubezpieczeniem? - mówiła dalej. - To... to chyba strasznie dużo kosztuje... - Teraz ona z kolei zawstydziała się.

- Rozmawiałem z panem Pelsenem, zastępcą dyrektora waszej szkoły. Johnny miał zwykłe ubezpieczenie Blue Cross, ale nie to nowe, od poważnych wypadków. Jednak Blue Cross trochę z tego pokryje. I razem z Verą mamy nasze oszczędności.

Sara poczuła przygnębienie. „I razem z Verą mamy nasze oszczędności.” Jak długo książeczka kredytowa wytrzyma wydatki rządu ponad dwustu dolarów dziennie? I właściwie po co? Żeby Johnny mógł wegetować jak roślina, sikając w rurki, a po drodze doprowadzić rodziców do bankructwa? I przywozić matkę do szaleństwa nie spełnionymi nadziejami? Czowała, jak po policzkach płyną jej łzy, i po raz pierwszy - choć nie ostatni - stwierdziła, że żałuje, iż Johnny nie umarł i nie spoczywa w spokoju. Jakaś jej część wzdrygnęła się z przerażenia, ale ta myśl pozostała.

- Życzę wam wszystkiego najlepszego.

- Wiemy, Saro. I my życzymy ci wszystkiego dobrego. Będziesz pisać?

- No pewnie.

- Odwiedź nas, jeśli zdołasz. Pownal wcale nie jest tak daleko. - Herb zawahał się. - Wygląda na to, że Johnny znalazł sobie dobrą dziewczynę. To była poważna sprawa, prawda?

- Prawda - odpowiedziała Sara. Łzy nadal płynęły po policzkach; zrozumiała, jakie znaczenie ma to, że Herb użył czasu przeszłego. - Była.

- Do widzenia, skarbie.

- Do widzenia, Herb.

Odwiesiła słuchawkę, przez kilka sekund trzymała ją na widelkach, a potem zadzwoniła do szpitala, by dowiedzieć się o Johnny'ego. Żadnej zmiany. Podziękowała pielęgniarce z oddziału intensywnej terapii i zaczęła chodzić bez celu po mieszkaniu. Myślała o Bogu wysyłającym flotę latających spodków, zbierającym wiernych i przewożącym ich gdzieś na Oriona. Miało to dokładnie tyle sensu, ile wszystko w działaniach Boga wystarczająco szalonego, by rozwalić mózg Johna Smitha i wpędzić go w śpiączkę, która najpewniej nigdy nie miała się skończyć inaczej niż nieoczekiwaną śmiercią.

Leżała przed nią teczka z wypracowaniami pierwszoklasistów. Sara zrobiła sobie herbatę i zaczęła je poprawiać. Jeśli była w ogóle jedna chwila, w której Sara Bracknell chwyciła w ręce cugle post-Johnny'owskiej epoki swego życia, to była właśnie ta chwila.

ROZDZIAŁ 4

I

Morderca był gładki.

Siedział na ławce w parku, obok estrady, palił marlboro i podśpiewywał piosenkę z białego albumu Beatlesów: „Sam nie wiesz, jaki jesteś szczęśliwy, chłopcze, że wróciłeś, że wróciłeś, że wróciłeś do ZSRR...”

Nie był jeszcze mordercą, prawdziwym mordercą. Ale myślał o tym od dawna. Myślał o morderstwie, zbrodni go podniecała, tak, podniecała. Nie w ten zły sposób, nie. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Nadszedł właściwy czas. Nie musiał się martwić, że go złapią. Nie musiał się martwić o ślady na ubraniu. Był przecież taki gładki.

Z nieba zaczął padać drobny śnieg. Był dwunasty listopada 1970 roku i blisko trzysta kilometrów na północny wschód od tego niewielkiego miasteczka w stanie Maine John Smith trwał w nieprzerwanym śnie.

Morderca rozejrzał się po parku - turyści, którzy przybywali na pojezierze, do Castle Rock, mówili o nim „miejski park”. Ale teraz nie było tu turystów. Park, zielony w lecie, był teraz żółty, łysy, martwy. Czekał, żeby zima przykryła go skromnym płaszczem śniegu. Ogrodzenie z siatki za główną bazą boiska ligi juniorów, widoczne na tle bladego nieba, pokryte było zachodzącymi na siebie grudkami rdzy. Estrada wołała o warstwę świeżej farby.

Otoczenie było przygnębiające, ale morderca nie czuł smutku. Niemal szalał z radości. Miał ochotę machać rękami i tańczyć. Tym razem nie cofnie się w ostatniej chwili.

Przydeptał butem niedopałek papierosa i natychmiast zapalił następnego. Spojrzał na zegarek. Dwie po trzeciej. Siedział i palił. Przez park przeszli dwaj chłopcy. Ćwiczyli podania piłką futbolową i nie widzieli go, bo ławki stały w zagłębieniu. Morderca przypuszczał, że kiedy na dworze jest ciepiej, właśnie tu przyjeżdżają nocą te małe kurwiszony. Wiedział wszystko o małych kurwiszonach i o tym, co robią. Matka mu o tym mówiła i w i d z i a ł je na własne oczy.

Myśl o matce spowodowała, że uśmiech mordercy zbladł. Pamiętał, jak raz, kiedy miał siedem lat, matka weszła do jego pokoju bez pukania - nie pukała nigdy - i złapała go, jak się bawił swym małym. Prawie oszalała. Próbował jej powiedzieć, że to nic takiego. Nic złego. Mały po prostu stanął. On przecież nic nie zrobił, żeby mały mu stanął, nic a nic. On tylko siedział, poruszając ręką w górę i w dół. I nawet nie sprawiało mu to przyjemności. Chyba nawet zaczynał się nudzić. Ale matka prawie oszalała.

„Chcesz być jednym z tych małych kurwiszonów!” - krzyczała na niego. Jeszcze nie wiedział, co to znaczy - no, właściwie to wiedział, co to jest mały, ale nie znał tego drugiego słowa, chociaż słyszał je od starszych chłopców na boisku szkoły podstawowej w Castle Rock. „Chcesz być jednym z tych małych kurwiszonów i złapać jedną z tych chorób? Chcesz, żeby ciekła ci z niego ropa? Chcesz, żeby ci szerniał? Chcesz, żeby ci zgnął i odpadł? Chcesz? Chcesz? Chcesz?”

Potrząsała nim, a on tylko bełkotał ze strachu; nawet wtedy była wielka, wielka jak transatlantyk, groźna, potężna kobieta, a on nie był jeszcze mordercą, tylko małym chłopcem bełkocącym ze strachu, a mały mu opadł i próbował schronić się wewnątrz jego ciała.

Kazała mu przez dwie godziny nosić na nim klamerkę do bielizny, żeby wiedział, jak to jest, kiedy złapie się jedną z tych chorób.

Pamiętał potworny ból.

Śnieg przestał padać. Morderca odpędził sprzed oczu obraz matki - robił to bez wysiłku, kiedy czuł się tak wspaniale, a nic mu z tego nie wychodziło, kiedy był w dołku.

Mały znów mu stał.

Spojrzał na zegarek. Siedem po trzeciej. Rzucił na pół wypalonego papierosa. Ktoś nadchodził.

Rozpoznał ją. To Alma. Alma Frechette z Coffee Pot po drugiej stronie ulicy. Właśnie skończyła zmianę. Znał ją, spotkał się z nią raz czy dwa. Zabrał ją do Serenity Hill w Naples. Dobrze tańczyła. Małe kurwiszony często dobrze tańczą. Był zadowolony, że to właśnie Alma.

Szła sama.

„Znów w ZS, znów w ZS, znów w ZSRR...”

- Alma! - zawołał i pomachał ręką. Dziewczyna podskoczyła, rozejrzała się i dostrzegła go.

Uśmiechnęła się, podeszła do ławki, na której siedział, i przywitała się. Wstał uśmiechnięty. Nie bał się, że ktoś się może zjawić. Był nietykalny. Był Supermanem.

- Dlaczego się tak ubrałeś?
- Gładkie, nie? - Nadal się uśmiechał.
- No, ale...
- Chcesz coś zobaczyć? Na scenie? Cholernie fajna rzecz.
- A co?
- Chodź i zobacz.
- Dobrze.

Takie to proste. Poszła z nim na podium. Gdyby ktoś się pojawił, to mógłby się jeszcze wycofać. Ale nikt się nie zjawił. Nikt nie przechodził. Mieli dla siebie cały park. Białe niebo wisiało im nad głowami. Alma była drobną dziewczyną o jasnych włosach. Farbowanych jasnych włosach, był tego całkowicie pewien. Dziwki farbują włosy.

Weszli na ogrodzone miejsce dla orkiestry. Ich kroki odbijały się od desek płaskim, martwym echem. W jednym rogu leżała przewrócona podstawka na nuty. Była tu też pusta butelka po Four Roses. No tak, oczywiście, przyjeżdżały tu małe kurwiszony.

- Co? - zapytała Alma, nieco zaskoczona, nieco zdenerwowana.
- Morderca uśmiechnął się radośnie i pokazał jej coś leżącego koło podstawki na nuty.
- Widzisz?

Spojrzała tam, gdzie wskazywał palcem. Na deskach leżał zużyty kondom, wyglądający jak skurczona skóra węża.

Twarz Almy znieruchomiała. Odwróciła się tak szybko, że niemal minęła mordercę.

- To wcale nie jest śmieszne...
- Morderca złapał ją, szarpnął, rzucił na poręcz.
- A ty dokąd się wybierasz?

Oczy dziewczyny stały się nagle czujne i przestraszone.

- Puść mnie. Albo pożałujesz. Nie mam czasu na głupie dowcipy...
- To żaden dowcip. To żaden dowcip, ty mały kurwiszonie! - Czuł zawrót głowy z radości, że powiedział, że powiedział jej wreszcie, za kogo ją ma. Świat wirował mu przed oczami.

Alma pobiegła w lewo, w stronę niskiej barierki otaczającej scenę. Chciała ją przeskoczyć, lecz morderca złapał za kołnierz taniego płaszcza i znów szarpnął. Materiał pękł z cichym trzaskiem; dziewczyna otworzyła usta do krzyku.

Uderzył ją pięścią w otwarte usta, miażdżąc wargi o zęby. Poczuł, jak po palcach ścieka mu ciepła krew. Broniła się, próbowała go uderzyć, złapać go za ubranie, ale nie mogła. Nie mogła, bo był taki... taki...

Gładki!

Przewrócił ją na deski. Zdjął dłoń z jej twarzy i Alma znów otworzyła usta do krzyku, lecz morderca padł na nią i powietrze uszło z jej płuc z cichym stęknieniem. Teraz mogła go już poczuć, był wielki, twardy jak skała, pulsujący; już nie próbowała krzyczeć, lecz zaczęła walczyć. Jej palce ślizgały się po nim, ślizgały, ślizgały. Siłą rozłożył jej nogi i leżał pomiędzy nimi. Jedną ręką trafiła go w nos i do oczu napłynęły mu łzy.

- Mały kurwiszon - szepnął morderca i objął dłońmi szyję Almy. Zaczął ją dusić, podnosząc jej głowę i waląc nią w deski podium. Oczy dziewczyny wyszły na wierzch. Twarz zrobiła się różowa, później czerwona, później krwistopurpurowa. Walczyła coraz słabiej.

- Mały kurwiszon, mały kurwiszon, mały kurwiszon - szeptał ochryple morderca. Teraz już naprawdę był mordercą, a Alma Franchette nigdy już nie będzie ocierać się o klientów Coffee Pot. Oczy wyszły jej na wierzch jak oczy jednej z tych zwariowanych lalek, sprzedawanych w parku podczas zabawy w ostatki. Morderca dyszał ciężko. Ręce dziewczyny leżały nieruchomo na deskach. Palce mordercy niemal całkiem znikły w jej ciele.

Puścił gardło Almy, gotów złapać je znowu, gdyby się poruszyła. Ale nie poruszyła się. Po chwili morderca drżącymi rękami rozerwał jej płaszcz; pod spodem dziewczyna miała na sobie różowy fartuszek kelnerki.

Patrzyło na niego tylko białe niebo. Miejski park Castle Rock był pusty. I rzeczywiście, zgwałconą i zamordowaną Almę Franchette znaleziono dopiero następnego dnia. Szeryf był pewien, że zrobił to jakiś włóczęga. Wielkie nagłówki pojawiły się nawet w gazetach stanowych, a obywatele

Castle Rock gremialnie poparli teorię szeryfa.

Czegoś tak strasznego nie mógł przecież zrobić żaden miejscowy chłopak.

ROZDZIAŁ 5

1

Herb i Vera Smith powrócili do Pownal; ich życie nadal toczyło się zwyczajnie. W grudniu Herb skończył dom w Durham. Oszczędności stopniały, jak to przewidywała Sara, i musieli zgłosić się do władz stanowych o zapomogę z powodu Poważnego Wypadku Losowego. Herb postarzał się po tym niemal jak po samym wypadku. PWL było tylko skomplikowaną nazwą dobroczynności, zasiłku. Całe życie pracował ciężko i uczciwie, tymi rękami; był pewien, że nigdy nie nadejdzie dzień, kiedy będzie musiał zebrać o stanowy dolar, ale taki dzień nadszedł.

Vera zaprenumerowała trzy nowe magazyny, które od czasu do czasu przychodziły pocztą. Wszystkie były kiepsko drukowane, a ilustrowały je chyba utalentowane dzieci. *Latające spodki Boga*, *Nadchodzące przemienienie* i *Psychiczne cuda Boga*. *The Upper Room*, przychodzący regularnie co miesiąc, leżał czasami w kopercie kilka tygodni, natomiast te trzy Vera zaczytywała na strzępy. Znalazła w nich mnóstwo wzmianek, które mogły odnosić się do wypadku Johnny'ego; te właśnie „perełki” czytała swemu zmęczonemu mężowi podczas kolacji piskliwym, przenikliwym głosem, aż drżącym z zachwytu. Herb zorientował się, że ucisza ją coraz częściej i częściej; a kilka razy nawet wrzasnął, żeby przestała wygadywać bzdury i zostawiła go w spokoju. Kiedy tak krzyczał, patrzyła na niego wzrokiem, w którym niewinne cierpienie mieszało się z urazą i współczuciem, a później zniknęła w sypialni, by tam kontynuować swe studia. Zaczęła korespondować z magazynami, wymieniając listy z ich współpracownikami oraz ludźmi, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji.

Większość z nich była całkiem do niej podobna i miała dobre serca; ludzie ci chcieli tylko pomóc, ulżyć jej w bólu, który był nie do zniesienia. Wysyłali modlitwy i paciorki swych różańców, wysyłali amulety i obietnice, że włączą prośby o Johnny'ego do swych codziennych modłów. Ale zdarzali się inni, zwykli oszuści i Herb niepokoił się, bo jego żona coraz słabiej odróżniała jednych od drugich. Otrzymała ofertę kupna drzazgi z Jedynego Prawdziwego Krzyża Pana Naszego za jedyne 99 dolarów i 98 centów. Otrzymała ofertę kupna fiołki z wodą zaczerpniętą ze źródła w Lourdes; woda ta, wtarta w czoło Johnny'ego, miała na pewno spowodować jego cudowne uzdrowienie. Fiołka kosztowała 110 dolarów plus opłaty pocztowe. Tańsza (i znacznie dla niej atrakcyjniejsza) była kasetka magnetofonowa do nieprzerwanego odtwarzania z nagrany Psalmem Dwudziestym Trzecim i Modlitwą Pańską, odmawianą przez kaznodzieję z południa, Billy'ego Humbarra. Odtwarzana przez kilka tygodni przy łóżku Johnny'ego miała, zgodnie z ulotką, szybko go uzdrowić. Do kasety dołączano błogosławieństwo Billy'ego Humbarra (Działania Tylko Chwilowo) i jego zdjęcie z autografem.

W miarę jak rosło jej uwielbienie dla tych pseudoreligijnych bzdur, Herb musiał interweniować coraz częściej. Czasami darł w tajemnicy jej czeki i po prostu poprawiał odpowiednio stan konta. Z kolei kiedy w ofercie nakazywano płacenie gotówką, i to wyłącznie gotówką, musiał działać ostrzej - a Vera zaczynała się od niego oddalać, zaczynała nieufnie przyglądać się mu, grzesznikowi, niedowiarkowi.

2

Sara Bracknell spędzała dni w szkole. Popołudnia i wieczory nie różniły się niczym od tych, które nastąpiły po zerwaniu z Danem. Żyła w próżni, czekając, aż coś się zdarzy.

Rozmowy pokojowe w Paryżu zakończyły się fiaskiem. Nixon rozkazał kontynuować bombardowania Hanoi, mimo rosnącego sprzeciwu w kraju i za granicą. Na konferencji prasowej pokazywał zdjęcia dowodzące bezspornie, że amerykańskie samoloty nie bombardują wietnamskich szpitali. Śledztwo w sprawie brutalnego gwałtu i morderstwa na kelnerce z Castle Rock umorzono po zwolnieniu wędrownego malarza szyldów, który spędził kiedyś trzy lata w stanowym szpitalu dla umysłowo chorych w Augusta - wbrew powszechnym oczekiwaniom, alibi malarza okazało się

niepodważalne. Janis Joplin wyrzaskiwała swe bluesy. Paryż zadekretował (drugi rok z rządu), że kobiety powinny nosić dłuższe sukienki, ale sukienki wcale się od tego nie wydłużyły. Sara zdawała sobie z tego sprawę w jakiś niewyraźny sposób, jakby słyszała głosy z sąsiedniego pokoju, w którym odbywała się huczna zabawa.

Spadł pierwszy śnieg - bardzo drobny - a później padało po raz drugi i trzeci i na dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem rozpętała się zamieć, która spowodowała zamknięcie szkół na jeden dzień. Sara przesiedziała ten dzień w domu, patrząc, jak śnieg zasypuje Flagg Street. Krótki czas, który spędziła z Johnnym (nie mogła nawet nazwać tego przygodą), był już częścią innej epoki. Czowała, jak Johnny oddala się od niej. Uczucie to powodowało panikę, jakby jakaś jej część tonęła. Tonęła w strumieniu dni.

Sporo czytała o urazach głowy, śpiączkach i uszkodzeniach mózgu. Niewiele jej to dało. Dowiedziała się, że w małym miasteczku w Maryland była czternastoletnia dziewczynka, która przetrwała w stanie śpiączki sześć lat, że w Anglii, w Liverpoolu, młody robotnik z doków, uderzony w głowę przez hak dźwigu, przeżył w stanie śpiączki czternaście lat, a potem umarł. Ten wielki, silny doker powoli tracił kontakt ze światem; chudł, łysiał, nerwy wzrokowe zmieniały się w papkę za zamkniętymi oczami, ciało - w miarę kurczenia się ścięgien - przybierało powoli pozycję płodu. Płynął pod prąd czasu, znów stał się płodem, pływał w płodowych wodach czasu, a jego mózg się degenerował. Po śmierci zrobiono sekcję i stwierdzono, że fałdy i zwoje mózgowo wygładziły mu się, że czołowe płaty mózgu stały się jednociele gładkie.

Och, Johnny, to po prostu nie w porządku, myślała Sara, patrząc, jak na dworze pada śnieg, wypełniając świat jednolitą bielą, grzebiąc pod nią umarłe lata i czerwonożółtą jesień. To nie w porządku, powinni pozwolić ci spokojnie odejść.

Co dziesięć dni, dwa tygodnie, przychodził list od Herba Smitha - Vera miała swoich korespondencyjnych przyjaciół, a on miał swoich. Herb pisał wielkimi, okrągłymi literami, używając staroświeckiego wiecznego pióra. *Pozostajemy w dobrym zdrowiu. Czekamy, co zdarzy się w przyszłym roku, jak i Ty z pewnością czekasz. Tak, ja też sporo czytałem, wiem, czego w swej delikatności nam nie napisałaś, Saro. Wygląda to źle. Ale oczywiście mamy nadzieję. Nie wierzę w Boga tak jak Vera, wierzę w niego w inny sposób i myślę, dlaczego nie zabrał Johna od razu, jeśli taki miał zamiar. Pewnie nikt tego nie wie. Została tylko nadzieja.*

A w innym liście: *Tego roku musiałem sam zrobić większość gwiazdkowych zakupów, ponieważ Vera uznała, że to grzeszny zwyczaj. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że cały czas jej się pogarsza. Zawsze sądziła, że to raczej święty dzień, nie święta — jeśli rozumiesz, co mam na myśli - i gdyby zobaczyła, że piszę Gwiazdka zamiast Boże Narodzenie, to pewnie „rozwalilaby mi łeb”. Zawsze powtarzała, że powinniśmy pamiętać, iż to urodziny Jezusa Chrystusa, a nie Świętego Mikołaja, ale nigdy przedtem nie miała nic przeciw zakupom. Nawet raczej je lubiła. Teraz mam wrażenie, że nie robi nic, tylko się na nie wścieka. Ludzie, do których w kółko pisze listy, podsuwają jej te głupie pomysły. Rany, jak bym chciał, żeby już przestała i żeby wszystko wróciło do normy. Poza tym pozostajemy w dobrym zdrowiu.*

I ta kartka świąteczna, nad którą Sara uroniła kilka łez: *Najlepsze życzenia Wesołych Świąt od nas obojga, a na wypadek, gdybyś chciała przyjechać i spędzić Gwiazdkę z dwójką „staruchów”, przygotowaliśmy gościnną sypialnię. Vera i ja pozostajemy w dobrym zdrowiu. Mam nadzieję i jestem pewny, że Nowy Rok okaże się lepszy dla nas wszystkich. Herb i Vera.*

Nie pojechała na Boże Narodzenie do Pownal, częściowo z powodu Very, która pograżała się coraz głębiej w swym własnym świecie - tempo, w jakim się to działo, łatwo było odczytać między wierszami listów Herba - a częściowo dlatego, że związki z tymi ludźmi wydawały się jej teraz dziwne i słabe. Nieruchoma postać leżąca w szpitalu w Bagnor, niegdyś oglądana okiem pamięci w zbliżeniu, obecnie wyglądała tak, jakby Sara patrzyła na nią przez odwrotną stronę jakiegoś wewnętrznego teleskopu; był jak balonowy człowieczek, słabiutki i malutki. Miała więc wrażenie, że lepiej trzymać się z daleka.

Być może Herb wyczuł to także. Kiedy rok 1970 zmienił się w 1971, jego listy przychodziły rzadziej. W jednym z nich napisał tak wyraźnie, jak tylko mógł, że nadszedł najwyższy czas, żeby zaczęła znowu żyć jak przedtem i zakończył go stwierdzeniem, iż wątpi, by taka ładna dziewczyna cierpiała na brak adoratorów.

Ale Sara nie umawiała się na randki; wcale tego nie chciała. Gene Sedecki, nauczyciel matematyki, z którym kiedyś umówiła się na wieczór trwający chyba z tysiąc lat, zaczął ją zapraszać

nieprzyzwoicie wcześniej po wypadku Johnny'ego. I chociaż Gene należał do ludzi, których trudno zniechęcić, odniosła wrażenie, że wreszcie zaczął pojmować. Z pewnością nie za wcześniej.

Czasami zapraszali ją inni mężczyźni i jeden z nich, student prawa nazwiskiem Walter Hazlett, nawet się jej spodobał. Spotkała go u Anne Strafford na sylwestrze. Miała zamiar pojawić się tam tylko na chwilę, ale została dość długo, rozmawiając przede wszystkim z nim. Trudno jej było odmówić Hazlettowi, kiedy poprosił o spotkanie, ale musiała to zrobić, ponieważ zbyt dobrze zdawała sobie sprawę, dlaczego tak się jej podoba: Walter był wysoki, miał gęste, wiecznie potargane, brązowe włosy, krzywy, jakby cyniczny uśmiech i bardzo przypominał jej Johnny'ego. Na tej podstawie nie da się zbudować trwałego związku z mężczyzną.

Na początku listopada zaprosił ją na randkę mechanik, który reperował jej samochód w warsztacie w Cleaves Mills. I znów niemal się zgodziła; powiedziała „nie” w ostatniej chwili. Nazywał się Arnie Tremont. Był wysoki, ciemnoskóry, uśmiechnięty i przystojny w ten drapieżny sposób, który przypominał jej trochę Jamesa Brolina z programu doktora Welby'ego, a jeszcze bardziej pewnego członka Delta Tau Delta imieniem Dan.

Lepiej zaczekać. Zaczekać i zobaczyć, co się wydarzy.

Ale nic się nie wydarzyło.

Latem 1971 roku Greg Stillson, szesnaście lat starszy i mądrzejszy od sprzedawcy Biblii, który na pustym podwórku farmy w stanie Iowa zabił kopniakami psa, siedział w Ridgeway, stan New Hampshire, w pokoju na zapleczu biura swej niedawno powstałej firmy, zajmującej się ubezpieczeniami i handlem nieruchomościami. Przez te lata niewiele się postarzał. Wokół jego oczu pojawiła się siatka zmarszczek i włosy miał dłuższe (choć nadal w granicach normy). Ciągle był potężnym mężczyzną; obrotowe krzesło zatrzeszczało, kiedy się poruszył.

Siedział, paląc papierosa, i patrzył na mężczyznę rozwalonego wygodnie w stojącym naprzeciwko krześle. Greg przyglądał się temu mężczyźnie tak, jak zoolog mógłby przyglądać się nowemu, ciekawemu okazowi.

- Coś ci padło na oczy? - zapytał Sonny Elliman.

Elliman miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Nosił wiekową, wytartą kurtkę dżinsową z obciętymi rękawami i guzikami. Bez koszuli. Nazistowski żelazny krzyż, czarny, ozdobiony białym chromem, wisiał na jego nagiej piersi. Pasek, biegnący tuż pod okazałym brzuszkiem, świadczącym o zamiłowaniu do piwa, miał klamrę z kości słoniowej w postaci wielkiej czaszki. Spod postrzępionych nogawek dżinsów wystawały podkute, kwadratowe noski ciężkich butów. Włosy Ellimana spadały aż na plecy, splątane i błyszczące od nagromadzonego w nich tłuszczu i oleju silnikowego. Z jednego ucha wisiał kolczyk w kształcie czarnej, ozdobionej białym chromem swastyki. Na czubku grubego palca Elliman obracał motocyklowy kask. Na plecach jego dżinsowej kurtki wyszyty był uśmiechnięty czerwony diabeł z rozdwójonym językiem. Nad portretem diabła widniał napis: „Diabelska Dwunastka”, a pod nim: „Sonny Elliman, Prezes”.

- Nie - odpowiedział Greg Stillson. - Nic mi nie padło na oczy oprócz faceta, który wygląda na cholernego dupka.

Elliman zeszytniał, a później rozluźnił się i roześmiał. Mimo brudu, niemal dotykającego smrodu i nazistowskich symboli, w jego ciemnozielonych oczach błyszczała inteligencja, a nawet poczucie humoru.

- No, załatw mnie, chłopie! - powiedział. - Już to przedtem robili. Masz swoją szansę.

- Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

- Jasne - przytaknął Elliman. - Zostawiłem moich chłopaków w Hamptons i sam tu przyjechałem. Niech spadnie to na moją głowę, chłopie. - Uśmiechnął się. - Ale jeśli złapiemy cię w podobnej sytuacji, módl się o pancerne nerki.

- Zaryzykuję. - Greg Stillson przyjrzał się mówiącemu. Obaj byli potężnie zbudowani. Oceniał, że Elliman ma z dwadzieścia kilo przewagi, ale były to jedynie mięśnie z piwa. - Załatwiłbym cię, Sonny.

Twarz mężczyzny znów wykrzywiła się w przyjaznym uśmiechu.

- Może tak, a może nie. Ale my się w to nie bawimy, chłopie. Nie bawimy się w te amerykańskie gadki jak z Johna Wayne'a. - Pochylił się, jakby zdradzał wielki sekret. - Ja osobiście, kiedy tylko dostanę kawałek szarlotki wprost od mamusi, zawsze dbam o to, żeby na nią nasrać.

- Nieładnie się wyrażasz - powiedział łagodnie Greg.

- Czego ode mnie chcesz? Dlaczego nie załatwimy sprawy? Spóźnisz się na spotkanie Młodej

Izby Handlowej.

- Nie. - Greg ciągle był spokojny. - Spotykamy się we wtorek wieczorem. Mamy kupę czasu. Elliman chrząknął ze wstrętem.

- A ja sobie myślę - mówił dalej Greg - że chyba to ty chcesz czegoś ode m n i e. - Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej trzy foliowe torebki z marihuaną. Z zielskiem pomieszanym było kilka kapsulek. - Znalazłem to w twoim śpiworze. Bardzo brzydko, Sonny. Brzydki chłopiec! To nie mandat na dwieście dolarów. Za to idzie się wprost do więzienia stanowego.

- Nie masz nakazu rewizji. Najlepszy prawnik wyciągnąłby mnie z tego, dobrze o tym wiesz.

- Nic o tym nie wiem. - Greg Stillson odchylił się w krześle i położył na biurku stopy w pantoflach kupionych poza granicą stanu, w Maine, w L.L. Bean's. - W tym miasteczku coś już znaczą, Sonny. Przy wlokłem się do New Hampshire kilka lat temu, prawie na kolanach, a już rozkręciłem całkiem niezły biznes. Pomogłem radzie miejskiej rozwiązać kilka problemów, między innymi ten, co robić z dziećmi, których szef policji łapie z trawką... Och, nie mam na myśli łobuzów jak ty, Sonny, my wiemy, co robić z podobnymi włóczęgami, jeśli złapiemy ich z ukrytym skarbem - takim, jaki właśnie leży u mnie na biurku. Mam na myśli miłe, miejscowe dzieciaki. Tak naprawdę nikt nie chce im nic zrobić, wiesz? Uświadomiłem im to. Zamiast iść do więzienia, niech pracują dla dobra społeczności, powiedziałem. I okazało się, że to znakomity pomysł. Teraz największy miejscowy handlarz jest trenerem naszej drużyny juniorów i robi wspaniałą robotę.

Elliman sprawiał wrażenie znudzonego. Greg nagle gwałtownie postawił stopy na podłodze, złapał puchar z wypisanymi na boku literami: UNH i cisnął nim w głowę rozmówcy, chybiając nie więcej niż o centymetr. Puchar przeleciał przez pokój i rozbił się o stojącą w rogu szafkę na akta. Po raz pierwszy Elliman wyglądał na zaskoczonego. I - tylko przez chwilę - twarz tego starszego, mądrzejszego Grega Stillsona zmieniła się w twarz młodego mężczyzny, który kopniakami zabił psa.

- Masz słuchać, kiedy mówię - powiedział cicho Greg - ponieważ dotyczy to twej przyszłości na najbliższe mniej więcej dziesięć lat. I jeśli nie chcesz spędzić ich na pracy przy stemplowaniu tablic rejestracyjnych słowami ŻYJ WOLNY LUB UMRZYJ, będziesz mnie słuchał, Sonny. Będziesz udawał, że to twój pierwszy dzień w szkole, Sonny. Będziesz próbował zrozumieć wszystko za pierwszym razem, Sonny.

Elliman spojrzął na okruchy wazy, a później na Stillsona. Podsztyła niepokojem cierpliwość zastąpiło prawdziwe zainteresowanie. Już od dłuższego czasu nic go tak naprawdę nie ciekawiło. Pojechał po piwo, bo się nudził. Pojechał sam, bo się nudził. A kiedy ten waśniak zatrzymał go na drodze, migając niebieskim światełkiem na wierzchu deski rozdzielczej swego kombi, Sonny Elliman przypuszczał, że będzie miał do czynienia z kolejnym wsiowym zastępcą szeryfa, broniącym swego terytorium przed wielkim, brzydkim motocyklistą na podrasowanym harleyu-davidsonie. Lecz ten gość był inny. Był... był...

Szalony! - zorientował się zachwycony Sonny. Na ścianie ma dwa dyplomy za służbę społeczną, zdjęcia, jak przemawia do członków Klubu Lwów, jest wiceprezydentem Młodej Izby Handlowej w górnianym miasteczku, w przyszłym roku zostanie prezydentem, a jest szalony jak marcowy królik!

- W porządku. Będę słuchał.

- Można powiedzieć, że moje życie układało się w kratkę - wyznał Greg. - Bywało nieźle, ale bywało też kiepsko. Nie zawsze słuchałem, co mówi prawo. Próbuję ci wytłumaczyć, Sonny, że nie mam w stosunku do ciebie żadnych uprzedzeń. Nie tak, jak inni obywatele tego miasta. Czytali w *Union Leader* o tym, co ty i twoi przyjaciele na motocyklach wyrabiacie w Hamptons, i mieliby ochotę wykastrować cię zardzewiałą brzytwą.

- To nie Diabelska Dwunastka - odparł Sonny. - Wywialiśmy z północy stanu Nowy Jork, żeby posiedzieć trochę na plaży, chłopie. Jesteśmy na wakacjach. To nie my rozwalamy te ichnie mordownie. To banda Aniołów Piekła rozwała tam ludziom mordy i odłam Czarnych Jeźdźców z New Jersey, ale wiesz, kto najbardziej rozrabia? Banda studenciaków. - Usta mówiącego skrzywiły się pogardliwie. - Lecz gazety nie lubią o tym pisać, co? Raczej obciążą nas niż Jasia i Małgosię.

- Jesteś znacznie barwniejszą postacią - stwierdził spokojnie Greg. - A William Loeb z *Union Leadera* nie przepada za klubami motocyklowymi.

- To nędzny, łysy kretyn - mruknął Sonny. Greg wyjął z biurka płaską półlitrową butelkę bourbona Leader's.

- Wypijmy za to - powiedział, odkręcając korek. Jednym łykiem opróżnił połowę butelki. Westchnął ciężko, w oczach miał łzy. Podał bourbona przez biurko. - A ty?

Sonny wykończył butelkę. Gorący płomień wybuchł mu w żołądku i sięgnął gardła.

- Oświeć mnie, bracie - sapnął.

Greg odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Dogadamy się, Sonny - stwierdził. - Mam wrażenie, że się doskonale dogadamy.
- Czego chcesz? - spytał go Sonny, trzymając w ręku pustą butelkę.
- Niczego... na razie. Ale mam uczucie... - Spojrzenie Grega stało się nagle dalekie, niemal puste.

- Powiedziałem ci, że tu, w Ridgeway, jestem kimś. Mam zamiar startować w najbliższych wyborach na burmistrza i wygram. Ale to...

- Początek - podsunął Sonny.
- Tylko początek. Tylko. - Oczy Grega Stillsona nadal były puste. - Wszystko mi się udaje. Ludzie to wiedzą. Wiedzą, że to, co robię, robię dobrze. Czuję... jakby czekała mnie wielka przyszłość. Wielka, bez granic. Ale nie... jestem całkiem... pewny, co mam na myśli. Wiesz?

Sonny tylko wzruszył ramionami.

Pustka w oczach Stillsona znikła.

- Jest taka bajka, Sonny. Bajka o myszy, która wyjęła cierń z łapy lwa. Zrobiła to, żeby odplacić się lwu za to, że jej nie zjadł. Znasz tę bajkę?
- Chyba ją słyszałem, jak byłem mały. Greg skinął głową.
- No, trzeba jeszcze poczekać kilka lat... na to, na co czekamy, Sonny. - Przesunął torebki z narkotykami po biurku. - Nie mam zamiaru cię zgnoić. Mógłbym, gdybym chciał, wiesz? Najgłupszy prawnik by cię z tego nie wyciągnął. W tym mieście, z rozruchami w Hamptons, zaledwie trzydzieści kilometrów stąd, nie wyciągnąłby cię tu z tego nawet pieprzony Clarence Darrow. Ci ludzie z radością patrzyliby, jak dyndasz na gałęzi.

Elliman nie odpowiedział, ale podejrzewał, że Greg ma rację. Nie miał ze sobą nic obciążającego - zaledwie trochę haszu -lecz kolektywni rodzice Jasia i Małgosi z rozkoszą patrzyliby, jak łupie kamienie w Portsmouth z włosami ostrzyżonymi do samej skóry.

- Nie mam zamiaru cię wkopać - powtórzył Greg. - Mam tylko nadzieję, że będziesz o tym pamiętał za parę lat, kiedy wbiję sobie cierń w łapę... albo będę miał dla ciebie jakąś robotę. Będziesz?

Wdzięczność nie należała do ograniczonego zasobu ludzkich uczuć, jakie znał Sonny Elliman, ale należała do nich ciekawość. W stosunku do Stillsona żywił ambiwalentne uczucia.

Widoczne w jego oczach szaleństwo sugerowało mnóstwo rzeczy, ale z pewnością nie nudę.

- Kto wie, gdzie będziemy za kilka lat? - powiedział. - Możemy już nie żyć, chłopie.
- Tylko o mnie pamiętaj. O nic innego nie proszę. Sonny przyjrzał się okrucieństwu pucharu.
- Będę pamiętał - obiecał.

4

Minął rok 1971. Rozruchy na plażach New Hampshire skończyły się, a biadolenia tamtejszych przedsiębiorców ucichły pod wpływem rosnących wkładów na ich kontach. Zupełnie nieznaną osobą, niejaki George McGovern, zgłosił już swą kandydaturę na prezydenta. Wszyscy interesujący się polityką wiedzieli, że Partia Demokratyczna nominuje do wyborów w 1972 roku Edmunda Muskie; byli i tacy, którzy wierzyli, że Muskie zwycięży trolla z San Clemente i rzuci go na matę.

W pierwszych dniach czerwca, tuż przed początkiem letnich wakacji, Sara znów spotkała młodego studenta prawa. Było to w sklepie Day's; ona szukała opiekacza do grzanek, a on prezentu na rocznicę ślubu rodziców. Zaprosił ją do kina - w mieście grali nowy film z Clintem Eastwoodem, *Brudny Harry*. Sara zgodziła się i obydwójce dobrze się bawili. Walter Hazlett zapuścił brodę i już nie przypominał tak bardzo Johnny'ego. W rzeczywistości coraz trudniej przychodziło jej przypomnieć sobie, jak dokładnie wyglądał Johnny. Jego twarz wracała do niej tylko w snach, w snach, w których stał naprzeciwko koła fortuny, patrząc, jak się obraca; twarz miał chłodną, jego niebieskie oczy były ciemne, w tym niepokojącym, nawet nieco strasznym kolorze ciemnego fioletu, i patrzył na koło fortuny, jakby na nie polował.

Sara i Walt spotykali się coraz częściej. Dobrze czuła się w jego towarzystwie. Niczego nie wymagał - a jeśli nawet, to jego wymagania rosły tak powoli i stopniowo, że trudno to było dostrzec. W październiku zapytał, czy może kupić jej mały pierścionek z diamentem. Odpowiedziała, że chciałaby to sobie przemyśleć przez sobotę i niedzielę. W sobotę wieczorem wybrała się do Centrum Medycznego Wschodniego Maine, w rejestracji wzięła specjalną przepustkę - dla gości - z czerwoną

obwódka i poszła na oddział intensywnej terapii. Przez godzinę siedziała przy łóżku Johnny'ego. Za oknem, w ciemności, wiał jesienny wiatr obiecujący mróz, obiecujący śnieg, zapowiadający nadejście pory śmierci. Do rocznicy jarmarku, koła i wypadku samochodowego pozostało jeszcze szesnaście dni.

Siedziała, słuchając wiatru i patrząc na chorego. Zdjęto mu bandaż. Na czole miał bliznę zaczynającą się dwa centymetry nad prawą brwią i niknącą wśród włosów. Włosy miał kompletnie białe - przypomniało jej to tego detektywa z serialu *Komisariat 87*; tak, nazywał się Cotton Hawes. Nie widziała w nim żadnych objawów degeneracji, oprócz nieuniknionego spadku wagi. Był to po prostu chłopak, prawie jej nie znany, który mocno spał.

Sara pochyliła się i pocałowała go w usta, jakby była w stanie w nieco zmienionej wersji powtórzyć historię ze starej bajki i jakby jej pocałunek mógł go obudzić. Ale Johnny spał nadal.

Wyszła, wróciła do swego mieszkania w Veazie, poszła do łóżka i płakała, a na zewnątrz, w ciemności, wiał wiatr, rozwiewając po ulicach żółte i czerwone liście. W poniedziałek powiedziała Walterowi, że jeśli rzeczywiście chce jej kupić pierścionek - tylko ma być mały, pamiętaj! - to ona będzie dumna i szczęśliwa, mogąc go nosić.

Taki był rok 1971 dla Sary Bracknell.

Na początku 1972 roku, podczas pełnej uczucia przemowy, wygłaszanej przed biurem człowieka, którego Sonny Elliman nazwał „nędznym, łysym kretynem”, Edmund Muskie rozplakał się. George McGovern namieszał w wyborach wstępnych i szczęśliwy Loeb na łamach swej gazety ogłosił, że obywatele New Hampshire nie lubią mazgajów. W lipcu nominowano McGoverna. Również w lipcu Sara Bracknell została Sara Hazlett.

Johnny Smith spał nadal. I nagle, z wielką i straszną siłą, przypomniał się Sarze - akurat wtedy, kiedy Walt całował ją wśród najbliższych zebranych na ceremonii; Johnny, pomyślała Sara i zobaczyła go takim, jakim był, kiedy nagle zapaliło się światło i ukazał się na pół Jekyll, na pół szczerzący zęby Hyde. Na chwilę zeszywniała w ramionach Walta, a później wszystko się skończyło. Wspomnienie czy wizja, jakkolwiek to nazwać, znikła.

Po długim namyśle i rozmowie z Waltem zaprosiła na ślub rodziców Johnny'ego. Herb przyjechał sam. Na przyjęciu zapytała go, czy Vera czuje się dobrze.

Herb rozejrzał się, dostrzegł, że na moment zostali sami, i jednym łykiem wypił swoją whisky z wodą sodową. Sara pomyślała, że przez ostatnie półtora roku postarzał się o pięć lat. Włosy mu się przerzedziły. Zmarszczki na twarzy stały się głębsze. Nosił okulary w sposób jakże charakterystyczny dla ludzi, którzy właśnie zaczęli je nosić, i za łagodnymi szklami korekcyjnymi jego oczy były zmęczone i pełne bólu.

- Nie... nie czuje się dobrze. Mówiąc prawdę, jest teraz w Vermont. Na farmie. Czeka na koniec świata.

- Co?

Herb opowiedział jej, że pół roku temu Vera zaczęła korespondować z grupą około dziesięciu osób, które nazwały się Amerykańskim Stowarzyszeniem Końca Świata. Ich przywódcą był pan Harold L. Stonkers z Racine, Wisconsin, wraz z małżonką. Państwo Stonkers twierdzili, że podczas wakacji pod namiotem zostali porwani na latający spodek. Zabrano ich do nieba, które wcale nie znajdowało się w konstelacji Oriona, lecz na planecie typu ziemskiego, krążącej wokół Arkturusa. Tam przyjęto ich do grona aniołów i pokazano im Raj. Stonkersowie zostali poinformowani, że zbliża się koniec świata, dano im dar telepatii i wysłano z powrotem na Ziemię, by zebrali wokół siebie grupkę wiernych - coś w rodzaju załogi promu kosmicznego do raju. Więc zebrała się ta dziesiątka, kupiła farmę na północ od St. Johnsbury i osiedliła się tam jakieś siedem tygodni temu, czekając na spodek, który miał po nich przylecieć.

- To czyste... - zaczęła Sara i zamilkła.

- Wiem - stwierdził Herb. - Czyste szaleństwo. Farma kosztowała ich dziewięć tysięcy dolarów. Składa się ze zrujnowanego domu i dwóch akrów ugorów. Vera wpłaciła siedemset dolarów - tylko tyle udało się jej zebrać. Nie mogłem jej zatrzymać... chyba że bym ją ubezpieczył. - Przerwał i uśmiechnął się. - Ale nie powinienem mówić o tym na twoim weselu, Saro. Ty i twój mąż będziecie mieli wszystko, co najlepsze. Jestem tego pewien.

Sara też zmusiła się do uśmiechu.

- Dziękuję, Herb. Czy ty... to znaczy, czy sądzisz, że ona...

- Wróci? Och, oczywiście. Jeśli świat nie skończy się przed zimą, to z pewnością wróci.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - rzekła szczerze Sara i objęła go mocno.

5

Farma w Vermont nie miała ogrzewania i w końcu października, nie doczekawszy się latającego spodka, Vera wróciła do domu. Spodek nie przyleciał, oznajmiła, ponieważ nie byli całkowicie doskonali, nie zmasali jeszcze wszystkich grzechów. Była jednak bardzo entuzjastycznie nastawiona do życia i podniesiona na duchu. Otrzymała znak we śnie. Być może jej przeznaczeniem nie było Wniebowstąpienie w latającym spodku. Coraz wyraźniej czuła, że będzie potrzebna, by prowadzić swego chłopca i wskazywać mu właściwą drogę, kiedy wreszcie wyjdzie z tej śpiączki.

Herb wpuścił ją do domu, kochał najlepiej, jak potrafił - i życie biegło dalej. Johnny był nieprzytomny już od dwóch lat.

6

Nixon ponownie został prezydentem. Amerykańscy chłopcy zaczęli wracać do domu z Wietnamu. Walter Hazlett próbował zdać egzamin adwokacki. Sara uczyła w szkole, podczas gdy on śleczkał nad testami. Jej uczniowie, niegdyś durne, niezdarne pierwszaki, chodzili już do trzeciej klasy. Dziewczyny, niedawno wyglądające jak dzieci, miały duże biusty. Gapy, niezdolne znaleźć swą klasę, grały w szkolnej reprezentacji koszykówki.

Rozpoczęła się i skończyła druga wojna arabsko-izraelska. Rozpoczęła się i skończyła blokada dostaw ropy naftowej. Rozpoczęła się era niemożliwie wysokich cen benzyny i wcale nie chciała się skończyć. Vera Smith nabrała przekonania, że Chrystus wyłoni się spod ziemi i pojawi się na biegunie południowym. Wiadomości te pochodziły z nowej broszurki (siedemnaście stron, cena cztery dolary pięćdziesiąt centów) zatytułowanej: *Tropikalna kryjówka Boga*. Postawiona w tej broszurce teza, zaskakująca i szokująca, brzmiała tak: niebo w istocie mieści się pod naszymi stopami i najłatwiejszy dostęp do niego znajduje się na biegunie południowym. Jeden z rozdziałów zatytułowany był: „Doświadczenia psychiczne zdobywców bieguna południowego”.

Herb przypomniał jej, że niespełna rok wcześniej była przekonana, iż niebo krąży w kosmosie, najprawdopodobniej wokół Arktura.

- W to chętniej bym uwierzył niż w te bzdury o biegunie południowym - powiedział. - Mimo wszystko Biblia mówi, że niebo ma się znajdować u góry. To gorące miejsce w dole to raczej...

- Przestań - przerwała mu ostro Vera. Usta miała zaciśnięte tak, że wyglądały jak dwie cienkie, białe kreski. - Nie musisz kpić z tego, czego nie rozumiesz.

- Nie kpię.

- Bóg wie, czemu niedowiarki szydą, a poganie atakują - powiedziała Vera. Jej oczy błyszczały ślepym blaskiem. Siedzieli przy kuchennym stole, Herb miał przed sobą kanalizacyjne kolanko, Vera stos starych magazynów *National Geogra- phic*, które przerzucała, szukając artykułów i zdjęć z bieguna południowego. Za oknem chmury przesuwały się bezustannie ze wschodu na zachód i liście spadały z drzew jak deszcz. Nadszedł kolejny październik, a październik był dla niej zawsze najgorszym miesiącem. Wtedy w jej oczach częściej pojawiał się ten ślepy blask i zostawał w nich na dłużej. I zawsze w październiku Herb zaczynał myśleć, że mógłby zostawić ich oboje: żonę, która według wszystkich kryteriów najprawdopodobniej oszalała, i śpiącego syna, pod każdym praktycznym względem martwego. Obracając w rękach kolanko, Herb zastanawiał się: „Mógłbym się wynieść. Wrzucić swoje rzeczy na pick-upa i wyjechać. Może na Florydę? Do Nebraski? Kalifornii? Dobry cieśla wszędzie dobrze zarobi. Mogę się wynieść”.

Ale wiedział, że nie wyjedzie. Po prostu październik był miesiącem, w którym myślał o ucieczce, tak jak dla Very był prawdopodobnie miesiącem, w którym znajdowała jakąś nową ścieżkę do Chrystusa i ostatecznego zbawienia jedyne dziecko, jakie wyprodukowało jej niedoskonałe łono.

Herb sięgnął przez stół i wziął ją za rękę, chudą i taką kościstą - była to ręka starej kobiety. Vera podniosła wzrok, zaskoczona.

- Bardzo cię kocham, Vero - powiedział.

Vera uśmiechnęła się w odpowiedzi i przez jedną czarodziejską chwilę bardzo przypominała dziewczynę, o którą się starał i którą zdobył, dziewczynę, która w noc poślubną łaskotała go szczotką

do włosów. Był to łagodny uśmiech; jej oczy przez chwilę patrzyły bystro, ciepłe i kochające. Na dworze wyszło słońce, rzucając na ich podwórko ostre, ruchome cienie.

- Wiem, Herb. Ja też cię kocham. Położył drugą dłoń na jej dłoniach i objął je.

- Vero?

- Słucham? - Jej oczy były takie czyste... była z nim, tylko z nim i nagle zrozumiał, jak strasznie oddalili się od siebie przez te ostatnie trzy lata.

- Vero, jeśli on się nigdy nie obudzi... Niech Bóg broni, ale... my ciągle mamy siebie, prawda? To znaczy...

Vera wyrwała mu się nagle. Jego dłonie, w których trzymał jej ręce, nagle opustoszały; nic już między nimi nie było.

- Nigdy tego nie mów. Nigdy mi nie mów, że Johnny się nie obudzi.

- Ja tylko chciałem...

- Przecież to jasne, że on się obudzi - powiedziała, patrząc na podwórko, po którym ciągle przemykały cienie. - Bóg ma wobec niego taki plan. O, tak! Czy ty myślisz, że ja tego nie wiem? W i e m, uwierz mi. Bóg powierzy wielkie dzieła mojemu Johnny'emu. Słyszałam w sercu głos Boga.

- Oczywiście, Vero. Oczywiście.

Jej palce odnalazły *National Geographic* i zaczęły przewracać karki.

- J a w i e m - powtórzyła głosem niegrzecznego dziecka.

- W porządku.

Vera przeglądała magazyn. Herb oparł brodę na dłoniach, patrzył na słońce i na cienie i myślał o tym, jak szybko po złotym, zdradzieckim październiku przychodzi zima. Pragnął, żeby Johnny umarł. Kochał swego syna od samego początku. Widział zdumienie na jego małej buzi, kiedy przyniósł mu żabkę drzewną do wózka i włożył małe, żywe zwierzątko w jego dłoń. Uczył Johnny'ego, jak łowić ryby, jeździć na łyżwach i strzelać. Siedział przy nim całą noc podczas jego straszliwego starcia z grypą, w 1951 roku, kiedy gorączka osiągnęła oszałamiające czterdzieści i pół stopnia. Ukrywał łzy za podniesioną ręką, kiedy Johnny zdał maturę z wyróżnieniem i wygłosił mowę z pamięci, i nie zaciął się ani razu. Wiązało się z nim tyle wspomnień: jak uczył go prowadzić samochód, jak jednego roku pojechali na wakacje do Nowej Szkocji (Johnny miał wówczas osiem lat, stali razem na dziobie *Bolera* i chłopiec śmiał się, radosny i podniecony kołysaniem łodzi), jak pomagał mu odrabiać lekcje, budować domek na drzewie, rozpracować kompas, kiedy był harcerzem. Wszystkie te wspomnienia spletały się ze sobą bez żadnego chronologicznego porządku - łączyła je tylko postać Johnny'ego, Johnny'ego radośnie odkrywającego świat, który tak okrutnie go oszukał. A teraz życzył Johnny'emu śmierci, och, życzył mu jej tak gorąco; życzył mu śmierci, chciał, by jego serce stanęło, żeby spłaszczyła się linia EKG, żeby błysnął jak roztopiona świeca, z której został tylko knot w morzu wosku, żeby zmarł i uwolnił ich.

7

Sprzedawca piorunochronów przyjechał do zajazdu Cathy's w Somersworth, New Hampshire, wczesnym popołudniem upalnego letniego dnia, w tydzień po święcie Czwartego Lipca 1973 roku; a gdzieś, może wcale nie tak daleko, burze tylko czekały, by wykluc się wśród pionowych słupów ciepłych letnich prądów wznoszących.

Zatrzymał się przy zajeździe, by ugasić dokuczliwe pragnienie kilkoma piwami, a nie by coś sprzedać, lecz siłą wieloletniego nawyku spojrzął na dach długiego, niskiego budynku w wiejskim stylu. Jego równa linia na tle lśniącego, ciemnoszarego nieba spowodowała, że sięgnął po wytartą zamszową torbę, w której miał próbki towaru.

Wewnątrz zajazd był mroczny, chłodny i cichy, tylko wiszący na ścianie kolorowy telewizor wydawał z siebie stłumiony pomruk. Siedziało tu kilku stałych gości, a stojący za barem właściciel wraz z nimi oglądał *Jak kręci się ten świat*.

Sprzedawca piorunochronów usiadł na stołku za barem i położył torbę z próbkami na sąsiednim stołku, po lewej. Podszedł do niego właściciel.

- Cześć, przyjacielu. Co podać?

- Budweisera. Jeśli masz ochotę, to nalej jednego sobie.

- Ja zawsze mam ochotę - rzekł właściciel. Wrócił z dwoma piwami, wziął od mężczyzny dolara i położył na barze trzy dziesięciocentówki. - Bruce Carrick - dodał, wyciągając dłoń.

Sprzedawca piorunochronów potrząsnął nią.

- Nazywam się Dohay. Andrew Dohay. - Jednym łykiem wypił połowę piwa.
- Miło mi pana poznać - powiedział Carrick. Odszedł, by nalać młodej kobiecie jeszcze jedną Tequillę Sunrise, ale wrócił do Dohaya. - Spoza miasta?
- Tak - przyznał Dohay. - Komiwojażer. - Rozejrzył się wokół. - Czy zawsze tu tak pusto?
- Nie. W weekendy mam tłok i w tygodniu też mi coś wpadnie. Najwięcej zarabiam na prywatnych zabawach, jeśli w ogóle się zdarzają. Nie przymieram głodem, ale i nie jeżdżę cadillakiem. - Wycelował palcem w szklankę. - Nalać panu?
- Tak. I jeszcze jeden dla pana, panie Carrick.
- Bruce. - Carrick roześmiał się. - Chyba chcesz coś mi sprzedać.
- Przyszedłem tu splukać kurz z gardła, a nie ubić interes. Ale skoro o tym wspomniałeś... - Jednym, dobrze wyćwiczonym ruchem dźwignął torbę na bar. W środku coś zadzwoniło.
- No, nadszedł mój czas - powiedział Carrick i znów się roześmiał.

Dwaj zwyczajni goście: starszy mężczyzna z brodawką na prawej powiece i młodszy, w szarej wojskowej koszuli, podeszli bliżej, żeby zobaczyć, co sprzedaje Dohay. Kobieta o wydłużonej twarzy nadal oglądała serial.

Dohay wyjął z torby trzy pręty: jeden dłuższy, z mosiężną gałką na końcu, jeden krótszy i jeden zaopatrzony w porcelanowe izolatory.

- Co u diabła... - powiedział Carrick.
- Piorunochrony - stwierdził weteran i zachichotał. - On chce ocalić ten szynk przed gniewem Bożym, Bruce. Lepiej wysłuchaj, co ma do powiedzenia.

Znów się roześmiał, a chłopak w szarej wojskowej koszuli zawtórował mu. Twarz Carricka pociemniała; sprzedawca piorunochronów zorientował się, że jakakolwiek szansa na ubicie interesu rozwiała się jak sen. Był jednak dobrym komiwojażerem, wystarczająco dobrym, by rozpoznać tę dziwną kombinację osobowości i okoliczności, która zdarza się czasem i niszczy szansę sprzedaży, nim jeszcze zacznie się wygłaszać swój tekst. Przyjął to z filozoficznym spokojem i zaczął mówić, właściwie z przyzwyczajenia:

- Kiedy wysiadałem z samochodu, zauważyłem przypadkiem, że ten piękny dom nie jest wyposażony w piorunochron.. i że jest zbudowany z drewna. A za bardzo rozsądną cenę - i na doskonały kredyt, jeśli pragnąłbyś kredytu - mogę zagwarantować, że...
- ... że piorun uderzy w tę budę dziś o czwartej - powiedział mężczyzna w szarej wojskowej koszuli. Weteran zachichotał.
- Proszę się nie obrazić - wtrącił Carrick - ale czy widzisz to? - Wskazał złotą szpilkę wbitą w mały kawałek drewna wiszący koło telewizora, blisko baterii błyszczących butelek. Szpilka przytrzymywała kawałki papieru. - Rachunki. Trzeba je płacić do piętnastego każdego miesiąca. Wypisano je czerwonym atramentem. A widzisz, ile tu dziś ludzi? Muszę być rozsądny. Muszę...
- Właśnie o to mi chodzi - wtrącił gładko Dohay. - Musisz być rozsądny. A kupno trzech lub czterech piorunochronów to rozsądny wydatek. Masz interes na chodzie. Nie chciałbyś, by spłonął pewnego letniego dnia od uderzenia pioruna, prawda?
- Nic by go to nie obchodziło - stwierdził weteran. - Wzięłyby pieniądze z ubezpieczenia i pojechał na Florydę. Co nie, Bruce?

Carrick spojrzał na starszego mężczyznę z niesmakiem.

- No, więc pomówmy o ubezpieczeniu - przerwał im sprzedawca. Mężczyzna w szarej wojskowej koszuli stracił zainteresowanie rozmową i odszedł na bok. - Opłaty za ubezpieczenie od pożaru pójdą w dół...
- Płacę całe ubezpieczenie łącznie - powiedział stanowczo Carrick. - Słuchaj, po prostu nie mogę sobie na to pozwolić. Przykro mi. Gdybyś przyjechał pogadać ze mną w przyszłym roku...
- Tak. Może przyjadę... - stwierdził sprzedawca piorunochronów kapitulując. - Być może przyjadę. - Nikt nie przypuszcza, że może w niego uderzyć piorun, póki nie uderzy; to fakt, z którym masz do czynienia nieustannie, gdy pracujesz w tym interesie. Nie sposób przekonać takiego człowieka jak Carrick, że to absolutnie najtańsze ubezpieczenie od pożaru, jakie można dostać. Lecz Dohay miał filozoficzny stosunek do świata. W końcu mówił prawdę, kiedy powiedział, że przyszedł tu przepłukać sobie gardło.

Żeby to udowodnić i żeby dowieść, że się nie obraził, zamówił jeszcze jedno piwo. Ale tym razem nie postawił Carrickowi.

Weteran wcisnął się na stojący obok stołek.

- Chyba z dziesięć lat temu jeden facet został porażony piorunem na polu golfowym - powiedział.
- Piorun zabił go na miejscu jak psa. No, to ten facet powinien nosić na głowie piorunochron, nie mam racji? - Zachichotał, chuchając zwietrzałym piwem w twarz Dohaya. Dohay uśmiechnął się z przymusem. - Monety w jego kieszeni stopiły się wszystkie. Tak słyszałem. Piorun to dziwna rzecz. Tak, dziwna. No, bo pamiętam...

Dziwna rzecz, pomyślał Dohay, pozwalając staremu mówić, instynktownie przytakując w odpowiednich miejscach. Dziwna rzecz, jasne, bo nie sprawia mu różnicy, w kogo albo w co uderza. Albo kiedy.

Skończył piwo i wyszedł, zabierając ze sobą torbę ubezpieczeń przeciw gniewowi Bożemu - może jedynych, jakie kiedykolwiek wymyślono. Upał był nie do wytrzymania, lecz mimo to zatrzymał się na opuszczonym parkingu, patrząc na równą linie dachu. Dziewiętnaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów, dwadzieścia dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów maksimum, i ten facet nie może sobie na to pozwolić. Pierwszego roku na tym swoim łącznym ubezpieczeniu oszczędziłby siedemdziesiąt dolców, ale nie stać go na piorunochron - i nic nie można mu wytłumaczyć przy tych błaznach, co stoją obok i chichoczą.

Może pewnego dnia pożałuje.

Sprzedawca piorunochronów wsiadł do swego buicka, włączył klimatyzację i pojechał na zachód, do Concord i Berlin; uciekał przed wszystkimi burzami, które mogły go wystawić do wiatru, a torba z próbkami leżała obok niego na przednim siedzeniu.

8

Na początku 1974 roku Walter Hazlett zdał egzamin adwokacki. Sara wydała party dla wszystkich jego przyjaciół, wszystkich swoich przyjaciółek i wszystkich wspólnych przyjaciół - zgromadziło się na nim ponad czterdzieści osób. Piwo płynęło jak rzeka i kiedy zabawa wreszcie się kończyła, Walter orzekł, że mieli cholernie szczęście, unikając eksmisji. Gdy (o trzeciej nad ranem) odprowadził do drzwi ostatnich gości i wrócił do mieszkania, zastał Sarę w sypialni, ubraną wyłącznie w szpilki i kolczyki z brylantami - prezent urodzinowy, za który wisiał jeszcze paru przyjaciołom. Kochali się nie raz, lecz dwa razy, a potem padli jak nieprzytomni i obudzili się koło południa z potwornym kacem. Mniej więcej w sześć tygodni później Sara odkryła, że jest w ciąży. Nigdy nie wątpili, że poczęcie odbyło się w noc wielkiej zabawy.

W Waszyngtonie z wolna przypierano do muru Nixona, oplątanego zwojami taśmy magnetofonowej. W Georgii właściciel farmy orzeszków ziemnych, urzędujący gubernator i były żołnierz marynarki nazwiskiem James Earl Carter rozpoczął w gronie zaufanych przyjaciół rozmowy na temat kandydowania do posady, z której wkrótce wyleją pana Nixona.

W sali 619 Centrum Medycznego Wschodniego Maine John-ny Smith nadal spał. I zaczął powoli przybierać pozycję płodu.

Doktor Strawns, który w dzień po wypadku rozmawiał z Herbem, Verą i Sara w sali konferencyjnej, zmarł od poparzeń w ostatnich dniach 1973 roku. Jego dom zapalił się w drugi dzień świąt. Straż pożarna w Bagnor stwierdziła, że przyczyną pożaru były wadliwe światełka na choinkę. Przypadkiem John-ny'ego zainteresowali się dwaj nowi lekarze: Weizak i Brown.

Cztery dni przed rezygnacją Nixona Herb Smith wpadł w dół pod fundamenty domu, który budował w Gray, wylądował na taczkach i złamał nogę. Złamanie zraszało się powoli i nigdy nie znikło bez śladu. Herb kulał, a w deszczowe dni chodził o lasce. Vera modliła się za niego i nalegała, by co noc przed pójściem do łóżka owijał nogę w ręczniczek pobłogosławiony osobiście przez Wielebnego Freddy'ego Coltsmore'a z Bessemer w stanie Alabama. Cena Błogosławionego Ręczniczka Coltsmore'a (jak go nazywał Herb) wynosiła trzydzieści pięć dolarów. Być może coś mu to pomogło, ale jeśli tak, to wcale tego nie zauważył.

W połowie listopada, niedługo po tym, jak Gerald Ford objął urząd prezydenta, Vera znów nabrała pewności, że koniec świata jest blisko. Herb zorientował się, co zamierza, niemal w ostatniej chwili; Vera zdecydowała się oddać całą gotówkę i tę odrobinę oszczędności, które zdołali odłożyć od wypadku Johnny'ego, Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Dnia Ostatniego. Próbowwała sprzedać dom i umówiła się z Goodwillem, że za dwa dni przyślą ciężarówkę po meble. Herb dowiedział się o wszystkim od pośrednika handlu nieruchomościami, który zadzwonił i zapytał, czy po południu

mógłby przyjść z kupcem chcącym obejrzeć dom.

Po raz pierwszy w rozmowie z Verą rzeczywiście stracił panowanie nad sobą.

- Jezu Chryste, o czym ty wtedy myślałaś? - wrzasnął, kiedy już wyciągnął z niej resztę tej nieprawdopodobnej historii. Właśnie skończył rozmowę z Goodwillem; odwołał zamówienie na ciężarówkę i kazał im o wszystkim zapomnieć. Siedzieli w dużym pokoju. Za oknem padał drobny, monotony deszczyk.

- Nie używaj imienia Pana Boga naszego nadaremnie, Herbercie. Nie...

- Zamknij się! Zamknij się! Zmęczyło mnie słuchanie tego cholernego g ó w n a!

Vera aż westchnęła ze zdumienia.

Herb podszedł do niej kulejąc; jego krokom towarzyszył stuk laski o podłogę. Siedząca na krześle Vera drgnęła, a później podniosła głowę i spojrzała na niego ze słodką miną męczennicy, która sprawiła, że - niech mu Bóg wybaczy - miał ochotę walnąć ją w łeb tą cholerną laską.

- Nie jest jeszcze z tobą tak źle, żebyś nie wiedziała, co robisz - powiedział. - Nie możesz się tym tłumaczyć. Vero, zrobiłaś mi świństwo. Nic mi nie powiedziałaś i...

- To nieprawda! Kłamiesz! Nie zrobiłam ci...

- Zrobiłaś! - krzyknął Herb. - A teraz posłuchaj, Vero. Ja stawiam warunki. Możesz się modlić, ile tylko chcesz. Modlitwa jest darmo. Możesz pisać, ile tylko chcesz, znaczek ciągle kosztuje tylko trzynaście centów. Jeśli chcesz kąpać się w gównie, w tych tanich łgarstwach, które sprzedają ci w imię twojego ukochanego Jezusa, jeśli chcesz żyć wymysłami i złudzeniami, to proszę bardzo. Ale mnie w to nie mieszaj. Pamiętaj, mnie masz w to nie mieszać! R o z u m i e s z!

- Ojcie Nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

- R o z u m i e s z!

- M y ś l i s z, ż e o s z a l a ł a m! - krzyknęła Vera i jej twarz skurczyła się straszliwie. Wybuchła obrzydliwym szlochem całkowitej porażki i rozczarowania.

- Nie. - Głos Herba był spokojny. - Jeszcze nie. Ale może to najwyższy czas, żeby spokojnie porozmawiać, i muszę ci powiedzieć, Vero, że pewnie oszalejesz, jeśli się z tego nie wydo-będziesz i nie zaakceptujesz rzeczywistości.

- Jeszcze zobaczysz - wyszeptwała przez łyzy. - Jeszcze zobaczysz. Bóg zna prawdę, lecz czeka.

- Żeby tylko zrozumiał, że nie doczeka się moich mebli -stwierdził ponuro Herb. - To musi być jasne.

- Nadchodzi Godzina Sądu! - oznajmiła Vera. - Zbliża się Apokalipsa.

- Doprawdy? Za to i jeszcze piętnaście centów możesz sobie kupić kawę.

Za oknem niezmiennie padał deszcz. Tego roku Herb skończył pięćdziesiąt dwa lata, Vera pięćdziesiąt jeden, a Sara Hazlett dwadzieścia siedem.

Johnny pogrążony był w śpiączce od czterech lat.

9

Dziecko przyszło na świat w noc Halloween. Sara rodziła dziewięć godzin. Od czasu do czasu, kiedy tego potrzebowała, lekarze podawali jej tlen, a w którymś momencie, szarpana bólami, uświadomiła sobie, że leży w tym samym szpitalu co Johnny i zaczęła raz za razem wykrzykiwać jego imię. Później prawie o tym zapomniała i - oczywiście - nie pisnęła Waltowi ani słówka. Miała wrażenie, że to mógł być sen.

Urodziła chłopczyka. Nazwali go Dennis Edward Hazlett. Obydwoje wyszli ze szpitala trzy dni później i zaraz po Dniu Dziękczynienia Sara wróciła do szkoły. Walter znalazł niezłą pracę w biurze adwokackim w Bagnor i - gdyby wszystko poszło dobrze - Sara miała rzucić szkołę od lipca 1975 roku. Wcale nie była pewna, czy tego chce. Polubiła swą pracę.

10

Pierwszego dnia 1975 roku dwaj mali chłopcy, Charlie Norton i Norm Lawson, obaj z Ottsfield w stanie Maine, rozpoczęli bitwę na śnieżki na podwórku Nortonów. Charlie miał osiem lat, a Norm dziewięć. Dzień był chmurny, wilgotny.

Czując, że zaraz trzeba będzie przerwać walkę - zbliżała się pora obiadu - Norm zaatakował

Charliego, obrzucając go deszczem śniegowych kulek. Uchylając się ze śmiechem, Charlie najpierw cofnął się trochę, a potem obrócił się i zwiął. Przeskoczył niskie kamienne ogrodzenie dzielące podwórko Nortonów od lasu i pobiegł ścieżką schodzącą do potoku Strimmera. Kiedy uciekał, Norm trafił go celnie w naciągnięty na głowę kaptur.

A później Charlie znikł.

Norm także przeskoczył ogrodzenie i zatrzymał się na chwilę, patrząc na pokryty śniegiem las, słuchając, jak krople wody z roztopionego śniegu spadają z brzoź, sosen i świerków.

- Wracaj, tchórze! - krzyknął i wydał z siebie kilka cienkich, bulgoczących dźwięków.

Charlie nie połknął przynęty. Nie pozostał po nim nawet ślad, lecz ścieżka w tym miejscu spadała stromo w stronę strumienia. Norm znów zbulgotał jak indor, a później przestąpił z nogi na nogę, niezdecydowany. To był las Charlie'ego; on sam nie znał go zbyt dobrze. To był teren Charlie'ego. Norm uwielbiał bitwę na śnieżki, kiedy wygrywał, ale wcale nie miał ochoty pójść ścieżką, wpaść w zastawioną pułapkę i zarobić parę razy dobrymi, twardymi pigułami.

Mimo wszystko zrobił kilka kroków przed siebie, kiedy z dołu dobiegł go rozpaczliwy krzyk.

Norm Lawson zrobił się zimny jak śnieg, w którym ugrzęzły jego zielone kalosze. Dwie kulki, które trzymał w rękach, wypadły i potoczyły się po ziemi. Krzyk rozległ się jeszcze raz, tak cieni, że niemal niesłyszalny.

Rany Julek! Biegł i wpadł do potoku, pomyślał Norm i to wyrwało go ze spowodowanego strachem paraliżu. Pobiegł ścieżką, potykał się, ślizgał, raz upadł wprost na tyłek. Serce biło mu jak oszalałe. Ale miał czas, by wyobrazić sobie, jak wyciąga Charlie'ego z wody, nim ten zanurza się w nią po raz trzeci i tonie, i jak w gazecie robią z niego bohatera.

W dwóch trzecich długości ścieżka zakręcała o sto osiemdziesiąt stopni. Wybiegając zza rogu, Norm dostrzegł, że Charlie Norton wcale nie wpadł do potoku. Stał w miejscu, gdzie ścieżka wyrównywała bieg i patrzył na coś wystającego spod topniejącego śniegu. Kaptur zsunął mu się z głowy; twarz miał niemal tak białą, jak śnieg. Podczas gdy Norm podchodził do niego, Charlie jeszcze raz zakrzuszył się krzykiem.

- Co się stało? - zapytał Norm, podchodząc do kolegi. - Charlie, co się stało?

Chłopiec odwrócił się; oczy wyszły mu z orbit, usta miał otwarte. Próbował odpowiedzieć, ale z ust wydostały mu się tylko dwa niewyraźne chrząknięcia i srebrna nić śliny. Wskazał coś palcem.

Norm podszedł bliżej i spojrział. Nagle nogi ugięły się pod nim, aż usiadł ciężko na śniegu. Świat zatańczył mu przed oczami.

Spod śniegu wystawały dwie nogi w dżinsach. Na jednej z nich tkwił pantofel, druga była bosa, biała i bezbronna. Spod śniegu wystawała także jedna ręka; wyciągnięta w górę dłoń wydawała się błagać o ratunek, który nigdy nie nadszedł. Reszta ciała była ciągle, dzięki Bogu, ukryta.

Charlie i Norm odkryli ciało siedemnastoletniej Carol Dunbarger, czwartej ofiary Dusiciela z Castle Rock.

Od jego ostatniego morderstwa upłynęły dwa lata i ludzie z Castle Rock (potok Strimmera był południową granicą między miastami Castle Rock i Otisfield) zaczęli odżywać, pełni nadziei, że koszmar już się skończył.

Ale koszmar wcale się nie skończył.

ROZDZIAŁ 6

I

Jedenaście dni po odkryciu ciała małej Dunbarger w północnej Nowej Anglii rozpętała się zamieć i w konsekwencji na szóstym piętrze Centrum Medycznego Wschodniego Maine praca rozpoczęła się z niewielkim opóźnieniem. Wielu pracowników miało problemy z dojazdem do pracy, a ci, którym się udało, odkryli, że muszą biec bardzo szybko tylko po to, żeby stać w tym samym miejscu.

Było po dziewiątej rano, kiedy jedna z salowych, młoda kobieta nazwiskiem Allison Conover, przyniosła panu Starretowi lekkie śniadanie. Pan Starret przychodził do siebie po ataku serca i „odrabiał szesnastkę” na oddziale intensywnej terapii - szesnastodniowy okres spędzany tam po zawale należał do standardowej procedury medycznej. Pan Starret czuł się doskonale. Leżał w sali 619 i

poinformował w sekrecie żonę, że o-zdrowienie zawdzięcza przede wszystkim chęci jak najszybszego oddalenia się od żywego trupa leżącego na sąsiednim łóżku. Mówił jej, że ciągły szum respiratora tego biednego gościa nie pozwala mu spać. Po pewnym czasie sam już nie wiesz, czy chcesz, żeby dalej działał, czy marzysz o tym, żeby przestał działać. Na zawsze, że tak powiem.

Kiedy Allison weszła, grał telewizor. Pan Starret siedział na łóżku, trzymając w ręku sterownik. Skończyły się poranne wiadomości i nie potrafił podjąć decyzji, czy ma wyłączyć *Ogródek* - kreskówki, które wyświetlano po dzienniku. Gdyby wyłączył telewizor, pozostałby sam na sam z respiratorem.

- Niemal już straciłem nadzieję, że panią zobaczę - powiedział, bez radości przypatrując się śniadaniu: sok owocowy, chudy jogurt i płatki owsiane. Tak naprawdę, to marzył o dwóch pełnych cholesterolu jajkach, usmażonych na tłustym maselku z pięcioma kawałkami niezbyt wysmażonego boczku. To tego rodzaju gusty kulinarne zaprowadziły go tu w pierwszym rzędzie - tak przynajmniej twierdził jego lekarz, cholerny ptasi mózdzek.

- Na dworze jest coraz gorzej - powiedziała krótko Allison. Sześciu pacjentów zdążyło stwierdzić, że niemal już straciło nadzieję, że ją zobaczą, i ten żart stracił już sporo ze swej świeżości. Allison była miłą dziewczyną, ale tego ranka pacjenci ją drażnili.

- Och, przepraszam. - Pan Starret spokorniał. - Drogi są bardzo śliskie, prawda?

- Tak, oczywiście. - Allison odtajała nieco. - Gdyby nie samochód męża z napędem na cztery koła, nigdy bym tu nie dotarła.

Pan Starret nacisnął przycisk podnoszący oparcie łóżka, co umożliwiło mu wygodne zjedzenie śniadania. Napędzający je elektryczny silniczek był mały, ale całkiem głośny. Telewizor także hałasował - pan Starret był głuchawy, ale (jak powiedział żonie) facet z drugiego łóżka nigdy nie skarżył się na hałas. I nigdy nie chciał sprawdzić, co idzie na innym kanale. Przypuszczał, że takie żarty nie są w najlepszym guście, ale kiedy miało się atak serca i trafiło na intensywną terapię do jednej sali z żywym warzywem, człowiek uczył się cenić czarny humor albo dostawał świra.

Allison podniosła lekko głos, przekrzykując telewizor i silnik poruszający oparciem łóżka. Stawiała tacę przed panem Starretem.

- Po obu stronach wzgórza na State Street kilkanaście samochodów wypadło z drogi.

Na sąsiednim łóżku Johnny Smith powiedział cicho: „Wszystko na dziewiętnastkę. Tak albo tak. Moja dziewczyna źle się czuje”.

- Wie pani, ten jogurt wcale nie jest taki zły - stwierdził pan Starret. Nienawidził jogurtu, ale nie chciał zostać sam ani minutę wcześniej, niż będzie to absolutnie nieuniknione. Kiedy był sam, nie tylko mierzył sobie puls. - Smakuje trochę jak nektar z dzikiej hikory i...

- Słyszał pan coś? - zapytała Allison i rozejrzała się dookoła z powątpiewaniem.

Pan Starret puścił przycisk, wycie elektrycznego silniczka zamilkło. Na ekranie telewizora Elmer Fudd strzelił do królika Bugsa. To był łatwy strzał, ale Elmer Fudd chybił.

- Tylko telewizor. Straciłem coś?

- Chyba nic. To musiał być wiatr za oknem. - Allison czuła, jak z napięcia zaczynają boleć głowa; miała zbyt wiele do zrobienia i nie było nikogo, kto by jej w tym pomógł. Pomasowała skronie, jakby chciała odpędzić ból, nim się zakorzeni.

Wychodząc z sali, zatrzymała się na chwilę i przyjrzała mężczyźnie z drugiego łóżka. Czy nie wygląda jakoś inaczej? Jakby zmienił pozycję? Z pewnością nie.

Allison wyszła z sali i poszła korytarzem, pchając przed sobą wózek z jedzeniem. Ranek okazał się tak straszny, jak to sobie wyobrażała, wszystko się plątało i w południe głowa aż huczała jej od migreny. Zupełnie zrozumiałe, że zapomniała powiedzieć komukolwiek o tym, co - jak się jej zdawało - słyszała w sali 619.

Lecz przez następne dni coraz częściej przyglądała się Smitnowi i w marcu była już prawie pewna, że się trochę wyprostował - nie przybierał już pozycji płodu. Zmiana była niewielka, ale była. Zastanowiła się, czy ma komuś o tym powiedzieć, i zrezygnowała. W końcu była przecież tylko salową, niewiele lepszą od pomocy kuchennej.

To nie była jej sprawa.

Przypuszczał, że to sen.

Był w jakimś mrocznym, ciemnym miejscu - prawdopodobnie korytarzu. Nie widział wysokiego sufitu. Zagubił się w cieniach. Ściany zrobione były z ciemnej chromowanej stali. Odchylały się od pionu. Był sam, ale do miejsca, w którym stał, docierał głos jakby z bardzo daleka. Znał ten głos: ten głos mówił do niego w innym miejscu, w innym czasie. Ten głos go przerażał. Jęczący, zagubiony, odbijał się od chromowanych ścian niczym uwięziony ptak, którego pamiętał z dzieciństwa. Ptak wleciał do szopy, w której ojciec trzymał narzędzia, i nie miał na tyle rozumu, żeby się wydostać. Przestraszył się i latał tam i z powrotem, ćwierkając z przerażenia, obijając się o ściany, aż w końcu zdechł. Ten głos brzmiał tak potępieńczo, jak przed wielu laty ćwierkanie ptaka. Nigdy nie miał się wydostać z tego miejsca.

„Planujesz całe życie i robisz, co możesz”, jęczał ten upiorny głos. „Chciałeś dać mu wszystko co najlepsze, a dzieciak przychodzi do domu z włosami po tyłek i mówi, że prezydent Stanów Zjednoczonych to świnia. Świnia! Cholera, nie...”

Chciał powiedzieć temu głosowi: „U w a g a!” Chciał przestrzec ten głos, ale był niemy. Uwaga na co? Nie wiedział. Nie wiedział nawet, kim jest, chociaż podejrzewał, że kiedyś był nauczycielem, a może czyścicielem.

„J e e z u!” - krzyknął ten daleki głos. Zagubiony, przeklęty, niknący. „J e e e...”

I cisza. Milknące echa. Później, po małej chwili, wszystko zaczynało się od nowa.

Więc po jakimś czasie - nie wiedział jakim, czas nie miał żadnego znaczenia i nie liczył się w tym miejscu - zaczął po omacku iść korytarzem, wołając (może tylko w myśli), może w nadziei, że spotka właściciela głosu i razem stąd wyjdą, może mając tylko nadzieję, że będzie go mógł pocieszyć i sam dozna pocieszenia.

Lecz głos bezustannie się oddalał, coraz słabszy i cichszy,
(malutki i słabutki)

aż był już tylko echem echa. A później zamilkł. Został sam, sam szedł mrocznym i pustym korytarzem w gabinecie cieni. I zaczęło mu się wydawać, że to nie złudzenie, miraż czy sen - a w każdym razie nie zwykły sen. Było tak, jakby znalazł się w pustce, w jakimś szalonym przejściu łączącym krainę żywych ze światem martwych. Ale w którym kierunku się porusza?

Dostrzegł coś. Coś niepokojącego. Tak jakby przyłączyły się do niego duchy, jakby szły po jego obu stronach, przed nim, za nim, aż otoczyły go niesamowitym kołem - trzy razy otoczyły go kołem, trzy razy zaświeciły mu w oczy świętym strachem, tak to szło? Mógł je niemal dostrzec. Wszystkie te szepczące głosy z czyśćca. W ciemności nocy obracało się koło, koło fortuny, czerwone i czarne, życie i śmierć; i zwalniało. Na co postawił? Nie pamiętał, a powinien pamiętać, bowiem położył na szali swe życie. Tu czy tam? Musi być tak albo tak. Jego dziewczyna zachorowała. Musi ją odwiedzić do domu.

Po jakimś czasie korytarz wydał mu się jaśniejszy. Najpierw myślał, że tylko tak mu się zdaje, coś w rodzaju snu we śnie, jeśli to w ogóle możliwe, lecz czas płynął i jasność stała się zbyt wyraźna, by być przywidzeniem. Ściany rozstały się, aż ich prawie nie widział, i matowy czarny kolor zmienił się w smutną, ciemną szarość; kolor zmierzchu w ciepły, chmurny marcowy wieczór. Powoli nabierał przekonania, że już nie znajduje się w korytarzu, lecz w pokoju - b l i s k o pokoju, oddzielony od niego najcieńszą z błon, jak błona płodowa u dziecka, które czeka, by się narodzić. Teraz słyszał inne głosy; nie przypominały echa, choć były bezdźwięczne, huczące jak głosy bezimiennych bogów mówiących w jakimś obcym języku. Głosy te powoli stawały się coraz czystsze, aż prawie mógł je zrozumieć.

Od czasu do czasu otwierał oczy (albo wydawało mu się, że otwiera) i widział nawet właścicieli tych głosów: jaskrawe, lśniące, bezcielesne zjawy na początku pozbawione twarzy, czasami poruszające się po pokoju, a czasami pochylające nad nim. Najpierw nawet nie przyszło mu do głowy, by do nich przemówić. Za to wpadł na pomysł, że to pewnie jakiś rodzaj życia po życiu i te jaskrawe kształty to postaci aniołów.

Twarze jak głosy, z biegiem czasu stawały się coraz wyraźniejsze. Raz zobaczył matkę, pojawiającą mu się w polu widzenia i z wolna, z siłą grzmotu, mówiącą mu w twarz coś najzupełniej pozbawionego znaczenia. Kiedy indziej był to ojciec. I Dave Pelsen ze szkoły. I pielęgniarka, którą zaczynał poznawać; był przekonany, że ma na imię Mary, lub może Marie. Twarze, głosy, coraz

bliższe, nabierające spójności.

Pojawiło się także coś innego: uczucie, że się z m i e n i ł. Nie lubił go. Nie ufał mu. Miał wrażenie, że - jakakolwiek była - nie jest to zmiana na lepsze. Miał wrażenie, że oznacza smutek i złe czasy. Odszedł w ciemność, mając wszystko, a teraz miał wrażenie, że wraca z ciemności bez niczego - i jakoś tajemniczo zmieniony.

Sen dobiegał końca. Jakikolwiek był, ten sen się kończył. Pokój był teraz bardzo prawdziwy, bardzo b l i s k i. Głosy, twarze...

Niedługo pojawi się w pokoju. I nagle odniósł wrażenie, że tak naprawdę chciałby odwrócić się i uciec - uciec na zawsze do tego czarnego korytarza. Czarny korytarz był zły, ale i tak lepszy niż to nowe uczucie smutku i nieuniknionej straty.

Odwrócił się, spojrzął za siebie i - tak - było tam, było tam to miejsce, gdzie ściany pokoju zmieniały się w czarny chrom, w rogu, za jednym z krzeseł, niewidzialne dla jaskrawych ludzi, którzy pojawiali się i znikali; miejsce, gdzie pokój stawał się przejściem w to, co - jak podejrzewał teraz - jest wiecznością. Miejsce, gdzie odszedł ten drugi głos, głos *taksówkarza*.

Tak. Teraz pamiętał. Siedzi w taksówce, kierowca biada nad długimi włosami syna, biada nad tym, że syn nazwał Nixona świnią. Długie światła na szczycie wzgórza, dwa po każdej stronie białej linii. Zderzenie. Nie czuje bólu, ale wie, że udami uderzył w licznik wystarczająco mocno, by wyrwać go z obsady. Czuł chłodną wilgoć, później zobaczył ciemny korytarz, a teraz to.

„Wybierz”, powiedziało coś w jego wnętrzu, „wybierz albo wybiorą za ciebie, wyrwą cię z tego miejsca, czymkolwiek i gdziekolwiek jest, jak lekarze wrywający dziecko z brzucha matki przy pomocy cesarskiego cięcia.”

A później pojawiła się przed nim twarz Sary - musi być gdzieś tam, choć żadna z jaskrawych, pochylających się nad nim twarzy nie była jej twarzą. Musi być gdzieś tam, zaniepokojona, przerażona. Teraz prawie już do niego należy. Czuł to. Miał zamiar poprosić ją o rękę.

Uczucie niepokoju wróciło, silniejsze niż kiedykolwiek, tym razem związane z Sara. Ale pragnął jej znacznie mocniej, więc podjął decyzję. Odwrócił się tyłem do ciemnego miejsca, a kiedy, później, znów poszukał go wzrokiem, to miejsce znikło; za krzesłem była tylko gładka, biała ściana pokoju, w którym leżał. Niedługo potem zorientował się, w jakim pokoju leży; była to oczywiście szpitalna sala. Mroczny korytarz stał się tylko wspomnieniem jak ze snu, nigdy całkiem zapomnianym. Lecz *znacznie* ważniejszym, znacznie bliższym był fakt, że nazywa się John Smith, że ma dziewczynę imieniem Sara Bracknell i że *przeżył* straszny wypadek samochodowy. Podejrzewał, że miał sporo szczęścia, nie ginąc na miejscu, i żywił wielką nadzieję, że cały jego oryginalny ekwipunek jest gdzie trzeba i działa. Mógł być w rejonowym szpitalu w Cleaves Mills, ale podejrzewał, że to raczej CMWM. Z tego, jak się czuł, wnioskował, że leży tu już od dłuższego czasu - być może stracił przytomność nawet na tydzień, dziesięć dni. Najwyższy czas wrócić do życia.

Najwyższy czas wrócić do życia. O tym myślał Johnny Smith, kiedy wreszcie wszystko ułożyło się w całość i otworzył oczy.

Był siedemnasty maja 1975 roku. Pan Starret dawno wrócił do domu z wyraźnym poleceniem, że ma spacerować trzy kilometry dziennie i umilać sobie życie artykułami spożywczymi pozbawionymi cholesterolu. W pokoju leżał starszy pan toczący piętnastorundową walkę z tym mistrzem świata wszechwag, rakiem płuc. Pograżony był w narkotycznym śnie. Oprócz niego w pokoju nie było nikogo. Dochodziła trzecia piętnaście po południu. Ekran telewizora świecił zielonkawo.

- Oto jestem - wychrypiał Johnny Smith do nikogo. Przeraziła go słabość własnego głosu. W pokoju nie było kalendarza i nie miał żadnej możliwości, by dowiedzieć się, że spał przez cztery i pół roku.

3

Pielęgniarka pojawiła się czterdzieści minut później. Podeszła do łóżka starego mężczyzny, zmieniła mu kroplówkę, poszła do łazienki i nabrała wody w plastikowy dzbanek. Podlała kwiaty, które dostał ten stary człowiek. Obok jego łóżka stało kilka bukietów, na parapecie okna i na stoliku leżało kilkanaście kart z życzeniami prędkiego powrotu do zdrowia. Johnny patrzył, jak wykonuje te zwykle czynności, nie czując żadnej pokusy, by jeszcze raz spróbować siły swego głosu.

Pielęgniarka odstawiła dzbanek i podeszła do jego łóżka. Ma zamiar poprawić mi poduszki, pomyślał. Ich oczy spotkały się na krótko, ale wyraz jej oczu nie zmienił się. Nie wie, że się

przebudziłem. Przedtem też miewałem otwarte oczy. Dla niej nie ma to żadnego znaczenia.

Pielęgniarka położyła mu rękę na karku. Miała chłodną dłoń, jej dotyk przyniósł mu ulgę i Johnny natychmiast dowiedział się, że siostra ma trójkę dzieci i że najmłodsze niemal straciło wzrok w jednym oku w dniu Czwartego Lipca. Wypadek z fajerwerkami. Chłopiec nazywa się Mark.

Podniosła mu głowę, poklepała poduszkę, położyła głowę z powrotem. Odwróciła się, poprawiając nylonowy fartuch na biodrach, a później znów spojrzała na niego, zaskoczona. Najwyraźniej z opóźnieniem stwierdziła, że jednak jest w jego oczach coś dziwnego. Coś, czego przedtem w nich nie było.

Przyjrzała mu się z namysłem, odwróciła głowę i Johnny powiedział:

- Cześć, Marie.

Pielęgniarka zamarła; usłyszał suchy trzask - to szczęknęły nagle i gwałtownie zwierające się zęby. Przycisnęła jedną ręką coś nad piersiami - wisiał tam mały złoty krzyżyk.

- O mój Boże - powiedziała. - Pan się obudził. Właśnie m y ś l a ł a m, że wygląda pan inaczej. Skąd pan zna moje imię?

- Przypuszczam, że musiałem je gdzieś słyszeć. - Trudno mu było mówić, strasznie trudno. Język przypominał leniwego robaka, ślina najwyraźniej go nie zwilżała.

Pielęgniarka skinęła głową.

- Budził się pan już od dłuższego czasu. Lepiej pójdę do naszej dyżurki i wywołam doktora Browna i doktora Weizaka. Będą chcieli wiedzieć, że pan jest znów wśród nas. - Lecz została chwilę dłużej, patrząc na niego z nie maskowaną fascynacją, która go zaniepokoiła.

- Mam trzecie oko? - zapytał. Pielęgniarka roześmiała się nerwowo.

- Nie, oczywiście, że nie. Pan wybaczy. Dostrzegł swój parapet i przysunięty do niego stolik. Na parapecie stał przybladły fiołek afrykański i obrazek Jezusa Chrystusa - z tych, które uwielbiała jego matka. Jezus wyglądał na nim tak, jakby miał właśnie wybić zwycięską piłkę dla nowojorskich Jankesów lub zrobić coś równie wspaniałego i atletycznego. Lecz sam obrazek był żółty. Pożółkł i zwił się na rogach. Nagle poczuł strach jak duszący koc na twarzy.

- Siostro! - zawołał. - Siostro! Pielęgniarka odwróciła się w drzwiach.

- Gdzie są kartki z życzeniami? - Nagle trudno mu było oddychać. - Ten drugi gość ma... czy nikt nie przysłał mi kartki?

Siostra uśmiechnęła się wymuszonym uśmiechem, jakby coś ukrywała. Nagle Johnny zapragnął, by podeszła do jego łóżka. Wyciągnąłby rękę i dotknął jej. Gdyby tylko jej dotknął, wiedziałby, co ukrywa.

- Muszę wywołać doktora - powiedziała i odeszła, nim zdążył jej zadać następne pytanie. Johnny patrzył na afrykański fiołek, na starzejący się obrazek Jezusa, zakłopotany i przestraszony. Po krótkiej chwili znów zasnął.

4

- On się naprawdę obudził - powiedziała Marie Michaud. - Rozmawiał zupełnie przytomnie.

- W porządku - uspokoił ją doktor Brown. - Nie wątpię w to. Jeśli obudził się raz, to obudzi się także i drugi. Prawdopodobnie. To tylko kwestia...

Johnny jęknął. Otworzył oczy. Były puste, patrzyły w niebo. Później chyba zauważył Marie, bo jego spojrzenie nabrało życia. Uśmiechnął się słabo, ale twarz nadal miał niezbyt przytomną, jakby obudziły się tylko oczy, a nie cały Johnny. Maria odczuła nagle, że nie patrzy na nią, lecz w n i ą.

- Chyba nic mu nie będzie - powiedział Johnny. - Kiedy już oczyszczą uszkodzoną rogówkę, jego oko będzie jak nowe. Powinno być.

Maria westchnęła ochryple i doktor Brown spojrzał na nią.

- Co się stało?

- On mówi o moim synku. Moim Marku.

- Nie - stwierdził Brown. - Mówi przez sen i tyle. Nie rób z igły wideł, siostro.

- Dobrze. Oczywiście. Ale teraz nie śpi, prawda?

- Marie? - zapytał Johnny i uśmiechnął się niepewnie. - Zasnąłem, prawda?

- Tak - odpowiedział mu Brown. - I mówił pan przez sen. Przestraszył pan naszą Marie. Czy pan śnił?

- Nieee... nic nie pamiętam. Co powiedziałem? I kim pan jest?

- Nazywam się James Brown. Jak ten piosenkarz soulowy, tylko ja jestem neurologiem. Powiedział pan: „Chyba nic mu nie będzie, kiedy oczyszczą uszkodzoną rogówkę”. Coś takiego, prawda, siostrzo?

- Mojego syna czeka ta operacja. Mojego Marka.
- Nic nie pamiętam - przyznał Johnny. - Chyba spałem. - Popatrzył na Browna; oczy miał teraz bystre, przestraszone. - Nie mogę podnieść rąk. Czy jestem sparalizowany?

- Nie. Niech pan spróbuje poruszać palcami.
Johnny spróbował. Mógł poruszać palcami. Uśmiechnął się.
- Świetnie - orzekł Brown. - Jak pan się nazywa?
- John Smith.
- Dobrze, a drugie imię?
- Nie mam drugiego imienia.
- Pewnie, komu ono potrzebne. Siostrzo, proszę pójść do recepcji i sprawdzić, kto jest jutro na neurologii. Chciałbym zrobić panu Smithowi mnóstwo badań.

- Tak, doktorze.
- Mogłaby pani także zadzwonić do Sama Weizaka. Zastanie go pani w domu albo na polu golfowym.

- Dobrze, doktorze.
- I żadnych dziennikarzy. Pani życie od tego zależy! - Brown uśmiechał się, ale mówił poważnie.
- Nie, nie, oczywiście. - Odeszła; białe buty skrzypnęły cicho. Z jej chłopcem wszystko będzie dobrze, pomyślał Johnny. Musiałem być pewny, jeśli jej to powiedziałem.

- Doktorze Brown? Gdzie są moje kartki z życzeniami? Czyżby nikt nie przysłał mi kartki?

- Jeszcze tylko kilka pytań - powiedział gładko Brown. - Czy pamięta pan imię matki?

- Oczywiście, pamiętam. Vera.

- Panieńskie nazwisko?

- Nason.

- Imię ojca?

- Herbert. Herb. I dlaczego powiedział pan o dziennikarzach?

- Adres.

- RFD nr 1, Pownal - powiedział natychmiast Johnny i zamilkł. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. - To znaczy... no, mam mieszkanie w Cleaves Mills, na North Main Street numer 110. Dlaczego podałem panu adres rodziców? Nie mieszkam z nimi, odkąd skończyłem osiemnaście lat.

- A ile teraz ma pan lat?

- Proszę obejrzeć moje prawo jazdy. Chcę wiedzieć, dlaczego nie ma tu kart z życzeniami. A w ogóle, to jak długo tu leżę? Jaki to szpital?

- Centrum Medyczne Wschodniego Maine. Odpowiem na wszystkie pana pytania, jeśli tylko pozwoli mi pan...

Brown siedział przy łóżku na krześle, które przyniósł sobie z rogu - tego rogu, w którym Johnny widział kiedyś wejście do korytarza. Pisał na kartce papieru, przyklepionej do sztywnika, piórem, jakiego Johnny nigdy przedtem nie widział. Miało gruby plastikowy korpus i końcówkę z jakiegoś włókna. Wyglądało jak dziwne skrzyżowanie wiecznego pióra i długopisu.

Już samo patrzenie na to pióro spowodowało nowy przypływ nieokreślonego strachu i, bez namysłu, Johnny złapał doktora Browna za lewą dłoń. Jego ręka poruszała się niezdarnie, jakby miał do niej przywiązane piętnastokilogramowe ciężarki: kilka na przedramieniu i kilka na ramieniu. Lekko przytrzymał doktora za przegub i pociągnął. Śmieszne pióro zostawiło na papierze niebieską kreskę.

Brown spojrział na niego, na razie tylko zaciekawiony. Później twarz zbladła mu jak papier. Wyraz jego oczu zmienił się raptownie; ciekawość zastąpiła mgielka strachu. Wyrwał rękę - Johnny nie miał tyle siły, by ją przytrzymać - i po jego twarzy przemknęło jak błyskawica obrzydzenie, jakby dotknął go trędowaty.

A później wszystko się skończyło i doktor sprawiał wrażenie zaskoczonego i zmieszanego.

- Dlaczego pan to zrobił? Panie Smith...

Głos odmówił mu posłuszeństwa. Twarz Johnny'ego znieruchomiała; najwyraźniej zaczynał rozumieć. Miał oczy człowieka, który dostrzegł, jak w ciemności porusza się ukradkiem coś strasznego, tak strasznego, że nie da się tego opisać ani nawet nazwać.

Lecz to był fakt. Trzeba go było nazwać.

- Pięćdziesiąt pięć m i e s i ę c y? - zapytał ochryple Johnny. - Prawie pięć l a t? N i e, o mój Boże, n i e!

- Panie Smith - doktor był zupełnie oszołomiony - proszę, pan nie powinien się denerwować...

John próbował usiąść; oderwał plecy od prześcieradła może na dziesięć centymetrów i opadł na łóżko. Twarz błyszczała mu od potu. Rozglądał się wokół bezradnie.

- Mam dwadzieścia siedem lat - szepnął. - Dwadzieścia s i e d e m lat. O mój B o ż e!

Brown głośno przełknął ślinę. Kiedy Smith złapał go za rękę, fakt ten nappełnił go odrazą; zaatakowały go niejasne obrazy czegoś obrzydliwego. Przypomniawszy sobie piknik za miastem, kiedy miał siedem czy osiem lat. Siadał i wsadził rękę w coś ciepłego i śliskiego. Rozejrzył się i zobaczył, że wsadził rękę w rojące się od robaków ciało świstaka leżącego pod krzewem lauru na gorącym sierpniowym słońcu. Krzyknął wtedy i teraz też miał ochotę krzyczeć - tylko że to uczucie zniknęło powoli, a na jego miejscu pojawiało się pytanie: „Skąd w i e d z i a ł? Dotknął mnie i wiedział”.

Odezwowało się w nim dwadzieścia lat praktyki i odsunął od siebie to przypuszczenie. Znał niezliczone przypadki pacjentów odzyskujących przytomność z jakąś mglistą wiedzą o wielu rzeczach, które działy się wokół nich, kiedy spali. Jak wszystko inne, śpiączka to kwestia stopnia. John Smith nigdy nie stał się ludzkim warzywem, jego EEG nigdy nie było płaskie, bo gdyby było, to by z nim teraz nie rozmawiał. Czasami śpiączka przypominała patrzenie przez jednostronne lustro. Dla postronnego obserwatora pacjent był zupełnie nie na chodzie, lecz jego zmysły mogły pracować w zwolnionym tempie, na pół mocy. I to właśnie był taki przypadek. Wróciła Marie Michaud.

- Zawiadomiłam neurologię. Doktor Weizak zaraz będzie.

- Sądzę, że Sam będzie musiał poczekać do jutra na zawarcie znajomości z panem Smithem. Proszę mu dać pięć miligramów valium.

- Nie chcę niczego na sen. Chcę jedynie wiedzieć, co się stało. Chcę stąd wyjść.

- Wszystkiego dowie się pan we właściwym czasie. Teraz najważniejszy jest odpoczynek.

- Odpoczywałem cztery i pół roku! - krzyknął Johnny.

- Więc dwanaście godzin nie zrobi wielkiej różnicy. - Głos Browna był nieubłagany.

W kilka chwil później siostra przetrzała mu ramię spirytusem. Poczuł ukłucie igły. Zaczął zasypiać niemal natychmiast. Wydawało mu się, że siostra i lekarz mają po trzy metry wzrostu.

- Niech mi pan powie przynajmniej jedno - powiedział. Jego głos zdawał się dobiegać z bardzo, bardzo daleka. Nagle wydało mu się to bardzo ważne. - To pióro. Jak nazywa się to pióro?

- To? - Brown pokazał mu pióro z wysokości swego niesamowitego wzrostu. - Nazywa się *Flair*. A teraz niech pan śpi, panie Smith.

I Johnny zasnął, lecz słowo to towarzyszyło mu we śnie jak mistyczny śpiew, pełen idiotycznego znaczenia.

Flair... Flair... Flair...

5

Herb odłożył słuchawkę i dalej patrzył na nią bezmyślnie. Z drugiego pokoju dobiegał dźwięk telewizora grającego niemal na pełen regulator. Oral Roberts mówił o futbolu i uzdrawiającej mocy miłości Jezusa - obie te rzeczy musiały się jakoś łączyć, lecz Herb nie dowiedział się jak. Przeszkodził mu telefon. Głos Orała huczał jak burza. Przedstawienie wkrótce się skończy, Oral zakończy je, oznajmiając swym słuchaczom w zaufaniu, że przydarzy się im dzisiaj coś dobrego. I najwyraźniej będzie miał rację.

Mój s y n, pomyślał Herb. Kiedy Vera modliła się o cud, Herb modlił się o śmierć swego syna. I Bóg wysłuchał modlitwy Very. Co to znaczyło i w jakiej stawiało go sytuacji? I w jakiej sytuacji postawi ją?

Wszedł do dużego pokoju. Vera leżała na kozetce. Stopy w elastycznych różowych kapciach trzymała na taborecie. Miała na sobie stary szary szlafrok. Jadła pop-corn wprost z torebki. Od wypadku Johnny'ego przybrała na wadze prawie dwadzieścia kilogramów, a jej ciśnienie poszło w górę jak rakieta. Lekarz nalegał, żeby brała lekarstwa, ale Vera nie słuchała go - jeśli woła Boga było, by miała wysokie ciśnienie, powiedziała, to będzie je miała. Herb stwierdził raz, że wola Boska nigdy nie powstrzymała jej od wzięcia proszku od bólu głowy, kiedy bolała ją głowa. Odpowiedziała swym najśladźszym i najpełniejszym cierpienia uśmiechem i użyła najsilniejszej broni: milczenia.

- Kto dzwonił? - zapytała, nie odrywając wzroku od telewizora. Oral obejmował słynnego

rozgrywającego z pierwszoligowej drużyny futbolowej. Mówił do słuchających go w napięciu milionów. Rozgrywający uśmiechał się skromnie.

- ...i wszyscy słyszeliście, jak ten wspaniały atleta nadużywał swego ciała, tej Świątyni Bożej. I słyszeliście... Herb wyłączył telewizor.

- Herbercie S m i t h! - Vera niemal rozsypała pop-corn siadając. - Oglądałam go. To był...

- Johnny się obudził.

- ...Orał Roberts i...

Słowa Herba odebrały jej mowę. Sprawiała wrażenie, jakby skurczyła się, czekając na cios. Patrzył na nią, niezdolny powiedzieć nic więcej, chcąc czuć radość, lecz bojąc się. Tak strasznie się bojąc.

- Johnny... - przerwała, przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz.- Johnny... nasz Johnny?

- Tak. Przez prawie piętnaście minut rozmawiał z doktorem Brownem. Najwyraźniej nie było to jednak to, czego się spodziewali... fałszywe przebudzenie. Mówił do rzeczy. Może się poruszać.

- Johnny się przebudził?

Podniosła dłonie do ust. Torebka z pop-cornem, na pół pusta, zsunęła się z jej kolan, wykręciła powolne salto i spadła na dywan; pop-corn rozsypał się na wszystkie strony. Zakryła usta, a ponad dłońmi jej oczy robiły się coraz większe i większe, aż przez jedną straszłą sekundę Herb bał się, że mogą wypaść. Później zamknęły się. Zza przykrywających usta dłoni rozległ się cienki pisk.

- Vera? Dobrze się czujesz?

- O mój Boże dziękuję Ci spełnię Twą wolę mój Johnny oddałeś mi mojego wiedziałam że mi oddasz mój Johnny o mój Boże będę ci dziękować każdym dniem życia za mojego Johnny'ego Johnny JOHNNY... - Jej głos wzniósł się do histerycznego, triumfalnego krzyku. Herb zrobił krok do przodu, złapał za kłapy szlafroka i potrząsnął nią. Czas nagle jakby zaczął się cofać - mogła to być ta noc, kiedy przez ten sam telefon, stojąc w tej samej norce, dowiedzieli się o wypadku.

Łapią nas w norce na korce, pomyślał szaleńczo Herb.

- O mój słodki Boże mój Jezu och mój Johnny cud jak mówiłam to c u d...

- Przestań, Vero!

Oczy Very były ciemne, zamglone histerią.

- Żałujesz, że się obudził? Po tych wszystkich latach, kiedy się ze mnie wyśmiewałeś? Kiedy mówiłeś ludziom, że oszalałam?

- Vero, nigdy nie powiedziałem nikomu, że oszalałaś.

- Czytali to w twoich o c z a c h! Ale mój Bóg nie kpił sobie ze mnie! Prawda? P r a d a?

- Nie - odparł Herb. - Chyba nie.

- Mówiłam ci. Mówiłam ci, że Bóg ma plany w stosunku do Johnny'ego. I teraz dostrzegasz już w tym Jego rękę. - Vera wstała. - Muszę pojechać do Johnny'ego. Muszę mu powiedzieć. - Podeszła do szafy, w której wisiał jej płaszcz, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że ma na sobie nocną koszulę i szlafrok. Była ogłupiała ze szczęścia. W jakiś niesamowity i prawie bluźnierczy sposób przypominała mu dziewczynę, z którą się niegdyś ożenił. Jej różowe kapcie wgniatały pop-corn w dywan.

- Vero...

- Muszę mu powiedzieć o Boskim planie...

- Vero.

Odwróciła się do niego, lecz jej oczy patrzyły daleko. Patrzyły na Johnny'ego.

Herb podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

- Powiesz mu, że go kochasz... że modliłaś się... czekałaś... patrzyłaś... Kto ma do tego większe prawo? Jesteś jego matką. Cierpiałaś. Czyż nie widziałem, jak cierpiałaś przez te pięć lat? Nie żałuję, że wrócił do nas, nie powinnaś tego mówić. Nie sądzę, żebym to odbierał tak jak ty, ale nie żałuję. Ja też cierpiałem.

- Doprawdy? - Jej wzrok był kamienny, dumny, pełen wątpliwości.

- Tak. I mam zamiar powiedzieć ci coś jeszcze, Vero. Będziesz trzymać buzię na kłódkę i nie wspomnisz nawet o Bogu, cudach i Wielkich Planach, póki Johnny nie stanie na własnych nogach i nie będzie mógł...

- Powiem, co muszę powiedzieć!

- ...decydować o tym, co robi. Mówię ci, że zanim go omotasz, masz mu dać szansę, by coś ze sobą począł.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić. Nie masz żadnego prawa!
- Mam prawo jako ojciec Johnny'ego - powiedział poważnie Herb. - I powołuję się na nie, może po raz ostatni w życiu. Lepiej nie wchodź mi w drogę, Vero. Rozumiesz? Ani ty, ani Bóg, ani święty, cierpiący Jezus. Rozumiesz?

Spojrzała na niego z uporem i nic nie powiedziała.

- Na razie wystarczy mu przyzwyczajanie się do myśli, że zgasł jak świeczka na cztery i pół roku. Nie wiem, czy kiedyś jeszcze będzie w stanie chodzić, mimo że jest już na miejscu terapeuta. Wiemy, że trzeba będzie przeprowadzić operację ścięgien, jeśli w ogóle ma spróbować chodzić; powiedział o tym Weizak. Prawdopodobnie czeka go kilka operacji. I jeszcze fizykoterapia, a większość z tych zabiegów jest cholernie bolesna. Więc jutro będziesz po prostu jego matką.

- Nie próbuj mówić do mnie tym tonem. Nie próbuj!

- Jeśli zaczniesz kazanie, Vero, wyciągnę cię z jego pokoju za włosy.

Patrzyła na niego, błada i drżąca. W jej oczach walczyły radość i furia.

- Lepiej się ubierz - powiedział Herb. - Powinniśmy już jechać.

Jechali do Bagnor w milczeniu. Nie czuli radości, którą powinni czuć; tylko Vera była podniecona. Siedziała na przednim siedzeniu sztywno wyprostowana, trzymając na kolanach Biblię otwartą na psalmie dwudziestym trzecim.

6

Nazajutrz, piętnaście po dziewiątej rano, do pokoju Johnny'ego weszła Marie.

- Przyszli rodzice. Jeśli ma pan ochotę, może ich pan zobaczyć.

- Tak, bardzo bym chciał. - Tego ranka Johnny czuł się znacznie lepiej, lecz na myśl o tym, że ich zobaczy, trochę się przestraszył. Miał wrażenie, że widział ich ostatnio jakieś pięć miesięcy temu. Ojciec pracował wtedy przy fundamentach domu, który najprawdopodobniej stoi już co najmniej od trzech lat. Mama upiekła mu fasolę i szarlotkę na deser i martwiła się, że jest taki chudy.

Złapał Marie za rękę i ścisnął ją lekko.

- Czy wszystko jest w porządku? To znaczy...

- Wyglądają doskonale.

- Och, to dobrze.

- Mogą dziś zostać z panem tylko przez pół godziny. I może spotkacie się jeszcze raz po południu, jeśli badania neurologiczne nie okażą się zbyt męczące.

- Polecenie doktora Browna?

- I doktora Weizaka.

- W porządku. Na razie. Sam nie jestem pewien, jak długo zniosę te ich opukiwania i nakłuwania. Marie zawahała się.

- Coś jeszcze? - zapytał ją Johnny.

- Nie... nie teraz. Pewnie tęskni pan do rodziny. Przyślę ich tu.

Czekał zdenerwowany. Drugie łóżko było puste - pacjenta z rakiem przeniesiono, kiedy Johnny spał po zastrzyku valium.

Drzwi się otworzyły. Stańli w nich jego ojciec i matka. Johnny poczuł jednocześnie ulgę i szok; szok, ponieważ jednak się postarzeni (więc to wszystko prawda), ulgę, ponieważ zmiany te nie wydawały się śmiertelne. I jeśli można tak powiedzieć o nich, to dotyczy to także i jego.

Lecz w nim coś się zmieniło, radykalnie zmieniło - i to mogło już być śmiertelne.

Tylko o tym zdążył pomyśleć, nim znalazł się w ramionach matki, czując bijący z jej stroju ostry zapach fiołków i słysząc jej szept: „Dzięki Bogu, Johnny, dzięki Bogu, dzięki Bogu, że się obudziłeś”.

Przytulił ją, najlepiej jak potrafił - jego ręce ciągle nie miały siły, by mocno ścisnąć, i szybko mdlały - i nagle, w kilka sekund, wiedział, co z nią jest, co myśli i co się jej przydarzy. Wiedza ta spłynęła na niego nagle, zbladła jak sen o czarnym korytarzu i odpłynęła. Lecz kiedy matka wypuściła go z objęć i odsunęła się, by mu się przyjrzeć, wyraz żarliwej radości w jej oczach znikł, zastąpiony tajoną obawą.

Słowa jakby same wyrwały mu się z ust:

- Zaczniij brać lekarstwa, mamó. Tak będzie najlepiej.

Oczy Very rozszerzyły się, oblizwała wargi... i nagle obok niej stał Herb, prawie płacząc. Stracił trochę na wadze - nie tyle, ile przybrała matka, był jednak zdecydowanie szczuplejszy. Łysiał

wyraźnie, ale twarz miał nie zmienioną, zwykłą, szeroką, kochaną. Wyjął z tylnej kieszeni spodni wielką kolejarską chustkę i wytarł nią oczy. Później wyciągnął rękę.

- Cześć, synku - powiedział. - Miło, że znów jesteś z nami.

Johnny potrząsnął ręką ojca, najmocniej jak umiał; jego blada, pozbawiona siły dłoń znikła w czerwonej dłoni Herba. Przyglądał się im, jednemu i drugiemu: matce w wielkim niebiesko-szarym spodniemie, ojcu w obrzydliwym, obszarpanym garniturze, odpowiednim w sam raz dla komiwojażera sprzedającego odkurzacze w Kansas - i wybuchnął płaczem.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam, tylko...

- Płacz. - Vera usiadła przy nim na łóżku. Twarz miała czysta, spokojną. Było w niej więcej matczynej troski niż szaleństwa. - Nie przejmuj się i płacz. Czasami to pomaga. I Johnny płakał.

7

Herb powiedział mu, że ciocia Germaine umarła. Vera powiedziała mu, że zebrano wreszcie pieniądze na Miejski Dom Kultury w Pownal i że budowa rozpoczęła się miesiąc temu, kiedy tylko rozmarzła ziemia. Herb dodał, że zgłosił się na przetarg, ale najwyraźniej uczciwa praca była dla nich za droga.

- Och, zamknij się, ty nieudaczniku - przerwała mu Vera. Zapadła chwila ciszy, a później Vera mówiła dalej:

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż twoje ozdrowienie jest cudem Boga, Johnny. Doktorzy stracili wszelką nadzieję. W Ewangelii według świętego Mateusza, rozdział dziewiąty, czytamy...

- Vera - powiedział Herb ostrzegawczo.

- Oczywiście, że to był cud, mam. Wiem o tym.

- Wie... wiesz?

- Tak. I chciałbym porozmawiać z tobą na ten temat... Chciałbym się dowiedzieć, co myślisz... jak tylko znowu stanę na nogi.

Gapiała się na niego z otwartymi ustami. Johnny spojrzał ponad jej ramieniem na ojca i ich wzrok spotkał się na moment. W oczach Herba była wielka ulga. Skinął nieznacznie głową.

- Nawrócenie! - krzyknęła głośno Vera. - Mój chłopiec się nawrócił! Chwała niech będzie Bogu!

- Daj spokój, Vera - wtrącił Herb. - W szpitalu lepiej chwalić Boga po cichu.

- Chyba każdy nazwałby to cudem, mam. Porozmawiamy o tym. Będziemy długo rozmawiać. Jak tylko stąd wyjdę.

- Wrócisz do domu - powiedziała Vera. - Do domu, w którym cię wychowywałam. Będę się tobą opiekować, wyzdrowiejesz i razem będziemy się modlić o objawienie.

Uśmiechnął się do niej, ale z wysiłkiem utrzymywał ten uśmiech na ustach.

- Jasne, mam. Czy mogłabyś pójść do pokoju pielęgniarek i poprosić Marie o trochę soku? Albo piwa imbirowego? Chyba odzwyczaiłem się od mówienia i gardło mam...

- Oczywiście, że pójdę. - Pocałowała go w policzek i wstała. - Och, jesteś taki chudy. Ale poprawisz się, jak wrócisz do domu. - Wyszła z sali, rzucając Herbowi zwycięskie spojrzenie. Słyszeli, jak idzie korytarzem, klapiąc butami.

- Jak długo to już trwa? - zapytał cicho Johnny. Herb potrząsnął głową.

- Pogarszało się jej stopniowo od chwili wypadku. Ale zaczęło się na długo przedtem. Przecież wiesz. Pamiętasz.

- Czy...?

- Nie wiem. Na południu są jacyś ludzie, którzy hodują węże. Nazwałbym ich szalonymi. Jak ty się czujesz, Johnny? Naprawdę?

- Nie wiem. Tato, co z Sara?

Herb pochylił się i włożył dłonie między kolana.

- Przykro mi to mówić, Johnny, ale...

- Wyszła za męża? Ma m e ż a?

Herb nie odpowiedział. Skinął tylko głową, nie patrząc na syna.

- O, Boże! - powiedział cicho Johnny. - Tego się obawiałem.

- Od trzech lat jest panią Hazlett. On jest prawnikiem. Mają małego chłopca. John... nikt, ale to nikt nie wierzył, że się obudzisz. Oczywiście z wyjątkiem twojej matki. Nikt z nas nie miał

p o w o d u, żeby wierzyć, że się obudzisz. - Głos Herba był teraz drżący, ochrypliwy ze wstydu. - Lekarze mówili... nie ma teraz znaczenia, co mówili. Nawet ja się poddałem. Cholernie mi wstyd przyznać się do tego, ale to prawda. Mogę cię tylko prosić, żebyś spróbował zrozumieć mnie... i Sarę.

Johnny próbował powiedzieć, że rozumie, ale z gardła wydobył tylko niewyraźne chrząknięcie. Jego ciało wydało mu się nagle chore i stare, uświadomił sobie, że poniósł niepowetowane straty. Stracony czas przycisnął go nagle do ziemi jak paleta cegieł - prawdziwych, a nie wymyślonych cegieł.

- Johnny, nie przejmuj się. Są jeszcze inne rzeczy. Dobre rzeczy.

- Zajmie mi trochę czasu, nim się do tego przyzwyczaję - wykrztusił z siebie Johnny.

- Tak, wiem.

- Widziałeś ją?

- Pisujemy do siebie od czasu do czasu. Poznaliśmy się po twoim wypadku. To miła dziewczyna, bardzo miła. Ciągłe uczy w Cleaves, ale wydaje mi się, że ma skończyć w lipcu. Jest szczęśliwa, John.

- To dobrze. Cieszę się, że ktoś jest szczęśliwy.

- Synku...

- Mam nadzieję, że nie opowiadacie sobie żadnych sekretów - powiedziała radośnie Vera Smith, wracając do sali. W ręku trzymała kubek obłożony lodem. - Powiedzieli, że na sok jeszcze za wcześnie, Johnny, więc przyniosłam ci piwo imbirowe.

- Doskonale, mam.

Vera spojrzała na Herba, na Johnny'ego i z powrotem na Herba.

- Opowiadaliście sobie jednak jakieś tajemnice? Dlaczego macie takie smutne miny?

- Właśnie powiedziałem Johnny'emu, że będzie musiał ciężko pracować, żeby się stąd wydostać - powiedział Herb. - Dużo fizykoterapii.

- Po co mówisz mu takie rzeczy? - Vera nalala piwa do kubka. - Teraz już wszystko będzie dobrze. Zobaczycie. Włożyła do kubka plastikową słomkę i wręczyła go synowi.

- A teraz wypij do dna - powiedziała z uśmiechem. - To zdrowe.

John wypił wszystko. Czuł w ustach gorzki smak.

ROZDZIAŁ 7

I

- Proszę zamknąć oczy - powiedział Weizak.

Weizak był mały, okrągłutki i miał wręcz nieprawdopodobną fryzurę z długimi baczkami. Johnny nie mógł przyzwycząić się do tych wszystkich włosów. W 1970 roku ktoś z takim uczesaniem musiałby bić się w każdym barze we wschodnim Maine, a mężczyznę w wieku Weizaka z pewnością uznano by za wystarczająco dorosłego, by trafił wprost do więzienia.

Tyle włosów. Rany!

Zamknął oczy. Głowę miał pokrytą elektrodami, do których podłączone były przewody prowadzące do wbudowanego w ścianę EEG. Przy konsoli EEG, który cierpliwie wypluwał z siebie szeroką wstęgę papieru, stała pielęgniarka i doktor Brown. Johnny żałował, że pielęgniarką nie była Marie Michaud. Trochę się bał.

Doktor Weizak dotknął jego powiek i Johnny drgnął.

- Nie... nie ruszaj się, Johnny. To ostatnie. No... już.

- W porządku, doktorze - odezwała się pielęgniarka. Cichy szum.

- W porządku, Johnny. Wygodnie ci?

- Mam wrażenie, jakby ktoś położył mi monety na oczach.

- Doprawdy? Szybko się do tego przyzwyczajasz. Pozwól, że ci objaśnię procedurę. Za chwilę poproszę cię, żebyś wyobraził sobie różne rzeczy. Będziesz miał mniej więcej dziesięć sekund na każdą, a tych rzeczy jest dwadzieścia. Rozumiesz?

- Tak.

- Doskonale. Zaczynamy, doktorze Brown?

- Wszystko gotowe.

- Doskonale, Johnny. Proszę, wyobraź sobie stół. Na stole leży pomarańcza.

Johnny pomyślał przez chwilę i zobaczył mały stolik do kart ze składanymi, stalowymi nóżkami. Na stoliku, nieco z boku, leżała duża pomarańcza; na jej nierównej skórce widniała nalepka z napisem: „SUNKIST”.

- Dobrze - powiedział Weizak.

- Czy to coś widziało moją pomarańczę?

- Nie... to znaczy tak, w sposób symboliczny. Maszyna śledzi twe fale mózgowe. Szukamy przeszkód, Johnny. Obszarów uszkodzonych. Wskazówek, że istnieje gdzieś jeszcze wzmożone ciśnienie śródczaszkowe. A teraz proszę, żebyś dał sobie spokój z pytaniami.

- Dobrze.

- Proszę, wyobraź sobie teraz telewizor. Jest włączony, ale nie odbiera żadnej stacji.

Johnny zobaczył telewizor, który stał u niego w mieszkaniu - stał n i e g d y ś. Rozjaśniony ekran śnieżył. Ramiona anteny, rozłożone jak królicze uszy, dla lepszego odbioru owinięte były srebrną folią.

- Dobrze.

Padaly kolejne polecenia:

- Wyobraź sobie stolik piknikowy stojący w lewej części zielonego trawnika. Johnny pomyślał i zobaczył leżak. Zmarszczył czoło.

- Coś nie w porządku? - zapytał go Weizak.

- Nie, nie - powiedział i skupił się bardziej.

Piknik. Steki, barbecue... kojarz, cholera, kojarz! Tak trudno zobaczyć w wyobraźni stolik piknikowy, kiedy w życiu widziało się ich tylko parę tysięcy? Kojarz, aż go zobaczysz. Plastikowe łyżki i widelce, papierowe talerzyki, ojciec w kucharskiej czapie trzyma w ręku długi widelec; ma na sobie fartuch, na którym chwiejnymi literami wypisane jest: KUCHARZ MUSI SIĘ NAPIĆ. Tata smaży hamburgery i zaraz wszyscy usiądą do... No, jest!

Johnny uśmiechnął się, lecz jego uśmiech zaraz zbladł. Tym razem wyobraził sobie hamak.

- Cholera!

- Stolik nie wyszedł?

- Zdumiewające. Jakbym... jakbym nie mógł o nim pomyśleć. To znaczy... wiem, co to jest, ale nie mogę sobie tego wyobrazić. Czy to nie dziwne?

- Nie ma sprawy. Spróbuj czegoś takiego: kula ziemską leżącą na płóciennym budzie półcieżarówce.

To było łatwe.

Przy dziewiętnastym zadaniu - łódź wiosłowa leżąca pod znakiem drogowym (Johnny zastanowił się przez chwilę, kto też wymyśla te wszystkie pytania) - powtórzył się problem stolika. Okropnie frustrujące. Zobaczył piłkę plażową leżącą przy nagrobku. Wytężył umysł i dostrzegł wielopoziomowe skrzyżowanie autostrad. Weizak uspokoił go, a w chwilę później usunięto elektrody z jego głowy i powiek.

- Dlaczego nie mogłem tego zobaczyć? - zapytał Johnny. Wzrok biegał mu od Browna do Weizaka i z powrotem. - Co się stało?

- Trudno odpowiedzieć na to pytanie z całkowitą pewnością - stwierdził Brown. - Może to być rodzaj miejscowej amnezji. Albo wypadek mógł zniszczyć jakąś część pańskiego mózgu - mam na myśli część mikroskopijnych rozmiarów. Tak naprawdę nie wiemy, na czym polega problem, ale jest całkiem jasne, że stracił pan pewną ilość pamięci śladowych. Trafiliśmy przypadkiem na dwie. Pan pewnie napotka ich więcej.

Weizak zapytał nagle:

- W dzieciństwie doznałeś urazu głowy, prawda? Johnny spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Masz na głowie starą bliznę. Jest taka teoria, Johnny, oparta na mnóstwie badań statystycznych...

- Badań, które nieprędko zostaną ukończone - wtrącił Brown; zabrzmiało to bardzo uczenie.

- Racja. Ale według tej teorii ludzie budzący się ze stanu śpiączki wcześniej doznali jakiegoś urazu mózgu... tak jakby w rezultacie wcześniejszego urazu mózgu jakoś się adaptował, umożliwiając przetrwanie późniejszego uszkodzenia.

- Nic z tego nie udowodniono. - Brown najwyraźniej miał pretensję do Weizaka o samo poruszenie tego tematu.

- Ale on ma bliźnię - powiedział Weizak. - Nie pamiętasz, co ci się przytrafiło, Johnny? Przymiślam, że musiałeś stracić przytomność. Spadłeś ze schodów? Może z roweru? Sądząc po bliźnię, byłeś wtedy chłopcem.

Johnny wysilił pamięć, a potem potrząsnął głową.

- Pytał pan rodziców?

- Żadne z nich nie pamięta takiego urazu głowy... a tobie nic nie przychodzi na myśl?

Na moment przyszło: wspomnienie dymu, czarnego, tłustego, pachnącego gumą. Chłód. I znikło. Johnny potrząsnął głową.

Weizak westchnął, a później wzruszył ramionami.

- Musisz być zmęczony.

- Tak. Trochę.

Brown przysiadł na kozetce.

- Jest za piętnaście jedenasta. Miałeś bardzo pracowity ranek. Doktor Weizak i ja odpowiemy ci na kilka pytań, jeśli chcesz, a później się prześpisz. Dobrze?

- Dobrze - powiedział Johnny. - Robiliście mi zdjęcia mózgu...

- Badanie TK. - Weizak skinął głową. - Tomografia komputerowa. - Wziął pudełko gumy do żucia i wsunął sobie w usta trzy gumy na raz. - TK to seria rentgenów mózgu, Johnny. Komputer zestawia obrazy i...

- I co wam powiedział? Ile czasu mi zostało?

- Co znaczy to „ile czasu mi zostało”? Mówisz, jakbyś grał w starym filmie.

- Słyszałem, że ludzie budzący się z długotrwałej śpiączki nie zawsze pozostają przytomni. Zасыpiają znowu. To jak z żarówką, która błyska, nim się przepali.

Weizak roześmiał się głośno. Był to szczery, donośny śmiech, zakrawało na cud, że przy okazji nie zakrztusił się gumą.

- Och, jaki ty jesteś melodramatyczny. - Położył rękę na piersi Johnny'ego. - Sądziś, że Jim i ja jesteśmy dziećmi? Nie. Jesteśmy neurologami. Wy, Amerykanie, nazywacie takich ludzi „drogimi talentami”. Co oznacza, że niewiele wiemy o funkcjonowaniu ludzkiego mózgu, ale nie jesteśmy w tej dziedzinie kompletnymi ignorantami. I mówię ci: oczywiście, bywały nawroty. Ale w twoim przypadku nie będzie żadnych. Myślę, że możemy ci to zapewnić, prawda, Jim? Zgadzasz się?

- Tak - powiedział Brown. - Nie zdołałem znaleźć żadnych istotnych uszkodzeń w twym mózgu, Johnny. W Teksasie mieszka facet, który spędził w śpiączce dziewięć lat. Od sześciu lat pracuje w banku, zajmuje się sprawdzaniem wypłacalności kredytobiorców. Przedtem, przez dwa lata, był kasjerem. W Arizonie jest kobieta, która była w śpiączce dwanaście lat. Podczas porodu wystąpiły kłopoty ze znieczuleniem. Jeździ na wózku inwalidzkim, ale żyje i dysponuje pełnią władz umysłowych. Obudziła się w 1969 roku i spotkała dziecko, które urodziła dwanaście lat wcześniej. Dziecko chodziło do szóstej klasy i uczyło się doskonale.

- Czy ja też będę jeździł na wózku? - zapytał Johnny. - Nie mogę wyprostować nóg. Z rękami jest lepiej, ale nogi... - nie dokończył, tylko potrząsnął głową.

- Ściągną się kurczą, wiesz? - powiedział Weizak. - To dlatego ludzie w stanie śpiączki przybierają pozycję płodu. Ale wiemy teraz więcej o fizycznej degeneracji, będącej wynikiem śpiączki, i potrafimy jej lepiej zapobiegać. Szpitalny fizykoterapeuta pracował nad tobą regularnie również wtedy, kiedy spałeś. Różni ludzie różnie reagują na śpiączkę. W twoim przypadku ta degeneracja przebiegała dość wolno, Johnny. Jak powiedziałaś, twoje ręce poruszają się i reagują na bodźce wspaniale. Ale pewna zmiana jednak nastąpiła. Kuracja będzie długa i... czy mam ci kłamać? Nie, nie sądzę. Będzie długa i bolesna. Będziesz płakał z bólu. Być może znienawidzisz fizykoterapeutę. Być może zakochasz się w szpitalnym łóżku. I przejdziesz operację - jedną, jeśli jesteś wyjątkowym szczęściarzem, albo nawet i cztery. Te operacje to jeszcze ciągle nowość. Mogą okazać się w pełni skuteczne, odnieść częściowy skutek albo w ogóle żadnego. A jednak, jeśli taka jest wola Boża, to - moim zdaniem - będziesz chodził. Nie sądzę, byś miał kiedykolwiek jeździć na nartach lub biegać przez płotki, ale być może będziesz biegał, a z pewnością pływał.

- Dziękuję - powiedział Johnny. Poczł nagły przypływ uczucia do tego mężczyzny, który mówił z akcentem i miał takie dziwne uczesanie. Chciał mu się jakoś przysłużyć, a z tym uczuciem przyszła pokusa, niemal konieczność, by go dotknąć. Gwałtownie wyciągnął ręce i ujął dłoń Weizaka w swe dłonie. Dłoń doktora była duża, ciepła, z wyraźnie wyczuwalnymi żyłami.

- Tak? - powiedział łagodnie Weizak. - A to co?

I nagle wszystko się zmieniło. Nie sposób było powiedzieć, jak. Tylko w jednej chwili zobaczył Weizaka wyraźniej. Weizak jakby... z r o b i ł k r o k n a p r z ó d... otoczyło go piękne, czyste światło. Każdy znak, każdy pieprzyk na jego twarzy Johnny widział jak wyrzeźbiony. I każdą linię czytał jak książkę. Z a c z y n a ł r o z u m i e ć! - Poproszę o portfel - powiedział.

- Portfel? - Weizak i Brown wymienili zaskoczone spojrzenia.
- Ma pan w portfelu zdjęcie matki. Potrzebuję tego zdjęcia. P r o s z ę!
- Skąd ty to wiesz?
- P r o s z ę!

Weizak przez chwilę wpatrywał się w twarz pacjenta, a później powoli wsunął rękę pod fartuch i wyciągnął skórzany portfel, stary, wypchany i bezkształtny.

- Skąd wiesz, że mam w nim zdjęcie matki? Ona nie żyje, zginęła w okupowanej Warszawie...

Johnny wyrwał lekarzowi portfel. I sam Weizak, i Brown sprawiali wrażenie oszołomionych. Johnny otworzył portfel i zaczął w nim grzebać, nie zważając na plastikowe okładki na fotografie. Pomiął stare wizytówki, rachunki ze sklepów, skasowany czek, stare zaświadczenie o pełnieniu jakiejś funkcji politycznej. Znalazł wreszcie małe zdjęcie oprawione w plastik. Przedstawiało młodą kobietę o dość pospolitej twarzy, z włosami związanymi pod chustką. Uśmiechała się promiennym uśmiechem młodości. Na rękach trzymała małego chłopca. Obok niej stał mężczyzna w mundurze polskiej armii.

Johnny włożył zdjęcie pomiędzy dłonie, zamknął oczy i przez chwilę widział tylko ciemność, a potem z ciemności wyłonił się wóz... nie, karawan. Karawan ciągnięty przez konie, z lampami przykrytymi czarnymi woreczkami. Oczywiście, to był karawan, bo...

(ginęli setkami, tak, tysiącami, nie mogli walczyć z czołgami, wermachtem, dziewiętnastowieczna kawaleria przeciw czołgom i karabinom maszynowym, wybuchy, ludzie wyją, umierają, koń, wypłynęły mu wnętrzności, wywalone, otoczone białą obwódką oczy, za nim przewrócona armata, jadą nadal, jadą, jedzie weizak, stoi w strzemionach, w wyciągniętej ręce trzyma szablę, jest jesień 1939, pada jesienny deszcz, ludzie idą za nim, grzęznąc w błocie, działo nazistowskiego tygrysa obraca się, namierza go, ma go, strzela i nagle weizak powyżej pasa znika, szabla wypada mu z dłoni, to droga do warszawy, nazistowski wilk szaleje w europie)

- Doprawdy, powinniśmy z tym skończyć. - W odległym głosie Browna brzmiał strach. - Zbyt się podniecasz, Johnny. Słyszał głosy z dala, jak z tunelu czasu.

- Wprowadził się w jakiś trans - powiedział Weizak.

Było gorąco. Pocił się. Pocił się, bo

(miasto płonie, uciekają tysiące ludzi, po wybrukowanej ulicy jedzie zygzakiem ciężarówka, na ciężarówce siedzą niemieccy żołnierze w hełmach jak wiadra na węgiel, machając rękami, a młoda kobieta nie uśmiecha się teraz, ucieka, musi uciekać, chłopiec, odesłała go, chłopiec jest bezpieczny, ciężarówka skacze na krawężniku, błotnik uderza kobietę, miażdży jej biodro, kobieta wpada przez wybitą szybę do sklepu z zegarami, zegary zaczynają bić, biją, bo jest... bo jest)

- Szósta - powiedział Johnny ochryple. Oczy miał wywrócone, wybałuszone, widać było tylko białka. - Drugi września 1939 roku, wszystkie kukułki kukają godzinę.

- O mój Boże, co my tu mamy? - szepnął Weizak.

Pielęgniarka przytuliła się do elektroencefalografii, twarz miała bladą, przerażoną. Wszyscy się teraz boją, bo w powietrzu wisi śmierć. Śmierć wisi tu zawsze, zawsze tu wisi, bo to

(szpital, zapach eteru, krzyczą w obliczu śmierci, polska nie żyje, polska upadła wobec błyskawicznego marszu niemieckiego blitzkriegu, strzaskane biodro, mężczyzna w sąsiednim łóżku krzyczy o wodę, krzyczy, krzyczy, krzyczy, kobieta pamięta „CHŁOPIEC JEST BEZPIECZNY” jaki chłopiec? nie wie jaki chłopiec? jak się nazywam? nie pamięta nic tylko)

- Chłopiec jest bezpieczny - powiedział Johnny ochryple. - Och. Och. Och.

- Musimy to przerwać - powtórzył Brown.

- A co według ciebie powinniśmy zrobić? - głos Weizaka załamywał się. - Tkwi w tym zbyt głęboko, by...

Cichły głosy. Głosy z mgły. Mgła przykryła wszystko. Europa spowita jest mgłą wojny. Przykryła wszystko z wyjątkiem szczytów, szczytów gór

(szwajcaria. nazywa się teraz BORENTZ, nazywa się JOANNA BORENTZ, a jej mąż jest inżynierem czy architektem, czy jak się nazywa człowiek budujący mosty, buduje mosty w Szwajcarii, jest kozie mleko, kozi ser, dziecko, ooooh! poród, straszny poród, trzeba jej dać znieczulenie, morfinę,

tej JOANNIE BORENTZ z powodu biodra, zmiążdżone biodro, zrosło się, zasnęło, a teraz się przebudziło i zaczyna krzyczeć, kości rozsuwają się, by przepuścić dziecko, jedno dziecko, drugie, trzecie, czwarte, nie urodziły się od razu, nie - rodziły się przez lata, lata)

- Dzieci - zawodził Johnny i mówił teraz kobiecym głosem, wcale niepodobnym do swego głosu. Mówił głosem kobiety. Z jego ust wypłynęły bełkotliwe dźwięki piosenki.

- Co, na miłość boską... - zaczął Brown.

- To po polsku! - krzyknął Weizak. Ogarnęło go zdumienie, twarz miał białą jak papier. - To kołysanka, śpiewa polską kołysankę, mój Boże, Chryste, co my tu mamy?

Pochylił się nad Johnnym, jakby chciał się z nim połączyć przez lata, jakby chciał przeskoczyć czas, jakby (*most, jakiś most, to turcja, a później most gdzieś, gdzie jest gorąco, na dalekim wschodzie, czy to laos? nie wiem, zagubiłem go tam, straciliśmy tam HANSA, potem most w wirginii, most nad rzeką RAPPAHANNOCK i kolejny most w kaliforniu, składamy wniosek o obywatelstwo i chodzimy na zajęcia w małym gorącym pokoju na zapleczu poczty, gdzie zawsze czuć zapach kleju, jest rok 1963, październik, i kiedy słyszymy o śmierci kennedy'ego w dallas, płaczemy i kiedy mały chłopczyk salutuje nad trumną ojca, kobieta myśli „CHŁOPIEC JEST BEZPIECZNY” i to przywołuje wspomnienie pożaru, jakiegoś wielkiego pożaru i wielkiego smutku, jaki chłopiec? śni jej się chłopiec i boli ją serce, mężczyzna umiera, HELMUT BORENTZ umiera, a ona z dziećmi mieszka w carmel w kalifornii w domu na, na... na... nie widzę nazwy ulicy, jest w martwej strefie jak łódź, jak stoi piknikowy na trawniku, jest w martwej strefie, jak warszawa, dzieci odchodzą, idzie na rozdanie matur raz, drugi i trzeci, biodro ją boli. jeden syn ginie w Wietnamie, ale reszta żyje dobrze, jeden z nich buduje mosty, kobieta nazywa się JOANNA BORENTZ i późną nocą, kiedy jest sama w zapadającym zmroku, myśli czasem „CHŁOPIEC JEST BEZPIECZNY”)*

Johnny spojrzał na lekarzy. Czuł w głowie zamęt. To szczególne światło wokół Weizaka znikło. Znowu czuł się sobą, choć był słaby i trochę go mdliło. Przez chwilę patrzył na zdjęcie, a później oddał je lekarzowi.

- Johnny? - spytał Brown. - Dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczony.

- Czy możesz powiedzieć nam, co się z tobą działo? Johnny spojrzał na Weizaka.

- Pańska matka żyje - powiedział.

- Nie, Johnny. Zmarła wiele lat temu. Podczas wojny.

- Niemiecka ciężarówka z żołnierzami potrafiła ją. Wpadła przez szybę do sklepu z zegarami - mówił. - Ocknęła się w szpitalu. Amnezja. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Żadnych papierów. Przybrała imię Joanna... nie znam nazwiska. Tego nie widziałem, ale po wojnie wyjechała do Szwajcarii i wyszła za mąż za Szwajcara... chyba inżyniera. Jego specjalnością była budowa mostów, nazywał się Helmut Borentz. Po mężu nazywała... nazywa się... Joanna Borentz.

Oczy pielęgniarki robiły się coraz większe. Twarz doktora Browna była napięta; może uważał, iż Johnny nabiera ich wszystkich, albo po prostu nie podobało mu się, że naruszono ciasny grafik badań. Natomiast Weizak miał twarz nieruchomą, zamyśloną.

- Miała z Helmutem Borentzem czwórkę dzieci - kontynuował Johnny spokojnym, zmęczonym głosem. - Borentz pracował na całym świecie. Przez pewien czas był w Turcji. I gdzieś na Dalekim Wschodzie, chyba w Laosie, może w Kambodży. Później przyjechał tutaj. Najpierw do Wirginii, później w kilka innych miejsc, których nie widziałem, w końcu do Kalifornii.

Dostali obywatelstwo amerykańskie. Helmut Borentz nie żyje. Jedno z ich dzieci także nie żyje. Inne mają się doskonale. Ona czasami o panu śni. W snach myśli „chłopiec jest bezpieczny”. Ale nie pamięta pańskiego nazwiska. Może sądzi, że już za późno.

- Kalifornia? - powtórzył Weizak z namysłem.

- Sam - wtrącił doktor Brown - doprawdy, nie powinienes go zachęcać.

- Gdzie w Kalifornii, John?

- W Carmel. Nad morzem. Ale nie potrafię powiedzieć, na jakiej ulicy mieszka. To tam było, ale nie potrafię powiedzieć. Pojawilo się w martwej strefie. Jak stół piknikowy i wiosłowa łódź. Ale ona, Joanna Borentz, mieszka w Carmel, w Kalifornii. Nie jest stara.

- Nie, oczywiście, nie powinna być stara - powiedział Sam Weizak dalekim, pełnym namysłu głosem. - Kiedy Niemcy napadli na Polskę, miała tylko dwadzieścia cztery lata.

- Doktorze Weizak, muszę nalegać... - Głos Browna był ochryply.

Weizak sprawiał wrażenie wyrwanego z bardzo głębokiego namysłu. Rozejrzał się dookoła,

jakby dopiero co zauważył stojącego obok młodszego kolegę.

- Naturalnie - powiedział. - Jasne, że musisz nalegać. A Johnowi skończył się czas na pytania... chociaż, jak sądzę, powiedział nam więcej niż my jemu.

- To bzdury - stwierdził krótko Brown i Johnny pomyślał: „Jest przerażony. Strasznie przerażony”.

Weizak uśmiechnął się do Browna, a później do pielęgniarki, która patrzyła na Johnny'ego, jakby był tygrysem zamkniętym w przegniłej klatce.

- Proszę nic o tym nikomu nie mówić, sestro - powiedział Weizak. - Ani przełożonej, ani bratu, ani kochankowi, ani spowiednikowi. Zrozumiano?

- Tak, doktorze - powiedziała pielęgniarka. „Ona nie zachowa tajemnicy”, pomyślał Johnny, a później zerknął na Weizaka. „I on o tym wie.”

Przespał większość popołudnia. Około czwartej przewieziono go korytarzem, zwieziono windą na neurologię i tam zrobiono mu więcej testów. Johnny płakał. Nie kontrolował prawie odruchów, które dorośli ludzie zwykli kontrolować. Kiedy wracał z badań, zrobił siusiu w majtki i musiano go przewinąć jak dziecko. Zwalila się na niego pierwsza (i jedna z wielu, które dopiero miały nadejść) fala depresji, uniosła go ze sobą i żałował, że żyje. Żal nad samym sobą pojawił się wraz z depresją i Johnny pomyślał, jakie to niesprawiedliwe: odstawił numer Ripa van Winkle'a, nie mógł chodzić, jego dziewczyna wyszła za męża za innego, a matka wpadła w manię religijną. Nie widział przed sobą nic takiego, dla czego warto byłoby żyć.

Kiedy już znalazł się w pokoju, pielęgniarka zapytała go, czy czegoś sobie *zyczy*. Gdyby to była Marie, poprosiłby o wodę z lodem. Ale Marie skończyła pracę o trzeciej.

- Nie - odparł i odwrócił się twarzą do ściany. Po krótkiej chwili zasnął.

ROZDZIAŁ 8

I

Wieczorem odwiedzili go rodzice i Vera zostawiła mu kupkę broszurek.

- Zostaniemy tu do końca tygodnia - oznajmił Herb. - A później, jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócimy na trochę do Pownal. Ale będziemy przyjeżdżać na wszystkie weekendy.

- Chcę zostać z moim chłopcem - rzekła głośno Vera.

- Lepiej nie, mam - powiedział Johnny. Jego depresja prawie minęła, ale pamiętał, jaka była głęboka. Jeśli matka zacznie mu opowiadać o tym, jaki wspaniały plan ma dla niego Bóg, kiedy on będzie w tym stanie, z pewnością nie zdoła powstrzymać wybuchu histerycznego śmiechu.

- Potrzebujesz mnie, John. Potrzebujesz mnie, żebym ci wyjaśniła. ..

- Najpierw muszę się lepiej poczuć. Wyjaśnisz mi wszystko, kiedy zacznę chodzić. Dobrze?

Nie odpowiedziała. Na jej twarzy malował się komiczny upór - tylko że nie było w nim nic śmiesznego. Nic a nic. *Mc, tylko łut szczęścia, to wszystko. Pięć minut wcześniej na tej drodze, pięć minut później, i świat wyglądałby zupełnie inaczej. Tylko spójrzcie na nas wszystkich, tylko popatrzcie, jacy zrobiliśmy się popaprani. A ona wierzy, że to boski plan. Chyba albo to, albo przyszłoby kompletnie oszaleć.*

Żeby przerwać niezręczną ciszę, Johnny zapytał:

- Czy Nixona wybrali na drugą kadencję? I kto był kontrkandydatem?

- Został wybrany - odpowiedział Herb. - Kontrkandydatem był McGovern.

- Kto?

- McGovern. George McGovern. Senator z Południowej Dakoty.

- Nie Muskie?

- Nie. Ale Nixon nie jest już prezydentem. Zrezygnował.

- Co?

- Okazał się kłamcą - stwierdziła ponuro Vera. - Stał się pyszny i Bóg go poniżył.

- Nixon zrezygnował? - Johnny kompletnie zgłupiał. - O n?

- Miał do wyboru: albo zrezygnować, albo go wyważyć - powiedział Herb. - Byli gotowi go oskarżyć.

Johnny nagle zorientował się, że w amerykańskiej polityce nastąpiły wielkie i niezmiernie ważne zmiany - na pewno z powodu Wietnamu - a jemu to wszystko umknęło. Po raz pierwszy naprawdę poczuł się jak Rip van Winkle. Jak wielkie były te zmiany? Bał się zapytać. A później naprawdę się przestraszył.

- Agnew... Agnew został prezydentem?
- Ford - poinformowała go Vera. - Dobry, uczciwy człowiek.
- Henry Ford został prezydentem Stanów Zjednoczonych?
- Nie Henry. Gerald.

Johnny patrzył raz na jedno, raz na drugie, na pół przekonany, że to sen albo jakiś głupi dowcip.

- Agnew też zrezygnował - Vera zacisnęła usta w cienką, białą linię. - Był złodziejem. Przyjął łapówkę w swym biurze. Tak mówią.

- Nie zrezygnował z powodu łapówki - poprawił ją Herb. - Zrezygnował z powodu jakichś sprawek w Marylandzie. Przypuszczam, że tkwił w nich po szyję. Nixon mianował wiceprezydentem Jerry'ego Forda. A w sierpniu sam zrezygnował i Ford został prezydentem. O n z kolei mianował wiceprezydentem Nelsona Rockefellera. I tak zostało do dziś.

- Jest rozwiedziony - rzekła ponuro Vera. - Niech Bóg broni, by kiedykolwiek został prezydentem.

- Co zrobił Nixon? - spytał Johnny. - Wielki Boże, ja... -

Zerknął na matkę, która natychmiast zrobiła groźną minę. - To znaczy, rany Julek, jeśli mieli go oskarżyć...

- Nie powinieneś wzywać imienia Pana Naszego nadaremnie z powodu bandy przekupnych polityków - powiedziała Vera. - Chodziło o Watergate.

- Watergate? Czy to jakaś operacja w Wietnamie?

- Chodziło o Hotel Watergate w Waszyngtonie - wyjaśnił mu Herb. - Jacyś Kubańczycy włamali się do biur Partii Demokratycznej i dali się złapać. Nixon o tym wiedział. Próbował to zatuszować.

- Kpisz sobie? - zdołał w końcu wykrztusić Johnny.

- To przez te taśmy - mówiła dalej Vera. - I ten John Dean. Nie lepszy od szczura uciekającego z tonącego okrętu, moim zdaniem. Zwykły plotkarz.

- Tato, możesz mi to wszystko wytłumaczyć?

- Spróbuję - powiedział Herb - ale nie sądzę, by wszystko już wyszło na jaw. Jeszcze nie. Przyniosę ci książki. Napisano na ten temat z milion książek, a nim wszystko wreszcie się skończy, dopiszą pewnie kolejny milion. Więc tak: tuż przed wyborami, latem 1972 roku...

2

Było wpół do jedenastej i rodzice już wyszli. Na oddziale przy gaszono światła. Johnny nie mógł spać. Przerazająca mieszanina nowych faktów tańczyła mu po głowie. Świat zmienił się tak bardzo, że aż nie do uwierzenia - biorąc pod uwagę, jak niewiele minęło czasu. Czuł, że nie nadąza za tymi zmianami, że się do nich nie dostosuje.

Ojciec powiedział mu, że ceny paliw poszły w górę prawie o sto procent. Kiedy miał wypadek, galon zwykłej benzyny można było kupić za trzydzieści do trzydziestu dwóch centów. Teraz kosztował już pięćdziesiąt cztery centy i pod stacjami benzynowymi czasami ustawiały się kolejki. W całym kraju wprowadzono ograniczenie prędkości do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kierowcy wielkich ciężarówek omal nie wszczęli z tego powodu wojny domowej.

Ale to jeszcze nic. Skończyła się wojna w Wietnamie. Zwyczajnie skończyła się. Komuniści opanowali wreszcie kraj. Herb powiedział, że stało się to wtedy, kiedy Johnny właśnie zaczął okazywać oznaki wychodzenia z komy. Po wszystkich tych latach spadkobiercy Wujka Ho zwinęli sobie kraj jak roletę w ciągu zaledwie kilku dni.

Prezydent Stanów Zjednoczonych odwiedził czerwone Chiny. Nie Ford, ale Nixon. Pojechał tam przed złożeniem rezygnacji. Sam N i x o n, ten wielki inkwizytor! Gdyby to powiedział mu kto inny, nie tata, Johnny za nic by nie uwierzył.

Zbyt wiele się zmieniło i było to straszne. Nagle nie chciał dowiedzieć się już niczego; przestraszył się, że zwariuje. Ten długopis, który miał doktor Brown, ten *Flair*... jak dużo podobnych nowinek pojawi się jeszcze? Czy wiele jest takich drobiazgów, które udawniały mu jedno: „Straciłeś część życia, niemal sześć procent życia (jeśli wierzyć statystykom). Wypadłeś z obiegu,

jesteś opóźniony".

- Johnny? - powiedział cichy głos. - Śpisz, Johnny? Odwrócił się. W drzwiach stała jakaś niewyraźna postać. Mały, zgarbiony mężczyzna. Weizak.

- Nie. Nie śpię.

- Miałem taką nadzieję. Mogę wejść?

- Tak. Tak, proszę.

Lekarz wyglądał starzej. Przysiadł na łóżku Johnny'ego.

- Zadzwoiłem do niej - powiedział. - Zadzwoiłem do informacji z prośbą o telefon w Carmel, w Kalifornii. Zapytałem o panią JoAnne Borentz. Jak sądzisz, mieli jej numer?

- Tak. Jeśli nie jest zastrzeżony i jeśli w ogóle ma telefon.

- Ma. Dali mi numer.

- Aha. - Ciekawiło go to, bo lubił Weizaka, ale z żadnego innego powodu. Nie odczuwał potrzeby potwierdzenia swych wiadomości o Joannie Borentz, bo wiedział, że są prawdziwe -wiedział dokładnie, tak samo jak to, że jest praworęczny.

- Długo siedziałem i myślałem - mówił Weizak. - Powiedziałem ci, że moja matka nie żyje, ale to było tylko przypuszczenie. Mój ojciec zginął podczas obrony Warszawy, zaś matka po prostu zaginęła, wiesz? Wydawało się logiczne, że musiała zginąć... podczas bombardowania... w czasie okupacji... rozumiesz? Nie odnalazła się, a więc to było logiczne przypuszczenie. Amnezja... jako neurolog mogę ci powiedzieć, że całkowita, ogólna amnezja jest czymś niesłychanie rzadkim. Prawdopodobnie rzadszym od prawdziwej schizofrenii. Nie czytałem nigdy o udokumentowanym przypadku amnezji trwającej trzydzieści pięć lat.

- Ona już dawno odzyskała pamięć - powiedział Johnny. - Sądzę, że wszystko po prostu w sobie stłumiła. Kiedy wróciła jej pamięć, miała już drugiego męża i dwójkę... a może nawet trójkę dzieci. Ale śni o tobie. W snach powtarza: „chłopiec jest bezpieczny". Zadzwoiłeś do niej?

- Tak, bezpośrednio. Czy wiesz, że teraz można dzwonić bezpośrednio? Tak. To wielka wygoda. Kręcisz jedynek, później numer kierunkowy i numer telefonu. Jedenaście cyfr i możesz się dodzwonić wszędzie, w całym kraju. Zdumiewające. I do pewnego stopnia przerażające. Słuchawkę podniósł chłopiec - nie, raczej młody mężczyzna. Zapytałem, czy pani Borentz jest w domu. Usłyszałem, jak woła: „Mamo, do ciebie". Stuknęło, kiedy położył słuchawkę na biurku, na stole czy na czymś. Stałem w Bagnor, w Maine, niespełna siedemdziesiąt kilometrów od wybrzeża Atlantyku i słyszałem, jak młody mężczyzna odkłada słuchawkę na stół w miasteczku na wybrzeżu Pacyfiku. Serce... serce biło mi tak szybko, że aż się przestraszyłem. Wydawało mi się, że czekam strasznie długo. A potem ona podniosła słuchawkę i powiedziała: „Tak? Halo?"

- Co jej powiedziałaś? Jak to załatwiłeś?

- Używając twego sformułowania, wcale tego nie załatwiłem. - Weizak uśmiechnął się krzywo. - Odwiesiłem słuchawkę. I chciałem się napić czegoś mocniejszego, ale niczego nie miałem w domu.

- Jesteś pewien, że to była ona?

- John, jakie naiwne pytanie! W 1939 roku miałem dziewięć lat. Od tego czasu nie słyszałem jej głosu. Kiedy ją znałem, mówiła tylko po polsku. Ja mówię tylko po angielsku... prawie zapomniałem mego rodzinnego języka, to bardzo żenujące. Jak mogę być pewien czegokolwiek?

- Ale b y ł e ś pewien?

Weizak wolno przesunął dłonią po czole.

- Tak - powiedział. - To była moja matka.

- Tylko nie mogłeś z nią rozmawiać?

- A powinienem? - W głosie lekarza zabrzmiał gniew. - Jej życie to j e j życie, prawda? Jest, jak powiedziałaś. Chłopiec jest bezpieczny. Czy powinienem niepokoić kobietę, która właśnie zaznała spokoju? Czy powinienem ryzykować, że na zawsze utraci równowagę ducha? To poczucie winy, o którym wspominałeś... czy powinienem je uwolnić? Choćby zaryzykować, że je uwolnię.

- Nie wiem - powiedział Johnny. To były trudne pytania. Nie umiałby na nie odpowiedzieć - ale czuł, że zadając te pytania, Weizak chce powiedzieć o tym, co zrobił. Na te pytania on sam nie znał odpowiedzi.

- Chłopiec jest bezpieczny i ta kobieta jest bezpieczna w Carmel. Dzieli ich kontynent i tak powinno zostać. A co z tobą, Johnny? Co zrobimy z tobą?

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Więc muszę ci wytłumaczyć, nie? Doktor Brown jest zły. Zły na mnie, zły na ciebie i zły, jak

podejrzewam, sam na siebie za to, że prawie uwierzył w coś, co z pewnością uważa za największą głupotę w życiu. Siostra, która przy tym była, nigdy nie zachowa tajemnicy. Dziś w łóżku powie o tym mężowi i być może na tym się skończy, ale jej mąż może opowiedzieć wszystko szefowi i możliwe, że już jutro wieczorem zwięszą to gazety. „Pacjent budzi się ze śpiączki jako jasnowidz!”

- Jasnowidzenie? Myślisz, że to właśnie to?

- Nie wiem, co to jest. Nie mam pewności. Fenomen psychiczny? Talent proroczy? Zgrabne słowa, które niczego nie tłumaczą, zupełnie niczego. Jednej z sióstr powiedziałeś, że operacja oka jej syna skończy się szczęśliwie...

- Marie - szepnął John. Uśmiechnął się lekko. Lubił Marie.

- ...i to już wydoszło się poza szpital. Czy widzisz przyszłość? Czy na tym polega jasnowidzenie? Nie wiem. Włożyłeś zdjęcie matki między dłonie i mogłeś powiedzieć mi, gdzie teraz mieszka. Czy wiesz, gdzie można znaleźć zgubione rzeczy i zaginionych ludzi? Czy t o jest jasnowidzenie? Nie wiem. Czy umiesz czytać w myślach? Wpływać na przedmioty w rzeczywistym świecie? Leczyć przez położenie dłoni? To wszystko bywa czasami nazywane „fenomenem parapsychologicznym”. Wszystko to bywa związane z jasnowidzeniem. Z tego śmieje się doktor Brown. Śmieje się? Nie! On się wyśmiewa!

- A ty nie?

- Ja myślę o Edgarze Caysie. O Peterze Hurkosie. Próbowałem opowiedzieć doktorowi Brownowi o Peterze Hurkosie, ale on mnie wyśmiał. Nie chce o tym mówić, nawet nie chce o tym wiedzieć.

Johnny milczał.

- Więc... co mamy z tobą zrobić?

- A coś trzeba zrobić?

- Tak sądzę - powiedział Weizak. Wstał. - Zostawiam cię, żebyś to sobie przemyślał. Pamiętaj, są rzeczy, których lepiej nie oglądać, i rzeczy, które lepiej zgubić niż znaleźć.

Życzył Johnny'emu dobrej nocy i wyszedł cicho. Johnny był już bardzo zmęczony, ale mimo to sen nie przychodził do niego przez długi, długi czas.

ROZDZIAŁ 9

I

Pierwsza operacja Johnny'ego została wyznaczona na dwudziestego ósmego maja. I Weizak, i Brown wyjaśnili mu bardzo dokładnie, na czym będzie polegała. Dostanie miejscowe znieczulenie - żaden z nich nie chciał ryzykować stosowania narkozy. Najpierw zoperują mu kostki i kolana. Jego ścięgna, skurczone podczas długiego snu, zostaną przedłużone przy pomocy nowych, wspaniałych plastikowych włókien. Używany w nich plastik jest stosowany także podczas operacji serca. Problem nie polega na tym, czy jego organizm przyjmie, czy odrzuci sztuczne ścięgna - powiedział mu Brown - lecz raczej na tym, czyjego własne nogi zdołają się do nich przystosować. Jeśli rezultaty będą zadowalające, przeprowadzą jeszcze trzy operacje: jedną na długich ścięgnach ud, drugą na ścięgnach łokci i prawdopodobnie trzecią na ścięgnach szyi, którą wcale nie mógł obracać. Operacje przeprowadzi doktor Raymond Ruopp specjalizujący się w tego rodzaju technikach. Przyleci specjalnie z San Francisco.

- Czego chce ode mnie ten Ruopp, jeśli rzeczywiście taka z niego supergwiazda? - zapytał Johnny. Tego słowa, super-gwiazda, nauczył się od Marie. Użyła go, opowiadając o łysiejącym piosenkarzu w okularach, używającym nieprawdopodobnego nazwiska Elton John.

- Nie doceniasz faktu, że sam jesteś supergwiazda - odparł Brown. - W Stanach jest zaledwie kilku ludzi, którzy obudzili się ze śpiączki trwającej tak długo, jak twoja. A z tej garstki ty najszybciej i najłatwiej wydobrzałeś po odniesionych obrażeniach mózgu. Weizak użył znacznie dobitniejszego sformułowania.

- Jesteś świnką morską!

- Co?

- Tak. Spójrz w światło, proszę. - Weizak zaświecił w lewe oko pacjenta. - Wiesz, że przy

pomocy tego urządzenia mogę zajrzeć ci wprost w nerw wzrokowy? Tak. Oczy to więcej niż okna duszy. Są jednym z najważniejszych punktów przy ocenie stanu mózgu.

- Świnka morska - powtórzył Johnny smutno, patrząc w punkt silnego światła.

- Tak. - Światło zgasło. - Nie lituj się tak nad sobą. Wiele z technik, które zostaną użyte w twoim przypadku - i kilka już użytych - udoskonalono podczas wojny w Wietnamie. W szpitalach wojskowych nie brak świnek morskich, nieprawdaż? Ktoś taki jak Ruopp interesuje się tobą, bo jesteś unikalny. Człowiek, który przespał cztery i pół roku. Czy uda się nam sprawić, by znowu mógł chodzić? Interesujący problem. Już widzi monografię, którą napisze o tobie w *The New England Journal of Medicine*. Czeka na to tak, jak dzieci czekają na święta i zabawki pod choinką. Nie widzi ciebie, nie widzi Johnny'ego Smitha, który cierpi, Johnny'ego Smitha, który musi siusiać do kaczki i dzwonić na pielęgniarkę za każdym razem, kiedy swędzą go plecy. To dobrze. Nie zdrzą mu ręce. Uśmiechnij się, Johnny. Ten Ruopp wygląda jak kasjer w banku, ale jest najlepszym chirurgiem w całej północnej Ameryce.

Ale Johnny'emu nie było do śmiechu.

Z poczucia obowiązku przeczytał broszurki przyniesione mu przez matkę. Przygłębiły go i sprawiły, że znów zaczął obawiać się o jej zdrowie psychiczne. Jedna z nich, napisana przez mężczyznę nazwiskiem Salem Kirban, wydała mu się prawie pogańska przez to, z jakim upodobaniem opisywała krwawą apokalipsę i tortury, widziane przez otwarte wrota piekieł. Inna opisywała nadejście Antychrysta w obrazach zaczerpniętych z trzeciorzędnego horroru. Reszta składała się na mroczny festiwal szaleństwa: Chrystus żyje pod biegunem południowym, Bóg kieruje latającymi spodkami, Nowy Jork jest Sodomą, a Los Angeles Gomorą. Wszystkie mówiły o egzorcyzmach, o czarownicach, o mnóstwie rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Johnny po prostu nie potrafił skojarzyć ich z religijną, ale stojącą twardo na ziemi kobietą, którą znał, nim zapadł w śpiączkę.

Trzy dni po wypadku ze zdjęciem matki Weizaka przy drzwiach pokoju Johnny'ego pojawił się drobny czarnowłosy reporter z *Daily News* z Bagnor nazwiskiem David Bright i zapytał, czy mógłby przeprowadzić krótki wywiad.

- A czy zasięgnąłeś opinii moich lekarzy? Bright uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, nie.

- W takim razie z przyjemnością z tobą pogadam.

- Takich ludzi lubię - stwierdził Bright, wszedł i usiadł.

Pierwsze pytania dotyczyły wypadku i tego, co Johnny czuje po tym, jak się obudził i odkrył, że minęło niemal pół dekady. Johnny odpowiedział na nie szczerze i uczciwie. Później dziennikarz powiedział mu, że słyszał z „pewnego źródła”, iż w wyniku wypadku chory zyskał coś w rodzaju szóstego zmysłu.

- Pytasz mnie, czy jestem jasnowidzem? Bright wruszył ramionami.

- Na początek może być.

Johnny rozważył dokładnie to, co mu powiedział Weizak. Im więcej o tym myślał, tym bardziej wydawało mu się, że odkładając słuchawkę bez słowa, lekarz zrobił dokładnie to, co należało. Cała ta sprawa kojarzyła mu się z opowiadaniem W.W. Ja-cobsa *Małpia łapka*. Łapka spełniała trzy życzenia, ale za każde płaciło się straszną cenę. Stare małżeństwo poprosiło najpierw o sto funtów i straciło syna w wypadku w fabryce - dokładnie tyle wyniosło odszkodowanie. Potem stara kobieta poprosiła, by jej syn powrócił, i chłopak rzeczywiście wrócił - ale nim zdążyła otworzyć drzwi i zobaczyć, jakiego potwora przyzwała z grobu, stary zużył swe ostatnie życzenie, by go odesłać tam, skąd przyszedł. Jak powiedział Weizak, są pewne rzeczy, które lepiej zgubić niż znaleźć.

- Nie - powiedział. - Jestem takim samym jasnowidzem jak ty.

- Moje źródło twierdzi, że...

- Nie, to nieprawda.

Bright uśmiechnął się ironicznie, przez chwilę najwyraźniej zastanawiał się, czy iść dalej tym tropem, a później przewrócił kartkę w notatniku. Zaczął wypytywać Johnny'ego o plany na przyszłość, o to, jak zapatruje się na powrót do normalnego życia, i Johnny na te pytania odpowiadał mu szczerze i uczciwie.

- Więc co zamierzasz robić, kiedy już stąd wyjdiesz? - zapytał reporter, zamykając notes.

- W ogóle o tym nie myślałem. Na razie ciągle jeszcze próbuję przyzwyczaić się do myśli, że Gerald Ford jest prezydentem. Bright roześmiał się.

- No, nie ty jeden.

- Przypuszczam, że nadal będę uczył. Tylko to umiem. Ale na razie nie czas jeszcze o tym myśleć.

Bright podziękował mu za wywiad i wyszedł. Jego artykuł pojawił się w gazecie dwa dni później, na dzień przed operacją. Opublikowali go u dołu pierwszej strony z tytułem: JOHN SMITH, WSPÓLCZESNY RJP VAN WINKLE, MA JESZCZE PRZED SOBĄ DŁUGĄ DROGĘ. Obok znalazły się trzy zdjęcia: pierwsze zrobione było zaledwie tydzień przed wypadkiem do księgi pamiątkowej liceum w Cleaves Mills, na drugim Johnny leżał w szpitalnym łóżku, chudy, skręcony, z unieruchomionymi, zgiętymi rękami i nogami, a w środku zamieszczono fotografię niemal całkiem zgniecionej taksówki, leżącej na boku jak zdechły pies. W całym artykule nie było nawet wzmianki o szóstym zmyśle, zdolności przepowiadania przyszłości i talentach parapsychologicznych.

- Jak ci się udało utrzymać go od tego z daleka? - zapytał go Weizak tego samego dnia, wieczorem. Johnny wzruszył ramionami.

- Wyglądał na przyzwoitego gościa. Może nie chciał mnie naciskać?

- Może i nie - przyznał lekarz. - Ale on nie zapomni. Nie zapomni, jeśli jest dobrym reporterem, a wiem, że jest dobry.

- Wiesz?

- Rozpylałem się.

- Dbasz o moje interesy?

- Wszyscy robimy, co możemy, nie? Denerwujesz się przed operacją, Johnny?

- Nie powiem, żebym się denerwował, nie. Przerażony to lepsze słowo.

- Jasne, oczywiście, że się boisz. Ja też bym się bał.

- Będziesz tam?

- Tak, w części obserwacyjnej sali operacyjnej. Nie odróżnisz mnie od innych w tej masce, ale ja tam będę.

- Załóż coś - powiedział Johnny. - Tak, żebym mógł cię odróżnić.

Weizak przyjrzał mu się i uśmiechnął.

- Dobra, przypnę zegarek do fartucha.

- Doskonale. A co z doktorem Brownem? On też tam będzie?

- Jest w Waszyngtonie. Jutro przedstawi twój przypadek Amerykańskiemu Towarzystwu Neurologicznemu. Czytałem jego artykuł. Jest całkiem dobry. Może trochę nadęty.

- Ciebie nie zaprosili? Lekarz wzruszył ramionami.

- Nie lubię latać. Boję się latania.

- A może chciałeś zostać ze mną?

Weizak uśmiechnął się krzywo, rozłożył ręce i milczał.

- On za mną nie przepada? Doktor Brown.

- Nie. Nie przepada. Uważa, że nas nabierasz. Wymyślasz różne rzeczy dla własnej korzyści. Być może szukasz popularności. Nie sądź go wyłącznie po tym, John. Już jest takim typem, że nie może myśleć inaczej. Jeśli masz coś do niego czuć, niech to będzie raczej litość. Jest błyskotliwy i zajdzie daleko. Już teraz składają mu oferty i wkrótce Brown odleci z zimnej, lesistej północy i tyle będziemy go widzieli w Bagnor. Polecą do Houston albo na Hawaje, a może nawet do Paryża? Ale to człowiek dziwnie ograniczony. To mechanik mózgu. Pociął go skalpelem na kawałki i nie znalazł duszy. A więc uznał, że duszy nie ma. Jak ci rosyjscy kosmonauci, którzy krążyli wokół Ziemi i nie widzieli Boga. To empiryzm mechanika, a mechanicy są po prostu dziećmi o zdumiewającej koordynacji motorycznej. Nie wolno ci powtórzyć mu tego, co powiedziałem.

- Nie powtórzę.

- Odpocznij teraz. Jutro czeka cię ciężki dzień.

Ze światowej sławy doktora Ruoppa Johnny widział podczas operacji wyłącznie grube okulary w rogowej oprawie i wielki guz po lewej stronie czoła, prawie na skroni. Reszta była urę-kawiczniona, zakapturzona i zamaskowana fartuchem.

Przed operacją dostał dwa zastrzyki, jeden z demerolu, a drugi z atropiny; jechał na salę wózkiem zaprawiony po same uszy. Anestezjolog podszedł do niego z największą strzykawką z nowokainą, jaką kiedykolwiek widział. Spodziewał się, że zastrzyk będzie bolał, i wcale się nie mylił. Dostał zastrzyk między czwartym i piątym kręgiem lędźwiowym, wystarczająco wysoko, by nie uszkodzić *cauda equina*, wiązki nerwów w dolnej części kręgosłupa, przypominających nieco koński ogon.

Johnny leżał na brzuchu i gryzł się w ramię, żeby nie krzyczeć.

Wydawało mu się, że to nigdy nie nastąpi, ale w końcu ból przerodził się w słabe ćmienie. Poza nim w dolnej części ciała nie czuł nic.

Zamajaczyła nad nim twarz Ruoppa. Zielony bandyta, pomyślał Johnny. Jesse James w rogowych okularach. Pieniądze albo życie.

- Czy wygodnie panu, panie Smith? - zapytał Ruopp.

- Tak. Ale wolałbym już przez to nie przechodzić.

- Może pan czytać pisma, jeśli pan chce. Albo obserwować operację w lustrze, jeśli pan to znieśie.

- Doskonale.

- Siostró, ile wynosi ciśnienie krwi?

- Sto dwadzieścia na sześćdziesiąt pięć, doktorze.

- Wspaniale. To co, orkiestra, gramy?

- Dajcie mi paleczkę - powiedział słabo Johnny i zaskoczyło go, kiedy wszyscy się roześmieli. Ruopp poklepał go po przykrytych prześcieradłem plecach ręką w cienkiej rękawiczce.

Patrzył, jak chirurg wybiera skalpel i znika za zieloną zasłoną, wiszącą na kółkach na metalowej, wygiętej szynie. Lustro było wypukłe i Johnny mógł w nim obserwować wszystko, choć obraz był nieco zniekształcony.

- Ach, tak... - mówił Ruopp. - O, tak, te-te-te... tego właśnie chcemy... Hm-hm-hm... doskonale... szczypcę proszę... Siostró, co to, proszę się obudzić na miłość Boską... tak jest... a teraz chyba potrzebuję tego... nie, zaraz... nie dawajcie mi tego, o co proszę, tylko to, czego potrzebuję... tak, doskonale... wiązkę proszę...

Siostra podała mu w szczypcach coś, co wyglądało jak splątane cienkie przewody. Ruopp zręcznie przejął je w powietrzu peseta.

Jak we włoskiej restauracji, pomyślał Johnny, patrz, ile sosu w tym spaghetti. Zemdlilo go i popatrzył w drugą stronę. Z wysoka, z galerii, przyglądała mu się reszta bandytów. Mieli blade, bezlitosne, przerażające oczy. Później dostrzegł Weizaka - stał trzeci od lewej, w klapę fartucha zgodnie z obietnicą wpiął zegarek.

Johnny kiwnął mu głową.

Neurolog odpowiedział podobnym gestem.

Johnny poczuł się nieco lepiej.

3

Ruopp zakończył połączenie między kolanami i łydkami, i Johnny'ego obrócono. Operacja toczyła się dalej. Anestezjolog zapytała go, czy dobrze się czuje. Johnny odpowiedział jej, że czuje się tak dobrze, jak pozwalają na to okoliczności. Zapytała, czy chciałby posłuchać muzyki, i odpowiedział, że byłoby mu bardzo miło. W kilka chwil później salę operacyjną wypełnił czysty, słodki głos Joan Baez. Ruopp robił swoje. Johnny poczuł senność. Drzemał. Kiedy się ocknął, operacja trwała nadal. Weizak został. Johnny podniósł rękę, pokazując gestem, że go widzi, i lekarz znowu kiwnął mu głową.

4

Minęła godzina i było po wszystkim. Z sali wywiozła go na wózku siostra, która cały czas próbowała się dowiedzieć, czy czuje, ilu palców u nóg mu dotyka. Po dłuższej chwili Johnny potrafił już odpowiedzieć na to pytanie.

Podszedł do niego Ruopp. Maskę bandyty wisiała mu krzywo na szyi.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Operacja udała się doskonale. Jestem dobrej myśli.

- To świetnie.

- Pojawi się ból. Możliwe, że będzie dość silny. I terapia na początku też będzie bolesna. Musi pan się z tym pogodzić.

- Pogodzić - mruknął Johnny.

- Do widzenia - powiedział Ruopp i znikł. Johnny pomyślał, że pewnie chce rozegrać szybkie dziewięć dołków na miejscowym polu, nim zrobi się ciemno.

5

Możliwe, że będzie dość silny.

Znieczulenie przestało działać o dziewiątej wieczorem i Johnny cierpiał męki. Zabroniono mu poruszać nogami bez pomocy dwóch pielęgniarek. Czuł się tak, jakby wokół kolan zawiązano mu nabite gwoździami rzemienie i bezlitośnie je zaciągnięto. Czas pęłzył jak leniwy ślimak. Johnny patrzył na zegarek pewien, że od ostatniego spojrzenia minęła godzina, i stwierdzał, że minęły zaledwie cztery minuty. Był przekonany, że nie znieśie tych cierpień nawet przez minutę, a później minuta mijała i był pewien, że nie wytrzyma następnej.

Pomyślał o tych wszystkich minutach, które jeszcze go czekały jak monety w bankowej banderoli długiej na dziesięć kilometrów, i dostał napadu najczarniejszej depresji. Zwaliła się na niego jak fala i uniosła go ze sobą. Mieli go tu zatortuować na śmierć. Operacja łokci, ud i szyi. Terapia. Ramka na kółkach, wózki, laski.

Pojawi się ból... musi się z nim pogodzić.

Sam się z nim pogódź, pomyślał Johnny. Zostawcie mnie w spokoju. Nie podchodźcie do mnie więcej, wy rzeźnicy. Jeśli tak macie mi pomagać, to ja się nie zgadzam.

Ciągły pulsujący ból, jakby wbijali mu w ciało gwoździe.

Poczuł, jak coś ciepłego ciurka mu po brzuchu.

Zmoczył się.

Johnny Smith obrócił się twarzą do ściany i zapłakał.

6

Dziesięć dni po pierwszej operacji i dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem drugiej Johnny podniósł wzrok znad książki, którą czytał - *Wszyscy ludzie prezydenta* Woodwarta i Bernsteina - i dostrzegł, że w drzwiach stoi Sara, przyglądając mu się z wahaniem.

- Saro. To ty, prawda? Sara odetchnęła chrapliwie.

- Tak, to ja, Johnny.

Odłożył książkę i przyjrzał się jej. Ubrana była elegancko, w jasnozieloną lnianą sukienkę; przed sobą trzymała jak tarczę małą brązową torebkę. Zrobiła sobie pasemka i doskonale z nimi wyglądała. Te pasemka spowodowały, że Johnny poczuł nagle, gwałtowne ukłucie zazdrości - czy to był jej pomysł, czy też pomysł mężczyzny, z którym mieszkała i w którego łóżku spała? Jest taka piękna.

- Wejdz - powiedział. - Wejdz i siadaj.

Weszła do pokoju i nagle Johnny zobaczył się takim, jakim musiała go widzieć: wychudzony, ciało przechylone lekko na jedną stronę w wózku ustawionym przy oknie, nogi wyprostowane i oparte na stołeczku, ubrany w nocną koszulę i tani, szpitalny szlafrok.

- Jak widzisz, włożyłem smoking.

- Wyglądasz doskonale. - Pocałowała go w policzek i przez głowę przeleciały mu setki wspomnień jak rozsypana talia kart. Usiadła na krześle, skrzyżowała nogi i zaczęła skubać rąbek spódnicy.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Johnny zauważył, że jest bardzo zdenerwowana. Gdyby ktoś teraz położył jej rękę na ramieniu, prawdopodobnie podskoczyłaby pod sam sufit.

- Nie wiedziałam, czy powinnam przyjść - powiedziała. - Ale bardzo chciałam.

- Cieszę się, że przyszłaś.

Jak obcy ludzie w autobusie, pomyślał, rozczarowany. To o wiele za mało.

- No i co słyhać? Johnny uśmiechnął się.

- Byłem na wojnie. Chcesz zobaczyć zaszczytne rany? - Podniósł koszulę nad kolana, pokazując blizny w kształcie litery S, które już zaczynały się goić, ale ciągle były czerwone i poprzecinane szwami.

- O mój Boże, co oni ci tu robią?

- Chyba próbują złożyć Humpty Dumpty'ego - stwierdził. - Wszystkie konie króla, wszyscy ludzie króla i wszyscy doktorzy króla. Przypuszczam... - przerwał, bo Sara rozpląkała się.

- Nie mów tego w ten sposób, Johnny - powiedziała. - Proszę, nie mów tego w ten sposób.

- Przepraszam. Ja tylko... ja tylko próbowałem żartować. - Czy rzeczywiście właśnie o to mu chodziło? Czy próbował zbyć to żartem, czy też był to jego sposób na powiedzenie jej: „dziękuję, że przyszłaś mnie odwiedzić, tną mnie tu na kawałki”?

- Potrafisz...? Potrafisz sobie z tego żartować? - Wyjęła z torebki papierową chusteczkę i wytarła nią oczy.

- Niezbyt często. Chyba dlatego, że cię znów zobaczyłem... podniosłem gardę, Saro.

- Wypuszczą cię?

- Kiedyś tak. To jak na Dzikim Zachodzie, czytałaś o tym kiedyś? Wszyscy Indianie ze szczepu rzucą tomahawkami i jeśli przeżyję, będę wolny.

- Latem?

- Nie... chyba jeszcze nie.

- Tak mi przykro, że to się zdarzyło - powiedziała tak cicho, że ledwie mógł ją usłyszeć. - Ciągle zastanawiam się nad tym, dlaczego... jak to się stało, że wszystko się zmieniło... nie mogę przez to spać. Gdybym nie zjadła tego nieświeżego hot-doga... gdybyś został zamiast wracać... - Potrząsnęła głową i spojrzała na niego. Oczy miała zaczerwienione. - Wygląda na to, że czasami kapitał nie przynosi zysków.

Johnny uśmiechnął się.

- Podwójne zero. Wszyscy tracą. Hej, pamiętasz? Załatwiłem to koło, Saro!

- Tak. Wygrałeś przeszło pięćset dolarów. Patrzyła na nią, nadal się uśmiechając, ale tym razem w jego uśmiechu było zaskoczenie, nawet ból.

- Powiedzieć ci coś zabawnego? Lekarze sądzą, że mogłem przeżyć, ponieważ kiedy byłem mały, doznałem już jakiegoś urazu głowy. Ale ja nic nie pamiętam i moi rodzice też. Tylko wydaje mi się, że ile razy o tym pomyślę, widzę błysk tego koła fortuny... i czuję zapach palącej się gumy.

- Może wypadek samochodowy... - powiedziała Sara z powątpiewaniem.

- Nie, to chyba nie o to chodzi. Tylko... może koło było ostrzeżeniem, a ja je zignorowałem. Podniosła głowę.

- Nie mów tak, Johnny. Wzruszył ramionami.

- A może po prostu w jeden wieczór zużyłem zapas szczęścia na cztery lata? Ale popatrz na to, Saro! - Ostrożnie, z wyraźnym bólem, Johnny zdjął nogę ze stołeczka, zgiął ją o dziewięćdziesiąt stopni, wyprostował i znów położył na stołku. - Być może uda im się jednak złożyć Humpty Dumpty'ego? Kiedy się obudziłem, nie potrafiłem tego zrobić i nie mogłem wyprostować nogi tak, jak ją prostuję teraz.

- I możesz myśleć, Johnny! Możesz mówić. Wszyscy sądziliśmy, że... wiesz.

- Wiem. Johnny Kalafior.

Znów zapadła cisza, ciężka, niezręczna. Przełamał ją pierwszy, mówiąc ze sztucznym ożywieniem:

- A jak tam u ciebie?

- Cóż... wyszłam za męża. Przypuszczam, że wiesz o tym?

- Tata mi powiedział.

- To taki wspaniały człowiek. - I nagle Sara wybuchła: - Nie mogłam czekać, Johnny. Z tego powodu też mi głupio. Lekarze mówili, że nigdy z tego nie wyjdiesz, że stopniowo będziesz odchodził, aż... aż odejdiesz. A nawet gdybym wiedziała. .. - Spojrzała na niego, jakby nie wiedziała, co zrobić, jakby próbowała się bronić. - Nawet gdybym wiedziała, John-ny, to chyba nie potrafiłabym czekać. Cztery i pół roku to strasznie długo.

- Tak. O, tak. To cholernie długo. Chcesz usłyszeć coś niesamowitego? Kazałem im przynieść tygodniki z czterech lat tylko po to, żeby zobaczyć, kto umarł. Truman. Janis Joplin. Jimi Hendrix... Jezu, myślę o tym, jak grał *Purple Haze*, i nie mogę w to uwierzyć. Dan Blocker. I ty, i ja. Po prostu odeszliśmy.

- Tak mi przykro - Sara szeptała. - Tak cholernie wstyd. Ale kocham tego faceta, Johnny. Bardzo go kocham.

- To dobrze. Tylko to się liczy.

- Nazywa się Walter Hazlett i jest...

- Chyba chętniej posłuchałbym o twoim dziecku - przerwał jej. - Nie gniewaj się, dobrze?

- Jest słodki - zaczęła Sara z uśmiechem. - Ma już siedem miesięcy. Daliśmy mu na imię Dennis, ale nazywamy go Denny. Po dziadku od strony ojca.

- Przyrowadź go kiedyś. Chciałbym go zobaczyć.

- Przyrowadzę - powiedziała Sara i uśmiechnęła się do siebie fałszywie, wiedząc doskonale, że nic takiego nigdy się nie zdarzy. - Johnny, czy czegoś potrzebujesz?

Tylko ciebie, mata. Ciebie i żeby mi zwrócono cztery i pół roku.

- Nie - powiedział. - Nadal uczysz?

- Tak, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

- I ciągle wdychasz tę wstrętną kokainę?

- Och, Johnny, nic się nie zmieniło. Ciągle żartujesz.

- Ciągle żartuję - zgodził się i znów, z niemal słyszalnym stukiem, zapadła cisza.

- Czy mogę kiedyś jeszcze przyjść w odwiedziny?

- Jasne. To będzie świetnie. - Johnny zawahał się, nie chcąc, by skończyło się to w sposób tak nieokreślony, nie chcąc zranić ani jej, ani siebie, jeśli tylko dałoby się tego uniknąć. Chciał jej powiedzieć coś szczerego.

- Saro, zrobiłaś, co należało.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się, ale jej usta drżały. - Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że to takie okrutne i... nic na to nie poradzę, ale takie złe. Kocham męża i dziecko, a kiedy Walt mówi, że któregoś dnia zamieszkamy w najpiękniejszym domu w Bagnor, ja mu wierzę. Mówi, że pewnego dnia będzie się ubiegał o miejsce Billa Cohena w Kongresie, i w to też wierzę. Mówi, że pewnego dnia ktoś z Maine zostanie wybrany prezydentem, i w to też prawie już uwierzyłam. Przyszłam tu, spojrzalam na twoje biedne nogi i... - Znów zaczęła płakać. - Wyglądają, jakby ktoś przepuścił je przez mikser, a ty jesteś tak okropnie c h u d y...

- Nie, Saro, nie.

- Jesteś taki chudy i to wydaje mi się złe i okrutne, i ja tego nienawidzę, nienawidzę tego, bo to się nie powinno zdarzyć, wcale nie powinno, wcale!

- Czasami chyba nic nie jest tak, jak powinno. Okropny jest ten nasz świat. Czasami robisz po prostu to, co musisz, i starasz się przeżyć. Idź i bądź szczęśliwa. A jeśli chcesz przyjść w odwiedziny, przyjdź. I przynieś ze sobą planszę do cribbage.

- Przyniosę. Przepraszam, że się rozplakałam. Nie udało mi się cię rozbawić, prawda?

- Wszystko w porządku - odpowiedział jej z uśmiechem. - I daj sobie spokój z kokainą, mała. Nos ci od tego odpadnie. Sara prawie zdołała się roześmiać.

- Ten sam stary Johnny - powiedziała. Pochyliła się nagle i pocałowała go w usta. - Och, Johnny, wyzdrowiej wreszcie. Przyjrzał się jej z namysłem, kiedy się prostowała.

- Johnny?

- Nie zostawiłaś jej. Nie, wcale jej nie zostawiłaś.

- Czego nie zostawiłam? - Sara zmarszczyła czoło, zaskoczona.

- Obrączki. Nie zostawiłaś jej w Montrealu.

Johnny podniósł rękę do czoła i pocierał palcami skórę nad prawym okiem. Jego ramię rzuciło cień i lekko przestraszona Sara zauważyła, że twarz ma tylko w połowie oświetloną. Sprawilo to, że pomyślała o masce na Halloween, którą kiedyś tak ją wystraszył. Miesiąc miodowy spędzili z Waltem w Montrealu, ale skąd Johnny miał to wiedzieć? Chyba, że Herb mu powiedział. Tak, na pewno dowiedział się o tym od Herba. Ale tylko ona i Walt wiedzieli, że gdzieś w hotelowym pokoju zgubiła obrączkę. Nikt inny nie mógł się o tym dowiedzieć, bo przed odlotem do domu Walt kupił jej drugą. Za bardzo się wstydziła, żeby powiedzieć o tym komukolwiek, nawet matce.

- Skąd...

Johnny zamyślił się głęboko i nagle uśmiechnął się do niej. Opuścił dłoń i zacisnął obie, spoczywające teraz na brzuchu, ręce.

- Była źle dopasowana. Pakowałaś się, nie pamiętasz, Saro? Wyszedł coś kupić, a ty się pakowałaś. Wyszedł kupić... kupić... nie wiem. Jest w martwej strefie.

Martwej strefie?

- Poszedł do sklepu z pamiątkami i kupił mnóstwo śmiesznych rzeczy na prezenty. Poduszki do rzucania i różne takie. Ale Johnny, skąd możesz wiedzieć, że zgubiłam obrączkę...

- Pakowałaś się. Obrączka była źle dopasowana, o wiele za luźna. Miałaś to załatwić, kiedy

wróćcie do domu. Ale tymczasem ty... ty... - Widoczny na jego twarzy wyraz zaskoczenia wrócił na moment i natychmiast znikł. Johnny uśmiechnął się. - Wypchałaś ją papierem toaletowym!

Sara zamarła ze strachu. Podniosła rękę do gardła i wpatrywała się w Johnny'ego jak zahipnotyzowana. *Ma w oczach ten sam wyraz, ten sam wyraz chłodnego rozbawienia, który miał w nich, kiedy bił to koło fortuny. Co się z tobą dzieje, Johnny? Kim się stałeś?* Błękitne oczy Johnny'ego pociemniały, ich błękit zmienił się w fiolet; patrzył na nią jakby z bardzo daleka. Miała ochotę uciec. Wydawało się jej, że pokój pociemniał, jakby on rozdzierał jakoś tkanę czasu, zrywał to, co łączy przeszłość z teraźniejszością.

- Ześlizgnęła ci się z palca. Wkładałaś jego maszynkę do golenia do jednej z tych małych kieszonek i obrączka zsunęła się wprost do niej. Zauważyłaś to dopiero później, więc myślałaś, że jest gdzieś w pokoju. - Johnny roześmiał się, cienko, szyderczo, przeraźliwie; nie brzmiało to wcale jak normalny śmiech, tylko zimno... wręcz odpychająco. - Rany, wyróciliście pokój do góry nogami. Ale ty ją spakowałaś. Jest ciągle w kieszonce tej walizki. Leżała tam przez cały czas. Sprawdź na strychu, Saro. Zobaczysz.

Na zewnątrz, na korytarzu, ktoś upuścił szklanę i zaklął, zaskoczony, kiedy się stłukła. Johnny odwrócił się, usłyszawszy hałas, i z oczu znikła mu ta dziwna mgła. Spojrzał na Sarę, dostrzegł jej nieruchomą twarz, szeroko otwarte oczy i zmarszczył się, zatroskany.

- Co? Powiedziałem coś nie tak?
- Skąd mogłeś wiedzieć? - wyszeptała. - Skąd mogłeś to wszystko wiedzieć?
- Nie mam pojęcia. Przepraszam, jeżeli...
- Johnny, muszę już lecieć. Denny został z opiekunką.
- Dobrze, Saro. Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem.
- Skąd wiedziałeś o obrączce, Johnny? Johnny mógł tylko potrząsnąć głową.

7

Nie zdążyła nawet zejść na niższe piętro, kiedy poczuła mdłości. Ledwie zdążyła znaleźć toaletę. Wbiegła do środka, zamknęła się w kabinie i gwałtownie zwymiotowała. Spuściła wodę i stała z zamkniętymi oczami drżąc, lecz także bliska śmiechu. Kiedy widziała się z Johnnym po raz ostatni, także wymiotowała. Zadziałała surowa sprawiedliwość? Zamknął się nawias czasu, wypełniła półka? Przyłożyła dłoń do ust i stłumiła to, co miało się z nich wydostać, może śmiech, a może krzyk. W ciemności świat huśtał się dziwnie, wirował jak okrągły talerz. Wirował jak koło fortuny.

8

Zostawiła Denny'ego z panią Labelle, więc kiedy wróciła, dom był cichy i pusty. Po wąskich schodkach wspięła się na strych i zapaliła światło - dwie nagie żarówki. Trzy walizki od Granta leżały rzucone w kąt, do ich pomarańczowych ścianek ciągle przyklepione były naklejki z Montrealu. Otworzyła pierwszą, obmacała kieszonki i nic nie znalazła. Podobnie w drugiej i w trzeciej.

Sara zrobiła głęboki wdech, a później wypuściła powietrze z płuc, czując się głupio. Była rozczarowana, ale przede wszystkim czuła ulgę. Oszałamiającą ulgę. Nie ma obrączki. Bardzo mi przykro, Johnny. Ale z drugiej strony, wcale nie jest mi przykro. Gdybym ją znalazła, byłoby to jednak trochę jak na filmie.

Zaczęła ustawiać walizki na ich dawnym miejscu, między stosem starych notatek Walta i stojącą lampą, którą przewrócił pies tej zwariowanej baby i której jakoś nigdy nie miała serca wyrzucić, i kiedy otrzępywała ręce, gotowa zapomnieć o całej tej sprawie, jakiś cichy głos, tak cichy, że niemal niesłyszalny, szepnął: „Niezbyt dokładnie szukałaś, prawda? Nie chciałaś jej znaleźć, racja, Saro?”

Nie. Tak naprawdę, to nie chciała niczego znaleźć. A jeśli ten cichy głos spodziewał się, że znowu zacznie otwierać te wszystkie walizki, to był szalony. Za piętnaście minut miała odebrać Denny'ego. Walt przyprowadzi na kolację jednego z ważniejszych dyrektorów swej firmy (b a r d z o ważna sprawa!) i jeszcze powinna napisać list do Bettye Hackman - ze stacjonującego w Ugandzie Korpusu Pokoju Bettye trafiła wprost w ramiona oszałamiająco bogatego hodowcy koni z Kentucky. Powinna także umyć obie łazienki, zrobić sobie włosy i wykapać Denny'ego. Za dużo miała roboty, by wygłupiać się na gorącym i brudnym strychu.

Więc wyjęła znów wszystkie trzy walizki, otworzyła je, i tym razem przeszukała wewnętrzne kieszonki naprawdę uważnie... a w trzeciej, wciśnięta w róg na samym spodzie, leżała obrączka. Sara podniosła ją do światła jednej z nagich żarówek i przeczytała wygrawerowany wewnątrz napis, ciągle tak świeży jak w dniu, kiedy Walt wsunął ją jej na palec: WALTER I SARA HAZLETT - 9 LIPCA 1972 ROKU.

Przyglądała się obrączce przez bardzo długą chwilę.

A później odłożyła walizki, wyłączyła światło i zeszła po schodkach. Zdjęła lnianą sukienkę, mocno zabrudzoną kurzem, włożyła luźne spodnie i podkoszulkę. Poszła przecznicę dalej i odebrała synka od pani Labelle. Wrócili do domu. Sara umieściła Denny'ego w dużym pokoju, po którym raczkował sobie radośnie, podczas gdy ona przygotowywała pieczeń i obierała ziemniaki. Kiedy już mięso znalazło się w piekarniku, poszła do dużego pokoju i zobaczyła, że Denny zasnął na dywanie. Podniosła go i wsadziła do łóżeczka. Później umyła toalety. Mimo wszystko, mimo to, jak szybko zbliżała się pora kolacji, nie przestawała myśleć o obrączce. Johnny wiedział. Potrafiła nawet dokładnie wskazać moment, w którym się dowiedział. To było wtedy, kiedy pocałowała go na pożegnanie.

Sama myśl o tym sprawiła, że poczuła się słabo, dziwnie; i nie była nawet pewna, czemu. Wszystko jej się pomieszało. Jego krzywy uśmiech, który wcale się nie zmienił, jego ciało, tak strasznie zmienione, chude i niedożywione, to, jak martwe włosy przylepiały mu się do czaszki, tak strasznie kontrastowało z jej ciągle żywymi wspomnieniami. C h c i a ł a go pocałować.

Przestań, powiedziała sobie. Jej twarz w łazienkowym lustrze była twarzą obcej osoby. Zarumieniona, podniecona - powiedzmy sobie: zmysłowa, seksy.

Zacisnęła dłoń na spoczywającej w kieszonce spodni obrączce i prawie - ale nie całkiem - nim uświadomiła sobie, co robi, wrzuciła ją do czystej, lekko niebieskiej wody. Woda była krystalicznie czysta; jeśli pan Treachers z Baribault, firma Treachers, Moorehouse i Gendron, będzie musiał wysiusiać się w trakcie kolacji, to nie przerazi go żaden ciemny krążek na dnie kibelka; kto wie, jakie przeszkody czyhają na drodze, którą młody człowiek wspina się ku Radzie Mędrców, prawda? Kto wie cokolwiek o tym świecie?

Obrączka z pluskiem wpadła w czystą wodę i zatonała, obracając się leniwie. Wydawało się jej, że kiedy osiadała na porcelanowym dnie toalety, rozległ się cichy brzęk, ale prawdopodobnie była to tylko jej wyobraźnia. Zaczynała boleć ją głowa. Powietrze na strychu było gorące, nieświeże, śmierdzące. Lecz pocałunek Johnny'ego - ten był taki słodki. Taki słodki.

Nim pomyślała, co właściwie robi (i z pośpiechem, zapobiegając jakiegokolwiek ingerencji rozsądku), Sara pociągnęła za sznurek i spuściła wodę. Woda spłynęła z hukiem i szumem, który pewnie wydawał się jej głośniejszy, bo zamknęła oczy. Kiedy je znów otworzyła, obrączka znikła. Znikła już raz, a teraz znikła po raz drugi.

Nagle Sara poczuła, jak uginają się pod nią kolana, i usiadła na krawędzi wanny, kryjąc twarz w dłoniach. Jaką ma strasznie rozpaloną twarz. Nie wróci już do szpitala i nigdy nie zobaczy Johnny'ego. To był kiepski pomysł. Zdenerwowała się. Walt przyprowadzał na kolację ważnego dyrektora, miała butelkę Mondavi i tę pieczeń, która wyrwała dziurę w ich budżecie, i od tej pory tylko o tym będzie myśleć. Powinna myśleć o tym, jak bardzo kocha Walta, i o śpiącym w łóżeczku Denny'ego. Powinna myśleć o tym, że jeśli raz dokonano się wyboru w tym szalonym świecie, to trzeba z nim żyć. I nie wolno jej już nigdy myśleć o Johnnym Smisie i jego krzywym, uroczym uśmiechu.

9

Kolacja okazała się wielkim sukcesem.

ROZDZIAŁ 10

I

Lekarz zapisał Verze środek na nadciśnienie pod nazwą hydrodiuril. Lek niewiele obniżył jej ciśnienie („tyle co za grosz”, jak z upodobaniem pisała w listach), natomiast sprawił, że czuła się chora i słaba. Musiała siadać i odpoczywać po sprzątnięciu domu elektroluksem, po wejściu schodami na górę oddychała jak zdyszany pies w gorące, sierpniowe popołudnie. Gdyby Johnny nie powiedział, że to wyłącznie dla jej dobra, od razu wyrzuciłaby te pigułki przez okno.

Lekarz wypróbował drugi środek, po którym serce biło jej tak szybko, że sama przestała go brać.

- Musimy próbować na chybił trafił - powiedział doktor. - W końcu cię wyleczymy, Vera. Nie martw się.

- Ja się nie martwię. Pokładam ufność w Panu Bogu.

- Oczywiście, racja. To najzupełniej w porządku.

Pod koniec czerwca lekarz zdecydował się na kombinację hydrodiurilu i innego środka pod nazwą aldomet - grubych, drogich, żółtych, obrzydliwych pigulek. Kiedy zaczęła brać oba lekarstwa naraz, co piętnaście minut musiała robić siusiu. Miała bóle głowy i palpacje serca. Lekarz powiedział, że jej ciśnienie poszło w dół i znów było normalne, ale ona wcale mu nie wierzyła. Po co w końcu są ci doktorzy? Spójrzcie tylko, co zrobili jej synowi, jej Johnny'emu - pocięli go jak rzeźnik mięso! Miał już trzy operacje, wygląda jak potwór ze szwami na rękach, na nogach i na szyi, i ciągle jeszcze nie może chodzić, i musi używać stelażu na kółkach jak stara pani Sylvester. Jeśli jej ciśnienie obniżyło się, to dlaczego cały czas czuje się taka połamana?

- Musisz dać sobie dość czasu, żeby organizm przyzwyczaił się do lekarstw - tłumaczył jej Johnny. Była pierwsza niedziela lipca i jego rodzice przyjechali na cały weekend. Johnny właśnie wrócił z hydroterapii, blady i zmęczony. W każdej dłoni trzymał małe ołowiane kulki, podnosił je i opuszczał na kolana, ćwicząc mięśnie ramion. Gojące się blizny, przecinające łokcie i przedramiona jak kreski ułamkowe, napinały się i rozluźniały.

- Zaufaj Bogu - powiedziała Vera. - Nie trzeba wierzyć tym idiotyzmom. Zaufaj Bogu, a On ci dopomoże.

- Vera... - wtrącił Herb.

- Żadna „Vera"! To i d i o t y z m y! Czyż Biblia nie mówi: „Poproś, a będzie ci dane, pukaj, a otworzą ci”? Nie ma żadnego powodu, żebym brała wszystkie te złe lekarstwa, i nie ma powodu, by mój chłopiec pozwolił tym wszystkim lekarzom się torturować. To złe, to mu wcale nie pomaga, to jest g r z e c h!

Johnny położył ołowiane kulki na łóżku. Mięśnie jego ramion drżały. Miał mdłości, był wyczerpany i nagle strasznie rozzłościł się na matkę.

- Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomogą - powiedział. - Ty wcale nie pragniesz chrześcijańskiego Boga, mamó. Pragniesz magicznego dzina, który wyskoczy z butelki i spełni twoje trzy życzenia.

- Johnny!

- Ale to prawda.

- To lekarze nabijają ci głowę takimi pomysłami! Tymi szalonymi pomysłami! - Usta Very drżały, oczy miała szeroko otwarte... i suche. - Bóg obudził cię ze śpiączki, byś czynił Jego wolę. Ci inni, oni tylko...

- Tylko próbują pomóc mi stanąć na własnych nogach, bym nie musiał czynić woli boskiej z inwalidzkiego wózka aż do końca życia.

- Nie kłómy się - powiedział pojednawczo Herb. - Nie powinno być kłótni w rodzinie. -I na świecie nie powinno być huraganów, ale huragany pojawiają się każdego roku i Herb niczemu nie mógł zapobiec. Nadchodził huragan.

- Gdybyś tylko zaufał Bogu, Johnny... - zaczęła Vera, w ogóle nie zwracając uwagi na męża.

- Nigdy już nikomu nie zaufani.

- Przykro mi słyszeć to z twych ust - stwierdziła. Głos miała formalny, pełen rezerwy. - Sługi szatana są wszędzie. Próbuje stanąć między tobą a twoim przeznaczeniem. Mam wrażenie, że idzie im całkiem nieźle...

- Chcesz za wszelką cenę uczynić z tego coś... coś wielkiego i wspaniałego, prawda? Powiem ci, co to było, to był tylko głupi wypadek, dzieciaki ścięły się w samochodach i przez przypadek przerobiły mnie na sieczkę. Wiesz, czego chcę, mam? Chcę wydostać się stąd, to wszystko. Chcę, żebyś znowu zaczęła brać lekarstwa i... i spróbowała stanąć twardo na ziemi. To wszystko.

- Wychodzę. - Vera wstała. Jej twarz była blada, ściągnięta bólem. - Będę się za ciebie modliła, synu.

Johnny patrzył na nią bezradny, zły i nieszczęśliwy. Gniew znikł. Wylał swój gniew na matkę.

- Bierz lekarstwa! - powiedział.

- Będę się modliła, żebyś ujrzał światło.

Wyszła z sali. Twarz miała zaciętą i ponurą jak skała.

Johnny spojrzął na ojca smutnym wzrokiem.

- Słuchaj, żałuję, że to powiedziałeś - odezwał się Herb.

- Jestem zmęczony. To nie pomaga w trzeźwym osądzie sytuacji. I nie czyni mnie cierpliwym.

- Taaa... - Herb miał najwyraźniej ochotę powiedzieć coś więcej, ale zamilkł.

- Czy ona nadal zamierza jechać do Kalifornii na sympozjum w sprawie tych latających talerzy?

- Tak, ale może jeszcze zmieni zdanie. Z nią nie wiadomo, co będzie jutro, a sympozjum jest dopiero za miesiąc.

- Powinieneś coś z tym zrobić.

- Doprawdy? Co? Szpital? Ubezpieczeniowolnić ją? Johnny potrząsnął głową.

- Nie wiem. Ale może wreszcie powinieneś o tym pomyśleć zamiast zachowywać się tak, jakby było to absolutnie niemożliwe. Jest chora. Musisz to sobie uświadomić.

Herb powiedział głośno:

- Wszystko było dobrze, nim...

Johnny skrzywił się, jakby ktoś uderzył go w twarz.

- Jej, przepraszam, synu. Nie to miałem na myśli.

- W porządku, tato.

- Nie, naprawdę, nie chciałem tego powiedzieć. - Twarz Herba wyrażała nieklamana rozpacz. - Słuchaj, lepiej pójść jej poszukać. Pewnie teraz rozdaje te swoje broszurki po wszystkich salach.

- Dobrze.

- Johnny, po prostu spróbuj o wszystkim zapomnieć i skup się na tym, żeby wydobreć. Ona cię kocha, ja też. Nie miej do nas żalu.

- Nie. Wszystko będzie dobrze, tato. Herb pocałował go w policzek.

- Muszę ją znaleźć.

- Dobrze.

Wyszedł. Kiedy znikł za drzwiami, Johnny wstał i przeszedł trzy kroki między fotelem a łóżkiem. Nie było to wiele, ale zawsze coś. Początek. Żałował, że rozgniewał się na matkę, i to bardziej, niż mógł się tego domyślać jego ojciec. Żałował, ponieważ wzrastało w nim coś w rodzaju pewności, że matka nie pożyje długo.

2

Vera przestała brać lekarstwa. Herb prosił ją, kusił, w końcu żądał. Nic nie wskórał. Vera pokazała mu listy od swych „przyjaciół w Jezusie”, w większości pisane dziecięcym charakterem pisma i pełne błędów ortograficznych. Wszystkie popierały jej stanowisko i obiecywały pomoc w modlitwie. Jeden z nich napisała pewna dama z Rhode Island, która także odwiedziła farmę w Vermont w oczekiwaniu na koniec świata (wraz ze swym pekińczykiem Otisem). „BÓG jest najlepszym lekarstwem” -pisała dama. „Poproś BOGA a ZOSTANIESZ UZDROWIONA, nie DOKTORÓW którzy ÓZÓRPÓJĄ sobie MOC BOGA, to DOKTORZY wywołali raka na tym złym świecie swymi DIABELSKIMI SZTUCZKAMI, wszyscy którzy mieli jakąś

OPERACJĘ, nawet najmniejszą jak WYCIĘCIE MIGDAŁKÓW, prędzej czy później dostaną RAKA, to fakt naukowy, więc proś BOGA, złącz SWĄ WOLEĘ z JEGO WOLĄ a ZOSTANIESZ UZDROWIONA.”

Herb rozmawiał z Johnnym przez telefon i następnego dnia Johnny zadzwonił do matki i przeprosił ją. Poprosił, żeby znów zaczęła zażywać lekarstwa - za jego zdrowie. Vera przyjęła przeprosiny, ale o lekach nie chciała słyszeć. Jeśli Bóg zechce, by nadal stąpała po ziemi, to sprawi, by

nadal po niej stąpała, jeśli zechce zawezwać ją do siebie, to ją zawezwie, nawet gdyby łykała beczkę lekarstw dziennie. Z takim stanowiskiem nie sposób było polemizować. Johnny mógł tylko odpowiedzieć jej twierdzeniem, które i katolicy, i protestanci odrzucili już dawno temu: że Bóg oznajmia swą wolę zarówno przez ludzkie umysły, jak i ludzkie serca.

- Mamusiu, czy nie pomyślałaś, że Bóg życzył sobie, żeby jakiś lekarz wynalazł to lekarstwo, żebyś mogła żyć dłużej? Czy w ogóle kiedyś o tym pomyślałaś?

Rozmowa międzymiastowa nie służy wymianie argumentów teologicznych. Vera odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia Marie Michaud weszła do pokoju Johnny'ego, położyła głowę na jego ramieniu i rozplakała się.

- Zaraz, zaraz - Johnny zaniepokoił się i zdenerwował - o co chodzi? Czy stało się coś złego?

- Mój synek - powiedziała Marie, nadal płacząc. - Mój Mark. Operowali go i było dokładnie tak, jak pan powiedział. Czuję się świetnie. Będzie widział na uszkodzone oko. Dzięki Bogu!

Przytuliła Johnny'ego, a on objął ją, najmocniej jak potrafił. Czując jej gorące łzy na policzku, pomyślał, że cokolwiek mu się przydarzyło, wcale nie było takie złe. Przypuszczalnie są rzeczy, które można powiedzieć od nowa, które można na nowo zobaczyć, które można odnaleźć. Być może wcale nie było przesadą twierdzenie, że Bóg manifestuje się w jego działaniach, chociaż Bóg Johnny'ego był istotą nieostrą, źle zdefiniowaną. Tulił Marie do siebie i mówił jej, jak bardzo się cieszy. Dodał, żeby pamiętała, że to nie on operował Marka, i niezbyt dokładnie przypomina sobie, co jej właściwie powiedział. Później Marie wyszła, ocierając po drodze oczy i zostawiając Johnny'ego sam na sam z jego myślami.

3

Pewnego dnia na początku sierpnia Johnny'ego odwiedził Dave Pelsen. Zastępca dyrektora liceum w Cleaves Mills był niewysokim, schludnie wyglądającym mężczyzną, noszącym grube okulary, pantofle i jaskrawe sportowe marynarki. Ze wszystkich ludzi, którzy odwiedzili Johnny'ego tej nie kończącej się wiosny 1975 roku, Dave zmienił się najmniej. Włosy nieco bardziej mu posiwiały, ale to było wszystko.

- I jak się czujesz? Mów prawdę - powiedział Dave, kiedy skończyli obowiązkowe powitanie.

- Nie najgorzej. Mogę chodzić samodzielnie, tylko bez przesady. Przepływam sześć długości basenu. Czasami mam bóle głowy, które niemal mnie zabijają, i lekarze mówią, że te bóle mogą pojawiać się jeszcze przez jakiś czas. Prawdopodobnie będę je miał do końca życia.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie? Johnny wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy czasem jeszcze mi staje, to odpowiedź brzmi: „tak”.

- Miło słyszeć, ale mnie chodziło raczej o pieniądze. Zdołasz zapłacić za leczenie? Johnny potrząsnął głową.

- Leżałem w szpitalu prawie pięć lat. Za to mógłby zapłacić tylko Rockefeller. Rodzice umieścili mnie na liście jakiegoś stanowego funduszu pomocy. Szczyt Nieszczęścia czy coś takiego.

Dave skinął głową.

- Fundusz Nieoczekiwanego Nieszczęścia. Sam się tego domyśliłem. Ale jakim cudem uniknąłeś szpitala stanowego, Johnny? Byłbyś tam jak w piekle.

- Dopilnowali tego doktor Weizak i doktor Brown. I to dzięki nim odzyskałem sprawność w tym stopniu, w jakim ją odzyskałem. Doktor Weizak powiedział mi, że byłem... świnką morską. Kiedy zdołamy zapobiec przeobrażeniu się człowieka w śpiączce w warzywo? Przez ostatnie dwa lata pracował ze mną zespół fizykoterapeutów. Dostawałem zastrzyki witamin. .. tyłek mam wciąż jak po ospie. Nie to, żeby spodziewali się zwrotu kosztów przeze mnie. Niemal od początku założyli, że jestem beznadziejnym przypadkiem. Weizak mówi, że to, co ze mną robili, było „czynnym podtrzymywaniem życia”. Ma nadzieję, że to początek reakcji na całą tę krytykę dotyczącą utrzymywania przy życiu ludzi bez szans na wyzdrowienie. W każdym razie nie mogliby mnie wykorzystać, gdybym trafił do szpitala stanowego, więc trzymali mnie tutaj. W końcu kiedyś by ze mną skończyli i wówczas trafiłbym właśnie tam.

- A wtedy najbardziej wyrafinowaną formą pomocy byłoby obracanie cię z boku na bok co sześć godzin, żeby uniknąć odleżyn - powiedział Dave. - A kiedy obudziłeś się w 1980 roku, nadawałbyś się tylko do drewnianej jesionki.

Johnny wolno potrząsnął głową.

- W końcu pewnie i tak będę się nadawał wyłącznie do trumny. Jeśli ktoś zaproponuje mi jeszcze jedną operację, to dostanę fioła. Do końca życia będę utykał i nigdy już nie obrócę głowy całkiem w lewo.

- Kiedy cię wypuszczają?

- Jak Bóg da, to za trzy tygodnie.

- A co potem?

Johnny wzruszył ramionami.

- Chyba wrócę do domu. Do Pownal. Matka jedzie na trochę do Kalifornii, z powodów... z powodów religijnych. Tata i ja potrzebujemy czasu, żeby znów się zaprzyjaźnić. Dostałem list od jednego z wielkich agentów literackich w Nowym Jorku... no, nie od samego agenta, ale od jakiegoś jego asystenta. Sądzą, że z tego, co mi się przydarzyło, mogłaby powstać książka. Pomyślałem, że nie zaszkodzi popracować nad kilkoma rozdziałami i konspektem; może ten gość albo jego asystent zdołaliby to sprzedać? Pieniądze cholernie by mi się przydały, nie ma co się oszukiwać.

- Prasa się tobą interesowała? Telewizja?

- No, ten facet z *Daily News* z Bagnor, który raz już o mnie napisał...

- Bright? Jest dobry.

- Chciałby przyjechać do Pownal, kiedy już się stąd wydostanę, i zrobić ze mną materiał na okładkę. Lubię tego gościa, ale na razie trzymam go na dystans. Nie widzę w tym pieniędzy, a szczerze mówiąc, teraz najbardziej zależy mi na forsie. Poszedłbym nawet do *Inside View*, gdybym mógł zarobić na tym dwieście dolców. Oszczędności rodziców rozplynęły się. Sprzedali samochód i kupili wrak. Tata zaciągnął drugą pożyczkę na dom, akurat wtedy, kiedy powinien myśleć o tym, żeby go sprzedać, pójść na emeryturę i żyć z procentów.

- Myślałeś, żeby znowu uczyć? John utkwiał wzrok w mówiącego.

- Czy to propozycja?

- No przecież nie siekana wątróbka!

- Jestem ci strasznie wdzięczny, Dave. Ale nie będę gotów na wrzesień.

- Nie myślałem o wrześniu. Musisz pamiętać przyjaciółkę Sary, Anne Strafford. - Johnny skinął głową. - Ona teraz nazywa się Anne Beatty i w grudniu będzie miała dziecko. Więc potrzebujemy nauczyciela angielskiego na drugie półrocze. Niewielkie obciążenie. Cztery klasy, jeden fakultet dla starszych uczniów, dwa dni wolne.

- Czy to poważna oferta, Dave?

- Jak najbardziej.

- Cholernie fajny z ciebie facet. - Głos Johnny'ego był ochrypły.

- Nie mów bzdur. Byłeś bardzo dobrym nauczycielem.

- Dasz mi kilka tygodni, żebym to sobie przemyślał?

- Jeśli chcesz, masz czas do pierwszego listopada i mógłbyś równolegle pracować nad swoją książką. Jeśli sprawa zacznie wyglądać obiecująco.

Johnny skinął głową.

- A może będziesz wolał szybciej wyjechać z Pownal. Być może pobyt tam... nie posłuży ci.

Słowa trafiły na usta Johnny'ego, połknął je i omal się nimi nie zadławił.

To nie potrwa długo, Dave. Widzisz, matka akurat pracuje nad tym, żeby sobie rozwalić mózg. Tylko że nie użyje strzelby. Dostanie wylewu. Umrze przed Gwiazdką, jeśli razem z ojcem nie skłonimy jej do zażywania leków, a nie sądzę, żeby się nam udało. I to poniekąd moja robota - nie wiem, w jakiej części. Chyba wolę nie wiedzieć.

- Plotki szybko się rozchodzą, prawda? Dave wzruszył ramionami.

- Z tego, czego się dowiedziałem od Sary, rozumiem, że twoja matka ma problemy z przystosowaniem się do sytuacji. Wszystko będzie dobrze, Johnny. A tymczasem pomyśl o tym, co ci proponowałem.

- Pomyślę. W rzeczywistości, tak niezobowiązująco, od razu mogę wyrazić zgodę. Dobrze będzie znowu zacząć uczyć. Wrócić do normalnego świata.

- To rozumiem! - stwierdził Dave.

Kiedy wyszedł, Johnny położył się na łóżku i wyglądał przez okno. Był bardzo zmęczony. *Wrócić do normalnego świata.* Jakoś nie wydawało mu się, by miało to kiedyś nastąpić.

Czuł, jak nadchodzi jedna z jego migren.

Fakt, że Johnny Smith obudził się ze śpiączki bogatszy o nowe umiejętności, w końcu trafił do prasy. Artykuł na ten temat znalazł się na pierwszej stronie, podpisany przez Dave'a Brighta. Zdarzyło się to na niecały tydzień przed wypisaniem go ze szpitala.

Była godzina fizykoterapii. Leżał na plecach na materacu. Na brzuchu miał sześciokilową piłkę lekarską. Jego fizykoterapeutka, Eileen Magown, stała nad nim, licząc przysiady. Miał ich wykonać dziesięć, a właśnie skończył siódmy. Po twarzy płynął mu pot, gojące się blizny na jego szyi nabrały jaskrawo-czerwonego koloru.

Eileen była niską, sympatyczną kobietą, płaską jak deska. Miała wspaniałe, kędzierzawe rude włosy i ciemnozielone oczy z orzechowymi plamkami. Czasami - z mieszanymi uczuciami gniewu i sympatii - Johnny nazywał ją „najmniejszym sierżantem marines”. Prośbą, groźbą i rozkazem zmieniała go z pacjenta przykutego do łóżka i zdolnego zaledwie podnieść do ust szklankę wody w mężczyznę mogącego chodzić bez laski, zrobić trzy pompki i przepłynąć dwie długości w szpitalnym basenie w pięćdziesiąt trzy sekundy - za mało na olimpiadę, ale i tak nieźle. Eileen nie miała męża. Mieszkała w wielkim domu na Center Street na Starym Mieście wraz ze swymi czterema kotami. Była twarda jak stal i nie przyjmowała do wiadomości żadnej odmowy.

Johnny próbował zrobić kolejny przysiad i właśnie przewrócił się na plecy.

- Nie - wydyszał. - Nie, chyba nie dam rady.

- Próbuj, chłopcze - krzyknęła cienko Eileen w przyływie sadystycznego dobrego humoru. - Dalej, dalej! Jeszcze trzy razy i dostaniesz puszkę coli!

- Daj mi pięciokilową piłkę, to zrobię dwa.

- Ta pięciokilową piłka znajdzie się w *Księdze Rekordów Guinnessa* jako największy w świecie czopek, jeśli nie zrobisz swoich trzech przysiadów! Do roboty!

- Jeeeeej! - zawołał Johnny i wykonał numer ósmy. Opadł na pięty i podniósł się po raz kolejny.

- Wspaniale! - krzyknęła Eileen. - Jeszcze raz! Jeszcze raz!

- JEEEEJ! - wrzasnął Johnny i zrobił w końcu te dziesięć przysiadów. Przewrócił się na brzuch, wypuszczając piłkę. -Przerwałem się, jesteś zadowolona, oberwały mi się flaki, niczego się nie trzymają. Zaskarżę cię, ty cholerna harpio!

- Rany, jaki mięczak - stwierdziła Eileen i wyciągnęła rękę. - To przecież nic w porównaniu z tym, co szykuję dla ciebie na następny raz.

- Daj sobie spokój. Następnym razem zamierzam tylko popływać w basenie...

Johnny spojrzał na nią nagle; na twarzy pojawił mu się wyraz zaskoczenia. Zaciśnął jej dłoń w swojej, aż jego uścisk stał się niemal bolesny.

- Johnny? Co się stało? Dostałeś kurczy?

- O, rany!

- J o h n n y!

Johnny nadal ścisnął dłoń Eileen, patrząc w jej oczy zatopiony w myślach, co sprawiło, że poczuła się niepewnie. Słyszała pewne plotki o Johnnym Smithcie, a to nie zgadzało się z jej sztywnym pragmatyzmem. Podobno przewidział, iż chłopak Marie Michaud wyzdrowieje, nim jeszcze doktorzy zdecydowali się zaryzykować niebezpieczną operację. Inne pogłoski miały coś wspólnego z doktorem Weizakiem; podobno Johnny powiedział lekarzowi, że jego matka nie umarła, tylko żyje gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu pod innym nazwiskiem. Jeśli chodzi o Eileen Magown, opowieści te były dla niej prostą bajdą, podobną do romansów i słodkich historii o miłości, które pielęgniarki tak namiętnie czytały w pracy. Ale patrzył teraz na nią tak, że się przestraszyła. Jakby patrzył nie na nią, lecz p r z e z nią.

- Johnny, dobrze się czujesz? - Byli w sali gimnastycznej sami. Wielkie podwójne drzwi, przeszlone matowym szkłem i wychodzące na basen, były zamknięte.

- Rany Julek - powiedział. - Lepiej... tak, ciągle mamy czas. Niewiele, ale może starczy!

- O czym ty mówisz?

Dopiero wtedy Johnny się ocknął. Puścił jej dłoń... ale ścisnął ją wystarczająco mocno, żeby na grzbiecie pozostały białe ślady.

- Dzwoń po straż pożarną. Zapomniałaś wyłączyć kuchenkę. Zasłony się zapaliły.

- Co...?

- Od kuchenki zapaliła się ścierka, a od ścierki zasłony -rzucił niecierpliwie Johnny. - Pośpiesz się i dzwoń. Chcesz, żeby dom ci się spalił?

- Johnny, nie możesz wiedzieć...

- Nieważne, co mogę wiedzieć - powiedział, łapiąc ją za łokieć. Popchnął ją tak, że musiała się ruszyć, i razem skierowali się do drzwi. Johnny mocno kulał na lewą nogę, jak zawsze, kiedy był zmęczony. Mijali salę, którą zajmował basen - podeszwy ich butów klapały po kafelkach - wyszli na korytarz pierwszego piętra i ruszli do pokoju pielęgniarek. Dwie z nich piły kawę, a trzecia opowiadała komuś przez telefon o przemeblowanym mieszkaniu.

- Zadzwoń, czy ja mam to zrobić?

Eileen czuła zawrót głowy. Prowadziła uporządkowane i systematyczne życie osoby samotnej. Wstawiała, gotowała sobie jedno jajko, zjadała nie posłodzonego grejpfruta i talerz zwykłych płatków kukurydzianych. Po śniadaniu ubierała się i jechała do szpitala. Czy rzeczywiście wyłączyła kuchenkę? Tak, oczywiście. Wprawdzie nie pamiętała samego faktu, ale przecież zawsze ją wyłączała. Przyzwyczajenie.

- Johnny, naprawdę nie wiem, skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł...

- Dobrze, ja zadzwonię.

Weszli już do pokoju pielęgniarek - oszklonej budki umeblowanej trzema zwykłymi krzesłami i elektryczną kuchenką. W tym małym pomieszczeniu najbardziej rzucała się w oczy centralka - rzędy światełek, zapalających się na czerwono, kiedy któryś z pacjentów wzywał pomocy. Palily się trzy. Dwie siostry nadal piły kawę, rozmawiając o jakimś lekarzu, który pojawił się pijany na przyjęciu. Trzecia najwyraźniej rozmawiała ze swą kosmetyczką.

- Przepraszam, ale muszę zadzwonić. Pielęgniarka przykryła słuchawkę dłonią.

- Przy wyjściu jest automat...

- Dziękuję - powiedział Johnny i wyrwał jej słuchawkę. Była akurat wolna linia, więc wykręcił „zero”. Usłyszał sygnał „zajęte”. - Co się z tym stało?

- Hej! - krzyknęła pielęgniarka, która rozmawiała przedtem ze swą kosmetyczką. - Co pan, do diabła, wyprawia? Proszę mi oddać słuchawkę!

Johnny przypomniał sobie, że znajduje się w szpitalu, który ma własną centralkę, i wykręcił dziewiątkę na miasto. Potem powtórnie nakręcił „zero”.

Odsunięta od telefonu pielęgniarka, której policzki płonęły ze złości, próbowała złapać za telefon, ale Johnny ją odepchnął. Dziewczyna odwróciła się, zobaczyła Eileen i zrobiła krok w jej kierunku.

- Eileen, kim jest ten szalony facet? Pozostałe dwie siostry postawiły na stole kubki z kawą i przyglądały się Johnny'emu z otwartymi ustami. Terapeutka niepewnie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, on właśnie...

- Centrala.

- Chciałem zgłosić pożar na Starym Mieście - powiedział Johnny. - Proszę mi podać właściwy numer telefonu.

- Hej - odezwała się jedna z siostr - gdzie się pali?

Eileen nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

- On twierdzi, że u mnie.

Pielęgniarka, która przedtem rozmawiała z kosmetyczką, zamarła, komicznie wytrzeszczając oczy.

- O mój Boże, to o n - sapnęła.

Johnny wskazał na interkom, na którym płonęło pięć lub sześć światełek.

- Dlaczego nie pójdziecie sprawdzić, czego chcą ci ludzie? Centrala połączyła go z oddziałem straży pożarnej Starego Miasta.

- Nazywam się John Smith i chciałem zgłosić pożar. Pali się dom na... - Spojrzał na Eileen. - Twój adres?

Przez chwilę sądził, że kobieta nie poda mu adresu. Poruszała ustami, ale nie mogła wykrztusić słowa. Dwie pielęgniarki zapomniały o kawie i cofnęły się w najdalszy kąt pomieszczenia. Szeptaly, przytulone do siebie, jak uczennice w toalecie. Oczy miały rozszerzone ze strachu.

- Proszę pana? - odezwał się głos w słuchawce.

- No już - przynaglił Johnny terapeutkę. - Chcesz, żeby koty ci się usmażyły?

- Center Street, numer 624 - powiedziała w końcu Eileen. - Wiesz, zrobiłeś z siebie głupca.

Johnny powtórzył adres do telefonu.

- Pali się w kuchni - dodał.
- Pana nazwisko?
- John Smith. Dzwonię z Centrum Medycznego Wschodniego Maine w Bagnor.
- Czy mogę zapytać, jak zdobył pan tę informację?
- Gadalibyśmy do wieczora. Moja informacja jest wiarygodna. A teraz proszę ją wykorzystać. -
Rzucił słuchawkę na widełki.

- ...powiedział, że matka Sama Weizaka ciągle... - pielęgniarka przerwała i spojrzała na Johnny'ego. Przez chwilę czuł ich spojrzenia; ich oczy wbijały mu się w skórę jak ostre, gorące szpileczki. Wiedział, co z tego wyniknie, i poczuł, jak przewraca mu się żołądek.

- Eileen, masz jakichś przyjaciół w sąsiedztwie?

- Tak... Burt i Janice... mieszkają tuż obok...

- Czy któreś z nich będzie w domu?

- Janice chyba powinna być. Tak.

- Dlaczego do niej nie zadzwonisz?

Eileen skinęła głową, zrozumiałwszy nagle, do czego zmierza. Zdjęła słuchawkę z widełek i zadzwoniła na centralę: osiemset dwadzieścia siedem. Pielęgniarki stały, przyglądając się jej uważnie, jakby przypadkiem znalazły się w telewizji, w środku fascynującego serialu.

- Halo? Jan? Mówi Eileen. Jesteś w kuchni?... Czy mogłabyś wyjrzeć przez okno i powiedzieć, czy u mnie wszystko wygląda, nooo, po staremu?... Wiesz, przyjaciel powiedział mi... Opowiem ci, kiedy wrócę, dobrze? - Eileen zarumieniła się. -Tak, poczekam. - Znow spojrzała na Johnny'ego i powtórzyła: - Zrobiłeś z siebie głupca.

Nastąpiła przerwa, która wydawała się trwać wiecznie. Później Eileen zaczęła nasłuchiwać. Słuchała przez długą chwilę, aż w końcu odezwała się dziwnym, stłumionym głosem:

- Nie, wszystko w porządku, Jan. Zostali już wezwani. Nie... teraz nie mogę ci tłumaczyć, wyjaśnię wszystko później. - Popatrzyła na Johnny'ego. - Tak, to dziwne, jak się o tym dowiedziałam... ale potrafię to wytłumaczyć. Przynajmniej tak sądzę. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę. Wszyscy badali ją wzrokiem; siostry z żarłoczną ciekawością, Johnny z tępym uczuciem pewności.

- Jan mówi, że z okna mojej kuchni wydobywa się dym. - Trzy pielęgniarki westchnęły jednocześnie. Ich oczy, wielkie i oskarżające, znow zwróciły się ku mężczyźnie. „Istna ława przysięgłych” - pomyślał.

- Powinam wrócić do domu - powiedziała Eileen. Agresywna, wymagająca, praktycznie nastawiona do rzeczywistości fizykoterapeutka znikła, a na jej miejscu pojawiła się drobna kobieta, bojąca się o koty, dom, dobytek. - Nie wiem... nie wiem, jak ci dziękować, Johnny. Przepraszam, że ci nie wierzyłam, ale... - Zaczęła płakać.

Jedna z pielęgniarek ruszyła w jej kierunku, ale Johnny był od niej szybszy. Objął Eileen i wprowadził ją na korytarz.

- Naprawdę potrafisz - szepnęła. - Mówili, że...

- Idź - przerwał jej. - Jestem pewien, że wszystko skończy

się dobrze. Dym i woda wyrządzą jakieś szkody, ale to nic wielkiego. Chyba stracisz ten plakat z *Butcha Cassidy i Sundance Kida* i to wszystko.

- Tak. Dobrze. Dziękuję ci, Johnny. Niech cię Bóg błogosławi. - Pocałowała go w policzek i pobiegła korytarzem. Raz się obejrzała, na twarzy miała wyraz bardzo przypominający przesądny strach.

Pielęgniarki stały rzędem przy szklanej ścianie swej budki i wpatrywały się w niego. Przypomniały mu nagle wrony na kablach telefonicznych; ptaki wpatrujące się z góry w kolorowe i błyszczące rzeczy, które można zadziobać i rozszarpać na kawałki.

- Idźcie lepiej zatroszczyć się o chorych - rzekł krótko i pielęgniarki drgnęły na dźwięk jego głosu. Kulejąc poszedł w kierunku windy, pewny plotek, które zatoczą coraz szersze kręgi. Był zmęczony. Bolały go nogi. Stawy biodrowe dokuczały mu, jakby nasypano w nie tłuczonego szkła. Chciał położyć się do łóżka.

ROZDZIAŁ 11

1

- I co teraz zrobisz? - zapytał Sam Weizak.
- Chryste, nie mam pojęcia - odpowiedział Johnny. - Mówisz, że ilu ich tam jest?
- Chyba ośmiu. Jeden to współpracownik Associated Press na północną Nową Anglię. I są przedstawiciele dwóch stacji telewizyjnych z kamerami i światłami. Dyrektor szpitala mocno się na ciebie rozgniewał, Johnny. Twierdzi, że byłeś bardzo niegrzeczny.
- A dom tej kobiety miał się spalić do fundamentów, co? Mogę tylko powiedzieć, że dziś był cholernie spokojny dzień.
- Jeśli o to chodzi, wcale nie. Ford postawił weto dwóm ustawom. Organizacja Wyzwolenia Palestyny wysadziła w powietrze restaurację w Tel Awiwie. I pies policyjny wyniuchał na lotnisku pięćdziesiąt kilo marihuany.
- To co oni robią tutaj? - zdenerwował się Johnny. Kiedy Sam przyszedł do niego z wieścią, że w holu zbierają się dziennikarze, Johnny w panice pomyślał przede wszystkim o tym, co też stanie się teraz z jego matką. Matka była z ojcem w Pownal, przygotowując się do pielgrzymki do Kalifornii, mającej zacząć się w przyszłym tygodniu. Ani on sam, ani jego ojciec nie sądzili, by pomysł tej podróży należał do najszcześniejszych, a wiadomość o tym, że jej syn ma zdolności parapsychologiczne, mogła zmienić plany Very, choć - w tym konkretnym wypadku - Johnny obawiał się, że lekarstwo okaże się gorsze od choroby. Coś takiego mogło załatwić ją na dobre.
- Z drugiej strony - ta myśl pojawiła się w głowie Johnny'ego nagle, jakby w natchnieniu - może teraz uda się namówić ją, by znów zaczęła brać lekarstwo.
- Są tutaj, bo to, co zrobiłeś, to pewna bomba! Z miejsca nadaje się na pierwszą stronę!
- Ja przecież niczego nie zrobiłem. Tylko...
- Tylko powiedziałaś Eileen, że jej dom się pali, co było zgodne z prawdą - Sam mówił cicho. - Daj spokój, Johnny, musiałeś wiedzieć, że coś takiego zdarzy się prędzej czy później.
- Nie interesuje mnie sława ani rozgłos.
- Nie. Nie miałem zamiaru sugerować czegoś takiego. Trzęsienie ziemi to żaden powód do uznania, ale dziennikarze o tym piszą. Ludzie chcą wiedzieć.
- A co będzie, jeśli nie zgodzę się na rozmowę z nimi?
- To nie jest wyjście. Pójdą i opublikują głupie plotki. A kiedy wyjdiesz ze szpitala, opadną cię jak sępy. Będą przykładac ci do twarzy mikrofony, jakbyś był senatorem albo mafijnym bossem.
- Johnny pomyślał chwilę.
- Czy Bright jest wśród nich?
- Tak.
- A gdybym zaprosił go na górę? Mogę mu wszystko opowiedzieć, a on to zrelacjonuje innym.
- To możliwe, ale inni będą bardzo niezadowoleni. A niezadowolony dziennikarz szybko staje się twoim wrogiem. Tak było w przypadku Nixona i rozdarli go na strzępy.
- Nie jestem Nixonem.
- Weizak uśmiechnął się promiennie.
- Dzięki Bogu!
- Co proponujesz? - zapytał Johnny.

2

Dziennikarze wstali i zaczęli tłoczyć się wokół, kiedy tylko Johnny przeszedł przez wahadłowe drzwi i znalazł się w poczekalni. Ubrany był w białą, rozpiętą pod szyją koszulę i za duże dzinsy. Twarz miał bladą, lecz spokojną. Na szyi wyraźnie odznaczały się blizny po operacji. Lampy błyskowe dmuchnęły mu w twarz falami ciepłego powietrza i Johnny skrzywił się. Posypały się pytania.

- Zaraz! Zaraz! - krzyknął Sam Weizak. - Ten człowiek dochodzi do siebie po ciężkiej chorobie! Ma zamiar wygłosić krótkie oświadczenie i odpowie na niektóre wasze pytania, ale pod warunkiem,

że utrzymamy tu jakiś porządek. Odsuńcie się i pozwólcie mu odetchnąć!

Zapaliły się lampy telewizyjne, zalewając poczekalnię niezmiernym światłem. Lekarze i pielęgniarki zgromadzili się w drzwiach i przyglądali się wszystkiemu ciekawie. Johnny zmrużył oczy od światła; pomyślał, czy to właśnie nazywają „światłami rampy”. Czuł się jak we śnie.

- Kim pan jest? - krzyknął jeden z dziennikarzy do Weizaka.

- Nazywam się Samuel Weizak, jestem lekarzem tego młodego człowieka, i proszę nie zrobić błędu w nazwisku!

Dziennikarze roześmieli się chórem i napięcie nieco zelżało.

- Johnny, dobrze się czujesz? - zapytał Weizak. Było późne popołudnie i nagle wizja płonącej kuchni Eileen Magown wydawała się Johnny'emu odległa i nieważna, jak wspomnienie wspomnienia.

- Jasne.

- Co to za oświadczenie? - zapytał któryś z dziennikarzy.

- No więc tak - powiedział Johnny. - Moją fizykoterapeutką jest pani Eileen Magown. To bardzo miła osoba, pomaga mi odzyskać sprawność fizyczną. Wiecie, że miałem wypadek i... - jedna z kamer telewizyjnych poruszyła się, wytrzeszczając na niego swe ślepe oko i na moment wytrącając go z rytmu - ... jestem jeszcze bardzo słaby. Moje mięśnie trochę się skurczyły. Dzisiejszego ranka byliśmy w sali fizykoterapii i właśnie kończyliśmy ćwiczenia, kiedy doznałem wrażenia, że w jej domu wybuchł pożar. To znaczy, żeby być dokładniejszym - Jezu, gadasz bzdury! - tknęło mnie podejrzenie, że nie wyłączyła kuchenki i że zaraz zapalą się firanki w oknach kuchni. Więc poszliśmy zadzwonić na policję i to wszystko.

Przez chwilę trwała głucha cisza, podczas której dziennikarze przeżuwali to jego „miałem wrażenie i to chyba wszystko” - i nagle posypały się pytania; wszyscy mówili naraz, a Johnny słyszał tylko bezładną mieszankę ludzkich głosów. Obejrzał się wokół, oszołomiony; czuł się zagubiony i bezbronny.

- Po kolei! - krzyknął Weizak. - Podnoście ręce. Nie chodziliście do szkoły?

Podniosły się machające ręce. Johnny wskazał na Brighta.

- Czy nazwałbyś to doświadczeniem parapsychologicznym, Johnny?

- Nazwałbym to wrażeniem. Robiłem ćwiczenia, właśnie skończyłem. Panna Magown podała mi rękę, kiedy próbowałem wstać, i po prostu wiedziałem.

Wskazał kogoś innego.

- Mel Allen, *Sunday Telegram* z Portland. Panie Smith, czy to było jak obraz? Obraz, który pokazał się w pańskiej głowie?

- Nie, wcale nie - odpowiedział Johnny, który prawdę mówiąc, nie pamiętał już, jak to rzeczywiście było.

- Czy zdarzyło ci się to wcześniej, Johnny? - zapytała młoda kobieta w luźnym spodnimie.

- Tak, kilka razy.

- Czy możesz opowiedzieć nam o innych przypadkach?

- Nie. Wolałbym nie.

Jeden z dziennikarzy telewizyjnych podniósł rękę i Johnny skinął mu głową.

- Czy miewał pan takie przecucia przed wypadkiem i wynikłą z niego śpiączką?

Johnny zawahał się.

W sali zrobiło się nagle bardzo cicho. Lampy telewizyjne świeciły mu w twarz jak tropikalne słońce.

- Nie.

Następny chór pytań. Zdezorientowany Johnny znów zerknął na Weizaka.

- Cisza! Cisza! - ryknął lekarz. Zwrócił się do swego pacjenta: - Czy to wszystko, Johnny?

- Odpowiem jeszcze na dwa pytania. Potem... doprawdy... to był dla mnie długi dzień... tak, proszę pani?

Wskazał na potężną kobietę, która dosłownie wbiła się między dwóch młodych reporterów.

- Panie Smith - zapytała kobieta donośnym, dźwięcznym, niskim głosem - czy mógłby pan nam powiedzieć, kogo w tym roku demokraci nominują na kandydata na prezydenta?

- Nie wiem. - Johnny był *szczerze* zdumiony tym pytaniem. - Skąd niby miałbym wiedzieć?

Uniosło się kilka rąk. Johnny wskazał na wysokiego mężczyznę o poważnej twarzy. Mężczyzna zrobił krok do przodu. Wydawał się napięty, sztywny.

- Panie Smith, jestem Roger Dussault z lewinstońskiego *Sun* i chciałbym, by wytłumaczył mi pan,

dlatego ma pan te niezwykle zdolności, jeśli rzeczywiście pan je ma. Dlaczego właśnie pan, panie Smith?

Johnny odchrząknął.

- Jeśli dobrze rozumiem pańskie pytanie... chce pan, bym usprawiedliwił coś, czego sam nawet nie pojmuję. Nie mogę tego zrobić.

- Nie usprawiedliwił, panie Smith. Tylko wyjaśnił. Myśli, że ich oszukują. Albo próbują oszukać. Obok Johnny'ego pojawił się Weizak.

- Chyba ja mógłbym na to odpowiedzieć. A przynajmniej spróbować wyjaśnić coś, co nie da się wyjaśnić.

- Pan także ma podobne talenty? - zapytał chłodno Dussault.

- Oczywiście. Muszą je mieć wszyscy neurologowie. Jeśli chcą pracować w zawodzie. - Odpowiedział mu chóralny wybuch śmiechu, Dussault poczerwieniał.

- Panie i panowie, przedstawiciele środków masowego przekazu. Ten człowiek spędził w stanie śpiączki cztery i pół roku. My, którzy studiuje ludzki mózg, nie mamy pojęcia, dlaczego przeżył i dlaczego się obudził, a to z tego powodu, że nie rozumiemy, czym jest koma, tak jak nie rozumiemy snu albo prostej czynności budzenia się. Panie i panowie, my do końca nie znamy działania mózgu żaby albo mózgu mrówki. Możecie mnie zacytować... widzicie, jaki jestem nieustraszony!

Dziennikarze znów się roześmieli. Polubili Weizaka. Ale Dussault się nie śmiał.

- Możecie także zacytować moje następujące stwierdzenie: ten człowiek posiada teraz całkiem nową albo bardzo starą zdolność umysłową. Dlaczego? Jeśli ja i moi koledzy nie rozumiemy mechanizmów działania mózgu mrówki, to czy mogę wam powiedzieć dlaczego? Nie mogę. Mogę wam jedynie zasugerować kilka interesujących myśli, które mogą, choć nie muszą, mieć znaczenie w tej sprawie. Część mózgu Johnny'ego Smitha została uszkodzona, nieodwracalnie uszkodzona - bardzo mała część, ale wszystkie części mózgu mogą być ważne. On sam nazywa to „martwą strefą”; najwyraźniej tam były składowane fragmenty pamięci śladowych. Wszystkie te skasowane wspomnienia wydają się być częścią większej całości, odpowiadającej desygnatom: droga, szosa, autostrada. Są częścią większej, określonej całości, ot co. To niewielka, lecz całkowita afazja obejmująca najwyraźniej zdolności określenia językowego i wizualizacji.

Dla równowagi inny mały fragment mózgu Johnny'ego Smitha mógł się p r z e b u d z i ć. Fragment części skroniowej mózgu. To jedna z głęboko pofałdowanych części „przedniego” lub „myślącego” mózgu. Fale elektryczne z tej części mózgu Smitha są bardzo dalekie od normalności. I jest jeszcze jedna rzecz. Część skroniowa mózgu wpływa na zmysł dotyku - w jakim stopniu, nie mamy pewności - i jest bardzo blisko tej części mózgu, która wyczuwa kształt i fakturę rzeczy. A z moich obserwacji wynika, że „przecucia” Johnny'ego zawsze są poprzedzone dotykiem.

Cisza. Dziennikarze notowali jak szaleni. Kamery telewizyjne, które przesunęły się na Weizaka, teraz odwróciły się tak, by w kadrze znalazł się także bohater spotkania.

- Czy to prawda, Johnny? - zapytał Weizak.

- Sądzę...

Dussault przebił się nagle przez tłum reporterów. Przez jedną chwilę rozbawiony Johnny przypuszczał, że ma zamiar stanąć przed kamerami i wygłosić oświadczenie będące zaprzeczeniem tej teorii. Później zauważył, że zdejmuje coś z szyi.

- Poproszę o demonstrację. - Dussault trzymał w ręku medalion na cienkim, złotym łańcuszku. - Zobaczmy, co potrafisz z tym zrobić.

- Nie będzie żadnej demonstracji - ogłosił Weizak. Jego siwe brwi zmarszczyły się groźnie; patrzył na Dussaulta z góry jak Mojżesz. - Ten człowiek to nie jarmarczny osiłek, proszę pana!

- Przecież pan mógł mnie kantować - stwierdził Dussault. - Albo on może to zrobić, albo nie może, prawda? Kiedy pan zajmował się tłumaczeniem nam tego wszystkiego, ja zajmowałem się tłumaczeniem sobie pewnych rzeczy i doszedłem do wniosku, że tacy goście nigdy nie występują publicznie, bo są mniej więcej tak prawdziwi jak plik trzydolarówek.

Johnny przyjrzał się reszcie dziennikarzy. Z wyjątkiem Brighta, który sprawiał wrażenie zakłopotanego, wszyscy przyglądali mu się z politowaniem. Przypominali pielęgniarki, kiedy patrzyły na niego zza szklanej ściany. Nagle Johnny poczuł się jak chrześcijanin rzucony lwom na pożarcie. Muszę wygrać, pomyślał. Jeśli coś im powiem, mają materiał na pierwszą stronę. Jeśli nie zdołam albo odmówię próby, mają inny materiał na pierwszą stronę.

- I co? - zapytał Dussault. Medalion, który trzymał w zaciśniętej pięści, kołysał się, raz w jedną

stronę, raz w drugą.

Johnny spojrział na Weizaka, ale ten patrzył w przeciwnym kierunku.

- Proszę mi go dać - powiedział.

Dussault podał mu medalion. Johnny położył go sobie na dłoni. Medalik przedstawiał świętego Krzysztofa. Johnny złożył na nim łańcuszek i zacisnął palce na małej kupce złota.

W pokoju zapadła martwa cisza. Do kilku lekarzy i kilku siostr stojących w drzwiach dołączyli inni. Niektórzy z nich mieli na sobie codzienne ubrania, najwyraźniej wychodzili już do domu. Tłumek pacjentów zgromadził się pod przeciwległą ścianą, po drodze do sali telewizyjnej na pierwszym piętrze. Odwiedzający, którzy pojawiali się tu regularnie, przyszli aż z głównej sali przyjęć. Napięcie dosłownie wibrowało w powietrzu, jakby ktoś przeprowadził tędy kabel wysokiego napięcia.

Johnny stał nieruchomy i blady. Sprawiał wrażenie bardzo kruchego w białej koszuli i za dużych dzinsach. W prawej ręce zaciskał medalik ze świętym Krzysztofem tak mocno, że w białym świetle lamp telewizyjnych wyraźnie widać było żyły na jego dłoni. Naprzeciw niego elegancki, poważny Dussault przyjął pozycję sędziego. Chwila ta zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nikt nie kaszłał. Nikt nie szeptał.

- Ach! Więc to tak!

Palce powoli mu się rozluźniły. Spojrział na Dussaulta.

- I co? - zapytał dziennikarz, ale jego głos nagle stracił swe władcze brzmienie. Zmęczony, zdenerwowany młody mężczyzna, który odpowiadał na pytania reporterów, znikł także. Na twarz Johnny'ego wypełził uśmiech, ale nie było w nim ciepła. Jego błękitne oczy pociemniały. Spojrzenie miał dalekie, zimne. Weizak dostrzegł je, poczuł chłód i skórę pokryła mu gęsia skórka. Później powiedział żonie, że twarz Johnny'ego była twarzą człowieka przyglądającego się przez potężny mikroskop interesującemu okazowi jakiegoś wirusa.

- Ten medalik dał pan swej siostrze - powiedział Johnny Dussaultowi. - Miała na imię Anna, ale wszyscy nazywali ją Terry. Starsza siostra. Kochałeś ją. Całowałeś ziemię, po której stąpała.

Nagle głos Johnny'ego Smitha zaczął się zmieniać. Stał się wysokim, łamiącym się głosem dorastającego chłopca.

- To dla ciebie, kiedy przechodzisz przez Lisbon Street na czerwonym świetle, Terry, albo kiedy jesteś w samochodzie z jednym z tych chłopców z uniwersytetu. Nie zapomnij, Terry. .. nie zapomnij...

Gruba kobieta, która przedtem zapytała Johnny'ego, kogo nominują demokraci, wydała z siebie przeraźliwy, cienki jęk. Jeden z kamerzystów telewizji wyszeptał ochryple: „Jezu Przenajświętszy!”

- Przestań - szepnął Dussault. Jego twarz nabrała niezdrowego odcienia szarości. Wybałuszył oczy, w ostrym świetle lamp na jego dolnej wardze zaślśniła ślina. Sięgnął po medalion, który teraz zwiisał z palców Johnny'ego na swym złotym łańcuszku, ale w gęście tym nie było nic władczego. Medalion kołysał się, hipnotycznie błyskając odbitym światłem.

- Pamiętaj o mnie, Terry - błagał chłopięcy głos. - Zostań czysta, Terry, proszę, na miłość Boską, zostań czysta.

- Przestań! Przestań, łobuzie! Johnny mówił już swym własnym głosem.

- To była amfetamina, prawda? A później heroina. Zmarła na atak serca w wieku dwudziestu siedmiu lat. Ale nosiła go przez dziesięć lat, Róg. Pamiętała cię. Nigdy nie zapomniała. Nie zapomniała... nigdy... nigdy.

Medalion wysunął mu się z palców i upadł na podłogę z cichym, melodyjnym brzękiem. Szlochający Dussault padł na kolana i zaczął go szukać.

Trzasnęła żarówka lampy błyskowej. Twarz Johnny'ego rozpogodziła się i przybrała normalny wyraz. Klęknął niezgrabnie obok Dussaulta.

- Przepraszam - powiedział. - Przepraszam, nie miałem zamiaru...

- Ty mały, cholerny oszuście! - krzyczał dziennikarz. - To łgarstwo. To łgarstwo! To łgarstwo!!! - Wymierzył Johnny'emu niezgrabny cios otwartą dłonią i Johnny przewrócił się, uderzając głową w podłogę.

Usłyszał wrzask.

Widział niewyraźnie, że Dussault na oślep przepycha się przez tłum w kierunku drzwi. Wokół niego i wokół samego Johnny'ego tłoczyli się ludzie. Widział dziennikarza przez las nóg. Nagle znalazł się koło niego Weizak i pomógł mu wstać.

- Wszystko w porządku? Zranił cię?

- Nie tak, jak ja zraniłem jego. Wszystko w porządku. - Johnny próbował wstać. Pomagały mu jakieś dłonie - może Weizaka, a może czyjeś inne. Czuł się oszołomiony, miał mdłości, omal nie zwymiotował. Popelniał błąd, popelniał straszliwy błąd.

Ktoś wrzeszczał cienko: gruba kobieta, która zapytała go o demokratów. Johnny dostrzegł, jak Dussault pada na klęczki, chwytając rękaw wzorzystej bluzki tej kobiety, a później schyla się do przodu, jakby się zmęczył, i przewraca się na kafelki podłogi przy drzwiach, do których próbował się dostać. W ręku nadal trzymał medalik ze świętym Krzysztofem.

- Zemdlał - powiedział ktoś. - Padł jak neptek. Niech mnie diabli!

- Czy coś mu się stało? - zapytał Johnny. Odwrócił się w stronę dziewczyny w luźnym spodnimie, która na ten gest odskoczyła gwałtownie. Na jej twarzy pojawił się wyraz panicznego strachu.

Johnny spojrzał w drugą stronę, na dziennikarza telewizyjnego, który pytał go, czy miał przecucia przed wypadkiem. Nagle wydało mu się strasznie ważne, by to komuś wyjaśnić.

- Nie chciałem go skrzywdzić - tłumaczył się. - Na Boga, przecież nie chciałem go skrzywdzić. Nie wiedziałem... Dziennikarz telewizyjny cofnął się o krok.

- Nie. Oczywiście, że nie. Sam się o to prosił, wszyscy to widzieli. Tylko... nie dotykaj mnie, co?

Johnny spojrzał na niego bezradnie. Usta mu drżały. Był ciągle w szoku, ale zaczął już rozumieć. O tak, zaczął już rozumieć! Dziennikarz telewizyjny próbował się uśmiechnąć, lecz wyszedł z tego grymas.

- Nie dotykaj mnie, Johnny. Proszę.

- To nie tak - powiedział Johnny, albo tylko usiłował. Później nie potrafił sobie przypomnieć, czy wydał z siebie jakiś dźwięk.

- Nie dotykaj mnie Johnny, dobrze?

Dziennikarz cofnął się do miejsca, w którym jego kamerzysta pakował sprzęt. Johnny stał i przyglądał się im. Drżał na całym ciele.

3

- To dla twojego dobra - powiedział Weizak. Za nim stała pielęgniarka, biały duch, uczennica czarnoksiężnika z dłońmi zawieszonymi nad małym stolikiem na kółkach, rajem narkomana pełnym słodkich snów.

- Nie! - Johnny nadal miał dreszcze, a na dodatek oblał się jeszcze zimnym potem. - Żadnych zastrzyków. Mam już potąd zastrzyków.

- Więc pigułka?

- I żadnych pigulek.

- Pomogą ci zasnąć.

- A czy o n zaśnie? Ten Dussault?

- Sam się o to prosił - burknęła pielęgniarka i przestraszyła się, kiedy Weizak odwrócił się do niej. Ale lekarz tylko uśmiechnął się krzywo.

- Ma rację, nie? - powiedział. - Sam się o to prosił. Myślał, że sprzedajesz kota w worku, John. Prześpisz noc i będziesz mógł zobaczyć to we właściwej perspektywie.

- Zasnę bez żadnych środków.

- Johnny, proszę.

Było piętnaście po jedenastej. Właśnie wyłączyli stojący w kącie pokoju telewizor. Johnny i Sam oglądali razem konferencję prasową; pokazano ją na drugim miejscu, zaraz po informacji o ustawach, które odrzucił Ford. Moja historia lepiej wygląda na ekranie, pomyślał Johnny z gorzką ironią. Łysy republikanin prawiący banały o budżecie narodowym nie mógł się nawet równać z klipem, który tego wieczora nakręcił kamerzysta WABI. Klip kończył się ujęciem Dussaulta czołgającego się po podłodze z zaciśniętym w dłoni medalikiem, mdłej ącego, czepiającego się dziennikarki, tak jak tonący mógłby chwycić słomkę.

Kiedy prezenter odczytywał informację o policyjnym psie i dwustu kilogramach marihuany, Weizak wyszedł na chwilę i wrócił z wiadomością, że szpitalna centralka telefoniczna została zablokowana jeszcze przed końcem informacji. Pielęgniarka z lekarstwami pojawiła się kilka minut później. Johnny pomyślał, że Sam zszedł do pokoju pielęgniarek nie tylko po najświeższe informacje.

I właśnie wtedy rozległ się dzwonek.
Weizak zaklął pod nosem
- Mówiłem, żeby nie przyjmowali telefonów. Nie podnoś słuchawki, Johnny. Ja...
Ale Johnny już odebrał telefon. Słuchał przez chwilę, a potem skinął głową.
- Tak, dobrze się stało. - Przykrył dłonią słuchawkę. - To tata - wyjaśnił. - Zdjął dłoń ze słuchawki. - Cześć, tato. Sądzę, że... - przerwał i słuchał. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Poruszał wargami w milczeniu.
- John, co się stało?
- Dobrze, tato - przytaknął Johnny szeptem. - Tak. Szpital Ogólny w Cumberland. Wiem, gdzie to jest. Tuż obok Jerusaleem Lot. Tak. Dobrze, tato...
Głos mu się załamał. Nie płakał, ale oczy mu błyszczały.
- Wiem, tato. Ja też cię kocham. Przepraszam. - Słuchał. - Tak. Właśnie tak. Do zobaczenia, tato. Tak. Do zobaczenia. Odłożył słuchawkę, podniósł dłonie i przycisnął je do oczu.
- Johnny? - Sam pochylił się, złapał go za rękę, odciągnął ją od twarzy i delikatnie ścisnął. - Czy to mama?
- Tak.
- Atak serca?
- Wylew. - Sam Weizak wypuścił powietrze z płuc przez zaciśnięte zęby z pełnym bólu westchnieniem. - Oglądali wiadomości. .. żadne z nich nie miało pojęcia... Pojawiłem się na ekranie... dostała wylewu. Jezu! Jest w szpitalu. Teraz, jeśli coś stanie się tacie, to trafiłem triple. - Johnny roześmiał się piskliwie. Rzucił wokół siebie dzikie spojrzenia; patrzył na Weizaka, na pielęgniarkę i znowu na Weizaka. - Nadzwyczajne zdolności - mówił dalej. - Każdy powinien je mieć.
- Co z nią? - zapytał neurolog.
- Tata nie wie.
Johnny usiadł na łóżku, spuszczać nogi na podłogę. Ubrany był tylko w szpitalną koszulę i nogi miał gołe.
- Co ty chcesz zrobić?
- A jak myślisz?
Johnny wstał i przez chwilę wydawało się, że Weizak przewróci go na łóżko. Ale lekarz tylko patrzył, jak chory kulejąc podchodzi do szafy.
- Nie wygłupiaj się. Na to jeszcze za wcześnie.
Nie zwracając uwagi na pielęgniarkę - widziały jego nagie ciało jeden Bóg wie jak często - Johnny zdjął koszulę. Grube, skręcone blizny za kolanami zachodziły aż na nieznaczne zgrubienie łydek. Grzebał w szafie, szukając ubrania, i znalazł tę samą białą koszulę i dzinsy, w których wystąpił na konferencji.
- Johnny, absolutnie ci zabraniam. Jako lekarz i jako przyjaciel. Mówię ci, to szaleństwo.
- Zabraniaj, ile chcesz, ja jadę - stwierdził Johnny i zaczął się ubierać. Na twarzy miał ten wyraz chłodnego zaciekawienia, który Weizak nauczył się kojarzyć z jego transami. Pielęgniarka gapiła się nań z otwartymi ustami.
- Siostró, może pani równie dobrze wrócić na swoje stanowisko - powiedział Sam.
Pielęgniarka cofnęła się, stanęła w drzwiach i w końcu wyszła. Niechętnie.
- Johnny. - Sam wstał, podszedł do pacjenta i położył mu rękę na ramieniu. - To nie twoja wina. Johnny strącił jego dłoń.
- Ja to zrobiłem. Tylko ja. Patrzyła na mnie, kiedy to się stało. - Zaczął zapinać koszulę.
- Prosiłeś, żeby brała lekarstwa, a ona cię nie słuchała. Johnny przez chwilę patrzył na Weizaka, a później wrócił do zapinania koszuli.
- Gdyby to nie zdarzyło się dziś, nastąpiłoby jutro, za tydzień, za miesiąc...
- Albo w przyszłym roku, albo za dziesięć lat.
- Nie. Nie czekałaby na to dziesięć lat. Ani nawet rok. I ty o tym wiesz. Czemu tak ci zależy, żeby się obwiniać? Przez tego zadowolonego z siebie durnia-dziennikarza? A może odreałowujesz żal nad samym sobą? Chcesz uwierzyć, że zostałeś przeklęty?
Twarz Johnny'ego skurczyła się ze złości.
- Kiedy to się stało, widziała mnie! Nie pojmujesz? Jesteś taki cholernie głupi, że to do ciebie nie dociera?
- Planowała męczącą podróż aż do Kalifornii i z powrotem, sam mi o tym powiedziałeś. Jakieś

symposium. Podchodziła do tego bardzo emocjonalnie - sądząc po tym, co sam mówiłeś. Tak? Tak. Równie dobrze to mogłoby nastąpić tam, w Kalifornii. Wylew to nie grom z jasnego nieba.

Johnny zapiął dzinsy i usiadł, jakby wysiłek włożony w ubranie się był tak wielki, że wyczerpał wszystkie jego siły. Stopy nadal miał bose.

- Tak - powiedział. - Tak, może i masz rację.
- Zmądrzał! Wreszcie zmądrzał! Bogu niech będą dzięki!
- Ale mimo wszystko muszę pojechać, Sam. Weizak wznosił ręce w górę.
- I co zrobisz? Jest w rękach lekarzy i swojego Boga. Tak to wygląda. Musisz to rozumieć.
- Ojciec będzie mnie potrzebował - powiedział cicho Johnny. - To też rozumiem.
- Jak się tam dostaniesz? Już prawie północ.
- Autobusem. Złapię taksówkę i podjadę do sklepu Petera. Greyhound nadal ma tam przystanek, prawda?
- Nie musisz jechać autobusem - powiedział Sam. Johnny szukał butów pod krzesłem i nie mógł ich znaleźć. Sam wyciągnął je spod łóżka i podał mu.
- Ja cię odwiozę.
- Zrobiłbyś to?
- Jeśli weźmiesz łagodny środek uspokajający, to tak.
- Ale twoja żona... - Nagle Johnny zorientował się, zmieszany, że o prywatnym życiu Weizaka wie tylko jedno: jego matka mieszka w Kalifornii.
- Rozwiodłem się - rzekł Weizak. - Lekarz nie wszystkie noce spędza w domu... chyba że jest pediatrą albo dermatologiem, nie? Moja żona stwierdziła, że nasze łóżko jest częściej puste niż pełne. Poradziła sobie, wypełniając je innymi mężczyznami.
- Bardzo mi przykro - powiedział zawstydzony Johnny.
- O wiele za często bywa ci przykro, John. - Wyraz twarzy Weizaka pozostał łagodny, choć oczy miał poważne. - Wkładaj buty.

ROZDZIAŁ 12

1

Ze szpitala do szpitala, pomyślał Johnny jak we śnie. Śnić pomagała mu mała biała pigułka, którą wziął tuż przedtem, nim wyszli z Samem z CMWM i wsiedli do jego eldorado z 1975 roku. Ze szpitala do szpitala, od chorego do chorego, z sali na sale.

W jakiś dziwny, tajemniczy sposób cieszył się z tej wycieczki - po raz pierwszy od niemal pięciu lat wy dostał się ze szpitala. Noc była jasna, Droga Mleczna błyszczała na niebie jak sprężyna od zegarka, która nigdy się nie rozwinie; kiedy tak jechali na południe przez Palmyrę, Newport, Pittsfield, Benton, Clinton znad ciemnej linii drzew towarzyszył im niezmienny, błyszczący półksiężyc. Samochód mknął w całkowitej niemal ciszy. Z czterech głośników płynęła muzyka Haydna.

Przyjechałem do jednego szpitala w karetce pogotowia, a do drugiego jadę cadillakiem, pomyślał Johnny. Nie dał tej myśli szansy, żeby wróciła. Wystarczyło mu, że jedzie, że płynie drogą, by na chwilę zapomnieć o matce, o nowych zdolnościach, o ludziach, którzy włązili mu z butami w duszę (Sam się o to prosił... tylko mnie nie dotykaj, co?). Weizak prowadził w milczeniu. Od czasu do czasu nucił fragmenty muzyki.

Johnny obserwował gwiazdy. Obserwował drogę, o tej porze niemal pustą. Droga rozwijała się przed nimi bez przerwy. W Augusta przejechali przez bramkę i Weizak wziął bilet ważny na odległość i na czas. Pojechali dalej: Gardener, Sabbatus, Lewiston.

Prawie pięć lat, więcej niż niektórzy mordercy skazani na więzienie. Zasnął. I śnił.

- Johnny - mówiła mu we śnie matka - Johnny, spraw, żebym wyzdrowiała, żebym znów była zdrowa. - Ubrana w łachmany żebraczki, czółgała się ku niemu po bruku. Twarz miała bladą. Z kolan ciekły strumyki krwi. W jej rzadkich włosach żerowały wszy. Wyciągała ku niemu drżące ręce. - Działa przez ciebie moc Boża - mówiła. - To wielka odpowiedzialność, Johnny. On pokłada w tobie wielkie zaufanie. Musisz być go wart.

Johnny wziął ją za ręce, ścisnął jej dłonie w swoich i powiedział:

- Duchy, opuśćcie tę kobietę. Matka wstała.
- Uzdrawiona! - krzyknęła triumfalnie. - Uzdrawiona! Mój syn mnie uzdrowił! Wielkie są jego dzieła na Ziemi!

Próbował zaprotestować, próbował wytłumaczyć jej, że nie chce dokonywać wielkich dzieł, uzdrawiać, mówić językami, przepowiadać przyszłość, odnajdywać to, co zaginęło. Próbował jej to powiedzieć, ale jego język nie słuchał poleceń wydawanych przez mózg. A później matka go minęła, maszerując brukowaną ulicą w pozie pełnej szacunku, a zarazem arogancji, i zaczęła krzyczeć potężnym głosem: „Zbawiona! Zbawca! Zbawiona! Zbawca!”

Przeżony Johnny dostrzegł wówczas, że idą za nią tysiące, a może miliony, a każdy z nich albo oszukany, albo kaleki, albo przeżony. Była w wśród nich gruba dziennikarka, pytająca, kogo nominują demokraci na wybory w 1976 roku; był farmer o martwych oczach, ubrany w fartuch, z portretem syna -uśmiechniętego młodego człowieka w mundurze lotnika, uznanego za zaginionego nad Hanoi w 1972 roku - chciał się dowiedzieć, czy jego syn jeszcze żyje. Była młoda kobieta, bardzo przypominająca Sarę, łzy spływały jej po policzkach, trzymała na rękach dziecko z wodogłowiem, a na główce dziecka niebieskie żyły skręcone jak runy przepowiadały nieszczęście; był stary mężczyzna z palcami rąk powykęcanych przez artretyzm; byli inni.

- Zbawiona! - niósł się w powietrzu zwycięski krzyk jego matki. - Zbawiciel! Zbawiona! Zbawiciel!

Próbował im powiedzieć, że nie umie uzdrawiać i zbawiać, ale nim zdążył otworzyć usta, pierwsi z nich byli już obok i potrząsali nim.

Potrząsanie przynajmniej było rzeczywiste. To Weizak. Jaskrawe, pomarańczowe światło wypełniło samochód, aż wewnątrz było jasno jak za dnia - światło rodem z horroru zmieniło twarz Sama w pysk potwora. Przez chwilę Johnny myślał, że to dalszy ciąg koszmaru, a później dostrzegł lampy oświetlające parking. Najwyraźniej też je pozmieniali, kiedy leżał w śpiączce - z białych na te dziwne, pomarańczowe, zmieniające kolor skóry jak farba.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał ochryple.

- W szpitalu. Szpital ogólny w Cumberland.

- Aha. Dobrze. - Wyprostował się na siedzeniu. Sen opadał z niego kawałkami, zaśmiewał podłogę jego umysłu jak coś, co się stłukło i nie zostało jeszcze sprzątnięte.

- Wsiadamy?

- Tak - powiedział Johnny.

Kiedy przechodzili przez parking, słyszeli śpiewające wśród drzew świerszcze. Robaczki świętojańskie rozświetlały noc smugami światła. Johnny myślał o matce, ale nie aż tak intensywnie, by nie mógł radować się miękkim, delikatnym zapachem nocy i wiatrem, który owiewał mu skórę. Cieszył się wrażeniem zdrowia płynącym z nocnej ciemności w głąb jego ciała. Biorąc pod uwagę powód, dla którego tu się znalazł, ta myśl wydała się mu niemal obrzydliwa. I nie potrafił jej od siebie odpędzić.

2

Herb przeszedł przez korytarz, aby przywitać się z synem, i Johnny zauważył, że ojciec ma na sobie stare spodnie, górę od piżamy i buty na boso nogi. Jego wygląd powiedział mu wiele o tym, jak nagle wszystko się wydarzyło. Więcej, niż chciałby wiedzieć.

- Synku - wyszeptał Herb. Wydawał się jakby mniejszy. Próbował powiedzieć coś jeszcze i nie mógł. Johnny przytulił go, a Herb rozplakał się nagle.

- Tato, wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze.

Ojciec objął go za szyję, wciąż szlochał. Weizak odwrócił się i poświęcił całą swą uwagę porozwieszonym na ścianach obrazom - kiepskim akwarelom miejscowych artystów.

Herb dochodził do siebie. Wytarł oczy rękawem i powiedział:

- Tylko popatrz, ciągle mam na sobie piżamę. Mogłem się przebrać przed przyjazdem karetki. Chyba w ogóle o tym nie pomyślałem. Starcza skleroza.

- Nie, nie masz sklerozy.

- Nooo... - Wzruszył ramionami. - Przywiózł cię twój przyjaciel, lekarz? Bardzo ładnie z pana strony, panie Weizak.

- Żaden kłopot.

Johnny i Herb przeszli do małej poczekalni.

- Tato, mama...

- Mama umiera. - Herb wydawał się teraz spokojniejszy. - Jest przytomna, ale umiera. Pytała o ciebie, Johnny. Żyje chyba tylko dlatego, że czeka na ciebie.

- To moja wina - powiedział Johnny. - To wszystko moja wi...

Ból w uchu zaskoczył go. Spojrzał na ojca, zdumiony. Herb złapał go za ucho i wykręcił mu je mocno. *Tyle o odwróceniu ról, kiedy to tata płacze ci w ramionach.* Wytarganie za uszy zawsze było karą, a Herb stosował ją za najpoważniejsze wykroczenia. Johnny nie pamiętał, by tata wytargał go za uszy od czasu, kiedy miał trzynaście lat i bawił się ich starym ramblerem. Niechący nacisnął sprzęgło, samochód w ciszy stoczył się z pagórka i trafił w dobudowaną do domu szopę.

- Nie waż się tak mówić.

- Jejku, tato!

Herb puścił go; rozchylił usta w uśmiechu.

- Zapomniałeś o uszach, co? Pewnie myślałeś, że ja też o tym zapomniałem. Nie masz szczęścia, synu.

Johnny przyglądał mu się, nadal oszołomiony.

- Nie możesz obwiniać s i e b i e!

- Ale przecież ogłądała te cholerne...

- Wiadomości? Tak. Była zachwycona, była przerażona... a później padła na podłogę, otwierając i zamykając te swoje biedne usta jak wyjęta z wody ryba. - Herb pochylił się w stronę syna. - Lekarz nie od razu wyszedł powiedzieć mi prawdę, ale zapytał o „środki ostateczne”. Odpowiedziałem mu, że nie życzę sobie niczego takiego. Mama popełniła swój własny grzech, Johnny. Chciała poznać zamiary Boga, więc nie wiń się więcej za jej błędy. - W oczach Herba znów zabłyśły łzy. Jego głos stał się bardziej chrapliwy. - Bóg wie, że kochałem ją przez całe życie, a ostatnio nie było mi łatwo. Może stało się to, co najlepsze?

- Mogę ją zobaczyć?

- Tak. Leży przy końcu korytarza, sala numer 35. Spodziewają się ciebie i ona też cię oczekuje. Jeszcze jedno, Johnny. Zgadź się ze wszystkim, co ci powie, z każdym drobiazgiem. Nie pozwól... żeby umarła, myśląc, że to wszystko na próżno.

- Dobrze. - Johnny zamilkł na chwilę. - Wejdiesz ze mną?

- Nie. Może później.

Johnny skinął głową i poszedł korytarzem. Światła były przyćmione. Krótka chwila spędzona wśród letniej nocy wydawała mu się teraz bardzo daleka, a koszmar bardzo bliski.

Sala numer 35, z małą kartką na drzwiach: VERA HELEN SMITH. Czy wiedział, że matka na drugie imię miała Helen? Chyba musiał wiedzieć, ale nie pamiętał. Pamiętał za to co innego: jak pewnego upalnego dnia na plaży Old Orchard uśmiechnęta, wesółka, przyniosła mu lody zawinięte w chusteczkę do nosa. Jak z ojcem grali w karty na zapałki - później, kiedy coraz mocniej utwierdzała się w wierze, nie pozwoliła trzymać w domu kart, nawet żeby postawić pasjansa. Pamiętał dzień, kiedy uządła go pszczoła; pobiegł do niej, wrzeszcząc jak opętany, a ona ucałowała opuchliznę, wyciągnęła żądło pęsetką i przewiązała ranę szmatką umoczoną w sodzie oczyszczonej.

Johnny otworzył drzwi i wszedł. Na łóżku leżał mały i niewyraźnie widoczny kształt. Pomyślał: „Czy ja też tak wyglądałem?” Pielęgniarka właśnie mierzyła jej puls; odwróciła się, kiedy otworzył drzwi i słabe, padające z korytarza światło odbiło się w jej okularach.

- Pan jest synem pani Smith?

- Tak.

- Johnny? - Z małej, leżącej na łóżku kupki pościeli rozległ się głos, suchy i płaski. Słysząc w nim było chrzęst śmierci jak chrzęst kamyczków w pustej tykwie. Ten głos - Boże, dopomóż! - sprawił, że ciarki przeszły mu po plecach. Podszedł bliżej. Po lewej stronie jej twarz była ohydnie zniekształcona. Leżąca na kołdrze dłoń przypominała zakrzywione szpony. Wylew, pomyślał. Starzy ludzie nazywają go „szokiem”. Tak. To lepsza nazwa. Przeżyła straszny szok.

- Czy to ty, Johnny?

- To ja, mamó.

- Johnny, czy to ty?

- Tak, mamó.

Podszedł jeszcze bliżej i zmusił się do wzięcia szpon w swą dłoń.

- Chcę mojego Johnny'ego - powiedziała kłótliwie matka. Pielęgniarka rzuciła mu spojrzenie pełne współczucia. Johnny miał ochotę przebić się przez nie pięścią.

- Proszę zostawić nas samych - powiedział.

- Doprawdy nie powinnam, kiedy...

- Niech pani da spokój. To moja matka, chcę z nią zostać sam. I co pani na to?

- Nooo...

- Przynieś mi soku, tato! - wrzasnęła matka ochryple. - Czuję, że mogłabym wypić cały litr.

- Niech pani się stąd w y n o s i! - krzyknął Johnny na pielęgniarkę. Wypełnił go straszny smutek, którego źródła nie potrafił odkryć. Był jak wir tkwiący gdzieś w ciemności.

Pielęgniarka wyszła.

- Mamo - odezwał się Johnny, siadając na łóżku. Nie chciało go opuścić to dziwne uczucie, jakby czas się rozdziwił. Ile razy o n a siadała tak przy jego łóżku, trzymając go za suchą dłoń i rozmawiając z nim? Pamiętał okres, kiedy nie istniał czas, kiedy widział pokój jakby przez błonę płodową; pochylała się nad nim twarz matki, rzucając w niego grzmiącymi dźwiękami bez znaczenia.

- Mamo - powtórzył Johnny i ucałował szpony, w które zmieniała się jej ręka.

- Daj mi gwoździe, ja to zrobię! - powiedziała nagle. Jej lewe oko sprawiało wrażenie martwego, prawe przesunęło się dziko w oczodole. Było jak oko trafionego w brzuch konia. - Chcę Johnny'ego.

- Mamo, jestem tu.

- Johnny! J o h n n y! J O H N N Y!

- Mamo - powtórzył, bojąc się, że pielęgniarka może wrócić.

- Ty... - przerwała. Jej głowa odwróciła się odrobinę w jego kierunku. - Pochyl się, nie mogę cię zobaczyć - szepnęła. Zrobił, jak chciała.

- Przyszedłeś - powiedziała. - Dziękuję ci. Dziękuję. - Ze zdrowego oka popłynęły łzy. Drugim, bez wyrazu, patrzyła w sufit.

- Oczywiście, że przyszedłem.

- Widziałam cię - szepnęła matka. - Jaką moc dał ci Bóg, Johnny. Czy ci o tym nie mówiłam? Czy nie mówiłam, że tak właśnie jest?

- Mówiłaś, mamo.

- Bóg ma dla ciebie zadanie - kontynuowała. - Nie uciekaj przed Nim, Johnny. Nie kryj się przed Nim w jaskini jak Eliasza i nie każ przysyłać Mu wielkiej ryby, by cię połknęła. Nie rób tego, John.

- Nie, nie zrobię. - Trzymał w dłoni jej szpony. Bolała go głowa.

- Nie jesteś garncarzem, lecz gliną w jego rękach, pamiętaj, John. Pamiętaj.

- Dobrze.

- Pamiętaj!- powtórzyła z naciskiem i Johnny pomyślał: „zaczyna bredzić”, ale nie majaczyła, a przynajmniej nie bardziej, niż kiedy obudził się ze śpiączki.

- Słuchaj cichego, spokojnego głosu, gdy przemówi.

- Tak, mamo. Dobrze.

Jej głowa znowu odrobinę przesunęła się na poduszce i... czyżby matka się u ś m i e c h a ł a?

- Pewnie myślisz, że oszalałam. - Jeszcze trochę odwróciła głowę i mogła już spojrzeć mu wprost w oczy. - Ale to bez znaczenia. Rozpoznasz ten głos, kiedy przemówi. Powie ci, co masz zrobić. Powiedział Jeremiaszowi, Danielowi, Amosowi, Abrahamowi. Powie i tobie. Ja ci to mówię. A kiedy przemówi, Johnny... s p e ł n i j s w ó j o b o w i ą z e k.

- Dobrze, mamo.

- Co za moc - szepnęła matka. Jej głos stawał się niewyraźny, niezrozumiały. - Co za moc dał ci Bóg... wiedziałam... zawsze wiedziałam... - Głos zamarł. Jedno oko zamknęło się. Drugie martwo patrzyło przed siebie.

Johnny siedział przy niej jeszcze pięć minut, a później wstał, chcąc wyjść. Trzymał rękę na klamce i właśnie otwierał drzwi, kiedy suchy, chrypliwy głos odezwał się znowu, mroząc go swym niewątpliwie rozkazującym, stanowczym tonem.

- S p e ł n i j o b o w i ą z e k, J o h n n y.

- Naturalnie, mamo.

Rozmawiał z nią wtedy po raz ostatni. Vera umarła dwudziestego sierpnia, pięć minut po ósmej rano. Gdzieś na północ od szpitala Walter i Sara Hazlett rozmawiali o Johnny'ym i omal się nie pokłócili, a gdzieś na południe od szpitala Greg Stillson rozprawiał się z pewnym załosnym dupkiem.

ROZDZIAŁ 13

I

- Nie rozumiesz - Greg Stillson tłumaczył to gówniarzowi, siedzącemu w pokoiku na tyłach komisariatu policji w Ridge-way, tonem pełnym niewyczerpanej cierpliwości. Gówniarz, bez koszuli, siedział rozwalony w wyściełanym fotelu i pił pepsa. Uśmiechał się lekceważąco, nie rozumiejąc, że Greg Stillson nigdy nie powtarza więcej niż dwa razy; wiedząc, że w tym pokoju jest jeden żalony dupiek, ale nie wiedząc jeszcze, kto nim jest.

Trzeba mu to było wytłumaczyć.

Jeśli okoliczności będą tego wymagać - dobitnie.

Za oknem był piękny, słoneczny, sierpniowy dzień. Wśród drzew śpiewały ptaki. I Greg czuł, że jego przeznaczenie jest bliższe niż kiedykolwiek. To dlatego musi uważać z tym żalonym dupkiem. To nie był długowłosa, śmierzący motocyklista o krzywych nogach; ten chłopak chodził na studia, włosy miał przeciętnie długie i czyściutkie i był siostrzeńcem George'a Harveya. Nie to, by George specjalnie go kochał (George walczył w Niemczech i dla takich jak on miał jedno określenie, i bynajmniej nie nazywał ich s w o i m i synami), ale to była jego krew. A George jest kimś, z kim liczy się rada miejska. Zobacz, co uda ci się z nim zrobić, powiedział Gregowi, kiedy ten poinformował go, że szeryf Wiggins aresztował syna jego siostry. Lecz jego oczy błagały: „Nie krzywdź go. To moja krew”.

Gówniarz przyglądał się Gregowi z pogardą.

- Rozumiesz - powiedział. - Wasz wsiowy szeryf zabrał mi koszulkę, a ja chcę ją odzyskać. A ty zrozum wreszcie, że jeśli jej nie dostanę, ściągnę ci na ten pusty łeb Amerykański Związek Praw Obywatelskich.

Greg wstał, podszedł do stalowoszarej szafki na akta, stojącej w kącie naprzeciwko automatu z napojami, wyjął z kieszeni klucze, wybrał właściwy i otworzył szafkę. Na kupce formularzy mandatowych i formularzy ewidencji wypadków drogowych leżała czerwona podkoszulka. Rozłożył ją tak, by wyraźnie można było przeczytać napis: CHODŹMY SIĘ PIEPRZYĆ, MAŁA!

- Miałaś to na sobie. Na ulicy. - Głos Grega nadal był łagodny.

Gówniarz zakolysał się w fotelu i wypił jeszcze trochę pepsa. Lekceważący uśmiech - niemal pogardliwe skrzywienie warg - widoczny na jego ustach nie zmienił się.

- Tak. I chce ją z powrotem. To moja własność.

Greg poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Ten cwaniaczek nawet nie zdawał sobie sprawy, jakie to będzie łatwe. Pokój był dźwiękoszczelny i czasami dźwiękoszczelna izolacja tłumiła krzyki. Nie, nie zdawał sobie sprawy. On nie r o z u m i a ł.

Tylko trzymaj się w garści. Nie popuszczaj sobie. Nie huśtaj łodzią.

Łatwo pomyśleć. Na ogół łatwo zrobić. Ale czasami... czasami po prostu nie umiał się opanować.

Sięgnął do kieszeni i wyjął jednorazową zapalniczkę.

- Więc powiedz swojemu szeryfowi z gestapo i mojemu wujowi faszyście, że Pierwsza Poprawka... - chłopak przerwał i oczy lekko mu się rozszerzyły. - Co ty...? Hej! HEJ!

Nie zwracając na niego uwagi i przynajmniej na pozór spokojny, Greg zapalił zapalniczkę. Gazowy płomień pomknął w górę, obejmując szybko całą podkoszulkę. Doprawdy, paliła się całkiem nieźle.

Przednie nóżki fotela, na którym huśtał się gówniarz, opadły z hukiem na podłogę i chłopak skoczył na Grega, ciągle trzymając w ręku butelkę pepsa. Pewny siebie uśmiech znikł mu z ust, zastąpiony wyrazem paraliżującego szoku i zdumienia - i gniewem rozpuszczonego szczyla, który za długo robił, co mu się żywnie podobało.

Nikt nigdy nie nazwał go kurduplem, pomyślał Greg. Ból głowy nasilił się. Och, musi być naprawdę bardzo ostrożny.

- Daj rai to! - krzyknął gówniarz. Greg trzymał podkoszulkę w wyciągniętej ręce, dwoma palcami, za wycięcie pod szyją, gotów puścić ją natychmiast, gdy płomień podejdzie w górę. -Daj mi to, ty dupku! To moje! To...

Greg położył dłoń na nagiej piersi gówniarza i mocno go popchnął. Chłopak przeleciał przez

pokój, gniew na jego twarzy zmienił się w całkowite zaskoczenie i - wreszcie - w coś, co Greg chciał zobaczyć: strach.

Upuścił podkoszulkę na kafelki podłogi, podniósł butelkę pepsi i wylał jej zawartość na tłące się resztki.

Gówniarz podnosił się wolno z podłogi, plecy miał przyciśnięte do ściany. Greg spojrział mu wprost w oczy. Były piwne i bardzo, bardzo duże.

- Zaraz sobie tu pogadamy - powiedział. Jego własny głos docierał do niego z bardzo, bardzo daleka, stłumiony silnym dudnieniem w głowie. - Tu, w tym pokoju, odbędziemy seminarium na temat, kto jest dupkiem. Chwytasz? Dojdziemy do pewnych wniosków. Czy nie to lubicie wy, studenci? Dochodzić do wniosków?

Gówniarz konwulsyjnie wciągał powietrze. Obliznął wargi, wydawało się, że chce coś powiedzieć, lecz w końcu krzyknął: „Pomocy!”

- Tak, potrzebujesz pomocy. I mam zamiar ci pomóc.

- Oszalałeś - powiedział siostrzeniec George'a Harveya i krzyknął znów, głośniej: „POMOCY!”

- Być może - powiedział Greg. - Ale na razie dojdziemy do tego, kto tu jest żalonym dupkiem. Rozumiesz, co mówię?

Spojrzął na butelkę pepsi, którą trzymał w dłoni, i nagle uderzył nią gwałtownie w kant stalowej szafki na akta. Butelka rozprysła się. Kiedy gówniarz zobaczył okruchy szkła na podłodze i obtłuczoną szyjkę w ręku mężczyzny, zaczął wrzeszczeć. W kroczu spranych niemal do białości dżinsów pojawiła się ciemna plama. A Greg ruszył w jego kierunku, gniotąc szkło pod podeszwami ciężkich butów, które nosił latem i zimą.

- Kiedy wychodzę na ulicę, noszę białą koszulę. - Uśmiechał się, pokazując białe zęby. - I czasami krawat. Kiedy ty wychodzisz na ulicę, masz na sobie szmatę z wypisanymi na niej świństwami. Więc kto tu jest dupkiem, mały?

Siostrzeniec George'a Harveya wyjąkał coś. Nie spuszczał wybałuszonych oczu z odłamków szkła sterczących z szyjki butelki, którą ścisnął mężczyzna.

- Stoję oto czysty i suchy - mówił Greg, zbliżając się trochę - a tobie siki ściekają z obu nóg do butów. Więc kto tu jest dupkiem?

Udał, że dźga naga pierś gówniarza, który zaczął przeraźliwie krzyczeć. Tacy gówniarze jak on rujną ten kraj, pomyślał Greg. W głowie jak wino szumiała mu furia. Śmierdzące, obsikane dupki jak on.

Tylko nie skrzywdź go - nie wywróc wózka, na którym jedziesz.

- Ja mówię jak człowiek, a ty kwiczysz jak zarzynana świnia. Więc kto tu jest dupkiem?

Znów dźgnął butelką; ostry odłamek szkła rozciął gówniarzowi skórę tuż pod prawym sutkiem. Pojawiła się kropelka krwi. Gówniarz zawył.

- Mówię do ciebie. Lepiej mi odpowiedz, jak odpowiedziałbyś każdemu ze swych profesorów. Kto tu jest dupkiem? Gówniarz bełkotał. Nie sposób go było zrozumieć.

- Musisz odpowiedzieć, jeśli chcesz zdać egzamin - stwierdził Greg. - Wypruję ci flaki, aż wyleją się na podłogę, mały. - I w tej chwili mówił całkiem szczerze. Nie pozwolił sobie nawet spojrzeć na kropkę krwi; gdyby to zrobił, oszalałby niezależnie od tego, czyim siostrzeńcem był ten szczył.

- Kto tu jest dupkiem?

- Ja - wyszeptał gówniarz i zaczął szlochać jak mały dzieciak bojący się ducha, potwora czającego się w szafie w ciemnościach nocy.

Greg uśmiechnął się. W głowie czuł łomot. I płomień.

- Wiesz, całkiem dobrze ci poszło. Ale to dopiero początek. To jeszcze nie wszystko. Chcę, żebyś powiedział: „Ja jestem dupkiem”.

- Ja jestem dupkiem - powtórzył gówniarz, nadal szlochając. Z nosa wypłynął mu długi smark i zawisł na końcu nozdrza. Wylał go grzbietem dłoni.

- A teraz masz powiedzieć „Jestem żalonym dupkiem”.

- Jestem... jestem żalonym dupkiem.

- Pozostała ci jeszcze jedna rzecz i na tym, być może, skończymy. Powiesz: „Dziękuję za spalenie tej obrzydliwej koszulki, burmistrz Stillson”.

Gówniarz był cały chętny. Gówniarz dostrzegł, jak może się stąd wydostać.

- Dziękuję za spalenie tej obrzydliwej koszulki.

Szybki jak błyskawica Greg przejechał ostrym odłamkiem szkła butelki po jego miękkim

brzuchu, z lewa na prawo. Pojawiła się nitka krwi. Chociaż zaledwie przeciął mu skórę, gówniarz zawył, jakby ścięły go wszystkie demony piekła.

- Zapomniałeś o: „burmistrzu Stillson” - upomniał go Greg i nagle wszystko się skończyło. Ból głowy uderzył go jeszcze gdzieś za prawym uchem i znikł. Spojrzał bezmyślnie na ściskaną w dłoni szyjkę butelki i z trudem przypomniał sobie, skąd się wzięła. Takie kretyńskie coś. Niemal zmarnował wszystko przez jednego durnego gówniarza.

- Burmistrzu Stillson! - krzyczał gówniarz. Był całkowicie, bez reszty przerażony. - Burmistrzu Stillson! Burmistrzu Stillson! Burmistrzu Still...

- Doskonale - powiedział Greg.

- ..son! Burmistrzu Stillson! Burmistrzu Stillson! Bur...

Mocno uderzył go w twarz i chłopak walnął głową w ścianę. Ucichł natychmiast, oczy miał szeroko otwarte i puste.

Greg podszedł tuż do niego. Wyciągnął ręce. Złapał dłońmi za jego uszy. Przyciągnął do siebie jego twarz, aż niemal zetknęli się nosami. Ich oczy dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

- Słuchaj, twój wuj jest potęgą w tym mieście - powiedział cicho, trzymając w dłoniach uszy gówniarza jak świece. Oczy gówniarza były wielkie, brązowe, wzrok miał nieskoordynowany. - Ja też jestem potęgą... będę potęgą... ale nie jestem George'em Harveyem. On tu się urodził, tu dorastał, wszystko. I gdybyś mu powiedział, co tu zaszło, twój wuj mógłby nabrać ochoty na wysiudanie mnie z Ridgeway.

Usta gówniarza drżały w niemal niesłyszalnym bełkocie. Greg potrząsał powoli jego głową, aż zderzyli się nosami.

- Może i nie... był cholernie wściekły o tę koszulkę. A może tak. Krew nie woda. Więc przemyśl sobie to, synku. Gdybyś powiedział wujowi, co tutaj zaszło, i gdyby wuj by mnie pogonił, to musiałbym wrócić i zabić cię. Wierzysz mi?

- Tak - szepnął gówniarz. Policzki miał mokre, błyszczące.

- Tak, panie burmistrzu Stillson.

- Tak, panie burmistrzu Stillson.

- Tak - stwierdził. - Musiałbym cię zabić, ale przedtem opowiedziałbym wszystkim, którzy chcieliby słuchać, jak się zlałeś i stałeś tu zapłakany, a z nosa wisiał ci smark.

Odwrócił się i odszedł szybko, jakby gówniarz mu śmierdział. Podszedł do szafki. Z jednej z półek wyjął rolkę bandaży i rzucił go gówniarzowi, który uchylił się, upuścił ją na podłogę i podniósł pośpiesznie, jakby Stillson miał znów zaatakować go za niezdarność.

Greg pokazał mu palcem:

- Łazienka jest tam. Umyj się. Zostawię ci bluzę z napisem „PRZYJACIEL Ridgeway”. Masz mi ją odesłać, czystą, żadnych śladów krwi. Rozumiesz?

- Tak.

- PROSZĘ PANA! - ryknął Stillson. - PROSZĘ PANA! PROSZĘ PANA! PROSZĘ PANA! Nie potrafisz tego pojąć!

- Proszę pana - jęknął gówniarz. - Tak, proszę pana, proszę pana...

- Uczą was nie szanować niczego - powiedział Greg. - Absolutnie niczego.

Ból głowy próbował powrócić, więc Greg westchnął głęboko parę razy i pokonał go, ale za to odezwał się żołądek.

- W porządku, to wszystko. Udzielę ci tylko jeszcze jednej dobrej rady. Nie popełnij błędu, kiedy na jesieni albo kiedykolwiek wrócisz na tę swoją uczelnię i zaczniesz myśleć, że to wszystko odbyło się inaczej, niż się odbyło. Nie próbuj oszukać samego siebie na temat Grega Stillsona. Lepiej zapomnieć, mały. Lepiej, żebyś zapomniał; ty, ja i George. Wymyśl, że mógłbyś powrócić do sprawy, byłby twoim najgorszym błędem. I być może ostatnim.

Po tych słowach wyszedł, rzucając ostatnie, pogardliwe spojrzenie na gówniarza, który stał tak, z pierśią i brzuchem w małych plamkach zaschniętej krwi, z szeroko rozwartymi oczami i trzęsącymi się ustami. Wyglądał jak przerośnięty dziesięciolatek, który właśnie skompromitował się w finałowym meczu Małej Ligi.

Greg po cichu założył się sam ze sobą, że już nigdy więcej nie zobaczy i nie usłyszy o tym szczególnym gówniarzu, i ten zakład wygrał. Pod koniec tygodnia George Harvey zatrzymał się przed zakładem fryzjerskim, w którym Greg właśnie się golił, i podziękował mu za „wbicie siostrzeńcowi do łba” odrobiny rozsądku.

- Dobrze radzisz sobie z takimi gówniarzami - powiedział. - Nie wiem... ale oni jakby cię szanują. Greg stwierdził, że nie ma o czym mówić.

2

Podczas gdy w New Hampshire Greg Stillson palił koszulkę z nieprzyzwoitym napisem, w Bagnor, stan Maine, Walt i Sara Hazlett jedli późne śniadanie. Walt czytał gazetę.

Nagle odstawił filiżankę, aż stuknęła, i powiedział:

- Saro, twój dawny chłopak trafił do gazet.

Sara karmiła Denny'ego. Siedziała w szlafroku, fryzurę miała raczej niedbałą, a oczy otwarte w jakiejś jednej czwartej. Osiemdziesiąt procent jej mózgu spało nadal. Noc spędzili na przyjęciu, którego gościem honorowym był Harrison Fisher, poseł z trzeciego dystryktu stanu Maine od czasu, gdy ziemią rządziły dinozaury, pewny kandydat do zwycięstwa w przyszłorocznych wyborach. Musieli pójść na przyjęcie z powodów politycznych. P o l i t y k a. Walt ostatnio coraz częściej używał tego słowa. Wypił o wiele więcej od niej, a teraz siedział już w garniturze, całkiem rześki, kiedy ona czuła się jak pogrzebana w kupie gówna. To niesprawiedliwe.

- Blub - stwierdził Denny i wypluł z buzi truskawkę.

- To nieładnie, kochanie - powiedziała Sara i zapytała: - Mówisz o Johnnym Smisie?

- Właśnie o nim.

Wstała, obeszła stół i podeszła do męża.

- Wszystko z nim w porządku?

- Sądząc po tym, czuje się aż za dobrze - stwierdził sucho Walt.

Początkowo myślała, że może to mieć coś wspólnego z jej wizytą, ale rozmiar tytułu nią wstrząsała: NA DRAMATYCZNEJ KONFERENCJI PRASOWEJ PACJENT PRZEBUDZONY ZE ŚPIĄCZKI ZDRADZA NIEZWYKŁE ZDOLNOŚCI PARAPSYCHOLOGICZNE. Pod tekstem podpisał się David Bright. Opublikowana obok fotografia pokazywała John-ny'ego, nadal żałośnie chudego i - w okrutnym świetle flesza -sprawiającego wrażenie rozpaczliwie zmieszanego, stojącego nad rozciągniętym na ziemi mężczyzną, opisanym jako Roger Dussault, dziennikarz z gazety z Lewinston. *Dziennikarz mdleje po Objawieniu* - głosił podpis.

Sara opadła na krzesło obok Walta i zaczęła czytać artykuł. Nie spodobało się to Denny'emu, oczekującemu na poranne jajko, więc zaczął walić w tacę na krzeselku.

- Ktoś cię chyba wzywa - powiedział Walt.

- Nie nakarmiłbyś go, skarbie? Tobie wychodzi to znacznie lepiej.

Ciąg dalszy na stronie 9, kolumna 3. Otworzyła gazetę na stronie dziewiątej.

- Daleko zajedziesz na pochlebstwach. - Walt zdjął sportową marynarkę i założył jej fartuch. - No już, kolego - powiedział i zaczął karmić synka jajkiem.

Sara skończyła artykuł i zaczęła lekturę od początku. Raz po raz patrzyła na zdjęcie, na zmieszaną, przerażoną twarz John-ny'ego. Ludzie, zgromadzeni wokół leżącego na brzuchu Dussaulta, spoglądali na niego niemal ze strachem. Potrafiła ich zrozumieć. Pamiętała, jak pocałowała Johnny'ego, i pamiętała ten dziwny, nieprzytomny wyraz jego twarzy. A kiedy powiedział jej, gdzie znajdzie obrączkę, ona też się przestraszyła.

Och, Saro, ale przecież ty nie tego się przestraszyłaś, prawda ?

- Jeszcze trochę, kolego - dobiegł do niej głos Walta, odległy o tysiące kilometrów. Spojrzała na nich, siedzących razem w promieniu słońca, w którym tańczył kurz - między kolanami Walta wisiał jej fartuch - i nagle znów poczuła strach. Zobaczyła obrączkę kręcącą się i opadającą powoli na dno toalety. Usłyszała cichy brzęk, kiedy osiadała na porcelanowym dnie. Pomyślała o chłopaku mówiącym „chciałbym zobaczyć, jak ten gość obrywa w tyłek”. Pomyślała o nigdy nie dotrzymanyh obietnicach i skierowała wzrok na chudą twarz z gazetowej fotografii, patrzącą na nią ze straszonym, bolesnym zdumieniem.

- .. niezły trick - powiedział Walt, odwieszając jej fartuch. Zdołał wmusić w Denny'ego jajko do ostatniego kawałka i teraz ich syn radośnie ssał butelkę z sokiem.

- Co? - Sara spojrzała na podchodzącego do niej męża.

- Powiedziałem, że jak na człowieka, który ma do zapłacenia z pół miliona za leczenie, to całkiem niezły trick.

- O czym ty g a d a s z? Co masz na myśli, mówiąc trick?

- To jasne. - Walt najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo Sara się gniewa. - Na książce o wypadku i śpiączce mógłby zarobić jakieś siedem, góra dziesięć tysięcy. Ale jeśli obudził się z nadzwyczajnymi zdolnościami, to dostanie tyle, ile zażąda.

- To cholernie mocne oskarżenie. - Głos Sary ochrypl z wściekłości.

Walt obrócił się ku niej. Na jego twarzy widać było zaskoczenie, które zmieniło się w zrozumienie. To sprawiło, że wściekła się na niego jeszcze bardziej. Gdyby dostawała centa za każdy raz, kiedy Waltowi wydawało się, że ją rozumiał, na wakacje poleciałaby pierwszą klasą na Jamajkę.

- Słuchaj, przepraszam, że poruszyłem tę sprawę.

- Johnny skłamałby równie dobrze jak papież... jak papież. .. no, wiesz co...

Walt ryknął śmiechem i w tym momencie Sara omal nie cisnęła w niego swą filiżanką kawy. Zamiast rzucać, schowała ręce pod stół i ścisnęła je mocno. Denny zagruchał do ojca i również się roześmiał.

- Złotko, nie mam nic przeciwko niemu i nie mam nic przeciwko temu, co robi. Tak naprawdę, to szanuję go za to. Jeśli taki tłusty, stary, zaśnieździły konserwatysta jak Fisher w ciągu piętnastu lat w Izbie Reprezentantów ze zbankrutowanego adwokata zmienił się w milionera, to ten gość ma wszelkie prawo nachapać się, ile może, udając nawiedzzonego...

- Johnny nie kłamie. - Głos Sary pozbawiony był jakiegokolwiek wyrazu.

- To trick dla prostaczków, którzy czytają szmatławce tygodniki i należą do Uniwersyteckiego Klubu Książki - stwierdził pogodnie Walt. - Chociaż muszę przyznać, że odrobina jego zdolności cholernie by mi się przydała przy wyborze sędziów przysięgłych w tym upiornym procesie Timmonsa.

- Johnny Smith nie kłamie - powtórzyła Sara i usłyszała jego słowa: „ześlizgnęła ci się z palca. Pakowałeś jego maszynkę do golenia do jednej z tych małych kieszonek i po prostu się ześlizgnęła. .. idź na strych i sprawdź”. Ale nie powiedziała tego Waltowi. Nie wiedział, że odwiedziła Johnny'ego.

Nie ma nic złego w odwiedzinach, stwierdził niepewnie jakiś głos w jej głowie.

Nie, ale jak zareagowałby Walt, gdyby się dowiedział, że wyrzuciła ślubną obrączkę do toalety. Mógłby nie zrozumieć tego nagłego przyływu strachu, który ją ogarnął i skłonił do takiego zachowania - strachu, który zauważyła w twarzach w gazecie i - do pewnego stopnia - w twarzy samego Johnny'ego. Nie, Walt mógł tego wcale nie zrozumieć. W końcu wyrzucenie obrączki do toalety pełne jest jakiegoś wulgarnego symbolizmu.

- W porządku. Nie kłamie. Ale ja w dalszym ciągu nie wierzę...

Sara przerwała mu:

- Popatrz na tych ludzi stojących za nim, Walt. Spójrz na ich twarze. O n i wierzą.

Walt przyjrzał się im niedbale.

- Jasne. Tak samo dzieciak wierzy magikowi - jak długo trwa sztuczka.

- Myślisz, że ten gość, ten Dussault, był -jak to się mówi -podstawiony? Piszą tu przecież, że on i Johnny nigdy się nie spotkali.

- Tylko w ten sposób sztuczka mogła się udać, Sara - tłumaczył jej cierpliwie. - Iluzjonista nic nie zyska, jeśli wyciągnie królika z klatki z królikami. Musi go wyciągnąć z kapelusza. Albo Johnny Smith coś wiedział, albo wyciągnął cholernie trafne wnioski z tego, jak ten Dussault zachowywał się na sali. Ale powtarzam, szanuję go za to. Ma przed sobą długą drogę. Jeśli zarobi na tym dolca, to chwala mu.

W tej chwili Sara nienawidziła go i pogardzała nim; pogardzała tym dobrym człowiekiem, za którego wyszła za męża. Pod pokrywką jego dobroci, stałości, łagodnego humoru, czaiło się płynące wyraźnie z samej głębi duszy przekonanie, że każdy człowiek marzy o wielkim numerze i chowa w zanadru jakąś niespodziankę. Tego ranka mógł nazwać Harrisona Fishera „zaśnieździłym konserwatystą”, zaś wczoraj wieczorem śmiał się do łez z jego dowcipów o Gregu Stillsonie, zabawnym burmistrzu jakiejś Pipidówki, najwyraźniej na tyle szalonym, by kandydować jako niezależny w przyszlórocznych wyborach.

Nie, w świecie Waltera Hazletta nikt nie miał parapsycho-logicznych zdolności, nie było w nim bohaterów, panowała miłościwie doktryna - „należy zmieniać system od wewnątrz”. Walt był dobrym człowiekiem, był stały, kochał ją i dziecko, lecz nagle dusza Sary krzyknęła o Johnny'ego i te pięć wspólnych lat, z których ich okradziono. O całe wspólne życie. O dziecko z nieco ciemniejszymi włosami.

- Lepiej ruszaj w drogę, kochany - powiedziała spokojnie. - Zwiążą ci tego twojego Timmonsa i będzie ci łyso.

- Jasne. - Walter uśmiechnął się. Mowa skończona, rozprawa odroczone. - Nie gniewasz się?
- Nie.

Przecież wiedział, gdzie jest obrączka. Wiedział.

Walt pocałował ją, prawą ręką obejmując lekko jej szyję. Na śniadanie jadł zawsze to samo, całował ją zawsze w ten sam sposób, a pewnego dnia pojedą do Waszyngtonu i na świecie nie ma ludzi ze zdolnościami parapsychicznymi.

W pięć minut później już go nie było. Wyjechał ich małym czerwonym pinto z Pond Street, jak zwykle przed odjazdem naciskając krótko klakson. Została sama z Denny, który właśnie robił wszystko, by się udusić podczas próby zejścia z krzeselka.

- Złe to sobie wykombinowałeś, bracie. - Sara wyjęła tacę, zabezpieczającą krzeselko.

- Blub! - Denny'emu to wszystko najwyraźniej się nie spodobało.

Speedy Tomato, ich kot, wszedł do kuchni, poruszając się wdzięcznym krokiem młodego łobuziaka. Denny złapał go, wydając ciche cmoknięcia. Speedy położył uszy po sobie, sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

Sara uśmiechnęła się pod nosem i zaczęła sprzątać ze stołu. Inercja. Ciało w stanie spoczynku pozostaje w stanie spoczynku. Co tu mówić o tajemnicach Walta - ona też niejedno ukrywała. Nie miała zamiaru zrobić nic więcej, oprócz posłania Johnny'emu kartki na Boże Narodzenie. To najlepsze, najbezpieczniejsze rozwiązanie, ponieważ ciało wprawione w ruch będzie się poruszać. Tutaj żyje się jej nieźle. Przetrwiała Dana, przetrwała Johnny'ego (odebrano go jej tak niesprawiedliwie, lecz tyle rzeczy na tym świecie jest niesprawiedliwych), przepłynęła przez własne, osobiste odmęty na spokojną wodę i na niej pozostanie. Ta słoneczna kuchnia wcale nie jest taka zła. Lepiej zapomnieć o jarmarkach, kołach fortuny i o twarzy Johnny'ego Smitha.

Napełniając zlew wodą, włączyła radio. Właśnie zaczął się dziennik i pierwsza usłyszana wiadomość sprawiła, że zamarła ze świeżo zmytym talerzem w ręku i nieruchomymi, zaskoczonymi oczami wbitymi w podwóreczko za domem. Matka John-ny'ego dostała wylewu, kiedy oglądała w telewizji konferencję prasową syna. Zmarła rano, niespełna godzinę temu.

Sara wytarła ręce, wyłączyła radio, wyrwała kota z objęć Denny'ego. Zaniosiła syna do dużego pokoju i wsadziła go do kojca. Denny zaprotestował przeraźliwie głośnym krzykiem przeciw temu upokorzeniu, na co nie zwróciła najmniejszej uwagi. Podeszła do telefonu i zadzwoniła do szpitala. Obsługujący centralę mężczyzna powiedział jej, najwyraźniej znudzony powtarzaniem w kółko tej samej informacji, że John Smith opuścił szpital wczoraj, krótko przed północą.

Sara odwiesiła słuchawkę. Usiadła. Zamknięty w kojcu Denny wciąż krzyczał. Do kuchennego zlewu lała się woda. Po dłuższej chwili wstała, poszła do kuchni i zakręciła kran.

Rozdział 14

I

Facet z *Inside View* zjawił się 16 października niedługo po tym, jak Johnny wrócił z pocztą.

Dom jego ojca stał dość daleko od drogi - zwirowy podjazd miał prawie pół kilometra i ciągnął się wśród dziko rosnących na porębie młodych świerków i sosen. Johnny codziennie przemierzał go tam i z powrotem. Na początku wchodził na ganek, drżąc ze zmęczenia, mięśnie nóg płonęły mu żywym ogniem i kulał tak mocno, że z ledwością docierał do drzwi. Lecz teraz, w sześć tygodni po tym, gdy przejście kilometra zajmowało mu godzinę, przechadzka stała się największą przyjemnością dnia, czymś, na co czekał już od rana. Nie listy - spacer.

Zaczął też rąbać drzewo na zimę. Herb chciał nająć kogoś do tej roboty, bo sam miał umowę na wykańczanie wnętrza w nowym osiedlu w Libertyville.

- Wiesz, kiedy starość zaczyna ci zaglądać przez ramię -uświadamiał Johnny'emu z uśmiechem - gdy na jesieni rozglądasz się za pracą pod dachem.

Johnny wspiął się na ganek i usiadł w wyplatany fotelu koło bujanej ławeczki, wzdychając cicho z zadowolenia. Oparł prawą stopę na poręcz i z grymasem bólu, pomagając sobie rękami, podniósł lewą nogę, by dołączyła do prawej, a potem zaczął otwierać listy.

Listów było ostatnio coraz mniej. Przez pierwszy tydzień po powrocie do Pownal odbierał ich

czasami kilkanaście wraz z dziewięcioma, dziesięcioma paczuszkami; większość z nich przysyłało mu ze szpitala, a niektóre poczta w Pownal, na którą je adresowano, bardzo różnie wypisując nazwę miasteczka: Po-wnell, Poenul i - przy jednej pamiętej okazji - Poonuts.

Większość przesyłek pochodziła od ludzi nie rozumiejących rzeczywistości, ludzi dryfujących przez życie w poszukiwaniu jakiegokolwiek steru. Pisały dzieci proszące o autograf, kobiety chcące się z nim przespać, kobiety i mężczyźni błagający o pomoc, bo ich ukochany lub ukochana znikli, by więcej nie powrócić. Niektórzy przysyłali mu maskotki, inni horoskopy. Wiele listów dotyczyło religii, i w tych pełnych błędów ortograficznych rozprawkach, pisanych zazwyczaj wielkimi, ostrożnie kreślonymi literami, które tylko krok dzielił od owoców wysiłku bystrego pierwszoklasisty, Johnny widział czasami ducha matki.

Listy te zapewniały go, że jest prorokiem zesłanym, by powieść na pustynię zmęczonych, rozczarowanych Amerykanów. Jest żywym znakiem, że zbliża się dzień sądu. Do dnia dzisiejszego, do 16 października, otrzymał osiem egzemplarzy broszury Hala Lindseya „Nasza nieodżałowana wspaniała Ziemia” - dzieło to z pewnością spodobałoby się jego matce. Nakłaniano go, by ogłosił boskość Chrystusa i położył kres niemoralnemu prowadzeniu się młodzieży.

Drugi, negatywny typ listów, jednakowo wymownych, choć pojawiających się w mniejszych ilościach i na ogół bez podpisu, był przeciwwagą dla tamtych. Jeden z autorów, piszący miękkim ołówkiem na żółtej kartce z bloku, ogłosił go Antychrystem i nakłaniał do samobójstwa. Paru innych próbowało zasięgnąć informacji, jak to jest, kiedy zamorduje się własną matkę. Wielu oskarżało Johnny'ego o oszustwo. Jakiś dowcipniś napisał: „JASNOWIDZENIE, TELEPATIA, GÓWNO! ZJEDZ ME GÓWNO, TY PONADZMYSŁOWY GÓWNIARZU!”

I przysyłali mu r z e c z y. To było najgorsze.

Każdego dnia, wracając z pracy do domu, Herb zatrzymywał się koło poczty w Pownal i odbierał paczki nie mieszczące się w skrzynce pocztowej. Przysyłane z paczkami prośby dawały się w zasadzie sprowadzić do jednego: „powiedz, powiedz, powiedz!”

Ten szalik należał do mego brata, który zaginął podczas wy-

prawy na ryby w Allagash, w 1969 roku. Jestem pewna, że on ciągle żyje. Powiedz mi, gdzie jest.

Ta szminka pochodzi z toaletki mojej żony. Myślę, że ma kochanka, ale nie jestem pewiem. Powiedz mi, czy żona mnie zdradza.

To bransoletka mojego syna. Nie chce wracać ze szkoły do domu, zjawia się dopiero późną nocą, strasznie się o niego boję. Powiedz mi, co robi.

Kobieta z Północnej Karoliny - Bóg jeden wie, skąd się o nim dowiedziała, przecież konferencja prasowa pokazywana była tylko w programie lokalnym - przysłała mu nadpalony kawałek drewna. W liście wyjaśniła, że jej dom spłonął, a mąż i dwójka z pięciorga dzieci znaleźli śmierć w płomieniach. Straż Pożarna z Charlotte stwierdziła, że pożar spowodowała wadliwa instalacja elektryczna, ale ona po prostu nie może w to uwierzyć. Ktoś musiał podpalić jej dom. Chciała, żeby Johnny dotknął zwęglonego reliktu ściany i powiedział jej, kto dokonał podpalenia, żeby ten potwór przez resztę życia gnął w więzieniu.

Johnny nie opowiadał na listy i odsyłał przedmioty (łącznie ze zwęglonym drewniankiem) na własny koszt, bez słowa komentarza. Kilku z nich jednak d o t k n ą ł. Większość, jak ten kawałek drewna, nie powiedziała mu kompletnie nic. Lecz kiedy dotykał niektórych, pojawiały się niepokojące obrazy, jak sny, kiedy człowiek już prawie się obudził. W większości przypadków ukazały mu się zaledwie cienie, obraz formował się i po sekundzie ginął, nie zostawiając żadnych konkretów, ledwie wspomnienie. Ale jeden z nich...

Zdarzyło się to z szalikiem przysłanym mu przez kobietę w nadziei, że dowie się, co przytrafiło się jej bratu. Szalik był biały, robiony na drutach; nie różnił się od miliona innych. Lecz kiedy Johnny wziął go w ręce, dom jego ojca nagle znikł, a dźwięk dobiegający z telewizora w sąsiednim budynku wznosił się i opadał, wznosił się i opadał, aż stał się szumem latających latem owadów i odległym bulgotem wody.

Zapachniało lasem. Promienie słońca padały na ziemię, przesiane przez gałęzie wielkich, starych drzew. Przez ostatnie trzy godziny szedł przez podmokły teren, niemal bagno. Był przestraszony, mocno przestraszony, ale nie tracił głowy. Jeśli zgubisz się w lesie na północy i spanikujesz, równie dobrze mogą ci stawiać nagrobek. Szedł na południe. Dwa dni temu rozdzielił się ze Stive'em, Rockym i Loganem. Biwakowali niedaleko (nie pojawi się, jest w martwej strefie) nad jakimś strumieniem, łowili pstrągi i to jego pieprzony błąd, był cholernie pijany.

Ciągle widzi plecak oparty o stare, porośnięte mchem, zwalone drzewo; białe drzewo porasta gdzieniegdzie mech zielony jak kości, ciągle widzi plecak, ale nie potrafi go dosięgnąć, bo odszedł kilka metrów na bok, chciał się odlać i wszedł w coś miękkiego, w błoto, które sięgało mu prawie do cholew wysokich butów, próbował się cofnąć, znaleźć suchsze miejsce na sikanie, ale nie mógł. Nie mógł się wydostać, bo to wcale nie było błoto. To było... coś innego.

Stał, rozglądając się i nie znajdując niczego, czego mógłby się przytrzymać. Śmiał się z własnej głupoty - wlaż w lotne piaski, szukając miejsca, żeby zrobić siusiu.

Stał i najpierw był przekonany, że to musi być płytkie pasmo lotnych piasków, w najgorszym razie nasypie mu się do butów, jeszcze jedna rzecz do opowiedzenia, kiedy go już znajdą.

Stał i wcale się nie bał, aż piasek sięgnął mu nad kolana. Wtedy zaczął walczyć, zapominając, że jeśli jesteś już wystarczająco głupi, by wleźć w lotne piaski, masz pozostać nieruchomo. Nim się zorientował, piasek sięgał mu już do pasa, a teraz dochodził do piersi i wciągał go niby wielkie żółte usta, utrudniał oddychanie; zaczął krzyczeć, ale nikt się nie pojawił, nie pojawił się nikt oprócz tłustej, rudej wiewiórki przy przewróconym drzewie; stanęła słupka na jego plecaku i przyglądała mu się błyszczącymi, czarnymi oczkami.

Piach sięgał już do szyi; czuł w nozdrzach jego ciężki zapach, krzyczał coraz cieniej i dyszał, bo piasek przygniatał mu pierś. Nad jego głową latały ptaki przekomarzając się, kłócąc i kpiąc, poprzez drzewa promienie słońca oświetlały ziemię jak włócznie błyszczącej miedzi, a piach dochodził już prawie do ust. Samotny, umrze samotny. Otworzył usta, by krzyknąć po raz ostatni, i nie mógł krzyknąć, bo piach wsypał mu się do gardła, czuł go na języku, przelatywał cienkimi strumyczkami pomiędzy zębami, ł y k a ł piach i nigdy nie wydał z siebie ostatniego krzyku...

Johnny wyszedł z transu obłany zimnym potem, pokryty gęsią skórką; w dłoniach mocno ścisnął szalik, oddychał szybko, urywanie. Rzucił go na podłogę - szalik leżał tam jak skręcony, martwy wąż. Nigdy już go nie dotknie. Ojciec wsadzi go do koperty i odeśle nadawcy.

Lecz teraz, dzięki Bogu, listy przychodziły coraz rzadziej. Szaleńcy znaleźli nowe obiekty, na których mogli skupić swe prywatne i publiczne obsesje. Dziennikarze zaniechali telefonów z prośbą o wywiady, częściowo dlatego, że zmienili i zastrzegli numer telefonu, a częściowo dlatego, że przestał już być atrakcją.

Roger Dussault napisał długi, gniewny artykuł do swej gazety, której był gwiazdą. Całą sprawę nazwał okrutnym, niesmacznym oszustwem. Według niego Johnny z pewnością zbadał przeszłość większości dziennikarzy, którzy pojawili się na konferencji prasowej, tak na wszelki wypadek. Przyznał, że rzeczywiście jego siostra, Ann, miała przydomek Terry. Umarła młodo i amfetamina mogła mieć z tym coś wspólnego. Ale o tym mógł dowiedzieć się każdy, jeśli tylko chciał. W jego artykule wszystko układało się w logiczną całość. Dussault nie wyjaśniał, jak Johnny, który przecież nie wychodził ze szpitala, zdobył te „dostępne” informacje, ale ten fakt większość czytelników mogła spokojnie przeoczyć. Samego Johnny'ego nie obeszło to w najmniejszym stopniu. Sprawa została zamknięta, a nie miał zamiaru zaczynać nowych. Co dobrego wynikłoby, gdyby napisał do kobiety, która wysłała mu szalik, że jej brat utonął, krzycząc w lotnych piaskach, bo poszedł w niewłaściwą stronę, żeby się wysiusiać? Czy to by ją uspokoiło? Czy lepiej by się jej po tym żyło?

Dzisiejsza poczta składała się zaledwie z sześciu listów. Rachunek za elektryczność. Kartka od kuzyna Herba z Oklahomy. Jakaś kobieta przesłała mu krucyfiks ze złotym podpisem na nogach Chrystusa: „Made in Taiwan”. Krótki liścik od Sama Weizaka. I mała koperta z adresem zwrotnym, na widok którego mrugnął ze zdumienia i usiadł prosto: S. Hazlett, 12 Pond Street, Bagnor.

Sara. Johnny rozdarł kopertę.

Dostał od niej kartkę z wyrazami współczucia w dwa dni po pogrzebie matki. Na kartce, zdecydowanym, pochyłym pismem widniały słowa: *Johnny - bardzo mi przykro z powodu tego, co się zdarzyło. Słyszałam w radiu, że Twoja matka odeszła... Z pewnych powodów wydaje mi się nie w porządku, że Twoje prywatne nieszczęście stało się własnością publiczną. Może nie pamiętasz, ale rozmawialiśmy trochę o Twojej mamie w noc przed wypadkiem. Zapytałam Cię, co by zrobiła, gdybyś przyprowadził do domu upadłą katoliczkę, a Ty powiedziałeś, że uśmiechnęłaby się, przywitała mnie i wsunęła mi w rękę traktaty. Po Twym uśmiechu poznałam, jak Ją kochasz. Od Twojego ojca wiem, jak się zmieniła, ale zmiany te spowodowała przede wszystkim Jej miłość do Ciebie; po prostu nie mogła zaakceptować tego, co się stało. I w końcu, jak przypuszczam, Jej wiara została nagrodzona. Proszę, przyjmij wyrazy najszczerzego współczucia i jeśli jest coś, co mogę dla Ciebie zrobić, teraz lub w przyszłości, możesz liczyć na swą przyjaciółkę - Sarę.*

Odpowiedział tylko na ten list, dziękując jej zarówno za kartkę, jak i za pamięć. Uważnie dobierał słowa w obawie, że może się zdradzić i powiedzieć coś niestosownego. Sara była mężatką, tego nie mógł już zmienić. Ale pamiętał ich rozmowę o matce oraz bardzo wiele z tego, co zdarzyło się tamtej nocy. Jej kartka przywróciła do życia ten ich wieczór i odpowiedział jej gorzkosłodkimi słowami, w których więcej było jednak goryczy. Ciągłe kochał Sarę Bracknell i stale musiał przypominać sobie, że jego Sara Bracknell nie istnieje, zastąpiona przez kobietę o pięć lat starszą, matkę małego chłopca.

Wyjął z koperty pojedynczą kartkę papieru i przejrzał ją szybko. Sara z synkiem szykowali się do podróży do Kennenbunk, gdzie mieli spędzić tydzień u jej przyjaciółki, z którą dzieliła pokój w akademiku na drugim i trzecim roku studiów. Koleżanka nazywała się Stephanie Carsleight, a teraz była panią Stephanie Constantine. Sara pisała, że Johnny może ją sobie przypomina, ale on jej nie pamiętał. W każdym razie Walt wsiąkł na trzy tygodnie w Waszyngtonie, gdzie pojechał w interesach republikanów i swej firmy, i Sara myślała, że może uda się jej wygoszparować popołudnie i przyjechać do Pownal, żeby zobaczyć Johnny'ego i Herba.

Będę pod telefonem u Stephanie, 814-6219, pomiędzy siedemnastym a dwudziestym trzecim października. Oczywiście, jeśli z jakichkolwiek powodów moja wizyta miałaby sprawić Ci przykrość, zadzwoń do mnie albo tu, albo do Kennenbunk, i po prostu powiedz. Zrozumiem. Z wyrazami miłości dla Was obu - Sara.

Trzymając list w jednej ręce, Johnny spojrzął na rosnący za podwórkiem las, który najwyraźniej w ciągu ostatniego tygodnia zdążył już poczerwieniec i ozłocić się. Wkrótce liście zaczną opadać, a potem przyjdzie zima.

Z wyrazami miłości dla Was obu - Sara. Johnny z namysłem przesunął kciukiem po literach. Lepiej byłoby nie dzwonić, nie pisać, nie robić nic, pomyślał. Zrozumiałaby go. Jak z kobietą, która przysłała szalik - co dobrego mogło z tego wyniknąć? Po co budzić лихо? Może i Sara użyła tego zakończenia - *Z wyrazami miłości* - bezmyślnie, ale on by tego nie potrafił. Nie pogodził się z przeszłością. Jego czas został nagle zatrzymany, zamknięty i zniszczony. Według jego wewnętrznego zegara jeszcze pół roku temu Sara była jego dziewczyną. Intelktualnie pogodził się ze śpiączką i utratą lat, natomiast uczucia uparcie nie słuchały intelektu. Już odpowiedź na jej kartkę z kondolencjami sprawiła mu trudność, jednak z listem jest tak, że zawsze można go pognieść, wyrzucić i zacząć od nowa, jeśli zmierza w nie chcianym kierunku, jeśli przekracza granice przyjaźni -jedyne go związku, jaki wolno im było teraz utrzymywać. Jeśli ją zobaczy, może powiedzieć albo zrobić coś głupiego. Lepiej nie odpowiadać. Lepiej o wszystkim zapomnieć.

Ale odpowie, pomyślał. Odpowie i zaprosi ją do siebie.

Zakłopotany włożył kartkę do koperty.

Promień słońca odbił się od błyszczącego chromu, zagrał na nim i uderzył go w oczy. Podjazdem jechał osobowy ford. Johnny zmrużył oczy, próbując zobaczyć, czy to samochód jakiegoś znajomego. Rzadko miewał tu towarzystwo. Listów przychodziło wiele, ale ludzie pojawili się u niego tylko trzy czy cztery razy. Pownal było małe i z trudem znajdowało się je na mapie. Jeśli samochód należał do jakiegoś amatora wrażeń, Johnny miał zamiar odesłać go z powrotem, najuprzejmiej jak się da, lecz stanowczo. Taką radę dał mu na pożegnanie Weizak. I była to dobra rada, myślał.

„Nie daj się wrobić w rolę dyżurnego guru, John. Odmów z góry, to zapomną. Najpierw będzie ci się to wydawało okrutne - większość z nich to ludzie zagubieni, mający wiele problemów i najlepsze intencje - ale to sprawa twojego życia, ocalenia prywatności. Bądź stanowczy.” Więc Johnny był stanowczy.

Ford skręcił we wjazd między szopą a sagami narąbanego drzewa. Wówczas John zobaczył nalepkę Hertz w rogu przedniej szyby. Z samochodu wysiadł bardzo wysoki mężczyzna w nowych dżinsach i czerwonej, wzorzystej koszuli, która wyglądała, jakby kupił ją pięć minut temu, i rozejrzał się dookoła. Sprawiał wrażenie mieszczucha, który wie, że w Nowej Anglii nie ma już wilków i pum, ale mimo wszystko chce się upewnić. Facet z miasta. Spojrzął na ganek, zobaczył Johnny'ego i podniósł dłoń w powitalnym geście.

- Dobry wieczór - powiedział. Mówił także z płaskim akcentem z miasta. Brooklyn, pomyślał Johnny. Brzmiało to tak, jakby zasłaniał sobie usta papierowymi serwetkami.

- Cześć - powitał go. - Zgubił się pan?

- Rany, mam nadzieję, że nie. - Gość podszedł do prowadzących na ganek schodków. - Pan jest albo John Smith, albo jego brat bliźniak.

Johnny uśmiechnął się.

- Nie mam brata, więc chyba trafił pan pod właściwy adres. Czym mogę panu służyć?

- Być może moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. - Gość wszedł po schodkach i wyciągnął dłoń.

Johnny potrząsnął nią.

- Nazywam się Richard Dees. Magazyn *Inside View*.

Miał modną fryzurę; jego spadające na uszy włosy były białoszare. Rozbawiony Johnny dostrzegł, że ufarbował je na siwo. Co można powiedzieć o człowieku, który mówi tak, jakby trzymał przy ustach papierowe serwetki i farbuje sobie włosy na siwo?

- Widział pan kiedyś nasz magazyn?

- Owszem. Sprzedają go przy kasach w naszym sklepie. Nie udzielę panu wywiadu. Przykro mi, że jechał pan na darmo aż tutaj.

Inside View, oczywiście, sprzedawali w sklepie. Tytuły niemal wyskakiwały z tekstów drukowanych na tanim papierze i próbowały pobić czytelnika: ZROZPACZONA MATKA PŁACZE - DZIECKO ZABITE PRZEZ POTWORY Z KOSMOSU. JEDZENIE, KTÓRE TRUJE CI DZIECI. DWUNASTU JASNOWIDZÓW PRZEWIDUJE TRZĘSIENIE ZIEMI W KALIFORNII W 1978 ROKU.

- No, nie mieliśmy na myśli wywiadu - powiedział Dees. - Czy mogę usiąść?

- Doprawdy, ja...

- Panie Smith, przyleciałem do pana aż z Nowego Jorku, a z Bostonu leciałem maleńkim samolotem i przez całą drogę zastanawiałem się, co będzie z żoną, jeśli umrę, nie zostawiając testamentu.

- Linie Portland-Bagnor? - uśmiechnął się Johnny.

- Dokładnie.

- W porządku. Podziwiam pana odwagę i zaangażowanie w pracy. Wysłucham pana, ale daję panu kwadrans. Powiniennem sypiać po południu. - Było to małe kłamstwo w dobrej sprawie.

- Piętnaście minut powinno najzupełniej wystarczyć. - Dees pochylił się. - To tylko przypuszczenie, ale moim zdaniem pana długi wynoszą około dwustu tysięcy dolarów. Tyle może pan sobie co najwyżej wymarzyć, prawda?

Johnny przestał się uśmiechać.

- Moje długi, jeśli jakieś mam, są moją prywatną sprawą.

- Oczywiście, jasne, pewnie. Nie chciałem pana urazić, panie Smith. *Inside View* pragnie oferować panu pracę. Bardzo popłatną.

- Nie. W żadnym wypadku.

- Jeśli tylko pozwoli pan sobie wyjaśnić...

- Nie praktykuję jasnowidztwa - kategorycznie stwierdził Johnny. - Nie jestem ani Jeanne Dixon, ani Edgarem Cayce czy Alexem Tannousem. Skończyłem z tym definitywnie. I ostatnią rzeczą, której pragnę, to zacząć od początku.

- Czy poświęci mi pan krótką chwilę?

- Panie Dees, pan najwyraźniej nie rozumie, o co...

- Małą chwilkę. - Dees uśmiechnął się rozbrajająco.

- A w ogóle jak pan się dowiedział, gdzie jestem?

- Mamy swego człowieka w gazecie ze środkowego Maine, w *Journalu* z Kennebec. Poinformowano nas, że chociaż znikł pan z pola widzenia, najprawdopodobniej mieszka pan z ojcem.

- I pewnie powinienem im za to podziękować, co?

- Jasne - zgodził się natychmiast Dees. - Złożę się, że pan im podziękuję, kiedy pozna szczegóły. Czy można?

- W porządku, ale nie zamierzam zmieniać zdania tylko dlatego, że przyleciał pan tu Liniami Panika.

- Cóż, co tylko pan zechce. To wolny kraj, prawda? Jasne, że wolny. Jak pan przypuszczalnie wie, *Inside View* specjalizuje się w przedstawianiu faktów przez osoby obdarzone talentami parapsychologicznymi. Żeby nie skłamać, nasi czytelnicy mają na tym punkcie najprawdziwszego fioła. Nakład magazynu wynosi trzy miliony na tydzień. Trzy miliony czytelników w tygodniu, jak to się panu podoba? Jesteśmy na topie. A jak to zrobiliśmy? Nastawiamy się na wysokiej klasy duchowe...

- Bliźniaki pożarte przez niedźwiedzia ludojada - burknął Johnny.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

- No cóż, taki już jest ten świat, czyż nie? Trzeba informować ludzi również o tego rodzaju rzeczach. Mają prawo wiedzieć. Ale na każdą sensację przypadają trzy materiały o tym, jak bez cierpienia stracić na wadze, jak uczynić seks szczęśliwym dla obu stron, jak lepiej poznać Boga...

- Pan wierzy w Boga?

- Prawdę mówiąc, nie wierzę. - Dees znów uśmiechnął się swym zniewalającym uśmiechem. - Lecz przecież żyjemy w największym i najbardziej demokratycznym kraju na świecie, prawda? Każdy tu jest panem swej duszy. Nie, istotne jest to, że nasi czytelnicy wierzą w Boga. Wierzą w anioły i cuda...

- I w egzorcyzmy, i w diabły, i w Czarne Msze...

- Tak, tak, tak. Już pan chwytą. Są zorientowani na d u c h o w o ś ć. Wierzą w te parapsychologiczne brednie. Podpisaliśmy kontrakty z dziesięcioma jasnowidzami, w tym z Kathleen Nolan, najślynniejszą amerykańską prorokinią. Chcemy zaproponować panu podobną umowę, panie Smith.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Co to oznacza dla pana? Pana zdjęcie wraz z krótkim tekstem będzie się pojawiać mniej więcej dwanaście razy na rok, w naszych wydaniach dotyczących parapsychologii. Dziesięciu najślynniejszych jasnowidzów z *Inside View* przepowiada drugą kadencję Forda, tego rodzaju rzeczy. Przygotowujemy zawsze wydanie noworoczne, a na każdego Czwartego Lipca jest dodatkowe wydanie o Ameryce w następnym roku - zamieszczamy w nim mnóstwo istotnych informacji, krótkie dane o polityce zagranicznej, ekonomii, plus inne dodatkowe materiały.

- Nie sądzę, żeby mnie pan zrozumiał - powiedział Johnny. Mówił powoli, jakby tłumaczył coś dziecku. - Kilka razy zdarzyły mi się ataki z wizjami - sądzę, że pan użyłby słów „widziałem przyszłość” - ale nie mam nad tym żadnej kontroli. Równie dobrze mógłbym przewidzieć drugą kadencję Forda - jeśli w ogóle będzie coś takiego - co wydoić byka.

Dees sprawiał wrażenie rozbawionego.

- A kto mówi, że ma pan coś przewidywać? Nasi redaktorzy piszą wszystkie teksty.

- Nasi...? - Johnny gapił się na dziennikarza, zszokowany.

- Oczywiście - powiedział niecierpliwie Dees. - Proszę posłuchać, przez ostatnie kilka lat jednym z naszych najlepszych ludzi był Frank Ross, facet, który specjalizuje się w kłeskach żywiołowych. Strasznie fajny gość, ale - Jezu Chryste! - on rzucił szkołę w dziewiątej klasie! Przesłużył dwie rundy w armii i kiedy go znaleźliśmy, zamiatał przystanki autobusowe u Greyhounda i Dworzec Portowy w Nowym Jorku. Czy pan sądzi, że pozwolilibyśmy pisać mu własne teksty? Frank nie umie się podpisać bez błędu!

- Ale przepowiednie...

- Pełna dowolność, mają pełną dowolność. Zdziwiłby się pan, gdyby wiedział, jak często nasi chłopcy i dziewczęta nie potrafią wystrzelić i trafić w sedno.

- Sedno - powtórzył Johnny, zdumiony. Zdumiał się, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że czuje gniew. Matka kupowała *Inside View* jak daleko sięgała pamięcią, jeszcze w czasach, gdy publikowano tam zdjęcia wraków strzaskanych samochodów, poranionych w wypadkach ciał i przemycone fotografie z egzekucji. Gotowa była przysiąc, że każde słowo jest świętą prawdą, i być może równie mocno wierzyła w to większość z pozostałych 2.999.999 czytelników. A teraz siedział koło niego facet z ufarbowanymi na siwo włosami, w butach za czterdzieści dolarów i w koszuli, po której jeszcze można było poznać, jak ją złożyli w sklepie, i mówił o s e d n i e.

- I to działa - ciągnął dalej Dees. - Jeśli zdarzy ci się kiedyś utknąć, musisz tylko zadzwonić do nas na nasz koszt, przekażemy sprawę ludziom od propagandy i coś wspólnie wymyślimy. Zachowamy prawa do publikacji twoich tekstów w naszej corocznej antologii: "*Inside View o tym, co będzie*". Masz prawo podpisać dowolny kontrakt na książkę. Zachowujemy też prawo odrzucenia umowy z innym magazynem, ale powiem ci, że korzystamy z niego bardzo rzadko. I doskonale płacimy. Nic z tego, co załatwisz sobie sam, nie ma wpływu na nasze wynagrodzenie. - Dees zachichotał.

- A ile będziecie mi płacić? - zapytał cicho Johnny. Ścisnął kurczowo oparcia swego wyplatanego fotela. Żył na jego prawej skroni pulsowała rytmicznie.

- Trzydzieści tysięcy dolarów przez dwa lata. A jeśli okażesz się popularny, będziemy negocjować. Wszyscy nasi ludzie mają jakąś specjalność. Rozumiem, że nieźle idzie ci z przed-

miotami. - Na pół przymknięte oczy Deesa nabrały marzącego wyrazu. - Już widzę nagłówki. Może dwa razy w miesiącu - nie chcemy za szybko spalić dobrego pomysłu. „Johnny Smith prosi czytelników *Inside View* o przysyłanie przedmiotów do zbadania.” Coś w tym stylu. Oczywiście wyjaśnimy, że ludzie mają przysyłać tanie przedmioty, ponieważ nic nie zostanie im zwrócone. I tu się zdziwisz. Niektórzy są doprawdy szaleni, niech ich Pan Bóg kocha. Zdziwisz się, co będziesz od nich otrzymywać. Diamenty, złote monety, obrączki... a my możemy zawrzeć w umowie klauzulę, że wszystkie przysłane pocztą przedmioty stają się twoją własnością.

Teraz Johnny miał już przed oczami migające czerwone plamki.

- Ludzie będą przysyłać przedmioty, a ja będę miał prawo je zatrzymać? O tym mówisz?

- Jasne. Nie widzę tu żadnego problemu. To tylko sprawa jasnego określenia zasad. Przyprawa dania głównego. - Dees zachichotał.

- Przypuśćmy - powiedział Johnny, starając się mówić bardzo wyraźnie i spokojnie - przypuśćmy, że nie przyjdzie mi do głowy żadne sedno, by użyć twoich słów - i po prostu zadzwonię i powiem, że prezydent Ford padnie ofiarą zamachu trzydziestego pierwszego września 1976 roku? Nie dlatego, żebym to wiedział, ale dlatego, że nic innego nie umiem wymyślić?

- No, wrzesień ma tylko trzydzieści dni, wiesz? Lecząc, ogólnie, trafiłeś w sedno. Będziesz wspaniały Johnny, całkiem naturalny. Myślisz globalnie. To doskonale. Będziesz zdumiony, jak wielu z nich koncentruje się tylko na własnym poletku. Jeden z naszych - Tim Clark z Idaho - napisał dwa tygodnie temu, że ma przecucie, iż w przyszłym roku Earl Butz będzie musiał zrezygnować. No, przepraszam, ale kogo to, kurwa, obchodzi? Kim dla amerykańskiej żony jest Earl Butz? Ale ty właściwie myślisz, Johnny. Urodziłeś się do takiej pracy.

- Właściwie myślę - mruknął Johnny. Dees przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- Dobrze się czujesz? Jesteś trochę błady. Johnny myślał o kobiecie, która przysłała mu szalik. Ona pewnie też czytywała *Inside View*.

- Zobaczmy, czy uda mi się to wszystko podsumować. Zapłacicie mi trzydzieści tysięcy dolarów rocznie za moje nazwisko...

- Nie zapominaj o zdjęciu.

- ...i moje zdjęcie, za kilka tekstów pisanych przez waszych dziennikarzy. I za teksty, w których będę mówił ludziom, co chcą wiedzieć, o przedmiotach, które mi wyślą. Dodatkową atrakcją jest to, że będzie mi wolno zatrzymać te przedmioty...

- Jeśli uda się to załatwić prawnikom...

- ...na własność. Czy to wszystko?

- To tylko początek! Johnny, będziesz zdumiony tym, jak takie rzeczy procentują! Przez sześć miesięcy wyrobisz sobie nazwisko, a potem nie ma już żadnych granic. Audycja Carsona. Spotkania z publicznością. Wykłady. Chcesz książki? Proszę bardzo, tylko przejdź się po wydawnictwach, wydawnictwa obsypują forszą rozmaitych parapsychologów. Kathy Nolan zaczęła kontraktem takim jak ten, który ci proponuję, a teraz zarabia ponad dwieście tysięcy dolarów. W dodatku założyła kościół i Urząd Skarbowy nie może ruszyć ani grosza z jej forsy. Nasza Kathy umie sobie radzić. - Dees pochylił się, uśmiechnięty. - Mówię ci, Johnny, nie ma żadnych granic.

- Jasne.

- No? No, co o tym myślisz?

Johnny obrócił się w stronę Deesa. Jedną ręką złapał za rękaw jego nowiutkiej koszuli, drugą za kołnierz jego nowiutkiej koszuli.

- Hej! Co ty, do diabła, robisz!

Ścisnął koszulę w obu dłoniach i przyciągnął dziennikarza do siebie. Pięć miesięcy codziennych ćwiczeń zdumiewająco rozwinęło mu mięśnie ramion.

- Pytałeś, co o tym myślę? - W głowie łomotał mu rodzący się ból. - To ci powiem. Wysysasz z ludzi krew jak upiór. Okradasz ludzi z marzeń, jesteś hieną cmentarną. Ktoś powinien wepchnąć cię w maszynkę do mielenia mięsa. Żałuję, że twoja matka nie umarła na raka w dzień po poczęciu. Jeśli istnieje piekło, mam nadzieję, że będziesz się w nim smażył.

- Nie wolno ci tak do mnie mówić! - Głos Deesa stał się kobiecy, piskliwy. - Masz porąbane w głowie! Dobra, zapomnijmy o tym. Zapomnij o wszystkim, ty głupi, fałszywy sukinsynu. Miałeś szansę. Tylko nie próbuj błagać nas na kolanach...

- A w dodatku mówisz tak, jakbyś przyciskał do ust serwetki.

Johnny wstał i jednocześnie poderwał na nogi Deesa, któremu poły koszuli wyszły z nowych

dżinsów; pod koszulą miał siatkową podkoszulkę. Johnny zaczął nim potrząsać i Dees zapomniał o tym, że powinien się gniewać. Wrzeszczał coś bełkotliwie.

Johnny wyciągnął go na schodki i nogą trafił precyzyjnie w siedzenie nowiutkich lewisów. Dziennikarz z krzykiem zleciał z dwóch schodków, potknął się i wyłożył na gołej ziemi podwórka. Kiedy wstał i obrócił się w stronę ganku, jego ubranko ubogiego kuzynka pokryte było kurzem. Według Johnny'ego dodało mu to autentyzmu, ale wątpił, by facet to docenił.

- Powiniennem napuścić na ciebie gliniarzy - powiedział Dees ze złością. - I może jeszcze to zrobię.

- Napuszczaj, jeśli to cię podnieca. Ale tu prawo nie kocha ludzi, którzy wtykają nosy, gdzie ich nie proszono.

Twarz dziennikarza skrzywiła się w grymasie strachu, gniewu i szoku.

- Niech ci Bóg dopomoże, jeśli kiedykolwiek będziesz nas potrzebował!

Ból głowy był coraz silniejszy, ale Johnny nadal mówił spokojnie.

- Tu masz rację. Nie sposób się z tobą nie zgodzić.

- Jeszcze pożałujesz! Trzy miliony czytelników. To działa w obie strony, wiesz? Kiedy już z tobą skończymy, nikt ci nie uwierzy, nawet gdybyś przewidział, że w kwietniu będzie wiosna. Nie uwierzą ci w prorocstwo, że liga baseballu *zacznie* się w październiku! Nie uwierzą ci, jeśli... jeśli... - Wściekły Dees zapluł się i przerwał.

- Wynoś się stąd, ty mały skurwysynu! - zawołał Johnny.

- Pożegnaj się z książką! - wrzasnął Dees, najwyraźniej wykrzykując najgorszą groźbę, jaka przyszła mu do głowy. Z napiętą, skrzywioną twarzą, w zakurzonej koszuli wyglądał jak dzieciak w napadzie najgorszego humoru. Jego brooklyński akcent stał się tak wyraźny, że mówił teraz prawie żargonem. - Wyśmieją cię w każdym wydawnictwie w Nowym Jorku! Kiedy z tobą skończę, nikt nie kupi tej książki, nawet na dworcu! Są sposoby na załatwienie takich cwaniaków jak ty i my znamy je wszystkie, wsioku! Znamy...

- Chyba pójdę po sztucer i ustrzelę sobie intruza na mojej ziemi! - ucieszył się Johnny.

Dees wycofał się do swego wynajętego samochodu, nie przestając bluzgać wyzwiskami i przekleństwami. Johnny stał na ganku i przyglądał mu się, czując w głowie bolesne pulsowanie. Dziennikarz wsiał do forda, przekręcił do oporu kluczyk w stacyjce i nie puszczał go nawet, kiedy silnik zaskoczył. Nacisnął gaz, spod kół strzeliła ziemia. Przytrzymał wóz w poślizgu wystarczająco długo, by uderzyć w stojący przy szopie pieńek do rąbania drewna, który przeleciał parę metrów w powietrzu. Mimo migreny Johnny nie zdołał powstrzymać uśmiechu. O wiele łatwiej będzie mu ustawić pieńek niż Deesowi wyjaśnić w biurze Hertza, skąd wzięło się wielkie wgniecenie na przednim błotniku ich wozu.

Chylące się ku zachodowi słońce znów błysnęło w chromie. Ford jechał podjazdem do szosy, cały czas pryskając żwirem spod kół. Johnny wrócił na swój pleciony bujak i był gotów przeczekać migrenę.

2

- C o chcesz zrobić? - zapytał bankier. Za oknem, na dole, pełną wiejskiego uroku główną ulicą w Ridgeway, stan New Hampshire, jeździły tam i z powrotem samochody. Na wyłożonych sosnową boazerią ścianach gabinetu na trzecim piętrze wisiały grafiki Fredericka Remingtona i fotografie bankiera w rolach miejscowych dygnitarzy. Na jego biurku stała szklana kostka z wprawionymi do środka zdjęciami żony i syna.

- W przyszłym roku chcę startować w wyborach do Izby Reprezentantów - powtórzył Greg Stillson. Miał na sobie spło-wiałe spodnie khaki, niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami i czarny krawat z pojedynczą błękitną plamką. Nie pasował do tego gabinetu; sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili był gotów, bez żadnego rozsądnego powodu, zerwać się na równe nogi i z głową w dół zaszarżować na pokój, rozwalając meble, zrywając ze ścian kosztownie oprawione grafiki Remingtona i rozbijając je o podłogę, zdzierając zasłony w oknach.

Bankier, Charles „Chuck” Gendron, prezydent miejscowego Klubu Lwów, roześmiał się, mimo że czuł się trochę niepewnie. Stillson miał swoje sposoby na to, by ludzie w jego towarzystwie czuli się niepewnie. Być może rzeczywiście jako dziecko był drobny - lubił mówić ludziom, że „przewróciłby mnie byle wietrzyk” - ale w końcu geny taty wzięły górę i siedząc tu, w gabinecie

Gendrona, wyglądał dokładnie jak robotnik na polach naftowych Oklahomy, którym był jego ojciec.

Kiedy bankier zachichotał, Stillson skrzywił się.

- A czy wiesz, że George Harvey może mieć na ten temat coś do powiedzenia?

George Harvey, czołowy polityk w miasteczku, był także ojcem chrzestnym republikanów z trzeciego okręgu wyborczego.

- On nic nie powie - stwierdził spokojnie Greg. We włosach pojawiły mu się już pasemka siwizny, lecz jego twarz stała się nagle twarzą mężczyzny, który dawno temu, w Iowa, na brudnym podwórku zabił kopniakami psa. Głos pozostał cierpliwy. - George pozostanie za linią boiska, ale po mojej stronie, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie będę deptał mu po piętach, bo mam zamiar wystartować jako kandydat niezależny. Nie mam dwudziestu lat, żeby uczyć się pociągać za sznurki i lizać buty.

George Gendron spytał z wahaniem:

- Wyglupiasz się, prawda, Greg? Stillson znów się skrzywił. Ostrzegaj.

- Chuck, ja zawsze mówię poważnie. Ludzie... ludzie myśleli, że się wyglupiam. *Union Leader* i te chorągiewki na wietrze z *Daily Democrat*, oni myślą, że się wyglupiam. Ale idź, zobacz się z George'em Harveyem. Zapytaj go, czy mam zwyczaj żartować i czy wykonuję swoją robotę. Przecież sam wiesz. Pochowaliśmy razem kilka trupów, no nie, Chuck?

Grymas na twarzy Grega przerodził się w szyderczy uśmiech, który wydawał się jakiś straszny, choć być może tylko Gendronowi. Bankier przypomniał sobie parę pomysłów Stil-Isona, dotyczących handlu nieruchomościami, które przyniosły mu pieniądze, tak, oczywiście, przyniosły pieniądze, lecz nie w tym tkwił problem. Kilka szczegółów dotyczących Sunningdale Acres (i, żeby być całkiem uczciwym, także Laurel Estates) okazało się, no, niezupełnie legalnych. Należało do nich przekupienie federalnego geodety, ale to wcale nie było najgorsze.

Na terenach Laurel Estate, na przykład, na Back Ridgeway Road, mieszkał kiedyś staruszek, który nie chciał sprzedać swojej ziemi, więc na początek kilkanaście jego kur padło na jakąś dziwną zarazę, potem spłonęła mu przechowalnia ziemniaków, następnie, kiedy staruszek pojechał w pewien weekend, i to wcale nie tak dawno temu, w odwiedziny do siostry, do domu starców w Keene, ktoś rozsmarował psie gówno po ścianach dużego pokoju i jadalni, aż w końcu staruszek sprzedał ziemię, a Laurel Estates już istniały.

I jeszcze ten upiór na motorze, Sonny Elliman, znów pojawił się w okolicy. Zaprzyjaźnił się z Gregiem i nie stało się to lokalną sensacją tylko dlatego, że dla wyrównania rachunków Grega widziano często w towarzystwie ćpunów, hippisów, różnych dziwadeł i motocyklistów. Stworzył przecież Centrum Do Walki z Narkomanią i realizował raczej niezwykły program dla młodocianych narkomanów, alkoholików i drobnych przestępców. Zamiast grzywny lub kar aresztu, miasto przyjmowało ich usługi. To był pomysł Grega, doskonały pomysł, bankier przyznał to jako pierwszy. Między innymi dzięki niemu Greg został wybrany burmistrzem.

Ale ta nowa myśl... to było czyste wariactwo.

Greg powiedział coś. Gendron nie dosłyszał.

- Przepraszam?

- Pytałem, czy zechciałbyś zostać szefem mojego biura wyborczego - powtórzył Stillson.

- Greg... - Gendron musiał odchrząknąć i zacząć jeszcze raz. - Greg, najwyraźniej czegoś tu nie rozumiesz. Harrison Fisher jest przedstawicielem trzeciego okręgu wyborczego w Waszyngtonie. To szanowany republikanin i jest najprawdopodobniej wieczny.

- Nikt nie jest wieczny - stwierdził Greg.

- No, prawie to - mówił dalej Gendron. - Zapytaj Harveya. Chodzili razem do szkoły. Moim zdaniem gdzieś na początku XIX wieku.

Greg nie zwrócił uwagi na ten kiepski dowcip.

- Nazwę się Bycznym Gościem albo coś takiego... wszyscy będą myśleli, że się tylko wyglupiam... a w końcu dobrzy ludzie z trzeciego dystryktu, śmiejąc się do rozpuku, wprowadzą mnie aż do samego Waszyngtonu.

- Zwariowałaś, Greg.

Uśmiech Stillsona znikł, a z jego twarzą zdarzyło się coś przerażającego. Znieruchomiała, zaś oczy rozszerzyły się tak, że wokół tęczówek widać było białość. Były jak oczy konia, który wywąchał zatrutą studnię.

- Nigdy więcej nie mów czegoś takiego, Chuck. N i g d y!

Bankiera ogarnął gorączkowy niepokój.

- Greg, przepraszam cię. Tylko...

- Nie, nigdy więcej tak do mnie nie mów, chyba że któregoś wieczora, kiedy będziesz wysiadał z tego swojego cholernie wielkiego imperiała, chcesz spotkać się z Sonnym!

Gendron poruszył ustami, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku.

Greg znów się uśmiechnął i było tak, jakby przez ciemną chmurę przebiły się nagle promienie słońca.

- Nic się nie stało. Nie warto się spierać o drobiazgi, kiedy mamy razem pracować.

- Greg...

- Chcę ciebie, bo znasz każdego pieprzonego biznesmena w tej części New Hampshire. Sporo forsy spłynie do nas, kiedy sprawy zaczną się toczyć, ale wyobrażam sobie, że najpierw musimy zalać pompę. Nadszedł czas, żebym już wyjrzał z ukrycia, żebym stał się kimś w stanie, a nie tylko w Ridgeway. Przypuszczam, że pięćdziesiąt tysięcy dolarów wystarczy do nawiezienia trawki.

Bankier, który przez ostatnie cztery wyborcze lata pracował dla Harrisona Fishera, tak zdumiał się naiwnością polityczną Grega, że zapomniał języka w gębie. W końcu powiedział:

- Greg, biznesmeni finansują kampanię wyborczą nie z dobroci serca, ale dlatego, że zwycięzca kończy jako ich dłużnik. Jeśli w kampanii nie ma zdecydowanego faworyta, mogą dawać każdemu kandydatowi z szansą na zwycięstwo, bo przegranego i tak odpiszą sobie od podatku. Najważniejszym warunkiem jest tu s z a n s a z w y c i ę s t w a. A Fisher jest...

- Pewniakiem - odpowiedział mu Greg. Z bocznej kieszeni koszuli wyjął kopertę. - Chcę, żebyś na to popatrzył.

Gendron spojrział na kopertę z powątpiewaniem, potem skierował wzrok na swego rozmówcę, który dodał mu odwagi skinieniem głowy, sięgnął po nią i otworzył.

Gwałtownie zacerpnął powietrza i zaraz w wyłożonym sosnową boazerią gabinecie zapadła długa cisza. Nie przerywało jej nic, oprócz szumu kwarcowego zegarka na biurku bankiera i trzasku zapalniczki, od której Greg przypalił sobie grube cygaro. Na ścianach gabinetu wisiały zdjęcia bankiera, na biurku stało zdjęcie rodziny bankiera, a przed bankierem leżały rozłożone fotografie, na których trzymał głowę między udami czarnowłosej dziewczyny - a może rudowłosej, te zdjęcia były ziarniste, czarno-białe i trudno byłoby rozstrzygnąć. Twarz kobiety widać było bardzo wyraźnie. Niektórzy stali mieszkańcy Ridgeway mogliby rozpoznać w niej kelnerkę z kawiarni na postoju dla ciężarówek, oddalonym o parę kilometrów od miasteczka.

Zdjęcia bankiera z głową między udami kelnerki należały do tych bezpiecznych - jej twarz było widać, ale jego - nie. Na innych jednak bankiera rozpoznałaby nawet jego babka. Przedstawiły one Gendrona i kelnerkę w trakcie zażywania seksualnych rozkoszy - nie wszystkie pozycje Kamasutry zostały przez nich wypróbowane, ale większość z tych wypróbowanych i tak nie znalazłaby się w rozdziale o seksie w podręczniku biologii dla liceum w Ridgeway.

Gendron podniósł głowę. Twarz miał żółtą, ręce mu się trzęsły, serce biło jak oszalałe. Bał się, że za chwilę dostanie zawału.

Greg w ogóle na niego nie patrzył. Spoglądał przez okno na błękitne październikowe niebo.

- Powiał wiatr zmian - powiedział zamyślony i odwrócił się do Gendrona. - Jeden z tych cholernych ćpunów w Centrum, wiesz, co on mi dał?

Chuck Gendron potrząsnął głową. Jedną ręką masował sobie pierś po lewej stronie - na wszelki wypadek. Nie potrafił powstrzymać się od zerkania na zdjęcia. Pieprzone zdjęcia. Co by się stało, gdyby teraz weszła jego sekretarka? Przestał masować sobie pierś i zaczął zgarniać fotografie do koperty.

- Dał mi małą czerwoną książeczkę przewodniczącego Mao - wyjaśnił Greg. Z jego potężnej piersi, która kiedyś była taka chudziutka i przysparzała zmartwień jego ojcu, wyrwał się grzmiący chichot. - Jest tam jedno powiedzenie... nie pamiętam go dokładnie, ale brzmi mniej więcej tak: „człowiek wyczuwający wiatr zmian winien budować nie osłony od wiatru, lecz młyny”. W każdym razie o to chodziło.

Pochylił się ku bankierowi.

- Harrison Fisher nie jest pewniakiem. To relikwiny przeszłości. Ford to relikwiny przeszłości. Muskie to przeżytek. Humphrey to przeżytek. Mnóstwo lokalnych i stanowych polityków w całym kraju zaraz po wyborach obudzi się, stwierdzając, że ulegli zagładzie jak dinozaury. Najpierw załatwili Nixona, rok później rozprawili się z ludźmi, którzy go popierali w przesłuchaniach przed komisją, a w przyszłym

roku załatwią Jerry'ego Forda z tego samego powodu. Oczy Grega Stillsona wpatrzonego w bankiera płonęły.

- Chcesz zobaczyć, jak wygląda przyszłość? Spójrz na Maine i tego ich Longleya. Republikanie wystawili faceta nazwiskiem Erwin, demokraci wystawili faceta nazwiskiem Mitchell, a kiedy podliczono głosy w wyborach na gubernatora, i jedni, i drudzy strasznie się zdziwili, bo ludzie wybrali sobie agenta ubezpieczeniowego z Lewinston, który nie chciał mieć nic wspólnego z żadną partią. Teraz mówi się o nim jako o czarnym koniu w wyborach prezydenckich.

Gendron nadal nie mógł wykrztusić słowa.

Greg nabrał powietrza w płuca.

- Będą myśleli, że się wygłupiam, rozumiesz? I że L o n g l e y się wygłupia. Ale ja nie żartuję. Ja buduję młyny. A ty masz mi dostarczyć materiałów budowlanych.

Umilkł. W gabinecie zapanowała cisza, szumiał tylko elektryczny zegar. W końcu Gendron wyszeptał:

- Kto zrobił te zdjęcia. Elliman?

- Jej, słuchaj, przecież nie będziemy o tym rozmawiać. Zapomnij o tych zdjęciach. Weź je.

- A kto zatrzyma negatywy?

- Chuck - wyznał szczerze Greg - nie rozumiesz. Daję ci w prezencie Waszyngton. Nie ma granic, stary! Ja nie proszę cię, żebyś mi zdobył wielkie pieniądze. Jak mówiłem, potrzebujemy wiaderka wody, żeby zalać pompę. Kiedy już ruszymy, forsa sama do nas przyjdzie. A przecież ty znasz ludzi, którzy mają forszę. Jadasz z nimi śniadanie w Caswell House. Grasz z nimi w pokera. Dawalesz im pożyczki handlowe na najmniejszy procent, wyłącznie na słowo. Wiesz, jak im założyć nelsona.

- Greg, nie rozumiesz, po prostu nie rozumiesz. Greg wstał.

- Tak jak ja założyłem nelsona tobie.

Bankier obrzucił go zrezygnowanym spojrzeniem. Greg Stillson pomyślał, że wygląda jak baran, którego podstępem zaprowadzono do rzeźni.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powtórzył. - Znajdź mi je.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Gendron nawet przez grube ściany słyszał jego grzmiący głos, kiedy żartował z sekretarką, sześćdziesięcioletnią, płaską jak deska starą panną. Greg sprawił, że chichotała jak nastolatka. Ale bufon! Popadł w pychę, od kiedy ten jego program pomocy młodocianym przestępcom uczynił zeń burmistrza Ridgeway. A przecież ludzie nie wysyłają zarozumiałców do Waszyngtonu.

Prawie nigdy.

To nie jego sprawa. Jego problem to pięćdziesiąt tysięcy dolarów w datkach na kampanię. Myśl o tym pochłonęła go całkowicie, jego mózg przypominał dobrze wytresowaną białą myszkę biegającą wokół kawałka żółtego sera na talerzu. Prawdopodobnie da się to załatwić. Tak, prawdopodobnie da się załatwić. Ale to nie wszystko.

Biała koperta nadal leżała na jego biurku. Żona uśmiechała się do niego zza ścianki szklanego sześcianu. Wziął kopertę i wsadził ją do wewnętrznej kieszeni eleganckiej marynarki. El-liman. Elliman musiał ich obserwować i zrobił te zdjęcia. Był tego pewien.

Ale to Stillson powiedział mu, co robić.

Może ten człowiek nie był w rzeczywistości aż takim bufonem. Przedstawił całkiem rozsądną ocenę sytuacji politycznej na przełomie 1975 i 1976 roku. Budować młyny zamiast osłon od wiatru... nie ma granic.

To nie jego sprawa.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów to jego problem.

Chuck Gendron, prezydent Lwów i w ogóle fajny facet (w tym roku, na paradzie z okazji święta Czwartego Lipca jechał na jednym z tych śmiesznych, małych motocykli) wyjął z górnej szuflady blok żółtego papieru i zaczął przygotowywać listę nazwisk. Wytresowana biała myszka przy pracy. A Greg Stillson wyszedł na Main Street, wystawił twarz na mocne, jesienne słońce i pogratulował sobie dobrze wykonanej pracy. W każdym razie dobrze zaczętej.

ROZDZIAŁ 15

I

Kiedy zastanawiał się nad tym później, Johnny myślał zawsze, że to, iż w końcu - niemal dokładnie pięć lat po jarmarku - kochał się z Sara, miało wiele wspólnego z wizytą Richarda Deesa, faceta z *Inside View*. Fakt, że w końcu poddał się, zadzwonił do niej i zaprosił do domu, nie był niczym więcej niż tylko wyrazem tęsknoty za kimś sympatycznym, kto zatarłby niemiłe wrażenie poprzedniej wizyty. Tak przynajmniej to sobie tłumaczył.

Zadzwonił do Kennenbunk i odezwała się dziewczyna, z którą kiedyś Sara mieszkała. Poinformowała go, że Sara zaraz podejdzie do telefonu. Johnny usłyszał stuk odkładanej słuchawki i na chwilę zapadła cisza; pomyślał wtedy (nie całkiem serio), że mógłby przerwać połączenie i przeszłość zostałaaby zamknięta na zawsze. A później usłyszał głos Sary.

- Johnny? To ty?
- Zawsze ten sam.
- Jak się miewasz?
- Nieźle. A ty?
- Doskonale. Cieszę się, że zadzwoniłaś. Nie... nie wiedziałam, czy się odezwiesz.
- I ciągle wachasz tę wstrętną kokainę?
- Nie. Przerzuciłam się na heroinę.
- Mały jest z tobą?
- Jasne. Nigdzie się bez niego nie ruszam.
- No, to czemu nie wybieracie się tu któregoś dnia, przed powrotem na północ?
- Bardzo bym chciała, Johnny. - Głos Sary był taki serdeczny.
- Tata pracuje w Westbrook, a ja pełnię funkcję szefa kuchni i jego pomagierów. Wraca do domu około wpół do piątej, jemy koło wpół do szóstej. Zapraszam cię na kolację, ale ostrzegam - cała moja kuchnia opiera się na franko-amerykańskim spaghetti.

Sara zachichotała.

- Przyjmuję zaproszenie. Kiedy byłoby ci najwygodniej?
- Co robisz jutro albo pojutrze?
- Najlepiej jutro - powiedziała po króciutkim wahaniu. - Do zobaczenia.
- Uważaj na siebie.
- Ty też.

Johnny odłożył słuchawkę z namysłem, podniecony i - bez żadnego powodu - pełen poczucia winy. Ale nie sposób zmusić się do tego, by nie myśleć, prawda? A jego mózg pragnął teraz zastanawiać się nad tym, co zapewne najlepiej byłoby zostawić w spokoju.

No cóż, wie wszystko, co powinna wiedzieć. Wie, o której tata wraca do domu - i nie musi wiedzieć nic więcej.

Jego mózg odpowiedział na to: „A co masz zamiar zrobić, jeśli pojawi się w południe?”

- Nic - odparł mu Johnny, nie bardzo w to wierząc. Sama myśl o Sarze, o tym, jak układają się jej usta, o podniesionych w górę kącikach zielonych oczu, sprawiała, że czuł się słaby, bezwolny i zrezygnowany.

Poszedł do kuchni i zaczął niespiesznie przygotowywać kolację tylko dla dwóch osób. Duet ojca z synem. Nie było wcale tak źle. Powoli wracał do zdrowia. Rozmawiał z ojcem o czterech i pół roku, które stracił, i o matce - obchodzili ten temat ostrożnie, ale za każdym razem zbliżali się do tego, co najważniejsze, jak po spirali. Niekoniecznie chcieli wszystko zrozumieć, ale przynajmniej próbowali się z tym oswoić. Nie, nie było wcale tak źle. W ten sposób doprowadzali sprawy do końca. Obydwaj. Niestety wszystko skończy się w styczniu, kiedy pojedzie do Cleaves Mills i zacznie uczyć. Przed tygodniem dostał od Dave'a Pelsena umowę na pół roku, podpisał ją i odesłał. Co wtedy zrobi ojciec? Będzie musiał nadal żyć, myślał Johnny. Ludzie umieli to robić doskonale - żyć mimo szczególnych dramatów, mimo wielkich przeżyć. Będzie przyjeżdżał w odwiedziny tak często, jak tylko się da, na każdy weekend, jeśli uzna to za wskazane. Tak wiele rzeczy zmieniło się dla niego tak szybko, że mógł tylko iść przed siebie powoli, uważając na każdy krok jak ślepiec w pokoju, którego nie zna.

Włożył pieczeń do piecyka, poszedł do dużego pokoju, włączył telewizor i zaraz go wyłączył.

Dziecko, pomyślał. Jeśli przyjedzie wcześniej, dziecko spełni rolę przyzwoitki. Więc wszystko w porządku. Jest gotów na każdą ewentualność.

Więc czemu cały czas myśli, czemu zastanawia się nad tym i czuje się tak niepewnie?

2

Przyjechała następnego dnia, piętnaście po dwunastej. Hałaśliwy, mały, czerwony pinto przetoczył się po podjeździe i stanął przed domem. Sara wysiadła. Była wysoka i piękna, jej ciemno-blond włosy powiewały na łagodnym październikowym wietrze.

- Cześć, Johnny - zawołała, podnosząc rękę.

- Sara! - Wyszedł ją powitać. Uniosła twarz; pocałował ją lekko w policzek.

- Tylko jeszcze wyciągnę pana i władcę - powiedziała, otwierając drzwi od strony pasażera.

- Pomóc ci?

- Ależ nie, doskonale radzimy sobie razem, prawda, Denny? No, wylaż, mały. - Zręcznie odpięła pasy przytrzymujące tłustego, małego chłopca w jego foteliku i wyjęła go z samochodu. Denny rozejrzał się po podwórku z niesamowitym, uroczystym zainteresowaniem, a potem jego oczy spoczęły na Johnnym i znieruchomiały. Uśmiechnął się.

- Baa! - powiedział i pomachał rączkami.

- Chyba chce do ciebie - stwierdziła Sara. - To niezwykle. Denny odziedziczył rozsądek po swym ojcu, republikaninie. Jest trochę sztywny. Chcesz wziąć go na ręce?

- Jasne - odpowiedział z widocznym powątpiewaniem. Sara uśmiechnęła się serdecznie.

- Nie bój się, nie złamie się ani go nie upuścisz. - Podała

synka Johnny'emu. - A jeśli go nawet upuścisz, prawdopodobnie odbije się od ziemi i znów wpadnie ci w ręce jak kauczukowa piłeczka. Obrzydliwie tłusty dzieciak.

- Jo, jo! - gaworzył Denny. Jedną ręką nonszalancko objął Johnny'ego za szyję i z zadowoleniem przyjrzał się matce.

- To doprawdy zdumiewające. Nigdy nie traktuje tak ludzi. .. Johnny? J o h n n y?

Kiedy dziecko chwyciło go rączką za szyję, Johnny poczuł, jak przepływa po nim strumień mieszanych uczuć niczym fala ciepłej wody. Nie było w nich nic mrocznego, nic niepokojącego. Wszystko wydawało się bardzo proste. Dziecko nie myślało jeszcze o przyszłości. Nie wiedziało nic o trudnościach. I nie myślało słowami, lecz wyraźnymi obrazami: ciepło, sucho, matka, człowiek, którym był on sam.

- Johnny? - Sara patrzyła na niego, przestraszona.

- Hmmm?

- Czy wszystko w porządku?

Pyta mnie o Denny'ego, zorientował się. Czy wszystko w porządku z Dennyem? Czy widzę jakieś trudności? Jakież kłopoty?

- Naturalnie - rzekł. - Jeśli chcesz, możemy wejść do środka, ale ja zazwyczaj leniuchuję na ganku. Już niedługo cały dzień będziemy spędzać przy piecu.

- Świetnie, zwłaszcza że Denny sprawia wrażenie, jakby koniecznie chciał się wyrwać na podwórze. Mówi, że to w s p a n i a ł e podwórze. Prawda, mały? - Zwicrzyła mu włosy na głowie i malec roześmiał się.

- Nic mu się nie stanie?

- Jeśli tylko nie spróbuje jeść tych kawałków drewna.

- Rąbałem drzewo do pieca - powiedział Johnny, stawiając małego na ziemi tak ostrożnie, jakby był wazą z epoki Ming. - Doskonale ćwiczenie.

- A ty jak się miewasz? Fizycznie?

- Myślę - Johnny przypomniał sobie, jak łatwo dał radę Richardowi Deesowi przed kilkoma dniami - że mam się tak dobrze, jak tylko można sobie tego życzyć.

- To świetnie. Kiedy widziałam cię ostatnim razem, byłeś w nie najlepszej formie. Skinął głową.

- To te operacje.

- Johnny?

Spojrzał na Sarę i znów poczuł tę dziwną mieszaninę namysłu, winy i czegoś w rodzaju oczekiwania wypełniającego jego ciało. Patrzyła mu w twarz, spojrzenie miała szczere i przyjazne.

- Tak?

- Pamiętasz? Pamiętasz obrączkę? Kiwnął głową.
 - Była tam, gdzie powiedziałeś. Wyrzuciłam ją.
 - Doprawdy? - Niezbyt go to zaskoczyło.
 - Wyrzuciłam ją i nic Waltowi nie powiedziałam. - Potrząsnęła głową. - Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nie mogę przestać o tym myśleć.
 - Więc nie myśl.
 Stali na schodach, zwróceniu do siebie. Sara zarumieniała się, ale nie spuściła z niego wzroku.
 - Jest coś, co chciałabym dokończyć - powiedziała zwyczajnie. - Do tej pory nie miałam szansy.
 - Saro... - zaczął Johnny i przerwał. Nie miał najmniejszego pojęcia, co powinien powiedzieć. Na podwórku Denny zrobił kilka kroków i potknął się. Dalej już raczkował, wcale nie zbity z tropu.
 - Tak - mówiła dalej - nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Kocham Walta. To dobry człowiek, łatwo go kochać. Może potrafię tylko jedno: odróżnić dobrego człowieka od złego. Dan - ten, z którym chodziłam na studiach - był jednym z tych złych. Ty nauczyłeś mnie, że są inni. Bez ciebie nigdy nie umiałabym ocenić Walta tak, jak na to zasługuje.
 - Saro, nie musisz...
 - M u s z ę - zaprzeczyła. Mówiła cicho, z napięciem. - Bo takie rzeczy można powiedzieć tylko raz. I robisz to albo dobrze, albo źle, ale to koniec, czegoś takiego nie sposób powtórzyć. - Spojrzała na niego błagalnie. - Rozumiesz?
 - Tak, chyba tak.
 - Kocham cię, Johnny - powiedziała. - Nigdy nie przestałam cię kochać. Próbowałam przekonać samą siebie, że rozdzieliły nas wyroki Boże. Nie wiem. Czy nieświeży hot-dog to wyrok Boży? Albo dwaj chłopcy, ścigający się na bocznej drodze w środku nocy? Chcę tylko... - Jej głos stał się dźwięczny, melodyjny; uderzał w październikowe, popołudniowe powietrze jak młoteczek grawera w cienkie złoto - ...chcę tylko odzyskać to, co nam zabrano. Przerwała.
 - Chcę tego z całego serca, Johnny. A ty?
 - Ja też. - Rozpostarł ramiona i poczuł się niepewnie, kiedy Sara odstępowała o krok i potrząsnęła głową.
 - Nie przy Denny - powiedziała. - Pewnie to niemądre, ale za bardzo przypominałoby mi manifestację niewierności. Chcę wszystkiego, Johnny.
 Znów się zarumieniała i ten piękny rumieniec zaczął go podniecać.
 - Chcę, żebyś mnie przytulił, całował i kochał. - Głos się jej załamał, niemal ucichł. - Myślę, że to źle, ale nic nie poradzę. To źle, ale jednocześnie dobrze. U c z c i w i e.
 Johnny jednym palcem starł łzę, która powoli płynęła po jej policzku.
 - I tylko ten jeden raz, prawda? Sara skinęła głową.
 - Jeden raz musi nam wystarczyć za wszystko. Wszystko, co mogłoby się zdarzyć, gdyby sprawy przybrały pomyślny obrót.
 Skierowała na niego wzrok. Jej oczy były bardziej zielone, błyszczące od łez.
 - Czy możemy sprawić, by jeden raz wystarczył za wszystko, Johnny?
 - Nie - odpowiedział z uśmiechem. - Ale warto spróbować.
 Sara spojrzała z miłością na Denny'ego, który bez większych sukcesów próbował wdrapać się na pień do rąbania drewna.
 - Zaśnie - powiedziała.

3

Siedzieli na ganku i obserwowali Denny'ego, bawiącego się na podwórzu. Nie spieszyli się, nie brakło im cierpliwości, lecz obydwójce czuli rosnące wzajemne przyciąganie. Sara rozpięła płaszcz i siedziała na bujanej ławeczce w szarobłękitnej wełnianej sukience. Nogi skrzyżowała w kostkach, włosy niedbale odrzuciła na plecy - bawił się nimi wiatr. Cały czas była zarumieniona. Po niebie, z zachodu na wschód, przemykały białe obłoki.

Rozmawiali o błahych sprawach. Po raz pierwszy od chwili, kiedy się przebudził, Johnny nie czuł, że czas jest jego wrogiem. Gawędzili swobodnie o ludziach, którzy się poženili, o dziewczynie z Cleaves Mills, która zdobyła stypendium Merita, o niezależnym gubernatorze Maine. Sara powiedziała, że wygląda jak Lurch ze starego serialu o rodzinie Adamsów, a myśli jak Herbert Hoover, i oboje się z tego zaśmiali.

- Spójrz na niego. - Wskazała Denny'ego ruchem głowy. Malec siedział na trawie obok zarośniętej bluszczem pergoli Very Smith. Kciuk wsadził do buzi i patrzył na nich sennie. Sara wyjęła dziecienny fotelik z tylnego siedzenia pinto.

- Dobrze mu będzie na ganku? Jest tak ciepło. Chciałabym, żeby przespał się na świeżym powietrzu.

- Na ganku będzie mu wspaniale - odparł Johnny. Postawiła krzeselko w cieniu, wsadziła w nie dziecko i przykryła je aż pod brodę dwoma kocami.

- Śpij, mały - powiedziała.

Chłopiec uśmiechnął się do niej i posłusznie zamknął oczy.

- I to wszystko? - zapytał Johnny.

- I to wszystko - potwierdziła. Podeszła do niego i objęła go za szyję. Całkiem wyraźnie usłyszał szelest ocierającej się o sukienkę bielizny. - Chcę, żebyś mnie pocałował - rzekła spokojnie. - Czekałam pięć lat, żebyś znowu mnie pocałował.

Johnny położył ręce na jej biodrach i pocałował ją lekko. Ich usta rozdzieliły się.

- Och, Johnny - szeptała Sara z wargami przy jego szyi. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- Gdzie idziemy? - zapytała, robiąc krok do tyłu. Jej oczy były teraz ciemne i czyste jak szmaragdy. - Gdzie?

4

Rozpostarł na sianie spłowiałą brezentową płachtę, starą, lecz czystą. Pachniało mocno, słodko. Gdzieś, wysoko nad ich głowami, poderwały się z hałasem jaskółki, a później się uciszyły. Przez małe, zakurzone okienko widać było dom i ganek. Sara przetarła je w jednym miejscu i spojrzała na Denny'ego.

- Odpowiada ci? - zapytał Johnny.

- Tak. Lepiej tu niż w domu. To byłoby jak... - Wzruszyła ramionami.

- Jakby włączyć w to tatę?

- Tak. A to dotyczy tylko nas.

- Nasza sprawa.

- Nasza sprawa - zgodziła się Sara. Ugięła nogi w kolanach. Zsunęła pantofle, najpierw jeden, później drugi, a potem położyła się na brzuchu.

- Rozepnij mi sukienkę.

Johnny uklęknął i rozpiął sukienkę. Dźwięk zamka rozległ się głośno w otaczającej ich ciszy. Plecy Sary miały kolor kawy z mlekiem, tak bardzo odbijający od bieli jej bielizny. Pocałował ją między łopatkami. Zadrżała.

- Sary - szepnął.

- Co?

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Co?

- Chirurg pomylił się przy jednej z tych operacji i wykastrował mnie.

Uderzyła go w ramię.

- Nic się nie zmieniłeś, Johnny. I miałeś przyjaciela, który skręcił kark na kolejce górskiej w Topsham.

- Jasne - zgodził się Johnny.

Dotknęła go delikatnie, poruszając ręką w górę i w dół.

- Nie sprawia wrażenia, jakby zrobili ci definitywną krzywdę - powiedziała, patrząc mu w twarz błyszczącymi oczami. - Wręcz przeciwnie. Trzeba przyjrzeć się temu dokładniej. Prawda?

Siano pachniało słodko. Czas zawrócił biegu. Czuł szorstką powierzchnię brezentu i gładkie ciało Sary, nagie i tak bardzo rzeczywiste. Zanurzył się w nią jak w stary sen, którego nigdy do końca nie zapomniał.

- Och, Johnny, kochanie... - Jej głos wibrował w podnieceniu. Coraz szybciej poruszała biodrami. Na twarzy i piersi czuł dotyk jej włosów jak płomień. Zanurzył w nie twarz głęboko, gubiąc się w ich złotej gęstwinie.

Czas wirował wśród słodkiego zapachu siana. Szorstka płachta. Stara stodoła, trzeszcząca cicho

na październikowym wietrze jak okręt. Łagodne białe światło wpada przez okienka w dachu, kurz wiruje w setkach jasnych promyków. Kurz wiruje i tańczy.

Sara krzyknęła. W którymś momencie krzyknęła jego imię i powtarzała je niczym litanie. Paznokciami jak ostrogami orała mu plecy. Jeździec i wierzchowiec. Stare wino wreszcie przelane, wspaniały rocznik.

Potem siedzieli przy oknie, wyglądając na podwórko. Sara włożyła sukienkę na gołe ciało i opuściła go na chwilę. Został sam; wystarczało mu, że zobaczył, jak pomniejszona, pojawia się na podwórku. Pochyliła się nad dzieckiem, poprawiła koce i wróciła. Wiatr rozwiewał jej włosy, igrał z rąbkami sukienki.

- Będzie spał jeszcze pół godziny.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Johnny. - To może i ja się zdrzemnę? Palcami stóp przesunęła po jego nagim brzuchu.

- Ani mi się waż - powiedziała.

Więc zrobili to jeszcze raz i tym razem ona była na górze, w pozie niemal modlitewnej, z pochyloną głową; włosy zsunęły się jej na twarz i ukryły ją. Zrobili to powoli. A później wszystko się skończyło.

5

- Saro...

- Nie, Johnny. Lepiej nic nie mów. Nasz czas się skończył.

- Miałem zamiar powiedzieć, że jesteś piękna.

- Piękna?

- Tak - wyszeptał. - Moja droga Sara.

- Czy zapłaciliśmy za wszystko? Johnny uśmiechnął się.

- Zrobiliśmy, co tylko możliwe.

6

Kiedy Herb wrócił z Westbrook do domu, nie był zaskoczony obecnością Sary. Powitał ją, pozachwycał się dzieckiem, a później zganiał ją za to, że nie przywiozła go wcześniej.

- Ma twoje włosy i cerę - rzekł. - I chyba będzie miał twoje oczy, kiedy skończą zmieniać kolor.

- Żeby tylko miał głowę ojca - powiedziała Sara. Na niebieską wełnianą sukienkę naciągnęła fartuch. Na dworze słońce już zachodziło. Jeszcze dwadzieścia minut i zrobi się ciemno.

- Wiesz, że gotowanie należy do obowiązków Johnny'ego?

- Nie mogłem jej powstrzymać. Przyłożyła mi lufę do skroni.

- No, może to i dobrze - stwierdził Herb. - Choćbyś się nie wiem jak starał, i tak wszystko smakuje jak franko-amerykańskie spaghetti.

Johnny zamachnął się na niego gazetą i Denny dostał ataku śmiechu. Wysoki, przenikliwy dźwięk zdawał się przewiercać dom na wylot.

Czy on wie, zastanawiał się Johnny. Czuję, że można to odczytać wprost z mojej twarzy. A potem, kiedy patrzył, jak ojciec szuka w szafce przy drzwiach jego zabawek z dzieciństwa, których nigdy nie pozwolił Verze wyrzucić, przyszła mu do głowy zaskakująca myśl: „Może on rozumie?”

W trakcie obiadu Herb pytał Sarę, co Walt robi w Waszyngtonie. Opowiedziała mu o konferencji, w której uczestniczy, dotyczącej wniosku Indian o prawa do ziemi. Rozmowy republikanów były na razie tylko próbą wybadania gruntu.

- Większość ludzi, z którymi się spotyka, sądzi, że jeśli w przyszłym roku nominację dostanie Reagan, a nie Ford, będzie to oznaczało śmierć partii. A jeśli nasza stara, dobra partia padnie, to Walt straci szansę kandydowania na miejsce Billa

Cohena w 1978 roku, kiedy Cohen przeniesie się na miejsce Billa Hathawaya w senacie.

Herb przyglądał się, jak Denny zajada strąki fasoli, wolno, jeden za drugim, używając do tego wszystkich swoich sześciu zębów.

- Nie sądzę, by Cohen doczekał 1978 roku. Będzie kandydował przeciw Muskie'emu za rok.

- Podobno Bili Cohen wcale nie jest taki wielki - powiedziała Sara. - Poczeka. Walt mówi, że

nadchodzi jego szansa, i zaczynam mu wierzyć.

Po kolacji siedzieli w dużym pokoju i nie rozmawiali już o polityce. Patrzyli, jak Denny bawi się starymi samochodami i ciężarówkami, które znacznie młodszy Herb Smith zrobił dla swego syna blisko ćwierć wieku temu. Młodszy Herb Smith, żonaty z pogodną kobietą, która czasami wypijała do kolacji butelkę dobrego piwa. Mężczyzna, w którego włosach nie było śladu siwizny i który spodziewał się wszystkiego najlepszego dla swego dziecka.

Rozumie, pomyślał Johnny, pijąc kawę. Niezależnie od tego, czy wie, co się dziś zdarzyło między mną i Sara, niezależnie od tego, czy podejrzewa, co mogło się zdarzyć, rozumie zasadę oszustwa. Nie można tego zmienić, nie można odwołać, więc najlepiej się z tym pogodzić. Dziś ona i ja skonsumowaliśmy małżeństwo, którego nigdy nie zawarliśmy. Dziś on bawi się z wnukiem.

Pomyślał o kole fortuny, jak się obraca, zwalnia, staje.

Dwa zera. Wszyscy tracą.

Pojawiło się przygnębienie, ponure wrażenie końca wszystkiego. Odepchnął je. To był zły czas; nie pozwoli, by smutek popsuł dobre chwile.

O wpół do dziewiątej Denny zrobił się marudny, płaczliwy.

- Musimy już lecieć, panowie - stwierdziła Sara. - Może posaac sobie z butelki w drodze powrotnej do Kennenbunk. Za jakieś pięć kilometrów zaśnie jak nieżywy. Dzięki za gościnność. - Jej jasnozielone oczy na moment odszukały wzrok Johnny'ego.

- Cała przyjemność po naszej stronie - powiedział Herb wstając. - Mam rację, Johnny?

- Masz rację - odpowiedział mu syn. - Pomogę ci z fotelikiem, Saro.

W drzwiach Herb pocałował Denny'ego w głowę (a Denny złapał go za nos swą tłustą, małą rączką i wykręcił go wystarczająco mocno, by oczy Herba zaszczyły łzami), a Sarę w policzek. Johnny zaniósł fotelik do czerwonego pinto. Sara dała mu kluczyki, żeby mógł przygotować wszystko do drogi.

Kiedy skończył, stała obok drzwi od strony kierowcy i przyglądała mu się.

- To najlepsze, co mogliśmy zrobić - powiedziała, uśmiechając się lekko, lecz błysk w jej oczach mówił o zbliżających się łzach.

- Wcale nie było tak źle - stwierdził Johnny.

- Będziemy w kontakcie?

- Nie wiem, Saro. A ty jak uważasz?

- Nie, przypuszczani, że nie. To byłoby za łatwe, prawda?

- Tak, bardzo łatwe.

Podeszła do niego i nadstawiła policzek. Czuł zapach jej włosów, czysty, ożywczy.

- Uważaj na siebie - szepnęła. - Będę o tobie myśleć.

- Bądź dobrą dziewczynką, Saro - powiedział Johnny i dotknął jej nosa.

Wtedy odwróciła się, usiadła za kierownicą - elegancka młoda żona i matka, której mąż robił karierę. Wątpię, pomyślał, by w przyszłym roku nadal jeździła pinto.

Sara włączyła światła, a potem mały silniczek zaskoczył. Podniosła rękę na pożegnanie i w chwilę później skręcała na podjeździe. Johnny stał przy pieńku do rąbania drzewa, trzymał ręce w kieszeniach i patrzył, jak odjeżdża. W głębi jego serca zatrzasnęły się jakieś drzwi. Nie było to wspaniałe uczucie. To właśnie najgorsze - wcale nie było to wspaniałe uczucie.

Odczekał, aż nie widział już tylnych świateł, a później wspiął się na stopnie ganku i wszedł do domu. Jego ojciec siedział w wielkim, wygodnym fotelu w dużym pokoju. Telewizor był wyłączony. Herb przyglądał się tym kilku zabawkom, które znalazł i które leżały rozrzucone na dywanie.

- Miło było zobaczyć Sarę - rzekł. - Czy to była... - zawahał się na ułamek sekundy, niemal niezauważalnie - ...udana wizyta?

- Tak - powiedział Johnny.

- Przyjedzie kiedyś znowu?

- Nie, nie sądzę.

Syn i ojciec patrzyli teraz na siebie.

- No, może to i lepiej - stwierdził w końcu Herb.

- Tak. Może - zgodził się Johnny.

- Bawiłeś się tymi zabawkami - powiedział Herb, klękając i zbierając je z dywanu. - Dałem kilka z nich Lottie Gedrau, kiedy urodziła bliźniaki, ale wiedziałem, że jeszcze parę mi zostało. Zdołałem kilka z nich ocalić.

Wkładał je do pudełka, po kolei, oglądając każdą dokładnie. Samochód wyścigowy. Spychacz. Policyjny radiowóz. Mała ciężarówka z drabiną i hakiem - większość czerwonej farby zeszła z niej w miejscach, gdzie kiedyś ścisnęły ją małe rączki. Herb zebrał zabawki do pudełka i odłożył je do szafy przy wejściu.

Johnny spotkał Sarę dopiero po trzech latach.

ROZDZIAŁ 16

I

Tego roku śnieg spadł wcześniej. Siódmego listopada na ziemi leżało go piętnaście centymetrów. Johnny szczerze sznurował swe zielone buty na grubej gumie i wkładał stary kozuch, kiedy szedł na codzienną wyprawę do skrzynki. Przed dwoma tygodniami Dave Pelsen przesłał mu paczkę zawierającą materiały, z których miał korzystać w styczniu, i Johnny, bez pośpiechu, zaczął planować lekcje. Mocno tęsknił za szkołą. Dave znalazł mu także mieszkanie na Howland Street w Cleaves. 24 Howland Street. Johnny nosił ten adres w portfelu, zapisany na kawałku papieru, bo - co bardzo go irytowało - bezustannie go zapominał.

Tego dnia niebo było zachmurzone, a temperatura wynosiła dokładnie minus pięć stopni. Kiedy Johnny zszedł na podjazd, zaczęły padać pierwsze płatki śniegu. Ponieważ był sam, bez zbędnych zahamowań wysunął język i próbował złapać jeden z nich. Już prawie nie kulał i czuł się dobrze. Od dwóch tygodni, a może nawet dłużej, nie bolała go głowa.

Poczta składała się z dwóch ulotek reklamowych, *Newsweeka* i małej, żółtej koperty, zaadresowanej do Johna Smitha, bez adresu zwrotnego. Otworzył ją, wracając do domu; resztę poczty wsunął do tylnej kieszeni spodni. Z koperty wyjął zadrukowaną kartkę papieru, zobaczył na górze słowa *Inside View* i zatrzymał się nagle jak wmurowany w ziemię.

Była to trzecia strona wydania z zeszłego tygodnia. Większą jej część zajmował artykuł, w którym dziennikarz „ujawniał” przeszłość przystojnego aktora - statysty w telewizyjnym serialu kryminalnym. Statysta dwa razy był zawieszony w liceum w prawach ucznia (dwanaście lat temu) i aresztowany za posiadanie kokainy (sześć lat temu). Najświeższe wieści dla każdej amerykańskiej *hausfrau*. Prezentowano tam także dietę zbożową, zdjęcie ślicznego dziecka i tekst o sześciolatek dziewczynce, cudownie uzdrowionej w Lourdes z porażenia mózgowego (LEKARZE SĄ ZDUMIENI - biło z nagłówka radosnym triumfem). Ktoś zakreślił artykuł u dołu trzeciej strony. „«Jasnowidz» z Maine przyznaje się do oszustwa” - głosił tytuł. Nikt nie podpisał się po tym materiałem:

ZASADĄ INSIDE VIEW BYŁO ZAWSZE nie tylko najpełniejsze informowanie o zjawiskach parapsychologicznych, które ignoruje tak zwana „prasa krajowa”, lecz także demaskowanie oszustów i szarlatanów, którzy tak długo powstrzymywali wszystkich od akceptacji udowodnionych przypadków podobnych fenomenów.

Jeden z nich przyznał się ostatnio do oszustwa w rozmowie z jednym ze współpracowników Inside View. Ten tak zwany „jasnowidz”, John Smith z Pownal, stan Maine, poinformował naszego współpracownika, że zamierzał wykorzystać środki z oszustwa na opłacenie rachunków za szpital.

- Moją książką - mówił Smith z uśmiechem - mogę zarobić tyle, żeby spłacić długi i mieć jeszcze trochę na spokojne przeżycie paru lat. Czasy mamy takie, że ludzie wierzą we wszystko, więc czemu nie miałbym się załapać?

Dzięki Inside View, które zawsze ostrzegało czytelników, że na jednego autentycznego jasnowidza przypada dwóch oszustów, Johnny Smith już się nie „załapie”. Nadal utrzymujemy naszą stałą ofertę nagrody w wysokości tysiąca dolarów dla każdego, kto potrafi udowodnić, że któryś z jasnowidzów o krajowej sławie jest oszustem.

Strzeżcie się, oszuści i szarlatani!

Johnny przeczytał artykuł dwukrotnie, a śnieg padał wokół niego coraz gęściej. W końcu uśmiechnął się z wahaniem. Popularna prasa nie lubi, gdy wyrzuca się ją kopniakiem z domu jakiegoś wsioka, pomyślał. Schował wycinek do koperty i włożył ją wraz z resztą poczty do tylnej kieszeni spodni.

- Dees - powiedział głośno. - Mam nadzieję, że ciągle masz siniaki na tyłku.

Herba już to tak nie rozbawiło. Przeczytał wycinek, a później z obrzydzeniem rzucił go na kuchenny stół.

- Powinieneś zaskarżyć tego sukinsyna. To oszczerstwo, Johnny. Typowe fałszywe oskarżenie.

- Zgoda i jeszcze raz zgoda - powiedział Johnny. Na dworze było już ciemno. Śnieg, padający spokojnie po południu, przerodził się w nocną, zimową zamieć. Wiatr wył i grał na parapetach okien. Podjazd znikł pod zaspami przypominającymi wydmy. - Ale rozmawialiśmy bez świadków i ten cholerny Dees doskonale o tym wie. Jego słowo przeciw mojemu.

- Nie miał nawet tyle odwagi, żeby podpisać się pod tymi łgarstwami. Tylko popatrz: „współpracownik *Inside View*”. Jaki współpracownik? Należy zmusić go do podania źródła, tylko to powiem.

- Och i właśnie tego nie da się zrobić. - Johnny uśmiechnął się. - To jak spacerowanie najgorszą ulicą w mieście z wielką łatą w kroku, na której jest napisane: KOPNIJ TU! Zaraz robią z tego świętą wojnę, pierwsza strona i tak dalej. Nie, dziękuję. Jeśli o mnie chodzi, to oddali mi przysługę. Nie mam zamiaru zarabiać na podpowiadaniu ludziom, gdzie ich babcia schowała akcje albo kto wygra czwartą gonitwę w Scarborough Downs. Albo trafi w loterii. - Jedną z rzeczy, które najbardziej zaskoczyły Johnny'ego, kiedy obudził się ze śpiączki, było odkrycie, że Maine i kilkanaście innych stanów zalegalizowały u siebie gry liczbowe. - W zeszłym miesiącu dostałem szesnaście listów od ludzi, którzy chcieli, żebym im podał wygrywający numer. To szaleństwo! Nawet gdybym im go podał, czego nie mogę, to co by z tego mieli? W loterii Maine nie możesz sobie wybrać numeru, dostajesz ten, który ci dają. A ludzie ciągle piszą listy.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym gównianym artykułem.

- Jeśli zacznę uchodzić za oszusta, to może ludzie zostawią mnie w spokoju.

- Ach! - westchnął Herb. - Tak, teraz rozumiem. - Zapalił fajkę. - Nigdy nie czułeś się z tym dobrze, prawda?

- Nie - powiedział Johnny. -I nie rozmawialiśmy o tym, co sprawia mi sporą ulgę. Mam wrażenie, że inni nie pragną niczego bardziej, niż gadać. -I nie chodziło mu tylko o rozmowy, te wcale by go tak nie martwiły. Ale kiedy kupował u Slocuma piwo albo chleb, dziewczyna przy kasie próbowała wziąć od niego pieniądze tak, żeby go nie dotknąć; jej wystraszone, spłoszone spojrzenie nie zostawiało żadnych wątpliwości, czego się boi. Przyjaciele ojca kiwali mu głową na powitanie, nie podając ręki. W październiku Herb wynajął dziewczynę z miejscowego liceum, żeby przychodziła posprzątać raz na tydzień. Po trzech tygodniach dziewczyna zrezygnowała, nie podając najmniejszego powodu - pewnie któraś z koleżanek uświadomiła jej, u kogo sprząta. Johnny miał wrażenie, że na każdego pragnącego, by go dotknęto, by mu coś powiedziano, wypada ktoś, kto traktuje go jak trędowatego. W takich chwilach wspominał zawsze pielęgniarki, przyglądające mu się jak wrony siedzące na drutach telefonicznych tego dnia, kiedy powiedział Eileen Magown o pożarze jej domu. Myślał o tym, jak dziennikarz z telewizji odsunął się od niego po konferencji prasowej; zgadzał się ze wszystkim, co powiedział Johnny, ale nie chciał, by go dotknąć. I jedni, i drudzy ludzie byli chorzy.

- Nie, nie rozmawialiśmy - zgodził się Herb. - Chyba za bardzo przypomina mi to twoją matkę. Była taka pewna, że masz to... cokolwiek to jest... z jakiegoś powodu. Czasami myślę, że się myliła.

Johnny wzruszył ramionami.

- Pragnę jedynie żyć normalnie. Chcę o wszystkim zapomnieć. A jeśli to nędzne kłamstwo mi w tym pomoże, tym lepiej.

- Ale ciągle potrafisz to robić, prawda? - zapytał Herb. Przyglądał się synowi uważnie.

Johnny pomyślał o wieczorze sprzed niespełna tygodnia. Poszli razem na kolację, co nie zdarzało się często przy ich napiętym budzecie. Pojechali do Gray, do „Farmy Cole'a” - prawdopodobnie najlepszej restauracji w okolicy, wszystkie stoliki były tam zawsze zajęte. Wieczór był zimny, a sala ciepła i pogodna. Johnny zabrał płaszcz do szatni i kiedy grzebał w ubraniach, szukając wolnego wieszaka, przez głowę przeleciała mu seria jasnych obrazów. Zdarzało się tak czasami, a czasami mógł trzymać każdą sztukę przez dwadzieścia minut i nie zobaczyć nic. Był tam damski płaszcz z futrzanym kołnierzem. Kobieta miała romans z jednym z przyjaciół, z którym jej mąż grywał w pokera, bała się strasznie, ale nie wiedziała, jak z tym skończyć. Dżinsowa męska kurtka... ten

mężczyzna też się bał - o brata, który przed tygodniem został ciężko ranny w wypadku na budowie. Chłopięcy kożuszek - babcia w Durham właśnie dziś dała mu tranzystorowe radio w kształcie Snoopy'ego i chłopiec był wściekły, bo ojciec nie pozwolił mu zabrać tego radia do restauracji. I kolejny - zwykły, czarny płaszcz, który nappełnił go obezwładniającym strachem i odebrał mu apetyt. Mężczyzna, który nosił ten płaszcz, z wolna wariował. Do tej pory udawało mu się to ukryć - nawet żona niczego nie podejrzewała - ale jego wizja świata stale ciemniała pod wpływem serii coraz bardziej paranoicznych fantazji. Dotknięcie tego płaszcza było jak wsadzenie ręki w gniazdo wijących się węży.

- Tak, ciągle potrafię to robić - odparł krótko Johnny. - I bardzo chciałbym nie potrafić.

- Mówisz serio?

Johnny pomyślał o czarnym płaszczu. Grzebał tylko w jedzeniu, rozglądając się naokoło, próbując bezskutecznie wyodrębnić tego człowieka z tłumu.

- Tak. Mówię serio.

- Więc lepiej o wszystkim zapomnieć - stwierdził Herb i klepnął syna w plecy.

3

Przez następny miesiąc mogło się wydawać, że wszystko zostanie zapomniane. Johnny pojechał na północ na spotkanie z nauczycielami zaczynającymi pracę w szkole od połowy roku i przewiózł swoje rzeczy osobiste do nowego mieszkania, małego, lecz przyjemnego.

Pojechał samochodem ojca. Tuż przed wyjazdem Herb zapytał go:

- Nie denerwujesz się, kiedy siadasz za kierownicą?

Johnny potrząsnął głową. Już prawie nie myślał o wypadku. Jeśli coś jest mu pisane, to tak czy owak się zdarzy. Nabrał jednak przekonania, że błyskawica nie uderza dwa razy w to samo miejsce; nie wierzył, by miał zginąć w wypadku samochodowym.

W rzeczywistości długa podróż przebiegła spokojnie, ukoiliła nerwy, a spotkanie przypominało po trosze zebranie starych kumpli. Jego dawni przyjaciele podchodzili i życzyli mu wszystkiego najlepszego, lecz Johnny nie mógł przeoczyć faktu, jak niewielu podało mu rękę, a ponadto wyczuł pewną rezerwę, widoczną w ich spojrzeniach. Kiedy wracał do domu, starał się przekonać sam siebie, że to tylko wyobraźnia. A jeśli nie... cóż, miało to także swą zabawną stronę. Gdyby czytali *Inside View*, wiedzieliby przecież, że jest oszustem i nie mają się czego bać.

Po zebraniu nie miał już nic do roboty; pozostało mu więc wrócić do Pownal i czekać na koniec ferii świątecznych. Paczki z przedmiotami osobistymi raptownie przestały przychodzić - powiedział ojcu, że taka jest potęga prasy. Zamiast nich pojawiły się gniewne i w większości anonimowe listy od ludzi, którzy czuli się osobiście oszukani.

Powinieneś smarzyć się w P!IE!K!L!E! za nendzne pruby oszókania Obywateli Republiki Ameryki - głosił jeden z bardziej typowych, napisany na pogniecionej kartce z firmowej papeterii hotelu Ramada Inn i wysłany w York, stan Pensylwania. Jesteś nędznym oszukańcem i wstrętnym obrzydliwym oszustem. Powinieneś Pan wstydić się za siebie. Biblia muwi, rze zwykły grzesznik wrzucony zostanie w Jezioro O!G!N!IA i spłonie, ale FAŁSZYWY P!R!O!F!IT będzie plunąć zawsze i W!IE!C!Z!N!IE! To Pan jesteś' FAŁSZYWY PROFIT ktury sprzedał swą nieśmiertelną dusze za parę tanich docłów. To jest koniec mojego listu i w Pańskim interesie mam nadzieje, rze nigdy nie dorwę Pana na ulicy Pańskiego Miasteczka. Podpisane: PRZYJACIEL (nie Pana, ale Boga, Szanowny Panie)!

W ciągu trzech tygodni od chwili publikacji artykułu w *Inside View* pojawiło się mnóstwo listów o podobnej treści. Kilku wielbicieli prywatnej inicjatywy wyraziło ochotę współpracy z Johnnym na zasadzie udziału w zyskach. Jeden z nich poinformował go: *Byłem asystentem iluzjonisty i potrafię podstępem ściągnąć majtki nawet z doświadczonej kurwy. Jeśli planuje pan występy w charakterze jasnowidza, potrzebuje pan właśnie mnie!*

A później listy przestały przychodzić, dokładnie tak, jak wcześniej paczki. Pewnego dnia, pod koniec listopada, gdy Johnny wracał ze spaceru po pocztę, a skrzynka już trzeci dzień świeciła pustką, przypomniał sobie przepowiednie Andy'ego Warhola, jak to nadejdzie dzień, kiedy każdy Amerykanin będzie sławny przez piętnaście minut. Najwyraźniej jego piętnaście minut właśnie minęło, i nie było na świecie człowieka, który byłby z tego powodu szczęśliwszy od niego.

Ale okazało się, że to wcale nie koniec.

4

- Smith? - zapytał głos w słuchawce. - John Smith?
- Tak. - Nie znał tego głosu. Nie była to także pomyłka. A to zagadka; trzy miesiące temu Herb zastrzegł ich numer telefonu. Był siedemnasty grudnia, w rogu pokoju, na stojaku, który ojciec zrobił, gdy Johnny był jeszcze dzieckiem, stała choinka. Na dworze padał śnieg.
- Nazywam się Bannerman. Szeryf George Bannerman z Castle Rock. - Mężczyzna odchrząknął.
- Chciałbym... znaczy, myślę, że pan nazwałby to propozycją.
- Skąd ma pan mój numer telefonu? Bannerman znów odchrząknął.
- Nooo, mógłbym go dostać od firmy telefonicznej, biorąc pod uwagę, że to sprawa urzędowa, ale w rzeczywistości dostałem go od pańskiego przyjaciela. Od lekarza nazwiskiem Weizak.
- Sam Weizak dał panu mój numer telefonu?
- Tak jest.
- Johnny siedział w norce telefonicznej, całkowicie ogłupiały. Właśnie przypomniał sobie, skąd zna nazwisko Bannermana. Natknął się na nie niedawno, w niedzielnym dodatku do którejś z gazet. Szeryf hrabstwa Castle znajdującego się ładny kawałek drogi na zachód od Pownal, na Pojezierzu. Castle Rock było siedzibą hrabstwa, odległą o jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Norway i niecałe trzydzieści od Bridgton.
- Sprawa urzędowa?
- Tak, sądzę, że tak pan by to nazwał. Myślałem właśnie, że moglibyśmy się spotkać na kawie...
- Czy to dotyczy Sama?
- Nie, zupełnie nie. Doktor Weizak zadzwonił do mnie i wspomniał o panu. To było... no, co najmniej miesiąc temu. Szczerze mówiąc, pomyślałem, że ma fioła. Ale teraz wysłuchamy nawet wariata.
- W jakiej sprawie? Panie... szeryfie Bannerman, nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Naprawdę byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy mogli się gdzieś spotkać. Może dziś wieczorem? Na głównej drodze z Brighton jest takie miejsce, nazywa się „U Jona”. To mniej więcej w połowie drogi między pańskim miasteczkiem i moim.
- Przykro mi, ale nie. Muszę najpierw wiedzieć, o co tu chodzi. I jak to się stało, że Sam nie zadzwonił do mnie? Bannerman westchnął.
- Przypuszczam, że należy pan do ludzi, którzy nie czytają gazet?
- To nie była prawda. Od czasu odzyskania przytomności Johnny czytał co tylko się dało, starając się dowiedzieć o wszystkim, co stracił. I niedawno widział w gazecie nazwisko Ban-nermana. Jasne. Bannermanowi ktoś rozpałił ognisko pod fotelem. Bannerman zajmował się...
- Johnny odsunął słuchawkę od ucha i spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem. Przyglądał się jej, jakby była wężem, który nagle okazał się jadowity.
- Panie Smith - zaskrzeczała cienko słuchawka. - Halo, panie Smith!
- Jestem - powiedział Johnny. Był świadom gniewu, który ogarnął go na myśl o Samie Weizaku, Samie, który na wiosnę radził mu nie wychylać się, a potem wygadał się lokalnemu szeryfowi. .. za jego plecami.
- Chodzi o tego dusiciela, prawda?
- Przez dłuższą chwilę Bannerman nie odpowiadał.
- Czy możemy porozmawiać, panie Smith?
- Nie. Nie możemy. - Gniew zmienił się w gwałtowną furję. Furię i coś jeszcze. Johnny bał się.
- Panie Smith, to ważne. Dzisiaj...
- Nie! Dajcie mi spokój. A poza tym, nie czyta pan tego cholernego *Inside View*? Przecież jestem oszustem!
- Doktor Weizak powiedział...
- Nie miał prawa nic nikomu mówić! - krzyknął Johnny. Drżał na całym ciele. - Żegnam! - Rzucił słuchawkę na widełki i szybko umknął z norki, jakby w ten sposób mógł uchronić się przed kolejnym telefonem. Czuł w skroniach pierwsze oznaki migreny. Głuchy ból, jakby ktoś wiercił mu w mózgu świdrem. Może powinienem zadzwonić do matki Weizaka, do Kalifornii, i zawiadomić ją, gdzie znalazł się jej ukochany synek. Powiedzieć, żeby do niego zadzwoniła. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Ale - zamiast dzwonić do Kalifornii - wyciągnął notes z szuflady stolika, odszukał w nim telefon gabinetu Sama w Bagnor i wykręcił numer. Kiedy usłyszał sygnał, odwiesił słuchawkę, przestraszony. Dlaczego Sam mu to zrobił? Czemu, do jasnej cholery!

Rozmyślając przyglądał się choince.

Te same stare bombki i łańcuchy. Zaledwie dwa dni temu znów zdjęli je ze strychu, znieśli na dół, odwinęli z ligniny i powiesili. Śmieszna rzecz te bombki i łańcuchy. Mało jest rzeczy, które nie zmieniają się przez lata, w miarę jak dorastają ludzie. Niewiele jest rzeczy, które mogą ci służyć zarówno wtedy, kiedy jesteś dzieckiem, jak i wtedy, kiedy stajesz się dorosły. Dziecinne ubranka wręczono (albo wysłano) Armii Zbawienia, w zegarku z Kaczorem Donaldem pękła sprężyna, czerwone kowbojskie buty zniszczyły się i zostały zapomniane. Portfel zrobiony na pierwszych zajęciach z prac ręcznych zastąpiony został tym drogim, ze świńskiej skóry; czerwony wózek i rower wymieniłeś na zabawki dla dorosłych: samochód, rakietę tenisową, może jedną lub dwie z tych nowych gier telewizyjnych. Pozostało zaledwie parę drobiazgów. Kilka książek, pieniędzy na szczęście, kolekcja znaczków zachowana przez lata i wzbogacona.

Dodaj do tego zabawki na choinkę w mieszkaniu rodziców.

Co roku pojawiają się te same sfatygowane aniołki, ta sama gwiazda ze sreberka, ostatni pluton pozostały z całego batalionu bombek (i nigdy nie zapominamy o naszych drogich zmarłych, pomyślał Johnny: ta poległa z zaciśniętej piąstki dziecka, ta wyślizgnęła się tacie z ręki i roztrzaskała o podłogę, ta czerwona, z wymalowaną Gwiazdą Betlejemską, po prostu i bardzo tajemniczo okazała się pęknięta, kiedy zdjęliśmy pudło ze strychu, popłakałem się wtedy), ocalał nawet ten sam stojaczek na choinkę. Ale czasami, myślał Johnny, machinalnie masując sobie skronie, byłoby lepiej, gdyby człowiek rozstał się nawet z tymi ostatnimi strzępkami dzieciństwa. Książki, które kiedyś budziły tak wielkie emocje, nigdy ich już więcej nie obudzą. Pieniązek na szczęście nie ochronił przed zwykłymi zmartwieniami i utrapieniami codziennego życia. A kiedy patrzysz na choinkowe ozdoby, przypominasz sobie, że niedawo była tu matka, nadzorująca ubieranie drzewka i zawsze gotowa doprowadzić cię do furii mówiąc: „trochę wyżej”, „nie, trochę niżej” albo „chyba dałeś za dużo anielskich włosów po lewej, kochanie”. Patrzysz na ozdoby i myślisz, że teraz tylko was dwóch ubiera choinkę, tylko was dwóch, bo matka najpierw oszalała, a potem umarła, a delikatne ozdóbki choinkowe pozostały, wiszą tu, na kolejnym drzewku wyciętym z małego lasu za domem... Czy przypadkiem nie mówi się, że na Boże Narodzenie ludzie najczęściej popełniają samobójstwa? Na Boga, nie ma się czemu dziwić!

Jaką mocą obdarzył cię Bóg, Johnny.

Tak, racja, Bóg jest doprawdy wielkoduszny jak cholera! Wyrzucił mnie przez przednią szybę taksówki, połamałem nogi, spędziłem pięć lat w szpitalu i zginęło troje ludzi. Dziewczyna, którą kochałem, wyszła za mąż. Ma syna, który powinien być mój, zaś jego ojcem jest człowiek, który staje na głowie, żeby dorwać się do Waszyngtonu i pobawić się wielką kolejką elektryczną. Jeśli nie siądę, po kilku godzinach mam wrażenie, że ktoś wbił mi w stopy gwoździe sięgające jaj. Bóg to genialny facet! Taki fajny, bo poskładał do kupy zabawny świat, w którym kilka szklanych, choinkowych bombek żyje dłużej niż człowiek. Fajny świat i kieruje nim pierwszorzędny Bóg. W Wietnamie musiał być po naszej stronie, bo przecież tak rządził światem od samiotkiego początku.

Ma dla ciebie zadanie, Johnny.

Wyciągnąć z gówna jakiegoś trzeciorzędnego szeryfa, żeby zdobył sobie głosy w przyszłorocznych wyborach.

Nie uciekaj przed nim, Johnny. Nie kryj się w jaskini.

Johnny pomasował skronie. Za oknem wzmagał się wiatr. Miał nadzieję, że tata będzie prowadził ostrożnie.

Wstał, naciągnął gruby sweter. Poszedł do szopy, patrząc na zamarzające w powietrzu odrobiny wody z jego oddechu. Po lewej stronie od wejścia było drewno, które zaledwie jesienią porąbał w zgrabne polana o długości odpowiedniej do pieca. Obok drewna leżały szczapki na podpałkę, a za nimi stos starych gazet. Johnny przykucnął i zaczął je przerzucać. Z chłodu szybko stracił czucie w rękach, ale nie przerywał, i w końcu znalazł to, czego szukał. Niedzielną gazetę sprzed trzech tygodni.

Zabrał ją ze sobą do domu, położył na kuchennym stole, przejrzał. Na trzeciej stronie był artykuł, który go interesował. Rozsiadł się wygodnie i zaczął czytać.

Artykułowi towarzyszyło kilka zdjęć; na jednym z nich stara kobieta zamykała drzwi na klucz, na innym policyjny radiowóz jechał prawie pustą ulicą, kilka następnych pokazywało opuszczone sklepy

i kawiarnie. Tytuł głosił: „POLOWANIE NA DUSICIELA Z CASTLE ROCK TRWA... I TRWA... I TRWA...”

Według materiału pięć lat temu młoda kobieta nazwiskiem Alma Frechette, kelnerka w miejscowej restauracji, została zgwałcona i uduszona, kiedy wracała z pracy do domu. Śledztwo w tej sprawie prowadziły wspólnie biuro prokuratora stanowego i biuro szeryfa z Castle Rock - z zerowym rezultatem. Rok później, w małym mieszkanku na trzecim piętrze przy Carbine Street w Castle Rock znaleziono zwłoki starszej kobiety, także zgwałconej i uduszonej. Po miesiącu zdarzyło się kolejne morderstwo - tym razem ofiarą była zdolna uczennica niższych klas liceum.

Śledztwo nabrało tempa. Zrobiono użytek z laboratoriów śledczych FBI, ale bez żadnego efektu. W październiku szeryf Carl M. Kelso, piastujący ten urząd w hrabstwie mniej więcej od czasów Wojny Domowej, przegrał wybory na korzyść George'a Bannermana, głównie dzięki agresywnej kampanii, prowadzonej pod hasłem: „Złapać Dusiciela z Castle Rock”.

Minęły dwa lata. Dusiciela co prawda nie złapano, ale nie zdarzyły się także kolejne morderstwa. Nagle, w styczniu tego roku, dwaj mali chłopcy odkryli ciało siedemnastoletniej Carol Dunbarger. Zaginięcie dziewczyny zgłosili wcześniej jej rodzice. Mała miała pewne kłopoty w liceum w Castle Rock, uważano ją tam za wagarowniczkę; powtarzała klasę, dwukrotnie złapano ją na kradzieży w sklepie, raz już uciekła z domu i dotarła aż do Bostonu. I Bannerman, i policja stanowa przypuszczali, że łapała okazję i trafiła na mordercę. W środku zimy, podczas odwilży, chłopcy znaleźli jej zwłoki przy potoku Strimmera. Stanowy patolog określił, że nie żyła mniej więcej od dwóch miesięcy.

A później, w październiku tego samego roku, zdarzyło się następne morderstwo. Ofiarą była bardzo lubiana w Castle Rock nauczycielka szkoły podstawowej, Etta Ringgold. Etta od urodzenia należała do miejscowego kościoła metodystów, miała stopień magistra nauczania początkowego, była zaangażowana w działalność dobroczynną - przynajmniej na skalę hrabstwa. Lubiła wiersze Roberta Browninga. Jej ciało znaleziono wciśnięte w rurę kanalizacyjną biegnącą pod gruntową, lokalną drogą.

Morderstwo Etty Ringgold odbiło się głośnie echem po całej Nowej Anglii. Gwałciciela z Castle Rock porównywano z Albertem DeSalvo, Dusicielem z Bostonu - i to porównanie bynajmniej nie uspokoiło wzburzonych mieszkańców. *Union Leader* Williama Loeba z nie tak znowu odległego Manchesteru, stan New Hampshire, dolał oliwy do ognia artykułem redakcyjnym pod wymownym tytułem: LENIWE GLINY W NASZYM SIOSTRZANYM STANIE.

Artykuł z niedzielnego dodatku, mający już ze sześć tygodni, śmierdzący wyraźnie szopą i drewnem, cytował dwóch miejscowych psychiatrów, którzy ochoczo zdecydowali się wyjaśnić sprawę czytelnikom pod warunkiem, że nikt nie wymieni ich nazwisk. Jeden z nich wspominał o szczególnym zboczeniu seksualnym: konieczności popełnienia czynu gwałtownego w momencie orgazmu. Fajny facet, pomyślał Johnny i skrzywił się. Uduślił je w momencie, kiedy miał wytrysk. Głowa bolała go coraz bardziej.

Drugi jajogłowy poddał pod rozwałkę fakt następujący: wszystkie pięć morderstw popełniono późną jesienią lub zimą. Wprawdzie osobowości maniakalno-depresyjnej nie da się ująć w żadne ścisłe wzorce, wiadomo jednak, że osoby chore cierpią na zmiany nastrojów ściśle odpowiadające zmianie pór roku. Być może nasz morderca „zimuje” od połowy kwietnia do mniej więcej końca sierpnia, a potem przeżywa okres „wzlotu” ze szczytem przypadającym mniej więcej na czas popełnienia morderstw.

W czasie wzlotu, czasie szaleństwa, dana osoba miałaby być ruchliwa, aktywna, śmiała i pełna optymizmu. Miała „żyć w przekonaniu, że policja nigdy nie zdoła jej schwytać” - konkludował anonimowy psychiatra. Artykuł kończył się stwierdzeniem, że - jak na razie - dana osoba miała absolutną rację.

Johnny odłożył gazetę, spojrzął na zegarek i stwierdził, że ojciec powinien właśnie dojeżdżać do domu, chyba że powstrzymała go zła pogoda. Wyniósł gazety do pudła, z którego prędzej czy później trafią do pieca.

To nie moja sprawa. I niech szlag trafi Sama Weizaka.

Nie kryj się w jaskini, Johnny.

Przecież nie krył się w jaskini, a w ogóle nie o to tu chodzi. Po prostu tak się złożyło, że akurat było mu ciężko. Kiedy straciłeś cały kawał życia, to przecież możesz mieć chandrę, prawda?

I możesz uważać się nad sobą.

Pieprz się, mruknął Johnny sam do siebie. Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Nie zobaczył niczego ciekawego, ot, śnieg i wiatr, normalna zimowa aura. Mógł tylko spodziewać się, że tata będzie

prowadził ostrożnie, wkrótce pojawi się w domu i skończy z tymi bezsensownymi wspominkami. Znowu podszedł do telefonu i stał tam, nie mogąc się zdecydować.

Być może rzeczywiście uważał się nad sobą, lecz *naprawdę* stracił cholerny kawał życia. *Najlepszy* kawał, jeśli chcesz to nazwać po imieniu. I ciężko pracował, żeby wrócić do formy. Czy nie zasługiwał choć na odrobinę dyskrecji? Czy nie miał prawa do tego, o czym myślał zaledwie kilka chwil temu - do normalnego życia?

Człowieku, przecież coś takiego nie istnieje.

Może i nie, ale przecież istnieje coś takiego, jak nienormalne życie. Na przykład ta sprawa z „Farmą Cole'a”. Dotknąć płaszczy i nagle znać sekrety ludzi, ich obawy, ich nieważne sukcesy - to nie był normalny objaw. I nie był to talent. Już raczej przekleństwo.

Przypuśćmy, że spotka się z szeryfem. Nie ma żadnej gwarancji, że potrafi odpowiedzieć na jego pytania. A co, jeśli potrafi? Przypuśćmy, że poda mu mordercę na srebrnej tacy. Wtedy znowu czeka go konferencja prasowa, cyrk podniesiony do n-tej potęgi.

Przez obolałą głowę przeleciały mu słowa dziecinniej piosenki, powtarzane w szaleńczym rytmie. Piosenki śpiewanej w szkółce niedzielnej:

*Moje maleńkie światło,
Jak może niechaj świeci,
Moje maleńkie światło,
Jak może niechaj świeci
Jak może niechaj świeci
Jak może niechaj świeci...*

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer gabinetu Weizaka. Nic na tym nie traci; przecież minęła piąta. Lekarz pewnie pojechał już do domu, a wielcy panowie neurochirurdzy nie podają domowych numerów w książkach telefonicznych. Johnny usłyszał kilka długich sygnałów i chciał odłożyć słuchawkę, kiedy Sam odezwał się:

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Sam?

- John Smith? - Nic nie maskowało radości w głosie Weizaka ... oraz niepewności.

- Tak, to ja.

- I co myślisz o tej zamieci? Chyba pada tam, u ciebie?

- Pada.

- Tu zaczęło się mniej więcej przed godziną. Mówią, że... Johnny? To przez szeryfa? To dlatego jesteś taki chłodny?

- No, szeryf zadzwonił - powiedział Johnny - i tak się zastanawiałem, co się właściwie stało? Dlaczego mu o mnie powiedziałaś. Dlaczego nie zadzwoniłaś i nie poinformowałaś mnie, że dałaś mu mój numer telefonu... i dlaczego nie zadzwoniłaś i nie zapytałaś, czy m o ż e s z dać mu mój numer telefonu? Weizak westchnął.

- Johnny, w tej chwili mógłbym ci nakłamać, ale to nie doprowadziłoby do niczego, prawda? Nie zapytałem, bo bałem się, że się nie zgodzisz. I nie uprzedziłem cię, bo szeryf mnie wyśmiał. A kiedy ktoś wyśmiewa moją radę, to zakładam, że nie ma zamiaru się do niej stosować, nie?

Johnny wolną ręką pomasaował obolałą skroń i przymknął oczy.

- Ale dlaczego, Sam? Wiesz, jakie jest moje zdanie na ten temat. Przecież to ty radziłaś mi, żebym przeczekał. Użyłaś tego właśnie słowa!

- To przez ten artykuł w gazecie - wyjaśnił Sam. - Pomyślałem sobie: „To mniej więcej tam, gdzie mieszka Johnny”. I powiedziałem sobie: „Pięć martwych kobiet. Pięć”. - Głos Sama brzmiał niepewnie, czuć było w nim wahanie, a nawet wstyd. Johnny poczuł się zdecydowanie gorzej, słysząc t a k i e g o Sama. Żałował, że w ogóle do niego zadzwonił.

- A dwie z nich to jeszcze nastolatki. Młoda matka. Nauczycielka z podstawówki, która przepadała za Browningiem. Takie to wszystko prowincjonalne, nie? Takie wsiowe, że nie powstałby z tego film, nawet dla telewizji. Ale mimo wszystko prawdziwe. Najwięcej myślałem o nauczycielce. Wsadził ją w rurę kanalizacyjną jak torbę ze śmieciami...

- Nie miałaś prawa leczyć się mną z jakichś swoich win - powiedział Johnny ochryple.

- Nie. Chyba nie.

- Tu nie ma żadnego chyba!

- Johnny, dobrze się czujesz? Mówisz, jakby...

- Dobrze się czuję! - wrzasnął Johnny.

- Nie sądzę.

- Mam cholerną, pieprzoną migrenę, dziwi cię to? Do diabła, dlaczego odgrzebałeś to wszystko? Kiedy ci powiedziałem o matce, wcale do niej nie zadzwoniłeś. Mówiłeś, że...

- Mówiłem, że czasami lepiej zgubić niż znaleźć. Ale to nie zawsze prawda, Johnny. Ten człowiek, kimkolwiek jest, to strasznie chora osoba. Może sam się zabić. Jestem pewien, że kiedy morderstwa ustały na dwa lata, policja tak właśnie sobie pomyślała. Ale w depresji maniakalnej istnieją czasami długie przerwy - nazywamy to „płaszczyzną normalności” - a później chory wraca do swych zwykłych, zmiennych humorów. Mógł popełnić samobójstwo po zabicu tej nauczycielki miesiąc temu. To znowu tylko przypuszczenie, bo jeśli nie, to co? Może spróbować znowu. I znowu. I znowu. Albo...

- Zamknij się!

- Dlaczego szeryf w końcu do ciebie zadzwonił? - zastanowił się głośno Sam. - Czemu zmienił zdanie?

- Nie mam pojęcia. Pewnie wyborcy go przycisnęli.

- Przykro mi, że z nim gadałem, Johnny, i że tak gwałtownie na to zareagowałeś. Ale jeszcze bardziej żałuję, że nie zadzwoniłem do ciebie i nie powiedziałem, co zamierzam. Myliłem się. Jeden Bóg wie, że masz prawo do spokojnego życia.

Johnny usłyszał w tych słowach echo własnych myśli i wcale nie poprawiło mu to samopoczucia. Tak naprawdę, dopiero teraz uświadomił sobie, że jest żaloszny i że to wszystko jego wina.

- Nie szkodzi - powiedział. - Dobrze zrobiłeś, Sam.

- Już nigdy tego nie powtórzę. Obiecuję. Wyjawiłem sekret. Nie najlepiej to o mnie świadczy, biorąc pod uwagę, że jestem lekarzem.

- Nic nie szkodzi. - Johnny powtórzył te słowa, albowiem wstyd w głosie Sama Weizaka tylko pogarszał sprawę.

- Zobaczą cię jeszcze?-zapytał Sam.

- W przyszłym miesiącu zacznę uczyć w Cleaves. Wpadnę do ciebie.

- Świetnie. Jeszcze raz najmocniej przepraszam, Johnny.

Tylko znów tego nie powtarzaj!

Pożegnali się. Johnny odwiesił słuchawkę. Żałował, że zadzwonił do Weizaka. Być może nie chciał, żeby Sam od razu przyznał się do popełnienia błędu. Może w rzeczywistości chciał usłyszeć od niego: „Jasne! Zadzwoniłem do szeryfa! Chciałem, żebyś w końcu ruszył dupę!”

Johnny podszedł do okna i spojrzął w ciemność.

Wciśnięta w rurę jak torba śmieci.

Jezu, jak strasznie bolała go głowa!

5

Herb wrócił do domu pół godziny później. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na bladą twarz Johnny'ego.

- Migrena?

- Tak.

- Silna?

- Taka sobie.

- Powinniśmy obejrzeć wiadomości - stwierdził Herb. - Dobrze, że przyjechałem na czas. Dziś po południu w Castle Rock pojawiła się kupa ludzi z NBC z kamerami. Była z nimi dziennikarka, która tak ci się podoba. Cassie Mackin.

Aż mrugnął ze zdumienia, widząc, jak Johnny obraca się na pięcie i patrzy na niego. Przez chwilę miał wrażenie, że twarz syna składa się z samych oczu, pełnych niehumanicznego bólu.

- Castle Rock? Kolejne morderstwo?

- Tak. Dziś rano w miejskim parku znaleźli dziewczynkę. Cholera, w życiu nie słyszałem czegoś potworniejszego. Musiała przejść przez park w drodze do biblioteki, bo potrzebowała jakichś książek. Dotarła na miejsce, ale nie wróciła do szkoły... Johnny, wyglądasz strasznie, synku.

- Ile miała lat?
- Zaledwie dziewięć - odparł Herb. - Moim zdaniem, faceta zdolnego do takiej ohydy należałoby powiesić za jaja.

- Dziewięć - powtórzył Johnny i usiadł. - A niech mnie...
- Johnny, czy na pewno dobrze się czujesz? Jesteś biały jak prześcieradło.
- Oczywiście. Włącz telewizor.

Wkrótce na ekranie pojawił się John Chancellor prezentujący wieści o politycznych aspiracjach niektórych polityków (kampania Freda Harrisa nie mogła jakoś wystartować), o ustawach rządowych (w amerykańskich miastach, zdaniem prezydenta Forda, muszą nauczyć się podstaw rachunkowości), wiadomości międzynarodowe (strajk generalny we Francji), informacje giełdowe (Dow Jones rósł) oraz „pogodną” historyjkę o chłopcu z porażeniem mózgowym, który opiekował się krową.

- Może to wycięli - powiedział Herb.
- Ale po reklamie Chancellor mówił dalej:

- W zachodnim Maine znajduje się miasteczko pełne ludzi przerażonych i zagniewanych, zwłaszcza dzisiejszego wieczora. Nazywa się Castle Rock; w ciągu ostatnich pięciu lat zdarzyło się tam pięć wstrętnych morderstw - pięć kobiet w wieku od czternastu do siedemdziesięciu jeden lat zostało zgwałconych i uduszonych. Dziś w Castle Rock odkryto szóste morderstwo. Jego ofiarą padła dziewięcioletnia dziewczynka. A oto Catherine Mackin, nasza specjalna wysłanniczka.

Pojawiła się dziennikarka, wyglądająca jak efekt specjalny starannie nałożony na kawałek rzeczywistego świata. Stała przed ratuszem, nieco z boku. Pierwsze płatki śniegu, który tego wieczora zamienił się w zamieć, zasypały kołnierz jej płaszcza i jasne włosy.

- W tym małym, przemysłowym miasteczku Nowej Anglii wyczuwa się dziś wieczorem wyraźnie narastającą histerię - mówiła właśnie. - Mieszkańcy Castle Rock od dłuższego czasu żyli w strachu z powodu osoby, którą lokalna prasa nazywa „Dusicielem z Castle Rock”, a czasami „Listopadowym Mordercą”. Obecnie niepokój zmienił się w przerażenie czy panikę - nikt tu nie sądzi, by określenie to było przesadzone - po odnalezieniu w miejskim parku, niedaleko estrady, ciała Mary Kate Hendrasen. W tym samym miejscu znaleziono ciało pierwszej ofiary Listopadowego Mordercy.

Na ekranie pokazano długie, panoramiczne ujęcie parku, ponurego, martwego w padającym śniegu. A po nim szkolne zdjęcie Mary Kate Hendrasen uśmiechającej się tak szeroko, że widać było metalowe klamry na jej ząbkach. Miała ładne jasno-blond włosy i jaskrawoniebieską sukienkę. To pewnie jej najlepsza sukienka, pomyślał zrozpaczony Johnny. Do szkolnego zdjęcia matka ubrała ją w wyjściową sukienkę.

Dziennikarka znów coś mówiła - opowiadała o poprzednich morderstwach - ale Johnny już jej nie słuchał. Wyszedł zadzwonić - najpierw do informacji, a później do ratusza w Castle Rock. Wykręcał numer powoli, w głowie słyszał łomot.

Herb wyszedł z dużego pokoju i przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Dokąd dzwonicz, synu?

Johnny potrząsnął głową i słuchał sygnału. Ktoś podniósł słuchawkę.

- Biuro szeryfa hrabstwa Castle.
- Poproszę z szeryfem Bannermanem.
- Czy mogę wiedzieć, kto mówi?
- John Smith z Pownal.
- Proszę chwileczkę zaczekać.

Johnny odwrócił się w stronę telewizora i zobaczył w nim Bannermana owiniętego w gruby kożuch z naszywkami na ramionach. Odpowiadał na pytania niezręcznie, w ogóle sprawiał wrażenie zmęczonego. Był potężnym mężczyzną o wielkiej, okrągłej głowie, pokrytej kręconymi włosami. Nosił okulary bez oprawki.

- Prowadzimy śledztwo w kilku różnych kierunkach - mówił Bannerman.
- Dzień dobry, panie Smith - powiedział Bannerman.

I znów to dziwne uczucie rozdwojenia. Bannerman był w dwóch miejscach naraz. W dwóch c z a s a c h naraz, jeśli ująć to w ten sposób. Johnny poczuł się nagle tak, jakby spadał z wielkiej wysokości. Poczul się, niech mu Bóg wybaczy, jakby siedział na diabelskim młynie albo w kolejce górskiej; karnawałowa jazda za pół ceny.

- Panie Smith? Czy pan tam jest?
- Tak. - Johnny przełknął ślinę. - Zmieniłem zdanie.

- Co za ulga! Cholernie miło mi to słyszeć.
- Być może nie zdołam panu pomóc.
- Wiem. Ale... trzeba grać, żeby wygrać. - Bannerman odchrząknął. - Wyrzuciliby mnie z tego miasteczka od razu, gdyby wiedzieli, że wzywam na pomoc jasnowidza.

Na twarzy Johnny'ego pojawił się nieśmiały uśmiech.

- I to skompromitowanego jasnowidza.
- Wie pan, gdzie jest „U Jona” w Bridgton?
- Znajdę.
- Możemy się tam spotkać o ósmej?
- Tak. Chyba tak.
- Dziękuję, panie Smith.
- Nie ma za co.

Johnny odłożył słuchawkę. Herb przyglądał mu się uważnie.

Na ekranie pojawiła się lista realizatorów *Wiadomości Wieczornych*.

- Dzwonił już do ciebie, prawda?
- Tak, po południu. Sam Weizak wspomniał mi, że może jestem w stanie pomóc.
- A jak sądzisz?
- Nie wiem - powiedział Johnny, a jego migrena jakby trochę ustępowała.

6

Spóźnił się do „Jona” w Bridgton piętnaście minut; restauracja była najwyraźniej jedynym lokalem przy głównej ulicy miasteczka, ciągle jeszcze otwartym. Pługi nie nadążały z uprzątnięciem śniegu, w kilku miejscach na drodze potworzyły się zasy. Na skrzyżowaniu szos 302 i 117 w porywistym wietrze chwiały się mrugający znak ostrzegawczy. Naprzeciw Jona stał policyjny radiowóz ze złotym liściem na drzwiach i napisem „SZERYF CASTLE COUNTY”. Johnny zaparkował obok i wszedł do środka.

Bannerman siedział przy stoliku, na którym stał kubek kawy i miska chili. Telewizyjny obraz wprowadzał w błąd - nie był potężnym, lecz wręcz ogromnym mężczyzną. Johnny podszedł, przedstawił się.

Szeryf wstał i potrząsnął jego dłonią. Patrząc na bladą, napiętą twarz przed sobą i na chude ciało Johnny'ego tonące w wielkiej, marynarskiej kurtce sztormowej, pomyślał najpierw: „Ten gość jest chory, może już długo nie pożyje”. Całe życie zdawało się skupiać w jego oczach - przenikliwych, szczerych, niebieskich, wpatrzonych w jego oczy z nie tajoną ciekawością. Kiedy spotkały się ich dłonie, Bannerman poczuł coś dziwnego (opisywał to później jako w y s y s a n i e). Przypominało szok po dotknięciu przewodu elektrycznego pod napięciem. I szybko minęło.

- Cieszę się, że pan przyjechał. Kawy?

- Proszę.

- A może porcję chili? Robią tu cholernie dobrą chili. Nie powinienem jej jeść z moimi wrzodami, ale jem. - Zobaczył zaskoczenie na twarzy Johnny'ego i uśmiechnął się. - Wiem, to jakoś głupio, żeby taki wielki facet jak ja miał wrzody, prawda?

- Chyba każdy może się ich dorobić.

- To prawda. Co sprawiło, że zmienił pan zdanie?

- Wiadomości. Ta dziewczynka. Jest pan pewien, że to ten sam facet?

- To ten sam gość. Działał tak samo. Ten sam rodzaj spermy. Do stolika podeszła kelnerka, Bannerman wpatrywał się w twarz Johnny'ego.

- Kawa? - zapytała.

- Herbata - odparł Johnny.

- I przynieś mu miskę chili - wtrącił szeryf, a kiedy kelnerka odeszła, mówił dalej: - Lekarz, Sam, on twierdzi, że jeśli pan czegoś dotknie, to czasami może pan wiele się dowiedzieć.

Johnny uśmiechnął się.

- Cóż - powiedział - potrząsnąłem tylko pana ręką i już wiem, że ma pan setera irlandzkiego wabiącego się Rusty. Jest stary, ślepie i pan sądzi, że należałoby go już uspić, ale nie wie pan, jak to wytłumaczyć córeczce.

Bannerman wypuścił łyżkę z ręki; wpadła w miskę chili - plum! Patrzył na rozmówcę z

otwartymi ustami.

- Na Boga! Dowiedział się pan tego ode mnie? Tu, teraz? Johnny przytaknął. Szeryf potrząsnął głową.

- Usłyszeć coś takiego to jedno, a... nie męczy to pana? Johnny spojrzał na Bannermana zaskoczony. Nigdy przedtem nikt nie zadał mu tego pytania.

- Tak. Tak, męczy.

- Ale pan wiedział. Niech mnie diabli!

- Szeryfie...

- George. Wystarczy George.

- Dobrze. Jestem Johnny. Wystarczy Johnny. George, to, czego o tobie nie wiem, wypełniłoby kilka tomów. Nie wiem, gdzie dorastałeś, gdzie chodziłeś do szkoły policyjnej, jakich masz przyjaciół, gdzie mieszkasz. Wiem natomiast, że masz córeczkę - chyba Cathy, ale nie jestem pewien. Nie wiem, co robiłeś w zeszłym tygodniu, jakie lubisz piwo i jaki jest twój ulubiony program w telewizji.

- Moja córka ma na imię Katrina - powiedział cicho Bannerman. - Też ma dziewięć lat. Chodziła do jednej klasy z Mary Kate.

- Próbuję powiedzieć, że moja „wiedza” bywa mocno ograniczona. Z powodu martwej strefy.

- Martwej strefy?

- Pewne sygnały nie przechodzą - tłumaczył Johnny. - Nigdy nie pamiętam nazw ulic i adresów. Z cyframi jest trudno, ale czasami się pojawiają. - Wróciła kelnerka z herbatą i chili. Johnny spróbował i skinął głową. - Miałaś rację. Jest dobra. Zwłaszcza w taką noc jak ta.

- To zajadaj. Człowieku, uwielbiam dobrą chili, mimo że wrzody wrzeszczą pod niebiosy. Pieprzcie się, mówię im. Jemy.

Na chwilę zapadło milczenie. Johnny pałaszował swoją porcję, a Bannerman przyglądał mu się z zainteresowaniem. Smith mógł dowiedzieć się, że ma psa imieniem Rusty, jak i tego, że Rusty jest stary i prawie ślepy. Pójdźmy krok dalej. Jeśli znał imię Katriny, mógł wymyślić to zdrobnienie - Cathy, żeby dodać sprawie właściwego posmaczku. Ale po co? Również nic nie tłumaczyło tego dziwnego przepływu energii, który poczuł w głowie, kiedy Smith dotknął jego ręki. Jeśli był oszustem, to cholernie dobrym.

Na dworze wiatr nabrał nagle mocy, z wyciem zatrzęsł całym budynkiem, aż zadrżały fundamenty. Śnieg uderzył w okna klubu bilardowego po drugiej stronie ulicy.

- Tylko posłuchaj! - powiedział szeryf. - Ma tak wiać przez całą noc. Niech mi nikt nie mówi, że zimy są coraz łagodniejsze.

- Macie coś, co należało do faceta, którego szukasz?

- Naszym zdaniem, tak. - Potrząsnął głową. - Ale to cholernie mało.

- Opowiedz.

Bannerman zaczął mówić. Szkoła podstawowa i biblioteka stały naprzeciw siebie po dwóch stronach parku. Posyłanie dzieci do biblioteki po książki potrzebne do wypracowania czy klasówki należało do zwyczaju. Nauczyciel dawał im karteczkę, którą podpisywał bibliotekarz. Pośrodku parku teren nieco opadał. Po zachodniej stronie zagłębienia zbudowano estradę. W samym zagłębieniu ustawiono ławki, na których siadali ludzie podczas koncertów albo zebrania klubu futbolowego.

- Sądzimy, że po prostu usiadł sobie i czekał na przechodzące dziecko. Nie sposób go było dostrzec z obu krańców parku. Ścieżka biegnie wzdłuż północnej krawędzi zagłębienia, niedaleko ławek. - Bannerman powoli potrząsnął głową. - Najgorszy ze wszystkiego jest fakt, że ta Frechette została zabita właśnie na estradzie. W marcu na zebraniu rady miejskiej będą mnie za to obrzucać gównem - to znaczy, jeśli doczekam marca. No, mogę im pokazać notatkę, którą napisałem do sekretarza rady, domagając się, żeby w czasie godzin lekcyjnych w parku dyżurował ktoś z dorosłych. Nie, żebym się wtedy obawiał mordercy, Chryste, nie! W najgorszych koszmarach nie spodziewałem się, że zabije po raz drugi w tym samym miejscu.

- Sekretarz nie kupił pomysłu z dyżurami?

- Z powodu braku funduszy - stwierdził Bannerman. - Oczywiście, może teraz zrzucić winę na wszystkich członków rady, oni z kolei oskarżą mnie, a grób Mary Kate Hendrasen po-rośnie trawą i... - przerwał, a raczej zakrzuszył się tym, co miał zamiar powiedzieć.

Johnny z sympatią przyglądał się jego pochylonej głowie.

- Być może nie zrobiłoby to żadnej różnicy - mówił dalej Bannerman spokojniejszym tonem. - Takie dyżury pełnią u nas zazwyczaj kobiety, a ten chuj, którego ścigamy, najwyraźniej nie zwraca

uwagi na to, czy są stare, czy młode.

- Czy myślisz, że czekał na którejś z ławek?

Szeryf tak właśnie uważał. Właśnie przy końcu jednej z ławek znalazł równy tuzin niedopałków papierosów i jeszcze cztery przy samej estradzie, razem z pudełkiem. Na nieszczęście były to marlboro - drugi czy trzeci najpopularniejszy gatunek w kraju. Celofan pudełka został całkowicie wyczyszczony ze śladów palców, nie znaleziono na nim ani jednego.

- Ani jednego? - zapytał Johnny. - Trochę dziwne, prawda?

- Dlaczego dziwne?

- No, można by przypuścić, że morderca miał na rękach rękawiczki - nie dlatego, że myślał o odciskach palców, ale ponieważ był mróz - jednak na przykład ktoś, kto sprzedał mu papierosy...

Bannerman uśmiechnął się.

- Masz łeb do tej roboty, ale widać, że sam nie palisz.

- Nie. Kiedy byłem na uniwersytecie, paliłem trochę, lecz po wypadku nie wróciłem do nałogu.

- Papierosy trzyma się w kieszeni na piersiach. Wyjmujesz paczkę, wyjmujesz papierosa, wkładasz paczkę z powrotem. Jeśli nosisz rękawiczki i nie zostawiasz nowych śladów za każdym razem, po prostu wycierasz je z celofanu. Rozumiesz? I pominąłeś jeszcze jedną sprawę, Johnny. Mam ci powiedzieć, jaką?

Johnny przemyślał to sobie, a później stwierdził:

- Może wyjął paczkę z kartonu. A kartony są pakowane maszynowo.

- W tym sęk. J e s t e ś dobry.

- A co z banderolą na paczce?

- Maine.

- Więc jeśli palacz i morderca to ta sama osoba... - powiedział z namysłem Johnny. Szeryf wzruszył ramionami.

- Naturalnie, jest techniczna możliwość, że nie. Ale próbowałem wyobrazić sobie kogoś, kto siedziałby na ławce w parku w zimny, pochmurny, zimowy ranek wystarczająco długo, by wypalić tuzin albo i więcej papierosów - i nie udało się.

Johnny napił się herbaty.

- Żadne z dzieci, które tamtędy przechodziły, nie zauważyło jakichś śladów?

- Niczego - odparł Bannerman. - Rozmawiałem ze wszystkimi, które tego dnia dostały karteczkę do biblioteki.

- To jeszcze dziwniejsze niż sprawa z odciskami. Nie uważasz?

- Cholernie mnie to przeraziło. Popatrz, facet siedzi sobie w parku i czeka na jedno dziecko - jedną dziewczynkę - koniecznie jedną. Słyszy idące dzieciaki. I za każdym razem chowa się za estradę...

- Ślady - powiedział Johnny.

- Nie dziś rano. Dziś rano nie było śniegu. Tylko zmarznięta ziemia. Więc siedzi tam sobie ten zwariowany skurwiol, któremu powinno się obciąć jaja i podać mu z nich obiad; siedzi tam i chowa się za estradą. Za dziesięć dziesiątą rano przechodzili tamtędy Peter Harrington i Melissa Loggings. Lekcje trwały wtedy od dwudziestu minut. Kiedy przeszli, wraca na ławkę. O dziesiątej piętnaście znów się chowa. Tym razem przed dwiema dziewczynkami, Susan Flarhaty i Katriną Bannerman. Johnny ze stukiem postawił kubek na stole. Bannerman zdjął okulary i czyścił je gwałtownymi ruchami.

- Twoja córka była tam dziś rano? Chryste!

Szeryf włożył okulary. Twarz miał nieruchomą, zarumienioną z wściekłości i - tak ! - strachu. Nie przed porażką w kolejnych wyborach albo że *Union Leader* napisze następny artykuł o durnych glińiarzach z zachodniego Maine, ale przed tym, co by się stało, gdyby jego córeczka poszła do biblioteki sama.

- Moja córka - potwierdził cicho Bannerman. - Była z dziesięć metrów od tego... tego zwierzaka. Wiesz, jak ja się czuję?

- Mogę się domyślić.

- Nie, nie możesz. Czuję się tak, jakbym otworzył drzwi na balkon, którego nie ma. Jakbym w ostatniej chwili zrezygnował z grzybka przy kolacji i dowiedział się, że ktoś inny zmarł od zatrucia muchomorem. I czuję się przez to brudny, obrzydliwie brudny. To wyjaśnia, dlaczego w końcu zadzwoniłem do ciebie. Teraz zrobię wszystko, żeby dorwać tego faceta. Absolutnie wszystko.

Za oknem pojawił się wielki, pomarańczowy pług jak monstrum z filmowego horroru. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn, weszli do „Jona” i usiedli przy barze. Johnny dopił herbatę. Stracił ochotę na chili.

- Facet wraca na ławkę - Bannerman powrócił do przerwanej wątku - ale nie na długo. Około dziewiętej dwadzieścia pięć słyszy, jak wracają chłopak Harringtonów i dziewczynka Logginsów, więc znów chowa się za estradę. Musiało być koło dziewiętej dwadzieścia pięć, bo w bibliotece podpisano im kartę o dziewiętej osiemnastu. O dziewiętej czterdzieści pięć estradę minęło kilku chłopców z piątej klasy. Jeden z nich „chyba” po drugiej stronie dostrzegł „jakiegoś gościa”. To cały opis. „Jakiś gość.” Powinniśmy puścić list gończy z takim opisem, nie uważasz? Strzeżcie się jakiegoś gościa. Roześmiał się nerwowo. Brzmiało to jak szczenięcie.

- Za pięć dziesiąta moja córka i jej przyjaciółka Susan minęły go, wracając do szkoły. A później, gdzieś pięć po dziesiątej, nadeszła Mary Kate Hendrasen... sama. Katrina i Sue spotkały ją na schodach, przy wyjściu ze szkoły. Powiedziały sobie „cześć”.

- Słodki Boże - mruknął Johnny. Przygładził ręką włosy.

- No i na koniec, o wpół do jedenastej, wracali z biblioteki trzej chłopcy z piątej klasy. Jednemu z nich zwidziało się, że coś leży na estradzie. To była Mary Kate, z porwanymi trykotami i majteczkami, z krwią na nogach, a na twarzy... na twarzy...

- Uspokój się. - Johnny położył rękę na ramieniu Bannermana.

- Nie potrafię się uspokoić. - Szeryf powiedział to niemal przeprasząco. - Nigdy nie widziałem niczego podobnego, a pracuję w policji od osiemnastu lat. Zgwałcił tę dziewczynkę i to wystarczyło... wystarczyło do... no, wiesz, żeby ją zabić... policyjny patolog powiedział, że on zrobił to tak... naderwał coś i... to prawdopodobnie by ją, no... zabiło... ale i tak jeszcze ją udusił. Miała dziewięć lat, uduszona i pozostawiona... pozostawiona na estradzie z porwanymi majteczkami.

Bannerman zaczął nagle płakać. Ukryte za okularami oczy wypełniły się łzami i łzy te dwoma strumyczkami spłynęły mu po policzkach. Przy barze dwaj faceci z zarządu dróg z Bridg-ton rozmawiali o superpucharze. Zdjął okulary i osuszył twarz chusteczką. Ramiona mu drżały, zgarbił się. Johnny czekał, bezmyślnie mieszając chili.

Po krótkiej chwili Bannerman odłożył chusteczkę. Oczy miał czerwone i Johnny pomyślał, jak przedziwnie naga jest bez okularów jego twarz.

- Przepraszam, chłopie - powiedział. - To był bardzo długi dzień.

- Nie ma za co.

- Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie, ale myślałem, że uda mi się wytrzymać, aż znajdę się w domu, z żoną.

- Przypuszczam, że po prostu za długo czekałeś.

- Umiesz słuchać. - Bannerman założył okulary. - Nie, to nie tylko to. W tobie jest coś. Niech mnie szlag, jeśli wiem co. Ale z pewnością coś.

- I to wszystko, od czego można by zacząć?

- Tak. Naskakują głównie na mnie, lecz policja stanowa też się nie popisała. Ani funkcjonariusze biura prokuratora okręgowego. Ani nasz pieszczołek z FBI. Mój patolog zdołał określić typ spermy, ale na tym etapie na nic się to nam nie przyda. Najbardziej niepokoi mnie brak włosów i kawałków skóry pod paznokciami ofiar. Przecież wszystkie musiały walczyć, a nie mamy nawet centymetra skóry. Facet może mieć sojusznika w diable! Nie zgubił guzika, listy zakupów, nie zostawił najmniejszego cholernego śladu. Dzięki prokuratorowi stanowemu gadaliśmy z psychiatrą z Augusta i gość twierdzi, że tacy zawsze się ujawniają. Prędzej czy później. Wielka mi pociecha! Co, jeśli ujawni się, powiedzmy, dwanaście trupów od dziś?

- Paczka papierosów jest w Castle Rock?

- Tak. Johnny wstał.

- No to jedziemy.

- Moim wozem?

Johnny uśmiechnął się. Na zewnątrz wył wiatr, wichura wzmagająca się.

- W taką noc dobrze jest mieć przy sobie policjanta - powiedział.

Zamieć osiągnęła apogeum - dojazd do Castle Rock radiowozem Bannermana zabrał im półtorej godziny. Kiedy weszli do ratusza i otrzepali śnieg z butów, było dwadzieścia po dziesiątej.

W korytarzu czekało kilku dziennikarzy; siedzieli na ławce pod strasznym portretem jakiegoś ojca-założyciela miasteczka, opowiadając sobie o zdarzeniach poprzedniej nocy. Na widok wchodzących zerwali się z miejsc i otoczyli ich w okamgnieniu.

- Szeryfie, czy to prawda, że nastąpił przełom w sprawie?

- W tej chwili nie udzielam żadnej odpowiedzi - odparł Bannerman spokojnie.

- Krążą plotki, że zatrzymał pan jakiegoś mężczyznę z Oxford, szeryfie. Czy to prawda?

- Nie. Przepuście nas, ludzie...

Ale dziennikarze skupili swą uwagę na Johnnym, który poczuł się nagle tak, jakby miał w żołądku kamień. Co najmniej dwie twarze widział na konferencji w szpitalu.

- Boże święty! - krzyknął jeden z reporterów. - Pan jest John Smith, prawda?

Johnny poczuł nagle szaloną ochotę powołać się na piątą poprawkę do konstytucji jak gangster przed komisją senacką.

- Tak - potwierdził. - To ja.

- Ten jasnowidz? - zapytał ktoś.

- Ludzie, przepuście nas. - Bannerman podniósł głos. - Czy wy naprawdę nie macie nic lepszego do roboty?

- Według *Inside View* jest pan oszustem - powiedział chłopak w grubym płaszczu. - Co pan na to?

- Mogę tylko powiedzieć, że ta gazeta publikuje, co jej się podoba.

- Czy zaprzecza pan artykułowi z *Inside View*?

- Niestety, nic więcej nie mogę powiedzieć.

Kiedy przez drzwi z matowego szkła wchodzili do gabinetu szeryfa, reporterzy ścigali się do dwóch automatów telefonicznych, znajdujących się koło biura tresera psów.

- A teraz to już wypłynęło gówno - powiedział żałośnie Bannerman. - Przysięgam na Boga, nie przypuszczałem, że będą jeszcze tu tkwić. W taką noc! Powinienem wprowadzić cię od tyłu.

- A co, nie wiedziałeś, że kochamy sławę? - spytał gorzko Johnny. - My wszyscy, jasnowidze, damy się pokrajać za odrobinę sławy.

- Nie, nie wierzę w to - stwierdził Bannerman. - Nie ty. No, co się stało, to się nie odstanie.

Ale Johnny w wyobraźni już czytał nagłówek: MIEJSCOWY JASNOWIDZ ZASTĘPCA SZERYFA W SPRAWIE DUSICIELA. JASNOWIDZ PROWADZI ŚLEDZTWO W SPRAWIE „LISTOPADOWEGO MORDERCY"! OSKARŻENIE

INSIDE VIEW O OSZUSTWO TO ŁGARSTWO, PROTESTUJE SMITH!

W biurze zastali dwóch mężczyzn. Jeden drzemał, a drugi popijał kawę i bez zainteresowania wertował górę raportów.

- Żona wyrzuciła go z domu, czy co? - zapytał kwaśno Bannerman, wskazując na śpiącego chłopaka.

- Właśnie wrócił z Augusta - wyjaśnił drugi zastępca. Sam również miał oczy podkrążone ze zmęczenia. Patrzył ze zdziwieniem na Johnny'ego.

- Johnny Smith. Frank Dodd. Ta tu Śpiąca Królowna to Roscoe Fisher. Johnny skinął głową na powitanie.

- Roscoe twierdzi, że prokurator stanowy chce nam odebrać sprawę - powiedział Dodd rozgniewany, zbuntowany i przy tym wszystkim jakiś żalony. - Ale prezent pod choinkę, nie?

Bannerman położył rękę na jego karku i potrząsnął go łagodnie.

- Za bardzo się martwisz, Frank. I za dużo czasu spędzasz nad sprawą.

- Cały czas myślę, że w raportach musi być coś... - Dodd wrzucił ramionami i szturchnął je jednym palcem. - C o ś!

- Idź do domu i odpocznij, Frank. I zabierz ze sobą naszą Śpiącą Królowną. Akurat potrzebujemy, żeby jeden z tych fotografów zrobił mu zdjęcie. Wydrukuj je potem w gazecie z podpisem: „W Castle Rock trwa intensywne śledztwo" i zostanie nam tylko zamiatanie ulic.

Bannerman wprowadził Johnny'ego do swego gabinetu. Biurko zasypane było papierami. Na parapecie okna stała fotografia przedstawiająca jego żonę i córeczkę, Katrinę. Na ścianie wisiał starannie oprawiony dyplom szeryfa, a nad nim, również w ramce, pierwsza strona *Castle Rock Call* z

informacją o tym, że został wybrany.

- Kawa? - zapytał, otwierając szafkę na akta.

- Nie, dziękuję. Pozostanę przy herbacie.

- Pani Sugarman zazdrośnie strzeże swych zapasów - oznajmił Bannerman. - Przykro mi, ale zawsze zabiera je ze sobą do domu. Zaproponowałbym ci tonik, ale musielibyśmy jeszcze raz spotkać się z tą zgrają. Jezu, jak bym chciał, żeby już sobie poszli.

- Nie, nic nie szkodzi.

Bannerman podszedł do Johnny'ego. Trzymał w ręku dużą kopertę.

_ To wszystko - powiedział i zawahał się na chwilę, nim podał ją Johnny'emu.

Johny wziął kopertę, ale na razie jej nie otwierał.

- Tylko wiedz, że niczego nie gwarantuję i niczego nie obiecuję. Czasami się udaje, a czasami nie. Bannerman wzruszył szerokimi ramionami i powtórzył:

- Nie ryzykujesz, nie wygrywasz.

Johnny otworzył kopertę i wyjął z niej paczkę po marlboro. Czerwono-białe pudełko. Trzymał je w lewej ręce i patrzył na przeciwległą ścianę. Szara ściana. Brudnoszara ściana. Czerwono-białe pudełko. Brudnoszare pudełko. Przełożył je do drugiej ręki, później złożył dłoń. Czekał na coś, na cokolwiek. Nic. Trzymał je długo, z próżną nadzieją, że coś się zdany. W końcu oddał pudełko Bannermanowi.

- Przykro mi - powiedział.

- I co, nic?

- Nic.

Ktoś lekko zapukał w drzwi i zaraz pojawiła się w nich głowa Roscoe Fishera.

- Frank i ja idziemy do domu, George. Zdaje się, że przyłapałeś mnie na drzemce?

- To nic złego, jeśli tylko nie śpisz w radiowozie. Pozdrów ode mnie Deenie.

- Jasne. - Fisher przez chwilę przypatrywał się Johnny'emu, a później zamknął drzwi.

- Cóż - stwierdził szeryf - chyba mimo wszystko warto było spróbować. Odwiozę cię...

- Chcę pójść do parku - powiedział nagle Johnny.

- Nie, to beznadziejne. Leży tam ze trzydzieści centymetrów śniegu.

- Potrafisz znaleźć właściwe miejsce, prawda?

- Oczywiście, potrafię. Ale co ci z tego przyjdzie?

- Nie mam pojęcia. Chodźmy.

- Dziennikarze pójdą za nami, to pewne jak śnieg w listopadzie.

- Mówiłeś coś o tylnym wejściu.

- Tak, ale to droga ewakuacyjna na wypadek pożaru. Można wejść, ale jeśli próbuje się wyjść, natychmiast dzwoni alarm. Johnny zagwizdał przez zaciśnięte zęby.

- Więc niech idą za nami.

Przez dłuższą chwilę Bannerman przyglądał mu się z namysłem, a później skinął głową.

- Dobrze.

8

Gdy tylko wyszli razem z biura, reporterzy poderwali się z miejsc. Johnny'emu przypomniało to hodowlę psów w Dur-ham, gdzie zdziwaczała starsza pani trzymała collie. Psy wybiegały, kiedy przechodził obok jej domu z wędką, szczekały, warczały i straszyły ludzi. Szczyrzyły kły, ale żaden nigdy nikogo nie ugryzł.

- Czy wiesz, kto to zrobił, Johnny?

- Masz jakiś pomysł?

- Odbiera pan jakieś fale, panie Smith?

- Szeryfie, czy wezwanie jasnowidza było pańskim pomysłem?

- Czy policja stanowa i biuro prokuratora wiedzą, co tu się dzieje, szeryfie Bannerman?

- Sądzisz, że go dopadniesz, Johnny?

- Szeryfie, czy ten facet jest pana zastępcą?

Bannerman przepychał się między nimi energicznie, zapinając po drodze płaszcz. Powtarzał, że nie udziela informacji, a Johnny w ogóle się nie odzywał.

Dziennikarze stłoczyli się przy wejściu, gdy Johnny i Bannerman schodzili po ośnieżonych

schodach. Dopiero kiedy minęli radiowóz i znaleźli się na ulicy, jeden z reporterów zorientował się, że idą do parku. Dziennikarze ruszyli po płaszcze, a ci, którzy byli ubrani, zbiegli po schodach, wrzeszcząc jak dzieci.

9

Mroczną ciemność rozpraszały tylko światła latarek. Wiatr wył, niosąc płachty śniegu to w jedną, to znów w drugą stronę.

- Za cholerę nic tu nie zdołasz zobaczyć - powiedział szeryf. - Ani ty, ani... Niech to diabli! - Niemal się przewrócił, kiedy jeden z dziennikarzy w grubym palcie i przedziwnym kapeluszu wpadł na niego z całej siły.

- Przepraszam, szeryfie - powiedział zawstydzony. - Ślisko tu. Zapomniałem kaloszy.

Z panujących ciemności wyłoniła się żółta, nylonowa lina i huśtająca się tabliczka z napisem: POLICJA. ZAKAZ WSTĘPU.

- Zapomniałeś i głowy - odpowiedział Bannerman. - A teraz stój w miejscu i wy wszyscy też. Trzymajcie się z tyłu!

- Miejski park jest własnością obywateli, szeryfie! - krzyknął jeden z dziennikarzy.

- To prawda. Ale policja prowadzi tu śledztwo! Przejdziesz za linę i spędzisz noc w celi.

Szeryf oświetlił latarką linę i podniósł ją tak, by Johnny mógł przejść pod spodem. Poszli w dół z boczem pagórka ku niewyraźnie widocznym w ciemności ławkom. Za ich plecami, wzdłuż liny, stali dziennikarze, oświetlając ich z kilku latarek, tak że Johnny i George Bannerman maszerowali w słabym świetle niby jakiegoś reflektora punktowego.

- Nic nie widać - stwierdził Bannerman.

- Bo i tak nie ma tu nic ciekawego - odparł Johnny. - Prawda?

- Nie, już nie. Powiedziałem Frankowi, że może zdjąć linę. Teraz cieszę się, że nie znalazł na to czasu. Chcesz podejść do estrady?

- Na razie nie. Pokaż mi, gdzie znalazłeś niedopałki papierosów. Przeszli kawałek dalej i nagle Bannerman stanął.

- Tutaj. - Wskazał na ławkę będącą niewyraźnie majaczącym spod śnieżnej zasy kształtem.

Johnny zdjął rękawiczki. Wsadził je do kieszeni płaszcza, a następnie ukląkł i zaczął oczyszczać ławkę ze śniegu. Bannermana znów uderzyła bladeść jego twarzy i widoczne na niej.

- Dziennikarze pójda za nami, to pewne jak śnieg w listopadzie.

- Mówiłeś coś o tylnym wejściu.

- Tak, ale to droga ewakuacyjna na wypadek pożaru. Można wejść, ale jeśli próbuje się wyjść, natychmiast dzwoni alarm. Johnny zagwizdał przez zaciśnięte zęby.

- Więc niech idą za nami.

Przez dłuższą chwilę Bannerman przyglądał mu się z namysłem, a później skinął głową.

- Dobrze.

8

Gdy tylko wyszli razem z biura, reporterzy poderwali się z miejsc. Johnny'emu przypomniało to hodowlę psów w Dur-ham, gdzie zdziwaczała starsza pani trzymała collie. Psy wybiegały, kiedy przechodził obok jej domu z wędką, szczekały, warczały i straszyły ludzi. Szczyrzyły kły, ale żaden nigdy nikogo nie ugryzł.

- Czy wiesz, kto to zrobił, Johnny?

- Masz jakiś pomysł?

- Odbiera pan jakieś fale, panie Smith?

- Szeryfie, czy wezwanie jasnowidza było pańskim pomysłem?

- Czy policja stanowa i biuro prokuratora wiedzą, co tu się dzieje, szeryfie Bannerman?

- Sądzisz, że go dopadniesz, Johnny?

- Szeryfie, czy ten facet jest pana zastępcą?

Bannerman przepychał się między nimi energicznie, zapinając po drodze płaszc. Powtarzał, że nie udziela informacji, a Johnny w ogóle się nie odzywał.

Dziennikarze stłoczyli się przy wejściu, gdy Johnny i Bannerman schodzili po ośnieżonych schodach. Dopiero kiedy minęli radiowóz i znaleźli się na ulicy, jeden z reporterów zorientował się, że idą do parku. Dziennikarze ruszyli po płaszcze, a ci, którzy byli ubrani, zbiegli po schodach, wrzeszcząc jak dzieci.

9

Mroczną ciemność rozpraszały tylko światła latarek. Wiatr wył, niosąc płachty śniegu to w jedną, to znów w drugą stronę.

- Za cholerę nic tu nie zdołasz zobaczyć - powiedział szeryf. - Ani ty, ani... Niech to diabli! - Niemal się przewrócił, kiedy jeden z dziennikarzy w grubym palcie i przedziwnym kapeluszu wpadł na niego z całą siłą.

- Przepraszam, szeryfie - powiedział zawstydzony. - Ślisko tu. Zapomniałem kaloszy.

Z panujących ciemności wyłoniła się żółta, nylonowa lina i huśtająca się tabliczka z napisem: POLICJA. ZAKAZ WSTĘPU.

- Zapomniałeś i głowy - odpowiedział Bannerman. - A teraz stój w miejscu i wy wszyscy też. Trzymajcie się z tyłu!

- Miejski park jest własnością obywateli, szeryfie! - krzyknął jeden z dziennikarzy.

- To prawda. Ale policja prowadzi tu śledztwo! Przejdziesz za linę i spędzisz noc w celi.

Szeryf oświetlił latarką linę i podniósł ją tak, by Johnny mógł przejść pod spodem. Poszli' w dół z boczem pagórka ku niewyraźnie widocznym w ciemności ławkom. Za ich plecami, wzdłuż liny, stali dziennikarze, oświetlając ich z kilku latarek, tak że Johnny i George Bannerman maszerowali w słabym świetle niby jakiegoś reflektora punktowego.

- Nic nie widać - stwierdził Bannerman.

- Bo i tak nie ma tu nic ciekawego - odparł Johnny. - Prawda?

- Nie, już nie. Powiedziałem Frankowi, że może zdjąć linę. Teraz cieszę się, że nie znalazł na to czasu. Chcesz podejść do estrady?

- Na razie nie. Pokaż mi, gdzie znalazłeś niedopałki papierosów.

Przeszli kawałek dalej i nagle Bannerman stanął.

- Tutaj. - Wskazał na ławkę będącą niewyraźnie majaczącym spod śnieżnej zasy kształtem.

Johnny zdjął rękawiczki. Wsadził je do kieszeni płaszcza, a następnie ukląkł i zaczął oczyszczać ławkę ze śniegu. Banner-mana znów uderzyła błądź jego twarzy i widoczne na niej zmęczenie. Klęczący przed ławką, wyglądał jak człowiek pogrążony w żarliwej modlitwie.

Johnny poczuł, że ręce mu zziębły, a zaraz potem zdrętwiały. Dotarł już do nierównej, nie odmalowanej powierzchni ławki. Miał wrażenie, że widzi ją bardzo wyraźnie, niemal jak przez lupę. Ławka była niegdyś zielona, choć większość farby została z niej zmyta lub odpadła. Dwa zardzewiałe bolce łączyły siedzenie z oparciem.

Położył na ławce obie dłonie i nagle zalało go przedziwne, a zarazem straszne uczucie - nigdy przedtem nie czuł nic tak silnego i w przyszłości miał to poczuć jeszcze tylko raz. Patrzył na ławkę; zmarszczył brwi, mocniej zacisnął na niej dłonie. Była to...

(Letnia ławka)

Ileż setek ludzi siadywało na niej przy tej czy innej okazji, słuchając „Boże, błogosław Amerykę”, „Na zawsze gwiazdzisty sztandar” (*Nie krzywdź pletwiastych przyjaciół... bo kaczka też jest czyjąś matką*) i bojowej pieśni „Tygrysów z Castle Rock”! Zielone liście w lecie, mgiełka jesiennego upału jak wspomnienie łupin po kukurydzy i mężczyźni z grabiami w łagodnym mroku wieczoru. Warkot wielkiego bębna z przeciągniętym przez środek drutem. Błyszczące złotem trąbki i puzony, mundurki szkolnej orkiestry...

(Bo kaczka... też jest... czyjąś matką...)

Sympatyczni miejscowi ludzie siadali tu słuchając, bijąc brawo, trzymając programy zaprojektowane i wydrukowane przez szkolną pracownię graficzną.

Lecz dziś rano siedział tu morderca. Johnny go wyczuwał.

Ciemne gałęzie drzew wyglądają na tle chmurnego nieba jak ruiny. On (ja) siedzi tu, pali, czeka, czuje się dobrze, czuje się, jakby on (ja) mógł przeskoczyć przez sam dach świata i wylądować równo na obie nogi. Nuci piosenkę. Coś z Rolling Stonesów. Nie rozumiem jej, ale najwyraźniej wszystko jest... jakie?

W porządku. *Wszystko jest w porządku, wszystko jest szare i czeka na śnieg, a ja jestem...*

- Gładki - szepnął Johnny. - Jestem gładki. Jestem taki gładki.

Bannerman pochylił się, nie słysząc słów zagłuszanych wyciem wiatru.

- Co?

- Gładki - powtórzył Johnny. Spojrzał na Bannermana i szeryf mimowolnie zrobił krok do tyłu. Oczy Johnny'ego były zimne i nieludzkie. Ciemne włosy powiewały dziko wokół bladej twarzy, a nad jego głową wyl zimowy wiatr i wisiało czarne niebo. Jego ręce sprawiały wrażenie przyspawanych do ławki.

- Jestem taki kurewsko gładki - powiedział teraz wyraźnie. Na jego ustach pojawił się triumfujący uśmiech. Patrzył przez Bannermana. I Bannerman uwierzył. Tego nie zagrałby nikt, bo nikt nie byłby w stanie tak udawać. A najstraszliwsze było to... że Johnny kogoś mu przypominał. Ten uśmiech... ton głosu... Johnny Smith znikł, pozostała po nim skorupa człowieka. Za zasłoną jego zwykłych rysów, zupełnie płytko, że można prawie było jej dotknąć, kryła się inna twarz. Twarz mordercy.

Twarz kogoś, kogo znał.

- Nigdy mnie nie złapiesz, bo jestem dla ciebie za gładki. - Śmiech, pewny siebie, nieco kpiący. - Wkładam go na siebie za każdym razem i jeśli drapią... albo gryzą... nie mogą się do mnie dostać... bo jestem taki GŁADKI!

Głos Johnny'ego zmienił się w zwyczajny, szalony krzyk, zagłuszający wycie wiatru i Bannerman cofnął się jeszcze trochę, czując, jak dostaje gęsiej skórki, jak jądra kurczą mu się ze strachu i opierają o wnętrzości.

Niech to się skończy, pomyślał. Niech to się zaraz skończy. Proszę.

Johnny pochylił głowę nad ławką. Spomiędzy jego nagich palców spływał topniejący śnieg.

(Śnieg. Miękki śnieg, tajemniczy śnieg)

(Zakładala mi na niego klamerkę, żebym wiedział, jak to jest. Jak to jest, kiedy złapie się chorobę. Chorobę od jednej z tych kurwizjonów, wszystkie są kurwizjonami i trzeba je powstrzymać, tak, trzeba powstrzymać, tak, stop, tak, stop, tak stop STOP o mój Boże znak STOP!)

Znow był mały. Chodził do szkoły w padającym, miękkim, tajemniczym śniegu. I zza ruchomej, białej zasłony wylaniał się mężczyzna, przerażający czarny mężczyzna o skrzywionej w uśmiechu twarzy i oczach błyszczących jak srebrne ćwierćdolarówki, i w jednej dłoni w rękawicy trzymał znak STOP... on!... on!... on!

(O MÓJ BOŻE... POWSTRZYMAJ GO... MAMO... BRON' MNIE PRZED NIM, BRON' MNIEEEEE)

Johnny krzyknął i oderwał się od ławki. Upadł, dłonie przyłożył do policzków. Bannerman przykucnął przy nim, bardzo przestraszony. Zgromadzeni za liną dziennikarze poruszyli się, zaczęli coś mówić.

- Johnny! Ocknij się! Słuchaj, Johnny...

- Gładki. - Johnny spojrzał na Bannermana oczami kryjącymi ból. W wyobraźni ciągle widział ten czarny kształt z oczami jak błyszczące ćwierćdolarówki, wylaniający się zza zasłony śniegu. Krocze pulsowało tęnym bólem od szczyptec do bielizny, które matka kazała mu nosić. Wtedy nie był mordercą, o nie, nie był zwierzęciem, zbrojcem, chujem czy jak tam nazywał go Bannerman, był tylko małym chłopcem z klamerką na... na...

- Pomóż mi wstać - szepnął Johnny. Bannerman podał mu rękę i pociągnął.

- Teraz estrada.

- Nie. Chyba powinniśmy wracać, Johnny.

Johnny ominął go, nie zwracając nań uwagi, i zataczając się poszedł w stronę estrady - wielkiego, majaczącego przed nimi, okrągłego cienia. Miejsca śmierci. Bannerman podbiegł i zrównał się z nim.

- Johnny, wiesz, kto to jest? Czy wiesz, kto... ?

- Nie znaleźliście nigdy śladów tkanki pod paznokciami ofiar, bo nosił płaszcz od deszczu - dyszał Johnny. Z trudnością wykrztusił te słowa. - Płaszcz od deszczu z kapturem. Gładki, śliski, winylowy płaszcz. Sprawdź wszystkie poprzednie raporty. Sprawdź wszystkie poprzednie raporty, to sam zobaczysz. Za każdym razem padał śnieg albo deszcz. Drapały go, tak, drapały. Walczyły. Jasne, że walczyły. Ale ich palce tylko ślizgały się po materiale.

- Kto to, Johnny? Kto to?

- Nie wiem. Ale się dowiem.

Johnny poślizgnął się na najniższym z sześciu stopni prowadzących na estradę, zachwiał i byłby

upadł, gdyby Bannerman nie złapał go za rękę. Weszli na scenę. Nie było tu prawie śniegu, zaledwie cienka warstwa - a to z powodu stożkowatego dachu. Szeryf skierował światło latarki na podłogę, a Johnny pełzł po niej na czworakach. Dłonie miał jaskrawoczerwone. Bannerman pomyślał, że są już pewnie odarte do żywego mięsa. Johnny zatrzymał się nagle i zeszywniał jak pies, który właśnie złapał trop.

- Tu - szepnął. - Zrobił to właśnie tu.

Zalały go obrazy, kształty, wrażenia. Silny smak podniecenia, tym większego, że przecież mogli go zobaczyć. Dziewczynka wiła się, próbowała krzyżeć. Nakrył jej usta dłonią w rękawiczce. Ciągłe podniecenie. Nigdy mnie nie złapią, jestem Niewidzialny Człowiek, czy to jest dla ciebie wystarczająco wstrętne, mamó?

Johnny jęczał, potrząsając głową.

Odgłos rozdieranego ubrania. Uczucie ciepła. Coś płynie. Krew? Sperma? Mocz?

Dostał drgawek. Włosy przykleiły mu się do twarzy. Jego twarzy. Uśmiechnięta, szczerą twarz widoczna w kręgu kaptura, kiedy jego (moje) dłonie zaciskają się na jej szyi w chwili orgazmu... zaciskają... zaciskają...

Obrazy zaczęły znikać, a jednocześnie jego ręce straciły swą siłę. Johnny pochylił się do przodu i upadł na scenę jak podcięty. Kiedy Bannerman dotknął jego ramienia, krzyknął i próbował czołgać się na bok; na twarzy miał wyraz panicznego strachu, który po chwili zaczął znikać. Oparł głowę o sięgające pasa ogrodzenie estrady i zamknął oczy. Jego ciałem raz po raz wstrząsały drgawki. Spodnie i płaszcz miał pokryte śniegiem.

- Wiem, kto to jest - powiedział.

10

Piętnaście minut później Johnny ponownie znalazł się w gabinecie Bannermana, rozebrany do slipów i przysunięty blisko elektrycznego piecyka. Nadal było mu zimno, wyglądał strasznie, ale przestał się trząść.

- Na pewno nie chcesz kawy? - zapytał Bannerman. Tylko potrząsnął głową.

- Nie znoszę kawy.

- Johnny... - Szeryf usiadł. - Czy ty naprawdę już wiesz?

- Wiem, kto je zabił. Dorwałbyś go w końcu i tak. Cały czas miałeś go w zasięgu ręki, był po prostu zbyt blisko. Widziałeś go nawet w tym jego lśniącym, szerokim płaszczu. Przeprowadza w nim dzieci przez ulicę. Ma w ręku znak „Stop” i rano przeprowadza je przez ulicę.

Bannerman wytrzeszczył oczy. Wyglądał jak trafiony piorunem.

- Sugerujesz, że to Frank? Frank Dodd? Odbiło ci!

- Zabił je Frank Dodd. Właśnie on zabił je wszystkie.

Bannerman sprawiał wrażenie ogłuszonego, jakby nie wiedział, czy ma się śmiać, czy wymierzyć Johnny'emu porządnego kopniaka.

- W życiu nie słyszałem bardziej szalonych bredni - powiedział w końcu. - Frank to wspaniały człowiek i wspaniały policjant. Za rok, w listopadzie, odejdzie, żeby kandydować na szefa policji miejskiej, i zrobi to z moim błogosławieństwem. - Wyraz jego twarzy zmienił się na rozbawiony, z domieszką zmęczenia i pogardy. - Ma dwadzieścia pięć lat. To oznacza, że musiałby zacząć mordować, mając zaledwie dziewiętnaście. Mieszka w domu z matką i nie wychyla się, nie szaleje - matka jest chora: stałe napięcie nerwowe, nadczynność tarczycy i do tego cukrzyca. Johnny, jesteś w błędzie. Frank Dodd nie jest mordercą. Zaręczyłbym za niego głową.

- Przez dwa lata nikt nie zginął. Gdzie był wtedy Frank Dodd? W mieście?

Bannerman spojrzał na niego i z jego twarzy znikło rozbawienie; był po prostu zły, wściekły.

- Nie chcę więcej o tym słyszeć. Od początku miałeś rację - jesteś zwykłym oszustem. No, zarobiłeś sobie punkty u dziennikarzy, ale to nie oznacza, że możesz oczerniać dobrego policjanta, człowieka...

- Którego traktujesz jak syna - dokończył cicho Johnny. Bannerman zacisnął usta, a jego twarz, czerwona od długiego przebywania na dworze, wyraźnie zbladła. Sprawiał wrażenie, jakby otrzymał cios poniżej pasa. A później wszystko minęło i jego twarz nie miała już żadnego wyrazu.

- Wynoś się stąd - powiedział. - Niech cię podrzuci któryś z kumpli z prasy. Po drodze możesz nawet udzielić wywiadu. Ale przysięgam na Boga, przysięgam na Boga W s z e c h m o g ą c e g o,

że jeśli wspomnisz nazwisko Franka Dodda, znajdę cię i skręcę ci kark. Zrozumiałeś?

- Jasne! Kumple z prasy! - Johnny nagle wrzasnął na szeryfa. - Święta racja! Już widzisz, jak odpowiadam na te ich wszystkie pytania, nie? Jak pozuję do fotografii, dbając tylko o dobre ujęcie! I upewniam się, że nie zrobią błędu w nazwisku!

Przez moment Bannerman sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale szybko przyszedł do siebie.

- Trochę ciszej.

- Nie! Nie będę milczał! - Głos Johnny'ego podniósł się o kilka tonów. - Chyba zapomniałeś, kto do kogo dzwonił. Pozwól, że ci odświeżę pamięć: to t y dzwoniłeś do m n i e. Wcale mi nie zależało, żeby się tu znaleźć.

- To nie znaczy, że nie jesteś...

Johnny ruszył w stronę szeryfa, mierząc w niego wskazującym palcem jak z pistoletu. Był od niego kilkanaście centymetrów niższy i prawdopodobnie ze czterdzieści kilogramów lżejszy, ale Bannerman cofnął się o krok, tak jak to uczynił w parku. Policzki Johnny'ego zabarwiły się jaskrawą czerwienią. Wargi miał ściągnięte, jakby szczyrzył zęby.

- Tak, masz rację. Kto do kogo dzwonił, nie ma żadnego cholernego znaczenia. Tylko nie chcesz, żeby to był Dodd, prawda? Gdyby chodziło o kogoś innego, już gnałbyś go aresztować, ale to nie może być przecież dobry, stary Frank Dodd. Bo Frank jest wspaniały, troszczy się o mamusię, szanuje dobrego, starego Pana Szeryfa George'a Bannermana. Boże, Frank to cholerny Chrystus, co właśnie zszedł z krzyża, tylko że gwałci i morduje starsze panie i małe dziewczynki, i to mogła być twoja c ó r k a, Bannerman, nie rozumiesz, że to mogła być twoja c ó r k a, twoja własna c ó r...

Wtedy Bannerman go uderzył. W ostatniej chwili próbował się powstrzymać, lecz nie zdołał, a cios był wystarczająco mocny, by Johnny cofnął się, potknął o nogę krzesła i runął jak długi na podłogę. Z policzka, rozciętego pamiątkowym sygnetem Akademii Policyjnej, popłynęła krew.

- Sam się o to prosiłeś - rzekł Bannerman, ale w jego głosie zabrakło przekonania. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu uderzył kalekę... lub prawie kalekę.

Johnny czuł, że jego głowa jest niezwykle lekka i pełna dzwoniących dzwoneczków. Miał wrażenie, że jego głos należy do kogoś innego, spikera radiowego bądź aktora z taniego filmiku.

- Powinieneś paść na kolana i dziękować Bogu za to, że rzeczywiście nie było żadnych śladów; biorąc pod uwagę uczucia, jakimi darzyłeś Dodda, zapewne coś byś przegapił. A wtedy na dodatek czułbyś się jeszcze odpowiedzialny za śmierć Mary Kate Hendrasen.

- To tylko kolejne cholerne łągarstwo - powiedział Bannerman wolno i bardzo wyraźnie. - Zaaresztowałbym brata, gdyby był winny. Wstawaj. Przykro mi, że cię uderzyłem.

Pomógł Johnny'emu wstać i obejrzał zadrapanie na jego twarzy.

- Przyniosę apteczkę i przemyję ranę.

- Nie ma o czym mówić. - W głosie Johnny'ego nie słychać już było gniewu. - Chyba strasznie na ciebie napadłem, prawda?

- Powtarzam ci, że to nie może być Frank. Nie zależy ci na rozgłosie, wiem. Nie miałem racji. Tak, byłem zdenerwowany. Ale te wibracje, ciała astralne czy co to do cholery jest, tym razem dały ci popalić.

- Więc najlepiej sprawdź. - Johnny spojrzał prosto w oczy Bannermana. - S p r a w d ź t o. Udowodnij, że się pomyliłem. - Przełknął ślinę. - Skontroluj daty i godziny z rozkładem pracy Franka. Możesz to zrobić?

- Wydruki sięgają jakichś czterestu, piętnastu lat. Chyba udałoby mi sieje sprawdzić.

- Więc zrób to.

- Panie... - Szeryf przerwał - .. Johnny, gdybyś z n a ł Franka, sam byś się z tego śmiał. Naprawdę. Nie chodzi o mnie, spytaj każdego...

- Jeśli się mylę, chętnie przyznam ci rację.

- To szaleństwo - mruknął Bannerman, ale podszedł do szafki, w której trzymał stare karty zegarowe, i utworzył ją.

11

Minęły dwie godziny. Zbliżała się pierwsza w nocy. Johnny zadzwonił do ojca i powiedział mu, że prześpi się gdzieś w Castle Rock; wyjący wiatr smagał śniegiem, pędzącym z równą, oszałamiającą szybkością; nie sposób było prowadzić samochód przy tak porywistym wietrze.

- Co się tam dzieje? - zapytał Herb. - Możesz mi zdradzić cokolwiek?
- Lepiej nie przez telefon, tato.
- W porządku, Johnny. Nie przemęczaj się.
- Dobrze.

Ale się jednak przemęczył. Był wyczerpany bardziej niż kiedykolwiek, z wyjątkiem tych pierwszych godzin fizykoterapii z Eileen Magown. Miła kobieta, pomyślał bez związku. Miła, przyjazna kobieta, przynajmniej do chwili, kiedy powiedział, że jej dom płonie. Później stała się daleka, obca. Podziękowała mu, jasne, tylko... tylko czy kiedyś go po tym dotknęła? Zwyczajnie, dotknęła? Chyba nie. I kiedy już wszystko się skończy, to samo będzie z Bannermanem. Szkoda. Podobnie jak Eileen, był miły, ale ludzie robili się bardzo nerwowi w towarzystwie innych ludzi, którym wystarczyło tylko czegoś dotknąć, żeby wszystkiego się o tym dowiedzieć.

- To niczego nie dowodzi - mówił właśnie Bannerman. W jego głosie brzmiał dziecinny upór, sprawiający, że Johnny miał ochotę złapać go i potrząsać tak długo, aż zaczną mu grzechotać kości. Ale był na to zbyt zmęczony.

Patrzyli na prowizoryczny wykres, który Johnny sporządził na odwrocie formularza dotyczącego zużytych policyjnych radarów. Na biurku Bannermana stało siedem czy osiem kartonów z dokumentami, a na wierzchu koszyka na korespondencję leżały karty Franka Dodda sięgające 1971 roku, kiedy to przyjęto go do pracy w biurze szeryfa. Wykres wyglądał następująco:

MORDERSTWA

Alma Frechette (kelnerka)
15.00, 12/11/70
Pauline Toothaker
10.00, 17/11/71

Cheryl Moody (uczennica szkoły
podstawowej)
14.00, 16/12/71

Carol Dunbarger (studentka)
?/11/74

Etta Ringgold (nauczycielka)
29 (?)/10/75

Mary Kate Hendrasen
10.10, 17/12/75

FRANK DODD

Pracował na stacji Gulf
na głównej ulicy
Wolne

Wolne

Dwutygodniowy urlop

Na służbie

Wolne

Czas podany jako „przybliżony czas śmierci” przez stanowego patologa.

- Nie, to rzeczywiście niczego nie dowodzi - zgodził się Johnny, masując skronie. - Ale i nie eliminuje go, prawda? Bannerman postukał w wykres.

- W czasie morderstwa panny Ringgold był na służbie.

- Jeśli przyjmujemy, że naprawdę zginęła dwudziestego dziewiątego października. Ale równie dobrze mógł to być dwudziesty ósmy albo dwudziesty siódmy. A jeśli nawet był na służbie, to kto podejrzewałby glinę.

Bannerman przyglądał się uważnie wykresowi.

- A co z przerwą? - spytał Johnny. - Z tą dwuletnią przerwą? Szeryf postukał w karty.

- Frank pracował u nas przez cały 1973 i 1974 rok. Sam widziałeś.

- Więc może w tym czasie nie odczuwał potrzeby mordowania. Przynajmniej tyle wiemy.

Tyle wiemy, że nic nie wiemy - sprzeciwił mu się szybko Bannerman.

- A co z 1972 rokiem? 1972 i początkiem 1973? Nie ma kart z tego czasu? Był na urlopie?

- Nie. Frank i chłopak nazwiskiem Tom Harrison przechodzili semestralny kurs zastosowania prawa w małych społecznościach na filii Uniwersytetu Stanu Colorado w Pueblo. To jedyne miejsce w kraju, w którym prowadzą podobne kursy dla policjantów. Trwają osiem tygodni. Frank i Tom byli

tam od piętnastego października aż prawie do Bożego Narodzenia. Częściowo płaci stan, częściowo hrabstwo, a częściowo rząd Stanów Zjednoczonych w oparciu o Ustawę o Zastosowaniu Prawa z 1971 roku. Wybrałem Harrisona - jest teraz szefem policji w Gates Falls - i Franka. Długo się wahał, bał się zostawić matkę. Żeby nie skłamać, moim zdaniem próbowała nakłonić syna do pozostania w domu. Namówiłem go jednak do wyjazdu. Chce być zawodowym policjantem, a ukończenie tego kursu wspaniale wygląda w aktach. Pamiętam, że kiedy wraz z Tomem wrócił w grudniu, był mocno przeziębiony i wyglądał nieciekawie. Stracił z dziesięć kilo. Twierdził, że wśród tych cholernych krowiarzy nikt nie umie gotować jak mama.

Bannerman zamilkł. Coś, co właśnie powiedział, najwyraźniej go zaniepokoiło.

- Miał tydzień zwolnienia gdzieś koło Gwiazdki i znów był w formie - mówił dalej, jakby się bronił. - Wrócił najpóźniej piętnastego stycznia. Sam możesz sprawdzić karty.

- Nie muszę. Tak jak nie muszę ci mówić, co teraz zrobisz.

- Właśnie - zgodził się Bannerman. Przyjrzał się swym rękom. - Mówiłem ci, że masz łeb do tej roboty. Może miałem więcej racji, niż myślałem. Niż chciałem mieć.

Podniósł słuchawkę i wyjął z dolnej szuflady biurka grubą książkę telefoniczną w zwykłej, niebieskiej okładce. Przewracał strony, nie podnosząc wzroku.

- To także dzięki ustawie z 1971 roku. Leży w każdym biurze szeryfa w hrabstwach Stanów Zjednoczonych. - Znalazł numer i wykręcił go.

Johnny poruszył się w krześle.

- Halo? Czy mówię z biurem szeryfa w Pueblo?... Doskonale. Nazywam się George Bannerman i jestem szeryfem hrabstwa Castle, w zachodnim Maine... Tak, to właśnie powiedziałem. Stan Maine. Z kim mówię?... W porządku, Taylor, oto sprawa. Mieliliśmy tu serię morderstw, gwałt i uduszenie, sześć w ciągu ostatnich pięciu lat. Wszystkie popełniono późną jesienią albo na początku zimy. Mamy... - podniósł na Johnny'ego wzrok pełen bólu, pozbawiony nadziei, a później znów spojrzął na telefon - mamy tu podejrzanego, który był w Pueblo od piętnastego października 1972 roku do... powiedzmy, siedemnastego grudnia. Chciałbym wiedzieć, czy w tym czasie mieliście na swoim terenie przypadek nie rozwiązanego morderstwa - ofiara płci żeńskiej, wiek nieistotny, zgwałcona, przyczyna śmierci: uduszenie. Dalej, chciałbym wiedzieć, czy - jeśli takie morderstwo miało miejsce i zostały przeprowadzone badania -macie typ spermy winnego. Co?... Tak, w porządku. Dziękuję... Tak, będę tu czekał. Do usłyszenia, Taylor. Odwiesił słuchawkę.

- Sprawdzi, czy jestem tym, za kogo się podaję, sprawdzi kartoteki i oddzwoni. Chcesz filizankę... Nie, nie pijesz kawy, prawda?

- Nie piję. Wystarczy szklanka wody. Podszedł do wielkiej, przeszklonej lodówki i nalał wody do papierowego kubka. Na zewnątrz wył i hulał wiatr. Za jego plecami Bannerman tłumaczył się niezręcznie:

- Tak, jasne. Miałeś rację. To syn, którego bardzo chciałbym mieć. Katrina urodziła się w wyniku cesarskiego cięcia. Żona nie może mieć drugiego dziecka, lekarze mówią, że to by ją zabiło. Przeszła operację, a ja poddałem się sterylizacji. Tak dla pewności.

Trzymając kubek w rękach, Johnny podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie dostrzegł niczego ciekawego oprócz śniegu, ale się nie odwracał, bo gdyby się odwrócił, Bannerman by się załamał. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to zrozumieć.

- Ojciec Franka pracował na boczniczy kolejowej. Zginął w wypadku, kiedy chłopak miał pięć lat. Próbował połączyć wagony tak pijany, że gdyby naszczał sobie na nogę, to by pewnie nawet nie zauważył. Zgniotło go. Od tej pory Frank musiał być mężczyzną w domu. Roscoe twierdzi, że w średniej szkole miał dziewczynę, ale pani Dodd szybko położyła temu kres.

Założę się, że tak było, pomyślał Johnny. Kobieta, która zrobiła coś takiego... szczypcami do bielizny... własnemu synowi takich kobiet nic nie powstrzyma. Musi być prawie tak szalona jak on.

- Przyszedł do mnie, kiedy miał szesnaście lat i zapytał, czy jest coś takiego jak policjant na pół etatu. Powiedział, że od dziecka marzył tylko o tym, żeby pracować w policji. Chciał być policjantem. Od razu go polubiłem. Dałem mu robotę w biurze i płaciłem mu z własnej kieszeni. Płaciłem, ile mogłem, wiesz, nigdy nie dopominał się o pieniądze. Był takim chłopakiem, który pracowałby i za darmo. Miesiąc przed ukończeniem szkoły złożył podanie o etat, ale wtedy nie mieliśmy nic wolnego, więc poszedł pracować do Gulfa, na stację Donny Haggara, i zaczął wieczorowe kursy policyjne na uniwersytecie w Gorham. Przypuszczam, że pani Dodd interweniowała i w tej sprawie... narzekala, że zostawiają samą czy coś takiego... ale tym razem Frank się postawił, z moją pomocą. Przyjeliśmy go

w lipcu 1971 roku i od tego czasu bez przerwy jest u nas. A teraz ty mi wyskoczyłeś z tą rewelacją i myślę o Katrinie, która szła przez park wczoraj rano, mijając go... kto by to nie był... dla mnie to niemal jak jakieś ohydne kazirodztwo. Frank odwiedzał nas w domu, jadł z nami, raz czy dwa nawet opiekował się Katriną... a ty mi mówisz...

Johnny odwrócił się. Bannerman zdjął okulary i wycierał oczy.

- Jeśli rzeczywiście widzisz takie rzeczy, to ci współczuję. Jesteś żartem Boga, jak dwugłowe ciele, które widziałem kiedyś na jarmarku. Przepraszam. To świństwo powiedziec ci coś takiego, wiem.

- Biblia mówi, że Bóg kocha wszystkie swe stworzenia - powiedział Johnny drżącym głosem.

- Tak? - Bannerman potarł czerwone ślady na nosie, pozostawione przez okulary. - Nie sądzisz, że dziwnie to okazuje?

12

Kilkanaście minut później zadzwonił telefon i Bannerman natychmiast podniósł słuchawkę. Rozmawiał krótko. Słuchał. Johnny patrzył, jak jego twarz się starzeje. Po chwili szeryf odwiesił słuchawkę i przypatrywał mu się długo w milczeniu.

- Dwunasty listopada 1972 roku - powiedział w końcu. - Studentka. Znaleźli ją na polu przy autostradzie. Zgwałcona i uduszona. Miała dwadzieścia trzy lata. Nie znają typu spermy. Ale to jeszcze nie dowód, Johnny.

- Nie sądzę, żebyś w głębi duszy potrzebował jakiegoś dowodu - stwierdził Johnny. - Jeśli powiesz mi, co masz na niego, moim zdaniem załamię się i przyzna do winy.

- A jeśli tego nie zrobi?

Johnny przypomniał sobie wizję, która nawiedziła go na estradzie. Wracała, godząc w niego jak śmiertelny bumerang. Uczucie rozdierania. Ból, przyjemny ból, przypominający ten od klamerki; ból, który odkupywał winy.

- Każ mu zdjąć spodnie. Bannerman tylko na niego popatrzył.

13

Dziennikarze nadal czekali na nich w holu. Tak naprawdę, to pewnie i tak nie ruszyliby się z miejsca (nawet gdyby nie podejrzewali przełomu w sprawie - a w każdym razie tak dziwaczny rozwój sytuacji), gdyż drogi z miasta były nieprzejezdne.

Bannerman i Johnny wymknęli się z budynku przez okno schowka.

- Jesteś pewien, że to właściwy sposób? - zapytał Johnny. Wiatr wprost wyrywał mu słowa z ust. Bolały go nogi.

- Nie - stwierdził po prostu Bannerman - ale według mnie powinieneś przy tym być. Chciałbym, żeby miał szansę spojrzenia ci w twarz, Johnny. Chodź. Doddowie mieszkają zaledwie dwie przecznice stąd.

Ruszyli przed siebie, ukryci pod kapturami, w wysokich butach, dwa cienie w pędzącym na wietrze śniegu. Bannerman miał pod płaszczem swój służbowy pistolet, u pasa powiesił kajdanki. Nie przeszli jeszcze przecznicy, brnąc w głębokim śniegu, a Johnny już mocno kulał.

Bannerman zauważył to. Zatrzymali się przy wejściu do salonu samochodowego.

- Co z tobą, synu?

- Nic - odparł Johnny. Na dodatek zaczynała boleć go głowa.

- Przecież widzę! Wygląda, jakbyś szedł na dwóch złamanych nogach.

- Po przebudzeniu miałem kilka operacji. Atrofia mięśni. Mówiąc słowami doktora Browna, mięśnie po prostu się stopiły. To samo ze stawami. Naprawili je, jak mogli, włóknami sztucznymi...

- Jak w „Człowieku za sześć milionów dolarów”? Johnny pomyślał o sporej kupce rachunków za szpital, leżącej sobie na górnej półce kredensu w dużym pokoju.

- No, mniej więcej. Kiedy za długo chodzę, sztywnieją. To wszystko.

- Chcesz wrócić?

Jasne, że chcę. Wrócić i nie musieć już więcej myśleć o tej całej piekielnej sprawie. Szkoda, że w ogóle się tu znalazłem. To nie moja sprawa. Ten facet porównał mnie do dwugłowego cielecia.

- Nie, wszystko w porządku.

Wyszli z bramy; wiatr z dużą siłą popychał ich na pustej ulicy. Szli z wysiłkiem, pochyleni, przedzierali się razem przez padający śnieg, oświetleni ostrym, przebijającym zawieję światłem neonówek. Skręcili w boczną uliczkę i Bannerman zatrzymał się przy piątym domu; małym, schludnym domeczku w nowoangielskim stylu. Jak wszystkie na tej ulicy był ciemny z oknami zasłoniętymi okiennicami.

- To ten. - Głos Bannermana był zdumiewająco neutralny, płaski.

Przebili się przez zaspę nawianą wokół ganku i weszli na schody.

14

Pani Henrietta Dodd była kobietą potężnie zbudowaną i obrośniętą tłuszczem. Johnny nigdy nie widział kogoś, kto wyglądałby na bardziej chorego. Skórę miała żółtoszarą. Dłonie przypominały łapy gada z wysypką jak egzema. I było też coś w jej oczach - zmrużonych w szparki, tonących wśród podpuchniętych powiek - co w nieprzyjemny sposób przywodziło mu na myśl oczy jego matki w momencie religijnej egzaltacji.

Otworzyła im drzwi dopiero po tym, jak Bannerman walił w nie bez przerwy przez jakieś pięć minut. Johnny stał obok niego na opuchniętych nogach, myśląc, że ta noc nigdy się nie skończy. Będzie trwała i trwała, aż wiatr nawieje tyle śniegu, że spadnie lawina i pogrzebie ich wszystkich.

- Czego szukasz tu w środku nocy, George'u Bannermanie? - zapytała podejrzliwie. Jak u wielu grubych kobiet, głos miała cienki, brzęczący jak puzon - brzmiał tak, jakby ktoś złapał w butelkę muchę lub pszczołę.

- Muszę porozmawiać z Frankiem, Henrietto.

- Więc zrób to rano - powiedziała i zaczęła zamykać im drzwi przed nosem.

Bannerman przytrzymał je ręką w rękawiczce.

- Przykro mi, Henrietto. Musimy porozmawiać natychmiast.

- Tylko że ja nie mam zamiaru go budzić - krzyknęła kobieta, nie ruszając się z progu. - Śpi jak zabity! Są noce, kiedy dzwonię na niego, mam straszliwe palpacje, a on, czy w ogóle o to dba? Nie, śpi mimo dzwonka, któregoś ranka może się obudzić i znaleźć mnie martwą, zabita w łóżku przez atak serca, a nie niosącą mu te cholerne rzadkie jajka sadzone! Bo każesz mu za ciężko pracować!

Skrzywiła usta triumfująco; oto brzydkie sekrety zostały wreszcie ujawnione i czapki z głów, panowie!

- Cały dzień, cała noc, różne zmiany, ścigać pijaków w środku nocy, a każdy z nich może mieć trzydziestkę dwójkę pod siedzeniem, jeździć do podłych barów i spelunek, och, to niebezpieczna robota, ale czy cię to w ogóle obchodzi? Ja wiem, co się dzieje w takich miejscach, te tanie kurwiszony będą szczęśliwe, kiedy za kufel piwa zarażą mojego chłopca nieuleczalną chorobą. Jej głos, ta piszczałka, załamywał się, brzęczał. Głowa Johnny'ego pulsowała bólem do taktu. Marzył, żeby Henrietta wreszcie się zamknęła. Zdawał sobie sprawę, że to halucynacja, że zmęczenie i napięcie tej nocy daje wreszcie o sobie znać, ale ulegał coraz silniejszemu wrażeniu, że stoi tam jego matka, która lada chwila odwróci się do Bannermana i zacznie, napominać go, jaki to wielki talent dał mu Bóg.

- Pani Dodd... Henrietto - powtarzał cierpliwie Bannerman. A ona nagle odwróciła się i przyjrzała się Johnny'emu cwanyymi, głupimi, świńskimi oczkami.

- A to kto?

- Specjalny zastępca - odparł natychmiast Bannerman. - Henrietto, biorę na siebie odpowiedzialność za obudzenie Franka.

- Aaaach, o d p o w i e d z i a l n o ś ć! - powtórzyła kobieta brzęczącym głosem, z potwornym sarkazmem, i Johnny zorientował się od razu, że jest przerażona. Strach ją przenikał miarowymi, huczącymi falami - i to sprawiało, że coraz bardziej bolała go głowa. Czyż Bannerman nie dostrzegł jej trwogi? - Ood-poo-wiee-dziaa-noość! Jaki ty jesteś wspaaaniały, na Boga, tak! Ale ja nie pozwolę budzić mojego chłopca w środku nocy, George'u Bannermanie, więc ty i ten twój specjalny zastępca możecie się natychmiast wynosić!

Znów spróbowała zamknąć drzwi, lecz tym razem Bannerman pchnął je mocniej, aż całkiem się otworzyły. W głosie szeryfa słyhać było ledwie powstrzymywany gniew i ukryte pod nim wielkie napięcie.

- Obudź go, Henrietto. Mówię poważnie. Zrób to natychmiast!
- Nie wolno ci! - krzyknęła. - To nie państwo policyjne! Stracisz za to pracę! Chcę zobaczyć nakaz!

- Tak, masz rację, ale ja chcę pogadać z Frankiem. - Bannerman przecisnął się obok niej.

Nie bardzo wiedząc, co właściwie robi, Johnny poszedł za nim. Henrietta Dodd próbowała go zatrzymać, lecz złapał ją za przegub - w tej chwili chwycił go przejmujący ból, ból tak straszny, że migrena niemal przy nim znikła. I k o b i e t a także go odczuła! Przyglądali się sobie przez moment, który wydawał się trwać wieki; zrozumieli się całkowicie. Przez tę chwilę wydawali się być jednym. Lecz w końcu Henrietta odsunęła się, chwytając się za swój monstrualny biust.

- Moje serce... moje serce... - Namacała kieszeń szlafroka i wyjęła z niej fiolkę pigułek. Jej twarz nabrała koloru surowego ciasta. Zdjęła nakrętkę z fiołki i wyjmując jedną, rozsypała pigułki po wykładzinie. Tę, którą udało się jej wytrząsnąć na dłoń, wrzuciła pod język. Johnny zamarł, patrząc na nią z niemym przerażeniem. Głowę miał jak puchnący pęcherz wypełniony krwią.

- W i e d z i a ł a ś? - szepnął.

Jej grube, pomarszczone wargi rozchyłały się i zwierały, rozchyłały i zwierały, nie wydając żadnego dźwięku. Przypominała wyjętą z wody rybę.

- Ty przez ten cały czas wiedziałaś?

- Jesteś diabłem! Jesteś potworem... szatanem... moje serce... och, umieram... chyba umieram... *George'u Bannermanie, nie waż się budzić mojego dziecka!*

Johnny puścił ją, nieświadomie wycierając dłoń w płaszcz, jakby chciał oczyścić ją z czegoś wstrętnego, i chwiejnie wszedł po schodach za Bannermanem. Na dworze wiatr szlochał wśród parapetów niczym zagubione dziecko. W połowie schodów obejrzał się za siebie. Henrietta Dodd półleżała w wyplatanej krzesle; dysząca góra mięsa, trzymała w dłoniach wielkie piersi. Wydawało mu się, że jego głowa wciąż się rozrasta, i Johnny pomyślał z rozmarzeniem: "Już niedługo rozleci się i to będzie koniec. Dzięki Bogu!"

Stara, poprzecierana wykładzina leżała na podłodze wąskiego korytarza. Na tapecie widać było zacieki. Bannerman walił w zamknięte drzwi. Tu, na górze, było wyraźnie zimniej.

- Frank? Frank! To George Bannerman! Obudź się, Frank!

Nikt nie odpowiedział. Bannerman nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Jego dłoń opadła na rękojeść pistoletu, ale nie wyjął go. Być może popełnił fatalną pomyłkę... ale pokój Franka Dodda był pusty.

Przez chwilę stali razem na progu i patrzyli. Patrzyli na pokój dziecka. Tapeta - także w zaciekach - przedstawiała tańczących kłownów i wspinające się konie. Na małym krzeselku siedział pluszowy miś i przyglądał się im lśnącymi, czarnymi oczkami. W jednym kącie stało pudełko z zabawkami, w drugim wąskie łóżko z klonowego drewna, z rozrzuconą pościelą. Na oparciu łóżka, nie pasując do wnętrza, wisiał pas z bronią.

- Mój Boże - Bannerman mówił całkiem cicho. - A to co?

- Ratunku! - Dobiegł ich z dołu głos Henrietty Dodd. - Pomocy...

- Wiedziała - powiedział Johnny. - Wiedziała od samego początku, od zamordowania Almy Frechette. Powiedział jej. A ona go kryła.

Szeryf powoli wycofał się z pokoju i otworzył kolejne drzwi, prowadzące do gościnnej sypialni, pustej. Wzrok miał niepewny, w oczach ból. Przejrzał szafę - była także pusta, tylko na podłodze stały porządnie ustawione trutki na szczury. Kolejne drzwi. Ta sypialnia okazała się w ogóle nie wykończona i tak zimna, że widać było parę z jego oddechu. Szeryf rozejrzał się. Były jeszcze jedne drzwi, tuż przy schodach. Podeszedł do nich, a Johnny za nim. Te okazały się zamknięte.

- Frank? Jesteś tam? - Szeryf szarpnął za klamkę. - Otwieraj, Frank!

Nikt nie odpowiedział. Bannerman podniósł nogę i kopnął drzwi tuż pod zamkiem. Rozległ się głuchy trzask - zabrzmiał echem w głowie Johnny'ego jak stalowa taca upuszczona na kafelki.

- O Boże! - powiedział Bannerman cichym, zduszonym głosem. - Frank!

Zza jego pleców Johnny zobaczył Franka Dodda siedzącego na opuszczonej pokrywie sedesu. Zobaczył za wiele. Pod lśnącym, czarnym płaszczem przeciwdeszczowym, który narzucił na ramiona, Frank był nagi. Czarny kaptur płaszcza (kaptur kata, przebiegło Johnny'emu przez głowę) leżał na rezerwarze jak groteskowy, przekłuty czarny balon. Frankowi udało się jakoś poderżnąć sobie gardło - choć Johnny nigdy nie uznałby tego za możliwe. Na krawędzi umywalki leżała paczka żyletek Wilkinsona, jedna z nich upadła na podłogę, błyszcząc groźnie. Na jej krawędzi zaschły krople krwi. Krew z rozciętej żyły szczękowej i tętnicy szyjnej opryskała całe wnętrze, w fałdach leżącego na

podłozę płaszcz gromadziły się małe kałuże. Zachlapała zasłonę otaczającą prysznic, ozdobioną wzorem z kaczek spacerujących w wodzie z parasolami nad głową. Zachlapała sufit.

Na szyi Franka Dodda, na nitce, wisiała kartka z wypisanym szminką jednym słowem: WYZNAJĘ.

Ból głowy stał się nie do wytrzymania. Johnny macał ręką drzwi w poszukiwaniu oparcia.

Wiedział, myślał niespójnie. Kiedy mnie zobaczył, jakoś się zorientował. Wiedział, że to już koniec. Wrócił do domu. Zabił się.

Czarne kręgi przysłaniają mu toaletę, rozszerzają się złowrogimi falami.

Jakiż talent dal ci Bóg, Johnny.

(WYZNAJĘ)

- Johnny.

Z bardzo daleka.

- Johnny, dobrze się...

Znika. Wszystko znika. To dobrze. Lepiej byłoby, gdyby nigdy nie obudził się ze śpiączki. Lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Cóż, miał swoją szansę.

- Johnny...

Frank Dodd wrócił do domu i zdołał poderżnąć sobie gardło od przysłowiowego ucha do ucha, podczas gdy na dworze szalała zamięć, jakby piekło uwolniło wszystkie swe demony. Ale wywaliło, jak powiedział ojciec, kiedy - zimą, przed dwunastoma laty - rury kanalizacyjne w piwnicy zamarły i pękły. Ale wywaliło. Jasne, jak cholera. Wywaliło aż pod sam sufit.

Odniosł wrażenie, że mógł wtedy krzyknąć, choć potem nigdy nie był tego pewien. Być może tylko wyobraził sobie, że krzyczy. Ale miał o c h o t ę krzyczeć; wykrzyczeć przerażenie, żal i straszny ból, który dźwigał w sercu.

A później wpadał w ciemność i czuł tylko radość. Johnny stracił przytomność.

15

Z *New York Timesa*, 19 grudnia 1975 r.

PO ODWIEDZENIU MIEJSCA ZBRODNI JASNOWIDZ Z MAINE PROWADZI SZERYFA DO DOMU JEGO ZASTĘPCY, MORDERCY.

(od naszego specjalnego wysłannika) John Smith z Pownal być może wcale nie jest jasnowidzem, ale trudno byłoby przekonać o tym szeryfa George'a F. Bannermana z hrabstwa Castle w Maine. Zdesperowany po sześciu morderstwach, jakie miały miejsce w małym miasteczku Castie Rock w stanie Maine, szeryf Bannerman zadzwonił do Johna Smitha, prosząc go o przyjazd do Castie Rock i - jeśli to możliwe - udzielenie pomocy. John Smith, który stał się znany w kraju na początku tego roku, kiedy obudził się z głębokiej, trwającej pięćdziesiąt pięć miesięcy śpiączki, został oskarżony przez popularny tygodnik *Inside View* o oszustwo, lecz na wczorajszej konferencji prasowej szeryf Bannerman powiedział tylko, że „my tu, w Maine, nie zwykliśmy przywiązywać większej wagi do tego, co piszą nowojorscy dziennikarze”.

Według szeryfa John Smith pełzał na czworakach po miejscu, w którym zdarzyła się szósta zbrodnia, czyli w miejskim parku w Castie Rock. Skończyło się to łagodnymi odmrożeniami, jak również odkryciem tożsamości mordercy - zastępcy szeryfa, Franklina Dodda, który był zatrudniony w biurze szeryfa od pięciu lat, czyli tyle, ile sam Bannerman.

Nieco wcześniej John Smith wywołał pewne wzburzenie w rodzinnym stanie, kiedy w przypływie jasnowidzenia odkrył, że dom jego fizykoterapeutki stanął w ogniu, co okazało się prawdą. Na konferencji prasowej, mającej miejsce po tym zdarzeniu, jeden z dziennikarzy wyzwał go...

Z *Newsweeka*, strona 41, 24 grudnia 1975 r.

NOWY HURKOS

Być może w naszym kraju odkryto pierwszego prawdziwego jasnowidza od czasu Petera Hurkosa. Hurkos - jasnowidz urodzony w Niemczech - potrafił opowiadać ludziom o ich prywatnych sprawach po dotknięciu ich dłoni, zastawy lub innych prywatnych przedmiotów.

John Smith jest nieśmiałym, skromnym człowiekiem mieszkającym w Pownal, w środkowo-południowym Maine. Na początku roku odzyskał przytomność po ponad czteroletniej śpiączce,

spowodowanej wypadkiem samochodowym (patrz zdjęcie). Według zajmującego się jego przypadkiem neurologa, doktora Samuela Weizaka, Smith „ozdrowiał cudownie i zdumiewająco”. Dziś dochodzi do siebie po lekkich odmrożeniach i czterogodzinnej utracie przytomności wywołanej niezwykłym rozwiązaniem tajemnicy serii morderstw w miasteczku...

27 grudnia, 1975

Droga Saro!

Tata i ja bardzo ucieszyliśmy się z Twojego listu, który przyszedł dzisiaj po południu. Naprawdę, czuję się doskonale, więc przestań się martwić, dobrze? Niemniej dziękuję Ci za troskę. Sprawa „odmrożeń” została mocno rozdmuchana przez prasę. To tylko kilka plamek na czubkach trzech palców lewej ręki. Utrata przytomności spowodowana była, zdaniem Weizaka, „wyłącznie stresem emocjonalnym”. Tak, przyjechał po mnie osobiście i nalegał, że odwiezie mnie do szpitala w Portland. Warto zapłacić, żeby tylko zobaczyć go w akcji. Dosłownie zmusił ich, żeby dali mu salę, elektroencefalograf i technika do obsługi. Twierdzi, że nie znalazł żadnych nowych ani postępujących uszkodzeń mózgu. Chce przeprowadzić całą serię testów, a niektóre z nich są jak z podręcznika inkwizytora: „Nawróć się, heretyku, albo zrobimy ci kolejne prześwietlenie mózgu!” (Cha, cha, czy ciągle wążasz tę wstrętną kokainę, skarbie?) W każdym razie odrzuciłem jego uprzejmą ofertę, nie chciałem znowu dać się trochę pokłuć i podpompować. Tata jest na mnie mocno wkurzony, że nie zgodziłem się na testy, i sugeruje podobieństwo między tym i mamą odmawiającą brania leków na nadciśnienie. Trudno mu wytłumaczyć, że jeśli nawet Weizak coś by znalazł, jest jedna szansa na dziesięć, że mógłby mi pomóc.

Tak, widziałem artykuł w Newsweeku. Moje zdjęcie pochodzi z konferencji prasowej, tylko wykadrowali je. Nie wyglądam jak ktoś, kogo chciałoby się spotkać w ciemnej uliczce, prawda? Chacha! Rany Julek (jak lubiła mawiać Twoja przyjaciółka, Anne Strafford), ale bym chciał, żeby go nie opublikowali. Znow zaczęły przychodzić paczki, kartki i listy. Nie otwieram ich nawet jeśli nie rozpoznaję charakteru pisma na adresie, tylko po prostu piszę „zwrócić nadawcy”. Są zbyt żałosne, zbyt pełne nadziei i nienawiści, wiary i niewiary, i wszystkie jakoś przypominają mi mamę.

Cóż, nie miałem zamiaru pisać tak ponuro, wcale nie jest tak źle. Ale nie chcę być praktykującym jasnowidzem, nie chcę jeździć na spotkania i występować w telewizji (pewien wariat z telewizji zdobył jakoś mój numer telefonu, jeden Bóg wie jak, i chciał się dowiedzieć, czy nie rozważyłbym możliwości występu w programie Carsona. Wspaniały pomysł, nie? Don Rickles obraziłby kilka osób, jakaś gwiazdka pokazałaby cycuszki, a ja wygłosiłbym kilka przepowiedni. A wszystko to dzięki Sieci Delikatesów General Foods!) Nie chcę żadnego takiego G-Ó-W-N-A. Tak naprawdę, to czekam tylko na powrót do Cleaves Mills, aby jako licealny nauczyciel angielskiego znow żyć w zapomnieniu. Będę przepowiadał wyniki meczów futbolowych naszej drużyny na przedmeczowych piknikach.

Na razie to chyba wszystko. Mam nadzieję, że Ty, Walt i Denny mieliście sympatyczną rodzinną Gwiazdkę i wyczekujecie teraz (z tego, co napisałaś, jestem pewien, że wyczekuje co najmniej Walt) na Rok Wyborczy Dwusetlecia, który właśnie nam się zaczyna. Miło usłyszeć, że Twój mąż będzie kandydował do Senatu, ale ściskaj kciuki, mała - '76 wcale nie wygląda na najlepszy rok dla wielbicieli słoni. Podziękuj za tego w San Cle-mente.

Tata dołącza swe najlepsze życzenia i prosi, żeby podziękować za zdjęcie Denny'ego, które wywarło na nim oszalamiające wrażenie. Ja także dołączam najlepsze życzenia. Dziękuję, że napisałaś, i dziękuję za niepotrzebną troskę (niepotrzebną, ale strasznie miłą). Czuję się dobrze i wprost nie mogę się doczekać normalnej pracy.

Całuję i wszystkiego najlepszego

Johnny

P.S. Po raz ostatni radzę, mała, odpuść sobie tę kokainę.

J.

Drogi Johnny!

To chyba najgorszy, najbardziej gorzki list, jaki musiałem napisać w ciągu szesnastu lat pracy w szkolnej administracji - nie tylko dlatego, że jesteś oddanym przyjacielem, ale i dlatego, że jesteś cholernie dobrym nauczycielem. Nie ma sposobu, żeby ci to jakoś osłodzić, więc chyba nie będę nawet próbował.

Rada szkolna zebrała się wczoraj na specjalnym posiedzeniu (zwołanym na wniosek dwóch członków, których nazwisk nie wymienię, ale zasiadali w radzie, kiedy tu uczyłeś, i chyba potrafisz się domyślić, o kogo chodzi) i przegłosowała pięć do dwóch, żeby poprosić Cię o rozwiązanie umowy. Powód: jesteś osobą zbyt kontrowersyjną, by uczyć młodych ludzi. Niemal złożyłem rezygnację, takie czułem obrzydzenie. Gdyby nie Maure-en i dzieciaki, to chyba bym to zrobił. Coś takiego jest gorsze niż usunięcie z listy lektur „Buszującego w zbożu”, „Zająca” czy „Ucieczki”. Znacznie gorsze. Śmierdzi.

Powiedziałem im to, ale równie dobrze mógłbym do nich przemawiać w esperanto albo suahili. Oni wiedzą tylko, że twoje zdjęcie było w Newsweeku i New York Timesie i że wiadomość z Castle Rock znalazła się w ogólnokrajowym dzienniku telewizyjnym. Zbyt kontrowersyjny! Pięciu staruchów w gorsetach; takich ludzi bardziej interesuje długość włosów niż podręczniki, bardziej przejmują się tym, kto pali marihuanę, niż tym, jak zdobyć nowoczesne wyposażenie do pracowni komputerowej.

Napisałem list protestacyjny do całej Rady i gdybym mocniej nacisnął, moim zdaniem podpisałby go także Irving Finegold. Ale minąłbym się z prawdą, gdybym ci powiedział, że jest najmniejsza nadzieja, by tych pięciu starców zmieniło zdanie.

Uczciwie - radzę ci, weź prawnika, Johnny. Podpisałeś umowę w dobrej wierze i sądzę, że wyciśniesz z nich pensję co do centa niezależnie od tego, czy w ogóle pojawisz się w Cleaves Mills, czy nie. I zadzwoń, gdybyś miał ochotę pogadać.

Przepraszam z całego serca.

*Twój przyjaciel
Dave Pelsen*

16

Johnny stał przy skrzynce, trzymając w ręku list Dave'a, i patrzył na niego z niedowierzaniem. Był ostatni dzień 1975 roku, jasny i bardzo zimny. Z nosa Johnny'ego wydobywały się dwie proste smużki pary.

- Cholera - szepnął. - Jasna cholera!

Oszołomiony, nie rozumiejąc do końca, co mu napisał Dave, Johnny pochylił się, by zobaczyć, co jeszcze przyniósł listonosz. Jak zwykle, skrzynka była wypełniona po brzegi. Tylko los sprawił, że list od Dave'a znajdował się na dnie.

Biały, długi kawałek papieru powiadamiał go, że ma się stawić na poczcie po odbiór paczek.

Mój mąż opuścił mnie w 1969 roku, oto para jego skarpetek, powiedz mi, gdzie jest, żebym mogła wyegzekwować od tego sukinsyna pieniądze na dziecko.

Moje dziecko zmarło w zeszłym roku, zakrztusiło się, oto grzechotka, proszę, napisz, czy jest szczęśliwe wśród aniołków. Nie ochrzciłam go, bo jego ojciec się temu sprzeciwił, i teraz pęka mi serce. Nie kończąca się litania..

Jakiż talent dał ci Bóg, Johnny.

Powód: Jesteś zbyt kontrowersyjny, by uczyć młodzież.

W nagłym ataku rozpaczy zaczął wygarniać listy i wypchane koperty ze skrzynki; niektóre upuszczał na śnieg. Zbliżał się kolejny napad migreny, zbierała mu się właśnie wokół jak dwie czarne chmury, które bez wątpienia muszą się w końcu zejść, pogrążając go w bólu. Po policzkach nagle popłynęły mu łzy; na ostrym mrozie natychmiast zamarzały w lśniące ścieżki.

Pochylił się i zaczął zbierać listy, które upuścił; dostrzegł jeden, zaadresowany grubym ołówkiem do JOHNA SMITHA PANA JASNOWIDZA.

Pan jasnowidz to ja. Ręce zaczęły mu drżeć i upuścił wszystko, włączając w to list od Dave'a. List Dave'a spłynął, chwiejąc się jak liść, i opadł na śnieg pismem do góry. Przez łzy Johnny widział nagłówek i motto pod pochodnią:

UCZYĆ SIĘ, NAUCZAĆ, WIEDZIEĆ, SŁUŻYĆ

- Służcie mojej dupie, wy tanie sukinsyny - powiedział

Johnny i klęknął, zbierając listy, zgarniając je dłońmi w mitenkach. W palcach pulsował mu tępy ból, wspomnienie po odmrożeniu, wspomnienie po Franku Doddzie, trupie wjeżdżającym w wieczność na zamkniętej toalecie, z krwią na swych jasnych, typowo amerykańskich włosach. WYZNAJĘ.

Zorientował się, że pod nosem mruczy słowa: „Ludzie, wy mnie mordujecie, mordujecie mnie, dajcie mi spokój, nie widzicie, że mnie mordujecie?”

W duchu rozkazał sobie przestać. Nie powinien się tak zachowywać. Życie będzie się toczyć dalej. Tak czy tak, życie z pewnością będzie się toczyć dalej.

Ruszył do domu, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Być może trafi się jakaś okazja. W każdym razie spełnił proroctwo matki. Jeśli Bóg wyznaczył mu zadanie, to wreszcie je spełnił. Nie ma żadnego znaczenia, że był to lot kamikadze. Spełnił zadanie.

Wyrównał rachunki.

CZEŚĆ DRUGA

Roześmiany tygrys

ROZDZIAŁ 17

I

Chłopiec czytał powoli, przesuwając palcem po linijkach tekstu; długie, opalone nogi futbolisty wyciągnął w stronę basenu. Był pogodny czerwcowy dzień.

„Oczywiście młody Denny Ju... Juniper... młody Denny Juniper był martwy i przy... przypuszczam, że niewielu ludzi na tym świecie powiedziałoby, że nie za... zaś... za...” - O cholera, nie wiem.

- Niewielu ludzi na tym świecie powiedziałoby, że nie zasłużył na śmierć - odpowiedział mu Johnny Smith. - To tylko taki bardziej skomplikowany sposób stwierdzenia, że ludzie zgodziliby się, iż śmierć Denny'ego to dobra rzecz.

Chuck przyglądał mu się; na jego zazwyczaj miłej twarzy odbiły się znajome emocje: rozbawienie, złość, zawstydzenie i cień gniewnej niecierpliwości. Westchnął i opuścił wzrok na książkę Maxa Branda, którą trzymał w ręku.

„Zasłużył na śmierć. Ale moją wielką tra... traa...”

- Tragedią - odpowiedział mu Johnny.

„Ale moją wielką t r a g e d i ą było to, że zginął, kiedy miał właśnie odkupić niektóre ze swych złych uczynków jedną wielką oddaną światu przysługą.

Oczywiście natychmiast doprowadziło mnie to do mdło... mdło... mdło...”

Chuck zamknął książkę, spojrzął na Johnny'ego i uśmiechnął się pogodnie.

- Skończmy na dziś, Johnny. Co ty na to? - Uśmiech Chucka sprawiał wrażenie najszczerzego w świecie. Widząc ten uśmiech, dziewczyny od dopingu w całym New Hampshire prawdopodobnie od razu padały na łóżka. - Czyż ten basen nie wygląda wspaniale? Założę się, że tak! Widzę, jak pot spływa po tym twoim niedożywionym, chudym, biednym ciałku.

Johnny musiał przyznać - przynajmniej w myśli - że basen rzeczywiście wygląda wspaniale. Pierwsze tygodnie lata 1976, Roku Dwusetlecia, były niezwykle gorące i duszne. Za ich plecami, po drugiej stronie dużego, białego domu, brzęczała kosiarka, którą Ngo Phat, wietnamski ogrodnik, kosił to, co Chuck nazywał frontową czterdziestką. Dźwięk ten sprawiał, że miało się ochotę wypić dwie szklanki lemoniady i zasnąć.

- Tylko bez żadnych uciążliwych uwag o moim chudym ciałku - powiedział. - A poza tym, dopiero zaczęliśmy rozdział.

- Jasne. Ale przedtem przeczytaliśmy już dwa. - Błaganie.

Johnny westchnął. Zazwyczaj udawało mu się utrzymać Chucka przy książce, ale nie dziś po południu. Dziś mały walczył nieudolnie z fragmentem, w którym John Sherburne ustawił swych strażników wokół więzienia w Amity, ale zły Czerwony Jastrząb przedarł się przez nich i zabił Denny'ego Junipera.

- No dobrze, skończ tę stronę. Słowo, na którym utknąłeś, to „mdłości”. Przecież cię nie ugryzie.

- Dzięki, dobry człowieku. - Chuck rozpromienił się. - I żadnych pytań, dobrze?

- Noo... może kilka.

Chuck zasmucił się, ale było to robione; wyłgał się łatwo i wiedział o tym. Otworzył książkę z ilustracją na okładce, przedstawiającą rewolwerowca wchodzącego do saloonu przez uchylone drzwi, i zaczął czytać powoli, z wahaniem... Jego głos podczas czytania tak różnił się od głosu, którym mówił normalnie, że mógł należeć do zupełnie innego chłopaka.

„Oczywiście natychmiast doprowadziło mnie to do mdło... do mdłości. Ale okazało się, że to nic w porównaniu z tym, co czekało mnie przy łóżku biednego Toma Ken... Kenyona.

Kenyon dostał kulkę i szybko uwierał, kiedy...”

- Umierał - wtrącił Johnny cicho. - Kontekst, Chuck. Czytaj w kontekście.

- Szybko uwierał. - Chuck zachichotał. Wrócił do lektury. „...szybko umierał, kiedy przy... przyje... przyjechałem.”

Johnny czuł, jak znów ogarnia go litość. Litował się nad Chuckiem, pochylonym nad egzemplarzem *Ognistej Głowy*, tej dobrej końskiej opery, która sama powinna się czytać - Chuckiem, pracowicie śledzącym palcem proste, prowadzące czytelnika „stąd-dotąd” zdania Maxa Branda. Jego ojciec, Roger Chatsworth, był właścicielem „Tkalni i Przędzalni Chatswortha” - w New Hampshire

oznaczało to wiele. Miał ten szesnastopoko-jowy dom w Durham ze służbą składającą się z pięciu osób, włączając w to Ngo Phata, który raz na tydzień jeździł do Portsmouth na kurs przygotowawczy dla przyszłych obywateli Stanów Zjednoczonych. Chatsworth jeździł odrestaurowanym kabrioletem Cadillac z 1957 roku, jego żona, słodka czterdziestodwuletnia kobieta o czystych oczach, miała mercedesa, Chuck dostał corvette. Fortuna rodziny wynosiła mniej więcej pięć milionów dolarów.

A siedemnastoletni Chuck był marzeniem Boga, ożywiającego martwą glinę - tak przynajmniej często myślał Johnny. Fizycznie prezentował się wspaniale. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a jego doskonale umięśnione ciało ważyło osiemdziesiąt pięć kilogramów. Jego twarz nie była może na tyle interesująca, by nazwać ją przystojną, ale nie miał trądziku ani pryszczycy, dysponował za to parą wspaniałych, zielonych oczu - oczu, które przypominały Johnny'emu jedyną, oprócz Chucka, osobę na świecie, która miała naprawdę zielone oczy - Sarę Hazlett. W liceum Chuck stał się aż niewiarygodną apoteozą Wzorowego Ucznia. Był kapitanem drużyny baseballowej i drużyny futbolowej, przewodniczącym samorządu trzeciej klasy, którą właśnie skończył, wybrano go także przewodniczącym samorządu klasy czwartej. Lecz najbardziej zdumiewające okazało się, że nic z tego nie uderzyło mu do głowy. Mówiąc słowami Herba, który przyjechał raz do Chatsworthów, by sprawdzić, jak się powodzi Johnny'emu, Chuck był „normalnym facetem” - a w jego słowniku nie było większego komplementu. W dodatku pewnego dnia miał stać się szalenie bogatym, normalnym facetem.

A przecież teraz siedział pochylony w ponurym skupieniu nad książką jak żołnierz nad karabinem maszynowym na jakimś samotnym posterunku, strzelając słowami po jednym - tak jak formowały się w jego mózgu. Traktował błyskawiczną akcję powieści Maxa Branda o wędrowcu Johnie „Ognistej Głowie” Sherburnie i jego konfrontacji z renegatem Komanczów, Czerwonym Jastrzębiem, jakby była równie ekscytująca co reklama półprzewodników lub części radiowych.

Lecz Chuck nie był głupi. Miał dobre stopnie z matematyki, wspaniałą pamięć i wystarczające zdolności manualne. Dysponował bogatym słownictwem i rozumiał teorię wymowy, choć najwyraźniej nie jej praktykę; czasami bezbłędnie powtarzał zdanie, by napotkać nieprzezwyciężone trudności, gdy przyszło mu opowiedzieć jego treść. Jego ojciec obawiał się, że cierpi na dysleksję, ale John nie sądził, by tak było - nigdy jeszcze nie spotkał dziecka cierpiącego na prawdziwą dysleksję, chociaż wielu rodziców z ochotą sięgało po ten termin, by wyjaśnić lub usprawiedliwić problemy, jakie ich dzieci miały z czytaniem. Problem Chucka wydawał się bardziej ogólny: wielki, nieopanowany wstręt do czytania.

Problem ten stawał się coraz poważniejszy w ciągu ostatnich pięciu lat nauki, lecz rodzice - i sam Chuck - potraktowali go serio dopiero wtedy, kiedy zaczął zagrażać możliwości uprawiania sportu. Nie to było jednak najgorsze. Jeśli Chuck zechce iść na studia na jesieni 1977 roku, tej zimy będzie miał ostatnią szansę zdania Testu Wiedzy Naukowej. Matematyka nie stanowiła wielkiego problemu, ale reszta egzaminu... cóż... gdyby ktoś głośno czytał mu pytania, osiągnąłby pewnie rezultat średnio dobry. Pięćset punktów, żaden problem. Ale na test WN nie pozwalają wprowadzać kogoś, kto czyta ci na głos pytania, nawet jeśli twój tata jest wielką szychą w biznesie stanu New Hampshire.

„Lecz stwierdziłem, że się zmie... zmie... zmienił. Wiedział, czemu przyjdzie mu stawić czoła i jego odwaga była wspa... wspaaaa... wspaniała. O nic nie prosił, niczego nie żałował. Strach i nie... nieko... niepokój, który od... odczy... odczuwał tak długo, jak długo stał przed nieznanym losem...”

Johnny przeczytał ogłoszenie POSZUKUJĘ NAUCZYCIELA i odpowiedział na nie bez większych nadziei. W połowie lutego przeniósł się do Kittery; musiał, po prostu musiał wynieść się z Pownal z jego napelniającą się codziennie skrzynką pocztową, z reporterami, których coraz więcej znajdowało drogę do jego domu, z nerwowymi kobietami o oczach pełnych krzywdy, które „wpadły tu”, ponieważ „akurat były w okolicy” (jedna z tych, które akurat były w okolicy, prowadziła samochód z rejestracją z Maryland, stary ford innej pochodził z Arizony). Ich ręce, wyciągnięte, by go dotknąć...

W Kittery po raz pierwszy w życiu zorientował się, że anonimowe nazwisko John - bez inicjału drugiego imienia - Smith ma swoje dobre strony. Trzeciego dnia w miasteczku zgłosił się do baru poszukującego kucharza, podając jako referencję pracę w okresie studiów i lato, kiedy gotował na uczniowskich koloniach w Ranglely Lakes. Właścicielka baru, twarda jak kość wdowa nazwiskiem Ruby Pelletier, spojrzała na jego podanie i stwierdziła:

- Jesteś cholernie wyedukowany jak na odsmażanie frytek. Wiesz o tym, co, siłacz?
- Jasne - odparł Johnny. - Tak się wyedukowałem, że za nic nie ma dla mnie roboty.

Ruby Pelletier położyła ręce na chudych biodrach, odrzuciła głowę do tyłu i ryknęła śmiechem.

- A nie zesrasz się o drugiej w nocy, kiedy zwali się tu dwunastu kowbojów z ciężarówek i zamówi jajecnicę, boczek, parówki, grzanki i placuszki?

- Myślę, że nie.

- Myślę, że na razie za cholerę nie wiesz, o czym mówię, ale przyjmę cię, profesorze. Załatw badania, żeby wszystko było jasne dla Ministerstwa Zdrowia, i przynieś zaświadczenie. Zaczynasz od razu.

Zrobił, co chciała, i po pierwszych przeraźliwych dwóch tygodniach (w czasie których poparzył sobie boleśnie prawą rękę, zbyt szybko wkładając koszyk frytek do wrzącego oleju) opanował robotę, która przedtem opanowała jego. Kiedy zobaczył ogłoszenie Chatswortha, posłał życiorys pod podany numer skrytki pocztowej. W życiorysie podał swe pedagogiczne osiągnięcia, wliczając w to jednosemestralne seminarium na temat trudności w opanowaniu wiedzy i czytaniu.

Pod koniec kwietnia, kiedy pracował w barze już dwa miesiące, dostał list od Rogera Chatswortha z zaproszeniem na roz-

mowę na piątego maja. Johnny załatwił sobie wolne i o drugiej dziesiątej tego pięknego, wiosennego dnia siedział w gabinecie Chatswortha, trzymając w ręku wysoką szklanekę pełną lodowatej pepsi i słuchając, jak Roger opowiada o kłopotach swego syna.

- Czy to jest dysleksja?

- Nie. Wydaje mi się zwykłym wstrętem do czytania. Chatsworth skrzywił się trochę.

- Syndrom Jacksona?

Zaimponowało to Johnny'emu - i bez wątpienia miało mu zaimponować. Michael Carey Jackson był specjalistą od nauki języka i czytania z Uniwersytetu Południowej Kalifornii, który dziewięć lat temu spowodował zamieszanie swą książką *Nie umie nauczyć się czytać*. Opisał w niej zestaw kłopotów z nauką czytania, które objęto wspólną nazwą syndromu Jacksona. Książka była dobra, jeśli czytelnikowi udało się przebić przez ciężki, akademicki żargon. To, że Chatsworthowi najwyraźniej się powiodło, sporo powiedziało Johnny'emu o tym, jak dalece pragnie, by syn pozbył się tych problemów.

- Prawdopodobnie - przytaknął. - Ale rozumie pan, jeszcze nie spotkałem pańskiego syna i nie słyszałem, jak czyta.

- Ma zaległości z zeszłego roku. Pisarze amerykańscy, dziewięcioletni kurs historii i nauka o państwie. Oblał egzamin, bo nie umiał przeczytać nic z tego cholerstwa. Czy ma pan uprawnienia do wykonywania zawodu w stanie New Hampshire?

- Nie. Ale nie widzę problemów z ich otrzymaniem.

- A w jaki sposób zająłby się pan Chuckiem?

Johnny opisał mu, co by zrobił. Dużo głośnego czytania ze specjalnym uwzględnieniem rzeczy szczególnie interesujących: fantasy, fantastyka naukowa, powieści dla młodzieży typu „chłopak spotyka samochód”. Bezustanne pytania dotyczące lektury. I techniki relaksacyjne opisane przez Jacksona.

- Ci, którzy mierzą wysoko, mają największe kłopoty - stwierdził. - Za bardzo się starają i tylko wzmacniają blokadę. To rodzaj mentalnej czkawki...

- Jackson to powiedział? - przerwał mu ostro Chatsworth. Johnny uśmiechnął się.

- Nie. Ja to powiedziałem.

- Dobrze. Proszę dalej.

- Czasami, jeśli uczeń wyłączy się po lekcji czytania i nie czuje nacisku, by zaraz opowiedzieć książkę własnymi słowami obwody same się „czyszczą”. Kiedy zdarzy się to raz i drugi uczeń zaczyna się zastanawiać, jak poradzić sobie z tym problemem. To kwestia myślenia pozytywnego...

Oczy Chatswortha zabłyśły. Johnny właśnie dotknął podstawy jego osobistej filozofii - prawdopodobnie filozofii wszystkich ludzi, którzy doszli do czegoś własnymi siłami.

- Nic tak nie sprzyja sukcesowi jak sukces?

- No, tak. Coś takiego.

- Jak długo zajmie panu zdobycie uprawnień na New Hampshire?

- Nie dłużej niż im odpowiedź na moje podanie. Może ze dwa tygodnie?

- Więc mógłby pan zacząć dwudziestego?

- Czy to znaczy, że pan mnie angażuje? - Johnny aż mrugnął, zaskoczony.

- Jeśli chce pan tej pracy, jest pan zaangażowany. Może pan mieszkać w domku gościnnym.

Latem utrzyma to z dała całą tę cholerną rodzinę, nie mówiąc już o przyjaciółach Chucka - a chcę, żeby się rzeczywiście przyłożył. Zapłacę panu sześćset dolarów miesięcznie - to nie jest dużo, ale jeśli uda się z Chuckiem, dostanie pan premię. Znaczną premię. - Chatsworth zdjął okulary i przetarł ręką twarz. - Kocham mojego chłopca, panie Smith. Chcę tylko tego, co dla niego najlepsze. Proszę nam odrobinę pomóc, jeśli to w pana mocy.

- Spróbuję.

Chatsworth włożył okulary i spojrzał w leżący przed nim życiorys.

- Nie uczył pan od strasznie dawna. Nie lubi pan tej pracy? Oto chwila prawdy, pomyślał Johnny.

- Lubiłem - powiedział. - Ale miałem wypadek. Chatsworth spojrzał na blizny na szyi Johnny'ego widoczne w miejscach, w których poprawiono zanikające ścięgna.

- Wypadek samochodowy?

- Tak.

- Ciężki?

- Tak.

- Teraz chyba jest pan już zupełnie zdrowy - stwierdził Chatsworth, wziął życiorys i włożył go do szuflady. Zdumiewające, ale na tym skończyły się pytania. A więc, po pięciu latach, Johnny znowu uczył, choć klasa składała się tylko z jednej osoby.

2

„A jeśli chodzi o mnie, który przy... przyczy... przyczyniłem się do jego śmierci, to ścisnął me ręce słabo w swych dłoniach i uśmiechnął się przy... prze... przeprasząc. To była trudna chwila i odszedłem czując, że uczyniłem światu krzywdę, którą trudno mi będzie kiedyś za... zadośćuczynić.”

Chuck z trzaskiem zamknął książkę.

- No. Ostatni w basenie jest fujara.

- Zaczekaj sekundkę, Chuck.

- Ajjjjj... - Chuck ciężko opadł na leżak, a jego twarz nabrała wyrazu, który Johnny nauczył się już kojarzyć z pytaniami. Najwięcej było w niej udawanego, pogodnego cierpienia, ale spod jego zasłony wyglądał czasami inny Chuck: ponury, zaniepokojony, przestraszony. Bardzo przestraszony. Bo żyje w książkowym świecie; analfabeci są w Ameryce dinozaurami skazanymi na wymarcie, a Chuck był wystarczająco inteligentny, by doskonale zdawać sobie z tego sprawę. I bał się także, co się z nim stanie, kiedy na jesieni wróci do szkoły.

- Tylko kilka pytań.

- Po co? Przecież wiesz, że nie uda mi się na nie odpowiedzieć.

- Ależ tak. Tym razem odpowiesz na wszystkie.

- Nie rozumiem tego, co czytam, już dawno powinieneś to pojąć. - Chuck był zdenerwowany i nieszczęśliwy. - Nie wiem nawet, po co tu jeszcze siedzisz, oczywiście jeśli nie liczyć forsy.

- Dasz radę odpowiedzieć na wszystkie pytania, ponieważ nie będą dotyczyły książki. Chuck podniósł głowę.

- Nie będą o książce? To po co chcesz pytać? Myślałem...?

- Zrób mi przyjemność, dobrze? .

Serce Johnny'ego biło mocno i nie był wcale zdumiony faktem, że czuje strach. Planował to od dłuższego czasu, czekając tylko na odpowiedni moment. Teraz miał szansę, która mogła się już nie powtórzyć. Bardzo zatroskana pani Chatsworth nie kręciła się w pobliżu, jeszcze bardziej denerwując syna swą obecnością. Żaden z jego przyjaciół nie chlapał się w basenie, uświadamiając mu, że uczy się głośno czytać jak opóźniony w rozwoju czwartoklasista. A co najważniejsze, jego ojciec, człowiek, któremu Chuck najbardziej pragnął sprawić przyjemność, wyjechał. Był w Bostonie, na sympozjum dotyczącym spraw środowiska naturalnego stanu New Hampshire, dyskutując o zanieczyszczeniu wody.

Z tekstu Edwarda Stanneya *O trudnościach w nauce czytania*:

„Badany, Rupert J., siedział w trzecim rzędzie w kinie, najbliższej ekranu - od reszty widzów dzieliło go co najmniej sześć rzędów. On jeden zauważył, że zgromadzone na podłodze śmiecie zapaliły się. Rupert J. zerwał się z miejsca krzycząc «P-P-P-P-...», podczas gdy reszta widzów wrzeszczała, by usiadł i zamknął się.”

- Jak się wtedy czuleś? - zapytał Ruperta J.
- Przez tysiąc lat nie wytłumaczę nikomu, jak się wtedy czułem - odpowiedział. - Bałem się, ale przede wszystkim byłem strasznie sfrustrowany. Czułem, że nie dorosłem do sytuacji, że nie zasługuję na to, żeby mnie nazwać człowiekiem. Jąkanie zawsze sprawiało, że czułem się niedowartościowany. Ale teraz w dodatku czułem się jeszcze jak impotent.

- Coś jeszcze?

- Tak, byłem zazdrosny, bo ktoś inny musiał zobaczyć płomień i... wie pan...

- Zagarnąć chwałę?

- No, tak. Zobaczyłem ogień pierwszy, nikt go jeszcze nie widział. I mogłem tylko powtarzać «P-P-P...» jak jakaś cholerna pęknięta płyta. Nie zasługiwałem na to, żeby mnie nazwać człowiekiem, to najlepszy opis sytuacji.

- A jak przełamałeś blok?

- Dzień wcześniej były urodziny mojej matki. Kupiłem jej w kwiaciarni sześć róż. Stałem tam, wszyscy na mnie wrzeszczeli i pomyślałem: otworzę usta i krzyknę «RÓŻE» jak najgłośniej się da. Już przygotowałem sobie to słowo.

- A co zrobiłeś później?

- Otworzyłem usta i wrzasnąłem «POŻAR» jak najgłośniej się dało."

Minęło osiem lat od czasu, gdy Johnny przeczytał opis tego przypadku we wstępie do artykułu Stanneya, ale nigdy o nim nie zapomniał. Zawsze myślał, że kluczowym słowem we wspomnieniach Ruperta J. było słowo „impotent”. Jeśli sądzisz, że w tej chwili najważniejszym zdarzeniem na ziemi jest stosunek, prawdopodobieństwo, że nie doznasz wzrodu, wzrasta dziesięcio-, a nawet stukrotnie. A jeśli sądzisz, że najważniejsze w świecie jest czytanie...

- Jak masz na drugie imię, Chuck? - zapytał niedbale.

- Murphy. - Chuck uśmiechnął się leciutko. - Okropnie, nie? To panińskie nazwisko matki. Jeśli powiesz to Jackowi albo Alowi, będę zmuszony przefasonować ci to twoje chude ciało.

- Nie bój się. Kiedy masz urodziny?

- Ósmego września.

Johnny zaczął rzucać pytania szybciej, nie dając Chuckowi czasu do namysłu - ale nie były to pytania wymagające namysłu.

- Jak ma na imię twoja dziewczyna?

- Beth. Przecież znasz Beth, Johnny...

- A na drugie? Chuck uśmiechnął się.

- Alma. Równie straszne, co?

- Imię dziadka ze strony ojca?

- Richard.

- Kogo widzisz tego roku w lidze wschodniej?

- Jankesów. Przejdą spacerkiem.

- Kto powinien zostać prezydentem?

- Chciałbym, żeby to był Jerry Brown.

- Zamierzasz sprzedać samochód?

- Nie w tym roku. Może w przyszłym.

- Pomysł mamy, co?

- Jasne. Uważa, że jeżdżę szybciej, niż myślę.

- Jak Czerwony Jastrząb przedarł się przez strażę i zabił Denny Junipera?

- Sherburne nie zwrócił wystarczającej uwagi na wejście, prowadzące z celi na więzienny strych - odpowiedział natychmiast Chuck i Johnny poczuł nagły przypływ triumfu, oszałamiający jak duży łyk bourbona bez lodu. Zadziałało! Sprawił, że chłopak zaczął mówić o różach i z całych sił wrzasnął "POŻAR"!

Chłopak przyglądał mu się całkowicie zaskoczony.

Czerwony Jastrząb dostał się na strych przez świetlik. Otworzył go kopnięciem. Zastrzelił Denny'ego Junipera. Zastrzelił też Toma Kenyona.

- Zgadza się, Chuck.

- Pamiętam - szepnął chłopak i popatrzył z uśmiechem na Johnny'ego. - Zaskoczyłeś mnie na tym, że pamiętam.

- Wziąłem cię za rękę i przeprowadziłem wokół czegoś, co przez cały czas stało ci na drodze.

Ale, cokolwiek to jest, istnieje nadal. Nie oszukuj się. Kim była dziewczyna, w której zakochał się Sherburne?

- Nazywała się... - Oczy Chucka zaszyły mgłą, z niechęcią potrząsnął głową. - Nie pamiętam. - Chłopiec z całej siły uderzył się w udo. - N i c nie pamiętam! Jestem takim pieprzonym idiotą!

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, jak się poznali twoi rodzice? Chuck podniósł głowę i uśmiechnął się nieśmiało. Na udzie, w miejscu, w które się uderzył, widać było czerwoną plamę.

- Jasne. Mama pracowała w Avisie, w Charlestonie w Południowej Karolinie. Wypożyczyła tacie wóz na kapciu. - Chuck roześmiał się. - Cały czas twierdzi, że wyszła za niego tylko dlatego, że numer drugi stara się bardziej.

- Kim była dziewczyna, w której zakochał się Sherburne?

- Jenny Langhorne. Narobiła mu strasznych kłopotów. Dziewczyna Gershama. Ruda. Jak Beth... - przerwał i spojrzał tak, jakby Johnny właśnie wyjął królika z kieszeni koszuli. - Znów to zrobiłeś!

- Nie. To ty to zrobiłeś. Ja tylko odwróciłem twoją uwagę.

Proste. Dlaczego uważasz, że Jenny Langhorne narobiła Johnowi Sherburne'owi poważnych kłopotów?

- No bo Gersham był ważną osobą w tym ich miasteczku.

- Jakim miasteczku?

Chuck otworzył usta, ale nic nie powiedział. Nagle odwrócił się i spojrzał na basen, a potem znów na nauczyciela. Z uśmiechem.

- Amity. Jak w tym filmie. *Szczęki*.

- Doskonale. Jak sobie przypomniałeś te nazwę? Chuck uśmiechnął się.

- To nie ma sensu, ale zacząłem się zastanawiać nad tym, że mógłbym spróbować dostać się do reprezentacji pływackiej, i już pamiętałem. Ale trick! Ale wspaniały trick!

- Doskonale. Na dziś chyba wystarczy. - Johnny był zmęczony, spocony, lecz czuł się doskonale.

- Na wypadek gdybyś nie zauważył, właśnie dokonaliśmy przełomu. Pływamy. Ostatni jest fujarą.

- Johnny?

- Co?

- Czy to zadziała za każdym razem?

- Jeśli przyzwyczaisz się do stosowania tego sposobu, tak. A za każdym razem, kiedy obejdziesz ten blok, zamiast się przez niego przebijać, sprawisz, że trochę się zmniejszy. Sądzę, że już niedługo sam zauważysz, o ile lepiej idzie ci czytanie. Znam jeszcze kilka innych sposobów. - Umilkł. To, co powiedział Chuckowi, było raczej hipnotyczną sugestią niż prawdą.

- Dzięki. - Maską udanego, pogodnego cierpienia opadła z twarzy Chucka, zastąpiona wyrazem czystej wdzięczności. - Jeśli mi w tym pomożesz to... to chyba padnę i będę ci całował stopy, jeśli tylko zechcesz. Czasami tak się boję, czuję, że mogę zawieść ojca...

- Chuck, nie orientujesz się, że to część problemu?

- Naprawdę?

- Naprawdę. Za bardzo się starasz. Za bardzo spinasz. Za bardzo... wszystko. A ten blok niekoniecznie jest psychologiczny, wiesz? Są ludzie, którzy sądzą, że niektóre problemy z czytaniem, syndrom Jacksona, wstręt do książki, to wszystko może być spowodowane defektem przy porodzie. Uszkodzony obwód, przełącznik nie działa, martwa... - Johnny gwałtownie zamknął usta.

- Co?

- Martwa strefa - podjął powoli. - Cokolwiek. Nie chodzi o nazwy, tylko o rezultaty. Trick z odwróceniem uwagi w rzeczywistości wcale nie jest trickiem. To uczenie biernej części mózgu, jak zastąpić tę, która nie działa. W twoim przypadku oznacza werbalizację myśli za każdym razem, kiedy trafisz w przeszkodę. Zmianę części mózgu, z której wypływa myśl. Uczysz się przestawiać zwrotnicę.

- Ale czy dam radę? Czy twoim zdaniem dam radę?

- Wiem, że dasz.

- W porządku. Dam radę. - Chuck skoczył do basenu i wypłynął, strząsając z długich włosów drobne kropelki wody. - Wskakuj! Jest wspaniale!

- Zaraz - odkrzyknął Johnny. Na razie wystarczyło mu siedzieć i patrzeć, jak Chuck potężnymi uderzeniami ramion i nóg wypływa tam, gdzie woda jest głębsza, by nacieszyć się swym zwycięstwem. Nie czuł się tak dobrze, gdy dowiedział się, że w domu Eileen Magown, w kuchni, zajęły się firanki ani kiedy odkrył tożsamość mordercy. Jeśli Bóg dał mu jakiś talent, to był to talent

do uczenia, a nie odkrywania rzeczy, których nie powinien znać. Został stworzony, żeby uczyć i kiedy w 1970 roku uczył w Cleaves Mills, wiedział to i - co więcej - wiedziały to także dzieciaki, ponieważ reagowały tak, jak właśnie zareagował Chuck.

- Będziesz tam stał jak głupi? - krzyknął chłopiec. Johnny wskoczył do basenu.

ROZDZIAŁ 18

I

Jak zawsze Warren Richardson wyszedł ze swego niewielkiego budynku biurowego za piętnaście piątą. Obszedł go w drodze na parking, umieścił swe stukilowe cielsko za kółkiem chevroleta caprice i włączył silnik. Wszystko normalnie. Nienormalna była tylko twarz, która nagle pojawiła się we wstecznym lusterku - ciemna, nie ogolona twarz otoczona długimi włosami, o oczach tak zielonych jak oczy Sary Hazlett czy Chu-cka Chatswortha. Warren Richardson nie przestraszył się tak od czasów dzieciństwa - serce wykonało mu w piersi wysokie, niezbyt stylowe salto.

- Jak leci? - zapytał Sonny Elliman, przechylając się przez oparcie.

Richardson, wypuszczając powietrze z piersi z przeraźliwym świstem, zdołał tylko wykrztusić „kim...?” Serce waliło mu tak mocno, że w rytm jego uderzeń czarne punkciki tańczyły i pulsowały mu przed oczami. Bał się, że właśnie dostał zawału.

- Spokojnie - powiedział mężczyzna, który ukrył się na tylnym siedzeniu jego samochodu. - Spokojnie, człowieku. Zrelaksuj się.

I Warren Richardson doznał przypiływu zdumiewającego w tych okolicznościach uczucia: wdzięczności. Człowiek, który go przestraszył, nie będzie mu groził. To musi być dobry człowiek, to musi być...

- Kim jesteś? - Tym razem zdołał dokończyć pytanie.

- Przyjacielem - odpowiedział mu Sonny.

Richardson zaczął się odwracać, a wtedy palce, twarde jak szczytce, ścisnęły z obu stron jego grubą szyję. Ból był przeraźliwy, nie do wytrzymania. Richardson głośno wciągnął w płuca wielki haust powietrza.

- Nie musisz się odwracać, człowieku. Wszystko, co potrzebujesz widzieć, dojrzysz we wstecznym lusterku. Kapujesz?

- Tak - sapnął Richardson. - Tak, tak, tak, puść mnie, puść...!

Szczytce rozluźniły swój straszny uścisk i Richardson znów poczuł tę irracjonalną wdzięczność. Ale nie wątpił już, że mężczyzna na tylnym siedzeniu jest niebezpieczny i że specjalnie wsiadł do samochodu, choć nie wiedział, po co ktoś...

Aż nagle zorientował się, po co ktoś chciałby go straszyć, a przynajmniej mógł chcieć; po normalnym kandydacie na jakiś urząd nikt raczej nie spodziewa się takiego zachowania, ale Stil-son nie był zwykłym kandydatem, Stillson to szaleniec i...

Warren Richardson zaczął cicho szlochać.

- Muszę z tobą pogadać, dobry człowieku - powiedział Son-ny. W jego głosie brzmiał żal, ale w widocznych w lusterku zielonych oczach błyszczało rozbawienie. - Muszę cię skarcić.

- To Stillson, prawda? To...

Szczytce nagle znów zacisnęły się na szyi, palce tego człowieka zagłębiły mu się w ciele i Richardson wrzasnął cienko.

- Żadnych nazwisk - powiedział straszny człowiek z tylnego siedzenia uprzejmym, choć pełnym żalu głosem. - Może pan wyciągać swe własne wnioski, panie Richardson, ale nazwiska proszę zatrzymać dla siebie. Pod kciukiem mam pana tętnicę szyjną, pod palcami żyłę szczękową i jeśli zechcę, mogę pana zmienić w warzywo.

- Czego chcesz? - zapytał Richardson. Nie można powiedzieć, żeby jęknął, ale prawie; nigdy w życiu nie czuł większej ochoty, by jęczeć. Nie potrafił uwierzyć w prawdziwość tego, co działo się na parkingu przed jego biurem handlu nieruchomościami w Capital City, stan New Hampshire, w piękny letni dzień. Widział wprawiony w czerwone cegły zegar na wieży ratusza. Wskazywał za dziesięć piątą. W domu Norma wkłada właśnie do piecyka smakowicie przyprawione kotlety wieprzowe. Sean

ogląda w telewizji *Ulicę Sezamkową*. A na tylnym siedzeniu siedzi człowiek, który grozi, że odetnie mu dopływ krwi do mózgu i zmieni go w idiotę. Nie, to nie mogła być prawda, to jakiś koszmar. Taki koszmar, który sprawia, że jęczysz przez sen.

- Ja nie chcę niczego - stwierdził Sonny Elliman. - Cały problem w tym, czego ty chcesz.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. - Ale strasznie bał się, że jednak rozumie.

- Ten artykuł w *Journalu* z New Hampshire o dziwnych interesach w handlu nieruchomościami - przypomniał mu Sonny. - Tam miał pan wiele do powiedzenia, panie Richardson, prawda? Zwłaszcza o... niektórych obywatelach.

- Janie...

- Weźmy na przykład Capital Mail. Było tam coś o wymuszaniu sprzedaży, łapówkach i o tym, jak ręka rękę myje. Takie gówno! - Palce znów zacisnęły się na szyi i tym razem Richardson jęknął. Przecież w artykule nie było jego nazwiska, podano tylko „dobrze poinformowane źródło”. Skąd wiedzieli? Jak Stillson się dowiedział?

Mężczyzna z tylnego siedzenia zaczął mówić szybko do ucha Richardsona; jego ciepły oddech wywoływał łaskotanie.

- Może pan wpędzić pewnych ludzi w kłopoty, gadając takie bzdury, wie pan, panie Richardson? Powiedzmy, kandydatów na poważne stanowiska. Kandydować na poważne stanowisko to jak grać w brydża, kapujesz? Jesteś na łasce innych. Ludzie mogą cię obrzucić błotem i ono zostaje, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. No, na razie nie mamy żadnych kłopotów. Miło mi to powiedzieć, bo gdybyśmy mieli problemy, siedziałbyś teraz, wygrzebując sobie zęby z nosa, a nie prowadząc ze mną przyjacielską pogawędkę.

Mimo łomotu w sercu, mimo strachu, Richardson zebrał się na odwagę.

- Ta... ta osoba... młody człowieku, jeśli myślisz, że zdołasz go obronić, jesteś szalony. Grał szybko i głupio jak jakiś zwariowany domokrążca. Prędeziej czy później...

Kciuk wbił mu się głęboko w ucho i wiercił w nim. Ból był straszny, niewyobrażalny. Mężczyzna uderzył głową w szybę i zaczął płakać. Na ślepo macał ręką w poszukiwaniu klaksonu.

- Zabiję, jeśli zatrąbisz - szepnął głos.

Dłonie Richardsona opadły z kierownicy. Nacisk kciuka zelżał.

- Powinieneś używać wacików, dobry człowieku - powiedział głos. - Cały palec mam w wosku. Obrzydliwość.

Warren Richardson chlipał cienko. Nie potrafił się powstrzymać. Łzy spływały po jego tłustych policzkach.

- Proszę, nie rób mi krzywdy - powtarzał. - Proszę, nie krzywdź mnie już. Proszę.

- Jest, jak mówiłem - powiedział mu Sonny. - Chodzi tylko o to, czego ty chcesz. To nie twoja sprawa, co inni mogą powiedzieć o... pewnych ludziach. Twoja sprawa to pilnować, co sam mówisz. Twoja sprawa to pomyśleć, nim coś powiesz, kiedy ten facet z *Journalu* znów się tu pojawi. Powinieneś wiedzieć, jak łatwo jest zdobyć wiadomość, kto jest „dobrze poinformowanym źródłem”. I powinieneś zobaczyć, jaka będzie sensacja, kiedy dom ci się spali. Albo może powinieneś pomyśleć, jak zapłacisz za chirurgię plastyczną, kiedy ktoś obleje twarz twojej żony kwasem z akumulatora.

Siedzący za Richardsonem mężczyzna zaczął dyszeć. Jak zwierzę w dżungli.

- A może powinieneś pomyśleć, jak łatwo byłoby komuś zjawić się na właściwej ulicy i porwać ci syna, kiedy wraca z przedszkola.

- Nie! - krzyknął ochryple Richardson. - Tylko nie to, ty oślizgły sukinsynu!

- Ja tylko mówię, że powinieneś pomyśleć, czego chcesz. Wybory są dla Ameryki takie ważne, wiesz - zwłaszcza w Roku Dwusetlecia. Wszyscy powinni się dobrze bawić. A nikt nie będzie się bawił, jeśli tacy głupi skurwiele jak ty zaczną opowiadać ludziom kłamstwa. Głupi, zazdrośni skurwiele jak ty.

Ręka cofnęła się. Otworzyły się tylne drzwi. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

- Po prostu przemyśl moje słowa - powtórzył Sonny Elliman. - Czy wreszcie się zrozumieliśmy?

- Tak, ale jeśli sądzisz, że Gr... że pewne osoby mogą zostać wybrane dzięki takiej taktyce, bardzo się mylisz.

- Nie - powiedział Sonny. - To ty się mylisz. Przecież wszyscy dobrze się bawią. Pilnuj się, żebyś nie został w przedpokoju.

Richardson nie odpowiedział. Siedział sztywno za kierownicą, czując ból szyi i wpatrując się w zegar na wieży, jakby była to ostatnia normalna rzecz w jego życiu. Dochodziło pięć po piątej. Kotlety

wieprzowe pewnie już się upiekły.

Facet z tylnego siedzenia powiedział jeszcze coś i znikł, oddalając się szybko; długie włosy ocierały się o kołnierzyk koszuli. Nie odwrócił się. Minął róg budynku i znikł.

Ostatnią rzeczą, jaką powiedział Warrenowi Richardsonowi, było słowo: „waciki”.

Richardson zaczął się trząść i upłynęło sporo czasu, nim mógł prowadzić. Pierwszym uczuciem, z którego zdał sobie sprawę, był gniew, szalony gniew. Wraz z nim pojawiła się myśl, by podjechać wprost na posterunek policji w Capital City (mieszczący się w budynku pod zegarem) i zameldować o tym, co zaszło - o groźbach zamachu na żonę i syna, o fizycznym znęcaniu się - i o człowieku, który za tym wszystkim stał.

Powinieneś pomyśleć, jak zapłacisz za operację plastyczną... jak łatwo byłoby komuś zjawić się na właściwej ulicy i porwać ci syna...

Tylko dlaczego? Po co ryzykować? Powiedział temu twardzielowi pełną, szczerą prawdę. Wszyscy specjaliści od handlu nieruchomościami w południowym New Hampshire wiedzieli, w co gra Stillson, jak wydusza krótkoterminowe zyski, przez które trafi do więzienia - prędzej czy później, a może nawet prędzej. Prowadził kampanię jak ostatni idiota. W Ameryce coś takiego na dłuższą metę nikomu się nie uda - a już zwłaszcza nie uda się w Nowej Anglii.

Tylko niech to ujawni kto inny.

Ktoś, kto ma mniej do stracenia.

Warren Richardson włączył silnik i pojechał do domu na kotlety wieprzowe. Nie powiedział nic. Ktoś inny z pewnością położy wszystkimu kres.

ROZDZIAŁ 19

I

Tego samego dnia, w którym Chuck dokonał tak wielkich postępów, nieco później, wieczorem Johnny Smith stał w łazience domku dla gości, jeżdżąc po policzkach maszynką do golenia. Przeglądanie się sobie w lustrze dostarczało mu ostatnio dziwnych wrażeń; jakby, zamiast patrzeć na siebie, patrzył na swego starszego brata. Na czole pojawiły mu się głębokie, poziome zmarszczki, dwie inne bieły od kącików ust. Najdziwniejsze ze wszystkiego były pasma siwizny we włosach, które ostatnio szybko mu bieleły. Miał wrażenie, że nastąpiło to dosłownie z dnia na dzień.

Wyłączył maszynkę i przeszedł do kuchni połączonej z dużym pokojem. Rozkosze luksusu, pomyślał z uśmiechem. Ostatnio coraz częściej się uśmiechał, uśmiech znów zaczynał wydawać mu się całkiem naturalny. Włączył telewizor, wyjął z lodówki pepsi i usiadł, by obejrzeć wiadomości. Roger Chatsworth powinien wrócić wieczorem - jutro Johnny z wielką przyjemnością oznajmi mu, że jego syn zaczął robić prawdziwe postępy.

Johnny odwiedzał ojca mniej więcej co dwa tygodnie. Herbowi podobała się jego nowa praca, z zainteresowaniem słuchał opowieści o Chatsworthach, domu w przyjemnym uniwersyteckim miasteczku Durham i problemach Chucka. Z kolei Johnny dowiedział się od ojca o tym, jak naprawia dom Charlene MacKenzie w pobliskim New Gloucester.

- Jej mąż był wspaniałym lekarzem, ale strasznie kiepskim fachowcem - mówił Herb. Charlene i Vera przyjaźniły się, zanim Vera poświęciła się co dziwniejszym praktykom religijnym. To je rozdzieliło. Mąż Charlene, lekarz ogólny, zmarł na atak serca w 1973 roku. - Dom praktycznie walił się tej kobiecie na głowę. Przynajmniej mogę jej trochę pomóc. Jeżdżę tam w soboty i przed powrotem do domu dostaję kolację. Muszę powiedzieć ci prawdę, Johnny: gotuje lepiej od ciebie.

- I wygląda lepiej - stwierdził żartobliwie Johnny.

- Tak, ładna z niej kobietka, ale to nie to, synu. Twoja matka umarła niespełna rok temu...

Ale Johnny przypuszczał, że jednak może chodzić o coś więcej i w duchu bardzo się z tego cieszył. Nie chciałby, by jego ojciec starzał się w samotności.

W telewizji Walter Cronkite serwował właśnie wieczorne wiadomości. Skończył się czas wyborów wstępnych, zbliżały się konwencje; wydawało się, że Carter ma pewną nominację z ramienia demokratów. Natomiast Ford walczył o swe polityczne życie z Ronaldem Reaganem, gubernatorem Kalifornii i eksaktorem. Obaj szli łeb w łeb; do tego stopnia, że dziennikarze liczyli

już indywidualne głosy i w jednym ze swoich rzadkich listów Sara Hazlett napisała: *Walter trzyma zaciśnięte palce (w nogach też!) i liczy na Forda. Jako tutejszy kandydat do senatu stanowego już myśli o tym, kto komu udzieli poparcia. Twierdzi, że - przynajmniej w Maine - nikt nie pomoże Reaganowi.*

Pracując jako kucharz w barze w Kittery, Johnny nabrał zwyczaju podróżowania parę razy w tygodniu do Dover, Portsmouth i wielu pomniejszych miasteczek w New Hampshire. Pojawiali się tam wszyscy kandydaci na prezydentów; była to życiowa szansa zobaczenia ich z bliska, bez królewskich w swym majestacie atrybutów władzy, które miały wkrótce otoczyć któregoś z nich. Było to dla niego coś w rodzaju hobby, choć z konieczności skazanego na rychłą śmierć; kiedy pierwsze w kraju wybory wstępne w New Hampshire skończą się, kandydaci ruszą na Florydę, nawet się za siebie nie oglądając. Naturalnie, ambicje polityczne niektórych zostaną pogrzebane gdzieś między Portsmouth i Keene. Nie będąc nigdy - za wyjątkiem okresu wojny w Wietnamie - fanatykiem polityki, w czasie rekonwalescencji po sprawie z Castle Rock Johnny zachłannie przyglądał się politykom. Jego talent, przekleństwo czy cokolwiek innego miało w tym także pewien udział.

Potrząsnął dłonią Morrisa Udalla i Henry Jacksona. Fred Harris poklepał go po plecach. Ronald Reagan mocno, z praktyką polityka, dwukrotnie machnął jego ręką i powiedział: Niech pan pójdzie do urny i wspomóż nas, jeśli wolno prosić". Johnny tylko skinął głową, nie widząc powodu, by rozczarowywać pana Reagana informacją, że nie jest jego miejscowym zwolennikiem.

Przez piętnaście minut rozmawiał z Sarge Shriverem, stojąc obok niego przy wejściu do monstrualnego centrum handlowego w Newington. Shriver, świeżo ostrzyżony, pachnący wodą kolońską i - być może - rozpaczą, stał w towarzystwie jednego doradcy z kieszeniami wypchanymi ulotkami i agenta ochrony, dyskretnie drapiącego pryszcz. Wydawał się niezwykle ucieszony, że ktoś go rozpoznał. Minutę czy dwie przed pożegnaniem z Johnnym kandydat na jakieś miejscowe stanowisko podszedł i poprosił o podpis na nominacji. Shriver uśmiechnął się do niego z zadowoleniem.

Johnny wyczuwał ich, ale nie było w tym nic szczególnego. Wydawało się, że sam fakt dotknięcia jest dla nich do tego stopnia rytuałem, że prawdziwe „ja” pozostaje niedostępne jak pod powłoką twardego plastyku. I chociaż widział ich wszystkich -z wyjątkiem prezydenta Forda - Johnny tylko raz poczuł ten nagły, elektryzujący wstrząs, który wiązał z Eileen Magown i - w zupełnie innym sensie - z Frankiem Doddem.

Było za piętnaście siódma rano. Johnny przyjechał do Manchesteru swym starym plymouthem. Pracował całą noc, od dziesiątej do szóstej rano. Był zmęczony, ale spokojny zimowy poranek wydawał się zbyt piękny, by go przespać. Poza tym lubił Manchester z jego krętymi uliczkami i domami ze spłowia-łej przez lata cegły, z neogotyckimi fabrykami włókienniczymi, wybudowanymi nad rzeką. Tego ranka nie szukał świadomie polityków; chciał pojeździć trochę po pustych ulicach, nim pojawią się na nich tłumy, nim lutowy czar chłodu i milczenia zostanie przerwany - a później miał wrócić do Kittery i pójść spać.

Wyjechał zza rogu i zobaczył trzy niczym się nie wyróżniające limuzyny, zaparkowane przy fabryce butów, w miejscu w którym obowiązywał zakaz parkowania. Przy bramie w betonowym murze stał Jimmy Carter, potrząsając rękami robotników zaczynających właśnie zmianę. Robotnicy nieśli koszyki i papierowe torby z drugim śniadaniem, wydychali z ust białe chmurki, zawinięci w ciężkie płaszcze wydawali się ciągle jeszcze spać. Carter miał uprzejme słowo dla każdego z nich. Jego uśmiech, jeszcze nie tak znany jak później, wydawał się świeży, niezmordowany. Nos miał czerwony od mrozu.

Johnny zaparkował kawałek dalej. Podszedł do bramy fabryki; świeży śnieg skrzypiał mu pod nogami. Agent Cartera obmacał go szybko i stracił zainteresowanie - w każdym razie tak mu się wydawało.

- Będę głosował na każdego, kto postara się obniżyć podatki - mówił właśnie mężczyzna w starej kurtce narciarskiej. Na jednym rękawie jego kurtki widać było konstelację dziurek, wypalonych jakby kwasem akumulatorowym. - Bez żartów, te cholerne podatki mnie zabijają.

- Tak, zajmiemy się tym - odparł Carter. - Sytuacja podatkowa będzie jednym z naszych podstawowych priorytetów, gdy tylko znajdę się w Białym Domu. - W jego głosie brzmiała pogodna pewność siebie, która uderzyła Johnny'ego i sprawiła, że poczuł się niewyraźnie.

Oczy Cartera, bystre i zdumiewająco niebieskie, odwróciły się w jego kierunku.

- Cześć.

- Dzień dobry, panie Carter - powiedział Johnny. - Nie pracuję tu. Przejeżdżałem i zobaczyłem pana.

- Cóż, miło mi, że pan się zatrzymał. Kandyduję na stanowisko prezydenta.

- Wiem.

Carter wyciągnął rękę. Johnny ujął ją.

- Mam nadzieję... - zaczął Carter... i przerwał.

Poczuł coś jakby błysk - nagły, potężny cios, jakby włożył rękę w gniazdko elektryczne. Jego spojrzenie stało się nagle ostre. Patrzyli na siebie przez chwilę, która wydawała się bardzo długa.

Agentowi wcale się to nie spodobało. Przysunął się do kandydata gwałtownymi ruchami zaczął rozpinąć płaszcz. Gdzieś za nimi o tysiąc mil za nimi, zegar fabryki jednym gwizdkiem oznajmił rześkiemu, błękitnemu porankowi nadejście godziny siódmej.

Johnny puścił dłoń Cartera, ale obaj ciągle w siebie się wpatrywali.

Co to, do diabła, było? - zapytał Carter, bardzo cicho.

- Pan pewnie się gdzieś śpieszy, nie? - rzekł nagle agent, kładąc dłoń na ramieniu Johnny'ego. Miał ogromną dłoń. - Prawda?

- Wszystko w porządku - powiedział Carter.

- Zostanie pan prezydentem - stwierdził Johnny.

Dłoń agenta ciągle spoczywała na jego ramieniu i od niego także coś odbierał. Agentowi

(oczy)

nie podobały się jego oczy. Myślał, że

(oczy mordercy, oczy psychopaty)

są chłodne i dziwne i jeśli ten facet choćby włoży rękę do kieszeni, jeśli choćby wykona ruch w tym kierunku, trzeba będzie przewrócić go na chodnik. Z prowadzonej nieustannie przez agenta oceny sytuacji przeglądała prosta, doprowadzająca do szaleństwa litania myśli

(*laurel maryland laurel maryland laurel maryland laurel*).

- Tak - przytaknął Carter.

- Będzie trudniej, niż sądzą ludzie... trudniej, niż pan sądzi, ale wygra pan. On przegra. Polska. Polska go pokona. Carter tylko patrzył na niego z uprzejmym uśmiechem.

- Ma pan córkę. Idzie do szkoły prywatnej w Waszyngtonie. Idzie do szkoły... - ale to było w martwej strefie - szkoły... nazwanej chyba imieniem wyzwolonego niewolnika.

- Kolego, proszę stąd odejść - powiedział agent. Carter spojrział na niego i ochroniarz przycichł.

- Miło mi było pana spotkać - powiedział Carter. - Była to wielka, choć nieco zaskakująca przyjemność.

I nagle Johnny znowu był sobą. Przeszło. Czuł, że zmarzły mu uszy, że musi iść do łazienki.

- Życzę miłego poranka - odezwał się niezręcznie.

- Dziękuję. Nawzajem.

Johnny odszedł do samochodu, świadom śledzącego go spojrzenia agenta. Odjechał, zaniepokojony. Niedługo potem Carter zakończył objazd po New Hampshire i pojechał na Florydę.

2

W *Wiadomościach* Walter Cronkite przeszedł do tematu wojny domowej w Libanie. Johnny wstał po drugą szklankę pepsi. Skinął nią w stronę telewizora. Twoje zdrowie, Walt. Za zagładę, zniszczenie, za los. Gdzie byśmy bez nich byli?

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Johnny zawołał „proszę”, spodziewając się Chucka i - być może - zaproszenia do kina dla zmotoryzowanych w Somersworth. Ale to nie był Chuck, lecz jego ojciec.

- Cześć, Johnny - powiedział Roger. Miał na sobie sprane dzinsy i starą bawełnianą koszulę, niedbale wpuszczoną w spodnie. - Mogę wejść?

- Jasne. Sądziłem, że pan wróci później.

- Tak. Shelley telefonowała. - (Shelley była jego żoną). Roger wszedł i zamknął drzwi. - Chuck poszedł wprost do niej. Popłakał się jak małe dziecko. Powiedział jej o tej ostatniej lekcji. Powiedział, że wszystko powinno być w porządku.

Johnny odstawił szklankę.

- Mamy jeszcze mnóstwo do zrobienia - stwierdził.

- Chuck wyjechał po mnie na lotnisko. Nie widziałem go takim od kiedy... ile to miał lat?

Dziesięć? Jedenaście? Kiedy dałem mu dwudziestkę dwójkę, na którą czekał pięć lat. Przeczytał mi artykuł z gazety. Poprawa jest... niemal niesamowita. Przyszedłem ci podziękować.

- Proszę podziękować Chuckowi. To zdolny chłopiec. Poprawę zawdzięcza przede wszystkim pozytywnemu myśleniu. Zaczyna wierzyć, że mu się uda, i na tym jedzie. To chyba najlepiej wszystko wyjaśnia.

Roger usiadł.

- Powiedział, że uczysz go przestawiać zwrotnicę.

- Tak, chyba tak - uśmiechnął się Johnny.

- Czy zdoła zdać Test Wiedzy Naukowej?

- Nie wiem. Przeraza mnie możliwość, że zaryzykuje i przegra. TWN to stresujące doświadczenie. Jeśli siądzie na sali wykładowej z arkuszem pytań przed sobą i wpadnie w panikę, koniec będzie dla niego tragiczny. Nie myślał pan o dobrej szkole przygotowawczej na rok? Na przykład akademii w Pittsfield?

- Zastanawialiśmy się nad tym trochę, ale mówiąc szczerze, uważam, że to tylko odsuwanie nieuniknione.

- To właśnie jedna z przyczyn jego kłopotów. Uczucie, że tkwi w sytuacji ostatecznej - może wygrać albo przegrać.

- Nigdy go nie naciskałem.

- Nie świadomie, wiem. On też wie. Z drugiej strony jest pan człowiekiem sukcesu, który skończył uniwersytet z wyróżnieniem. Z tego powodu Chuck może się czuć tak, jakby odbijał piłki Hanka Aarona.

- Nic nie mogę na to poradzić, Johnny.

- Sądzę, że rok w szkole przygotowawczej, z dala od domu, pomógłby mu uwierzyć w siebie. A w lecie przyszłego roku planuje pójść do pracy do jednej z pańskich tkalni. Gdyby to był mój syn, gdyby to były moje tkalnie, to bym się zgodził.

- Jak to się stało, że nigdy mi nie powiedział?

- Bo nie chciał, żeby wyglądało, że się podlizuje.

- Mówił ci to?

- Tak. Chce iść do pracy, gdyż sądzi, że praktyczne doświadczenie może mu się przydać później. Dzieciak chce pójść w pańskie ślady, panie Chatsworth. A pan zostawił po sobie bardzo głębokie ślady. To z tego brała się część jego kłopotów z czytaniem. Chłopak po prostu się lękał.

W pewnym sensie Johnny kłamał. Chuck wspominał o czymś takim, o kilku sprawach kiedyś nawet bąknął, ale nie w taki sposób, jak Johnny przedstawił to Rogerowi Chatsworthowi. W każdym razie nie słowami. Tylko że Johnny dotykał Chucka od czasu do czasu i odbierał tego rodzaju sygnały. Przejrzał zdjęcia, które Chuck nosił w portfelu, i wiedział, co chłopak czuje w stosunku do ojca. Były rzeczy, których nigdy nie powiedziałby temu sympatycznemu, lecz przecież obcemu człowiekowi, który właśnie siedział z nim przy stole. Chuck czcił ziemię, po której stąpał ojciec. Pod maską bez troski (tak podobną do maski Rogera) ukrywał przekonanie, że nigdy mu nie dorówna. Ojciec zaczął od dziesięcioprocentowego udziału w podupadającej tkalni i zbudował tekstylne imperium Nowej Anglii. Chuck sądził, że zdobędzie miłość ojca tylko przenosząc podobne góry. Musi grać w piłkę. Musi iść na dobry uniwersytet. Musi c z y t a ć.

- Jesteś tego pewien?

- Najzupełniej. Ale byłbym wdzięczny, gdyby nie powtarzał pan chłopcu naszej rozmowy. Zdradzam jego sekrety. *Nigdy się nie dowiesz, jak prawdziwe jest to stwierdzenie.*

- W porządku. Wspólnie rozważymy sprawę szkoły przygotowawczej. A tak na razie... to dla ciebie. - Roger wyjął z tylnej kieszeni spodni zwykłą białą kopertę i wręczył ją Johnny'emu.

- Co to takiego?

- Przekonaj się.

Johnny otworzył kopertę. Leżał w niej czek na pięćset dolarów.

- Ojej...! Nie mogę go przyjąć.

- Możesz i przyjmiesz. Obiecałem ci premię zależną od wyników, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Następną dostaniesz, jak skończysz pracę.

- Doprawdy, panie Chatsworth, ja tylko...

- Ciii. Coś ci powiem, Johnny. - Roger pochylił się w fotelu. Zdecydowanie malowało się na jego twarzy i wówczas Johnny pod sympatyczną maską dostrzegł człowieka, który osiągnął to wszystko:

dom, ogród, basen, fabryki. A oprócz tego był powodem książkowego lęku syna, który można byłoby prawdopodobnie sklasyfikować jako histeryczną neurozę. - Moje doświadczenie podpowiada mi, że dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi chodzących po naszej ziemi cechuje po prostu bezwład. Jeden procent to święci, a jeden to dupki. Pozostałe trzy procent to ludzie, którzy wprowadzają w czyn swe postanowienia. Ja mieszcę się w tych trzech procentach i ty także. Zarobiłeś tę forszę. Mam w tkalniach ludzi, którzy biorą do domu jedenaście tysięcy dolarów rocznie, a właściwie nie robią nic oprócz bawienia się swoimi małymi. Ale się nie skarżę. Jestem człowiekiem światowym, a to oznacza, że wiem i rozumiem, co wprawia świat w ruch. Mieszanka składa się w jednej części z benzyny super na dziewięć części gówna. Ale ty nie sprzedajesz gówna. Więc włóż forszę do portfela i następnym razem spróbuj cenić się nieco wyżej. - Dobrze - zgodził się Johnny. - Żeby nie skłamać, wiem, co z tą forszą zrobić.

- Rachunki za leczenie?

Johnny spojrział uważnie na Rogera Chatswortha. - Wiem o tobie wszystko - przyznał Roger. - Myślałeś, że nie sprawdzę człowieka, którego zatrudniam? - Wie pan o...

- Jesteś kimś w rodzaju jasnowidza. Pomogłeś rozwiązać sprawę morderstw w Maine. Tak przynajmniej jest napisane w gazetach. Od stycznia miałeś zacząć uczyć, ale przestraszyli się, kiedy twoje nazwisko trafiło do gazet. Jak widzisz, orientuję się we wszystkim.

- I mimo to zdecydował się pan na mnie?

- Przecież poszukiwałem nauczyciela, prawda? Czuję, że tobie akurat może się udać. Mam wrażenie, że zatrudniając cię, wykazałem się wielką znajomością ludzi.

- Cóż, dziękuję. - Głos Johnny'ego był schrypnięty.

- Powiedziałem ci, że nie musisz dziękować.

W trakcie rozmowy Walter Cronkite skończył przedstawiać najnowsze wiadomości i przeszedł do sensacyjek typu „człowiek pogryzł psa”, pojawiających się czasami pod koniec dzienników. Mówił właśnie: „... wyborcy z zachodniego New Hampshire mają w tegorocznych wyborach niezależnego kandydata z trzeciego okręgu...”

- Tak, forsa się przyda - stwierdził Johnny. - Nie ma...

- Ciii. Chciałbym tego posłuchać.

Chatsworth pochylał się w fotelu. Ręce zwisały mu między kolanami, na twarzy miał łagodny uśmiech. Johnny spojrział na ekran.

- ...Stillson - ciągnął dalej Cronkite. - Ten czterdziestotrzyletni agent sprzedaży ubezpieczeń i nieruchomości prezentuje z pewnością najbardziej egzotyczną kampanię w roku '76. Zarówno kandydat republikański z trzeciego okręgu, Harrison Fisher, jak i jego przeciwnik - demokrat David Bowes - zaczynają się bać, ankiety wskazują bowiem, że Greg Stillson prowadzi pewnie. Oto nasz wysłannik, George Herman.

- Kto to jest Stillson? - zapytał Johnny. Chatsworth roześmiał się.

- Och, powinieneś zobaczyć tego faceta. Jest szalony jak marcowy zając. Ale moim zdaniem trzeźwi wyborcy trzeciego okręgu wyślą go w listopadzie do Waszyngtonu. Chyba że padnie na ziemię, tocząc pianę z pyska. Wcale nie wykluczyłbym tej możliwości.

Na ekranie ukazał się przystojny, młody mężczyzna w białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem. Przemawiał do niewielkiej grupki ludzi z ustrojonej chorągiewkami platformy, stojącej na parkingu supermarketu. Mężczyzna najwyraźniej próbował ich do czegoś nakłonić, lecz tłum nie odnosił się do niego entuzjastycznie. Z ekranu dobiegał głos George'a Hermana: „Oto David Bowes, kandydat demokratów - niektórzy powiedzieliby »kozioł ofiarny« - z trzeciego okręgu wyborczego w New Hampshire. Bardzo trudno będzie mu zwyciężyć, bowiem trzeci okręg wyborczy w New Hampshire n i g d y nie wybrał demokracji, nawet w roku 1964, wspaniałym roku L.B. Johnsona. Bowes spodziewał się, że jego konkurentem będzie ten oto człowiek.”

Kamery pokazały teraz mężczyznę w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat. Przemawiał na ekskluzywnym przyjęciu, od którego zależały finanse jego kampanii. Goście, obowiązkowo grubawi, mający zawsze rację i wyglądający tak, jakby natychmiast musieli pójść do łazienki, byli niewątpliwie biznesmenami - republikanami. Mówca ogromnie przypominał Edwarda Gurneya z Florydy, choć brakowało mu smukłej, muskularnej budowy tamtego.

- Oto Harrison Fisher - mówił Herman. - Wyborcy trzeciego okręgu posyłali go co dwa lata do Waszyngtonu od 1960 roku. To znana postać w polityce; Fisher zasiada w pięciu komitetach i jest przewodniczącym Komitetu Parków i Zasobów Wodnych przy Kongresie. Spodziewano się, że bez

trudu pobije młodego Davida Bowesa. Lecz ani Fisher, ani Bowes nie przewidzieli, że w talii pojawi się dzoker. Oto i on.

Cięcie.

- Święty Jezu! - krzyknął Johnny.

Za jego plecami Chatsworth ryknął śmiechem i walnął się dłonią w udo.

- Uwierzyłbyś, że taki facet istnieje?

Nie było tu obojętnego tłumu z parkingu supermarketu. Nie było też bogatych republikanów z Granitowej Sali Hiltona w Portsmouth. Greg Stillson stał na platformie ustawionej w swoim mieście, w Ridgeway. Za jego plecami wznosił się pomnik żołnierza Unii z karabinem w ręku i kepi nisko nasuniętym na oczy. Ulica została zablokowana i wypełniał ją tłum dziko wiwatujących, przeważnie młodych ludzi. Stillson ubrany był w sprane dżinsy i koszulę z nadwyżek armii, z dwoma kieszonkami na piersiach. Na jednej kieszonce widniał wyhaftowany napis GIVE PEACE A CHANCE, na drugiej MAMI-NA SZARLOTKA. Na głowie miał ciężki kask robotnika budowlanego, na którym widniał naklejony znaczek partii ekologicznej - zielona amerykańska flaga. Za nim stał jakiś stalowy wózek. Z dwóch głośników John Denver śpiewał *Dzięki Bogu pochodzę ze wsi*.

- Co to za wózek? - zapytał Johnny.

- Zobaczysz - odparł szeroko uśmiechnięty Roger. Herman mówił dalej:

- Dżokerem jest Gregory Ammas Stillson, lat czterdzieści trzy, były sprzedawca Jedynej Prawdziwej Biblii, były malarz pokojowy i były zaklinacz deszczu w Oklahomie, w której się wychował.

- Zaklinacz deszczu - powtórzył Johnny, osłupiały.

- Och, to jeden z jego atutów - stwierdził Roger. - Jeśli go wybierzemy, będzie padać, kiedy tylko potrzeba.

- Platforma Stillsona - mówił dalej Herman - jest, no cóż, odświeżająca.

John Denver zakończył piosenkę okrzykiem, na który tłum odpowiedział wiwatami. I wtedy Stillson zaczął mówić; jego głos dudnił, maksymalnie nagłośniony. Przynajmniej system wzmacniaczy miał najwyższej klasy - prawie nie słychać było zniekształceń. Ten głos sprawił, że Johnny poczuł niepokój - był to wysoki, mocny, rytmiczny głos telewizyjnego kaznodziei. Wokół ust Stillsona widać było mgiełkę plwocin.

- Po co wybieramy się do Waszyngtonu? Dlaczego chcemy trafić do Waszyngtonu? - ryczał Stillson. - Jaką mamy platformę? Nasza platforma składa się z pięciu poziomów, sąsiedzi i przyjaciele, pięciu staroświeckich poziomów. Jak się nazywają? Powiem wam bez ogródek. - Pierwszy poziom to: **WYWALIC DUPKÓW!**

Tłum ryknął. Ktoś rzucił w powietrze dwie garście konfetti. Ktoś inny wrzasnął JAAA-HUUU! Stillson przechylił się przez barierkę.

- Chcacie wiedzieć, dlaczego noszę ten hełm, sąsiedzi i przyjaciele? Powiem wam, dlaczego. Noszę go, bowiem gdy wyślecie mnie do Waszyngtonu, przelecę przez nich jak wiecie co przez gęś. Załatwię ich - o tak!

I przed zdumionymi oczami Johnny'ego Stillson opuścił głowę i zaszarżował po podium w tę i z powrotem, wydając cienki, triumfalny okrzyk bojowy południowców. Roger Chatsworth dosłownie znikł w fotelu, zaśmiewając się do łez. Tłum oszalał. Stillson wrócił na miejsce, zdjął hełm i rzucił go ludziom. Walczyli o to, kto zdoła go złapać.

- Drugi poziom - wrzasnął Stillson do mikrofonu - wywalimy wszystkich z rządu, od największych do najmniejszych, co to sypiają z panienkami, które nie są ich żonami! Jeśli panowie szukają łatwych zdobyczy, to nie za rządowe pieniądze!

- Co powiedział? - Johnny aż zamrugał ze zdumienia.

- Jej, ten gość dopiero się rozkręca. - Roger wytarł załzawione oczy i znów ryknął śmiechem. Johnny pożałował, że jemu nie wydaje się to tak śmieszne.

- Trzeci poziom - ryknął Stillson - wyślemy wszystkie zanieczyszczenia w przestrzeń kosmiczną. Wsadzimy je w torby ze sklepów! Wsadzimy je w torby na śmiecie! Wyślemy je na Marsa, na Jowisza, na pierścienie Saturna! Oczyszczymy powietrze, oczyszczymy wodę i dokonamy tego w **SZESĆ MIESIĘCY!**

Tłum aż skręcał się ze szczęścia. Lecz wśród tego tłumu Johnny dostrzegł też ludzi konających ze śmiechu, tak jak obok niego konał ze śmiechu Roger Chatsworth.

- Czwarty poziom! Dostaniemy ropy i gazu, ile tylko chcemy! Przestaniemy się bawić z tymi Arabami i przyciśniemy gaz! Tej zimy nikt w New Hampshire nie zmieni się w lody Bambino, jak to się zdarzało wcześniej.

Euforia ogarnęła wszystkich. Poprzedniej zimy, w Portsmouth, znaleziono starą kobietę, która zamarzała na śmierć we własnym mieszkaniu. Kobieta nie płaciła za gaz i gazownia po prostu go wyłączyła.

- Mamy siłę, sąsiedzi i przyjaciele, potrafimy to zrobić! Czy ktoś tu myśli, że się nam nie uda?

- NIE! - ryknął tłum.

I ostatni poziom. - Stillson podszedł do stalowego wózka. Zdjął pokrywę, w powietrzu pojawiła się chmura pary. - HOT—DOGI!

Garściami zaczął wybierać hot-dogi z wózka, w którym Johnny dopiero teraz rozpoznał kuchnię polową, rzucał je w tłum i wracał po więcej. Parówki fruwały w powietrzu.

- Hot-dogi dla wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci Ameryki! A kiedy dzięki wam Greg Stillson trafi do Izby Reprezentantów, powiecie: „HOT-DOG! KTOŚ Z TYM WRESZCIE SKOŃCZY!”

Obraz zmienił się znowu. Podium rozbierali młodzi, długowłosi ludzie, wyglądający jak wędrowni fani rockowej kapeli. Trzech z nich zbierało śmieci pozostawione przez tłum. Odezwął się Greg Herman:

- Kandydat demokratów, David Bowes, nazywa Stillsona dowcipnisiem próbującym rzucić piach w maszynę amerykańskiej demokracji. Fisher krytykuje go znacznie dobitniej. Dla niego Stillson jest jarmarcznym kaznodzieją traktującym samą zasadę wolnych wyborów jako dowcip rodem z taniej burleski. W swych wystąpieniach nazywa go „jedynym członkiem Amerykańskiej Partii Hot-Dogów”. Lecz fakty mówią, co następuje: w najnowszych badaniach opinii publicznej przeprowadzonych przez CBS David Bowes ma zapewnione 20% głosów, Harrison Fisher 26% - a nieznany Greg Stillson prowadzi z dużą przewagą 42%. Oczywiście, od wyborów dzieli nas jeszcze kawał czasu i wszystko może się zmienić, lecz na dziś Greg Stillson zawładnął sercami - jeśli nie umysłami - wyborców z trzeciego okręgu w New Hampshire.

Kamera pokazywała Hermana w zbliżeniu, obie jego ręce pozostały niewidoczne. Teraz podniósł jedną z nich i okazało się, że trzyma w niej hot-doga. Ugryzł go łapczywie.

- George Herman, CBS, przedstawił państwu wiadomości z Ridgeway, stan New Hampshire.

Siedzący w studiu CBS Walter Cronkite zachichotał.

- Hot-dogi - powtórzył i znów się zaśmiał. - Tak to kręci się ten świat.

Johnny wstał i wyłączył telewizor.

- Nie do wiary. Czy ten gość naprawdę jest kandydatem? Czy to nie jakiś żart?

- Kwestia, czy to żart, czy nie, podlega indywidualnej ocenie - zauważył uśmiechnięty Roger - ale facet rzeczywiście kandyduje. Z urodzenia i wychowania jestem republikaninem, ale muszę przyznać, że ten Stillson dał mi wiele do myślenia. Wiesz, że wynajął kilku facetów z gangu motocyklowego jako ochroniarzy? Prawdziwych żelaznych jeźdźców. Nie Anioły Piekła ani nic takiego, ale moim zdaniem kiedyś byli z nich prawdziwi twardziele. Najwyraźniej zdołał ich nawrócić.

Motocykliści jako ochrona. Johnny'emu specjalnie się to nie podobało. Motocykliści występowali jako ochrona, kiedy Rol-ling Stonesi grali za darmo na autostradzie w Altamont w Kalifornii. Okazało się to kiepskim pomysłem.

- Ludzie godzą się z tymi... z tymi motocyklowymi gangsterami?

- Nie, to nie tak. Wbrew pozorom są całkiem łagodni. A Stillson cieszy się wspaniałą opinią w okolicach Ridgeway za pracę z trudną młodzieżą.

Johnny westchnął z powątpiewaniem.

- Widziałeś go - Roger wskazał na telewizor. - Ten gość to błazen. Na każdym mityngu lata jak wariat po platformie, rzuca hełmami w ludzi - pozbył się już ze setki - i rozdaje hot-dogi. Jest błaznem i co z tego? Może ludzie od czasu do czasu potrzebują błazna? Zaczyna nam brakować benzyny, inflacja powoli, lecz pewnie wyrывa się spod kontroli, przeciętny Amerykanin nigdy jeszcze nie płacił tak strasznych podatków i najwyraźniej podjęliśmy decyzję, by wybrać sobie na prezydenta tępawego farmera z Georgii. Ludzie po prostu chcą się pośmiać. Co więcej chcą się pośmiać kosztem polityków, którzy niczego nie potrafią załatwić. Stillson jest nieszkodliwy.

- Krąży na orbicie - stwierdził Johnny i obaj się roześmieli.

- Mamy wokół mnóstwo zwariowanych polityków - stwierdził Roger. - W New Hampshire jest Stillson, który po hot-do-gach pragnie wdrapać się do Izby Reprezentantów. I co z tego?

Kalifornijczycy mają za to Hayakawę. Albo weź naszego gubernatora, Meldrima Thomsona. Zeszłego roku zapragnął uzbroić Gwardię Narodową stanu Maine w taktyczną broń jądrową. Moim zdaniem to stuprocentowy dowód szaleństwa.

- Uważa pan, że ludzie z trzeciego okręgu mają pełne prawo wybrać wsiowego przygłupka na swego reprezentanta w Waszyngtonie?

- Nie rozumiesz - tłumaczył mu cierpliwie Chatsworth. - Spójrz na to z punktu widzenia wyborcy, Johnny. W trzecim okręgu mieszkają głównie robotnicy i sklepikarze. Najbardziej rolnicza część tego rejonu właśnie staje się centrum turystycznym. Ci ludzie patrzą na Davida Bowesa i widzą chciwego gówniarza, próbującego trafić do Waszyngtonu dzięki gładkiej gadce i pewnemu podobieństwu do Dustina Hoffmana. Mają mu wierzyć, że reprezentuje ich interesy, ponieważ wkłada dzinsy.

A teraz weź Fishera. Mój człowiek, przynajmniej teoretycznie. Organizowałem zbiórki pieniędzy dla niego i innych republikańskich kandydatów w tej części New Hampshire. Fisher trzymał się władzy tak długo, że pewnie myśli, iż kopuła Kapi-tołu pęknie na pół, jeśli akurat nie będzie go w pobliżu, by udzielić jej moralnego poparcia. W życiu nie wykroczył poza przykazania partii. Brud się go nie czepiał, bo był za głupi, by robić za oszusta, chociaż pewnie nie wyjdzie całkiem czysty z tej Koreangate. W jego mowach jest tyle życia, co w Hurtowym Katalogu Hydraulicznym. Oczywiście ludzie o tym nie wiedzą, ale czasami potrafią to wyczuć. Sam pomysł, że Harrison Fisher robi coś dla swych wyborców, jest śmieszny.

- Więc wybiorą szaleńca?

Chatsworth zezwolił im na to łaskawym śmiechem.

- Okazuje się, że tacy szaleńcy robią niekiedy zupełnie niezłą robotę. Weź Bellę Abzuga. Pod kapeluszami idiotów kryją się czasem tęgie łby. Ale nawet jeśli okaże się, że w Waszyngtonie Stillson jest tak samo szalony, jak w Ridgeway, to przecież on zajmuje fotel tylko na dwa lata. Wywalą go w siedemdziesiątym ósmym i posadzą na jego miejscu kogoś, kto zrozumiał lekcję.

- Lekcję? Roger wstał.

- Nie wolno długo pieprzyć ludzi - powiedział. - Tak brzmi ta lekcja. Nauczył się jej Adam Clayton Powell. Nauczyli się jej Agnew i Nixon. Zwyczajnie... nie wolno długo pieprzyć ludzi. - Spojrzał na zegarek. - Chodźmy do domu na drinka, Johnny. Wychodzimy później z Shelley, ale mam jeszcze czas, żeby szybko coś sobie łyknąć.

Johnny uśmiechnął się i wstał.

- Jasne - powiedział. - Zostałem zmuszony.

ROZDZIAŁ 20

I

Tak się złożyło, że w połowie sierpnia Johnny pozostał sam w posiadłości Chatswortha, jeśli nie liczyć Ngo Phata, który miał własne mieszkanie nad garażem. Rodzina Chatsworthów pojechała na trzytygodniowe wakacje do Montrealu, gdzie miała doczekać początku roku szkolnego i jesiennego szczytu w przemyśle włókienniczym.

Roger zostawił Johnny'emu klucze do mercedesa żony i Johnny pojechał nim w odwiedziny do domu, do Pownal, czując się jak milioner. Negocjacje Herba z Charlene MacKenzie weszły w fazę krytyczną i ojciec już wcale nie próbował wyjaśniać, że chodzi mu tylko o to, by dom nie zawalił się jej na głowę. W rzeczywistości zalecał się jak młodzik, co trochę zdenerwowało Johnny'ego. Po trzech dniach wrócił do Chatsworthów, nadganiał lektury, pisał listy i rozkoszował się spokojem.

Leżał na środku basenu na gumowym, nadmuchiwanym materacu, czytał *New York Times Book Review* i popijał Seven Up, kiedy obok pojawił się Ngo, stanął na krawędzi brodzika, zdjął sandały i wsadził nogi do wody.

- Aaach! - westchnął. - O wiele lepiej. - Uśmiechnął się do Johnny'ego. - Spokojnie, nie?

- Bardzo spokojnie - zgodził się Johnny. - Jak kursy, Ngo?

- Bardzo dobrze idą. W sobotę jedziemy na wycieczkę. Pierwszą. Podniecające. Cała klasa wyruszy w podróż.

- Wyjedzie - powiedział Johnny i uśmiechnął się, wyobrażając sobie całą klasę Phata napaloną

LSD czy czymś tam.

- Proszę? - Ngo podniósł brwi.
- Cała klasa wyjedzie.
- Tak, dziękuję. Jedziemy wysłuchać mowy politycznej i na spotkanie w Trimbull. Wszyscy myślimy, że to szczęście chodzić na kursy obywatelskie w roku wyborów. To bardzo kształcące.
- Pewnie, założę się. Kogo zobaczycie?
- Grega Strri... - Phat zawahał się i powtórzył, dokładnie wymawiając nazwisko: - Grega Stillsona, niezależnego kandydata do fotela w Izbie Reprezentantów Stanów Zjednoczonych.
- Słyszałem o nim. Rozmawialiście o nim na zajęciach, Ngo?
- Tak, trochę. Urodzony w 1933 roku. Często zmieniał zajęcie. Przyjechał do New Hampshire w 1964 roku. Nasz instruktor powiedział, że mieszka już tu wystarczająco długo, by ludzie nie uważali go za carpetfoggera.
- Baggera - poprawił Johnny.
Ngo spojrział na niego, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.
- Mówi się „carpetbagger”.
- Tak, dziękuję.
- Czy nie sądzisz, że Stillson jest nieco dziwny?
- W Ameryce może jest dziwny - zgodził się Ngo. - W Wietnamie było wielu takich jak on. Ludzi, którzy... - Siedział, machając małymi, delikatnymi stopami w błękitnozielonej wodzie basenu. Nagle podniósł głowę. - Brakuje mi angielskiego na to, co chcę powiedzieć. Jest gra, w którą grają ludzie w moim kraju, nazywa się roześmiany tygrys. Jest stara i bardzo popularna, jak wasz baseball. Jedno z dzieci przebiera się za tygrysa, wiesz? Zakłada skórę. Biega i tańczy, a inne dzieci próbują je złapać. Dziecko w skórze śmieje się, ale także warczy i gryzie, ponieważ taka jest ta gra. W moim kraju przed komunistami wielu naczelników wioski grało w roześmianego tygrysa. Myślę, że ten Stillson też zna tę grę.

Johnny spojrział na niego, nagle zaniepokojony.

Ngo wcale nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Uśmiechał się.

- Więc wszyscy pojedziemy i obejrzymy go na własne oczy. A później będziemy mieli piknik. Ja sam robię ciasto. Myślę, że będzie miło.

- Brzmi wspaniale.

- Będzie bardzo wspaniale. - Ngo wstał. - A później, w klasie omówimy wszystko, co zobaczymy w Trimbull. Być może napiszemy wypracowanie. O wiele łatwiej jest pisać wypracowanie, bo można poszukać odpowiedniego słowa. *Le mot juste*.

- Tak, czasami pisanie jest łatwiejsze. Ale w całej mojej pedagogicznej karierze nie spotkałem uczniów podzielających tę opinię. Ngo uśmiechnął się.

- A jak idzie z Chuckiem?

- Doskonale sobie radzi.

Tak. Teraz jest szczęśliwy. Już nie udaje. To dobry chłopiec. - Ngo wstał. - Odpoczywaj, Johnny. Ja się zdrzemnę.

- Dobra.

Patrzył, jak Ngo odchodzi; drobny, szczupły, kruchy w spranych dżinsach i spłowiałej sztruksowej koszuli.

Dziecko w skórze śmieje się, ale także warczy i gryzie, ponieważ taka jest ta gra... Myślę, że ten Stillson też zna tę grę.

Uczucie niepokoju wróciło.

Materac zahaścił się w basenie. Słońce grzało przyjemnie plecy Johnny'ego. Otworzył *Book Review*, ale artykuł, który czytał, przestał go interesować. Odłożył gazetę, podpłynął do brzegu i wyszedł z basenu. Do Trimbull było nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów. Być może wskoczy do mercedesa pani Chatsworth i pojedzie tam w sobotę. Zobaczy żywego Grega Stillsona. Zabawi się. Może... może potrząśnie jego dłonią.

Nie! Nie!

A niby czemu nie? W końcu, w tym wyborczym roku, politycy stali się czymś w rodzaju jego hobby. Cóż jest denerwującego w fakcie, że pojedzie i zobaczy jeszcze jednego?

Ale b y ł zdenerwowany, nie ma dwóch zdań. Jego serce waliło mocniej i szybciej niż zwykle i upuścił gazetę do basenu. Wyłowił ją klnąc, nim zdążyła nasiąknąć wodą.

Jakoś tak się składało, że kiedy wspominał o Gregu Stillsonie, na myśl przychodził mu Frank Dodd.

Śmieszne! Zaledwie raz widział Stillsona w telewizji i nie powinien żywić dla niego żadnych uczuć, dobrych ani złych.

Stój z boku.

No, może i postąpi tak, a może - nie. Może zamiast do Trimbull pojedzie w sobotę do Bostonu. Obejrzy film.

Lecz nim dotarł do domku gościnnego i przebrał się, uczucie panicznego strachu zagnieździło mu się w duszy. W pewien sposób przypominało mu starego przyjaciela - tego, którego się w sekrecie nienawidzi. Tak, w sobotę pojedzie do Bostonu. To najlepsze, co może zrobić.

Chociaż przez kilka następujących miesięcy Johnny raz za razem przeżywał w pamięci ten dzień, nigdy nie przypomniał sobie, jak to się stało, że w końcu jednak pojechał do Trimbull. Wyruszył w innym kierunku, planując wyjazd do Bostonu na mecz Czerwonych Skarpet w Fenway Park, a później do Cambridge, gdzie chciał poszperać po księgarniach. Gdyby wystarczyło mu pieniędzy (czterysta dolarów z premii Chatswortha wysłał ojcu, który z kolei przesłał je do Szpitala Wschodniego Maine - gest porównywalny ze splunięciem w ocean), planował jeszcze wypad do kina Orsona Wellesa na film reggae *The Harder They Come*. Niezły program jak na jeden dzień i wspaniały dzień na realizację takiego programu; dziewiętnasty sierpnia był ciepły, słoneczny, wymarzony - był esencją wspaniałego letniego dnia w Nowej Anglii.

Poszedł do kuchni wielkiego domu i przygotował trzy duże kanapki z szynką i serem. Schował je do staroświeckiego wiklinowego koszyka, który znalazł w spiżarni i - mimo pewnych wyrzutów sumienia - dołożył do niego sześć puszek Tuborga. W tym momencie czuł się wyśmienicie. Myśl o Gregu Stillsonie i jego domorosłych ochroniarzach na motocyklach nawet nie przyszła mu do głowy.

Położył koszyk na podłodze mercedesa i pojechał na południowy wschód w stronę I-95. Aż do tej chwili wszystko było w porządku, dopiero później coś się zmieniło. Najpierw były myśli o matce leżącej na łożu śmierci. Twarz matki, skrzywiona w grymasie, spoczywająca na kołdrze ręka wygięta w szpony, głos brzęący tak, jakby przedzierał się przez usta wypełnione grubym kłębkem waty.

Nie mówiłam ci? Nie mówiłam ci, że tak będzie?

Johnny włączył radio. Z głośników mercedesa popłynął dobry rock'n'roll. Spał cztery i pół roku, a rock'n'roll żył i miał się dobrze, dziękuję bardzo. Johnny prowadził i śpiewał.

Ma dla ciebie zadanie. Nie uciekaj przed nim, Johnny.

Radio nie potrafiło zagłuszyć głosu jego nieżyjącej matki. Jego nieżyjąca matka musiała powiedzieć swoje. Musiała powiedzieć swoje nawet zza grobu.

Nie kryj się przed nim w jaskini i nie zmuszaj go, by posłał po ciebie wielką rybę.

Ale jego połknęła już wielka ryba. Nie nazywała się lewiatan, lecz koma. Spędził cztery i pół roku w ciemnym brzuchu tej szczególnej ryby i miał dość.

Wyjazd na autostradę pojawił się... i znikł za tylną szybą. Johnny tak się zamyślił, że go nie zauważył. Stary duch nie zamierzał odejść i dać mu spokoju. Dobrze, zawróci przy pierwszej sposobności.

Nie garncarz, lecz glina w ręku garncarza.

- Och, koniec z tym - mruknął Johnny. Musi tylko wyrzucić z głowy całe to gówno i będzie miał spokój. Matka opanowana była manią religijną, niezbyt to miłe stwierdzenie, ale niestety prawdziwe. Niebo w konstelacji Oriona, aniołowie pilotujący latające spodki, królestwa pod powierzchnią Ziemi. Na swój sposób była co najmniej tak szalona, jak Greg Stillson.

Och, na miłość Boską, odczep się od tego gościa.

A kiedy wyślecie Grega Stillsona do Izby Reprezentantów, powiecie sobie: HOT-DOG! KTOŚ Z TYM WRESZCIE SKOŃCZY!

Dojechał do szosy stanowej 63. Skręt w lewo doprowadziłby go do Concord, Berlin, Ridder's Mili i Trimbull. Johnny skręcił mimowolnie. Myślami był gdzie indziej.

Roger Chatsworth, przecież nie zagubione w lesie dziecko, śmiał się z Grega Stillsona, jakby był on tegoroczną wersją George'a Carlina i Chevy Chase'a razem wziętych. To błazen, Johnny.

Gdyby Stillson był tylko błaznem, nie byłoby problemu, prawda? Czarujący ekscentryk, czysta kartka papieru, na której wyborcy napisali politykom: *Wy wszyscy jesteście tak nudni, że na dwa lata zdecydowaliśmy się wybrać głupca na wasze miejsce.* W końcu, najprawdopodobniej, Stillson jest właśnie głupcem, nieszkodliwym narwańcem. Nie było powodu, by wiązać go ze zorganizowanym,

destrukcyjnym szaleństwem Franka Dodda. A jednak... jakoś... dokonał tego powiązania.

Johnny dojechał do rozjazdu. W lewo do Berlin i Ridder's Mill, w prawo do Trimbull i Concord. Skręcił w prawo.

Ale nic się nie stanie, jeśli tylko potrząsnę jego ręką, prawda ?

Być może nie. Po prostu kolejny polityk do kolekcji. Niektórzy kolekcjonują znaczki, inni monety, a Johnny kolekcjonuje uściski dłoni i...

...i przynaj się. Cały czas szukałeś dżokera w talii.

Wysnuty wniosek wstrząsnął nim tak bardzo, że omal nie zjechał na pobocze. Dojrzał swą twarz we wstecznym lusterku i nie była to już ta szczęśliwa, uśmiechnięta, normalna twarz, z którą wstał rano. Teraz miał twarz z konferencji prasowej, twarz człowieka, który na czworakach pełził przez zasypany śniegiem park w Castle Rock. Skóra zbyt blada, oczy, otoczone brązowymi obwódkami, sprawiały wrażenie podbitych, policzki porane głębokimi bruzdami.

Nie. Nieprawda.

Ale to była prawda. Teraz, kiedy doszedł do prawdy, nie mógł jej zaprzeczyć. W ciągu pierwszych dwudziestu trzech lat życia miał okazję witać się z dokładnie jednym politykiem; zdarzyło się to w 1966 roku, kiedy Ed Muskie przyjechał do jego liceum na lekcję zarządzania. Podczas ostatnich siedmiu miesięcy uściśnął dłonie co najmniej kilkunastu grubych ryb. I kiedy każdy z nich wyciągał dłoń, to czy przez głowę nie przelatywała mu myśl: „O co chodzi temu facetowi? Co mi zaraz powie?”

Czyżby przez cały ten czas szukał politycznego odpowiednika Franka Dodda?

- Tak. To prawda.

Fakt faktem, że żaden, oprócz Cartera, nie powiedział mu nic konkretnego, a wrażenia, które odebrał od niego, nie były szczególnie alarmujące. Uścisk dłoni z Carterem nie spowodował uczucia zapadania, które odezwało się w nim, gdy obserwował Stillsona w telewizji. Czuł, że Stillson rozwinął grę w roześmianego tygrysa: w skórze bestii - człowiek.

Lecz w skórze człowieka - bestia.

2

Niezależnie od tego, skąd się tam właściwie wziął, Johnny zjadł swój lunch w parku miejskim w Trimbull, a nie na ławce stadionu Fenway. Przyjechał po dwunastej i z afisza na murze dowiedział się, że spotkanie ma się odbyć o trzeciej po południu.

Przeszedł się po parku pewien, że tak długo przed mityngiem będzie jeszcze opustoszały, lecz ludzie już rozkładali koce, rzucali frisbee albo siadali do jedzenia.

Kilka osób pracowało przy estradzie. Dwaj mężczyźni dekorowali chorągiewkami biegnące na wysokości pasa ogrodzenie. Inny stał na drabinie i wieszał na krawędzi estrady krepowe, kolorowe łańcuszki. Pozostali instalowali nagłośnienie i - jak domyślił się Johnny, oglądając telewizję - nie była to zabawka za czterysta dolców. Kolumny Altec-Lansings rozstawiano dokładnie tak, by uzyskać efekt dźwięku dobiegającego równomiernie z każdej strony.

Ekipa przygotowawcza (choć nadal miał przed oczami obraz fanów Eagles lub Geils przygotowujących koncert na wolnym powietrzu) pracowała szybko i precyzyjnie. Znać było praktykę i profesjonalne przygotowanie, klójące się z obrazem Grega Stillsona jako sympatycznego dzikusa z Borneo.

Różnica wieku w tłumie wynosiła jakieś dwadzieścia lat - od nastolatków do trzydziestokilkulatków. Wszyscy dobrze się bawili. Dzieci biegały wokół, ściskając w rączkach patyki rozpuszczających się lodów. Kobiety plotkowały i śmiały się. Mężczyźni popijali piwo z plastikowych kubków. Kilka psów ganiało w pobliżu, podkradając, co się dało, a na wszystkich świeciło z góry dobrane słońce.

- Próba - powiedział jeden z mężczyzn do dwóch stojących na podium mikrofonów. - Raz, dwa...
- Z jednej z kolumn rozległo się głośnie wycie i mężczyzna pokazał, że należy ją odsunąć.

Tak nie przygotowuje się politycznego spotkania i przemówień, pomyślał Johnny. To przypomina przygotowania do wesela... albo zabawy z macanką.

- Próba mikrofonu... jeden, dwa, trzy, cztery...

Johnny zauważył, że wielkie głośniki wiązano do drzew. Wiązano, a nie przybijano. Stillson propagował hasła ekologiczne i przykazał swej grupie przygotowawczej, by nie uszkodziła ani

jednego drzewa w parku. Johnny miał wrażenie, że całą tę operację zaplanowano dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach. Nic tu nie zostawiono przypadkowi.

Dwa żółte szkolne autobusy podjechały na miejsce pozostawione dla nich na małym (i już zajęтым) parkingu. Otworzyły się drzwi, wysiadła z nich grupka ludzi rozmawiających ze sobą z ożywieniem. Różnili się nieco od zgromadzonych w parku, ponieważ byli ubrani w swe najlepsze stroje: mężczyźni w garnitury lub sportowe marynarki, panie w eleganckie spódniczki i bluzki lub suknie. Rozglądali się wokół z niemal dziecinnym zachwytem i oczekiwaniem i Johnny uśmiechnął się. Przyjechała klasa Ngo.

Podszedł do nich. Ngo stał obok wysokiego mężczyzny w sztruksowym garniturze i dwóch kobiet, Chinek.

- Cześć, Ngo.

Ngo uśmiechnął się serdecznie.

- Johnny! Dobrze cię zobaczyć, stary! To wielki dzień dla stanu New Hampshire, nie?

- Chyba tak.

Ngo przedstawił swych kolegów. Mężczyzna w sztruksowym garniturze był Polakiem. Kobiety okazały się siostrami przybyłymi z Tajwanu. Jedna z nich powiedziała Johnny'emu, że ma nadzieję na uścisk dłoni z kandydatem po wystąpieniu, a później, zawstydzona, pokazała mu książkę na autografy w torebce.

- To wielkie szczęście, że jestem w Ameryce - stwierdziła. - Ale to aż takie niesamowite, prawda, panie Smith?

Johnny, który uważał, że wszystko tu jest niesamowite, zgodził się z nią.

Dwójka opiekunów klasy zaczęła zwoływać uczniów.

- Zobaczymy się później, Johnny - powiedział Ngo. - Muszę ruszać w podróż.

- Iść - poprawił go Johnny.

- Tak, rzeczywiście.

- Baw się dobrze, Ngo.

- Jasne. - Oczy Ngo rozbłyły. - Jestem pewien, że będzie to wspaniała rozrywka.

Klasa - około czterdziestu osób - przeszła do południowej części parku na lunch. Johnny wrócił na swoje miejsce i zmusił się do zjedzenia jednej z kanapek. Smakowała jak papier ze starej książki.

Poczuł, jak ciało sztywnieje mu z napięcia.

3

O drugiej trzydziści park był już przepelniony; ludzie stali niemal ramię przy ramieniu. Miejscowa policja, wzmocniona przez mały oddział policji stanowej, zamknęła ulice prowadzące do parku miejskiego w Trimbull. Podobieństwo mityngu do koncertu rockowego było większe niż kiedykolwiek. Z głośników płynęła pogodna, szybka muzyka ludowa z południa. Po pogodnym, błękitnym niebie sunęły białe obłoki.

Ludzie zaczęli nagle wstawać i rozglądać się. Było tak, jakby przez tłum przeszła fala. Johnny także wstał, zastanawiając się, czy Stillson nie przyjechał wcześniej. Słyszał już donośny ryk silników, ryk wznoszący się i wypełniający cały park, w miarę jak motocykle się zbliżały. Jego oczy poraził jaskrawy blask słońca odbitego od błyszczącego chromu i w kilka chwil później mniej więcej dziesięć maszyn wjechało na miejsce na parkingu, na którym przedtem zatrzymały się autobusy. Nie było wśród nich samochodu. Johnny uznał to za awangardę.

Uczucie niepokoju pogłębiło się. Motocykliści ogólnie sprawiali dobre wrażenie, ubrani w większości w czyste, sprane dżinsy i białe koszule, ale same motocykle, przede wszystkim Harleye i BSA, w porównaniu z wersją fabryczną zmienione były nie do poznania: wygięte kierownice, rozgałęzione, chromowane rury wydechowe, dziwaczne osłony silników.

Motocykliści zgasilili silniki, zsiadli z maszyn i ruszyli gęsiego w stronę estrady. Tylko jeden z nich obejrzał się za siebie. Bez pośpiechu wodził oczami po zgromadzonym tłumie; nawet z daleka Johnny zdołał zauważyć, że jego tęczówki mają kolor butelkowej zieleni. Wydawało się, jakby liczył ludzi. Spojrzał w lewo, na kilku gliniarzy opartych o przenośne ogrodzenie, wypożyczone z boiska Małej Ligi, i pomachał im. Jeden z gliniarzy pochylił się i splunął. Ich zachowanie przypominało dokładnie wyreżyserowaną ceremonię i Johnny zaczął się niepokoić jeszcze bardziej. Mężczyzna o zielonych oczach podszedł wolno do estrady.

Obok niepokoju, który zdominował wszystkie jego uczucia, Johnny jakby doświadczał snu na jawie: trafił do świata tych obrazów, w których parowe lokomotywy wyjeżdżają z ceglanych kominków albo miękkie cyferblaty zegarków zwisają z gałęzi drzew. Motocykliści wyglądali na statystów zwolnionych z planu filmu gangsterskiego, którzy zdecydowali się wykąpać w oczekiwaniu na elegancką zabawę. Ich czyste, sprane dzinsy opadały na ciężkie, robocze buty o kwadratowych noskach i na większości par Johnny dostrzegł chromowane łańcuszki otaczające obcas i piętę. Wszyscy mieli jednakowy wyraz twarzy: coś w rodzaju rozbawienia na widok tłumu. Ale mogła kryć się pod nim zwykła pogarda dla młodych robotników z tkalni, dla studentów, którzy przyjechali tu z uniwersytetu stanowego w Durham, dla robotników z wielkich fabryk, którzy wstali, by bić im brawo. Każdy z motocyklistów miał przypięte do kurtki dwa znaczki. Jeden z nich przedstawiał żółty kask budowlany z godłem ekologów na przodzie, na drugim widniał napis: STILLSON ZŁAPAŁ ICH W PODWÓJNEGO NELSONA. Z prawej tylnej kieszeni dzinsów wystawał każdemu obcięty kij bilardowy.

Johnny obrócił się do stojącego obok mężczyzny, który przyszedł do parku z żoną i dzieckiem.

- Czy to legalne?

- A kogo to, do diabła, obchodzi - odparł młody człowiek ze śmiechem. Krzyczał: „Załatw ich, Greg!”

Motocyklowa gwardia przyboczna rozstawiła się wokół estrady w pozycji „spocznij”.

Oklaski umilkły, za to rozmowy stały się głośniejsze. Zbiorowe gardło tłumu przełknęło przystawkę. Przystawka mu smakowała.

Brunatne koszule, pomyślał Johnny siadając. Brunatne koszule, to wszystko.

No i co z tego? Może to nawet dobrze? Amerykanie raczej nie lubią przejawów faszyzmu - nawet twardzi pravicowcy jak Reagan nie odwoływali się do niego; to ewidentny fakt, niezależnie od tego, ilu ataków dziecinnego gniewu dostanie Nowa Lewica albo ile piosenek napisze Joan Baez. Osiem lat wcześniej faszystowska taktyka policji w Chicago pomogła Hubertowi Humphreyowi przegrać wybory. Johnny'ego nie obchodziło, jak schludnie wyglądali ci jeźdźcy; jeśli pracowali dla kandydata do Izby Reprezentantów, Stillson balansował na bardzo cienkiej linii. Gdyby nie było to takie dziwne, byłoby nawet śmieszne.

Lecz mimo wszystko żałował, że w ogóle tu przyjechał.

4

Tuż przed trzecią w powietrzu rozległ się dźwięk wielkiego bębna, poruszył ziemię i dopiero przez pięty dotarł do uszu. Do bębna stopniowo dołączały inne instrumenty, tworząc orkiestrę grającą jedną z melodii Sousy. Całodzienne letnie wyborcze małomiasteczkowe wariactwo.

Tłum znów poderwał się na nogi i skierował wzrok w stronę, z której dobiegała muzyka. Wkrótce pojawiła się i orkiestra: najpierw dyrygentka w króciutkiej spódniczce, wysoko podnosząca nogi w ozdobionych pomponami butach z białej skóry, po niej dwie jaskrawo ubrane dziewczyny, następnie dwóch pryszczatych chłopców dźwigających transparent głoszący: ORKIESTRA LICEUM W TRIMBULL i lepiej, żebyś o tym, na Boga, nie zapomniał! Za nimi szła już orkiestra właściwa, wspaniała w swych oślepiająco białych kostiumach z mosiężnymi guzikami i bardzo spocona.

Tłum rozstał się przed nią. Orkiestra stanęła, maszerując w miejscu, i wtedy wybuchły owacje, bowiem za nią pojawiła się biała furgonetka forda, a na jej dachu, na rozstawionych nogach, z opaloną i rozciągniętą w mamucim uśmiechu twarzą, ocienianą przekrzywionym na głowie hełmem, stał sam kandydat. Kandydat podniósł do ust bateryjny mikrofon i z entuzjazmem świadczącym o wielkiej sile płuc wrzasnął:

- Cześć wszystkim!

- Cześć, Greg - odkrzyknął mu natychmiast tłum.

Greg, pomyślał Johnny z odrobiną hysterii. Jesteśmy z nim po imieniu.

Stillson zeskoczył z dachu furgonetki tak lekko, jakby nie wymagało to żadnego wysiłku. Ubrany był tak jak poprzednio, kiedy Johnny widział go w telewizji: w dzinsy i koszulę khaki. Przepychał się przez tłum w stronę estrady, dotykając rąk wyciągających się ku niemu ponad głowami pierwszego rzędu. Tłum falował i zataczał się radośnie, prąc w jego kierunku, i żołądek Johnny'ego odpowiedział na ten ruch.

Nie dotknę go. Nigdy.

W tej chwili ludzie przed nim rozstąpili się nieco. Johnny zrobił krok do przodu i sam znalazł się w pierwszej linii. Był wystarczająco blisko członka Orkiestry Liceum w Trimbull grającego na tubie, by wyciągnąć rękę i postukać w jego instrument, gdyby tylko zechciał.

Stillson przeszedł szybko pomiędzy szeregami orkiestry, by ucisnąć ręce ludzi stojących po drugiej stronie, i wtedy Johnny całkiem stracił go z oczu - widział tylko podskakujący, kołyszący się żółty kask. Poczul ulgę. Więc jednak wszystko było w porządku. Nic się nie stało, nic się nie stanie. Jak faryzeusz ze znanej przypowieści, minie go po drugiej stronie. Dobrze. Świetnie. A kiedy Stillson dojdzie do podium, on sam będzie mógł pozbierać rzeczy i wtopić się w ciepłe popołudnie. Co za dużo, to niezdrowo.

Motocykliści ustawili się po obu stronach ścieżki, powstrzymując zgromadzonych od runięcia przed siebie i zdeptania kandydata. Obciążone kije bilardowe nadal tkwiły w ich kieszeniach, a ich właściciele sprawiali wrażenie spiętych i gotowych na kłopoty. Johnny nie wiedział dokładnie, jakich kłopotów się spodziewają - ktoś rzuci w twarz kandydata czekoladką? - ale motocykliści dopiero teraz jakby się ożywili.

I nagle coś się zdarzyło, ale Johnny nie potrafił powiedzieć, co to właściwie było. Kobieta dłoń sięgnęła ku żółtemu kaskowi, być może tylko po to, by dotknąć go na szczęście, i jeden z ochroniarzy Stillsona zrobił krok do przodu. Rozległ się przeraźliwy krzyk i dłoń natychmiast znikła. Ale to wszystko miało miejsce po drugiej stronie orkiestry.

Tłum wrzeszczał jak opętany, co ponownie przypomniało mu o koncertach, w których uczestniczył. Wszystko wyglądałoby podobnie, gdyby to Paul McCartney lub Elvis Presley zdecydowali się zejść w tłum.

Wykrzykiwali jego imię. Wyśpiewywali je: GREG... GREG...GREG...

Młody człowiek, który wraz z rodziną rozłożył się w pobliżu

Tohunny'ego, trzymał w wyciągniętych rękach synka, żeby dziecko mogło sobie wszystko obejrzeć. Młody mężczyzna z wielką blizną od oparzenia na policzku wymachiwał transparentem głoszącym: ŻYJ WOLNO LUB WCALE - JUŻ GREG CIĘ OCALI! Nieprawdopodobnie piękna, może osiemnastoletnia dziewczyna potrząsała kawałkiem arbuza - po opalonym ramieniu ściekał różowy sok. Zapanował totalny bałagan, gorączkowe podniecenie trzeszczało w tłumie jak wielki ładunek elektryczny.

I nagle pojawił się bohater dnia. Biegł przed orkiestrą na tę stronę, po której stał Johnny. Znalazł nawet czas, by mocno klepnąć w plecy gracza na tubie.

Później Johnny bez przerwy rozważał to, co się zdarzyło, i tłumaczył sobie, że nie miał czasu, by cofnąć się w tłum; próbował wytłumaczyć sobie, że ludzie praktycznie wepchnęli go w ramiona kandydata, który niemal porwał go za rękę, ale nie była to prawda. Miał czas, bowiem gruba kobieta w niesamowicie obcisłych, żółtych, rozszerzanych spodniach zarzuciła ręce na szyję Stillsona i pocałowała go mocno. Odwzajemnił jej pocałunek, roześmiał się i powiedział: „Możesz być pewna, że cię zapamiętam, kochanie”. Gruba baba pokraśniała z zadowolenia.

Johnny poczuł znajomy, przejmujący chłód - zwiastun transu. Kiedy wpadał w trans, nic nie miało znaczenia oprócz jednego: wiedzieć! Uśmiechnął się nawet, ale nie był to jego uśmiech. Wyciągnął rękę, a Stillson chwycił ją w obydwie dłonie i zaczął potrząsać.

- Chłopie, mam nadzieję, że pomożesz nam...

I nagle umilkł. Tak jak umilkła Eileen Magown. Tak jak umilkł doktor James (jak ten piosenkarz soulowy) Brown. Tak jak umilkł Roger Dussault. Oczy mu się rozszerzyły i wypełniły... strachem? Nie, w oczach Stillsona pojawiło się przerażenie!

Ta chwila trwała bez końca. Wpatrywali się w siebie, czas obiektywny zastąpiło coś... doskonała kamea czasu. Johnny miał wrażenie, że znów znalazł się w mrocznym tunelu o gładkich ścianach z matowego chromu, tylko tym razem był z nim Stillson i dzielili ze sobą... dzielili... *(wszystko)*

Nigdy nie reagował tak silnie, nigdy. Wszystko zważyło się na niego naraz, zbiło się z hukiem, jakby jakiś straszny, czarny pociąg towarowy mknął wąskim tunelem, szybka lokomotywa z jednym światłem z przodu, a światło to wiedziało w s z y s t k o i swym blaskiem unieruchomiło go jak owada na szpilce. Nie miał gdzie uciec, pociąg rozpląszczył go jak kartkę papieru, przemknął po nim i jechał dalej...

Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć głosu, nie miał głosu.

Jeden obraz pozostał z nim na zawsze -

(i tu pojawił się niebieski filtr)

obraz Grega Stillsona składającego przysięgę. Przysięgę odbierał stary człowiek z pełnymi wstydu, przerażonymi oczami myszy złapanej przez niezwykle sprytnego, doświadczonego

(tygrysa)

wiejskiego kocura. Jedna ręka Stillsona spoczywała na Biblii, druga była uniesiona. Dzieje się to w dalekiej przyszłości, bowiem Stillson jest prawie łyse. Stary mężczyzna mówi coś, a Stillson powtarza. Stillson mówi,

(niebieski filtr jest coraz gęściejszy, zakrywa to, zakrywa kawałek po kawałku, twarz Stillsona kryje się za błękitem... i żółcią. .. żółcią jak pręgi tygrysa)

że zrobi to, „Tak mu dopomóż Bóg”. Twarz ma poważną, nawet ponurą, ale rozpięta radość, radość szaleje mu w głowie, bowiem mężczyzna o przestraszonej twarzy i oczach myszy to Sędzia Główny Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i

(O słodki Boże filtr filtr niebieski filtr żółte pasy)

wszystko *zaczyna*, nagle zniknąć za niebieskim filtrem, tylko że nie jest to filtr, lecz coś rzeczywistego. To coś

(w przyszłości w martwej strefie)

było w przyszłości. Jego przeszłości? Stillsona? Nie wiedział.

Teraz leciał - leciał przez błękit - nad całkiem zniszczonym światem; nie mógł go dostrzec zbyt dokładnie. A przez błękit przebijał głos Stillsona, głos drugorzędного Boga, głos narzędzia zniszczenia z opery komicznej: „PRZELECEŃ PRZEZ NICH JAK GAŁKA PRZEZ GĘŚ! PRZELECEŃ PRZEZ NICH JAK SAMI WIECIE CO!”

- Tygrys - mruknął ochryple Johnny. - Tygrys za błękitem. Za żółcią.

I nagle wszystko - sceny, słowa, obrazy - pękło, tworząc rosnący, głuchy grzmot zapomnienia. Poczul słodki zapach miedzi jakby paliły się przewody wysokiego napięcia. Przez moment to wewnętrzne oko zdawało się otwierać jeszcze szerzej szukając; błękit i żółć, które zasłoniły wszystko, zlały się w jedno... a gdzieś, ze środka, daleki i pełen przerażenia zabrzmiał kobiecy głos: „Oddaj mi go, sukinsynu!”

A później wszystko zniknęło.

Jak długo staliśmy tak razem, zastanawiał się później Johnny. Przypuszczał, że chyba pięć sekund. A potem Stillson cofnął dłoń, w y r w a ł dłoń; gapił się z otwartymi ustami, a z twarzy odpłynęła mu krew; pod letnią opalenizną jego twarz była blada. Johnny widział plomby w jego trzonowych zębach.

Stillson gapił się na niego, śmiertelnie przerażony.

Doskonale, pragnął wrzasnąć Johnny. Doskonale! Trzęś się, aż rozlecisz się na kawałki! Przyjrzyj się sobie! Zniszcz się! Eksploduj! Rozwał się! Zrób światu przysługę!

Dwaj motocykliści biegli w jego kierunku, trzymając w rękach kije bilardowe. Johnny przestraszył się, bo mieli go teraz uderzyć, bić kijami po głowie, zamierzali zmienić głowę Johnny'ego Smitha w ósmą bilę i wbić ją w otwór, z powrotem w czerń śpiączki, z której tym razem się nie ocknie, nigdy nie będzie miał szansy powiedzieć nikomu, co widział, nie zdoła niczego zmienić.

To uczucie zniszczenia - Boże! Wszzechogarniające!

Próbował się cofnąć. Ludzie rozstąpili się, krzyczeli ze strachu (a może z podniecenia). Stillson odwracał się w stronę goryli, przyszedł już do siebie, próbował ich powstrzymać.

Johnny nigdy nie dowiedział się, co zdarzyło się potem. Zatoczył się z opuszczoną głową, mrugał oczami jak pijak pod koniec tygodniowej bibki. To wtedy miękki, rosnący huk zapomnienia ogarnął go i Johnny mu się poddał. Podał mu się z radością. Stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 21

1

- Nie - odpowiedział szef policji w Trimbull na pytanie Johnny'ego - nie jest pan o nic oskarżony. Nie został pan zatrzymany. I nie musi pan odpowiadać na pytania. Tylko bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdyby pan jednak zdecydował się odpowiedzieć.

- B a r d z o wdzięczni - powtórzył mężczyzna w konserwatywnie skrojonym garniturze.

Nazywał się Edgar Lancte. Pracował w bostońskiej centrali Federalnego Biura Śledczego. Myślał właśnie, że Johnny wygląda na bardzo chorego. Nad lewą brwią miał dużego siniaka, nabierającego gwałtownie purpurowego koloru. Mdlejąc Johnny musiał upaść na coś wystającego - albo na but członka orkiestry, albo na ciężki, kwadratowy czubek buta motocyklisty. Lancte skłaniał się ku drugiej możliwości. I być może but motocyklisty poruszył się, kiedy doszło do zetknięcia.

Smith był bardzo blady i ręce mu drżały, kiedy pił wodę z papierowego kubka, który podał mu szef policji, Bass. Powieka drgała mu w nerwowym tiku. Wyglądał na typowego niedoszedłego zamachowca, choć najbardziej morderczym narzędziem, jakie przy nim znaleziono, były nożyczki do paznokci. Mimo wszystko Lancte postanowił jednak zapamiętać wrażenie, jakie zrobił na nim Johnny - ponieważ był, kim był.

- Co mam wam powiedzieć? - spytał Johnny. Obudził się na materacu w nie zamkniętej celi. Potwornie bolała go głowa. Migrena przechodziła właśnie, pozostawiając po sobie nieprzyjemną pustkę. Czuł się trochę tak, jakby wypruto z niego jego własne wnętrze i zastąpiono je kawałkami sznurka. W uszach nie dzwoniło mu co prawda, ale przynajmniej nieprzyjemnie szumiało. Była dziewiąta wieczorem. Dwór Stillsona już dawno wyniósł się z miasta. Zjedzono wszystkie hot-dogi.

- Czy mógłby pan opowiedzieć nam dokładnie, co się tam zdarzyło? - zapytał Bass.

- Wszystko przez ten upał. Byłem zbyt podekscytowany i zemdlałem.

- A może jest pan inwalidą? - zapytał spokojnie Lancte. Johnny spojrzał na niego chłodnym wzrokiem.

- Proszę nie grać ze mną w te gierki, panie Lancte. Jeśli wie pan, kim jestem, proszę to jasno powiedzieć.

- Wiem. Może pan rzeczywiście jest jasnowidzem.

- Nie potrzeba jasnowidza, by wiedzieć, że agent FBI gra kartami z rękawa.

- Jest pan chłopcem z Maine. Tam urodzony, tam wychowany. Co chłopiec z Maine robi w New Hampshire?

- Uczy.

- Dzieciaka Chatsworthów?

- Powtarzam po raz drugi: jeśli pan wie, po co te pytania? Lancte zapalił papierosa.

- Bogata rodzina.

- Zgadza się.

- Jesteś wielbicielem Stillsona, Johnny? - spytał Bass. Johnny nie lubił ludzi, którzy przy pierwszym spotkaniu zwracali się do niego po imieniu, a oni obaj właśnie tak się do niego zwracali. Zdenerwowało go to.

- A ty? - odpowiedział pytaniem. Bass mlasnął obrzydliwie.

- Jakieś pięć lat temu odbył się w Trimbull koncert folk rocka. Na ziemi Hake'a Jamiesona. Rada miejska miała wątpliwości, ale zgodziła się, bo dzieciakom przecież coś się od życia należy. Myśleliśmy, że zgromadzi się ich ze dwustu i będą słuchali muzyki. Zamiast tego pojawiło się tysiąc sześćset, wszyscy palili marihuanę i popijali wprost z butelki. Narobili bałaganu, rada się wściekła, stwierdziła, że coś takiego już się nie powtórzy, a wtedy pojawili się gówniarze, obrażeni i zapłakani, i spytali: „O co chodzi? Przecież nikomu nic się nie stało?”

Wszystko miało być okay, razem z całym bałaganem, bo nikomu nic się nie stało. Dokładnie to samo czuję w stosunku do tego Stillsona. Pamiętam, jak kiedyś...

- Nie ma pan nic przeciw Stillsonowi, prawda, Johnny? - zapytał Lancte. - Żadnych prywatnych porachunków? - Uśmiechnął się po ojcowsku, szczerym, opiekuńczym uśmiechem.

- Przed sześcioma tygodniami nawet nie wiedziałem, kim jest.

- Tak, dobrze, ale to przecież nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Przez chwilę Johnny milczał.

- Niepokoi mnie - powiedział w końcu.

- To też nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Moim zdaniem jest.

- Pan nie chce nam pomóc tak, jak to sobie wyobrażaliśmy - stwierdził z żalem Lancte.

Johnny spojrzał przez ramię na Bassa.

- Czy każdy, kto zemdleje w miejscu publicznym w pańskim mieście, szefie, dostaje się w łapy FBI? Bass zmieszał się.

- Nooo... nie. Oczywiście, że nie.

- Potrząsałeś dłonią Stillsona, a zaraz potem straciłeś przytomność - rzekł Lancte. - Sprawiałeś wrażenie chorego. Sam Stillson wyglądał, jakby zobaczył upiora. Jesteś fartownym młodym człowiekiem, Johnny. Masz szczęście, że jego chłopaki nie przerobiły ci głowy na urnę. Myśleli, że pociągnąłeś za spust.

Johnny patrzył na agenta z rosnącym zdumieniem.

- Byłeś tam - stwierdził. - Bass nie wezwał cię przez telefon. Byłeś tam. Na mityngu. Lancte zdusił papierosa.

- Tak.

- Dlaczego FBI interesuje się Stillsonem?

- Porozmawiajmy o tobie, Johnny. Dlaczego...?

- Nie, porozmawiajmy o Stillsonie. Pogadajmy o jego, jak to ująłeś, chłopakach. Czy prawo zezwala im obnosić się z upi-łowanymi kijami bilardowymi?

- Zezwala - potwierdził Bass. Lancte rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale policjant albo go nie dostrzegł, albo zignorował. - Kije bilardowe, kije baseballowe, kije do golfa. Prawo tego nie zabrania.

- Słyszałem, że niektórzy z nich byli kiedyś członkami gangów motocyklowych.

- Tak. Jedni w New Jersey, inni w Nowym Jorku...

- Panie Bass - przerwał mu Lancte - nie sądzę, by był to właściwy czas...

- Nie widzę powodu, żeby milczeć. To łobuzy, zgniłe jabłka, chuligani. Niektórzy z nich zeszliznęli się cztery czy pięć lat temu w Hamptons, kiedy doszło tam do rozruchów. Kilku należało do gangu, nazywanego Diabelską Dwunastką, który rozpadł się w 1972 roku. Pomagierem Stillsona jest facet nazwiskiem Son-ny Elliman, niegdyś szef Diabelskiej Dwunastki. Zatrzymano go parę razy, ale nigdy mu niczego nie udowodniono.

- I tu się pan myli, szefie - powiedział Lancte, zapalając kolejnego papierosa. - W stanie Waszyngton został ukarany za niedozwolony skręt w lewo, stanowiący zagrożenie dla ruchu kołowego. Podpisał mandat i zapłacił dwadzieścia pięć dolarów.

Johnny wstał, podszedł do chłodziarki i nalał sobie z niej nowy kubek wody. Lancte przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Więc po prostu zemdlałeś?

- Nie. - Johnny nawet się nie obrócił. - Miałem zamiar załatwić go z bazooki. Tylko w krytycznej chwili przepaliły mi się obwody bioniczne.

Lancte tylko westchnął.

- Możesz odejść w każdej chwili - powiedział Bass.

- Dziękuję.

- Ale powiem ci to, co i tak powiedziałby ci tu obecny pan Lancte. Gdybym był tobą, trzymałbym się z daleka od mityngów Stillsona. To znaczy, jeśli chcesz ocalić skórę. Ludziom, za którymi on nie przepada, przydarzają się różne rzeczy.

- Dobra? - Johnny wypił wodę.

- Te sprawy są poza pana jurysdykcją - stwierdził Lancte. Oczy miał jak ze stali i wpatrywał się w Bassa z gniewem.

- W porządku.

- Nie zaszkodzi chyba, jeśli zdradzę panu, że na jego mityngach zdarzały się już pewne incydenty - powiedział Lancte. - W Ridgeway kobieta w ciąży została pobita tak poważnie, że poroniła. Było to tuż po spotkaniu, które filmowała CBS. Kobieta stwierdziła, że nie potrafi rozpoznać napastnika, ale naszym zdaniem mógł to być jeden z motocyklistów Stillsona. Miesiąc temu chłopak, czternastoletni, zarobił pęknięcie czaszki. Miał mały plastikowy pistolet na wodę. On też nie potrafił rozpoznać napastnika, ale sądzimy, że tym pistoletem mógł nieco zdenerwować ochronę.

Jak to ładnie zabrzmiało, pomyślał Johnny.

- Nie znaleźliście żadnych świadków?

- Nikt nie chciał mówić. - Uśmiech Lancte'a pozbawiony był krzty humoru. Agent strącił popiół z papierosa. - Przecież ludzie na niego głosują.

Johnny pomyślał o młodym mężczyźnie, podnoszącym wysoko syna, żeby chłopiec mógł zobaczyć Stillsona. *Kogo to, do diabła, obchodzi. Przecież to tylko na pokaz.*

- Więc ma swojego anioła stróża z FBI.

- I co mam ci na to powiedzieć? - Lancte wzruszył ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco. - Dla twojej informacji, to nie jest synekura, Johnny. Czasami aż się boję. Ten facet ma od cholery i trochę...

jakby to powiedzieć... charyzmy. Gdyby wskazał na mnie palcem i powiedział tłumom na jednym z tych mityngów, kim jestem, chyba powiesiliby mnie na najbliższej latarni.

Johnny pomyślał o ludziach, których widział tego popołudnia, i o ślicznej dziewczynie wymachującej histerycznie kawałkiem arbuza.

- Chyba masz rację.

- Więc jeśli wiesz coś, co mogłoby nam pomóc... - Lancte pochylił się w stronę Johnny'ego. Rozbrajający uśmiech zmienił się nagle w uśmiech drapieżny. - Może miałeś jakiś przeblysk jasnowidzenia na jego temat i to sprawiło, że zemdlełeś.

- Może i tak. - Johnny nie uśmiechał się.

- I co?

Przez chwilę Johnny zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu wszystkiego. Potem odrzucił ten pomysł.

- Widziałem go w telewizji. Nie miałem dziś nic szczególnego do roboty, więc pomyślałem sobie, że przyjadę i zobaczę, jak wygląda w rzeczywistości. Założę się, że nie ja jeden spoza miasta wpadłem na ten pomysł.

_ Z pewnością - przytaknął gwałtownie Bass. - Czy to wszystko?

- Tak. - Johnny zawahał się i dodał: - ...Moim zdaniem wygra wybory.

- Jesteśmy pewni, że wygra - potwierdził Lancte. - Chyba że znajdziemy na niego haka. A tymczasem całkowicie zgadzam się z Bassem. Trzymaj się z daleka od Stillsona.

- Bez obawy. - Johnny zgniótł papierowy kubek i wyrzucił go. - Panowie, miło się z wami rozmawiało, ale czeka mnie jeszcze długa droga do Durham.

- Wracasz już do Maine, Johnny? - zapytał Lancte bez nacisku.

- Nie wiem. - Johnny spojrzał na agenta FBI, szczupłego, eleganckiego, pukającego kolejnym papierosem w tarczę zegarka i przeniósł spojrzenie na Bassa: potężnego, zmęczonego mężczyznę z twarzą baseta. - Czy sądzicie, że będzie kandydował na wyższy urząd, kiedy już znajdzie się w Izbie Reprezentantów?

- Święty Boże! - Bass wznosił oczy do nieba.

- Tacy jak on pojawiają się i znikają - powiedział Lancte. Jego oczy, ciemnobrązowe, ciemnobrązowe tak, że prawie czarne, bezustannie studiowały Johnny'ego. - Są jak te rzadkie pierwiastki radioaktywne, tak niestabilne, że nie istnieją długo. Faceci pokroju Stillsona nie mają stałej politycznej bazy, tylko koalicje, które trwają krótko i zaraz się rozpadają. Widziałeś dziś te tłumy? Studenci z uniwersytetu i robotnicy oklaskujący tego samego gościa? To nie polityka, to moda, jak hula-hop, czapki z szopa albo peruczki na Beatlesów. Będzie posłem, będzie się tym cieszył do 1978 roku i na tym koniec. Tak należy go traktować.

Ale Johnny wcale nie był tego pewien.

2

Następnego dnia lewa strona czoła Johnny'ego nabrała koloru, a raczej wielu kolorów. Ciemna czerwień - niemal czerń - przechodziła nad brwią w czerwień, a w pobliżu skroni i linii włosów w upiornie wesołą żółć. Powieka spuchła mu nieco, nadając twarzy lekko kpiący wyraz - jak u statysty w burlesce.

Johnny przepłynął dwadzieścia długości basenu, a potem wyciągnął się na leżaku i dyszał. Czuł się potwornie. Przespał niespełna cztery godziny i w dodatku, zamiast odpoczynku, noc przynosiła mu wyłącznie koszmary.

- Cześć, Johnny... Jak się czujesz, chłopie?

Johnny odwrócił się. Był to Ngo, łagodnie uśmiechnięty, ubrany w roboczy strój, z ogrodniczymi rękawicami na dłoniach. Za nim stał dziecienny wózek, pełen małych sosenek z korzeniami szczelnie owiniętymi w płótno. Przypomniawszy sobie, jak Ngo nazywa sosny, Johnny stwierdził:

- Widzę, że znowu sadzisz chwasty. Ngo zmarszczył nos.

- Tak, przykro mi. Pan Chatsworth je kocha. Mówię mu, że to nadaje się na śmietnik. Wszędzie w Nowej Anglii są tylko te śmietnikowe drzewa. A on robi twarz jak... - Ngo skrzywił się, aż wyglądał jak potwór z taniego horroru - i mówi mi: „Masz je zasadzić!”

Johnny roześmiał się. Tak, to było podobne do Chatswortha. Nie lubił, żeby mu się sprzeciwiać.

- Jak ci się podobał mityng? Ngo uśmiechnął się łagodnie.

- Bardzo pouczające - powiedział. Wyraz jego oczu pozostał nieodgadniony. Jakby nie zauważył, że na twarzy Johnny'ego wzeszło słońce. - Tak, bardzo pouczające, doskonale się bawiliśmy.

- To dobrze.

- A ty?

- Nie tak wspaniale. - Johnny lekko dotknął guza. Bolało.

- Niedobrze. Powinieneś położyć na to befszytk. - Ngo nadal uśmiechał się łagodnie.

- A co ty o nim myślisz? Co sądzi klasa? Przyjaciół z Polski? Ruth Chen i jej siostra?

- Kiedy wracaliśmy, nie rozmawialiśmy ze sobą, tak nakazali nasi instruktorzy. Powiedzieli: „przemyślcie sobie to, co widzieliście”. We wtorek będziemy chyba pisali o tym w klasie. Tak. Bardzo myślę, że będziemy. Wypracowanie.

I co napiszesz w wypracowaniu?

Ngo spojrział w błękitne, letnie niebo. Uśmiechnął się i niebo odpowiedziało mu tym samym. Był niewysoki, włosy zaczynały mu siwieć. Johnny prawie nic o nim nie wiedział - nie wiedział, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czy uciekał przed Vietkongiem, czy pochodzi z Sajgonu, czy z którejś z wiejskich prowincji. Nie miał pojęcia, jakie są jego poglądy polityczne.

- Rozmawialiśmy o grze w roześmianego tygrysa, pamiętasz?

- Tak.

- Opowiem ci o prawdziwym tygrysie. Kiedy byłem chłopcem, koło naszej wioski krążył tygrys, tygrys, który zrobił się bardzo groźny. Stał się *le manger d'homme*, ludojadem, rozumiesz? Nie zjadał mężczyzn, tylko dziewczynki, chłopców i stare kobiety, bo działo się to w czasie wojny i nie było mężczyzn do zjedzenia. Nie tej wojny, o której wiesz, drugiej wojny światowej. Nabrał smaku na ludzkie mięso, ten tygrys. Kto miał zabić takie straszne zwierzę w małej wiosce, gdzie najmłodszy mężczyzna miał sześćdziesiąt lat i tylko jedną rękę, a najstarszym chłopcem byłem ja; miałem wtedy siedem lat. Pewnego dnia znaleziono tego tygrysa w dziurze, zwabionego tam ciałem starej kobiety. To straszna rzecz używać na przynętę ludzkie ciało, które zostało zrobione na podobieństwo Boga, napiszę w moim wypracowaniu, ale jeszcze gorzej jest nie zrobić nic, kiedy zły tygrys porywa małe dzieci. I napiszę w wypracowaniu, że kiedy go znaleźliśmy, ten zły tygrys jeszcze żył. Miał pal wbity w ciało, ale jeszcze żył. Zabiliśmy go motykami i kijami. Starzy mężczyźni, kobiety i dzieci, niektóre dzieci tak się bały, że siusiały w majtki. Tygrys wpadł do dziury i zabiliśmy go motykami, ponieważ mężczyźni z wioski poszli walczyć z Japończykami. Myślę sobie, że ten Stillson jest jak ten zły tygrys, co nabrał smaku na ludzkie mięso. Myślę, że trzeba zrobić na niego pułapkę i powinien w nią wpaść. I jeśli potem będzie żył, to myślę, że trzeba go pobić na śmierć.

Stał wciąż uśmiechnięty pod letnim niebem.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał Johnny.

- Och, tak - odparł Ngo. Mówił lekko, jakby ta sprawa nie miała żadnego znaczenia. - Co powie nauczyciel, kiedy dam mu takie wypracowanie, nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Prawdopodobnie powie: „Ngo, nie jesteś jeszcze gotów pójść amerykańską drogą”. Ale ja powiem prawdę o tym, co czuję. A co ty o tym sądzisz, Johnny? - Oczywiście Ngo spoczęły na siniaku i Wietnamczyk zaraz obrócił głowę.

- Jest niebezpieczny. W i e m, że jest niebezpieczny.

- Doprawdy? Tak, sądzę, że wiesz. Obywatele New Hampshire widzą w nim sympatycznego klauna. Widzą go tak, jak wielu na świecie widzi tego czarnego Idi Amina Dada. Ale ty nie.

- Nie. Tylko sugerować, że powinien zostać zabity...

- Politycznie zabity - uśmiechnął się Ngo. - Ja tylko sugeruję, że powinien zostać politycznie zabity.

- A jeśli nie można go politycznie zabić? Ngo znów uśmiechnął się łagodnie, wyprostował palec wskazujący, zgął kciuk i nagle opuścił go.

- Bam - powiedział cicho. - Bam bam.

- Nie. - Johnny zdumiał się, jak ochryple brzmi jego głos. - To żadne rozwiązanie. Ż a d n e.

- Żadne? A ja myślałem, że wy, Amerykanie, stosowaliście je dość często. - Ngo złapał za rączkę czerwonego wózka. - Muszę zasadzić te chwasty, Johnny. Do zobaczenia, chłopie.

Johnny patrzył, jak odchodzi - niski mężczyzna w płóciennych spodniach i półbutach, ciągnący wózek pełen małych sosen. Ngo znikł za rogiem domu.

Nie. Morderstwo to tylko sianie kolejnych smoczycich zębów. Wierzę w to. Wierzę w to z całego serca.

3

W pierwszy wtorek listopada, który wypadł akurat drugiego dnia miesiąca, Johnny Smith siedział skulony w fotelu w swym połączonym z kuchnią dużym pokoju i śledził wyniki wyborów. Chancellor i Brinkley używali wielkiej elektronicznej mapy, pokazującej wyniki wyborów prezydenckich w kolejnych stanach - kandydaci mieli swoje kolory. Teraz, tuż przed północą, Carter i Ford szli niemal łeb w łeb. Ale Johnny nie miał wątpliwości, że wygra Carter.

Greg Stillson wygrał także.

O tym zwycięstwie głośno było w lokalnych wiadomościach i gazetach, zauważyli je również dziennikarze krajowych mass mediów, porównując sukces Stillsona ze zwycięstwem Jamesa Langleya, niezależnego gubernatora Maine, sprzed dwóch lat.

Chancellor mówił:

- Wyniki ostatnich badań opinii publicznej, wskazujące, że kandydat republikanów pełniący obecnie ten urząd, Harrison Fisher, zbliża się do Stillsona, były najwyraźniej błędne. NBC przewiduje, że Stillson, który prowadził spotkania z wyborcami w hełmie robotnika budowlanego i przedstawił program zawierający propozycję, by wszystkie zanieczyszczenia wysłać w przestrzeń kosmiczną, otrzymał czterdzieści sześć procent głosów, Fisher zaś trzydzieści jeden procent. W okręgu, w którym demokraci nigdy nie mieli większych szans, David Bowes zdołał zgromadzić jedynie dwadzieścia trzy procent głosów.

- A więc - dodał Brinkley - w New Hampshire nadszedł czas hot-dogów... przynajmniej na dwa najbliższe lata. -I on, i Chancellor uśmiechnęli się. Wszedł blok reklamowy. Johnny nie uśmiechał się. Myślał o tygrysach.

Od spotkania w Trimbull do wyborów był mocno zajęty. Nadal pracował z Chuckiem, chłopak robił postępy, powoli, lecz systematycznie. Miał dwie poprawki, zdał obie i odzyskał prawo gry w reprezentacji. Teraz, kiedy sezon futbolowy już się kończył, zanosilo się na to, że zostanie wybrany do reprezentacji stanu, typowanej przez sieć gazet Gannetta. Łowcy talentów z różnych uczelni kręcili się koło niego zapobiegliwie w niemal rytualnym tańcu. Musieli jednak odczekać rok - Chuck wraz z ojcem podjął decyzję, że spędzi ten rok w dobrej prywatnej szkole przygotowawczej w Stovington, w stanie Vermont. Johnny sądził, że w Stovington zapanuje na tę wieść prawdziwy szal ra-diości, bowiem mieli tam wspaniałą drużynę piłki nożnej i fatalną drużynę futbolu. Prawdopodobnie dadzą mu pełne stypendium, a na dodatek złoty klucz do żeńskiego akademika, myślał Johnny. Był zdania, że decyzja Chatsworthów jest jak najbardziej słuszna. Kiedy tylko ją podjęto i Chuck zrzucił z barków ciężar zbliżających się testów, jego postępy stały się znacznie szybsze.

W końcu września Johnny pojechał na weekend do Pownall. Po piątkowym wieczorze, gdy Herb bezustannie wykręcał palce i zarykiwał się śmiechem z telewizyjnych dowcipów, które nie były szczególnie dobre, zapytał go, w czym problem.

- Nie ma żadnego problemu. - Ojciec uśmiechnął się nerwowo i zatarł ręce jak księgowy, który właśnie odkrył, że firma, w którą zainwestował oszczędności całego życia, zbankrutowała. - Dlaczego tak myślisz, synu?

- No to czym się przejmujesz?

Herb przestał się uśmiechać, ale nadal zacierał ręce.

- Naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć, Johnny. To znaczy...

- Chodzi o Charlene?

- No, tak. Tak.

- Poprosiłeś ją o rękę.

Herb spojrział na syna, zawstydzony.

- Jak się zapatrujesz na to, że w wieku dwudziestu dziewięciu lat będziesz miał macochę? Johnny uśmiechnął się promiennie.

- Bardzo mi się to podoba. Gratulacje, tato. Herb uśmiechnął się także. Z ulgą.

- Cóż, dziękuję. Trochę się bałem ci powiedzieć, teraz już mogę się do tego przyznać. Pamiętam, co mówiłeś przedtem, ale ludzie czasami inaczej myślą, gdy coś jest „może” a inaczej, gdy już się zdarzy. Kochałem twoją matkę, Johnny. I zawsze będę ją kochał.

- Wiem, tato.

- Ale jestem sam i Charlene jest sama, i... wiesz, oboje możemy na tym skorzystać.

Johnny podszedł do ojca i pocałował go.

- Wszystkiego najlepszego. Wiem, że będzie wam dobrze.
- Jesteś wspaniałym synem, Johnny. - Herb wyjął chustkę z tylnej kieszeni spodni i przetarł nią oczy. - Myśleliśmy, że już cię utraciliśmy. W każdym razie ja tak myślałem. Vera nigdy nie straciła nadziei. Zawsze wierzyła. Johnny, ja...
- Nic nie mów, tato. To już przeszłość.
- Muszę. Leżało mi to na sercu jak kamień już od półtora roku. Modliłem się, żebyś umarł, Johnny. Mój syn, i modliłem się, żeby Bóg cię zabrał. - Jeszcze raz otarł łzy i schował chusteczkę. - Okazało się, że Bóg wie odrobinę więcej ode mnie. Johnny... będziesz przy mnie? Na ślubie? Johnny poczuł w sercu coś, niemal smutek.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Dzięki. Jestem szczęśliwy, że... że powiedziałem wszystko, co mi nie dawało spokoju. Już od bardzo dawna nie czułem się tak dobrze.
- Ustaliliście datę?
- No, właściwie tak. Jak ci się podoba drugi stycznia?
- Bardzo. Możecie na mnie liczyć.
- Chyba sprzedamy oba domy - stwierdził Herb. - Mamy na oku farmę w Biddeford. Ładna. Dwadzieścia akrów. Połowa to las. Na nowy początek.
- Tak, właśnie. Doskonały pomysł.
- Nie przeszkadza ci, że sprzedamy nasz dom? - Herb był tym nieco przerażony
- Będzie mi go trochę żal, ale nic poza tym.
- Tak, czuję to samo - trochę mi żal. - Herb uśmiechał się. - Serce ściska mi się odrobinę. A tobie?
- Mnie też.
- A jak twoje sprawy?
- Dobrze.
- Chłopak jakoś sobie radzi?
- Robi zdumiewające postępy. - Johnny użył jednego z ulubionych powiedzeń ojca i uśmiechnął się.
- Ile czasu jeszcze ci to zajmie?
- Praca z Chuckiem? Przypuszczam, że zostanę z nim przez ten rok szkolny, jeśli będą mnie chcieli. Praca z jednym uczniem to dla mnie nowe doświadczenie. Podobało mi się. I zrobiłem naprawdę dobrą robotę.
- A co masz zamiar robić później? Johnny potrząsnął głową.
- Jeszcze nie wiem. Ale wiem jedno.
- Co takiego?
- Idę po butelkę szampana. Zalejemy się. Tego wrześniowego wieczora Herb wstał i klepnął syna w plecy.
- Niech będą dwie butelki - powiedział.

Od czasu do czasu Johnny dostawał także list od Sary Hazlett. W kwietniu spodziewała się drugiego dziecka. Johnny odpisał jej, dołączając gratulacje i życzenia dla Walta, który wędrował od domu do domu, zdobywając sobie poparcie wyborców. I myślał czasami o tym cudownym popołudniu z Sara, długim, niespiesznym popołudniu. Nie pozwalał sobie na to, by wspominać je często; obawiał się, że ciągle wystawianie tych wspomnień na światło pamięci spowoduje, iż spłowieją i zbledną jak te pozółtkłe odbitki zdjęć, które zrobili ci przy maturze.

Na jesieni miał kilka randek, jedną z nich ze starszą, właśnie owdowiałą siostrą dziewczyny, z którą chodził Chuck, ale w efekcie nic z tego nie wyszło.

Większość wolnego czasu spędził w towarzystwie Gregory'ego Ammasa Stillsona.

Zachorował na stillsonofobię. W szufladzie, pod skarpetkami, gaciami i podkoszulkami, trzymał trzy zeszyty wypełnione notatkami, pytaniami i kserokopiami artykułów prasowych.

Odczuwał z tego powodu pewien niepokój. W nocy, kiedy na luźnych kartkach sporządzał notatki, czuł się czasami jak Artur Bremmer albo ta Moore, która próbowała zabić Jerry'ego Forda. Wiedział, że gdyby Edgar Lancte, Nieustraszone Popychadło FBI, zobaczył go kiedyś przy tym zajęciu, to jego telefon, pokój i łazienka w mgnieniu oka obrosłyby pluskwami. Po drugiej stronie ulicy zapewne stanęłaby ciężarówka firmy meblowej, tylko że zamiast mebli wypełniałyby ją kamery,

mikrofony i jeden Bóg wie, co jeszcze.

Powtarzał sobie, że nie jest Bremmerem, że Stillson nie jest jego obsesją, ale bardzo trudno było mu uwierzyć w to po długich popołudniach spędzonych w bibliotece uniwersyteckiej, w której przekopywał się przez stare gazety i magazyny i wrzucał dziesięciocentówki w kserokopiarkę. Bardzo trudno było mu w to uwierzyć po długich nocach, podczas których w jego oknach paliło się światło, a on spisywał swe spostrzeżenia i próbował połączyć je w sensowną całość. A już zupełnie nie potrafił w to uwierzyć, kiedy budził się o przysłowiowej cmentarnej trzeciej nad ranem, spocony po kolejnym koszmarze.

Koszmar prawie zawsze był ten sam - zwykła powtórka dnia w Trimbull, kiedy potrząsnął dłonią Grega Stillsona. Nagła ciemność; poczucie, że jest w tunelu wypełnionym światłem jednego, zbliżającego się reflektora, reflektora lokomotywy zagłady. Stary człowiek o zawstydzonych, przerażonych oczach, przyjmujący nie mieszczącą się w głowie przysięgę prezydencką. Okruchy uczuć, pojawiające się i znikające jak kłęby dymu. I seria krótkich obrazów, powiązanych ze sobą, drżących jak sznury chorągiewek ogradzających teren zajmowany przez handlarza używanymi samochodami. Rozum mówił mu, że wszystkie te obrazy są ze sobą powiązane, że mówią o zbliżającej się, apokaliptycznej zagładzie, być może nawet o Armageddonie, w który bez zastrzeżeń wierzyła Vera.

Lecz czym były te obrazy? Czym dokładnie? Zamazane, nie do odczytania oprócz niewyraźnych kształtów, bo widziane zawsze przez ten niezwykły, niebieski filtr, niebieski filtr przecięty czasami, jak skóra tygrysa, żółtymi pasami.

We śnie jedyny jasny obraz pojawiał się zawsze na końcu: krzyki umierających, zapach śmierci i tygrys, maszerujący przez kilometry skręconego metalu, stopionego szkła, spalonej ziemi. Ten tygrys zawsze się śmiał, wydawało się, że niesie coś w paszczy: coś niebieskiego i żółtego, i ociekającego krwią.

Owej jesieni były chwile, kiedy Johnny myślał, że zwariuje z powodu tego snu. Śmieszny sen, wskazywał na możliwości, które są przecież zupełnie nieprawdopodobne. Najlepiej o nim zapomnieć.

Lecz nie potrafił zapomnieć. Dalej badał postać Grega Stillsona i próbował wytłumaczyć sobie, że to tylko nieszkodliwe hobby, a nie niebezpieczna obsesja.

Stillson urodził się w Tulsie. Jego ojciec był zwykłym robotnikiem na polach naftowych, często zmieniał pracę, ale był bezrobotnym krócej od większości swych kolegów ze względu na potężną budowę i siłę. Matka mogła być niegdyś ładna, chociaż na dwóch fotografiach, które udało mu się odszukać, pozostały zaledwie ślady jej urody. Jeśli rzeczywiście była. Czas i mężczyzna, za którego wyszła za mąż, szybko położyli temu kres. Zdjęcia pokazywały tylko jeszcze jedną suchą twarz kobiety z południowego zachodu Stanów Zjednoczonych, ubranej w jaskrawa, spłowiałą sukienkę, trzymającej na rękach dziecko - Grega - i mrużącej oczy od słońca.

Ojciec był postacią dominującą i nie za bardzo troszczył się o syna. Nie było oznak, by znęcał się nad chłopcem fizycznie lub umysłowo, ale istniały co najmniej sugestie, że wywierał na Grega niezdrowy wpływ przez dziewięć pierwszych lat jego życia. Zdjęcia ojca i syna, które posiadał Johnny, ukazywały jednak szczęśliwą parę; pokazywały ich razem przy wieżach wiertniczych, ojciec obejmował syna za szyję w geście niedbalej przyjaźni. Lecz mimo to było w nich coś mrozącego krew w żyłach. Harry Stillson miał na sobie ubranie robocze: mocne spodnie i koszulę khaki z dwoma kieszeniami na piersiach, a jego kask zsunięty był wesoło na tył głowy.

Greg zaczął się uczyć w szkole w Tulsa, a potem w Oklahoma City, gdzie przeniósł się, mając dziesięć lat. Poprzedniego lata jego ojciec zginął w pożarze na polu naftowym. Mary Lou Stillson przeniósła się, gdyż w Okie City mieszkała jej matka i łatwo mogła znaleźć pracę - trwała wojna. Był rok 1942, nadeszły dobre czasy.

Greg miał dobre stopnie aż do liceum, gdzie wpadł w tarapaty. Wagary, noce spędzane w salach bilardowych w śródmieściu i, być może, sprzedaż towarów kradzionych na przedmieściach, choć na to nigdy nie było wystarczających dowodów. W 1949 roku, w drugiej klasie został na dwa dni zawieszony w prawach ucznia za umieszczenie fajerwerków w toalecie przy szatni sali gimnastycznej.

Przy okazji wszystkich starć z władzą Mary Lou Stillson zawsze brała stronę syna. Dobre czasy - dobre przynajmniej dla ludzi pokroju Stillsonów - skończyły się wraz z końcem wojennej prosperity. Pani Stillson zdawała się myśleć, że cały świat wystąpił przeciw jej synowi. Jej matka zmarła, zostawiając córce mały drewniany domek i nic więcej. Przez pewien czas Mary Lou nalewała drinki w barze dla robotników i pracowała jako kelnerka w taniej, całonocnej jadalni. A kiedy jej syn

wpadał w kłopoty, natychmiast ruszała mu na pomoc, najwyraźniej nigdy nie sprawdzając, czy zawinił, czy nie.

Blady, chorowity chłopiec, którego ojciec nazywał kurduplem, znikł w 1949 roku. W miarę, jak Greg Stillson dorastał,

dziedzictwo ojca coraz bardziej dawało o sobie znać. Między trzynastym a szesnastym rokiem życia wystrzelił w górę piętnaście centymetrów i przybrał na wadze trzydzieści kilo. W szkole nie uprawiał żadnych sportów, ale zdobył zestaw „Atlas” i hantle. Kurdupel stał się facetem, któremu nie należało wchodzić w drogę.

Johnny przypuszczał, że Stillson przy co najmniej kilkunastu okazjach tylko cudem uniknął wyrzucenia ze szkoły; najzwyczajniej miał kretyńskie szczęście. Gdyby kiedyś złapano go na czymś, myślał często Johnny, skończyłyby się te wszystkie głupie strachy, bowiem człowiek skazany za przestępstwo nie może kandydować na wyższe stanowisko w administracji publicznej.

Stillson ukończył szkołę - co prawda jako jeden z ostatnich w klasie - w czerwcu 1951 roku. Mimo złych stopni był bystry i sprawny. Szukał wielkiej szansy. Miał także zręczny język i ujmujące maniery. Tego lata pracował przez pewien czas na stacji benzynowej. Później, w sierpniu, nawrócił się na chrześcijaństwo podczas kazań wygłaszanych pod namiotem w Wilwood Green. Rzucił pracę na stacji i stał się zaklinaczem deszczu „przez moc Pana Naszego Jezusa Chrystusa”.

Przypadkowo albo i nie, nadeszło jedno z najsuchszych lat w Oklahomie od czasu słynnych burz piaskowych. Zbóż nie dało się już uratować, a gdyby wyschły płytkie studnie, zdechłoby także bydło. Miejscowy oddział stowarzyszenia hodowców zaprosił Grega na spotkanie. Johnny znalazł wiele opowieści o późniejszych zdarzeniach; był to jeden z wielkich momentów w karierze Stillsona. Żadna z tych historii nie wystawiała go na kompletne pośmiewisko i Johnny potrafił zrozumieć, dlaczego. Były w nich wszystkie cechy amerykańskiego mitu, nie tak znowu różne od opowieści o Davym Croketcie, Pecos Billu, Paulu Bunyanie. Nie dało się zaprzeczyć, że rzeczywiście zdarzyło się c o ś. Ale prawda o tym, co, była już nie do odkrycia.

Jedno wydawało się pewne. Zebranie stowarzyszenia hodowców musiało być jednym z najdziwniejszych w jego historii. Ranczerzy zaprosili dwudziestu kilku zaklinaczy z całego południowego wschodu i południowego zachodu. Mniej więcej połowę stanowili Murzyni. Dwóch było Indianami: półkrwi Paunis i czystej krwi Apacz. Był wśród nich także żujący pejotl

Meksykanin. Greg znalazł się pośród dziesięciu białych jako jedyny chłopak z miasteczka.

Ranczerzy wysłuchiwali ofert zaklinaczy deszczu i różdżkarzy, jednego po drugim. Stopniowo podzielili się oni na dwie grupy: tych, którzy z góry wzięliby połowę wynagrodzenia (bezzwrotnie), i tych, którzy z góry wzięliby całe wynagrodzenie (bezzwrotnie).

Kiedy nadeszła jego kolej, Greg Stillson wstał, wsadził kciuki za szlufki pasa swych dżinsów i - podobno - powiedział:

- Przypuszczam, iż wiecie, panowie, że nabrałem zdolności sprowadzania deszczu po tym, gdy oddałem swe serce Jezusowi. Przedtem grzęłem w grzechu i szedłem drogami występku. A jedną z głównych dróg grzechu jest ta, po której poruszaliśmy się tu dzisiaj, i jest ona wybrukowana dolarami.

Ranczerzy poczuli nagły przypływ zainteresowania. W wieku dziewiętnastu lat Stillson sprawiał wrażenie raczej komicznego maga. I złożył im propozycję nie do odrzucenia. Ponieważ narodził się na nowo jako chrześcijanin i ponieważ wiedział, że umiłowanie pieniędzy leży u źródeł wszelkiego zła, sprowadzi deszcz, a oni potem zapłacą mu, ile będą uważali.

Wybrano go przez aklamację i w dwa dni później, ubrany w czarny płaszcz i kapelusz z małą główką (jaki noszą kaznodzieje), klęczał już na ciężarówce jeżdżącej powoli po drogach i bezdrożach środkowej Oklahomy, modląc się o deszcz przez dwie kolumny podłączone do samochodowego akumulatora. Tysiące ludzi wychodziło, bo go obejrzeć.

Koniec historii, łatwy do przewidzenia, był całkiem satysfakcjonujący. Po południu w drugim dniu modłów na niebie pojawiły się chmury i następnego dnia spadł deszcz. Padało trzy dni i dwie noce, gwałtowne powodzie zabiły cztery osoby, rzeka Greenwood niosła całe domy, na dachach których siedziały kury, studnie wypełniły się wodą, bydło zostało uratowane, a Stowarzyszenie Ranczerów i Hodowców Oklahomy zdecydowało, że deszcze najprawdopodobniej nadeszłyby i bez zaklinania czy modłów. Na następnym spotkaniu puścili w ruch kapelusz i zebrali dla młodego zaklinacza królewską sumę siedemnastu dolarów.

Greg Stillson wcale się tym nie zmieszał. Siedemnaście dolarów zużył na umieszczenie ogłoszenia w *Heraldzie* z Oklahoma City. W ogłoszeniu wskazał, że podobna rzecz przydarzyła się

kiedyś pewnemu szcurołapowi w miasteczku Hamlin. Jako chrześcijanin, mówiło dalej ogłoszenie, Greg Stillson nie ma zamiaru zabierać dzieci, a poza tym doskonale orientuje się, że nie może podjąć działań prawnych przeciw organizacji tak wielkiej i potężnej jak Stowarzyszenie Ranczerów i Hodowców Oklahomy. Ale trzeba postępować uczciwie. Ma w końcu na utrzymaniu starą matkę, której zdrowie zaczyna szwankować. Ogłoszenie sugerowało, że Greg modlił się aż do wyczerpania za bandę bogatych, niewdzięcznych snobów; takich jak ci, którzy w latach trzydziestych rozjeżdżali traktorami ludzi podobnych do Joadów. Ogłoszenie sugerowało, że Greg ocalił bydło wartości dziesiątek tysięcy, za co dostał całe siedemnaście dolców. Ponieważ jest prawym chrześcijaninem, tego rodzaju niewdzięczność nie oburza go, ale może dobrzy obywatele hrabstwa powinni odrobinę się nad tym zastanowić. Ludzie zdrowo myślący mogą wysyłać datki na adres *Heralda*, skrytka pocztowa 471.

Johnny zastanawiał się, ile właściwie Stillson dostał po opublikowaniu tego ogłoszenia. Podawano różne sumy, ale na jesieni jeździł już po mieście nowiuteńskim mercurym. Trzyletnie, zaległe podatki za dom, który pozostawiła im matka Mary Lou, zostały spłacone. Sama Mary Lou (wcześnie nie taka chora i wówczas najwyżej czterdziestopięcioletnia) obnosiła futro z szynszyli. Stillson odkrył najwyraźniej jedną z podstawowych, ukrytych zasad rządzących naszym światem: jeśli ci, którzy dużo mają, nie zapłacą, zapłacą za nich, chętnie i bez żadnego szczególnego powodu, ci, którzy mają niewiele. Przypuszczalnie ta sama zasada sprawia, że politykom nigdy nie zabraknie młodych ludzi, napędzających maszynę wojny.

Ranczerzy odkryli, że wsadzili swą kolektywną dłoń w gniazdo szerszeni. Kiedy członkowie stowarzyszenia pojawiali się w mieście, obstępowały ich kpiące tłumy. We wszystkich zakątkach hrabstwa księża wypominali ich z ambon. Z trudnością przychodziło im sprzedać w okolicy mięso wystawiane na sprzedaż dzięki deszczom i musieli wozić je całkiem daleko.

W listopadzie tego pamiętnego roku na progu domu Stillsona pojawili się dwaj młodzi mężczyźni z mosiężnymi kastetami w rękach i niklowanymi trzydziestkami dwójkami w kieszeniach, najwyraźniej wynajęci przez Stowarzyszenie z Oklahomy, by zasugerować mu - wszystkimi dostępnymi sposobami - że gdzie indziej klimat sprzyjałby Stillsonom o wiele bardziej. Obaj skończyli w szpitalu. Jeden z nich z pękniętą czaszką, drugi z czterema wybitymi zębami i obrażeniami wewnętrznymi. Obu znaleziono za rogiem przecznicy, przy której mieszkał Greg, *sans* portek. Mosiężne kastety wetknięte mieli w tę część ciała, którą najczęściej kojarzy się z czynnością siadania, a w przypadku jednego z nich konieczna była drobna operacja chirurgiczna dla usunięcia z organizmu ciała obcego.

Stowarzyszenie poddało się. Na spotkaniu w początkach grudnia z funduszy ogólnych wycofano siedemset dolarów i wysłano Gregowi czek odpowiedniej wysokości.

Dostał, czego chciał.

W 1953 roku wraz z matką przeniósł się do Nebraski. Zaklinanie deszczu i - jak twierdzili inni - gra w bilard na pieniądze przestały przynosić wystarczające dochody. Niezależnie od powodów przeprowadzki, Stillsonowie pojawili się w Omaha, gdzie Greg otworzył firmę malowania domów, która dwa lata później zbankrutowała. Lepiej powiodło mu się jako sprzedawcy Amerykańskich Jedynych Prawdziwych Biblii. Dużo podróżował, jadał obiady w towarzystwie tysięcy ciężko pracujących, bogobojnych wiejskich rodzin, opowiadał im historię swego nawrócenia i sprzedawał Biblie, plakietki, świecące plastikowe figurki Jezusa, śpiewniki, płyty, traktaty i wściekle prawicową broszurkę zatytułowaną: *Jedyna prawdziwa Ameryka: komunistyczno-żydowski spisek przeciw naszym Stanom Zjednoczonym*. Starzejącego się merkury'ego zastąpiła w 1957 roku nowiuteńska półciężarówka Forda.

W 1958 roku Marty Lou Stillson zmarła na raka. W tym samym roku Greg Stillson porzucił ten „jestem jak nowonarodzony” interes ze sprzedażą Biblii i pojechał na Wschód. Spędził rok w Nowym Jorku, po czym przeniósł się do Albany. Rok w Nowym Jorku poświęcił wysiłkom rozszyfrowania tajemnic zawodu aktora. Była to jedna z niewielu (łącznie z malowaniem

domów) prac, na których nie zarobił nawet dolca. Ale prawdopodobnie nie z braku talentu, pomyślał złośliwie Johnny.

W Albany zaczął pracować w Prudentialu; pozostał tam do 1965 roku. Jako sprzedawca ubezpieczeń odniósł mały, nic nie znaczący, bezwartościowy sukces. Nikt nie zaproponował mu objęcia kierownictwa firmy, ale też i nikt nie oburzał się na niechrześcijańskie praktyki. W ciągu tych pięciu lat rzutki, energiczny Greg Stillson hibernował. Życie układało mu się w kratkę, jednak przez cały czas kochał tylko jedną kobietę - matkę. Nigdy się nie ożenił, nigdy nawet nie spotykał się z

jedną dziewczyną, w każdym razie Johnny'emu nie udało się trafić na jej ślad.

W 1965 roku Prudential zaoferował mu pracę w Ridgeway, stan New Hampshire, i Greg ją przyjął. Mniej więcej w tym samym czasie zakończył się okres hibernacji. Wesole lata sześćdziesiąte właśnie nabierały rozpędu. Była to era krótkich spódniczek i robienia tego, co się chce. Greg wykazał się wielką aktywnością na polu lokalnym. Został członkiem Izby Handlowej i Klubu Rotariańskiego. Gazety w całym stanie pisały o nim w 1967 roku, w trakcie sporów o liczniki parkingowe w centrum miasta. Przez sześć lat kłóciły się o nie różne frakcje. Greg sugerował, by w ogóle zlikwidować liczniki, a na ich miejsce postawić skarbonki. Niech ludzie płacą, ile chcą. Niektórzy mówili, że nigdy nie słyszeli o głupszym pomysle. Cóż, odpowiadał Greg, być może czeka was niespodzianka. Tak, panie i panowie, umiał przekonywać. Rada miejska przyjęła w końcu jego propozycję tytułem próby, a ilość drobnych w skarbankach zdumiała wszystkich - z wyjątkiem pomysłodawcy. On odkrył tę zasadę przed wielu laty.

W 1969 roku znów zrobiło się o nim głośno. W długim, dokładnie przemyślanym liście do gazety w Ridgeway Stillson zaproponował, by winni zażywania narkotyków szli do prac interwencyjnych na rzecz miasta, na przykład w parkach, przy ścieżkach rowerowych, a nawet przy odchwaszczaniu wyseppek ulicznych. Wielu twierdziło, że nigdy nie słyszeli o głupszym pomysle. Cóż, odpowiedział Greg, spróbujcie, a jeśli się nie uda, przerywajcie eksperyment. Miasto zdecydowało się spróbować. Pewien ćpun za darmo zreorganizował system katalogowy miejskiej biblioteki ze starego systemu dziesiątego Deweya na nowszy, stosowany przez bibliotekę Kongresu. Kilku zaprawionych po uszy hippisów, wyciągniętych z zabawy w prywatnym domu, przebudowało miejski park, tworząc lokalne arcydzieło ze stawem i terenami do bezpiecznych zabaw dla dzieci. Jak napisał Greg, większość narkomanów zainteresowała się tymi wszystkimi chemikaliami na uniwersytecie, ale nie ma powodu, by nie wykorzystać innej wiedzy tam zdobytej.

Oprócz dokonania rewolucyjnych zmian w sposobie pobierania opłat za parkowanie i zasadach traktowania narkomanów, pisał także listy do *Union Leadera* z Manchesteru, bostońskiego *Globe* i *New York Timesa*, ujawniając jastrzębie poglądy na wojnę w Wietnamie, domagając się traktowania nałogowych narkomanów jak zbrodniarzy i usankcjonowania kary śmierci, przede wszystkim dla handlarzy heroiną. W swej kampanii do Izby Reprezentantów przy wielu okazjach powtarzał, że od 1970 roku był przeciwnikiem wojny, ale jego własne słowa, publikowane w gazetach, robiły z niego zwykłego kłamcę.

W 1970 roku Greg Stillson założył własną firmę ubezpieczeń i handlu nieruchomościami, odnosząc wielki sukces. W 1973 roku, wraz z trzema innymi inwestorami, sfinansował i wybudował centrum handlowe na przedmieściu Capital City, stolicy okręgu, z którego kandydował. Był to rok arabskiego embarga, a także rok, w którym kupił sobie lincolna continental. Wtedy też ubiegał się o stanowisko burmistrza Ridgeway.

Kadencja burmistrza trwała dwa lata i w 1971 roku zarówno republikanie jak i demokraci tego całkiem sporego (populacja: osiem tysięcy pięciuset obywateli) miasta w Nowej Anglii zaproponowali mu, by reprezentował ich partie. Greg z uśmiechem odmówił jednym i drugim. W 1973 roku wystartował jako kandydat niezależny, zwyciężając całkiem popularnego republikanina, który naraził się wszystkim, popierając politykę Nixona, i demokratycznego figuranta. Wtedy po raz pierwszy włożył na głowę hełm. Hasłem jego kampanii było: „Zbudujmy lepsze Ridgeway”. Wygrał, jak chciał. Rok wcześniej, w siostrzanym stanie New Hampshire, Maine, wyborcy nie docenili zarówno republikanina, Jamesa Erwina, jak i demokracji, George'a Mitchela, i wybrali właściciela firmy ubezpieczeniowej z Lewinston, Jamesa Longleya.

Gregory Ammas Stillson dostrzegł kryjącą się w tym fackie lekcję.

4

Wokół odbitek ksero leżały porozrzucane notatki Johnny'ego z dręczącymi go pytaniami i przemyśleniami. Zastanawiał się nad nimi tak często, że teraz, kiedy Chancellor i Brinkley omawiali wyniki wyborów, był w stanie powtórzyć je z pamięci, jedno po drugim.

Po pierwsze: Greg Stillson w ogóle nie powinien zostać wybrany. Obietnice, które składał podczas kampanii, były, wszystkie razem i każda z osobna, zwykłymi żartami. Miał nieodpowiednie wykształcenie i wychowanie. Rzucił szkołę po czwartej klasie i - aż do 1965 roku - był tylko zwykłym włóczęgą. W kraju, w którym wyborcy zdecydowali, że prawo powinni ustalać prawnicy, Stillson

stykał się z prawem z drugiej strony barierki. Nie był żonaty, a jego dzieje budziły poważne wątpliwości.

Po drugie: prasa - co zaskakujące - zostawiła go w niemal całkowitym spokoju. W roku wyborów, w którym Wilbur Mills przyznał się do kochanki, w którym Wayne Hays pozbawiony został swego obrosłego planktonem krzesła w Izbie z tego samego powodu, w którym nawet najmocniejsi i najpotężniejsi nie byli bezpieczni od zakusów bezwzględnej, zawsze wścibskiej prasy, reporterzy powinni przyduścić Stillsona pośrodku boiska. Tymczasem jego barwna, kontrowersyjna osobowość wydawała się budzić zaledwie przyjazne rozbawienie prasy krajowej, co nie martwiło nikogo - oprócz jednego Johnny'ego Smitha. Ochroniarze Grega nie tak dawno jeździli harley-davidsonami po plażach, wszczynając rozróbę; na jego mitingach zdarzały się dziwne przypadki poranienia ludzi, ale żaden sprytny dziennikarz nie zajął się tymi sprawami. Podczas wiecu w Capital City - w tym samym centrum hadlowym, do którego budowy Stillson przyłożył rękę - osiemnastoletniej dziewczynie złamano rękę i wybito kręgi szyjne. Rozhisteryzowana matka przysięgała, że jeden z „szalonych motocyklistów” zepchnął córkę z estrady, na którą wspinała się, by zdobyć autograf Wielkiego Człowieka do swej książeczki, a jednak w gazetach ukazała się tylko krótka notatka: „Dziewczyna ranna na spotkaniu ze Stillsonem”, o której wszyscy szybko zapomnieli.

Stillson składał też zeznania podatkowe, zdaniem Johnny'ego, zbyt dobre, by były prawdziwe. W 1975 roku zapłacił jedenaście tysięcy podatku federalnego od dochodu w wysokości trzydziestu sześciu tysięcy dolarów. Oczywiście bez podatku stanowego, bowiem nie płaciło się go w New Hampshire. Twierdził, że wszystkie jego dochody pochodzą z firmy ubezpieczeniowej i handlu nieruchomościami oraz skromnego wynagrodzenia burmistrza. Ani słowa o lukratywnym centrum handlowym w Capital City. Nie było żadnego wyjaśnienia na temat domu, w którym mieszkał; domu ocenionego na osiemdziesiąt sześć tysięcy dolarów, którego był właścicielem i który w całości spłacił. W czasach, kiedy prezydenta Stanów Zjednoczonych gnębiono o sumy, które w ostatecznym rozrachunku okazały się śmieszne, dziwaczna deklaracja podatkowa Stillsona nikogo najwyraźniej nie zdumiała.

I była też sprawa tego, jak się spisywał jako burmistrz. Wywiązywał się z obowiązków znacznie lepiej, niż mogłoby to wynikać z jego kampanii wyborczej. Był sprytny, kuty na cztery nogi i cechowała go prymitywna, lecz trafna znajomość psychologii ludzi, korporacji i polityków. Zakończył kadencję w 1975 roku, mając nadwyżkę w budżecie, co zdarzyło się po raz pierwszy od dziesięciu lat i niezwykle ucieszyło podatników. Ze zrozumiałą dumą mówił o swej reformie parkingów i o tym, co nazywał Programem Pracy dla Hippisów. Ridgeway było także jednym z pierwszych miast w kraju, które zorganizowało komitet obchodów rocznicy dwustulecia Stanów Zjednoczonych, a ponadto czasach recesji liczba bezrobotnych wynosiła tam pozazdroszczenia godne 3,2 procenta. Wszystko to prezentowało się bardzo, bardzo ładnie, jednak...

Johnny'ego przeraziły pewne rzeczy, które zdarzyły się tam, gdy Stillson był burmistrzem.

Fundusze na bibliotekę obcięto z jedenastu tysięcy pięciuset dolarów do ośmiu tysięcy dolarów, a potem, w ostatnim roku urzędowania Stillsona, do sześciu tysięcy pięciuset dolarów. W tym samym czasie fundusze przeznaczone dla policji miejskiej wzrosły o czterdzieści procent. W garażach znalazły się trzy nowe radiowozy, zakupiono sprzęt do tłumienia zamieszek. Zaangażowano nowych funkcjonariuszy i zaaprobowano, w odpowiedzi na naciski Stillsona, wprowadzenie zasady zwrotu policjantom pięćdziesięciu procent kosztów zakupu broni. W rezultacie kilkunastu gliniarzy w tym sennym, nowoangielskim miasteczku kupiło sobie Magnum 357 - broń unieśmiertelnioną przez Brudnego Harry'ego Callahana. W czasach Stillsona zamknięto także młodzieżowy ośrodek kultury i od dziesiątej wieczorem wprowadzono w zasadzie dobrowolną, ale kontrolowaną przez władze godzinę policyjną dla osób poniżej szesnastego roku życia. Świadczenia społeczne spadły o trzydzieści pięć procent.

Tak, Stillson zrobił sporo, by poruszyć Johnny'ego.

Despotyczny ojciec i pozwalająca na wszystko matka. Spotkania z wyborcami przypominające bardziej koncerty rockowe. Zdolność kierowania tłumem i ochroniarze...

Już od czasów Sinclaira Lewisa ludzie wołali: „biada wam, biada, strzeżcie się faszystowskich rządów w Ameryce”, a faszystowskie rządy w Ameryce jakoś nie następowały. No, tam, w Luizjanie, mieli wprawdzie Hueya Longa, ale Huey Long został... został zamordowany

Johnny zamknął oczy i widział, jak Ngo prostuje palec. Bam, bam, bam. O tygrysie, w gęstwinie nocy gorejący, jakiej mocy przerażona dłoń lub oczy...

Lecz nie sieje się smoczych zębów. Nie, jeśli nie chcesz polecieć tam, na dół, wraz z Frankiem Doddem z jego plastikowym płaszczem z kapturem. Wraz z Oswaldami, Sirhanami i Bremmerami. Szaleńcy wszystkich krajów, łączcie się. Pilnuj, żeby twe paranoiczne notatki były uaktualniane, przeglądaj je nocą, a kiedy poczujesz, że jesteś gotów, kup sobie karabin z katalogu. Panie Smith, to Squeaky Fromme. Miło cię poznać, Johnny, wszystko, co napisałeś w tych notatnikach, ma sens i jest dla mnie zrozumiałe. Chcesz poznać mego duchowego ojca? Johnny, to Charlie. Charlie, Johnny. Kiedy rozprawisz się ze Stillsonem, zbierzemy się i załatwimy resztę tych świń, żeby ocalić sekwoje.

Johnny czuł zawrót głowy. Oczywiście, zbliżała się nieunikniona migrena. Zawsze kończyło się to migreną. Greg Stillson zawsze powodował migreny. Czas spać i, Boże, błagam, żadnych snów.

Ale: jedno pytanie?

Zapisał je w jednym ze swych notatników i zwykle do niego wracał. Zapisał je wielkimi, równymi literami i trzykrotnie obrysował, jakby tym sposobem chciał podkreślić jego wagę. To pytanie brzmiało: *Gdybyś mógł wskoczyć w maszynę czasu i przenieść się w 1932 rok, czy zabiłbyś Hitlera?*

Johnny spojrzął na zegarek. Za piętnaście pierwsza. Był już trzeci listopada i wybory w dwusetną rocznicę Ameryki przeszły do historii. Ohio nadal nie mogło się zdecydować, ale Car-ter prowadził. Koniec walki, skarbie. Zabawa skończona, wybory wygrane i przegrane. Jerry Ford może dać się wypchać, przynajmniej do 1980 roku.

Johnny podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Wielki dom był ciemny, ale w mieszkaniu Ngo, nad garażem, paliło się światło. Ngo, który wkrótce zostanie obywatelem amerykańskim, obserwował wielki amerykański rytuał, odgrywany regularnie co cztery lata: Stare Dupki Wychodzą Tędy, Nowe Dupki Wchodzą Tamtędy. Być może, mimo wszystko, Gordon Strachan wcale nie udzielił komisji Watergate takiej złej odpowiedzi.

Johnny położył się do łóżka. Po dłuższym czasie zasnął.

I śnił o roześmianym tygrysie.

ROZDZIAŁ 22

1

Herbert Smith wziął Charlene McKenzie za swą drugą żonę dnia drugiego stycznia 1972 roku, po południu, zgodnie z planem. Ceremonia odbyła się w kościele kongregacjonalistów w Southwest Bend. Ojciec panny młodej, osiemdziesięcioletni, niemal całkiem ślepy dżentelmen, ofiarował ją mężowi. Johnny - świadek ojca - wyjął obrączki dokładnie w nakazanym momencie. Uroczna to była ceremonia.

W ślubie uczestniczyła także Sara Hazlett z mężem i synem, który powoli przestawał już być dzieckiem. Sara była w ciąży i cała aż promieniała; obraz szczęścia i spełnionych marzeń. Patrząc na nią, Johnny ze zdumieniem poczuł gwałtowny przyptyk zazdrości jak atak żołądka. Uczucie minęło po kilku chwilach i po ślubie podszedł do nich na krótką rozmowę.

Po raz pierwszy spotkał męża Sary. Był to wysoki, przystojny mężczyzna z cienkim jak kreska wąsikiem i przedwcześnie siwiejącymi włosami. Jego kampania do senatu stanowego stanu Maine okazała się skuteczna i Walt rozprawił o tym, czym w rzeczywistości są wybory narodowe i jak trudno pracuje się z niezależnym gubernatorem, podczas gdy Denny ciągnął go za nogawkę spodni i domagał się picia, tato, więcej picia, wiiięcej piiiicia!

Sara mówiła niewiele, lecz Johnny czuł, jak wpatruje się w niego swymi błyszczącymi oczami - wrażenie nieco niepokojące i smutne, lecz w jakiś sposób przyjemne.

Na przyjęciu nie brakło alkoholu. Johnny wypił o dwie szklaneczki więcej niż swe zwykłe dwie szklaneczki - być może dlatego, że spotkanie Sary, tym razem z rodziną, było dla niego szokiem, a być może dlatego, że promienna twarz Charlene uświadomiła mu, że Vera rzeczywiście odeszła, odeszła na zawsze. Kiedy więc w kwadrans po wyjściu Hazlettów podszedł do ojca panny młodej, Hectora MacKenzie, w głowie przyjemnie mu szumiało.

Starszy pan siedział w rogu, przy nędznych resztkach weselnego tortu. Ręce, powykęcane przez

artretyzm, złożył na główce laski. Nosił ciemne okulary, sklejone czarną taśmą izolacyjną. Obok niego stały dwie puste butelki po piwie i jedna, jeszcze w połowie pełna. Przyjrzał się dokładnie Johnny'emu.

- Chłopak Herba, co?

- Tak, proszę pana.

Uważniejsze spojrzenie. I nagle Hector MacKenzie powiedział:

- Chłopcze, nie wyglądasz najlepiej.

- Chyba za późno kładę się spać.

- Wygląda, że potrzebujesz czegoś na wzmocnienie. Czegoś, co dodałoby ci trochę ciała.

- Pan walczył w czasie pierwszej wojny światowej, prawda? - Na piersi niebieskiej, serżowej marynarki starego wisiał rząd medali, między innymi *Croix de Guerre*.

- Walczyłem. - Twarz starca rozjaśniła się. - Pod czarnym Jackiem Pershingiem. AEF, 1917 i 1918 rok. Taplaliśmy się w błocie i słocie. Gówno latało równo. Lasy Belleau, chłopcze, lasy Belleau. Teraz to tylko nazwa z podręczników historii. Ale ja tam byłem. Widziałem, jak umierali tam ludzie. Gówno latało równo, a my z okopów równo w to gówno.

- Charlene mówiła, że pana syn... jej brat...

- Buddy. Taaak. Byłby twoim wujkiem, chłopcze. Czy go kochaliśmy? Chyba tak. Na imię miał Joe, ale wszyscy prawie od urodzenia nazywali go Buddy. Matka Charlene zaczęła umierać w dniu, kiedy przyszedł telegram.

- Zginął na wojnie, prawda?

- Tak, prawda - przytaknął z namysłem stary. - St. Lo, 1944. Nie tak daleko od lasów Belleau, przynajmniej według naszych miar odległości. Wykończyli Buddy'ego kulką. Naziści.

- Piszę teraz esej - stwierdził Johnny zachwycony alkoholowym sprytem, który pozwolił mu doprowadzić w końcu rozmowę do właściwego punktu. - Mam nadzieję sprzedać go do *Atlantic* albo może *Harper*...

- Pisarz? - Czarne okulary błysnęły w oczy Johnny'ego z wyraźnym zainteresowaniem.

Nooo, próbuję. - Johnny zaczynał żałować tego, że był taki przekonywający. *Tak, jestem pisarzem. Kiedy zapada noc, zapisuję całe notatniki.* - W każdym razie, ten esej ma być o Hitlerze.

- Hitlerze? Co o Hitlerze?

- Nooo... przypuśćmy... tylko przypuśćmy, że maszyna czasu przeniosła pana w 1932 rok. Do Niemiec. I przypuśćmy, że spotkałby pan Hitlera. Zabiłby go pan czy pozwolił mu żyć?

Na wpół ślepe oczy starca pobiegły ku twarzy Johnny'ego. I nagle Johnny nie czuł się już ani pijany, ani sprytny, ani taki przekonywający. Wydawało mu się, że wszystko zależy od odpowiedzi, której udzieli mu ten człowiek.

- Czy to żart, chłopcze?

- Nie. To nie żart.

Jedna z dłoni Hectora MacKenzie oderwała się od główki laski, powędrowała w stronę kieszeni spodni i poruszała się tam przez chwilę, która sprawiała wrażenie wieku. W końcu wyłoniła się znowu, ze scyzorykiem w kościanej oprawie, wygładzonej przez lata i lśniącej jak stara kość słoniowa. Druga dłoń otworzyła ostrze scyzoryka z tą niezwykłą delikatnością, jaką powoduje artretyzm. W światłach sali recepcyjnej parafii kon-gregacjonalistów stał błysnęła z obojętnym okrucieństwem; stał ostrza noża, który w 1917 roku pojechał do Francji wraz z chłopcem, żołnierzem w armii chłopców, gotowych i chętnych powstrzymać wstrętnych hunów przed nabijaniem na bagnety dzieci i gwałceniem zakonnicek, gotowej w dodatku nauczyć zabójców tego i owego; dzieci trafiły pod ogień karabinów maszynowych, chorowały na tyfus i umierały na gripę, wdychały fosgen i gaz musztardowy, wyszły z lasów Belleau, wyglądając jak oszalałe strachy na wróble, które spjrzały wprost w twarz szatana. I okazało się, że to wszystko na nic; okazało się, że to wszystko trzeba powtarzać od nowa.

Gdzieś grała muzyka. Ludzie śmiali się. Ludzie tańczyli.

Lampa błyskowa strzeliła ciepłym światłem. Gdzieś, daleko Johnny patrzył na obnażone ostrze, nieruchomy, zahipnotyzowany grą światła na cienkiej stali.

- Widzisz to? - zapytał cicho MacKenzie.

- Tak.

- Wbiłbym go w jego czarne, kłamliwe, mordercze serce. Wbiłbym go po rękojeść... a potem bym go obrócił. - Starzec powoli obrócił ostrze w dłoń, w prawo, a później w lewo. Uśmiechnął się,

pokazując gładkie jak u niemowlęcia dziąsła i jeden krzywy, żółty ząb. - Ale najpierw umoczyłbym ostrze w trutce na szczury.

2

- Zabić Hitlera? - zapytał Roger Chatsworth, wydychając z ust białe obłoczki pary. Wybrali się na nartach w lasy rozciągające się za domem w Durham. Las był bardzo cichy. Nadszedł marzec, ale dzień był tak piękny, mroźny i spokojny, że równie dobrze mógłby to być styczeń.

- Tak, zabić.

- Interesujące pytanie - stwierdził Roger. - Niepraktyczne, ale interesujące. Nie, nie zabiłbym go. Zamiast zabijać, zapisałbym się do partii. Próbowałbym zmienić ją od środka. Chyba można byłoby wywalić go wtedy albo okiełznać, oczywiście pod warunkiem, że wiedziałoby się, co nastąpi.

Johnny pomyślał o spiłowanych kijach bilardowych, o błyszczących, zielonych oczach Sonny'ego Ellimana.

- Przede wszystkim można byłoby stracić przy tym życie! W 1933 roku ci faceci nie tylko śpiewali w piwiarniach!

- Tak, to całkowita prawda. - Roger zerknął spod oka na Johnny'ego. - A co ty byś zrobił?

- Doprawdy, nie wiem. Roger porzucił temat.

- A jak tacie i mamie udała się podróż poślubna? Johnny uśmiechnął się. Charlene i Herb pojechali na Florydę, mimo strajku pracowników hoteli i innych niedogodności.

- Charlene twierdzi, że czuła się jak w domu, kiedy sama musiała słać łóżka. Tata twierdzi, że głupio mu było opałać się na heban w marcu. Ale sądzę, że im się podobało. - Sprzedali domy?

- Tak, oba tego samego dnia. I dostali niemal tyle, ile chcieli Gdyby nie te cholerne rachunki za szpital, które ciągle wiszą mi nad głową, byłbym już całkiem wolny.

- Johnny...

- Hmm?

- Nic. Wracajmy. Mam trochę Chivas Regal, jeśli ci to odpowiada.

- Jasne, że tak - powiedział Johnny.

3

Czytali teraz *Judę nieznanego* i Johnny był zaskoczony tym, jak szybko Chuck wciągnął się w tę książkę (choć jęczał i narzekał przy pierwszych kilkudziesięciu stronach). Wyznał mu nawet, że po nocach sam czyta „do przodu”, a kiedy skończą, ma zamiar spróbować coś jeszcze Hardy'ego. Po raz pierwszy w życiu czytał dla przyjemności. Był jak chłopiec, którego w arkana seksu wprowadziła starsza kobieta - dostał niemal fioła.

Trzymał teraz książkę na kolanach, obróconą grzbietem do góry. Siedzieli przy basenie, ale nie było w nim wody, i mieli na sobie cienkie kurtki. Nad ich głowami płynęły po niebie białe chmury, bez przekonania próbując zbić się w masę, z której mógłby spaść deszcz. W powietrzu czuło się coś tajemniczego i słodkiego; wiosna kryła się gdzieś w pobliżu. Był szesnasty kwiecień.

- Czy to jedno z tych podchwytliwych pytań?

- Nie.

- No, a czy mnie złapią?

- Słucham? - Tego pytania nikt mu jeszcze nie zadał.

- Jeśli go zabiję. Czy mnie złapią? Powiesz na latarni? Zatańczę twista piętnaście centymetrów nad ziemią?

- No, nie wiem - odparł Johnny. - Tak, przypuszczam, że cię złapią.

- Nie ucieknę w mojej maszynie do wspaniałego zmienionego świata? Z powrotem w dobry, stary 1977 rok?

- Nie. Nie sądzę.

- Cóż, to nie ma znaczenia. I tak bym go zabił.

- Tak po prostu?

- Jasne. - Chuck uśmiechnął się krzywo. - Założyłbym sobie jeden z tych sztucznych zębów z trucizną, miałbym żyłkę w kołnierzu koszuli lub coś w tym rodzaju. Żeby, kiedy mnie złapią, nie

zrobili mi czegoś strasznego. Ale zabiłbym go. Gdybym go nie zabił, bałbym się, że do śmierci będą mnie straszyć duchy tych pomordowanych milionów.

- Do śmierci. - Johnny poczuł mdłości.

- Dobrze się czujesz, Johnny?

Udało mu się jakoś odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech Chucka.

- Chyba serce stanęło mi na chwilę. Pod pokrytym mleczną warstwą chmur niebem Chuck zaczął czytać *Judę*.

4

Maj.

I znów w powietrzu unosił się zapach świętej trawy - a także, zawsze najsilniejszy, zapach kapryfolium, kurzu i róż. W Nowej Anglii prawdziwa wiosna trwa tylko jeden bezcenny tydzień, a potem w radiu zaczynają grać złote przeboje Beach Boysów, wszędzie słychać brzęczenie hond, a z nieba z hukiem spada upalne lato.

Pewnego wieczora pod koniec tego bezcennego, wiosennego tygodnia Johnny siedział w domku gościnnym, patrząc w noc. Wiosenne noce były łagodne i ciemne. Chuck wyjechał na szkolną zabawę promocyjną ze swą obecną dziewczyną w typie znacznie bardziej intelektualnym niż kilka poprzednich. Ona c z y t a, zwierzył się Johnny'emu jak jeden światowy mężczyzna drugiemu.

Ngo odszedł. Pod koniec marca dostał obywatelstwo, w kwietniu złożył podanie o stanowisko pierwszego ogrodnika w kompleksie hoteli w Północnej Karolinie, trzy tygodnie temu wyjechał na rozmowę i został natychmiast przyjęty. Przed wyjazdem przyszedł pożegnać się z Johnnym.

- Myślę, że za bardzo martwisz się o tygrysy, których tu wcale nie ma - powiedział. - Tygrys ma pasy pozwalające mu ukryć się w dżungli, tak że nikt go nie widzi. A przerażony człowiek widzi tygrysy wszędzie.

- Tygrys istnieje.

- Tak - zgodził się Ngo. - Gdzieś istnieje. A ty tymczasem chudniesz.

Johnny wstał, podszedł do lodówki, nalał sobie pepsi i zabrał ją na mały taras. Siedział tam, popijał i myślał, jacy szczęśliwi są ludzie, bo absolutnie nie można podróżować w czasie. Wszedł księżyc, pomarańczowe oko ponad sosnami, i narysował krwawą ścieżkę na wodzie w basenie. Pierwsze żaby skrzeczały i pluskały. Po chwili Johnny wstał i dołał do pepsi dużą porcję Ron Rico. Znów wyszedł na zewnątrz i usiadł, popijając drinka i patrząc, jak księżyc wędruje w górę, z wolna zmieniając kolor na tajemniczy, mistyczny srebrny.

ROZDZIAŁ 23

I

Dwudziestego trzeciego czerwca 1977 roku Chuck zdał maturę. Johnny, ubrany w swój najlepszy garnitur, siedział w dusznej sali wraz z Rogerem i Shelley Chatsworthami i patrzył, jak chłopiec otrzymuje świadectwo, czterdziesty trzeci na liście. Shelley płakała.

Po szkolnych uroczystościach na trawniku przed domem Chatsworthów odbyło się przyjęcie. Dzień był duszny, upalny. Na horyzoncie, po zachodniej stronie, wisiały burzowe chmury o fioletowych brzuchach; przesuwały się powoli raz w jedną, raz w drugą stronę, ale na oko raczej się nie zbliżały. Chuck, zaczerwieniony po trzech koktajlach, podszedł do Johnny'ego wraz ze swą dziewczyną, Party Strachan, chcąc pokazać prezent, który dostał od rodziców - nowy zegarek Pulsar.

- Chciałem tego robota R2D2, ale to wszystko, co mogli zdobyć - wyznał. Johnny roześmiał się.

Rozmawiali przez dłuższą chwilę i w końcu Chuck powiedział nagle:

- Chcę ci podziękować, Johnny. Gdyby nie ty, w ogóle nie skończyłbym szkoły.

- Nie, to nieprawda. - Johnny był mocno zaniepokojony, widząc łzy w oczach chłopca. - Klasy nie ukryjesz, człowieku.

- Sama mu to powtarzam - wtrąciła dziewczyna. Za jej okularami kryła się jeszcze nie rozwinięta,

chłodna i elegancka uroda.

- Może - stwierdził Chuck. - Może i tak. Ale chyba wiem, komu dziś wręczyli dyplom. Strasznie ci dziękuję. - Objął Johnny'ego i przytulił go.

To nastąpiło nagle - ostry, jaskrawy obraz sprawiający, że Johnny wyprostował się i złapał rękami za głowę, jakby, zamiast objąć, Chuck go uderzył. Obraz pojawił mu się przed oczami jak na wywoływanej fotografii.

- Nie - powiedział Johnny. - Nie ma mowy. Obydwoje macie trzymać się od tego z daleka.

Chuck cofnął się niepewnie. Poczucił coś zimnego, czarnego, niepojętego. Nagle wcale już nie pragnął objąć Johnny'ego, w tej chwili już nigdy nie chciałby go dotknąć ponownie. Było tak, jakby właśnie odkrył, co to znaczy leżeć w trumnie i patrzeć, jak przybijają wieko.

- Johnny... - powiedział i przerwał. - Co... co...

Roger właśnie rozosił drinki i zatrzymał się, zdziwiony. Johnny patrzył na dalekie chmury za plecami Chucka. Patrzył, jakby ich nie widział; oczy miał zamglone.

Powiedział:

- Masz trzymać się od tego miejsca z daleka. Tam nie ma piorunochronów.

- Johnny... - Chuck spojrzał na ojca, przerażony. - Chyba dostał jakiegoś ataku... albo coś.

- Piorun - oznajmił Johnny donośnie. Ludzie odwracali się, by na niego spojrzeć. Johnny rozłożył ręce. - Uderzył piorun. Izolacja ścian. Drzwi... zacięte. Płonący ludzie pachną jak gorąca wieprzowina.

- O czym on mówi!? - krzyknęła dziewczyna Chucka i rozmowy ucichły. Wszyscy ludzie, trzymający w rękach talerze i szklaneczki, patrzyli teraz na Johnny'ego.

Roger podszedł do nich szybko.

- John! Johnny! Co się stało? Obudź się! - Strzelił palcami przed zamglonymi oczami Johnny'ego. Od zachodu dobiegł ich grzmot, być może to giganci trzaskali kartami. - Co się stało?

Głos Johnny'ego był czysty i donośny. Słyszeli go wszyscy spośród zgromadzonych tu pięćdziesięciu paru osób: biznesmeni i ich żony, profesorowie i ich żony, wyższa klasa Durham.

- Zatrzymaj dziś syna w domu albo spłonie na śmierć wraz z innymi. Będzie pożar, straszny pożar. Trzymaj go z dala od „Cathy's”. „Cathy's” spłonie do fundamentów od uderzenia pioruna, nim nadjedzie pierwszy wóz strażacki. Spali się izolacja. Znajdą zwęglone ciała, leżące przy wyjściach, jedno na drugim, po sześć i siedem, i nie będzie sposobu, żeby je zidentyfikować inaczej niż po plombach. To... to...

I wtedy krzyknęła Patty Strachan, przykładając dłoń do ust; plastikowa szklanka upadła na trawę, lód rozsypał się z niej jak niespotykanej wielkości diamenty. Dziewczyna chwiała się przez chwilę i zemdląła; upadła owinięta w wizytową sukienkę o pastelowych barwach. Podbiegła do niej matka, krzycząc po drodze na Johnny'ego: „Co ci się stało? Na Boga, co ci się stało!”

Chuck wpatrywał się w niego. Twarz miał białą jak papier.

Oczy Johnny'ego z wolna nabrały wyrazu. Rozejrzył się dookoła, na gapiący się na niego tłum.

- Przepraszam - szepnął.

Matka Patty klęczała, trzymając na rękach głowę córki i klepiąc ją lekko po policzkach. Dziewczyna poruszyła się, jęknęła.

- Johnny? - szepnął Chuck i nie czekając na odpowiedź, podszedł tam, gdzie leżała Patty.

Na trawniku przed domem Chatsworthów zapanowała cisza. Wszyscy bacznie obserwowali Johnny'ego. Patrzyli na niego, bowiem to znów się zdarzyło. Patrzyli na niego tak, jak te pielęgniarki. I dziennikarze. Byli wronami siedzącymi na telefonicznych kablach. W rękach trzymali drinki i talerzyki z sałatką z ziemniaków i patrzyli na niego, jakby był jakimś robakiem, dziwolągiem. Patrzyli na niego, jakby nagle zdjął spodnie i się przed nimi obnażył.

Chciał uciekać. Chciał się ukryć. Chciał zwymiotować.

- Johnny - powiedział Roger, obejmując go ramieniem. - Chodź do domu. Powinieneś usiąść na... Z dala dobiegł ich odgłos grzmotu.

- Co to jest „Cathy's”? - zapytał ochryple Johnny, opierając się naciskowi ramienia Rogera. - To nie mój dom, bo miał oznaczenia WYJŚCIE. Co to jest? Gdzie to jest?

- Nie możesz go stąd zabrać? - Matka Patty niemal wrzeszczała. - Znów ją denerwuje!

- Chodź, Johnny.

- Ale...

- Chodź!

Johnny pozwolił odprowadzić się do domku dla gości.

Chrzęst ich butów po żwirze podjazdu wydawał się bardzo głośny przy panującej ciszy. Doszli do basenu i za ich plecami rozległy się szepty.

- Gdzie jest „Cathy's”? - powtórzył Johnny.
- Jak to się dzieje, że nie wiesz? - zdziwił się Roger. - Przecież wiesz wszystko inne. Tak przestraszyłeś biedną Patty Strachan, aż zemdląca.
- Nie widzę. Jest w martwej strefie. Co to jest?
- Pomogę ci wejść po schodach.
- Nie jestem chory!
- No, więc to kwestia napięcia - stwierdził Roger. Mówił cicho, bardzo łagodnie; tak przemawia się do beznadziejnych szaleńców. Brzmienie jego głosu sprawiło, że Johnny poczuł strach. A w dodatku zaczęła boleć go głowa. Weszli po schodach do domku dla gości.

2

- Lepiej się czujesz? - zapytał Roger.
- Co to jest „Cathy's”?
- Bardzo elegancka restauracja i cichy bar w Sommerworth. Zabawy u „Cathy's” z okazji ukończenia szkoły stały się czymś w rodzaju tradycji. Jeden Bóg wie czemu. Jesteś pewien, że nie chcesz tej aspiryny?
- Nie. Nie pozwól mu tam iść, Roger. W „Cathy's” uderzy piorun. Spali się do fundamentów.
- Johnny - Roger Chatsworth mówił powoli i bardzo, bardzo łagodnie - nie możesz tego wiedzieć. Johnny wypił wodę z lodem wolno, małymi łykami. Odstawił szklankę, ręka drżała mu lekko.
- Mówiłeś, że mnie sprawdzałeś. Myślałem...
- Tak, sprawdzałem. Ale wyciągasz błędne wnioski. Wiem, że jesteś podobno jasnowidzem czy czymś takim, ale mnie nie był potrzebny jasnowidz. Chciałem nauczyciela. Jako nauczyciel spisał się doskonale. Osobiście nie wierzę w różnicę między dobrym a złym jasnowidzem; nie wierzę w żadnych jasnowidzów. Takie to proste. Nie wierzę.
- W ten sposób robisz ze mnie kłamcę.
- Ależ nie - Roger mówił dalej tym samym cichym i bardzo spokojnym głosem. - W fabryce w Sussex mam nadzorcę, który nie zapali trzech papierosów jedną zapałką, ale to wcale nie znaczy, że jest złym nadzorcą. Mam bardzo religijnych przyjaciół i chociaż sam nie chodzę do kościoła, nadal się z nimi przyjaźnię. Twoja wiara w to, że widzisz, co zdarzy się w przyszłości albo co dzieje się daleko stąd, nie zaważyła na mojej decyzji, kiedy angażowałem cię jako nauczyciela. No... to nie całkiem prawda. Nie zaważyła, gdy zdecydowałem, że nie będzie przeszkadzała w pomocy Chuckowi. I nie przeszkadzała. Ale nie wierzę w to, że „Cathy's” ma dziś spłonąć, tak jak nie wierzę, że księżyc zrobiony jest z zielonego sera.
- A więc nie jestem kłamcą, tylko szaleńcem - powiedział Johnny. W jakiś kretyński sposób było to jednak interesujące. Roger Dussault i wielu spośród tych, którzy przysyłałi mu listy, oskarżało go o oszustwo, ale Chatsworth jako pierwszy oskarżył go o kompleks Joanny d'Arc.
- Nie, nie jesteś. Jesteś młodym człowiekiem, który miał straszny wypadek i który walczył ze strasznymi przeciwnościami, by wrócić do normalnego życia, prawdopodobnie płacąc za to straszną cenę. Na ogół nie mówię o tym głośno, Johnny, ale jeśli ktokolwiek z ludzi, którzy kłębią się tam, na trawniku -włączając w to matkę Patty - będzie chciał wyciągać z twego zachowania jakieś głupie wnioski, zostanie poproszony o zamknięcie gęby w sprawach, których nie rozumie.
- „Cathy's” - powiedział nagle Johnny. - Skąd znałem tę nazwę? I skąd wiedziałem, że to nie jest prywatny dom?
- Od Chucka. Przez cały tydzień opowiadał o zabawie.
- Nie mnie.
- Roger wzruszył ramionami.
- Być może powiedział coś Shelley albo mnie, kiedy byłeś w pobliżu. Usłyszałeś to i zapisałeś w podświadomości...
- Jasne - stwierdził gorzko Johnny. - Wszystko, czego nie rozumiemy, wszystko, co nie pasuje do naszego sposobu pojmowania rzeczywistości, zapisujemy pod P jak podświadomość, prawda? Bogini XX wieku. Jak często robiłeś to, kiedy wpadłeś na coś, co nie zgadzało się z twoim pragmatycznym widzeniem świata, Roger?

Być może oczy Rogera zabłyśły w tym momencie - a może była to tylko wyobraźnia?

- Połączyłeś błyskawicę ze zbliżającą się burzą. Nie widzisz? To takie pros...
- Wysłuchaj mnie - przerwał mu Johnny. - Tłumaczę ci to najprościej, jak potrafię. Piorun uderzył w „Cathy's”. Restauracja spali się do fundamentów. **Z a t r z y m a j C h u c k a w d o m u.**

O Boże, migrena wróciła. Skoczyła na niego jak tygrys. Johnny przyłożył dłoń do czoła i potarł je. Dłoń mu drżała.

- Słuchaj, o wiele za ciężko pracujesz.
- Zatrzymaj go w domu - powtórzył Johnny.
- On sam zdecyduje. Nie mam zamiaru decydować za niego. Jest wolny, biały i ma osiemnaście lat.

Rozległo się pukanie do drzwi i jakiś głos zawołał: „Johnny!”

- Proszę - powiedział Johnny i do pokoju wszedł Chuck we własnej osobie. Sprawiał wrażenie przestraszonego.
- Jak się czujesz?
- Dobrze. Boli mnie głowa, to wszystko. Chuck... proszę, trzymaj się dziś z dala od „Cathy's”. Proszę cię o to jako przyjaciel. Niezależnie, czy podzielasz zdanie ojca. **P r o s z ę!**
- Nie ma sprawy, chłopie - powiedział wesoło Chuck, padł na kanapę i stopą podciągnął sobie niski stołeczek pod nogi. - Nie zaciągnąłbym Patty na kilometr od tego miejsca, nawet pięciometrowym łańcuchem. Strasznie ją przestraszyłeś.
- Przepraszam. - Johnny odetchnął z ulgą. - Przepraszam, ale bardzo się cieszę.
- Coś ci się stało, prawda? - Chuck spojrzał na Johnny'ego, potem na ojca i powoli obrócił wzrok z powrotem na Johnny'ego. - Poczuję to. Niezbyt miłe.
- Czasami ludzie coś czują. Rozumiem, że to raczej nieprzyjemne.
- No, nie chciałbym przeżyć tego jeszcze raz - stwierdził Chuck. - Ale słuchaj... ta restauracja wcale się nie spali, prawda?
- Nieprawda. Trzymaj się od niej z daleka.
- Ale... - Chuck spojrzał na ojca, zaniepokojony. - Najstarsze klasy zarezerwowały cały ten cholerny lokal. Szkoła namawia do tego, wiesz? To bezpieczniejsze niż dwadzieścia czy trzydzieści różnych prywatek i mnóstwo ludzi pijących w samochodach na bocznych uliczkach. Może tam być... - Chuck zamilkł na chwilę, jakby nagle się przestraszył. - Może tam być ze dwieście par - dokończył. - Tato...
- Chyba wcale w to nie wierzysz - powiedział Johnny. Roger wstał i uśmiechnął się.
- No, to jedźmy do Somersworth i pogadajmy z szefem tego interesu. To przyjęcie i tak było nudne. A jeśli wy dwaj nie zmienicie zdania po powrocie, to zaprosimy wszystkich tutaj. - Zerknął na Johnny'ego. - Ale stawiam jeden warunek. Masz być trzeźwy i robić za przyzwoitkę, przyjacielu.
- Z przyjemnością - zgodził się Johnny. - Ale dlaczego, jeśli w to nie wierzysz?
- Dla twojego świętego spokoju - powiedział Roger. - I dla Chucka. I dlatego, że jeśli nic się nie zdarzy, będę mógł się z ciebie śmiać aż do rozpuku.
- No, niezależnie od wszystkiego, dzięki. - Teraz, czując wielką ulgę, Johnny drżał bardziej niż przedtem, ale ból głowy przeszedł i czuł w niej jedynie tępy łomot.
- Tylko postawmy sprawę jasno - stwierdził Roger. - Mamy taką szansę, jak na śnieg w lipcu, że właściciel zmieni zdanie wyłącznie w oparciu o twoje słowo, Johnny. Najprawdopodobniej ten wieczór jest dla niego co roku najlepszym źródłem dochodów.
- No, moglibyśmy coś wymyślić - wtrącił Chuck.
- Co na przykład?
- Możemy mu coś opowiedzieć... zamydlić oczy...
- Masz na myśli kłamstwo? Nie, tego nie zrobimy. O to mnie nie prosz, Chuck. Chłopak skinął głową.
- Zgoda.
- No, to ruszajmy. - Głos Rogera był pełen energii. - Jest za piętnaście piąta. Pojedziemy do Somersworth mercedesem.

3

Kiedy za dwadzieścia szóstą weszli do „Cathy's”, Bruce Carrick, właściciel i zarządca lokalu, czyścił właśnie bar. Widząc nalepiony na drzwiach prowadzących do sali plakat: TYLKO DZIŚ WIECZOREM SALA ZAREZERWOWANA NA PRYWATNE PRZYJĘCIE OD 19.00 DO ZAMKNIĘCIA. DO ZOBACZENIA JUTRO, Johnny poczuł pustkę w sercu.

Tak naprawdę, Carrick nie pracował aż tak ciężko. Obsługiwał kilku robotników, którzy wpadli na piwo i oglądali pierwsze wydanie wiadomości, i trzy pary pijące koktajle. Wysłuchał opowieści Johnny'ego z rosnącym niedowierzaniem na twarzy, a potem zapytał:

- Nazywasz się pan Smith, racja?

- Tak, racja.

- Panie Smith, niech pan podejdzie ze mną do okna. Podprowadził Johnny'ego do okna holu przy szatni.

- Niech pan wyjrzy i powie mi, co pan widzi.

Johnny wyjrzał, wiedząc z góry, co zobaczy. Biegąca na zachód droga nr 9 wysychała właśnie po popołudniowym deszczu. Niebo nad nią było całkowicie czyste. Burzowe chmury rozeszły się.

- Niewiele. Przynajmniej nie teraz. Ale...

- Żadnych „ale” - przerwał Bruce Carrick. - Wie pan, co myślę? Mam mówić szczerze? Myślę, że pan sfiksował. Dlaczego wybrał pan mnie na obiekt tej fiksacji, nie wiem i mam to w nosie. Ale jeśli masz sekundkę, synu, to przedstawię ci gołe fakty. Uczniowie ostatnich klas zapłacili mi za zabawę sześćset pięćdziesiąt dolców. Wynajęli całkiem dobry zespół rockowy, Oak, aż z Maine. Tu, w zamrażarce, leży jedzenie i czeka, żeby je wsadzić do kuchenki mikrofalowej. Sałatki są już gotowe. Za drinki płaci się osobno, a większość z tych dzieciaków ma więcej niż osiemnaście lat i może pić, ile chce... i dzisiaj będzie pić, nikt nie ma im tego za złe, w końcu raz w życiu robi się maturę. Na barze zarobię dziś ze dwa tysiące dolców, bez problemu. Zamówiłem dwóch dodatkowych barmanów, sześć kelnerek i hostessę. Gdybym to teraz odwołał, straciłbym wszystko i jeszcze musiałbym zwrócić te sześćset pięćdziesiąt, które już wydałem na jedzenie. W dodatku nikt ze stałych gości nie przyjdzie na kolację; plakat wisi tu już od tygodnia. Zrozumiał mnie pan?

- Są tu piorunochrony?

Carrick podniósł ręce w dramatycznym geście.

- Przedstawiam temu facetowi gołe fakty, a on chce dyskutować o piorunochronach! Tak, mam piorunochrony! Nim się rozbudowałem, będzie z pięć lat temu, przyjechał tu jeden gość. Tłumaczył, aż się zapluł, jak to oszczędzę na ubezpieczeniu. Więc kupiłem te cholerne piorunochrony! Szczęśliwy pan! Jezu Chryste! - Spojrzał na Rogera i Chucka. - Wy dwaj, co tu robicie? Czemu wypuściliście tego dupka na wolność? Wyoście się, no już. Ja tu prowadzę interes.

- Johnny... - zaczął Chuck.

- Nie ma sprawy - przerwał mu Roger. - Idziemy. Dziękuję za to, że poświęcił nam pan swój czas, panie Carrick, a także za pana uprzejmość i cierpliwość.

- Nie ma za co - odpowiedział Carrick. - Banda wariatów. - Poszedł z powrotem do baru.

Wyszli na parking. Chuck z powątpiewaniem przyjrzał się czystemu niebu. Johnny natychmiast ruszył do samochodu, wpatrując się w ziemię; miał poczucie, że zrobił z siebie idiotę i poniósł klęskę. Roger stał z rękami w tylnych kieszeniach spodni, przyglądając się długiemu, niskiemu dachowi budynku.

- Na co patrzysz, tato?

- Tam na górze nie ma żadnych piorunochronów - powiedział z namysłem Roger Chatsworth.

4

Siedzieli we trójkę w dużym pokoju, Chuck koło telefonu, patrząc z powątpiewaniem na ojca.

- Większość z nich nie zechce zmienić planów tak późno - powiedział z powątpiewaniem.

- Przecież chcą się zabawić - stwierdził Roger. - Równie dobrze mogą przyjechać tutaj.

Chuck wzruszył ramionami i zaczął telefonować.

Skończyło się na tym, że mniej więcej połowa z tych, którzy mieli iść do „Cathy's”, postanowiła przyjść do nich. Johnny nigdy nie dowiedział się, dlaczego przyszli. Niektórzy z nich zjawili się

pewnie po prostu dlatego, że spodziewali się lepszej zabawy i gospodarze stawiali alkohol. Ale plotki rozchodzą się szybko, a rodzice wielu dzieci byli po południu u Chatsworthów - i w rezultacie przez większą część wieczoru Johnny miał uczucie, że jest eksponatem wystawionym na widok publiczny w szklanym akwarium. Roger siedział na stołku w rogu, popijając martini na wódce. Jego twarz przypominała nieruchomą maskę. Mniej więcej za piętnaście ósma przeszedł przez pokój będący kombinacją sali balowej z barem i zajmujący dwie trzecie powierzchni piwnicy pochylił się blisko Johnny'ego i wrzasnął, przekrzykując Eltona Johna:

- Chcesz pójść na górę i zagrać w karty? Johnny skinął głową z wdzięcznością. Shelley siedziała w kuchni, pisząc listy. Kiedy wchodzili, spojrzęła na nich i uśmiechnęła się.

- Myślałam, że wy dwaj, masochiści, zamierzacie spędzić tam całą noc. Przecież to wcale nie jest konieczne, wiecie?

- Przepraszam za wszystko - powiedział Johnny. - Z pewnością musi się wam wydawać, że oszalałem.

- Bo to wygląda na szaleństwo - stwierdziła Shelley. - Mówię całkiem szczerze. Ale przyjemnie jest mieć ich tutaj. Mnie to nie przeszkadza.

Rozległ się huk grzmotu. Johnny rozejrzał się dookoła. Shelley dostrzegła to i uśmiechnęła się lekko. Roger wyszedł do dużego pokoju i szukał kart w kredensie.

- Ominęła nas, wiesz - powiedziała Shelley. - Kilka grzmotów i odrobina deszczu.

- Tak.

Podpisała list niedbale, złożyła go, zakleiła kopertę i nalepiła znaczek.

- Naprawdę coś poczułeś, prawda, Johnny?

- Tak.

- Według mnie to chwilowa utrata przytomności. Pewnie za mało jesz. Jesteś wprost chudy. To mogła być halucynacja, prawda?

- Nie. Nie sądzę.

Za oknem znów zagrzmiało. Z daleka.

- Po prostu cieszę się, że jest w domu - mówiła dalej Shelley. - Nie wierzę w astrologię, czytanie z dłoni, jasnowidzenie i takie tam, ale... po prostu cieszę się, że jest w domu. To nasze jedyne dziecko... pewnie myślisz, że teraz to już całkiem duże dziecko, lecz tak dobrze pamiętam, kiedy jeździł w dziecinnej kolejce górskiej w wesołym miasteczku, ubrany w krótkie majteczki. Może aż za dobrze. Wspaniale jest dzielić z nim... ostatni rytuał dzieciństwa.

- To miło, że tak sądzisz. - Johnny zorientował się, że ma łzy w oczach, i to go przestraszyło. Przez ostatnie sześć - osiem miesięcy zdawał się tracić kontrolę nad emocjami.

- Byłeś dobry dla Chucka. Nie mówię tylko o tym, jak uczyłeś go czytać. Chodzi mi o wiele innych rzeczy.

- Lubię Chucka.

- Tak - powiedziała cicho. - Wiem.

Roger wrócił z kartami i małym radiem tranzystorowym nastawionym na WMTQ, stację nadającą muzykę klasyczną ze szczytu góry Waszyngtona.

- Mała odtrutka na Eltona Johna, Aerosmith, Foghat i resztę - rzekł. - Zagramy po dolarze, Johnny?

- Zgoda.

Roger usiadł i zatarł ręce.

- Wrócisz do domu biedakiem - stwierdził.

5

Grali w karty i tak minął im wieczór. Pomiędzy rozgrywkami schodzili na dół sprawdzić, czy nikt nie zdecydował się potańczyć na stole bilardowym albo zaszyć się w jakiś kąt w celach prywatnych.

- Żadnej dziewczynie nie grozi tu ciąża, jeśli tylko zdołam temu zapobiec - orzekł Roger.

Shelley poszła do dużego pokoju poczytać. Co godzinę muzyka w radiu cichła, zaczynały się wiadomości i wtedy Johnny grał nieuważnie. Ale ani o ósmej, ani o dziewiątej, ani o dziesiątej nie było wzmianki o „Cathy's” w Somersworth. Po wiadomościach o dziewiątej Roger spytał:

- Jesteś gotów zmodyfikować trochę swą przepowiednię, Johnny?

- Nie.
 Prognoza pogody mówiła o słabych burzach cichnących po północy.
 Równy łomot gitary basowej - znak firmowy K. C. and the Sunshine Band przebił się ku nim przez podłogę.

- Zabawa się rozkręca - zauważył Johnny.
 - Do diabła z tym - uśmiechnął się Roger. - Większość się upiła. Spider Parmeleau leży nieprzytomny w kącie, a ktoś używa go jako podkładkę pod butelki piwa. Och, jutro będą mieli wielkie głowy, możesz mi wierzyć. Pamiętam swój bal maturalny...

- Właśnie otrzymaliśmy pilną wiadomość... - rozległ się głos w radiu.
 Johnny, tasujący akurat karty, usłyszał zapowiedź i rozrzucił je po podłodze.

- Spokojnie, pewnie wiedzą coś o tym porwaniu na Florydzie.
 - Nie sądzę. Spiker mówił:
 - Według obecnie posiadanych przez nas informacji wydaje się, że najgorszy pożar w historii New Hampshire pochłonął ponad siedemdziesiąt pięć ofiar w mieście Somersworth, położonym na granicy stanu. Pożar wybuchł w restauracji i barze „Cathy's”, gdzie odbywała się szkolna zabawa. Szef straży pożarnej Somersworth, Milton Hovey, powiedział dziennikarzom, że nie ma podstaw do podejrzewania podpalenia; pożar na pewno był wynikiem uderzenia pioruna.

Z twarzy Rogera Chatswortha spłynęła cała krew. Siedział wyprostowany na kuchennym krześle ze wzrokiem skierowanym gdzieś ponad głowę Johnny'ego, ręce luźno położył na stole. Z piwnicy dobiegały strzępki rozmów i śmiechy przebijające przez piosenkę Bruce'a Springsteena.

Do pokoju weszła Shelley. Spojrzała na Johnny'ego, na męża i z powrotem na Johnny'ego.

- Co się stało? Co się stało!?
 - Zamknij się - powiedział Roger.
 - ...nadal płonie i Hovey twierdzi, że liczbę ofiar będzie można określić dopiero jutro wczesnym rankiem. Wiadomo, że ponad trzydzieści osób, głównie absolwentów ostatniej klasy liceum w Durham, zostało odwiezionych do okolicznych szpitali z poważnymi oparzeniami. Czterdzieści osób, również absolwentów, wydostało się przez małe okno w łazience za barem, lecz większość ugrzęzła w olbrzymim korku przed...

- Czy to „Cathy's”? - krzyknęła Shelley. - Czy to „Cathy's”!
 - Tak - powiedział Roger niesamowicie spokojnie. - Tak. „Cathy's”.

Na dole nagle zapadła cisza, a potem na schodach załomotały kroki. Drzwi kuchni otworzyły się z rozmachem i do środka wpadł Chuck, szukający matki.

- Mamo, co się stało? Jakiś wypadek?
 - Zawdzięczamy ci życie naszego syna - powiedział Roger tym samym, niesamowicie spokojnym głosem. Johnny nigdy nie widział tak bladej twarzy. Roger Chatsworth wyglądał jak obdarzona upiornym życiem woskowa kukła.

- Spaliło się? - W głosie Chucka brzmiało zdumienie. Za jego plecami, na schodach, gromadził się tłum. Słysząc było pełne niepokoju szepty. - Mówisz, że się s p a l i ł o?
 Nikt mu nie odpowiedział. I nagle, zaskakująco, gdzieś z tyłu Patty Strachan zaczęła krzyczeć cienkim, histerycznym głosem.

- To wina tego faceta! On to sprawił. Podpałił „Cathy's” siłą woli jak w tej książce, w *Carrie*. Ty morderco! Morderco! Ty... Roger odwrócił się w jej stronę.

- Zamknij się! - wrzasnął.
 Patty zaczęła histerycznie szlochać.

- Spaliło się? - powtórzył Chuck. Wydawało się, że pyta teraz sam siebie, jakby zastanawiał się, czy użył właściwego słowa.

- Roger - szepnęła Shelley. - Rog? Skarbie? Na schodach i w pokoju zabaw na dole szmer głosów jak szelest liści brzmiał coraz głośniejszy. Muzyka ucichła.

- Czy był tam Mike? Shannon pojechał, prawda? Jesteś pewien? Tak, miałem już wyjeżdżać, kiedy zadzwonił Chuck. Moja matka była tu, kiedy ten gość się podniecił, powiedziała, że czuła się, jakby ktoś przeszedł po jej grobie, i poprosiła, żebym przyjechał tutaj. Czy był tam Casey? A Ray? Maureen Ontello? O mój Boże, co z nią? Czy...

Roger wstał i odwrócił się.

- Może powinniśmy znaleźć tu najtrzeźwiejszych gości, zdolnych poprowadzić samochód, żeby zawieźli nas do szpitala. Będą potrzebować dawców krwi.

Johnny siedział, nieruchomy jak głaz. Stwierdził, że zastanawia się, czy kiedyś będzie jeszcze w stanie się poruszyć. Na dworze zagrzmiało. I - na fali grzmotu jak echo - Johnny usłyszał głos swej umierającej matki.

Spełnij swój obowiązek, Johnny.

Rozdział 24

12 sierpnia 1977

Drogi Johnny.

Odnalazłem Cię bez większych kłopotów - czasami myślę, że jeśli masz wystarczającą ilość gotówki, możesz w tym kraju znaleźć każdego, a gotówki mi nie brakuje. Być może będziesz oburzony, że wspominam o tym bez ogródek, ale Chuck, Shelley i ja zawdzięczamy Ci zbyt wiele, by owijać coś w bawełnę. Za pieniądze można kupić dużo rzeczy, ale nie uderzenie pioruna. W męskiej toalecie, do której wchodzi się z restauracji, tej z zabitym oknem, znaleźli ciała jeszcze dwunastu chłopców. Ogień tam nie dotarł, tylko dym, i tych dwunastu udusiło się. Nie potrafię zapomnieć tego obrazu, bo Chuck mógł być jednym z tych chłopców. Więc „wytropiłem Cię”, jak to ująłeś w swym liście. I z tego właśnie powodu nie mogę zostawić Cię w spokoju, jak o to prosisz. A przynajmniej nie mogę do chwili, kiedy ten czek nie wróci skasowany, z Twoim podpisem potwierdzającym przyjęcie pieniędzy.

Z pewnością zauważyłeś, że opiewa on na sumę znacznie mniejszą niż czek, który zwróciłeś mi przed mniej więcej miesiącem. Skontaktowałem się z księgowością CMWM i częścią kwoty zapłaciłem Twe niebywałe rachunki za szpital. W ten sposób jesteś czysty i wolny, Johnny. Tylko tyle mogłem zrobić i zrobiłem - pragnę dodać, że z wielką przyjemnością.

Protestujesz, że nie możesz przyjąć pieniędzy. Powiedziałbym, że możesz i przyjmiesz. Przyjmiesz, Johnny. Odszukałem Cię w Fort Lauderdale i jeśli je opuścisz, wytropię Cię w kolejnym miejscu, nawet gdybyś zdecydował się na Nepal.

Nazwij mnie wszą, która się od Ciebie nie odczepi, chociaż tego pragniesz. Nie chcę Cię śledzić, Johnny. Pamiętam, jak powiedziałeś mi tego dnia, że mogę stracić swego syna. Omal tak się nie stało. A co z innymi? Osiemdziesiąt jeden osób spłonęło, kolejne trzydzieści jest straszliwie poparzone. Myślę o Chucku mówiącym, że możemy coś zrobić, opowiedzieć jakąś historię czy coś, i o tym, co mu odpowiedziałem, ja, człowiek prawy i straszliwie głupi. Bo przecież mogłem coś zrobić. Ta myśl mnie prześladowa. Mogłem zapłacić temu rzeźnikowi Carrickowi trzy tysiące dolarów za to, żeby zamknął interes na ten wieczór. Wyszłoby po jakieś trzydzieści siedem dolarów za życie. Więc uwierz mi, kiedy piszę, że nie chcę Cię śledzić; jestem zbyt zajęty samym sobą, żeby mieć jeszcze czas na Ciebie, Johnny. Sądzę, że zajmie mi to kilka najbliższych lat. Płacę za niewiarę w to wszystko, czego nie mogę dotknąć jednym z pięciu zmysłów, I proszę, nie wierz, że opłacenie Twojego rachunku i wysłanie czeku to balsam na moje sumienie. Pieniędźmi nie da się powstrzymać uderzenia pioruna i nie da się także skończyć z koszmarami. Te pieniądze są za Chucka, chociaż on nic o nich nie wie.

Przyjmij czek, a zostawię Cię w spokoju. To umowa. Wyślij go do UNICEF-u, jeśli chcesz, albo daj na dom dla osieroconych szczeniactków, albo przegraj wszystko na wyścigach. To mnie nie obchodzi. Po prostu go przyjmij.

Przykro mi, że musiałeś wyjechać w takim pośpiechu, ale chyba Cię rozumiem. Mamy wszyscy nadzieję, że wkrótce Cię zobaczymy. Chuck wyjeżdża do szkoły w Stovington czwartego września.

Johnny, przyjmij czek. Proszę.

Z wyrazami szacunku, Roger Chatsworth

1 września 1977

Drogi Johnny.

Czy nie potrafisz uwierzyć, że ja tego tak nie zostawię? Proszę. Przyjmij czek.

Pozdrowienia

Roger

10 września 1977

Drogi Johnny.

Charlie i ja byliśmy bardzo szczęśliwi, gdy dowiedzieliśmy się, gdzie jesteś, i z wielką ulgą powitaliśmy Twój list, tak naturalny i szczery. Ale była w nim jedna rzecz, która bardzo mnie zaniepokoiła, synu. Zadzwoniłem do Sama Weizaka i przeczytałem mu ten fragment Twojego listu, w którym pisałeś o coraz częstszych bólach głowy. Radzi Ci, żebyś zwrócił się do lekarza bez zwłoki. Boi się, że wzdłuż starych blizn mógł powstać skrzep. Tym się właśnie niepokoję i Sam też. Nie wyzdrowiałeś całkowicie od czasu Twego przebudzenia się ze śpiączki, Johnny, a kiedy widziałem Cię ostatnio na początku czerwca, wydawałeś mi się bardzo zmęczony. Sam nic nie mówił, ale wiem, że ogromnie chciałby, abyś złapał samolot z Phoenix, wrócił do domu i pozwolił mu się obstukać. Teraz z pewnością nie możesz się skarżyć na brak pieniędzy!

Roger Chatsworth dzwonił tu dwa razy i powiedziałem mu, co mogłem. Myślę, że mówił prawdę, kiedy twierdził, że nie płaci Ci, żeby uspokoić swe sumienie albo za uratowanie mu syna. Twoja matka powiedziała, że odprawia pokutę w jedyny sposób, jaki zna. W każdym razie przyjąłeś te pieniądze i mam nadzieję, że nie dlatego, żeby „dal Ci już spokój”. Myślę, że jesteś za twardy, żeby zrobić coś takiego tylko z tego powodu.

Teraz... ciężko mi o tym pisać, ale zrobię, co będę mógł. Wróć do domu, Johnny. Prasa przestała się Tobą interesować - już słyszę, jak mówisz: „Gówno! Teraz już nigdy nie przestanie, nie po czymś takim”, i chyba masz trochę rację, ale równocześnie i mylisz się. Pan Chatsworth powiedział przez telefon: „Jeśli będzie pan z nim rozmawiał, niech pan spróbuje mu wytłumaczyć, że żaden jasnovidz z wyjątkiem Nostradamusa nigdy nie zdobył prawdziwej sławy”. Bardzo się o Ciebie martwię, synu. Niepokoję się o to, że obwiniasz się o śmierć tych młodych ludzi zamiast cieszyć się, że część z nich uratowałeś - tych, którzy ten wieczór spędzili w domu Chatsworthów. Martwię się o Ciebie i tęsknię za Tobą. Czekam cię „jak kania dżdżu”, jak mawiała Twoja babcia. Więc proszę, wróć do domu, jak tylko będziesz mógł.

Tata

P.S. Przesyłam Ci wycinki dotyczące pożaru i Twojego udziału w tej sprawie. Zwróć uwagę, że miałeś rację mówiąc, że "wszyscy, którzy byli na tym przyjęciu, wyjawią wszystko gazetom". Przypuszczam, że te wycinki mogą Cię tylko bardziej zdenerwować. Jeśli tak, to po prostu je wyrzuć. Ale Charlie pomyślała sobie, że możesz się im przyjrzeć i powiedzieć: „To nie jest takie złe, jak myślałem, potrafię sobie z tym poradzić”. Mam nadzieję, że tak właśnie będzie.

Tata

Drogi Johnny.

Dostałem Twój adres od taty. Jak tam na wielkiej amerykańskiej pustyni? Widziałeś jakichś czerwonoskórych (cha-cha)? No, więc jestem już w szkole w Stovington. Nie jest tu wcale tak źle. Mam szesnaście godzin zajęć. Najbardziej lubię chemię, chociaż jest trochę drętwa po zajęciach w szkole w Durham. Zawsze miałem wrażenie, że nasz nauczyciel, Nieustraszony Farnham, byłby znacznie szczęśliwszy, wymyślając straszne bronie mogące rozwalić świat. Przez pierwsze cztery tygodnie na lekcjach angielskiego czytaliśmy trzy książki J.D. Salingera: Buszującego w zbożu, Franny i Zooey i Wyżej podnieście strop, cieśle... Salinger bardzo mi się podoba. Nasz nauczyciel powiedział, że on nadal mieszka w New Hampshire, ale przestał pisać. Zamieszał mi tym w głowie. Czemu ktoś miałby z czegoś rezygnować, kiedy robi taką wspaniałą robotę? O, rany! Drużyna futbolowa tutaj jest do niczego, ale uczę się trochę piłki nożnej. Trener mówi, że piłka nożna to futbol dla inteligentnych, a futbol to futbol dla kretynów. Jeszcze nie wiem, czy ma rację, czy tylko jest zazdrosny.

Zastanawiam się, czy byłoby w porządku dać Twój adres niektórym ludziom, którzy byli u nas tego wieczoru. Chcę napisać i podziękować Ci. Jest wśród nich matka Patty Strachan, pewnie ją pamiętasz - to ta, która zrobiła z siebie idiotkę, kiedy jej „kochana córeczka” zemdlala podczas garden party. Teraz doszła do wniosku, że jesteś fajnym facetem. Przy okazji, nie chodzę już z Patty. Nie nadaję się do długotrwałych zalotów, jestem w końcu w szczególnym wieku (cha-cha!), a Patty wyjeżdża do

Vassar, jak się pewnie spodziewałeś. Poznałem tu pewną śliczną małą łasiczkę.

No, to napisz, kiedy będziesz mógł, mój dobry człowieku. Tata sprawiał takie wrażenie, jakbyś rzeczywiście był „straszliwie przynębiony”; nie rozumiem z jakiego powodu, skoro, moim zdaniem, zrobiłeś wszystko, co mogłeś, żeby sprawy skończyły się pomyślnie. Nie ma racji, prawda, Johnny? Nie jesteś aż tak straszliwie zgnębiony? Proszę, napisz do mnie, że u Ciebie w porządku, martwię się o Ciebie. Śmieszne, nie? Prawdziwy twardy facet martwi się o Ciebie, ale to prawda.

Kiedy napiszesz, wyjaśnij mi, dlaczego Holden Caulfield musi ciągle odgrywać takiego bluesa, kiedy nawet nie jest czarny.

Chuck

P.S. Śliczna mata łasiczka nazywa się Stephanie Wyman i już zdążyłem ją napuścić na Something Wicked This Way Comes. Lubi także punkrockową grupę The Ramones, powinieneś ich posłuchać, są prześmieszni.

C.

17 października 1977

Drogi Johnny

No dobrze, jest lepiej, list był w porządku. Uśmiełem się do rozpuku z opisu, jak to pracowałeś w Departamencie Robót Publicznych w Phoenix. Po czterech meczach w barwach Tygrysów ze Stovington wcale nie zazdroszczę Ci opalenizny. Trener ma chyba rację, futbol to gra dla kretynów, przynajmniej tutaj. Przegrywamy trzy do jednego i w meczu, który wygraliśmy, miałem trzy przyłożenia, hyperwentylowałem i jak głupi straciłem przytomność. Wystraszyłem Stejf, aż padła (cha-cha).

Czekałem z tym listem, aż będę mógł odpowiedzieć Ci, co „miejscowi” sądzą o Gregu Stillsonie teraz, kiedy już „wziął się za robotę”. Ten weekend spędziłem w domu, toteż napiszę Ci, czego się dowiedziałem. Najpierw zapytałem tatę, a on powiedział: „to Johnny nadal interesuje się tym facetem?” Ja mu na to, że „zdradza wyjątkowy brak gustu zasięgając twojej opinii”. Na to tata poszedł do mamy i powiedział: „Widzisz, szkoła przygotowawcza już zrobiła z niego spryciarza. Tego się obawiałem”.

No, żeby za bardzo się nie rozwodzić, większość ludzi jest całkiem zaskoczona tym, że Stillson radzi sobie tak dobrze. Tata ujął to tak: „gdyby ludzie z jego okręgu wyborczego musieli wystawiać mu świadectwo po dziesięciu miesiącach, Stillson dostałby głównie czwórki - i piątki za pracę nad ustawą o energii Cartera i swą własną ustawą o cenach maksymalnych na olej opałowy. A także piątkę za to, jak się stara”. Tata kazał mi powiedzieć Ci, że może mylił się, nazywając go „wiejskim głupkiem”.

Kiedy byłem w domu, rozmawiałem także z innymi ludźmi. Przeważnie podobało im się, że Stillson nie nosi garniturów. Pani Jarvis, która prowadzi „Zjedz szybciotko” (przepraszam Cię, ale to naprawdę tak się nazywa), twierdzi, że Stillson nie boi się „wielkich bogaczy”. Henry Burkę, właściciel „The Buc-ket” - ekskluzywnej gospody w śródmieściu - uważa, że zrobił „cholernie dobrą robotę”. Ludzie porównują to, co zrobił Stillson, z tym, czego nie zrobił Carter; większość jest strasznie rozczarowana i rwie sobie włosy z głowy, że na niego głosowała. Pytałem, czy nie boją się tych motocyklistów, którzy ciągle kręcą się w pobliżu, i tego, że Sonny Elliman służy Stillsonowi za doradcę. Nikt nie wydawał się szczególnie zaniepokojony. Facet, który prowadzi „Record Rock”, ujął to tak: „jeśli Tom Hayden mógł zostać przyzwoitym człowiekiem, a Eldridge Cleave nawrócić się na Chrystusa, to czemu motocykliści nie mogą się poprawić?” Przebacz i zapomnij.

No więc tak sprawy się mają. Napisałbym więcej, ale zbliża się trening. W ten weekend będą nas krzywdzić Zbiki z Barre. Mam nadzieję, że przetrwam sezon. Trzymaj się, mój dobry człowieku.

Chuck

Z *New York Timesa*, 4 marca 1978 roku.

AGENT FBI ZAMORDOWANY W OKLAHOMIE..

Od naszego korespondenta.

Edgar Lancte, lat trzydzieści siedem, weteran FBI z dziesięcioletnim stażem, został prawdopodobnie zamordowany wczoraj w nocy na parkingu publicznym w Oklahoma City. Policja twierdzi, że podłączona do zapłonu jego samochodu wiązka dynamitu wybuchła, kiedy Lancte przekręcił kluczyk w stacyjce. Morderstwo to, wskazujące na porachunki gangsterskie, zdradza podobieństwo do sposobu, w jaki dwa lata temu zginął dziennikarz z Arizony, Don Bolles, ale szef FBI William Webster nie chce w tej chwili wyrażać swej opinii na temat możliwych związków. Pan Webster wstrzymał się także z odpowiedzią na pytanie, czy Lancte prowadził dochodzenie w sprawie nielegalnych transakcji w obrocie nieruchomościami i ich związku z miejscowymi politykami.

Wydaje się, że sprawę, którą badał ostatnio zamordowany, otacza tajemnica. Nasze źródło w Departamencie Sprawiedliwości twierdzi, że nie chodziło o obrót nieruchomościami, lecz o sprawy bezpieczeństwa narodowego.

Pan Lancte podjął pracę w Federalnym Biurze Śledczym w 1968 roku...

ROZDZIAŁ 25

I

Liczba notatników Johnny'ego wzrosła z czterech do pięciu, a pod koniec 1978 roku do siedmiu. Na jesieni tego roku, po śmierci pierwszego papieża, a przed zgonem drugiego, który zmarł zaraz potem, Greg Stillson trafił do ogólnokrajowych środków przekazu.

Bez żadnych kłopotów wybrano go po raz drugi do Izby Reprezentantów i w kraju skłaniającym się ku konserwyzmowi założył partię Ameryka Dziś. Co najdziwniejsze, kilku członków Kongresu wystąpiło ze swych partii i „dobiło do niego”, jak lubił to określać Greg. Większość łączyły podobne poglądy, które Johnny definiował jako powierzchowny liberalizm w polityce wewnętrznej i skrajny konserwyzm w polityce zagranicznej. Nie było wśród nich żadnego, który głosował po stronie Cartera w układach dotyczących Kanału Panamskiego. A jeśli zerwałoby się liberalną woalkę z zasad ich polityki wewnętrznej, to i ona okazałaby się całkiem konserwatywna. Partia Ameryka Dziś zamierzała rozprawić się z szefami gangów narkotykowych, chciała, by miasta stały się samowystarczalne („Nie ma powodu, aby walczący o przeżycie hodowca bydła wspomagał swymi

podatkami szaleńcze nowojorskie projekty" - oznajmił Greg), żądała odebrania przywilejów socjalnych prostytutkom, alfonsom, włóczęgom i tym, którzy popełnili poważne przestępstwo, domagała się, by wielka reforma podatków opłacona została wielkimi cięciami w polityce socjalnej. Odgrywała starą melodię, ale w całkiem przyjemnym i nowym wykonaniu.

Przynależność partyjną zmieniło pod koniec roku wyborczego siedmiu kongresmanów i dwóch senatorów. Wybrano ponownie sześciu kongresmanów i obu senatorów. Z tych dziewięciu ośmiu było republikanami, których baza polityczna skurczyła się do rozmiarów łebka od szpilki. Zmiana partii i powtórny wybór, jak stwierdził pewien dowcipniś, były większym cudem niż ten, który nastąpił po słowach „Łazarzu, wstań i wyjdź”.

Niektórzy już głosili, że Stillson może być potęgą, z którą trzeba się będzie liczyć, i to w niedługim czasie. Nie zdołał wprawdzie wysłać wszystkich zanieczyszczeń na Jowisza i pierścienie Saturna, ale zdemaskował przynajmniej dwóch łobuzów: jednym z nich był kongresman, który ścielił sobie wygodne gniazdko, partycypując w łapówkach od lokalizacji nowych parkingów, a drugim - doradca prezydenta ze słabością do barów dla homoseksualistów. Ustawa Stillsona o cenach maksymalnych oleju opałowego ujawniła, że on umie myśleć śmiało i perspektywicznie, a jej przeprowadzenie przez komitet, aż do ostatecznego głosowania, udowodniło, że nie brak mu prostego, wiejskiego sprytu. Rok 1980 byłby dla Grega jeszcze zbyt wczesny, 1984 mógłby stanowić pokusę, której nie potrafiłby się oprzeć, ale jeśli zdoła zapanować i popracować nad sobą aż do 1988 roku, jeśli będzie rozbudowywał swą bazę, a wiatry polityki nie zmienią gwałtownie kierunku, by zniszczyć jego raczkującą partię, no, to wszystko może się zdarzyć. Republikanie rozlecieli się na skłócone cząstki; założywszy, że Mondale, Jerry Brown lub nawet Howard Baker zastąpią Cartera, to kto zastąpi ich? Nawet 1992 rok nie był dla Stillsona zbyt odległy. W końcu jest przecież młodym człowiekiem. Tak, 1992 rok wydawał się całkiem odpowiedni...

W notatkach Johnny'ego znajdowało się również sporo karykatur politycznych. Na wszystkich Greg uśmiechał się tym swoim zaraźliwym, krzywym uśmiechem, na wszystkich miał na głowie hełm. Jedna, rysowana przez Oliphanta, pokazywała go, jak w hełmie zsuniętym na tył głowy toczy beczkę z napisem „ceny maksymalne” głównym przejściem między ławkami Izby. Przed nim stoi zakłopotany Jimmy Carter i drapie się po głowie; ma się wrażenie, że zaraz zostanie rozjechany. Podpis głosił: Z DROGI, JIMMY!

Hełm. Hełm niepokoił Johnny'ego bardziej niż wszystko inne. Republikanie mieli swojego słonia, demokraci swojego osła, a Greg Stillson miał swój hełm. W snach Johnny'ego Stillson nosił czasami kask motocyklowy. A czasami hełm jak w elektrowniach atomowych.

2

W oddzielnym notatniku chował wycinki dotyczące pożaru „Cathy's”, które przysłał mu ojciec. Przeglądał je raz za razem z pobudek, o które ani Sam, ani Roger, ani nawet ojciec nie podejrzewaliby go.

JASNOWIDZ PRZEWIDUJE POŻAR. MOJA CÓRKA ZGINEŁABY TAKŻE, MÓWI POGRĄŻONA WE ŁZACH WDZIĘCZNOŚCI MATKA. (Ową „pogrążoną we łzach wdzięczności matką” była matka Patty Strachan).

JASNOWIDZ, KTÓRY ROZWIĄZAŁ ZAGADKĘ MORDERSTW W CASTLE ROCK, PRZEWIDZIAŁ STRASZLIWY POŻAR.

LICZBA OFIAR POŻARU W RESTAURACJI SIĘGNĘŁA 90 OSÓB.

OJCIEC TWIERDZI, ŻE JOHNNY SMITH OPUŚCIŁ NOWĄ ANGLIĘ, I ODMAWIA PODANIA ADRESU. Jego zdjęcia. Zdjęcia jego ojca. Zdjęcia wraków na drodze numer 9 w Cleaves Mills, jeszcze z czasów, gdy Sara Bracknell była jego dziewczyną. Obecnie Sara była już kobietą, matką dwojga dzieci, a w swym ostatnim liście Herb pisał, że dorobiła się kilku siwych włosów. Nie potrafił uwierzyć, że on sam ma już trzydzieści jeden lat. Niemożliwe, a jednak prawdziwe.

Obok wycinków znajdowały się jego notatki, dowód bolesnych zmagania, by jakoś ułożyć to sobie w głowie. Żaden z nich nie rozumiał prawdziwego znaczenia pożaru i jego związku ze znacznie ważniejszą sprawą: co zrobić z Gregiem Stillsonem.

Johnny pisał: „Muszę zrobić coś ze Stillsonem. M u s z ę c o ś przedsięwziąć. Miałem rację w sprawie pożaru i będę miał rację w tej sprawie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zostanie prezydentem i rozpocznie wojnę - umyślnie lub przez nieumiejętność sprawowania urzędu, nie ma to

najmniejszego znaczenia.

Powstaje pytanie: Jak drastyczne środki należy podjąć?

Weźmy „Cathy's” jako przykład do analizy. Wówczas jakbym dostał znak, Boże, zaczynam mówić jak matka, ale to prawda. W porządku. Wiedziałem, że wybuchnie pożar i zginą ludzie. Czy to wystarczyło, żeby ich ocalić? Nie wystarczyło, by ocalić wszystkich, ponieważ ludzie naprawdę wierzą dopiero po fakcie. Ci, którzy przyszli do domu Chatsworthów zamiast do „Cathy's”, ocalili, ale trzeba równocześnie pamiętać, że R.C. nie urządził przyjęcia, ponieważ uwierzył w przepowiednię. Był w tej sprawie bardzo stanowczy. Urządził przyjęcie, bo sądził, że się dzięki temu uspokoję. Poszedł... poszedł mi na rękę. Uwierzył p o fakcie. Matka Pady Strachan uwierzyła p o. Po, po, po. Wtedy już było za późno dla martwych i poparzonych.

Pytanie drugie: Czy mogłem to zmienić?

Tak, mogłem wjechać w budynek samochodem. Albo sam mogłem go spalić tego dnia.

Pytanie trzecie: Jak by się dla mnie skończyło któreś z tych działań?

Przypuszczalnie więzieniem. Gdybym wybrał samochód, a później piorun by uderzył, może mógłbym się spierać... nie, nie da rady. Ludzie potrafią pogodzić się z tym, że ludzki umysł może mieć zdolność jasnowidzenia, ale prawo z całą pewnością nie. Teraz, kiedy bez przerwy o tym myślę, mam wrażenie, że zrobiłbym którąś z tych rzeczy, i do diabła z konsekwencjami! Czy to możliwe, bym nie wierzył do końca własnej przepowiedni?

Kwestia Stillsona jest bardzo podobna we wszystkich szczegółach z wyjątkiem jednego. Dzięki Bogu, mam znacznie więcej czasu.

A więc, wracamy do punktu wyjścia. Nie chcę, żeby Greg Stillson został prezydentem. Jak mogę temu zapobiec?

1. Mogę wrócić do New Hampshire i „dobić do niego”, jak on to określa, wrzucić kamień w tryby partii Ameryka Dziś. Mogę spróbować sabotować j e g o. Pod dywanem leży kupa śmieci. Być może mógłbym trochę z nich wymieść na światło dzienne.

2. Mogę wynająć kogoś, by obrzucił go błotem. Z pieniędzmi Rogera znalazłbym kogoś dobrego. Z drugiej strony mam wrażenie, że Lancte był cholernie dobry. A Lancte nie żyje.

3. Mogę zranić go albo okaleczyć. Tak jak Arthur Bremmer okaleczył Wallace'a. Jak - ktokolwiek to był - okaleczył Larry'ego Flynta.

4. Mogę go zabić. Zamordować.

A teraz niektóre trudności. Punkt pierwszy nie jest wystarczająco pewny. Może skończyć się na tym, że nie zrobię nic konstruktywnego, tylko dam się załatwić, tak jak Hunter Thompson, kiedy zbierał materiał do swej pierwszej książki, tej o Aniołach Piekiła. Co gorsze, po tym, co się zdarzyło na mityngu w Trimbull, ten Elliman może pamiętać, jak wyglądam. Nie byłbym zaskoczony, gdyby Stillson zatrudnił specjalnego faceta, mającego zbierać aktualne dane o dziwakach i wariatach. A ja niewątpliwie podpadam pod którąś z tych kategorii.

Punkt drugi. Załóżmy, że wszystkie brudy ujrzały wreszcie światło dzienne. Jeśli Stillson jest już świadom swych wielkich politycznych aspiracji - a wszystko, co robi, wskazuje właśnie na to - to pewnie zdołał się oczyścić. I inna rzecz: brud pod dywanem jest wtedy brudem, kiedy go pokaże prasa, a prasa lubi Stillsona. Dostarcza jej materiałów. W powieści zapewne zostałbym prywatnym detektywem i sam „załatwiłbym sprawę”, ale w smutnej rzeczywistości prawdą jest, że nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć. Można się spierać, że moja zdolność „czytania” ludzi, odnajdywania tego, co zgubione (by zacytować Sama), bardzo by mi pomogła. Gdybym odkrył coś na temat Lancte'a, załatwiłoby to wszystko. Ale prawdopodobnie Stillson przekazuje te sprawy Sonny'emu Ellimanowi. A, mimo podejrzeń, nie jestem stuprocentowo pewny, że Lancte zajmował się jeszcze Stillsonem, kiedy został zamordowany. Istnieje możliwość, że powiesiłbym Ellimana, a i tak nie wykończyłbym Stillsona.

Biorąc to wszystko pod uwagę, druga możliwość po prostu nie jest wystarczająco pewna. Gra idzie o w i e l k ą stawkę, tak wielką, że nie pozwalam sobie o niej myśleć zbyt często. Za każdym razem dostaję piekielnej migreny.

Zdarzało mi się już w najdzikszych marzeniach rozważać, czy nie złapać go na narkotyki, jak ten facet, którego Gene Hackman grał we *Francuskim łączniku 2*, albo doprowadzić go do szaleństwa, wsypując mu LSD do coli czy co on tam pije. Ale to tylko chwyt z policyjnych kryminalów. Gównu w stylu Gordona Liddy. Problemy są takie, że nie warto nawet rozwodzić się nad tą „możliwością”. Może zaryzykować porwanie? W końcu ten facet to tylko poseł. Nie wiem, gdzie dostać heroinę lub morfinę, ale z LSD nie byłoby kłopotu - pigułki na każdą okazję ma Lany McNaughton z dobrego, starego Departamentu Robót Publicznych w Phoenix. Ale przypuśćmy (jeśli już chcemy coś przypuszczać w tej sprawie), że Stillsonowi po prostu spodobałaby się ta podróż? Co wtedy?

Postrzelić go i okaleczyć? Może bym i mógł, a może i nie. Przypuszczam, że w pewnych okolicznościach bym mógł -jak na mityngu w Trimbull. Przypuśćmy, że to zrobię. Po tym, co się zdarzyło w Laurel, George Wallace nigdy już nie odzyskał swej politycznej potęgi. Z drugiej strony, stary Roosevelt prowadził kampanię z inwalidzkiego wózka, i był to nawet jego atut.

Pozostaje zabójstwo, rozwiązanie ostateczne. To jedyne pewne wyjście. Nie możesz kandydować na prezydenta, jeśli jesteś trupem.

O ile zdołam pociągnąć za cyngiel.

A jeśli zdołam, jakie poniosę konsekwencje?

Jak śpiewał Dylan: „Skarbie, czy musisz mnie o to pytać?”

Johnny sporządził wiele innych zapisków i notatek, ale ta jedna, istotnie ważna, zapisana została na wolnej stronie i starannie obrysowana: „Przypuśćmy, że morderstwo okaże się jedynym wyjściem? I przypuśćmy, że potrafię pociągnąć za cyngiel? Morderstwo pozostanie złem. Morderstwo jest złem. Morderstwo jest złem. Może jeszcze znajdę odpowiedź. Dzięki Bogu, mam przed sobą całe lata.

3

Ale Johnriy mylił się.

Na początku grudnia 1978 roku, wkrótce po tym, jak kolejny kongresman, Leo Ryan z Kalifornii, został zastrzelony na pasie startowym w dżungli południowoamerykańskiego państwa, Gujany, Johnny Smith odkrył, że niemal już wyczerpał limit czasu.

ROZDZIAŁ 26

1

Dwudziestego szóstego grudnia 1978 roku, o wpół do trzeciej po południu, Bud Prescott obsługiwał wysokiego i wyglądającego na chorego, młodego mężczyznę o siwiejących włosach i mocno nabiegłych krwią oczach. Bud był jednym z trzech sprzedawców pracujących drugiego dnia świąt w sklepie sportowym w Phoenix, na Czwartej Ulicy. Tego dnia przewagę mieli klienci pragnący dokonać zamiany towaru, ale ten mężczyzna płacił.

Powiedział, że chce kupić dobry karabin, lekki, mały. Bud pokazał mu kilka. W drugi dzień świąt w jego sklepie panowała senna atmosfera; kiedy mężczyźni dostają pod choinkę broń, wymieniają ją bardzo rzadko.

Ten klient dokładnie sobie wszystko obejrzał i zdecydował się na Remingtona 700, kaliber 243, bardzo dobry karabin o niewielkim odrzucie i płaskim torze pocisku. W księdze sprzedaży podpisał się jako John Smith i Bud pomyślał: „Gdybym nigdy przedtem nie widział fałszywego nazwiska, to z pewnością byłoby pierwsze”. „John Smith” zapłacił gotówką - wyjął dwudziestki wprost z portfela, który był nimi dosłownie wypchany. Zabrał karabin wprost z półki. Bud, chcąc mu trochę dopiec, zaproponował, żeby bezpłatnie dał wypalić swe inicjały na kolbie. „John Smith” tylko potrząsnął głową.

Kiedy „Smith” wychodził, Bud zauważył, że klient wyraźnie kuleje. Pomyślał, że bez kłopotu potrafiliby znów rozpoznać tego gościa - po jego bliznach na szyi i po tym, jak utykał.

2

Dwudziestego siódmego grudnia o dziesiątej trzydzieści rano chudy, kulejący mężczyzna wszedł do sklepu z przyborami biurowymi w Phoenix i podszedł do Deana Claya, sprzedawcy. Clay powiedział później, że od razu dostrzegł w oczach tego człowieka coś, co jego matka nazywała zawsze „nabiegami”. Klient powiedział, że chce kupić dużą dyplomatkę, i w końcu wybrał jedną z najlepszych, z cielejącej skóry, za sto czterdzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów. Mężczyzna miał prawo do zniżki, ponieważ płacił gotówką, nowymi dwudziestkami. Cała transakcja, od obejrzenia dyplomatki do zapłacenia za nią, trwała nie więcej niż dziesięć minut. Klient wyszedł ze sklepu, skręcił w stronę centrum i Dean Clay nie widział go więcej, aż do chwili, kiedy jego zdjęcie ukazało się w miejscowym *Sun*.

3

Tego samego dnia wieczorem, w terminalu Amtraka w Phoenix, wysoki mężczyzna o siwiejących włosach podszedł do kasy, w której siedziała Bonita Alvarez, i zapytał o kolejowe połączenie z Nowym Jorkiem. Bonita pokazała mu rozkład jazdy. Podążając palcem po rozkładzie, mężczyzna dokładnie spisał wszystkie informacje. Zapytał kasjerkę, czy mogłaby sprzedać mu bilet na wyjazd w dniu trzecim stycznia. Palce Bonnie zatańczyły na klawiaturze komputera. Poinformowała go, że owszem, mogłaby.

- Więc czemu pani nie... - zaczął mówić mężczyzna, raptownie przerwał i podniósł dłoń do głowy.

- Czy pan dobrze się czuje?

- Fajerwerki - powiedział wysoki mężczyzna. Bonnie zeznała później na policji, że jest pewna tego, co powiedział mężczyzna. Powiedział: „Fajerwerki”.

- Proszę pana? Czy panu coś dolega?

- Migrena - wyjaśnił mężczyzna. - Przepraszam. - Próbował się uśmiechnąć, ale to niewiele pomogło jego ściągniętej, młodo-starej twarzy.

- Może aspirynę? Mam przy sobie.

- Nie, dziękuję. Samo przejdzie.

Wypisała bilety i wyjaśniła, że na Dworcu Centralnym w Nowym Jorku będzie szóstego stycznia wczesnym popołudniem.

- Ile płacę? Podała cenę biletu.

- Gotówką czy kartą kredytową, panie Smith?

- Gotówką - odparł mężczyzna, wyjmując z portfela całą garść dwudziestek i dziesiątek.

Przyjęła należność, wydała resztę, kwit i bilet.

- Pociąg odjeżdża o dziesiątej trzydzieści, panie Smith. Proszę być na peronie o dziesiątej dziesięć.

- Doskonale. Dziękuję.

Bonnie obdarzyła go uprzejmym zawodowym uśmiechem, ale pan Smith już się odwrócił. Był strasznie blady i miała wrażenie, że bardzo cierpi.

I była całkiem pewna, że powiedział: „fajerwerki”.

4

Elton Curry był konduktorem Amtraka na trasie Phoenix - Salt Lake. Wysoki mężczyzna pojawił się na peronie trzeciego stycznia punktualnie o dziesiątej dziesięć i Elton pomógł mu wejść po stopniach do wagonu, ponieważ mężczyzna mocno kulał. W jednej ręce miał dość sfatygowaną, pogniecioną płócienną torbę z rozdarciami na szwach, w drugiej nowiutką dyplomatkę z cielejącej skóry. Niósł ją tak, jakby dużo ważyła.

- Czy mogę panu pomóc? - zapytał Elton, mając na myśli dyplomatkę, ale pasażer podał mu torbę i bilet.

- Nie, proszę pana, bilet sprawdzam w drodze.

- Aha. Dziękuję.

Agentom FBI, którzy go później przesłuchiwali, Elton powiedział, że mężczyzna był bardzo uprzejmy. I dał duży napiwek.

5

Szósty stycznia był w Nowym Jorku szarym i pochmurnym dniem. Zanościło się na śnieg, który jakoś nie mógł zacząć padać. Taksówka George'a Clementa stała zaparkowana przed Baltimore Hotel, naprzeciwko Dworca Centralnego.

Drzwi auta otworzyły się i wsiadł do niego mężczyzna o siwiejących włosach. Poruszał się ostrożnie, jakby coś go bolało. Torbę podróżną i dyplomatkę położył obok siebie na siedzeniu, zamknął drzwi, a potem oparł głowę na oparciu i zamknął na chwilę oczy, jakby był ogromnie zmęczony.

- Dokąd jedziemy, przyjacielu? - zapytał go George. Pasażer spojrzał na kawałek papieru, który trzymał w dłoni.

- Dworzec Portowy - powiedział. George włączył silnik.

- Wyglądasz raczej słabiotko, przyjacielu. Mój szwagier wyglądał podobnie, kiedy miał atak kamieni nerkowych. Masz kamienie?

- Nie.

- Mój szwagier twierdzi, że kamienie nerkowe bolą bardziej od wszystkiego. Wiesz, co mu odpowiedziałem? Że pieprzy. Andy, powiedziałem, jesteś fajny facet i kocham cię, ale pieprzysz. Miałeś kiedyś raka, Andy, spytałem? Spytałem go, rozumiesz pan, czy miał kiedyś raka. Bo przecież wszyscy wiedzą, że rak jest najgorszy. - George spojrzał we wsteczne lustro i patrzył w nie przez dłuższą chwilę. - Pytam cię szczerze, przyjacielu... dobrze się czujesz? Bo, mówię ci najświętszą prawdę, wyglądasz jak podgrzany nieboszczyk.

Pasażer odpowiedział mu:

- Wszystko w porządku. Przypomniałem sobie, jak kiedyś jechałem taksówką, wiele lat temu.

- Aha - stwierdził mądrze George, jakby dokładnie wiedział, o czym ten gość gada. Cóż, Nowy Jork jest pełen szaleńców, nie ma co zaprzeczać. I po tej krótkiej chwili filozoficznej zadumy George wrócił do swego szwagra.

6

- Mamo, czy ten pan jest chory?

- Ciii...

- Tak, ale czy jest chory?

- Cicho, Danny.

Uśmiechnęła się przepaszająco do mężczyzny siedzącego po drugiej stronie przejścia w autobusie Greyhounda, chcąc dać mu do zrozumienia, że przecież dzieci mogą powiedzieć wszystko, ale wydawało się, że mężczyzna nie usłyszał Danny'ego. Biedny człowiek, rzeczywiście wyglądał na chorego. Danny miał tylko cztery lata, ale tu się nie mylił. Mężczyzna patrzył na śnieg (który zaczął padać zaraz po tym, jak minęli granicę Connecticut), jakby nic nie widział. Był blady, zbyt chudy, a spod kołnierza płaszcza aż do szczęki biegła okropna blizna jak u Frankenstein. Wyglądało, jakby ktoś całkiem niedawno próbował mu obciąć głowę - próbował i niemalże mu się udało.

Autobus jechał do Portsmouth w New Hampshire. Powinni przyjechać na miejsce o wpół do dziesiątej wieczorem, jeśli śnieg zbytnio ich nie opóźni. Julie Brown i jej synek mieli tam odwiedzić teściową; ta stara suka będzie, oczywiście, rozpuszczać Danny'ego jak zwykle, a jemu niewiele potrzeba.

- Chcę mu się przyjrzeć!

- Nie, Danny.

- Chcę zobaczyć, czy jest chory.

- Nie!

- No, a co będzie, jeśli on w y k r o k u j e, mammo? Oczy Danny'ego aż zabłyśły na tę fascynującą możliwość. - Może wykrokováć zaraz.

- Danny, zamknij się.
- Hej, proszę pana! - krzyknął Danny. - Pan krokuje czy coś?
- Danny, masz się natychmiast zamknąć! - syknęła Julie, zarumieniona ze wstydu.

Danny zaczął wtedy płakać, a raczej płaczliwie krzyczeć jak zawsze, kiedy nie pozwalała mu robić, co chce. Kiedy się tak zachowywał, miała ochotę złapać go za rękę i ścisnąć, aż będzie miał prawdziwy powód do płaczu. W takich chwilach, jadąc autobusem przez kolejną gwałtowną śnieżycę z płaczącym dzieckiem u boku, żałowała, że matka nie wysterylizowała jej przed osiemnastymi urodzinami.

I w tej właśnie chwili mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie przejścia odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej zmęczonym, pełnym bólu, lecz jakże łagodnym uśmiechem. Julie dostrzegła jego strasznie przekrwione oczy, jakby płakał. Próbowwała odpowiedzieć mu tym samym, ale jej uśmiech nie wypadł okazale. Przekrwione lewe oko - i ta blizna na szyi - sprawiały, że lewa połowa jego twarzy wydawała się groźna, nieprzyjemna.

Miała nadzieję, że ten człowiek nie jedzie aż do Portsmouth, ale okazało się, że jechał właśnie tam. Dostrzegła go na dworcu, kiedy babcia złapała w ramiona szczęśliwego, rozchichotanego Danny'ego. Widziała, jak kulejąc idzie do drzwi; w jednej ręce miał starą torbę, w drugiej nowiutką dyplomatkę. I - tylko na chwilę - Julie poczuła, jak przeszły ją ciarki. Mężczyzna nie tyle kulał, co niemal pełził przed siebie. Ale była w tym jakaś straszna determinacja, powiedziała później policjantom stanowym z New Hampshire. Sprawiał wrażenie, jakby doskonale wiedział, gdzie idzie, i jakby nic nie miało go powstrzymać przed dojściem do celu.

A później mężczyzna znikł w mroku i Julie straciła go z oczu.

7

Timmesdale w stanie New Hampshire to małe miasteczko, położone na zachód od Durham, na samej granicy trzeciego okręgu wyborczego. Przy życiu trzyma je najmniejsza z tkalni Chatswortha, czająca się na brzegu strumienia Timmesdale jak pokryty sadzą ceglany potwór. Jedynym skromnym tytułem do chwały miasteczka jest (według twierdzenia miejscowej Izby Handlowej) fakt, że jako pierwsze w stanie New Hampshire wprowadziło u siebie elektryczne oświetlenie ulic.

Pewnego wieczora na początku stycznia do baru Timmesdale, jedyne go pubu w miasteczku, wszedł przedwcześnie siwiejący, kulejący młody mężczyzna. Za barem stał Dick O'Donnell, właściciel. Pub był prawie pusty, niewielu gości odwiedzało go w środku tygodnia, a w dodatku wiał północny wiatr. Na ulicach leżało już parę centymetrów śniegu, a jeszcze więcej mogło spaść lada chwila.

Utykający mężczyzna wszedł do środka, tupnięciem otrzepał śnieg z butów, podszedł do baru i zamówił Pabsta. O'Donnell nie pamiętał, by przedtem widział tego człowieka. Obsłużył go szybko. Mężczyzna zamówił jeszcze dwa kufle, pił niespiesznie i oglądał program w wiszącym nad barem telewizorze. Kolor nie był najlepszy; pogarszał się od kilku miesięcy i spiker wyglądał jak starzejący się rumuński wampir.

- Jeszcze kufelek? - zapytał O'Donnell po obsłużeniu dwóch starych bab przy stoliku w kącie.

- Jeden nie zaszkodzi - zgodził się gość. Wskazał na coś nad telewizorem i zapytał: - Pan się z nim spotkał?

Nad telewizorem wisiała oprawiona karykatura Grega Stil-Isona w kasku zsuniętym na tył głowy, zrzucającego po schodach Kapitolu mężczyznę w garniturze. Mężczyzną tym był Louis Quinn, poseł, którego złapano rok i dwa miesiące temu na czerpaniu korzyści z przyznawania miejsc pod budowę parkingów. Karykatura była podpisana słowami: WYWALIĆ DUPKÓW - ZARAZ!, a w rogu widniała wypisana w pośpiechu dedykacja: *Dickowi O'Donnellowi, właścicielowi najlepszego baru w trzecim okręgu wyborczym. Jak najwięcej klientów, Dick! Greg Stillson.*

- Możesz się pan założyć, że spotkałem - powiedział O' Donnell. - Przemawiał tu, kiedy ostatnim razem kandydował do Izby. Po całym mieście rozwiesił plakaty: przyjdźcie do pubu w sobotę o drugiej i wypijcie jednego na koszt Grega. Nigdy nie udało mi się zarobić tyle, co wtedy. Miał stawiać tylko jednego, ale w końcu zapłacił za wszystko. Nie można postąpić lepiej, prawda?

- Wygląda na to, że jest pan jego zwolennikiem.

- Bo i jestem. I chętnie wziąłbym pod obcasys każdego, kto ma o nim inne zdanie.

- No to nic nie mówię. - Gość położył na barze trzy ćwierćdolarówki. - Proszę wypić na mój

koszt.

- jasne, dobrze. Pewnie, że wypiję. Dzięki, panie...?

- Nazywam się Johnny Smith.

- Miło cię poznać, Johnny. Jestem Dick O'Donnell. - Dick nalał sobie piwa z beczki. - Tak, Greg zrobił wiele dobrego dla tej części New Hampshire. Wielu ludzi boi się mówić o tym głośno, ale ja do nich nie należę. Każdemu powiem: pewnego dnia Greg Stillson może zostać prezydentem!

- Tak myślisz?

- Tak myślę - stwierdził O'Donnell, wracając za bar. - New Hampshire jest za małe dla Grega. To wspaniały polityk, a kiedy ja tak mówię, to coś to znaczy. Kiedyś myślałem, że ta cała banda to jedynie oszuści i łobuzy. Nadal tak uważam, ale Greg jest wyjątkiem od reguły. To twardy, uczciwy facet. Gdybyś powiedział mi pięć lat temu, że tak będę kiedyś myślał, roześmiałbym ci się w twarz. Pewnie już prędzej czytałbym wierszydła, niż pochwalił za coś jakiegoś polityka. Ale, do diabła, Greg to dopiero człowiek!

Johnny stwierdził:

- Większość tych facetów traktuje cię jak kumpla, póki kandydują na urząd, ale kiedy już go dostaną, mówią: pieprz się, stary, do najbliższych wyborów mam, co chciałem. Sam jestem z Maine i pewnego razu napisałem do Eda Muskie, i wiesz, co dostałem? Wydrukowaną, z góry przygotowaną odpowiedź!

- No i masz swojego Polaczka! Czego się spodziewałeś po Polaczku? Słuchaj, Greg wraca do swojego okręgu na każdy cholerny weekend! I co, pieprzy nas aż do następnych wyborów?

- Każdy weekend, nooo! - Johnny pociągnął piwa. -I gdzie jedzie? Do Trimbull? Ridgeway? Do dużych miast?

- Ma swój system - stwierdził O'Donnell, który przez całe życie nie potrafił wypracować dla siebie żadnego systemu. -Piętnaście miast, od tych wielkich jak Capital City, aż do prawie wiosek jak Timmesdale czy Coorter's Notch. Każdy weekend spędza gdzie indziej, a kiedy dojdzie do końca listy, znów zaczyna od góry. Wiesz, jak wielkie jest Coorter's Nootch? Ma ośmiuset mieszkańców! Co myślisz o gościu, który wyjeżdża na weekend z Waszyngtonu i przyjeżdża do Coorter's Notch, żeby odmrażać sobie jaja w zimnym ratuszku? Myślisz, że taki gość pieprzy nas aż do następnych wyborów?

- Nie, nie myślę - powiedział Johnny zgodnie z prawdą. - I co robi? Po prostu ścisną dłonie?

- Nie, wszędzie wynajmuje salę. Na całą sobotę. Przyjeżdża o dziesiątej rano, ludzie mogą przyjść i pogadać. Sprzedać mu swoje pomysły, wiesz? Jeśli mają jakieś pytania, on im odpowiada. A jeśli nie zna odpowiedzi, jedzie do Waszyngtonu i znajduje odpowiedź! - O'Donnell spojrzął na Johnny'ego z triumfem.

- A kiedy po raz ostatni był tu, w Timmesdale?

- Kilka miesięcy temu. - O'Donnell podszedł do kasy i zaczął grzebać w papierach leżących pod przegródkami na pieniądze. Wrócił ze sfatygowaną kartką i położył ją na barze.

- To lista. Przyjrzyj się jej i zobaczmy, co o tym myślisz. Kartka pochodziła z gazety z Ridgeway i była już dość stara. Artykuł nosił tytuł: STILLSON OZNAJMIA O ISTNIENIU „CENTRÓW SPRZĘŻENIA ZWROTNEGO”. Część pierwsza wydawała się pochodzić wprost z jego biura prasowego. A pod nią widniała lista miast, w których Greg będzie spędzał weekendy wraz z proponowanymi datami. W Timmesdale miał się pojawić dopiero w połowie marca.

- Moim zdaniem wygląda to całkiem fajnie - zgodził się Johnny.

- Właśnie. Wielu ludzi tak myśli.

- Sądząc z tego, musiał być w Coorter's Nooch w zeszłym tygodniu.

- Tak. - O'Donnell roześmiał się. - Dobrze, stare Coorter's Nooch. Chcesz jeszcze piwa, Johnny?

- Tylko jeśli napijesz się ze mną. - Johnny położył na ladzie kilka banknotów.

- No, pewnie że się napiję.

Jedna ze starych bab wrzuciła kilka monet do szafy grającej i Tammy Wynette, brzmiało staro, jakby zmęczona i niezbyt dobrze czująca się w tym barze, zaśpiewała: „Trzymaj się swojego chłopaka”.

- Hej, Dick! - zaskrzeczała druga baba. - Słyszałeś coś o obsłudze w tej dziurze?

- Zamknij dziób! - wrzasnęła Dick.

- pieprz się! - zachichotałababa.

- Niech cię, Clarice! Coś ci mówiłem o używaniu brzydkich słów w tym barze. Mówiłem ci...

- Jej, daj spokój i napijmy się piwa.

- Nienawidzę tych dwóch starych pind - mruknął O'Donnell do Johnny'ego. - Dwie stare, skwaśniałe lesbije. Siedzą tu od miliona lat i nie zdziwiłbym się, gdyby obie dożyły dnia, w którym naplują mi na grób. Obrzydli wy jesteście czasami ten świat..

- Racja.

- Przepraszam cię, zaraz wrócę. Mam tu dziewczynę do pomocy, ale zimą przychodzi tylko w soboty i niedziele.

O'Donnell nalał piwa do dwóch wysokich szklanek i zaniósł je staruchom. Powiedział im coś, Clarice odpowiedziała mu „Pieprz się!” i zachichotała. Bar wypełniały duchy zdechłych hamburgerów. Głos Tammy Wynette z trudem przebijał się przez trzaski starej płyty. Kaloryfery pompowały w salę duszne ciepło, a szyby zaklejał suchy śnieg. Johnny potarł skronie. Już kiedyś, w setkach innych małych miasteczek, był w tym barze. Miał migrenę. Kiedy potrząsnął dłonią O'Donnella, dowiedział się, że ma wielkiego, starego kundla, którego wyszkolił do rzucania się na ludzi. Jednym z jego największych marzeń było, by ktoś włamał się do niego nocą, co umożliwiłoby mu poszczucie psa bez łamania prawa i w ten sposób na świecie byłoby o jednego zбочonego hippisa-narkomana mniej.

Boże, ta migrena.

O'Donnell wrócił, wycierając ręce o fartuch. Tammy Wynette skończyła śpiewać, zastąpiła ją Red Sovine, do której przez CB zgłosił się pluszowy miś.

- Dzięki za piwo. - O'Donnell napełnił dwa kufle.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Johnny nadal studiował wycinek. - W zeszłym tygodniu Coorter's Nooch, a w tym Jackson. Nigdy nie słyszałem o Jackson. Musi być malutkie.

- Prawie wioska - zgodził się O'Donnell. - Mieli kiedyś ośrodek narciarski, ale zbankrutował. Mnóstwo ludzi zostało bez pracy. Tyle tam roboty, co przy miazdze drzewnej i kilku akrach ziemi. A on jedzie do Jackson, o święty Jezu! Rozmawia z nimi. Wysłuchuje ich żalów. Skąd jesteś w Maine, Johnny?

- Lewinston - skłamał Johnny. Z wycinka wynikało, że Stillson spotka się ze wszystkimi zainteresowanymi w ratuszu.

- I pewnie przyjechałeś pojeździć na nartach, zgadłem?

- Nie. Kiedyś, dawno, zraniłem się w nogę. Nie mogę jeździć na nartach. Po prostu tędy przejeżdżałem. Dziękuję, że dałeś mi na to zerknąć. - Johnny oddał wycinek. - Bardzo interesujące.

O'Donnell ostrożnie umieścił wycinek wśród innych papierów. Miał ten pusty bar, w domu psa, który umiał rzucać się na ludzi na komendę, i Grega Stillsona. Greg odwiedził kiedyś jego bar!

Nagle Johnny zdał sobie sprawę, że chciałby umrzeć. Jeśli jego talent był darem Bożym, to Bóg jest niebezpiecznym szaleńcem, którego należy natychmiast powstrzymać. Jeśli Bóg chciał uśmiercić Grega Stillsona, to czemu nie spowodował, żeby pojawił się na świecie z pępowiną owiniętą wokół szyi? Dlaczego nie udusił go kawałkiem mięsa? Nie poraził prądem, kiedy zmieniał stację radiową. Nie utopił go w gliniance. Po co Bogu Johnny Smith - żeby odwalał za niego brudną robotę? Nie chodziło o odpowiedzialność za ocalenie świata; to dobre dla szaleńców, bo tylko oni wierzą, że mogą ocalić świat. Johnny zdecydował nagle, że pozwoli Stillsonowi żyć i w ten sposób na-pluje Bogu w oko.

- Dobrze się czujesz, Johnny?

- Co? Tak, doskonale.

- Przez sekundę wyglądałeś jakoś dziwnie.

Chuck Chatsworth mówiący: „gdybym go nie zabił, bałbym się, że do śmierci będą mnie straszyc duchy tych pomordowanych milionów”.

- Zamyśliłem się. Chcę, żebyś wiedział, że napiłem się z tobą z wielką przyjemnością.

- No, oczywiście, nawzajem. - O'Donnell sprawiał wrażenie uradowanego. - Chciałbym, żeby więcej moich gości myślało jak ty. Przejeżdżają tędy, jadąc w góry, wiesz? Do sławnych miejsc. Tam zabierają całą forszę. Gdybym myślał, że to ich zatrzyma, urządziłbym to miejsce tak, jak lubią. No, wiesz, plakaty ze Szwajcarii i Kolorado. Kominek. Załadowałbym szafę rockiem zamiast tej gównianej muzyki. Wiesz... dobrze bym się z tym czuł. - O'Donnell wzruszył ramionami. - Do diabła, nie jestem złym facetem.

- Jasne - przytaknął Johnny, wstając ze stołka i myśląc o psie, rzucającym się na ludzi na rozkaz i o wymarzoną hippisie-narkomanie, włamywaczu.

- No, to przekaż kumplom, że tu jestem.

- Zrobi się.
- Hej, Dick! - wrzasnęła jedna ze starych bab. - Słyszałeś kiedyś, że klientów obsługuje się z uśmiechem?
- Każ się wypchać! - O'Donnell aż się zaczerwienił.
- Pieprz SIĘ! - krzyknęła Clarice i zachichotała. Johnny cicho wyszedł w śnieżycę.

8

Zatrzymał się w Holiday Inn w Portsmouth. Kiedy wrócił do hotelu wieczorem, poprosił recepcjonistę, by przygotowano mu rachunek na jutro.

W swym pokoju usiadł za biurkiem, wyjął papeterię i wziął hotelowy długopis. Głowa go bolała, ale musiał napisać listy. Jego chwilowy bunt - jeśli był to rzeczywiście bunt - już minął, a sprawa ze Stillsonem pozostała nie dokończona.

Oszalałem, pomyślał. O to chodzi. Zgubiłem piątą klepkę. Oczami wyobraźni widział nagłówek: JASNOWIDZ ZABIJA POSŁA Z NEW HAMPSHIRE. SZALENIEC MORDUJE STILLSONA. SERIA KUL KŁADZIE TRUPEM POSŁA Z NEW HAMPSHIRE. *Inside View* doczeka się, oczywiście, swego wielkiego dnia. FAŁSZYWY „PROROK” ZABIJA STILLSONA. DWUNASTU PSYCHIATRÓW WYJAŚNIA, DLACZEGO SMITH TO ZROBIŁ. I może komentarz Deesa opisujący, jak to Johnny chciał „ustrzelić sobie intruza”.

Wariat.

Rachunek za szpital został wprawdzie uregulowany, ale po tym pozostanie inny, szczegółowy rachunek, za który będzie musiał zapłacić jego ojciec. I on, i jego nowa żona spędzą mnóstwo czasu w światłach reflektorów, odbitych od jego wątpliwej sławy. Dostaną ziejące nienawiścią listy. Dziennikarze przeprowadzą wywiady ze wszystkimi, których znał: z Chatsworthami, z Samem, z szeryfem George'em Bannermanem. Z Sarą? Nie, być może nie dotrą do Sary. W końcu przecież nie planował zabójstwa prezydenta. W każdym razie jeszcze nie prezydenta. *I wielu ludzi boi się powiedzieć o tym głośno, ale ja do nich nie należę. Każdemu powiem: pewnego dnia Greg Stillson może zostać prezydentem.*

Johnny potarł skronie. Ból pulsował mu w głowie długimi, powolnymi falami, a listy pozostały nie napisane. Przysunął do siebie pierwszą kartkę papieru, podniósł długopis i napisał *Kochany Tato*. W okna z suchym szelestem uderzył śnieg. W końcu pióro ruszyło po kartce, najpierw powoli, potem coraz szybciej.

ROZDZIAŁ 27

I

Johnny wszedł po drewnianych schodach, wyczyszczonych ze śniegu i posypanych solą. Przeszedł przez dwoje podwójnych drzwi do holu wytapetowanego wynikami głosowań i informacjami o zebraniach rady miejskiej, które miały odbyć się w Jackson dnia trzeciego stycznia. Była wśród nich informacja o spotkaniu ze Stillsonem i zdjęcie Samego Wielkiego Człowieka w zsuniętym na tył głowy kasku, z tym jego krzywym, kpiącym uśmiechem, mówiącym: „przechytrzymy ich, nie, stary?” A po prawej stronie drzwi prowadzących bezpośrednio do sali spotkań stał znak, którego Johnny absolutnie się nie spodziewał; przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

EGZAMIN NA PRAWO JAZDY - głosił znak stojący na drewnianej podpórce. PROSZE, PRZYGOTOWAĆ DOKUMENTY.

Johnny otworzył drzwi, wszedł i poczuł oszalamiającą falę ciepła bijącą od starego pieca. Pierwsze, co zobaczył, to siedzący za biurkiem policjant, ubrany w rozpiętą narciarską kurtkę. Na biurku leżały rozrzucone papiery, stało tam także urządzenie do badania ostrości wzroku.

Gliniarz przyjrzał mu się i Johnny poczuł się tak, jakby tonął.

- Czym mogę panu służyć?

Johnny sięgnął dłonią ku wiszącemu mu na szyi aparatowi fotograficznemu.

- Chciałem się tutaj trochę porozglądać. Zaangażował mnie magazyn *Yankee*. Przygotowujemy rozkładówkę o architekturze miejskiej w Maine, New Hampshire i w Vermont. Przewidujemy mnóstwo zdjęć, rozumie pan?

- Ależ proszę bardzo. Moja żona bez przerwy czyta *Yankee*. Ja tam przy nim zasypiam. Johnny uśmiechnął się.

- Architektura Nowej Anglii jest nieco... surowa.

- Surowa... - powtórzył policjant z powątpiewaniem i przestał się interesować całą sprawą. - Następny, proszę!

Do biurka, za którym siedział, podszedł młody mężczyzna. Wręczył policjantowi arkusz egzaminacyjny, gliniarz wziął go i powiedział:

- Proszę spojrzeć we wznięk i nazwać znaki drogowe i inne oznaczenia, które będą panu pokazywał.

Młody mężczyzna spojrział we wznięk. Policjant przykrył wręczoną mu kartę przezroczystą folią z zaznaczonymi prawidłowymi odpowiedziami. Johnny poszedł głównym korytarzem ratusza w Jackson i zrobił zdjęcie stojącego na środku podium.

Za jego plecami młody mężczyzna mówił:

- Znak stopu. Następny znak to ulica podporządkowana... a następny to znak informacyjny... zakaz skrętu w prawo, zakaz skrętu w lewo...

Johnny nie spodziewał się, że spotka w ratuszu policjanta; nie zatroszczył się nawet o to, by kupić film do aparatu służącego mu za rekwizyt. Ale już było za późno, nie mógł się wycofać. Był piątek, a Stillson przyjedzie w sobotę, jeśli wszystko pójdzie tak, jak powinno. Będzie odpowiadał na pytania i przyjmie rady od dobrych ludzi z Jackson. Będzie tu spory tłum. Kilku doradców, kilku ekspertów... i kilku młodych mężczyzn w ciemnych garniturach i sportowych kurtkach, którzy niedawno nosili dzinsy i jeździli motocyklami. Greg Stillson nadal otaczał się ochroniarzami. Na mityngu w Trimbull mieli upiłowane kije bilardowe. Czy teraz nosili broń? Czy poseł Stanów Zjednoczonych miałby kłopoty z załatwieniem pozwolenia na noszenie ukrytej broni? Johnny nie sądził, by miał jakieś trudności. Mógł liczyć na jedną tylko szansę i będzie musiał ją wykorzystać. Stąd tak ważne jest obejrzenie tego miejsca, by spróbować podjąć decyzję - czy dopaść Stillsona tutaj, czy czekać na parking z otwartymi oknami i karabinem na kolanach.

Dlatego przyszedł tu i oceniał miejsce zamachu, a niecałe dziesięć metrów dalej policjant prowadził egzamin na prawo jazdy.

Po jego lewej ręce wisiała tablica z ogłoszeniami i Johnny wymierzył w nią swój pusty aparat - na miłość boską, dlaczego nie poświęcił dwóch minut i nie kupił filmu? Tablica była pokryta typowymi małomiasteczkowymi ogłoszeniami dotyczącymi charytatywnej kolacji, zbliżającego się szkolnego meczu, opłat za posiadanie psów i - oczywiście - kolejnymi informacjami o Gregu. Wypisane na fiszce ogłoszenie informowało, że pierwszy radny miejski poszukuje asystenta z umiejętnością stenografii i podczas gdy jego mózg pracował na wysokich obrotach, Johnny wpatrzył się w nie, jakby interesowała go ta posada.

Oczywiście, gdyby Jackson wyglądało beznadziejnie, a choćby nawet ryzykownie, mógłby odczekać do przyszłego tygodnia, gdy Stillson będzie odstawiał identyczny cyrk w miasteczku Upson. A w następnym tygodniu w Trimbull. Albo jeszcze później. Albo nigdy.

To powinien być t e n tydzień. To musi być jutro.

Wymierzył aparat w piec, a później zerknął w górę. Był tam balkon, a może raczej galeria z sięgającą pasa balustradą na szerokich, drewnianych, malowanych na biało podporach wycinanych w diamenty i inne skomplikowane, dekoracyjne wzory. Można byłoby skryć się za balustradą i przyglądać się wszystkiemu przez jeden z tych wymyślnych otworów. We właściwym momencie wystarczyłoby tylko wstać i...

- Jaki to aparat?

Johnny obejrzał się przekonany, że to gliniarz. Zechce pewnie obejrzeć sobie pusty aparat... a później poprosi o jakiś dokument... a potem wszystko się skończy.

Ale to nie był gliniarz, lecz chłopak, który zdawał egzamin na prawo jazdy. Miał ze dwadzieścia dwa lata, długie włosy i miłe, szczere oczy. Ubrany był w zamszową kamizelkę i sprane dzinsy.

- Nikon.

- Są wspaniałe. Mam na tym punkcie prawdziwego hyzia. Od dawna pracuje pan dla *Yankee*?

- Cóż, jestem wolnym strzelcem. Pracuję dla nich, czasami dla *Country Journal*, czasami dla

Downeast.

- Nic krajowego? *People, Lifel*

- Nie. Przynajmniej na razie nie.

- A jakiego używa pan tu czasu naświetlania? *Co to, do diabła, jest „czas naświetlania”?* Johnny wzruszył ramionami.

- Po prostu gram na ucho.

- Chyba na oko? - Chłopak uśmiechnął się.

- Racja. Na oko.

Spadaj, mały, proszę cię, spadaj.

- Sam chciałbym zostać wolnym strzelcem - powiedział chłopak i uśmiechnął się szerzej. - Marzę o tym, żeby pewnego dnia zrobić sensacyjne zdjęcie. Jak podniesienie flagi na Iwo Jima.

- Słyszałem, że to było zaaranżowane.

- No, może. Może. Albo pierwsze zdjęcie UFO lądującego na Ziemi? W każdym razie mam trochę zdjęć zrobionych w okolicy. Kto jest pana kontaktem w *Yankee*?

Johnny zaczął się pocić.

- No, w tej sprawie to oni zadzwonili do mnie...

- Panie Clawson, czy mógłby pan podejść? - zawołał poli-cjant, najwyraźniej zirytowany. - Chciałbym przejrzeć z panem pańskie odpowiedzi.

- Oho, odezwał się głos pana - stwierdził Clawson. - Do zobaczenia, kolego.

Chłopak odszedł pośpiesznie, a Johnny odetchnął głęboko. Najwyższy czas, żeby się stąd wynieść - i to szybko.

Zrobił jeszcze dwa czy trzy „zdjęcia”, żeby nie wyjść na kompletnego idiotę, ale nie był nawet świadomy, na co kieruje aparat. Wyszedł.

Chłopak w sztruksowej marynarce - Clawson - zupełnie o nim zapomniał. Najwyraźniej oblał pisemną część egzaminu. Klócił się zawzięcie z policjantem, który tylko potrząsał głową.

Johnny przystanął na chwilę w holu. Po lewej była szatnia. Po prawej - zamknięte drzwi. Sprawdził, dały się otworzyć. Tam, na górze, znajdują się oczywiście biura. I galeria.

Zatrzymał się w Jackson House, przyjemnym, małym hoteliku przy deptaku, starannie odnowionym. Renowacja musiała kosztować sporo pieniędzy, ale właściciele zdecydowali pewnie, że opłaci się ze względu na ośrodek narciarski w miejscowych górach. Ośrodek jednak zbankrutował i ten przyjemny, mały hotel ledwie zipsał. Kiedy Johnny wychodził w sobotę o czwartej rano, trzymając walizeczkę w lewej ręce, nocny recepcjonista drzemał nad filiżanką kawy.

Johnny prawie nie spał, tylko po północy zapadł w lekką drzemkę. I śnił. Znowu był 1970 rok. Karnawał. Wraz z Sarą stał przy kole fortuny i znowu czuł tę szaloną, niezwykłą moc. A w nozdrzach miał zapach płonącej gumy.

- Dawaj - powiedział ktoś cicho za jego plecami. - Strasznie chciałbym zobaczyć, jak ten facet dostaje w tyłek. - Johnny obejrzał się. To był Frank Dodd w swym plastikowym płaszczu, uśmiechający się zakrwawioną szyją rozciętą od ucha do ucha; oczy skrzyły mu się, pełne trupiej energii. Obrócił się ku kołu, przerażony, a za barierką stał Greg Stillson.

- Hej, hej, hej! - krzyknął Stillson głębokim, dźwięcznym, złowrogim głosem. - Obstaw, co masz obstawić, przyjacielu. Chciałbyś rozbić bank?

Tak, Johnny pragnął rozbić bank. Ale kiedy Stillson obrócił koło, dostrzegł, że cały zewnętrzny krąg jest zielony. Zostało tylko podwójne zero. Wszystkie numery przegrywały.

Obudził się i resztę nocy spędził wpatrując się w ciemność przez zamazane przy framugach okno. Ból głowy, towarzyszący mu od czasu wczorajszego przyjazdu do Jackson, minął, pozostawiając go słabym, lecz czujnym. Nie myślał o Gregu Stillsonie, myślał o przeszłości. Myślał o matce, zalepijącej mu plastrem skaleczone kolano, myślał o tym, jak pies urwał kawałek obszycia w śmiesznej letniej sukience babci Nellie, jak się śmiał i jak Vera dała mu po głowie, kalecząc mu czoło kamieniem ze swego zaręczynowego pierścionka, myślał o tym, jak ojciec pokazał mu, jak zakładać przynętę na haczyk, i powiedział: „Robaków to nie boli, Johnny... przynajmniej nie przypuszczam, żeby bolało”. Myślał, jak ojciec dał mu pod choinkę scyzoryk; miał wtedy siedem lat i tata powiedział poważnie: „Ufam ci, Johnny”. Wspomnienia zalały go wielką falą.

A teraz wychodził w mróz poranka, jego buty skrzypiały po oczyszczonym ze śniegu chodniku. Oddech unosił się parą przed oczami. Księżyc zaszedł, lecz niebo pełne było rozrzuconych gwiazd. Skarbonka Pana Boga, tak Vera nazywała zawsze gwiazdy. Patrzysz na Skarbonkę Pana Boga,

Johnny.

Przeszedł główną ulicą i zatrzymał się przed małym budynkiem poczty. Z kieszeni kurtki wyjął listy: do ojca, do Sary, do Sama Weizaka, do Bannermana. Postawił walizkę na chodniku, między nogami, otworzył skrzynkę pocztową stojącą przed małym, zgrabnym budynkiem z cegły i po krótkiej chwili wahania wrzucił listy. Słyszał, jak wpadały do środka; z pewnością były pierwszymi wysłanymi w Jackson tego nowego dnia - i ten dźwięk sprawił, że to, co miał zamiar zrobić, stało się nieodwołalne. Wysłał listy, nie może się cofnąć.

Podniósł walizkę i poszedł przed siebie. Ciszę mąciło tylko skrzywienie jego butów na śniegu. Wielki termometr nad drzwiami kasy oszczędnościowej Granite State wskazywał minus piętnaście stopni, a powietrze było tak ciche, mroźne i całkowicie nieruchome, jak zdarza się to tylko w zimowe poranki w New Hampshire. Nawet szosa okazała się pusta. Szyby zaparkowanych samochodów pokryte były zamrożonym śniegiem jak kataraktą. Ciemne, zasłonięte firankami okna. Johnny'emu wszystko wydawało się straszne a zarazem święte. Walczył z tym uczuciem. W tym, czego miał dokonać, nie było nic świętego.

Przeszedł przez Jasper Street i zobaczył ratusz, biały, chłodny, elegancki; osłonięty usypanymi przez pługi zaspami iskrzącą się śniegu.

Jeśli frontowe drzwi są zamknięte, to jak dostaniesz się do środka, cwaniaczku?

Cóż, sforsujemy ten most, kiedy do niego dojdziemy. Johnny rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo i nikt nie mógł go zobaczyć. Gdyby prezydent przyjeżdżał tu na jedno ze swych słynnych spotkań ze zwykłymi ludźmi, wszystko naturalnie wyglądałoby inaczej. Nikogo nie dopuszczano by tu już od zeszłego wieczora, a w ratuszu już znajdowałiby się strażnicy. Ale przyjeżdżał tylko kongresmen Stanów Zjednoczonych, jeden z przeszło czterystu, nic wielkiego. Na razie.

Johnny wspiął się na schody, położył dłoń na klamce. Obróciła się łatwo; wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Głowa znów go bolała, pulsowała bólem w rytm uderzeń serca. Postawił dyplomatkę i dłonią w rękawiczce rozmasował skronie.

Nagle rozległ się niski zgrzyt. Szafa na ubrania otwierała się powoli i z cienia wypadło na niego coś jasnego.

Johnny ledwie zdołał stłumić krzyk. Przez chwilę był pewien, że z szafy, jak w filmowym horrorze, wypada trup. Ale była to tylko kartonowa plansza z napisem: PRZED PRZYSTĄPIENIEM DO EGZAMINU PRZYGOTUJ DOKUMENTY.

Włożył ją na miejsce i odwrócił się do drzwi prowadzących na schody.

Były zamknięte.

Pochylił się, by w słabym, białym świetle latarni, wpadającym przez jedno okno, lepiej przyjrzeć się zamkowi. Był to zwykły zatrzask; postanowił spróbować otworzyć go wieszakiem. Znalazł jeden w szafie i wsunął ucho w szczelinę między drzwiami i futryną. Przesunął je w stronę zatrzasku i zaczął obracać. Łomot w głowie ciągle się zwiększał. Drut trafił w końcu w cel - Johnny usłyszał trzask zablokowanego zamka. Otworzył drzwi. Podniósł dyplomatkę i wszedł do środka, ciągle trzymając w ręku wieszak. Popchnął drzwi; zamknęły się i słyszał, jak zatrzask zaskakuje. Poszedł w górę schodami trzeszczącymi pod jego ciężarem.

Schody wychodziły na korytarz; po obu stronach znajdowały się drzwi. Poszedł przed siebie, mijając biura GŁÓWNEGO INŻYNIERA, PRZEWODNICZĄCEGO RADY, NACZELNIKA WYDZIAŁU PODATKOWEGO, męską TOALETĘ, biuro NACZELNIKA WYDZIAŁU POMOCY SPOŁECZNEJ i damską TOALETĘ.

Korytarz kończył się drzwiami bez żadnych oznaczeń. Otworzył je i wyszedł na galerię znajdującą się na tylnej ścianie sali zebrań, która rozciągała się pod nim, przykryta płaszczem cieni. Zamknął drzwi i zadrżał, słysząc ciche echa ich trzasku. Poszedł w prawo wzdłuż tylnej ściany, a później skręcił w lewo - jego krokom także odpowiedziało echo. Szedł teraz wzdłuż prawej ściany sali, mniej więcej dziewięć metrów nad posadzką. Zatrzymał się nad piecem, dokładnie naprzeciw podium, na którym za około pięć i pół godziny miał stanąć Stillson.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i chwilę odpoczął. Oddychał głęboko, próbując opanować migrenę. Nocą nie palono w piecu; czuł, jak zimno dociera do jego skóry - i w głąb ciała. Jak śmiertelna koszula.

Kiedy poczuł się odrobinę lepiej, otworzył zamki dyplomatki. Ich trzaskowi, tak jak przedtem krokom, odpowiedziało echo; tym razem przypominało trzask repetowanego pistoletu.

Sprawiedliwość jak z westernu, pomyślał Johnny bez żadnego powodu. Tak powiedział sędzia,

kiedy Claudine Longet została uznana winną zamordowania kochanka. „Dowiedziała się, co to znaczy sprawiedliwość jak z westernu”.

Johnny zajął się walizką i potarł oczy. Przez moment widział podwójnie, a potem wszystko wróciło do normy. Odbierał wrażenia wprost z podłogi, na której siedział. Bardzo dziwne wrażenia; gdyby opisać je jak fotografię, powiedziałby, że jest wyblakła. Stojący, palący cygara mężczyźni, rozmawiający, śmiejący się, czekający na początek obrad rady mieszkańców. Rok 1920? 1930? Było w tym coś upiornego, coś niepokojącego. Jeden z mężczyzn mówił o cenie whisky, czyścił zęby srebrną wykałaczką i

(i dwa lata temu otrul żonę)

Johnny zadrżał. Te wrażenia nie miały żadnego znaczenia. Odbierał je od mężczyzny, który od dawna nie żył.

W dyplomacie leżał błyszczący karabin.

Kiedy mężczyźni robią to na wojnie, dostają medale, pomyślał Johnny.

Zaczął składać broń. Każdy trzask wywołał echo, jedno echo; dźwięk repetowanego pistoletu.

Załadował remingtona pięcioma kulami.

Położył go na kolanach.

Czekał.

3

Świt nadchodził powoli. Od czasu do czasu Johnny zapadał w drzemkę; było zbyt zimno, by zasnąć. Drzemkom towarzyszyły ledwo zarysowane koszmary.

Nieco po siódmej ocknął się całkowicie. Drzwi na dole otworzyły się z trzaskiem i musiał *ugryźć* się w język, by nie krzyknąć: „Kto tam?”

Przyszedł dozorca. Johnny przyłożył oko do jednego z otworów w balustradzie i zobaczył potężnego mężczyznę w ciepłej, zielonej marynarskiej kurtce. Szedł przejściem między ławkami, niosąc drewno. Nucił „Red River Valley”. Z trzaskiem wrzucił drzewo do stojącego obok pieca pudła i znikł pod galerijką dokładnie w miejscu, w którym znajdował się Johnny. W kilka sekund później rozległ się zgrzyt otwieranych drzwiczek do pieca.

Johnny pomyślał nagle o obłoczkach pary, które przy każdym oddechu unosiły się z jego ust. Przypuśćmy, że dozorca spojrzy w górę? Czy coś dostrzeże?

Próbował oddychać wolniej, ale natychmiast poczuł, jak nasila się migrena i znów zaczął widzieć podwójnie.

Słyszał szelest gnieczonego papieru i trzask zapalanej zapalniczki. W powietrzu unosił się słaby zapach fosforu. Dozorca nadal nucił piosenkę, a później, głośno i fałszując, zaśpiewał: „Mówią, że odchodzisz z tej doliny... zatęsknimy za twymi błyszczącymi oczami i słodkim uśmiechem...”

Rozległ się inny trzask. Płomień.

- To cię załatwi, skubańcu! - powiedział dozorca wprost spod miejsca, w którym znajdował się Johnny; jego słowem towarzyszył trzask zamykanych drzwiczek do pieca. Johnny zakrył usta obiema dłońmi jak bandażem; nagle ogarnęła go samobójcza wesołość. Wyobraził sobie, jak wstaje z miejsca na galerijce, chudy i blady jak wszystkie szanujące się duchy; jak rozkłada ręce niczym skrzydła, wygina palce jak szpony i głuchym głosem woła na dozorcę: „To cię załatwi, skubańcu!”

Powstrzymał dłońmi wybuch śmiechu. Głowę wypełniała mu gorąca, pulsująca krew. Przed oczami widział skaczące szaleńczo, zamazane obrazy. Nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od obrazu mężczyzny, dłubiącego sobie w zębach srebrną wykałaczką, ale nie ośmielił się wydać nawet najmniejszego dźwięku. Słodki Jezu, co się stanie, jeśli będzie musiał kichnąć!

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, powietrze rozdarło przeraźliwe wycie, wbijając się w głowę Johnny'ego jak cienkie srebrne gwoździe, rosnąc, sprawiając, że głowa zaczęła mu wibrować. Johnny otworzył usta do krzyku...

Wycie ucichło.

- Ach, ty stara kurwo - powiedział dozorca łagodnym tonem.

Przez wyciętą w balustradzie dziurkę Johnny zobaczył go, stojącego na podium i bawiącego się mikrofonem. Sznur mikrofonu biegł zygzakiem ku małemu przenośnemu wzmacniaczowi. Dozorca zrobił kilka kroków, zszedł z podium, odsunął dalej wzmacniacz i pokręcił gałkami. Wrócił do mikrofonu i włączył go ponownie. Znowu rozległo się wycie, tym razem niższe, cichsze. Johnny

przycisnął ręce do czoła i zaczął je masować.

Dozorca postukał palcem w mikrofon; wielką salę wypełnił dźwięk brzącający tak, jakby ktoś walił pięścią w pokrywę trumny. A później głos, wzmocniony wręcz potwornie, zaśpiewał: „Mówią, że odchooodzisz z tej doliny...”

Przestań, pragnął krzyknąć Johnny. Proszę, przestań, doprowadzasz mnie do szaleństwa, nie możesz przestać?

Śpiew umilkł z głuchym, wzmocnionym trzaskiem i dozorca powiedział swym własnym głosem: „No i masz, kurwa twoja mać!”

Znikł Johnny'emu z oczu. Rozległ się dźwięk rozdieranego papieru i przecinanego sznurka. Później pojawił się znowu, gwizdząc, trzymając w rękach dużą kupkę broszurek. Zaczął je rozkładać na ławkach, jedną koło drugiej. Skończył, zapiął kurtkę i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim z suchym trzaskiem. Johnny spojrzął na zegarek. Za piętnaście ósma. Sala zaczęła się lekko ocieplać. Usiadł i czekał. Głowa nadal bardzo go bolała, ale - czy to nie dziwne? - dziś łatwiej znosił ten ból. Wystarczyło tylko powiedzieć sobie, że już niedługo będzie musiał go znosić.

4

Dokładnie o dziewiątej drzwi znów otworzyły się z trzaskiem, wrywając go z czujnej drzemki. Johnny mocno ścisnął karabin w rękach, a później rozluźnił dłonie. Przyłożył oko do otworu w kształcie diamentu. Tym razem weszło czterech mężczyzn. Wśród nich był dozorca w zielonej kurtce z rozpiętym pod szyją kołnierzem. Pozostali mieli na sobie płaszcze i garnitury. Johnny poczuł, jak serce nagle mu przyspiesza. Jednym z trójki był Sonny Elliman. Przycięte krótko włosy miał modnie uczesane, ale błyszczące, zielone oczy nie zmieniły się.

- Wszystko gotowe? - zapytał.
- Sprawdź pan sam - odparł dozorca.
- Nie obrażaj się, papciu - wtrącił któryś. Wszyscy rozglądali się po sali. Jeden włączył wzmacniacz i zaraz go wyłączył, zadowolony.
- Ludzie zachowują się, jakby był jakimś cholernym cesarzem - burknął dozorca.
- Bo jest, bo jest - stwierdził trzeci mężczyzna. Johnny miał wrażenie, że pamięta go z mityngu w Trimbull. - Jeszcze się nie zorientowałeś, papciu?
- Byłeś na górze? - zapytał Elliman dozorcę i Johnny zeszywniał.
- Drzwi na schody są zamknięte - odpowiedział dozorca. - Jak zwykle. Sprawdzam. Johnny wzniosł ciche modły do zatraskowego zamka.
- Powinniśmy sprawdzić - upierał się Elliman. Dozorca zaśmiał się niecierpliwie.
- Ludzie, nic a nic was nie pojmuję. Kogo się spodziewacie? Upiora w operze?
- Daj spokój, Sonny - mówił ten, którego Johnny pamiętał ze spotkania w Trimbull. - Tam na górze nie ma nikogo. Jeśli ruszymy tyłki, mamy akurat tyle czasu, żeby napić się kawy w tym barku na rogu.

- To nie kawa, tylko jakieś cholerne błoto. Skocz no przedtem na górę, Moochie, i sprawdź, czy nie ma tam nikogo. Załatwimy to jak w podręczniku.

Johnny obliznął wargi i ścisnął w dłoniach karabin. Zerknął w jedną i w drugą stronę wąskiej galerii. Na prawo zamykała ją ślepa ściana. Po lewej stronie korytarz prowadził do biur i nie robiło to żadnej różnicy. Jeśli się poruszy, usłyszą go. Pusta sala zebrań wzmacniała echem każdy szmer. Był w pułapce.

Usłyszał kroki na dole. Później rozległ się stuk otwieranych i zamykanych drzwi między holem a schodami. Johnny czekał, nieruchomy, bezradny. Dokładnie pod nim dozorca rozmawiał z dwoma ochroniarzami, ale on nie słyszał ani słowa z ich rozmowy. Głowa powoli obróciła mu się na szyi, jakby napędzana własnym silniczkiem. Patrzył wzdłuż galerii, czekając, aż pojawi się tam facet, którego Elliman nazwał Moochie'em. Na jego znudzonej twarzy ukaże się nagle wyraz zdumienia i zaskoczenia, usta otworzą się.

Hej, Sonny, tu siedzi jakiś facet!

Słyszał już ciężkie kroki. Moochie wchodził po schodach. Johnny próbował wymyślić coś, cokolwiek. Nic nie przychodziło mu do głowy. Miał już tylko niespełna minutę i kompletnie nie wiedział, jak zapobiec zdemaskowaniu. Niezależnie od tego, co już uczynił, tracił teraz ostatnią szansę zrobienia czegokolwiek.

Stuk otwieranych i zamykanych drzwi był coraz wyraźniejszy. Kropla potu spadła mu z czoła, zostawiając ciemną plamkę na nogawce dżinsów. Pamiętał wizytówki na wszystkich drzwiach, które mijał, idąc korytarzem. Moochie sprawdził GŁÓWNEGO INŻYNIERA, PRZEWODNICZĄCEGO RADY MIEJSKIEJ i NACZELNIKA WYDZIAŁU PODATKOWEGO. Teraz otwierał drzwi męskiej toalety, teraz przeglądał biura należące do komitetu charytatywnego, teraz był w damskiej toalecie. Następne drzwi prowadzą na galerię.

Drzwi otworzyły się.

Johnny usłyszał, jak Moochie robi dwa kroki i podchodzi do barierki przy krótszej części galerii, tej obejmującej tylną ścianę sali.

- I co, Sonny? Zadowolony?

- Dobra. Jak to tam wygląda?

- Przypomina pieprzone wysypisko śmieci - odpowiedział Moochie i z dołu rozległ się wybuch śmiechu.

- No, to złaź na dół i chodźmy na kawę - powiedział trzeci mężczyzna. Nieprawdopodobne, ale tak właśnie wszystko się skończyło. Moochie zatrzasnął drzwi. Kroki cichły powoli w korytarzu i na schodach prowadzących na parter.

Johnny osłabł, przez chwilę świat naokoło niego rozpląnął się w szarej mgle. Usłyszał, jak wychodzący na kawę mężczyźni zatraskują drzwi wejściowe, i to go częściowo otrzeźwiło.

Stojący pod nim dozorca wyraził głośno swą opinię: „banda skurwysynów”, a później także wyszedł i na jakieś dwadzieścia minut Johnny został sam.

5

Okolo wpół do dziesiątej do ratusza zaczęli przybywać mieszkańcy Jackson. Najpierw pojawiły się trzy starsze panie, ubrane uroczyście, na czarno, i gadające jedna przez drugą jak sroki. Johnny patrzył, jak zajmują miejsca blisko pieca - niemal poza zasięgiem jego wzroku - i jak biorą rozłożone na ławkach broszurki, najwyraźniej wypełnione lśniącymi zdjęciami Grega Stillsona.

- Ja go po prostu kocham - powiedziała jedna z nich. - Trzy razy wzięłam od niego autograf i dzisiaj znów go poproszę. Po prostu muszę.

To było wszystko, co powiedziały o Gregu Stillsonie, a potem pograżyły się w rozmowie na temat niedzielnego przyjęcia dla starców w kościele metodystów.

Johnny'emu, siedzącemu tuż nad piecem, było już bardzo gorąco. Wykorzystał chwilę między wyjściem goryli Stillsona a przyjściem ludzi na zdjęcie kurtki i swetra. Wycierał twarz chusteczką, na której oprócz plam potu pojawiła się także krew. Przekrwione oko zaczęło mu dokuczać; wszystko widział zamazane jakby przez czerwoną farbę.

Drzwi pod nim otworzyły się, rozległ się głośny tupot butów, z których otrzepywano śnieg, i w korytarzu pojawiło się czterech mężczyzn w wełnianych kraciastych kurtkach. Usiedli w pierwszym rzędzie i jeden z nich natychmiast zaczął opowiadać nieprzyzwoity dowcip.

Weszła młoda, może dwudziestotrzyletnia kobieta z synkiem, wyglądającym na jakieś cztery lata. Chłopiec ubrany był w niebieski kombinezon z żółtym wzorem i koniecznie chciał wiedzieć, czy będzie mógł powiedzieć coś do mikrofonu.

- Nie - powiedziała kobieta. Obydwoje usiedli tuż za mężczyznami i dzieciak natychmiast zaczął kopać przednią ławkę. Jeden z mężczyzn obejrzał się przez ramię.

- Przestań, Sean - upomniała dziecko kobieta.

Za kwadrans dziesiąta. Drzwi otwierają się i zamykają często, w regularnych odstępach czasu. Salę zapełniają mężczyźni i kobiety wszystkich typów i zawodów, w każdym wieku. Johnny słyszał nieprzerwany szum rozmów, wyczuwał nieokreślony nastrój oczekiwania. Nie przyszedł tu, by wypytywać posła, którego wybrali z poczucia obowiązku - czekali na wielką gwiazdę, która w swej dobroci odwiedziła ich miasteczko. Wiedział, że na większości spotkań z kandydatami i posłami puste sale wypełniają wyłącznie nieliczni wytrwali. W trakcie wyborów w 1976 roku debata między gubernatorem Maine, Billem Cohenem, i rzucającym mu wyzwanie Leightonem Cooneyem zgromadziła, nie licząc przedstawicieli prasy, dwudziestu sześciu słuchaczy. Większość spotkań dałoby się zorganizować w średniej wielkości szafie. A tu, już o dziesiątej, wszystkie miejsca siedzące były zajęte, a z tyłu stało jeszcze ze dwadzieścia, trzydzieści osób. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, Johnny zaciskał ręce na karabinie. I - niezależnie od stawki - ciągle nie był pewien, czy

potrafi to zrobić.

Pięć po dziesiątej. Dziesięć. Zastanawiał się, czy coś nie zatrzymało Stillsona; być może nie przyjedzie wcale? Zdał sobie sprawę, że na myśl o tym odczuwa ulgę.

Drzwi otworzyły się znów i rozległ się dźwięczny głos:

- Cześć! Jak się macie, mieszkańcy Jackson w New Hampshire? Pomruk radości i zaskoczenia.

Ktoś wrzasnął, zachwycony:

- Greg! Jak się masz?

- Całkiem nieźle - odrzyknął pogodnie Stillson. - A ty, stary? Rzadkie oklaski zmieniły się w ryk zachwyty.

- Dobra, w porządku. - Ponad wrzask wzniosł się głos Grega, który ruszył szybko przejściem między ławkami w stronę podium, ściskając po drodze dłoń.

Johnny patrzył na niego przez dziurę w balustradzie. Stillson miał na sobie grubą skórzaną kurtkę z kołnierzem z kożuska, a na głowie, zamiast kasku, wełnianą narciarską czapkę z jasno-czerwonym pomponem. Zatrzymał się przy podium i pomachał do trzech czy czterech dziennikarzy. Błysnęły lampy. Zgromadzonych ogarnęła euforia.

Johnny Smith uświadomił sobie nagle, że musi to nastąpić teraz albo nigdy.

Wrażenia, które odebrał od Stillsona na mityngu w Trimbull, zalały go znów, jasne, wypełnione straszliwą pewnością. Gdzieś w środku obolałej, wymęczonej głowy usłyszał głuchy stuk, jakby w jednej chwili z ogromną siłą zderzyły się dwa kawałki czegoś... być może był to dźwięk przeznaczenia. Nie mógł dłużej zwlekać ani pozwolić Stillsonowi mówić, siedzieć tu, trzymając głowę w dłoniach, czekać, aż tłum się rozejdzie, aż dozorca wróci, rozłączy nagłośnienie i wymiecie śmieci, cały czas oszukując się, że nadejdzie kolejny weekend w kolejnym miasteczku.

Teraz jest właściwa pora. Każda ludzka istota na tej ziemi ma swój udział w tym, co zdarzy się tu, w małym, - prowincjonalnym miasteczku.

Ten głuchy łomot w głowie, jakby zderzyły się dwie połowy przeznaczenia.

Stillson wchodził na podium. Za nim nie było nikogo. Trzej mężczyźni w rozpiętych płaszczach stali oparci o przeciwległą ścianę.

Johnny wstał.

6

Wszystko wydawało się dziać w zwolnionym tempie.

Siedział tak długo, że dostał kurczy mięśni nóg. Kolana strzeliły mu jak zdefektowane fajferwerki. Czas jakby zamarł, oklaski brzmiały bez przerwy, choć obracały się głowy, wykręcały szyje; ktoś krzyknął, a ludzie nadal klaskali; ktoś krzyknął, ponieważ na galerijce stał mężczyzna, mężczyzna z karabinem, i wszyscy widzieli to już w telewizji, bezbłędnie rozpoznali klasyczne elementy zdarzenia. Na swój własny sposób było ono tak amerykańskie, jak „Cudowny świat Walta Disneya”. Polityk i stojący ponad nim mężczyzna z karabinem.

Greg Stillson także się obrócił, wykręcając gruby, pofałdowany kark. Czerwony pompon na czubku jego narciarskiej czapki zakołysał się.

Johnny podniósł karabin do ramienia. Miał wrażenie, że broń sama pofrunęła w górę; kolba z głuchym stukiem przylgnęła do miejsca, w którym ramię łączy się z piersią. Przypomniawszy sobie, że jako chłopiec poszedł kiedyś z ojcem na przepiórki. Wybrali się także na jelenia, ale kiedy dostrzegł zwierzę, nie potrafił nacisnąć spustu - przestraszył się, jak wielu innych. Był to jego sekret, tak wstydlivy jak masturbacja; nigdy o tym nikomu nie powiedział.

Znów ktoś krzyknął. Jedna ze starszych pań zasłoniła usta dłonią i Johnny dostrzegł sztuczne owoce rozrzucone na szerokim rondzie jej kapelusza. Odwróciły się ku niemu twarze: wielkie białe zera. Otwarte usta: małe czarne zera. Mały chłopczyk w kombinezonie wskazywał na niego palcem. Matka próbowała osłonić dziecko własnym ciałem. Na muszce nagle dostrzegł Stillsona - pamiętał, żeby odbezpieczyć broń. Mężczyźni w płaszczach sięgali do kieszeni marynarek, a Sonny Elliman, którego zielone oczy płonęły, krzyczał: „Padnij! Padnij, GREG!”

Ale Stillson patrzył w górę, na galerię i ich oczy spotkały się po raz drugi. Spotkały i znieruchomiały, jakby wszystko było jasne, i Stillson tylko uchylił się w momencie, kiedy Johnny pociągnął za spust. Huk strzału był niesamowicie głośny, wypełnił salę, pocisk niemal rozerwał róg mównicy, aż błysnęło jasne, świeże drewno. Drzazgi poleciały na wszystkie strony, jedna z nich trafiła

w mikrofon i powietrze znów rozdarło wycie, które ucichło nagle i przeszło w niski, chrapliwy pomruk.

Johnny zarepetował broń i strzelił po raz drugi. Tym razem kula wyrwała dziurę w brudnej wykładzinie estrady.

Tłum ruszył przed siebie w panice jak stado bydła. Ludzie stłoczyli się w przejściu między ławkami. Stojącym z tyłu łatwo udało się uciec, ale podwójne drzwi niemal natychmiast zablokowali przeklinający, wrzeszczący mężczyźni i kobiety.

Z przeciwnej strony sali rozległy się trzaski i nagle fragment poręczy tuż przed oczami Johnny'ego rozpadł się w drzazgi. Sekundę później coś zawyło mu tuż nad uchem. Niewidzialny palec szarpnął kołnierzem koszuli. Trzej goryle Stillsona trzymali w dłoniach pistolety i - ponieważ Johnny stał wyżej - nikt nie zaciemniał im celu, ale Johnny wątpił, by w innych okolicznościach przejmowali się specjalnie obecnością niewinnych świadków.

Jedna z trzech starszych pań złapała Moochie'ego za rękę. Szlochała, próbowała go o coś zapytać. Odtrącił ją i ujął pistolet w obie dłonie. W sali wyraźnie czuło się już smród prochu. Od chwili, kiedy Johnny wstał, minęło jakieś dwadzieścia sekund.

- Padnij! PADNIJ, Greg!

Stillson stał nadal na krawędzi podium, nogi ugiął lekko i patrzył w górę. Johnny wymierzył i przez chwilę miał Stillsona wyraźnie na muszce. W tym samym momencie kula trafiła go w szyję, złobiąc w niej głęboką bruzdę; zatoczył się do tyłu i jego strzał poszedł w powietrze. Szyba w oknie na przeciwległej ścianie rozprysła się z brzękiem na drobne kawałki. Z dołu dobiegły go cienkie piski. Na pierś i ramię popłynęła mu krew.

Wspaniale idzie ci to zabijanie, pomyślał historycznie i znów przysunął się do balustrady. Po raz kolejny zarepetował i podrzucił karabin do ramienia. Lecz teraz Stillson już biegł. Zeskoczył z podium i ukradkiem zerknął na Johnny'ego.

A nad jego głową przeleciała kolejna kula.

Krwawie jak zarzynana świnia, pomyślał Johnny. Dalej. Do roboty, trzeba z tym skończyć.

Korek w drzwiach pękł i ludzie zaczęli wybiegać na ulicę. Nad lufą jednego z pistoletów uniosła się chmurka dymu, rozległ się trzask i ta sama niewidzialna ręka, która kilka sekund temu szarpnęła go za kołnierz, teraz narysowała mu na skroni linię ognia. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Nic nie miało znaczenia - oprócz rozprawienia się ze Stillsonem. Johnny znów wymierzył...

obym tylko trafił...

Jak na tak potężnego mężczyznę, Stillson poruszał się bardzo szybko. Młoda, ciemnowłosa kobieta, którą Johnny zauważył wcześniej, stała mniej więcej w połowie przejścia, trzymając w ramionach płaczącego synka, próbując osłonić go swym ciałem. I to, co zrobił teraz Stillson, tak zdumiało Johnny'ego, że niemal wypuścił karabin z rąk. Stillson wyrwał dziecko z ramion matki i obrócił się w stronę galerii, trzymając je przed sobą. Johnny nie miał już przed oczami jego, lecz małą, wijącą się postać w (*filtr błękitny filtr żółte pasy tygrysie pasy*) ciemnoniebieskim kombinezonie ozdobionym jaskrawożółtym futerkiem.

Johnny otworzył usta w zdumieniu. To był Stillson, oczywiście. Tygrys. Ale teraz zasłonił go filtr.

- Co to znaczy!?! - krzyknął Johnny, ale z jego ust nie wydostał się żaden dźwięk.

Dopiero wtedy dziewczyna wrzasnęła głośno; ale Johnny już to kiedyś słyszał.

- T o m m y! Oddaj go! Oddaj go, sukinsynu!

Czuł, jak głowa puchnie mu z bólu, jak rozszerza się niczym pęcherz. Świat ciemniał mu przed oczami. Resztki światła skoncentrowały się wokół muszki, która wskazywała teraz pierś niebieskiego kombinezoniku.

Zrób to, na miłość Boską, musisz to zrobić, uda ci się...

Lecz teraz - być może tylko dlatego, że tak ściemniało mu się w oczach - niebieski kombinezon zaczął się rozszerzać i tracić kolor, aż wszystko stało się bladobrazowe, a ciemna żółć rozlewała się, dzieliła na pasy i zakryła sobą wszystko.

(za filtrem, tak, za filtrem, ale co to znaczy? czy znaczy, że wszystko dobrze, czy że jest poza moim zasięgiem? co to)

W dole zabłysło jasne światło i znikło. Jakaś mała część jego umysłu rozpoznała w tym lampę błyskową.

Stillson odepchnął kobietę i zaczął cofać się do drzwi; oczy miał zmrużone, kalkulujące. Mocno

trzymał wijącego się chłopczyka za szyję i krocze.

Nie potrafię. Wybacz mi, słodki Boże, ale nie potrafię.

I wtedy dopadły go dwie kolejne kule -jedna w pierś, wysoko, odrzucając go na ścianę z taką siłą, że natychmiast się od niej odbił, druga w brzuch, po lewej stronie; ta obróciła nim, aż wpadł na barierkę i zdał sobie sprawę, że upuścił karabin, który spadł na podłogę galerii i z bezpośredniej odległości wypalił w ścianę. Johnny trafił w barierkę górną częścią ud i spadł. Sala dwukrotnie obróciła mu się przed oczami, rozległ się trzask. Spadł na dwie ławki, łamiąc sobie nogi i kręgosłup.

Otworzył usta do krzyku, ale wydostała się z nich tylko fala krwi. Leżał na potrzaskanych ławkach i myślał: Wszystko skończone. Wyglupiłem się. Spartoliłem sprawę.

Poczuł na sobie dłonie: ktoś go obracał. Byli tam Elliman, Moochie i ten trzeci facet.

Podszedł Stillson, odsuwając na bok Moochie'ego.

- Nie przejmujcie się tym facetem - powiedział ochryple. - Znajdźcie sukinsyna, który zrobił to zdjęcie. Rozbijcie mu aparat.

Moochie i drugi facet znikli. Gdzieś blisko dziewczyna o czarnych włosach krzyczała:

- ...za dzieckiem, schował się za dzieckiem, wszystkim opowiem...

- Ucisz ją, Sonny - rzucił Stillson.

- Jasne. - Elliman odszedł. Stillson przyklęknął nad Johnnym.

- Czy my się znamy, przyjacielu? Tylko nie kłam. Dla ciebie to koniec. Johnny szepnął:

- Znamy się.

- To było na mityngu w Trimbull, prawda?

Johnny skinął głową.

Stillson wstał nagle i - resztką sił - Johnny wyciągnął rękę i chwycił go za kostkę. Trwało to tylko chwilę, Stillson uwolnił się łatwo. Lecz ta chwilka wystarczyła.

Wszystko się zmieniło.

Ludzie podchodzili do niego, ale widział tylko buty i nogi, żadnych twarzy. Nie miało to najmniejszego znaczenia.

Wszystko się zmieniło.

Johnny płakał cicho. Tym razem dotknięcie Stillsona było jak dotknięcie pustki. Wyczerpany akumulator. Zwalone drzewo. Pusty dom. Półki na książki bez książek. Puste butelki po winie, w które można wkładać świece.

Świat ciemniał. Oddalał się. Otaczające go nogi skryły się za mgłą; przestał je odróżniać. Słyszał głosy, ostre, podniecone, niepewne, ale nie odróżniał słów. Tylko dźwięk słów, ale i on nikł, przechodząc w słodki szmer.

Johnny obejrzał się - dostrzegł korytarz, którym wyłonił się na świat; jak to było dawno. Wyłonił się z korytarza w to jaskrawe miejsce, tak się narodził. Tylko wtedy żyła jeszcze jego matka i był tam ojciec, wołając go po imieniu tak długo, aż do nich przyszedł. Teraz nadszedł czas, by wrócić. Teraz mógł już wrócić.

Dokonałem tego. Jakoś tego dokonałem. Nie wiem jak, ale dokonałem.

Nie sprzeciwiał się powolnemu dryfowaniu w stronę korytarza o ciemnych, chromowych ścianach; nie wiedział, czy tam, po drugiej stronie jest cokolwiek. Godził się, by pokazał mu to czas. Słodki szmer głosów cichł. Jasna mgła ciemniała. Ale ciągle był sobą - Johnnym Smithem - i ciągle był nienaruszony.

Do korytarza - pomyślał. Doskonale.

Pomyślał, że gdy dostanie się do korytarza, znowu będzie mógł chodzić.

CZEŚĆ TRZECIA

Notatki z martwej strefy

Portsmouth, N.H.
23 stycznia 1979

Drogi Tato

Strasznie jest pisać taki Ust, toteż postaram się, żeby był maksymalnie krótki. Kiedy go dostaniesz, prawdopodobnie nie będę już żył. Przydarzyła mi się straszna rzecz i myślę teraz, że wszystko mogło zacząć się na długo przed kraksą i śpiączką. Oczywiście, wiesz o tej sprawie z jasnowidzeniem i może pamiętasz, jak mama przysięgała na łożu śmierci, że taki byt Boski plan, że Bóg ma dla mnie jakieś zadanie. Prosiła mnie, żebym się przed tym nie uchylał, a ja obiecałem Jej, że nie będę - nie myślałem tego serio, po prostu chciałem, żeby się uspokoiła. Teraz wychodzi na to, że w jakiś dziwny sposób miała rację. Tak naprawdę, to dotąd nie wierzę w Boga (nie w Istotę, planującą za nas nasze życie i dającą nam do wykonania te wszystkie małe zadania jak harcerzom, zdobywającym odznaki sprawnościowe na Wielkiej Ścieżce Życia). Ale nie wierzę też, że wszystko, co mi się przydarzyło, to tylko ślepy przypadek.

Tato, w lecie 1976 roku poszedłem na mityng Stillsona w Trimbull, miasteczku w New Hampshire, w trzecim okręgu. Może przypominasz sobie, że Stillson kandydował wtedy po raz pierwszy. Kiedy szedł w stronę estrady, ścisnął wiele rąk, między innymi moją. Możesz mieć kłopoty, żeby uwierzyć w to, co teraz napiszę, chociaż widziałeś mnie w akcji. Zahaczyłem wtedy coś, ale nie tylko „zobaczyłem”, Tato. To była w i z j a, albo w sensie biblijnym, albo bardzo podobna. Co dziwniejsze, nie była taka jasna jak te obrazy, które widziałem wcześniej - wszystko zakrywał dziwny, niebieski poblask, którego nigdy przedtem nie było - ale za to niesamowicie potężna. Zobaczyłem Grega Stillsona jako prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie wiem, kiedy to miałyby nastąpić, mogę tylko powiedzieć, że był prawie tysy. Powiedziałbym, że za czternaście lat, najwyżej osiemnaście. Jak wiesz, mogę widzieć, a nie interpretować; a w tym przypadku zdolność widzenia była poważnie ograniczona przez ten dziwny niebieski filtr, ale widziałem wystarczająco wiele. Jeśli Stillson zostałby prezydentem, pogorszyłby drastycznie sytuację międzynarodową, od samego początku całkiem złą, ponadto spowodowałby powszechną wojnę atomową. Sądzę, że zaczęłaby się w Południowej Afryce. Wiem, że w trakcie tej krótkiej, krwawej wojny głowic użyłyby nie dwa lub trzy narody, lecz może nawet dwadzieścia - nie Ucząc grup terrorystycznych.

Tato, wiem, że może Ci się to wydać szaleństwem. Mnie samemu wydaje się szaleństwem. Ale nie mam wątpliwości, nie mam zamiaru siedzieć i myśleć, myśleć, aż wymyślę, że może to być mniej prawdziwe, mniej pilne, niż rzeczywiście jest. Nie wiedziałeś - nikt nie wiedział - że nie uciekłem od Chatswor-thów z powodu pożaru restauracji. Uciekałem przed Gregiem Stillsonem i tym, co powinienem zrobić. Kryłem się jak Eliasza w jaskini albo jak Jonasz, który skończył w brzuchu wieloryba. Myślałem, że poczekam i zobaczę, wiesz? Poczekam i zobaczę, czy zdarzy się coś, co będzie jasno wskazywać na tak straszliwą przyszłość. Prawdopodobnie czekałbym nadal, ale na jesieni zeszłego roku bóle głowy nasiliły się, ponadto zdarzył się też ten wypadek podczas budowy drogi, przy której pracowałem. Przypuszczam, że Keith Strang, majster, z którym pracowałem, będzie o nim pamiętał...

Fragment zeznań przed tak zwaną „Komisją Stillsona” pod przewodnictwem senatora Williama Cohena z Maine. Pytania zadaje Norman D. Verizer, Główny Doradca Komisji. Świadkiem jest pan Keith Strang zamieszkały na Desert Boulevard 1421 w Phoenix, Arizona.

Data zeznań: 17 sierpnia 1979 roku.

Verizer: W tym czasie John Smith zatrudniony był w Departamencie Robót Publicznych w Phoenix, prawda?

Strang: Tak, proszę pana.

V.: Było to na początku grudnia 1978 roku?

S.: Tak, proszę pana.

V.: Czy siódmego grudnia zdarzyło się coś, co pan specjalnie zapamiętał? Coś związanego z Johnnym Smithem?

S.: Tak, proszę pana.

V.: Jeśli jest pan tak uprzejmy, proszę opowiedzieć o tym komisji.

S.: No, wróciłem do naszych garaży, żeby wziąć dwie dwu-dziesięcikilogramowe beczki pomarańczowej farby. Rozumie pan, malowaliśmy linie na drodze. Tego dnia, o którym pan mówi, Johnny - to znaczy John Smith - był na Rosemont Avenue, malując nowe linie. No, więc dotarłem tam około czwartej piętnaście, jakieś czterdzieści pięć minut przed końcem pracy, i ten Herman Joellyn, z którym już panowie rozmawialiście, podszedł do mnie i powiedział: „Lepiej sprawdź Johnny'ego, Keith. Coś się z nim stało. Próbowałem z nim rozmawiać, ale zachowuje się tak, jakby mnie nie słyszał. Prawie mnie rozjechał. Lepiej doprowadź go do porządku”. Tak właśnie powiedział. Więc ja odrzekłem mu: „A co on takiego robi, Hermie?” A Hermie mówi: „Sprawdź sam”. Więc pojechałem na drogę i najpierw wszystko było w porządku, a później, jejk!

V.: Co pan zobaczył?

S.: To znaczy, przed spotkaniem z Johnnym?

V.: Tak, oczywiście.

S.: Linia, którą malował, była nierówna. Najpierw tylko odrobinę - raz w jedną, raz w drugą stronę - nie była prosta, rozumie pan. A Johnny zawsze malował najlepsze linie w całym zespole. Później było już całkiem źle. Całą drogę pokrywały zygzaki i pętle. Gdzieś tam wyglądało to tak, jakby jeździł w kółko. Przez jakieś sto metrów malował linię na miękkim poboczu.

V.: I co pan zrobił?

S.: Zatrzymałem go. To znaczy, w końcu go zatrzymałem. Podjechałem do jego wózka i zacząłem krzyczeć. Musiałem krzyknąć kilkanaście razy, bo w ogóle mnie nie słyszał.

A później skręcił i wgniół błotnik w moim samochodzie. Też własność Departamentu. Więc nacisnąłem klakson i znów na niego wrzasnąłem, i to chyba wreszcie do niego dotarło. Wrzucił luz i spojrzął na mnie. Zapytałem go, co na miłość Boską wyprawia.

V.: Co panu odpowiedział?

S.: „Cześć”. I to wszystko. „Cześć, Keith”. Jakby wszystko było w najlepszym porządku.

V.: A pan odpowiedział...

S.: Moja odpowiedź nie nadaje się do powtórzenia. Byłem wściekły. A Johnny po prostu tam stał, rozglądał się i opierał o wózek, jakby miał upaść, gdyby go puścił. Wtedy zorientowałem się, że wygląda na bardzo chorego. Zawsze był chudy, wie pan, ale teraz był też blady jak papier, a kącik ust miał jakby... wie pan... opuszczony. Najpierw nawet nie rozumiał, co do niego mówię. Później rozejrzał się i zobaczył, jak namalował linię: po całej drodze.

V.: I powiedział...

S.: Powiedział, że przeprasza. A później... nie wiem, jak to powiedzieć... zachwiał się i przyłożył dłoń do twarzy. Więc zapytałem go, co się stało, a on powiedział... no, mnóstwo dziwnych rzeczy. Mówił bez sensu.

Cohen: Panie Strang, komisja szczególnie interesuje się wszystkim, co powiedział pan Smith i co może rzucić światło na tę sprawę. Czy pamięta pan jego słowa?

S.: No, najpierw powiedział, że nic się nie stało, tylko pachnie to jak opona. Jak płonąca opona. A później dodał: „Akumulator wybuchnie, kiedy będziesz chciał go doładować”. I coś takiego: „Mam w szufladzie ziemniaki, a oba radia są na słońcu. Więc dla drzew wszystko skończone”. Tyle zapamiętałem. Jak powiedziałem, to wszystko było dziwne i zwariowane.

V.: A co się zdarzyło potem?

S.: Stracił równowagę. Złapałem go za ramię i dłoń, ta, którą zasłaniał sobie twarz, opadła. Zobaczyłem, że prawe oko ma całkiem przekrwione. Zemdłał.

V.: Ale zanim zemdłał, powiedział coś jeszcze, prawda?

S.: Tak, proszę pana, powiedział.

V.: A co to było takiego?

S.: Powiedział: „Później będziemy martwić się o Stillsona, tato, jest teraz w martwej strefie”.

V.: Jest pan pewien, że powiedział właśnie to? S.: Tak, proszę pana. Nigdy tego nie zapomnę.

3

...a kiedy się obudziłem, leżałem w malej szopie na narzędzia na początku Rosemont Drive. Keith powiedział, że powinienem natychmiast pojechać do lekarza i mam nie wracać do pracy, dopóki nie pojedę. Byłem przerażony, Tato, ale nie z tych powodów, o których chyba myślał Keith. W każdym razie umówiłem się na wizytę u neurologa, o którym napisał mi Sam Weizak w liście z początku listopada. Rozumiesz, napisałem do Sama, że boję się prowadzić samochód, bo czasami widzę podwójnie. Odpisał mi natychmiast, że muszę zobaczyć się z doktorem Vannem; sugerował, że symptomy są niepokojące, ale na odległość nie może postawić diagnozy.

Nie poszedłem od razu do tego lekarza. Przypuszczam, że mózg może płać człowiekowi różne psikusy, i aż do tego przypadku na drodze myślałem, że przechodzę po prostu taką fazę i że mi się poprawi. Chyba nie chciałem myśleć, co to może oznaczać. Ale ten wypadek przeważył szalę. Poszedłem do lekarza, bo się bałem, ale nie o siebie. Bałem się tego, o czym wiedziałem.

Więc spotkałem się z tym doktorem Vannem; zrobił badania, a później wszystko mi wytłumaczył. Okazało się, że nie mam tak wiele czasu, jak myślałem, bowiem...

4

Fragment zeznań przed tak zwaną „Komisją Stillsona” pod przewodnictwem senatora Williama Cohena z Maine. Pytania zadaje Norman D. Verizer, Główny Doradca Komisji. Świadkiem jest doktor Quentin M. Vann, zamieszkały przy Parkland Drive 17, Phoenix, Arizona.

Data zeznania: 22 sierpnia 1979 roku.

Verizer: Po badaniach i sformułowaniu diagnozy zaprosił pan Johna Smitha do swojego gabinetu, prawda?

Vann: Tak. To było trudne spotkanie. Takie spotkania są zawsze trudne.

Ver.: Czy mógłby pan ujawnić treść tej rozmowy?

Van.: Tak. W tych niezwykłych okolicznościach można, moim zdaniem, uchylić rąbka tajemnicy lekarskiej. Zacząłem od stwierdzenia, że Smith musiał mieć przerażające doświadczenie. Zgodził się. Prawe oko miał nadal bardzo przekrwione, choć było już lepiej. Przerwanemu uległo małe naczynie krwionośne. Jeśli można odwołać się do planszy...

(W tym miejscu materiał został skrócony i skondensowany).

Ver.: A kiedy już wytłumaczył pan to Smithowi...

Van.: Zapytał mnie, jakie mogą być konsekwencje. Użył dokładnie tego słowa: konsekwencje. Wywarł na mnie duże wrażenie swym spokojem, cierpliwością i odwagą.

Ver.: Jak to były konsekwencje, doktorze Vann?

Van.: Co? Ach, myślałem, że wszystko jest już jasne. John Smith miał zaawansowany nowotwór w płacie czołowym mózgu.

(Poruszenie wśród publiczności, krótka przerwa).

Ver.: Doktorze, przepraszam za tę przerwę. Przypominam publiczności, że są to obrady komisji i że to śledztwo, a nie cyrk. Albo zapanuje tu porządek, albo każę porządkowym opróżnić salę.

Van.: Nic nie szkodzi, panie Verizer.

Ver.: Dziękuję, doktorze. Czy może pan powiedzieć komisji, jak Smith przyjął tę wiadomość?

Van.: Był spokojny. Niezwykle spokojny. Myślę, że w głębi duszy sformułował podobną diagnozę. Powiedział jednak, że bardzo się boi. I zapytał, jak długo będzie żył.

Ver.: Co mu pan odpowiedział?

Van.: Powiedziałem, że w tym momencie pytanie nie ma sensu, ponieważ nadal istnieją pewne możliwości. Powiedziałem mu, że konieczna będzie operacja. Powinienem wspomnieć, że w tamtej chwili nie wiedziałem nic o jego śpiączce i niezwykle, niemal cudownym wyzdrowieniu.

Ver.: Jaka była jego reakcja?

Van.: Powiedział, że nie będzie żadnej operacji. Był spokojny, lecz bardzo, bardzo stanowczy. Żadnej operacji. Wyraziłem nadzieję, że to sobie przemyśli, bowiem odrzucając operację, wydaje na siebie wyrok śmierci.

Ver.: Jak na to zareagował?

Van.: Poprosił, żebym określił, jak długo może żyć bez operacji.

Ver.: Czy podał mu pan swe przypuszczenia?

Van.: Określiłem to w wielkim przybliżeniu, tak. Powiedziałem mu, że takie guzy rozwijają się bardzo różnie i że znam pacjentów, u których nie powiększały się nawet przez dwa lata, ale coś takiego *zdarza* się raczej rzadko. Powiedziałem, że bez operacji będzie najprawdopodobniej żył przez osiem do dwudziestu miesięcy.

Ver.: A on nadal nie wyrażał zgody na operację, prawda?

Van.: Tak, to prawda.

Ver.: Czy zdarzyło się coś niezwykłego, kiedy Smith wychodził?

Van.: Powiedziałbym, że było to bardzo niezwykle.

Ver.: Jeśli pan może, proszę nam o tym opowiedzieć.

Van.: Dotknąłem jego ręki, chyba pragnąc go powstrzymać. Rozumie pan, nie chciałem, żeby wychodził z gabinetu w takiej sytuacji. Kiedy to zrobiłem, poczułem coś od niego... przypominało to szok elektryczny, ale odniosłem także wrażenie, jakby coś ze mnie wyciągał, jakby mnie osłabiał. Jakby coś ze mnie czerpał. Zgadzam się, że ten opis jest niezwykle subiektywny, ale pochodzi od człowieka wtajemniczonego we wszystkie sekrety sztuki obserwacji. Upewniam pana, że nie było to przyjemne. Odsunąłem się... odsunąłem się od niego... a on zaproponował, żebyśmy zadzwonił do żony, bo wujek Strawberry poważnie się zranił.

Ver.: Strawberry?

Van.: Tak, tak właśnie się wyraził. Brat mojej żony... nazywa się Stanbury Richards. Mój najmłodszy syn, kiedy był mały, zawsze nazywał go wujaszkiem Strawberry. Nawiasem mówiąc, przypomniałem sobie o tym dopiero później. Wieczorem zaproponowałem żonie, żeby zadzwoniła do brata mieszkającego w Coose Lakę w stanie Nowy Jork.

Ver.: I zadzwoniła?

Van.: Tak, zadzwoniła. Serdecznie sobie pogadali.

Ver.: Czy pan Richards - pański szwagier - czuł się dobrze?

Van.: Tak, czuł się doskonale. Ale w następnym tygodniu podczas malowania domu spadł z drabiny i złamał kręgosłup.

Ver.: Doktorze Vann, czy wierzy pan, że John Smith wiedział, że to nastąpi? Czy wierzy pan, że miał moment jasnowidzenia dotyczący brata pańskiej żony?

Van.: Nie wiem. Ale wierzę... że tak mogło być.

Ver.: Dziękuję panu, doktorze...

Van.: Czy mogę powiedzieć coś jeszcze?

Ver.: Oczywiście.

Van.: Jeśli rzeczywiście ciążyło nad nim takie przekleństwo - tak, trzeba nazwać to przekleństwem - to mam nadzieję, że Bóg okaże litość jego umęczonej duszy.

5

...i wiem, Tato; ludzie powiedzą, że zrobiłem to, co planuję, z powodu guza, ale Tato, proszę, nie wierz im. To nieprawda. Guz to tylko ten wypadek, który mnie dogonił, wypadek, który - moim zdaniem - nigdy nie przestał mi się zdarzać. Rośnie w tym samym miejscu, które zostało uszkodzone podczas wypadku, w tym samym miejscu, które - jak sądzę - uszkodziłem podczas upadku, kiedy jako dziecko jeździłem na łyżwach na Roudaround Pond. To właśnie wtedy po raz pierwszy coś zobaczyłem, chociaż nie pamiętam dokładnie, o co chodziło. I miałem też dziwne widzenia tuż przed wypadkiem, na jarmarku w Esty. Zapytaj o to Sarę, jestem pewien, że pamięta. Guz znajduje się w miejscu, które nazywałem „martwą strefą”. Okazało się, że to dobra nazwa, prawda? Aż za dobra. Bóg... przeznaczenie... los... jakkolwiek chcesz to nazwać, wydaje się sięgać i równoważyć szalę pewną ręką, a od jego wyroku nie ma odwołania. Być może miałem zginąć w wypadku albo znacznie wcześniej, tego dnia na jeziorku. I wierzę, że kiedy wypełnię swoją misję, szale znów się zrównoważą.

Tato, Kocham Cię. Najgorsza - oprócz przekonania, że karabin to jedyna droga wydostania się z pułapki, w której się znalazłem - jest pewność tego, że obciążam Cię brzemieniem gniewu i nienawiści tych, którzy nie wierzą, że Stillson był niedobrym i niesprawiedliwym człowiekiem.

6

Fragment zeznań przed tak zwaną „Komisją Stillsona” pod przewodnictwem senatora Williama Cohena z Maine. Pytania zadaje pan Albert Renfrew, Zastępca Głównego Doradcy Komisji. Świadkiem jest doktor Samuel Weizak, zamieszkały przy Harlow Court w Bagnor, Maine.

Data zeznania: 23 sierpnia 1979.

Renfrew: Zbliżamy się już do przerwy, doktorze Weizak, i w imieniu komisji chciałem panu podziękować za cztery długie godziny zeznań, które rzuciły wiele światła na interesującą nas sprawę.

Weizak: Nic nie szkodzi.

R.: Chciałem zadać panu ostatnie pytanie, doktorze Weizak, pytanie, które ma, moim zdaniem, największe znaczenie; dotyczy kwestii poruszanej przez Johna Smitha w liście do ojca, znajdującym się w materiale dowodowym. Pytanie brzmi...

W.: Nie.

R.: Pan wybaczy?

W.: Chce mnie pan zapytać, czy to guz mózgu spowodował pociągnięcie za spust tego dnia w New Hampshire, prawda?

R.: Do pewnego stopnia, chyba tak...

W.: Odpowiedź brzmi - „nie”. Johnny Smith myślał i rozumował logicznie aż do ostatniej chwili życia. Wskazuje na to jego list do ojca oraz list do Sary Hazlett. Obdarzony był straszliwą, boską mocą - a może klątwą, jak to nazwał mój kolega doktor Vann - ale ani nie był szaleńcem, ani nie działał pod wpływem fantazji wywołanych uciskiem śródczaszkowym - jeśli coś takiego w ogóle jest możliwe.

R.: Lecz czy nie jest prawdą, że Charles Witman, zwany „Teksaskim Snajperem”, miał...

W.: Tak, miał guz. Tak jak pilot Eastern Airlines, którego samolot parę lat temu rozbił się na Florydzie. Nikt nie zasugerował nawet, że guz wywarł decydujący wpływ na działania któregośkolwiek z nich. Chciałbym zwrócić pańską uwagę na fakt, że inni ludzie złej sławy: Richard Speck zwany „Synem Sama” i Adolf Hitler - nie potrzebowali guza mózgu, by popełniać mordy. Także Frank Dodd, morderca, którego sam Johnny odkrył w miasteczku Castle Rock. Niezależnie od tego, jak komisja oceni czyn Johnny'ego, popełnił go człowiek normalny. Cierpiący wielką umysłową mękę, być może... ale normalny.

7

...a najważniejsze, nie wierz, że dokonałem tego bez długich, bolesnych przemyśleń. Jeśli jego śmierć da mi pewność, że ludzkość przeżyje jeszcze cztery, jeszcze dwa lata, nawet osiem miesięcy, warto go zabić. To źle, ale może przynieść dobre skutki. Nie wiem. Ale nie będę już dłużej odgrywał Hamleta. W i e m, jak niebezpieczny jest Stillson. Tato, bardzo Cię kocham. Uwierz mi.

*Twój syn
Johnny.*

8

Fragment zeznań przed tak zwaną „Komisją Stillsona” pod przewodnictwem senatora Williama Cohena z Maine. Pytania zadaje Albert Renfrew, Zastępca Głównego Doradcy Komisji. Świadkiem jest pan Stuart Clawson, zamieszkały przy Black-strap Road w Jackson, New Hampshire.

Renfrew: Więc mówi pan, że tylko przypadkiem miał przy sobie swój aparat, panie Clawson?

Clawson: Jasne! Również przypadkiem wyszedłem z domu. Omal nie poszedłem tego dnia na spotkanie, chociaż lubię Stillsona - no, w każdym razie lubiłem go przedtem. Wie pan, ratusz stał się dla mnie nieprzyjemnym miejscem.

R.: Z powodu egzaminu?

C.: Zgadł pan. Oblać egzamin na prawo jazdy to doprawdy okropna rzecz. Ale w końcu powiedziałem sobie, co, do diabła! I zrobiłem zdjęcie. Rany! Chyba nieźle na nim zarobię. Jak podniesienie flagi na Iwo Jima.

R.: Mam nadzieję, że nie sądzi pan, iż to wszystko urządzono wyłącznie z myślą o pańskiej karierze, młody człowieku.

C.: Ależ nie! Myślałem... no... sam nie wiem, co myślałem. Jezu, jestem tylko szczęśliwy, że miałem przy sobie mojego ni-kona, to wszystko.

R.: I zrobił pan zdjęcie, kiedy Stillson podnosi to dziecko?

C.: Matta Robesona. Tak, szanowny panie.

R.: Czy to powiększenie tego zdjęcia?

C.: To moje zdjęcie, tak.

R.: Co się działo, kiedy pan już je zrobił?

C.: Pogoniło za mną dwóch jego gangsterów. Krzyczeli: „Oddaj nam aparat, mały! Rzuć go!”
Takie gów... no, takie różne.

R.: A pan uciekał?

C.: Czy uciekałem? Boże, pewnie, że uciekałem. Gonili mnie prawie aż do miejskiego parkingu. Jeden omal mnie nie złapał, ale poślizgnął się na lodzie i upadł.

Cohen: Młody człowieku, powiedziałbym, że uciekając przed tymi łobuzami, wygrał pan najważniejszy wyścig w życiu.

C.: Dziękuję panu. To, co zrobił Stillson... może gdyby pan tam był, ale... zasłaniać się dzieckiem, to wstrętne. Założę się, że ludzie z New Hampshire nie wybiorą go teraz nawet na hycla. Nawet...

R.: Dziękuję, panie Clawson. Świadek jest wolny.

9

I znów październik.

Sara długo zwlekała z tą podróżą, ale teraz nadszedł czas, kiedy nie sposób już było zwlekać dłużej. Czuli to. Zostawiła dwójkę dzieci z panią Ablanap - mieli teraz pomoc domową i dwa samochody zamiast małego czerwonego pinto; dochody Walta sięgały trzydziestu tysięcy dolarów rocznie - i sama przyjechała do Pownall.

Zatrzymała się na poboczu ładnej, wiejskiej drogi, wysiadła i przeszła na drugą stronę, na niewielki cmentarz. Mała, zaśniedziała plakietka na kamiennym słupie bramy oznajmiała jego nazwę: BRZOZY. Otaczał go chwiejny, kamienny murek, teren był utrzymany w czystości. Po Dniu Pamięci sprzed pięciu miesięcy pozostały gdzieś wypłowiałe flagi. Wkrótce miał je przykryć śnieg.

Szła powoli nie śpiesząc się; wiatr powiewał rąbkami jej ciemnozielonej sukienki. Tu leżały pokolenia BOWDENÓW, tu rodzina MARSTENÓW, tu, wokół dużego granitowego nagrobka PILLBURY'OWIE, których rodowód sięgał 1750 roku.

A pod tylną ścianą stał względnie nowy nagrobek z prostym napisem: JOHN SMITH. Sara uklękła i powoli, z namysłem, przesunęła palcami po jego gładkiej powierzchni.

10

23 stycznia 1979

Kochana Saro.

Właśnie napisałem do ojca bardzo ważny Ust, zabrało mi to prawie półtorej godziny ciężkiej pracy. Nie mam już siły pisać go jeszcze raz, więc chcę Cię poprosić, byś skontaktowała się z Tatą n a t y c h m i a s t. Zrób to, nim zaczniesz czytać dalej.

Teraz więc, najprawdopodobniej, wiesz już wszystko. Chcę Ci tylko wyznać, że ostatnio dużo myślałem o naszej randce na jarmarku w Esty. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dwie rzeczy, które z niej zapamiętałaś, to prawdopodobnie szczęśliwa passa, którą miałem przy kole fortuny (pamiętasz tego dzieciaka, który powtarzał: „Uwielbiam patrzeć, jak ten gość dostaje w tylek”), i maska, którą włożyłem, żeby Cię przestraszyć. Miał to być żart, ale rozgniewałaś się i nasza randka omal się wtedy nie skończyła. Pewnie gdyby tak się to wszystko skończyło, nie byłoby mnie tu teraz, a

ten taksówkarz nadal by żył. Jednak, z drugiej strony, może ważne rzeczy w przyszłości są nieuniknione i to, co się zdarzyło, miałyby miejsce i tak, tydzień, miesiąc albo rok później.

Cóż, mieliśmy szansę i chyba okazało się, że wylosowaliśmy przegrywający numer, podwójne zero. Ale chcę, żebyś wiedziała, że myślę o Tobie, Saro. Nigdy naprawdę nie miałem nikogo innego i ta noc była naszą najlepszą nocą...

11

- Cześć, Johnny - szepnęła Sara, a gałęziami drzew płonących jesiennymi barwami poniszył wiatr; czerwony liść spłynął z jasnoblękitnego nieba i nie zauważony wylądował na jej włosach. - Jestem tu. W końcu przyjechałam.

To, że mówiła na głos, powinno wydawać się dziwne; kiedyś powiedziałaaby, że tylko szaleńcy rozmawiają z umarłymi na cmentarzach. Lecz teraz zaskoczyły ją jej własne uczucia, uczucia tak silne, tak intensywne, że poczuła klucia w sercu i zacisnęła dłonie. Być może, mimo wszystko, rozmowa z nim w tej chwili była całkiem na miejscu; przecież minęło już dziewięć lat i wszystko się skończyło. Teraz będzie już tylko Walt, dzieci i mnóstwo uśmiechów z jednej z ław stojących za mównicą, z której przemawia jej mąż, nie kończące się uśmiechy w tle i od czasu do czasu artykuły w niedzielnych dodatkach - jeśli tylko kariera polityczna jej męża rozwinie się tak, jak pewien jest, że się rozwinie. Z każdym rokiem przybędzie więcej siwych włosów, nie będzie już mogła chodzić bez biustonosza, zacznie robić silniejszy makijaż; w przyszłości będzie prowadziła zajęcia w YWCA w Bagnor, robiła zakupy, Denny pójdzie do pierwszej klasy, a Janis do przedszkola; w następnych latach czekają ją sylwestrowe zabawy, śmieszne kapelusze, wejdzie w lata osiemdziesiąte rodem wprost z powieści science fiction, a także w to dziwne, niemal nieuchwytnie zjawisko - wiek średni.

W jej przyszłości nie ma już jarmarków.

Oczy napełniły się gorzkimi łzami.

- Och, Johnny - powiedziała - wszystko miało być inaczej, prawda? Nie miało się tak skończyć.

Opuściła głowę, przełknęła gwałtownie łzy - nic nie pomogło. Zaczęła szlochać i jaskrawe światło słońca rozszczepiło się w tęczę. Wiatr, tak łagodny w porze babiego lata, na jej mokrych policzkach wydawał się zimny jak w lutym.

- To nie w porządku! - krzyknęła BOWDENOM, MARSTENOM i PILLSBURYM, martwej kongregacji słuchaczy, którzy mogli tylko zaświadczyć, że życie jest krótkie, a śmierć to kres wszystkiego. - O Boże, to nie w porządku!

I wtedy poczuła dłoń na szyi.

12

...ta noc była naszą najlepszą nocą, chociaż czasami trudno mi uwierzyć, że w ogóle był rok 1970, niepokoje na kampusach, Nixon jako prezydent, żadnych kieszonkowych kalkulatorów, żadnych magnetowidów, żadnego Bruce'a Springsteena i kapel punkowych. A czasem wydaje mi się, jakby to zdarzyło się wczoraj, jakbym był w stanie tego niemal dotknąć; wydaje mi się, że gdybym tylko mógł wziąć Cię w ramiona albo dotknąć Twojego policzka lub szyi, to zabrałbym Cię w inną przyszłość, w której nie ma bólu, ciemności i trudnych wyborów.

Cóż, wszyscy robimy, co możemy, i to musi wystarczyć... a nawet jeśli nie wystarczy i tak musi wystarczyć. Mam tylko nadzieję, że będziesz wspominać mnie jak najlepiej, kochana Saro. Wszystkiego najlepszego.

*Z wyrazami miłości
Johnny.*

13

Sara wciągnęła powietrze w płuca, wyprostowała się, oczy miała wielkie, okrągłe...

- Johnny...?

I wszystko znikło.

Cokolwiek to było, znikło. Rozejrzała się i oczywiście nie było tu nikogo. Ale mogła sobie wyobrazić, jak stoi obok z rękami głęboko w kieszeniach spodni, z tym swoim lekkim, łatwym, krzywym uśmiechem na ustach i twarzą bardziej miłą niż przystojną, opierając się wygodnie o nagrobek, bramę albo drzewo z liśćmi płonącymi gasnącym ogniem jesieni. Nie ma sprawy, Saro - tylko czy ciągle wachasz tę wstrętną kokainę?

Nie ma tu nikogo oprócz Johnny'ego; jest gdzieś blisko, może wszędzie?

„Wszyscy robimy, co możemy, i to musi wystarczyć... a nawet jeśli nie wystarczy, i tak musi wystarczyć. Nigdy nic nie tracimy, Saro. Nic, czego nie można odzyskać.”

- Zawsze ten sam stary Johnny - szepnęła, opuściła cmentarz i przeszła przez drogę. Zatrzymała się na chwilę i obejrzała. Powiał mocny, październikowy wiatr i przez świat przemknęły wielkie plamy światła i cienia. Drzewa zaszumiały tajemniczo.

Sara wsiadła do samochodu. Odjechała.